

FREDRIK BACKMAN

MIASTO NIEDŹWIĘDZIA

Kolejna urzekająca historia autora bestsellerowych
Mężczyzna imieniem Ove i *Pozdrawiam i przepraszam*



Przenikliwa opowieść o małym miasteczku
z wielkimi marzeniami

FREDRIK BACKMAN

MIASTO NIEDŹWIĘDZIA

Z języka szwedzkiego przełożyła
Anna Kicka



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Björnstad

Copyright © Fredrik Backman 2016

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2020 for the Polish translation by Anna Kicka (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Maria Zając, Marta Chmarzyńska, Joanna Habiera

ISBN: 978-83-66460-94-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2020

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Tego autora:

Pozdrawiam i przepraszam

Britt-Marie tu była

Dla Sagi Backman, mojej babci, która nauczyła mnie kochać sport. Jakież ciche życie wiódłbym bez niego. Mam nadzieję, że bary w niebie serwują porządne martini dry i że zawsze pokazują rozgrywki Wimbledonu na wielkim ekranie. Brakuje mi Ciebie.

I dla Nedy Shafti-Backman, mojej najzabawniejszej, najmądrzejszej i najbardziej kłótlivej przyjaciółki. Która unosi mnie, gdy tego potrzebuję, i sprowadza na ziemię, gdy na to zasługuję. Asheghetam.

1



Późnym wieczorem pod koniec marca bierze do ręki dubeltówkę, idzie prosto do lasu, przykłada broń do ludzkiej głowy i pociąga za spust.

To historia o tym, jak do tego doszło.

2

Bang-bang-bang-bang-bang.

Jest początek marca, w Björnstad nic się jeszcze nie wydarzyło. Jest piątek i wszyscy po prostu czekają. Drużyna hokejowa juniorów z Björnstad gra jutro w półfinale pierwszej ligi młodzieżowej kraju. Jakże to może mieć znaczenie? Oczywiście niezbyt wielkie. Gdyby tylko nie działo się to tutaj.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Jak każdego dnia miasto budzi się wcześniej, małe miasteczka muszą zapewnić sobie przewagę, jeśli chcą przetrwać w tym świecie. Na parkingu przy fabryce rzędy samochodów już pokrywa śnieg, półprzytomni ludzie z przymkniętymi oczami stoją w milczącej kolejce, żeby elektroniczne karty wstępu potwierdziły ich istnienie w rejestratorze czasu pracy. Patrzą niewidzącym wzrokiem i otrzepują śnieg z butów, czekając, aż ulubiona używka – kofeina, nikotyna czy cukier – da im kopa, dzięki czemu staną się zdolni do funkcjonowania do pierwszej przerwy na kawę.

Dojeżdżający do większych miejscowości poza lasem uderzają rękawiczkami w grzejniki i klną w sposób dopuszczalny jedynie u pijanych, umierających lub siedzących w zbyt zimnym peugeocie zbyt wcześnie rano.

Jeśli będą cicho, usłyszą z oddali: bang-bang-bang. Bang. Bang.

Maya budzi się w swoim pokoju, jego ściany ozdobione są na przemian szkicami i zachowanymi biletami z koncertów, na których była w miastach daleko stąd; nie było ich tak wiele, jak by sobie życzyła, ale w zasadzie znacznie więcej, niż pozwolili jej rodzice. Leży jeszcze w łóżku w piżamie i gra na gitarze. Kocha w niej

wszystko. Jej ciężar na swoim ciele, to, jak drewno reaguje, gdy uderza w nie palcami, struny wrzynające się mocno w skórę, zanim ta jeszcze zdąży się naprawdę obudzić. Proste dźwięki, miękkie riffy to dla niej niebiańska zabawa. Ma piętnaście lat i zdążyła już kochać wiele razy, ale gitara na zawsze będzie jej pierwszą miłością. To ona pomogła jej wytrzymać w tym mieście, to dzięki niej dała radę być córką dyrektora sportowego klubu hokejowego w lesie.

Sama nienawidzi hokeja, ale rozumie ojcowską miłość do niego, sport to po prostu inny instrument niż jej. Mama szepcze jej czasem do ucha: „Nigdy nie ufaj nikomu, kto nie ma w swoim życiu niczego, co kocha całkowicie niekontrolowanie”. Mama kocha faceta, który kocha miejsce, które kocha sport. To miasto hokeja i choć wiele można o mieszkających tu ludziach powiedzieć, jedno jest pewne – można na nich polegać. Wiadomo, czego można się spodziewać, gdy się tu mieszka. Dzień po dniu, dzień po dniu.

Bang.

Björnstad nie leży w pobliżu niczego i nawet na mapie wygląda nienaturalnie. „Jakby pijany olbrzym, sikając, próbował napisać na śniegu swoje imię” – powiedzieliby jedni. „Tak jakby przyroda i człowiek przeciągali linę, walcząc o przestrzeń do życia” – stwierdziłby pewnie ktoś myślący bardziej racjonalnie. Tak czy inaczej, miasto przegrywa, dawno już niczego nie wygrało. Coraz mniej miejsc pracy, więc każdego roku jest i mniej ludzi, las zjada jeden czy dwa opuszczone domy na sezon. W czasach gdy było jeszcze czym się chwalić, gmina postawiła przy wjeździe do miasta tablicę z hasłem przypominającym popularne wówczas slogany: „Witamy w Björnstad. Chcemy trochę więcej!”. Wiatr i śnieg potrzebowały kilku lat, aby wywiać słowo „więcej”. Niekiedy całe miasteczko wydaje się filozoficznym eksperymentem. Jeśli całe miasto zniknie w lesie i nikt o tym nie usłyszy, czy będzie to miało jakieś znaczenie?

Żeby móc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zejść kilkaset metrów w dół w stronę jeziora. Nie ma tu może nie wiadomo czego, ale jest kryte lodowisko. Zbudowane cztery pokolenia temu przez robotników fabrycznych – mężczyzn pracujących sześć dni w tygodniu, którzy chcieli mieć coś, na co czekają siódmego dnia. To dziedziczne – cała miłość, która w tym mieście może odtajać, wydaje się zawarta w grze: lód i banda, czerwone i niebieskie linie, kije i krążek, każda

cząstka chęci i siły w młodych ciałach, pędzących w pogoni za nim prosto do narożnika. Trybuny wypełnione po brzegi w każdy weekend, rok w rok, mimo że wyniki klubu pogarszały się proporcjonalnie do gospodarki miasta. Może dzieje się tak, bo wszyscy mają nadzieję, że jeśli los klubu odmieni się na lepsze, to reszta potoczy się dobrze siłą rozpędu.

To też powód, dlaczego miejsca takie jak to pokładają swoje nadzieje na przyszłość w młodzieży; bo tylko młodzi nie pamiętają, że kiedyś było lepiej. To może być swojego rodzaju błogosławieństwo. Tak więc stworzyli drużynę juniorów, tak jak starsze pokolenia tworzyły swoją społeczność: pracuj ciężko, przyjmuj ciosy, nie marudź, stul pysk i pokaż tym dupkom z wielkich miast, skąd pochodzimy.

W okolicy nie ma zbyt wielu rzeczy godnych uwagi. Ale wszyscy, którzy tu kiedyś byli, wiedzą, że to miasto hokeja.

Bang.

Amat kończy niedługo szesnaście lat. Jego pokój jest tak mały, że byłby ledwie garderobą, gdyby znajdował się w większym mieszkaniu w drogiej części jakiegoś miasta. Plakaty zawodników NHL pokrywają całe ściany, nie licząc dwóch miejsc: jedno to jego własna fotografia, zrobiona kiedy miał siedem lat, w za dużych rękawicach i kasku zsuniętym na czoło – jest na niej najmniejszym chłopcem na lodzie. Drugie to biała kartka, na której jego mama zapisała fragmenty modlitwy. Gdy Amat się urodził, leżała z nim na piersi w ciasnym łóżku w szpitalu na drugim końcu świata – byli tylko we dwoje – a pielęgniarka szeptała jej do ucha tę modlitwę (podobno Matka Teresa zapisała ją na ścianie nad swoim łóżkiem), myśląc, że modlitwa da samotnej kobiecie siłę i nadzieję. Prawie szesnaście lat później kartka nadal wisi w pokoju jej syna, słowa są pomieszane, ale spisywała je tak, jak je zapamiętała.

Ten, kto jest szczery, może się zawieść na innych.

Mimo to bądź szczery.

Ten, kto jest życzliwy, może być obmawiany przez innych. Mimo to bądź życzliwy.

*Całe dobro, które czynisz dzisiaj, jutro może zostać zapomniane przez innych.
Mimo to czyń dobro.*

Amat trzyma łyżwy tuż koło łóżka, każdej nocy. „Poród musiał być dla twojej matki cholernie ciężki, gdy się tak rodziłeś z tymi łyżwami na nogach” – naśmiewa się stary dozorca z lodowiska. Zaproponował chłopcu, że przechowa mu je w szafie w klubowym magazynie, ale on woli nosić je ze sobą tam i z powrotem. Chce być blisko nich.

We wszystkich drużynach był zawsze najniższy, nigdy nie miał takich mięśni jak pozostali zawodnicy, nigdy nie strzelał tak samo mocno. Ale nikt w tym mieście nie jest w stanie go dogonić. Nikt, w żadnej drużynie, na którą do tej pory natrafił, nie był taki szybki. Nie umie tego wyjaśnić, ale przypuszcza, że tak samo jest wtedy, gdy jedni, patrząc na skrzypce, widzą tylko kupę deszczulek i pokręta, podczas gdy inni widzą muzykę. Łyżwy nigdy nie były dla niego czymś obcym, przeciwnie, kiedy wkłada zwyczajne buty, czuje się jak marynarz schodzący na ląd.

Ostatnie wersy, które mama zapisała na kartce wiszącej na ścianie, brzmią:

Wszystko, co budujesz, inni mogą zniszczyć. Mimo to buduj. Ponieważ ostatecznie liczy się tylko to, co między tobą a Bogiem, przecież nigdy nie chodziło o ciebie i tych innych.

Zaraz pod tekstem dziecięca ręka czerwoną kredką napisała:

MUWIĄ, ŻE JESTEM ZA MAŁY, RZEBY GRAĆ. MIMO TO ZOSTANĘ WIELKIM ZAWODNIKIEM!

Bang.

Kiedyś Björnstad była drugą najlepszą drużyną krajowej pierwszej ligi. Tak to wyglądało ponad dwadzieścia lat i trzy dywizje temu, ale jutro Björnstad znów zmierzy się z najlepszymi. Jak ważny może być mecz juniorów? Jak bardzo miasto może przejmować się kilkoma nastolatkami w półfinale ligi młodzieżowej? Nie za bardzo. Oczywiście gdyby nie chodziło o tę właśnie plamę na mapie.

Kilkaset metrów na południe od tablic drogowych zaczyna się teren nazywany po prostu Wzgórzem. To małe skupisko ekskluzywnych domów z widokiem na

jezioro. Tutejsi mieszkańcy to właściciele sklepów spożywczych, szefowie z fabryki albo ludzie, którzy dojeżdżają codziennie do lepszej pracy w większych miastach, gdzie współpracownicy na imprezach robią wielkie oczy, pytając: „Björnstad? To da się mieszkać tak daleko w lesie?”. Oczywiście w odpowiedzi można rzucić coś o polowaniach, łowieniu ryb i bliskości przyrody, ale w istocie prawie wszyscy się teraz zastanawiają, czy rzeczywiście tak się da. Wciąż tutaj mieszkać. Czy jest tu coś jeszcze, coś więcej niż nieruchomości, których wartość spada wraz z temperaturą.

Po czym budzi ich BANG. I na ich twarzach pojawia się uśmiech.

3

Przez ponad dziesięć ostatnich lat mieszkańcy willi zdążyli się już przyzwyczać do odgłosów z ogrodu Erdahlów: bang-bang-bang-bang. Następnie krótka przerwa, podczas której Kevin zbiera krążki. Potem znów bang-bang-bang-bang-bang. Kevin miał dwa i pół roku, gdy po raz pierwszy jeździł na łyżwach, trzy, gdy dostał pierwszy kij, w wieku czterech lat był lepszy od pięciolatek, gdy skończył pięć – od siedmiolatek. Zimą, po siódmym urodzinach, odmroził twarz tak, że nawet teraz z bliska można dostrzec ślady na jego policzkach. Po południu grał swój pierwszy prawdziwy mecz w lidze i w końcowych sekundach chybił, strzelając do pustej bramki. Dzieciaki z Björnstad wygrały wtedy 12:0. Kevin strzelił wszystkie bramki, ale i tak był niepokieszony. Późnym wieczorem rodzice zauważyli, że nie ma go w łóżku, o północy połowa miasta przeszukiwała las. Zabawa w chowanego to nie zabawa w Björnstad, dziecko nie musi pójść daleko, żeby pochłonęły je ciemności, małe ciało szybko zamarza przy minus trzydziestu stopniach. Dopiero przed świtem ktoś z ekipy poszukiwawczej zobaczył, że jest na lodzie na jeziorze. Przywłókł ze sobą bramkę, pięć krążków i wszystkie latarki, jakie udało mu się znaleźć, i całymi godzinami strzelał do bramki pod takim samym kątem, z jakiego oddał niecelny strzał w trakcie meczu. Płakał rozwścieczony, kiedy niesiono go do domu. Białe plamki nie zniknęły już nigdy. Miał siedem lat i już wtedy wszyscy wiedzieli, że ma w sobie niedźwiedzia, którego nie da się zatrzymać.

Jego rodzice zapłacili za budowę małego lodowiska w ogrodzie, Kevin odśnieżał je sam codziennie rano, a każdego lata sąsiedzi wygrzebywali krążki ze swoich rabat. Resztki zwulkanizowanej gumy będzie tam można znaleźć jeszcze przez lata.

Rok za rokiem słyszeli, jak ciało chłopca rośnie – uderzenia robiły się coraz mocniejsze i coraz szybsze. Ma teraz siedemnaście lat, a to miasto nie widziało hokeisty z jego talentem od czasu, gdy miejscowa drużyna grała w najwyższej lidze, jeszcze przed narodzinami Kevina. Ma kondycję, ręce, głowę i serce. Ale

przede wszystkim ma wzrok, to, co widzi na lodzie, wydaje się dziać wolniej niż to, co widzą inni. W hokeju można się wiele nauczyć, ale z takim wzrokiem albo się rodzisz, albo nie. „Kevin? To samorodek” – zwykł mówić Peter Andersson, dyrektor sportowy klubu, a on powinien to wiedzieć: ostatnim razem tak dobry jak Kevin był właśnie sam dyrektor, który przebył całą tę drogę do Kanady i NHL i zmierzył się z najlepszymi na świecie.

Kevin wie, czego się od niego oczekuje, wszyscy mu to mówili, odkąd po raz pierwszy stanął na łyżwach. Po prostu wszystkiego. Oczekuje się od niego po prostu wszystkiego. Tak więc każdego dnia skoro świt biega po lesie, podczas gdy jego szkolni koledzy nadal jeszcze śpią głęboko pod kołdrą. A później stoi tutaj i bang-bang-bang-bang-bang. Zbiera krążki. Bang-bang-bang-bang-bang. Zbiera krążki. Trening z drużyną juniorów każdego popołudnia, a z pierwszym zespołem każdego wieczoru, potem siłownia, jeszcze jedna runda po lesie, a na koniec jeszcze godzina tutaj, w blasku reflektorów, zamontowanych specjalnie dla niego na dachu domu.

Bang-bang-bang-bang-bang. To jedyne, czego ten sport od ciebie wymaga. Po prostu wszystkiego, co masz.

Kevin dostawał propozycje przeniesienia się do dużych klubów, chodzenia do hokejowego gimnazjum w większym mieście, ale konsekwentnie odmawiał. Jest chłopakiem z Björnstad, jego tata jest facetem z Björnstad, być może gdzie indziej to nieistotne, ale tutaj to coś znaczy.

No więc jak ważny może być półfinał ligi juniorów? Na tyle ważny, że najlepsza drużyna juniorów w kraju znów może przypomnieć reszcie Szwecji, że to miejsce istnieje. Na tyle ważny, że lokalni politycy może zainwestują pieniądze we własne hokejowe liceum na miejscu, zamiast w Hed, aby największe talenty w tej części kraju chciały przeprowadzić się do Björnstad, a nie do dużych miast. Tak, że pierwsza drużyna, pełna wychowanych u siebie zawodników, znów mogłaby dostać się do pierwszej ligi, przyciągnąć na nowo dużych sponsorów, sprawić, by gmina wybudowała nową halę z lodowiskiem i więcej dróg dojazdowych do niej, a może nawet centrum konferencyjne i centrum handlowe, o którym mówi się od lat, dzięki czemu powstałyby nowe firmy i nowe miejsca pracy, a mieszkańcy zaczęliby myśleć o renowacji swoich domów, a nie o ich sprzedaży. To byłoby po prostu ważne dla gospodarki. Dla dumy. Dla przetrwania.

Wreszcie na tyle ważny, że jeden siedemnastolatek, który w swoim ogrodzie od dziesięciu lat, odkąd przemroził sobie policzki tamtej nocy, wbija do bramki krążek za krążkiem, niesie los całego miasta na swoich barkach.

To znaczy po prostu wszystko.

Niecka leży na drugim końcu Björnstad, na północ od tablic drogowych. Centrum miasta składa się z szeregowych domów i małych willi zanikającej klasy średniej, ale w Niecce znajdują się tylko czynszowe bloki, zbudowane tak daleko od Wzgórza, jak to tylko możliwe. Początkowo była to po prostu pozbawiona fantazji potoczna nazwa. Niecka jest położona niżej niż pozostała część miasta, znajduje się tam, gdzie teren opada w kierunku starej żwirowni. Wzgórze leży wyżej, powyżej jeziora. I kiedy z czasem mieszkańców zaczął dzielić status materialny, nazwy te utrwaliły się w mowie potocznej, aż w równej mierze co nazwami części miasta stały się wyznacznikami przynależności do klasy społecznej. Nawet w najmniejszych zakątkach na ziemi dzieci wczesnie uczą się, że istnieją oddzielne rzeczywistości społeczne, a tu jest to proste: im dalej od Niecki mieszkasz, tym lepiej dla ciebie.

Fatima mieszka w dwupokojowym mieszkaniu tak bardzo w głębi Niecki, jak to tylko możliwe. Niezbyt gwałtownie wyciąga syna z łóżka, ten zabiera ze sobą łóżwy. W autobusie nie ma nikogo poza nimi, nie rozmawiają o niczym. Amat w pełni opanował już sposób transportu ciała bez budzenia głowy. „Mumia” – nazywa go z miłością Fatima. Na miejscu na lodowisku przebiera się w uniform sprzątaczkę, a on idzie szukać dozorcę. Chłopiec najpierw pomaga jej pozbierać śmieci na trybunach, dopóki go nie zwymyśla i nie wyrzuci za drzwi. Amat niepokoi się o jej kręgosłup, ona sama zaś o to, że inne dzieci go z nią zobaczą i będą się z niego naśmiewać. Jak daleko Amat sięga pamięcią, na świecie było tylko ich dwoje. Od małego pomagał zbierać na trybunach puste puszki i czasami nadal to robi.

Każdego ranka pomaga dozorcę, otwiera drzwi i sprawdza świetlówki, składa krążki, jeździ rolką, przygotowuje lodowisko na cały dzień. Najpierw pojawiają się łóżwiarze figurowi, którzy przychodzą na te najbardziej niedogodne godziny. Później wszystkie drużyny hokejowe, jedna za drugą, aż do tych najlepszych

godzin, zarezerwowanych dla juniorów i pierwszego zespołu. Juniorów, którzy są teraz tak dobrzy, że stoją prawie najwyżej w hierarchii.

Amat jeszcze tam nie dołączył, ma tylko piętnaście lat, ale może uda się w następnym sezonie. Jeśli zrobi wszystko, co trzeba. Pewnego dnia, jest tego pewien, zabierze stąd mamę, pewnego dnia skończy cały czas dodawać i odejmować w głowie przychody i rachunki. Różnica między dziećmi jest wyraźna, można zauważyć, czy pochodzą z domów, gdzie pieniądze mogą się skończyć, i w jakim wieku się o tym dowiadują.

Amat wie, że ma ograniczone możliwości wyboru, więc jego plan jest prosty: stąd do juniorów, z juniorów do pierwszego zespołu, stamtąd do zawodowców. Gdy tylko pierwsza wypłata pojawi mu się na koncie, ma zamiar zabrać mamie ten wózek do sprzątanania i nigdy więcej nie pozwolić jej go oglądać; chce dać odpocząć jej zmęczonym palcom i wyspać się z rana jej słabym plecem. Nie chce rzeczy. Chce tylko móc położyć się któregoś wieczoru i nie musieć liczyć.

Dozorca klepie Amata po ramieniu, gdy ten kończy swoje zajęcia, i podaje mu łyżwy. Amat wiąże je na nogach, bierze kij do ręki i wyjeżdża na pusty lód. Taki mają układ: Amat pomaga dozorczy w podnoszeniu ciężkich rzeczy i ze sprawiającymi problemy drzwiami w bandzie, z powodu których zaczyna odzywać się jego reumatyzm, i jeśli tylko Amat sam wygładzi później lód, ma lodowisko dla siebie na godzinę, zanim łyżwiarze figurowi zaczną trening. To najlepsze sześćdziesiąt minut jego dnia, każdego dnia.

Wciska słuchawki w uszy, głośność na cały regulator, a później cała naprzód! Przez lód, mocno w bandę po drugiej stronie lodowiska, tak żeby kask uderzył w ochronną płytę z pleksi. I na maksa z powrotem! I znów. I znów. I znów.

Fatima spogląda przez chwilę znad wózka do sprzątanania, pozwala sobie przez kilka sekund pooglądać syna tam na dole. Dozorca widzi jej wzrok i usta układające się w cichym podziękowaniu. Kiwa głową, kryjąc uśmiech. Fatima pamięta to dziwne uczucie, gdy trenerzy w klubie po raz pierwszy powiedzieli jej, że Amat ma wyjątkowy talent. Wtedy nie rozumiała zbyt wiele po szwedzku, a to, że Amat umiał jeździć na łyżwach, zanim jeszcze dobrze nie nauczył się chodzić, było dla niej cudem boskim. Minęło tyle lat, a ona nadal nie przyzwyczyła się do zimna w Björnstad, ale nauczyła się kochać to miasto za to, czym jest. I nic nigdy w życiu nie będzie dla niej dziwniejsze niż to, że chłopiec, który przyszedł na świat

w miejscu, gdzie nigdy nie widziano śniegu, urodził się, by uprawiać sport na lodzie.

W jednym z tych mniejszych domków willowych w centrum miasta Peter Andersson, dyrektor sportowy Björnstad Hockey, wychodzi spod prysznica zdyszany i z zaczerwienionymi oczami. Prawie nie spał, a wodzie nie udało się zmyć zdenerwowania. Wymiotował dwa razy. Słyszy Mirę krzątającą się w przedpokoju, po drugiej stronie drzwi do łazienki, która idzie obudzić dzieci, i wie dokładnie, co zaraz powie: „Boże, Peter, masz ponad czterdzieści lat. Jeśli dyrektor sportowy klubu jest bardziej niespokojny przed meczem juniorów niż sami juniorzy, to może już najwyższy czas łyknąć Sobril, napić się drinka i trochę wyluzować?”. Anderssonowie mieszkają tu od ponad dziesięciu lat, odkąd wrócili z Kanady, ale jemu nadal nie do końca udało się wytłumaczyć żonie, co znaczy hokej w Björnstad. „Serio? Nie wydaje ci się, że wy, dorośli faceci, trochę przesadzacie?” – pytała przez cały sezon. „Juniorzy mają po siedemnaście lat! To jeszcze prawie dzieci!”

Pierwszych kilka razy siedział cicho. Ale któregoś późnego wieczoru powiedział prawdę: „Wiem, że to tylko gra, Miro. Wiem to. Ale jesteśmy miastem w środku lasu. Nie mamy turystyki, kopalni, przemysłu high-tech. Mamy ciemność, zimno i bezrobocie. Jeśli jest coś, czym to miasto może się jeszcze ekscytować, cokolwiek, to powinniśmy się cieszyć. Wiem, kochanie, że nie jesteś stąd, to nie twoje miasto, ale rozejrzyj się dokoła. Zamykają miejsca pracy. Gmina zaciska pasa. Mieszkają tu twardzi ludzie, mamy w sobie niedźwiedzia, ale też nieźle nas obito. To miasto musi coś wygrać. Poczuć chociaż jeden raz, że jesteśmy najlepsi. Wiem, że to tylko gra. Ale to nie tylko... tylko to. Nie zawsze”.

Mira pocałowała go wtedy mocno w czoło, objęła, uśmiechnęła się i szepnęła mu czule do ucha: „Jesteś idiotą”. Oczywiście, że jest, wie to.

Wychodzi z łazienki, puka do drzwi swojej piętnastoletniej córki, ale odpowiada mu tylko gitara. Córka kocha muzykę, nie sport. Są dni, kiedy nad tym ubolewa, ale też wiele innych, kiedy cieszy się jej szczęściem.

Maya nadal leży w łóżku, gra głośniej, gdy słyszy pukanie i rodziców. Mamę, która ma podwójny dyplom uniwersytecki i potrafi cytować cały kodeks, ale nie potrafi

się nauczyć, co to uwolnienie i spalony, nawet jeśli by postawić ją przed sądem. Tatę, który potrafi za to szczegółowo wytłumaczyć każdą taktykę hokejową, ale nie potrafi oglądać serialu z więcej niż trzema bohaterami, żeby co pięć minut nie krzyknąć: „Co się dzieje? Kto to jest? Co cicho? Czemu mam być cicho? No i nie wiem, co powiedzieli... Możemy przewinąć z powrotem?”.

Maya śmieje się i wzdycha. Nigdy nie tęskni się za wyprowadzką z domu bardziej, niż gdy ma się piętnaście lat. Jej mama, po trzech, czterech kieliszkach wina, gdy zimno i ciemność dają jej się najbardziej we znaki, zwykła mówić: „Nie da się żyć w tym mieście. Mayu, można w nim tylko przeżyć”.

Nikt z nich nie domyśla się jeszcze, ile w tym prawdy.

4

Całą drogę z szatni do gabinetu zarządu wpaja się chłopcom i mężczyznom z klubu hokejowego z Björnstad następujące powiedzenie: „Wolność słowa w grubych ścianach”. Ostry język, jak i gra ciałem należą do hokejowej codzienności, ale to, co dzieje się w klubie, nigdy nie opuszcza murów budynku. Zarówno na lodzie, jak i poza nim wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że dobro klubu zawsze jest najważniejsze.

O tak wczesnej porze całe lodowisko jest w zasadzie puste; tylko woźny, sprzątaczką i jeden jedyny zawodnik z drużyny chłopięcej, jeżdżący tam i z powrotem po tafli lodu. Ale na korytarzu słychać dobiegające z jednego z gabinetów na piętrze stanowcze głosy mężczyzn w marynarkach. Na ścianie wisi przeszło dwudziestoletnie zdjęcie drużyny, z roku, kiedy Björnstad było na drugim miejscu w kraju. Niektórzy z mężczyzn w pomieszczeniu to zawodnicy tej drużyny, niektórzy nie, ale wszyscy oni zdecydowali, że znów chcą wrócić na szczyt. Koniec z miastem zepchniętym do niższych dywizji, zamierzają dostać się prosto do pierwszej ligi, wyzwać do walki największych.

Dyrektor klubu siedzi przy swoim biurku. Jest najbardziej spoconym człowiekiem w całym mieście, ciągle wystraszonym niczym dziecko, które coś ukradło. Tego poranka nawet bardziej niż zwykle. Koszulę ma całą w okruszkach, gryzie kanapkę w tak niezdatny sposób, że można by się zastanawiać, czy przypadkiem nie zrozumiał całkowicie opacznie samego konceptu jedzenia. Zawsze tak ma, gdy jest podenerwowany. To jego gabinet, ale ma w nim najmniejszą władzę.

Patrząc z zewnątrz, hierarchia w klubie jest prosta: zarząd wyznacza dyrektora klubu, który sprawuje pieczę nad jego codzienną działalnością. To on zatrudnia dyrektora sportowego, który z kolei zabiega o zawodników pierwszego zespołu i zatrudnia trenerów. Trenerzy wybierają skład i nikt nie wtrąca się do roboty innych. Ale za zamkniętymi drzwiami wygląda to oczywiście zupełnie inaczej, tam dyrektor klubu zawsze ma powód, by się pocić. Mężczyźni wokół niego to

członkowie zarządu i sponsorzy, jeden z nich jest lokalnym politykiem – to najbardziej wpływowi inwestorzy i najwięksi pracodawcy w całej okolicy. Wszyscy są tu oczywiście „nieoficjalnie”. Tak nazywają sytuację, w której ci z wpływami i pieniędzmi, wszyscy razem, całkowicie przypadkowo, postanawiają udać się na kawę w to samo miejsce, tak wcześnie rano, że nawet lokalni dziennikarze nie zdążyli się jeszcze obudzić.

Klubowy automat do kawy potrzebuje odświeżenia jeszcze bardziej niż sam dyrektor klubu, więc wiadomo, że nikt nie pofatygował się tu dla samej zawartości kubków. Każdy z nich przybył tu z własnym interesem, każdy ma swoje własne sprawy do ugrania z odnoszącym sukcesy klubem. Łączy ich natomiast jedna ważna sprawa: są zgodni co do tego, kogo wykopać.

Peter urodził się i wychował w Björnstad. To miasto widziało już wiele jego twarzy: młodzika ze szkoły łyżwiarskiej, obiecującego juniora, najmłodszego zawodnika pierwszego zespołu, kapitana drużyny, który prawie uczynił swój klub najlepszym w kraju, wielkiej gwiazdy, która została zawodnikiem w NHL, aż w końcu bohatera powracającego w rodzinne strony, by zostać dyrektorem sportowym.

Ale teraz jest głównie facetem, który zatacza się zaspany tam i z powrotem po korytarzu swojego niewielkiego domu i uderzając raz po raz głową w półkę na kapelusze, mamrocze:

– Boż... czy ktoś widział kluczyki do volva?

Już po raz czwarty przeszukuje kieszenie wszystkich swoich kurtek. Jego dwunastoletni syn omija go sprawnie dwoma szybkimi krokami, nie odrywając nawet wzroku od telefonu.

– Leo, widziałeś kluczyki do volva?

– Zapytaj mamę.

– A gdzie jest mama?

– Zapytaj Mayę.

Leo znika w łazience. Peter bierze głęboki wdech.

– KOCHANIE?

Żadnej odpowiedzi. Spogląda na telefon i widzi już cztery esemesy od dyrektora klubu, we wszystkich jest mowa o tym, że musi przyjść do biura. Zwykle spędza w klubie siedemdziesiąt–osiemdziesiąt godzin tygodniowo, a i tak ledwie udaje

mu się zobaczyć jeden z treningów syna. W samochodzie trzyma kije golfowe, których używa dwa razy w sezonie, o ile ma szczęście. Praca dyrektora sportowego zajmuje mu całe dni: negocjuje kontrakty z zawodnikami, rozmawia przez telefon z agentami, siedzi w zaciemnionym pokoju z projektorem i studiuje najnowszy narybek. A ponieważ to niewielki klub, po skończonej pracy pomaga woźnemu wymieniać świetlówki i ostrzyć łyżwy, bukuje autobusy na mecze wyjazdowe, zamawia stroje zawodników, jest zarówno biurem podróży, jak i zarządcą nieruchomości, zajmuje się halą w takim samym wymiarze godzin jak budowaniem zespołu. To pochłania resztę doby. W ten sposób bardzo łatwo zrozumieć hokej – nigdy nie będzie częścią twojego życia. Stanie się całym twoim życiem.

Kiedy Peter zdecydował się przyjąć posadę dyrektora sportowego, przesiedział całą noc na telefonie z Sunem, trenerem pierwszego zespołu z Björnstad, odkąd Peter był mały. To Sune nauczył Petera jeździć na łyżwach, to on zapewnił mu na lodowisku drugi dom, gdy w pierwszym domu chłopca były głównie alkohol i siniaki. Ojciec, mentor, ktoś o wiele ważniejszy niż po prostu trener – w wielu momentach życia Petera Sune był jedyną osobą, której ten pierwszy rzeczywiście ufał. „Musisz być teraz jak węzeł” – wyjaśniał Sune nowemu dyrektorowi sportowemu. „Wszyscy tutaj, sponsorzy, zarząd, politycy, kibice, trenerzy, zawodnicy i rodzice, to liny ciągnące klub w swoją stronę. Musisz być jak węzeł”.

Kiedy nazajutrz Mira się obudziła, Peter wyjaśnił jej swoją pracę w jeszcze prostszy sposób: „Wszyscy w Björnstad palą się do hokeja. Moim zadaniem jest dopilnować, żeby nikt od tego nie spłonął”. Mira pocałowała go w czoło i stwierdziła, że jest idiotą.

– KOCHANIE, WIDZIAŁAŚ KLUCZYKI DO VOLVA?! – krzyczy Peter na cały dom.

Żadnej odpowiedzi.

Mężczyźni w biurze omawiają to, co musi zostać zrobione, chłodno i konkretnie, tak jakby dotyczyło to wymiany jakiegoś mebla. Na wiszącym na ścianie starym zdjęciu drużyny Peter Andersson stoi pośrodku. Wtedy był kapitanem drużyny, teraz jest dyrektorem sportowym. To wręcz idealna bajka o sukcesie, a mężczyźni w gabinecie rozumieją, dlaczego tak ważne jest budowanie tego typu legendy dla mediów i kibiców. Na zdjęciu obok Petera stoi Sune, trener pierwszego zespołu,

który namówił go do powrotu wraz z rodziną z Kanady po zakończeniu kariery sportowej. To ci dwaj rozwinęli młodzieżowe zajęcia pozaszkolne, zamierzając w przyszłości stworzyć najlepszą drużynę juniorów w kraju. Wtedy wszyscy się śmiali, teraz jednak już nikt się nie śmieje. Jutro drużyna juniorów zagra półfinał, w następnym roku Kevin Erdhal i kilku innych zawodników dostaną się do pierwszego zespołu, sponsorzy wpompują w klub milionowe sumy, a kształcenie przyszłych mistrzów zacznie się na poważnie. Bez Petera nic z tego by nie wyszło, zawsze był najlepszym uczniem Sunego.

Jeden ze sponsorów spogląda zirytowany na zegarek.

– Czy nie powinien już tu być?

Dyrektorowi telefon ślizga się w spoconych dłoniach.

– Z pewnością jest już w drodze. Myślę, że odwozi dzieci do szkoły.

Sponsor uśmiecha się protekcjonalnie.

– Żona adwokat znów ma ważniejsze spotkanie niż on? To właściwie jego praca czy raczej hobby?

Jeden z członków zarządu chrząka, trochę jakby dla żartu, a trochę nie.

– Potrzebujemy kozaka, a nie pantoflarza!

Sponsor, uśmiechając się szyderczo, proponuje:

– A może zamiast niego zatrudnimy jego żonę? Dyrektor na obcasach też by może dał radę?

Wszyscy w gabinecie wybuchają śmiechem, który wypełnia pokój aż po sufit.

Peter kieruje się do kuchni w poszukiwaniu żony, a napotyka najlepszą przyjaciółkę swojej córki, Anę. Ana robi koktajl. W każdym razie tak mu się wydaje, cały blat zalany jest bowiem wściekle różową papką, kropla po kropli zbliżającą się do jego krawędzi i gotową do ataku, zwycięstwa i zaanektowania parkietu. Ana zdejmuje z uszu słuchawki.

– Dzień dobry! Wasz mikser jest zajebiście trudny w obsłudze!

Peter bierze głęboki wdech.

– Cześć, Ano, jesteś... wcześniej.

– No nie, ja tu przecież spałam! – odpowiada bez troski.

– Znowu? To już czwarta noc z rzędu, nie?

– Nie liczę.

– Taaa, zauważyłem. Dzięki. Ale nie wydaje ci się, że dobrze byłoby któregoś wieczoru iść do domu i... no nie wiem... przynieść trochę nowych ubrań albo co?

– E tam, to nie problem. W sumie to przyniosłam tu już wszystkie moje ubrania.

Peter masuje sobie kark i próbuje z całych sił wyglądać na co najmniej tak zadowolonego z tego faktu jak Ana.

– Ale... cudownie. A twój tato nie tęskni za tobą?

– Bez obaw. Rozmawiamy dużo przez telefon i takie tam.

– Pewnie, pewnie, tak sobie tylko myślę, że przecież jednak kiedyś musisz nocować w domu, co?

Ana wkłada do miksera trochę za dużo niezidentyfikowanych mrożonych owoców i gapi się na niego zdziwiona.

– No, ale to będzie strasznie niepraktyczne, bo wszystkie moje ciuchy są przecież tutaj.

Peter stoi długo bez ruchu i patrzy na nią. Wtedy ona włącza mikser, nie zamykając go od góry przykrywką. Peter odwraca się, wychodzi do przedpokoju, krzycząc z rosnącą desperacją:

– KOCHANIE!

Maya leży jeszcze na łóżku i pociągając powoli za struny gitary, pozwala dźwiękom odbijać się od ścian i sufitu, coraz bardziej samotnie i samotnie, aż w końcu i one znikają w głuchej pustce. Krótkie, pojedyncze głosy domagające się towarzystwa. Słyszy Anę szalejącą w kuchni, sfrustrowanych rodziców mijających się w korytarzu. Niedobudzonego i zdziwionego tatę, zachowującego się, jakby codziennie wstawał w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie był, mamę pewną siebie niczym zdalnie sterowana kosiarka do trawy, w której spalił się czujnik rozpoznający przeszkody.

Ma na imię Mira, ale nigdy nie słyszała, by ktoś tak ją nazwał w Björnstad. W końcu się poddała i pozwoliła nazywać „Mią”. Ludzie są tu tak małomówni, że wydaje się, że nie chce im się wymówić nawet spółgłoski. Na początku bawiło ją pytanie: „Masz na myśli Petea?”, gdy ktoś pytał ją o męża. Ale wszyscy patrzyli tylko na nią poważnie i powtarzali: „Nie, Petera!”. Nawet ironia, jak i wszystko

inne, zamarza w tym miejscu na kość. No więc teraz bawi ją to, że ich dzieci, Leo i Maya, noszą tak szczęśliwie małospółgłoskowe imiona, że niczyja głowa w urzędzie stanu cywilnego nie powinna eksplodować od ich nadmiaru.

Jednocześnie ubierając się i pijąc kawę, przemieszcza się utartym szlakiem przez dom, przechodząc przez łazienkę, przedpokój i kuchnię. Z podłogi w pokoju córki podnosi sweter, składa go jednym ruchem, ani na chwilę nie przerywając ponagleń, że już najwyższy czas odłożyć gitarę i wstać z łóżka.

– Wstawaj i idź się kąpać. Śmierdzisz, jakby w pokoju się paliło i ktoś próbował to ugasić red bullem. Tata zabierze was do szkoły za dwadzieścia minut!

Nauczona doświadczeniem Maya niechętnie wygrzebuje się z łóżka. Z mamą nie ma co dyskutować, bo mama adwokat nigdy nie wychodzi z roli.

– Tata powiedział, że to ty nas zawieziesz.

– Tata jest niedoinformowany. A, Mayu, powiedz Anie, że ma posprzątać kuchnię, jak już skończy ze swoimi koktajlami. Uwielbiam ją, to twoja najlepsza przyjaciółka, nie przeszkadza mi, że nocuje u nas częściej niż u siebie w domu, ale jeśli dalej zamierza przygotowywać koktajle w naszej kuchni, to musi się nauczyć zakładać pokrywkę na mikser. I musisz ją nauczyć przynajmniej najbardziej PODSTAWOWYCH funkcji cholernej myjki do garów. Okej?

Maya opiera gitarę o ścianę, idzie do łazienki, odwrócona tyłem do mamy, i wywraca oczami tak mocno, że rentgen pomyliłby źrenice jej oczu z kamieniami nerkowymi.

– I nie wywracaj mi tu oczami! Widzę, że to robisz, nawet gdy nie widzę, jak to robisz – syczy mama.

– Spekulacje i pogłoski – mruczy w odpowiedzi córka.

– Tak się mówi tylko w amerykańskich serialach, powtarzałam ci to już nie raz! – protestuje mama.

Córka odpowiada tylko odrobinę zbyt mocnym trzaśnięciem drzwi do łazienki. Peter krzyczy KOCHANIE gdzieś z wnętrza domu. Mira podnosi z podłogi kolejny sweter i słyszy jeszcze, jak Ana rzuca: „Fuck, do diabła”, zanim jej koktajl tapetuje sufit kuchni.

– Wiecie, mogłam jednak urządzić sobie życie inaczej – mówi Mira po cichu, w sumie do nikogo, wkładając kluczyki do volva do kieszeni kurtki.

Mężczyźni w biurze nadal śmieją się z dowcipu o obcasach, gdy dociera do nich ostrożne chrząknięcie od strony drzwi. Dyrektor klubu kiwa przyzwalająco na sprzątaczkę, nie patrząc na nią. Ona przeprosza wszystkich, większość mężczyzn w gabinecie nie zwraca na nią uwagi, nawet jeśli jeden unosi nogi, chcąc jej pomóc, gdy sięga, by opróżnić kosz na śmieci. Sprzątaczkę dziękuje, wszyscy ją ignorują, ona nie bierze sobie tego w ogóle do serca, największy talent Fatimy to nikomu nie przeszkadzać. Czeką, aż będzie na korytarzu, by złapać się za plecy i pozwolić sobie na krótki jęk bólu. Nie chce, by ktoś to zobaczył i potem powiedział Amatowi. Jej ukochany chłopiec zawsze martwi się za dużo.

Oczy pieką od potu, gdy Amat zwalnia przy bandzie lodowiska, kij oparty o taflę lodu, od wilgoci palce ześlizgują się kilka milimetrów w głąb rękawic, oddech pali gardło, a kwas mlekowy szaleje w udach. Trybuny są puste, ale i tak od czasu do czasu tam spogląda. Jego mama zwykła mówić, że powinni być wdzięczni, ona i on, i Amat ją rozumie. Nikt nie jest bardziej wdzięczny niż ona krajowi, miastu, ludziom, klubowi, gminie, sąsiadom i pracodawcy. Wdzięczna, wdzięczna, wdzięczna. Takie jest zadanie mam. Zadaniem dzieci jest natomiast marzyć. Więc jej syn marzy, że któregoś dnia jego mama będzie mogła wejść do jakiegoś pomieszczenia, nie przeproszając.

Mruga, by pozbyć się potu z oczu, poprawia kask, dociska łyżwy do lodu. Jeszcze raz. Jeszcze raz. Jeszcze raz.

Peter ma cztery nieodebrane połączenia od dyrektora klubu, patrzy zestresowany na zegarek i odwraca się w stronę Miry, gdy ta wchodzi do kuchni. Ona przygląda się z uśmiechem paćkom, które Ana zostawiła na blacie kuchennym i podłodze, i wie, że Peter w głębi duszy musi histerycznie krzyknąć. Sprzątają w różny sposób: Mira nie lubi ubrań na podłodze, a Peter naprawdę nienawidzi paciek. Gdy się poznali, całe jego mieszkanie – poza łazienką i kuchnią, które wyglądały jak sale operacyjne – sprawiało wrażenie, jakby ktoś się włamał. Dom Miry był dokładnym przeciwieństwem. Można by to podsumować następująco: nie do końca do siebie pasowali jako małżeństwo.

– Tu jesteś! Jestem już spóźniony na spotkanie w klubie. Widziałaś kluczyki do volva? – prychnął.

Peter próbował wystroić się w garnitur i krawat, ale jak zwykle wyszło tak sobie. Ubranie Miry jest bez zarzutu, jakby materiał chciał przypodobać się jej ciału. Pije kawę i wkłada płaszcz jednym miękkim ruchem ręki.

– Taaa.

On, z rozczochranymi włosami, zaczerwienioną twarzą i koktajlem na skarpetkach, pyta:

– Byłabyś tak miła i powiedziała mi gdzie?

– W mojej kieszeni.

– Co? Dlaczego?

Mira całuje go w czoło.

– Taaa, ptysiu, dobre pytanie. Pewnie dlatego, że byłoby dobrze mieć je ze sobą, jadąc volvem do pracy. Przypuszczałam, że może to zostać uznane za odrobinę niestosowne, gdy miejscowy prawnik przyjedzie do pracy autem odpalonym na kabelki.

Peter, zbity z tropu, przeczesuje rękami włosy.

– Ale do chole... Przecież możesz wziąć małe auto.

– Nie, ty masz wziąć małe auto do warsztatu. Po tym, jak odwieziesz dzieci do szkoły. Rozmawialiśmy o tym.

– NIE rozmawialiśmy o tym!

Peter obsesyjnie wyciera od spodu papierowym ręcznikiem jej kubek z kawą. Ona się uśmiecha.

– No ale, kochany mój, masz to zapisane w kalendarzu na lodówce.

– No ale przecież nie możesz po prostu zapisywać rzeczy, NIE ROZMAWIAJĄC o tym ze mną.

Mira, opanowana, pociera dłonią brwi.

– Rozmawialiśmy. Rozmawiamy teraz. Nie robimy nic innego, tylko rozmawiamy. Słuchać natomiast...

– Ależ, Miro, proszę cię! Mam spotkanie. Jeśli się spóźnię, to...

Mira przytakuje ostentacyjnie.

– Oczywiście, oczywiście, kochanie. Jeśli ja przyjadę za późno do pracy, to jakiś niewinny człowiek może trafić do więzienia. Ale przepraszam, przerwałam ci. Opowiedz mi o tym, co się stanie, jeśli TY przyjedziesz za późno.

Peter oddycha przez nos, tak cierpliwie, jak tylko potrafi.

– Jutro jest najważniejszy mecz sezonu, kochanie.

– Wiem, kochanie. No i jutro ja też będę udawać, że to ważne. Ale jak na razie musi ci wystarczyć, że reszta miasta tak uważa.

Trudno jej zaimponować. To u niej zarówno najbardziej atrakcyjne, jak i najbardziej irytujące. Próbuje znaleźć lepszy argument, ale Mira wzdycha z udawaną dramaturgią, kładzie kluczyki na blacie kuchennym i stojąc przed nim, zaciska dłoń.

– Dobra, w takim razie kamień, nożyce, papier.

Peter kręci głową i próbuje powstrzymać się od śmiechu.

– A ty co? Masz osiem lat?

Mira podnosi brew.

– A ty co? Tchórz?

Uśmiech znika szybko z twarzy Petera, który skupia na niej wzrok i zaciska dłoń w pięść. Mira liczy na głos do trzech. Peter robi papier, Mira czeka ewidentnie pół sekundy dłużej i błyskawicznie układa palce w nożyczki. Peter krzyczy za nią, gdy już zabrała klucze i poszła do przedpokoju:

– OSZUKIWAŁAŚ!

– Naucz się przegrywać z godnością, kochanie. Cześć, dzieciaki, bądźcie miłe dla taty. No, chociaż trochę.

Peter stoi wciąż w kuchni z otwartymi ustami.

– Nawet nie waż się wychodzić, szachrajko!

Odwraca się w stronę kalendarza na lodówce.

– TU NIE MA NIC O SAMOCHO...

Drzwi zatrząskują się za Mirą. Volvo odpala na zewnątrz. Ana stoi w kuchni, rechocząc, z grubymi śladami koktajlu wokół ust.

– Czy udało się panu kiedykolwiek wygrać z nią w cokolwiek?

Peter masuje głowę.

– Byłabyś tak miła i ściągnęła tu moją córkę i syna, i poprosiła ich, żeby się ubrali i wsiedli do samochodu?

Ana kiwa ochoczo.

– Pewnie! Tylko tu posprzątam!

Peter kręci prosząco głową, wyciągając nowe opakowanie ścierek.

– Nie, nie. Ano, bądź tak miła i nie rób tego. Naprawdę podejrzewam, że to tylko pogorszy sytuację.

Gdy śmiechy w biurze w końcu cichną, jeden ze sponsorów spogląda posepnie na dyrektora klubu, stuka kostkami o biurko i pyta:

– No to jak? Będzie jakiś problem z Peterem?

Dyrektor klubu wyciera czoło i kręci głową.

– Peter robi to, co najlepsze dla klubu. Zawsze. Przecież wiecie.

Sponsor podnosi się, zapina marynarkę i opróżnia kubek z kawą.

– No dobra. Mam jeszcze inne spotkanie, ale liczę na to, że wyjaśnisz mi, o co chodzi. Przypomnisz, kto płaci jego pensję. Wszyscy wiemy, co czuje do Sunego, ale do mediów nie może dojść, że mamy tu jakiś wewnętrzny konflikt.

Dyrektor klubu nie musi odpowiadać. Nikt nie wie więcej o grubych ścianach niż sam Peter. On wybierze klub. Nawet dzisiaj, gdy dostanie polecenie wyrzucenia stąd Sunego.

5

Dlaczego człowiek zajmuje sobie głowę sportem?

To zależy chyba od tego, kim się jest. I gdzie.

Nikt nie wie dokładnie, ile Sune ma lat, to ten typ mężczyzny, który wydaje się mieć siedemdziesiątkę od co najmniej dwudziestu lat i sam nie pamięta dokładnie, jak długo jest już trenerem pierwszego zespołu. Z wiekiem nieco zmalął, stres i nawyki żywieniowe sprawiły, że stał się grubszy, teraz ma figurę bałwana. Przyszedł dziś do pracy wcześniej niż zwykle, ale stoi ukryty na skraju lasu za lodowiskiem, podczas gdy grupa mężczyzn wychodzi z budynku; czeka, aż wsiądą do samochodów i odjadą. Nie dlatego, że się wstydzi, ale by oszczędzić im wstydu przed nim samym. Większość zna całe ich życie, wielu nawet trenował. To, że chcą go zwolnić i zastąpić trenerem drużyny juniorów, jest najslabiej skrywaną tajemnicą w mieście. Nikt nie musi tłumaczyć Sunemu, żeby nie dążył do otwartego konfliktu, nigdy by tego nie zrobił klubowi, wie, że teraz chodzi o więcej niż hokej.

Björnstad to uboga część dużego lasu, ale mieszka tu jeszcze kilku bogatych ludzi. Uratowali klub od bankructwa i teraz chcą za to zapłaty: juniorzy mają pięć się w górę tabeli, do pierwszej ligi. Jutro wygrają półfinał mistrzostw młodzieżowych, w następny weekend finał. Gdy gmina będzie planować nowe liceum hokejowe, nie może pominąć miasta z najlepszą drużyną juniorów w kraju. Klub to serce miejscowego planu na przyszłość, po nowym liceum przyjdzie czas na nowe kryte lodowisko, a następnie centrum konferencyjne i handlowe. Hokej to coś więcej niż hokej: to turystyka, budowanie marki i kapitał. To przetrwanie.

Klub to zatem coś więcej niż tylko klub, to królestwo, w którym o władzę walczą najsilniejsi mężczyźni w lesie, i nie ma tam miejsca dla Sunego.

Sune patrzy na lodowisko. Oddał temu miejscu całego siebie. Nie ma rodziny, hobby, nawet psa. Wkrótce straci pracę, nie wie, z czego ani dla czego będzie wtedy żył. A mimo to nie może mieć o to do nikogo żalu – ani do dyrektora, ani do trenera juniorów, a już na pewno nie do Petera. Biedny Peter, pewnie nawet jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, ale zmuszą go, by wręczył wypowiedzenie, był tym, który nadzoruje, a później wyjaśni wszystko w mediach. Tak, żeby byli pewni, że klub jest jednomyślny i że jego ściany nie mają uszu.

Wcześniej czy później wszystkie zrzeczenia sportowe muszą się zdecydować, co chcą osiągnąć, a Björnstad nie chce tylko dalej grać. Zastąpią Sunego trenerem drużyny juniorów z jednego prostego powodu: gdy Sune rozmawia ze swoimi zawodnikami przed meczem, wygłasza długie przemówienia o tym, że mają grać z sercem. Trener drużyny juniorów mówi w przebieralni tylko jedno: „Macie wygrać!”. I juniorzy wygrywają. Od dziesięciu lat nie robią nic innego.

Sune nie jest już po prostu pewny, czy to wszystko, z czego powinien się składać klub hokejowy. Z chłopców, którzy nigdy nie przegrywają.

Małe auto sunie przez dopiero co odśnieżone drogi. Maya opiera głowę o szybę, jest przygnębiona tak, jak tylko potrafi piętnastolatka. Bardziej na południu przyszła już wiosna, ale w Björnstad są chyba tylko dwie pory roku, zima jest tu tak oczywista, że lato zawsze bierze wszystkich z zaskoczenia. Nikt nie zdąży się jeszcze przyzwycząić do światła słonecznego przez te dwa–trzy miesiące, a już zostaje im ono zabrane, a przez resztę roku ma się czasami wrażenie, że równie dobrze można by mieszkać pod ziemią. Ana pstryka ją mocno palcami w ucho.

– Kurde! – wybucha Maya, pocierając ręką twarz.

– Nudzi mi się! Zagrajmy w jakąś grę! – prosi Ana.

Maya wzdycha, ale nie protestuje. Bo kocha tę siorbiącą koktajle idiotkę, bo mają po piętnaście lat i mama ciągle przypomina jej, że „nigdy w życiu nie ma się takich przyjaciół jak wtedy, gdy jest się nastolatkiem, Mayu. Nawet gdy zachowuje się ich później przez całe życie. Nigdy nie jest już tak samo jak wtedy”.

– OK, no to może to: lepiej być niewidomym i zajeść się dobrym w biciu się czy głuchym i zajeść się dobrym w... – zaczyna Ana.

– Niewidomym – odpowiada bez zastanowienia Maya.

To ulubiona zabawa Any, grają w nią od małego. Mimo wszystko jest coś pokrzepiającego w tym, że z niektórych rzeczy się nie wyrasta.

– Nawet nie usłyszałaś jeszcze drugiej opcji – protestuje Ana.

– Gównu mnie obchodzą opcje. Nie mogłabym żyć bez muzyki, ale mogłabym bez konieczności oglądania twojej wkurzającej twarzy każdego dnia!

– Idiotka. – Ana wzdycha.

– Kretynka. – Maya rechocze.

– Dobra, a może to: lepiej mieć zawsze kozy w nosie czy chłopaka, który ma zawsze kozy w nosie.

– Lepiej samej mieć zawsze kozy w nosie.

– Hej, wiesz, jak cholernie dużo ta odpowiedź mówi o tobie?

– Wiesz, jak cholernie dużo mówi o tobie samo to pytanie?

Ana próbuje uderzyć Mayę w udo, ale ta uchyla się zwinnie i mocno trafia przyjaciółkę pięścią w ramię. Ana krzyczy, śmieją się z siebie nawzajem. I z siebie samych.

Przyjaciół ma się w wieku piętnastu lat. I nigdy później.

Na przednim siedzeniu samochodu Leo, ze świetnie wytrenowaną przez lata techniką ignorowania częstotliwości fal dźwiękowych siostry i jej najlepszej przyjaciółki, odwraca się do taty i pyta:

– Przyjdiesz dzisiaj popatrzeć na mój trening?

– Spróbuję... Ale mama będzie na pewno! – odpowiada Peter.

– Mama jest zawsze – mówi Leo.

Choć to stwierdzenie dwunastoletniego chłopca, a nie oskarżenie, Peterowi wydaje się, że słyszy w jego głosie pretensję. Spogląda na zegarek tak często, że aż musi w niego postukać, by się upewnić, że nie stanął.

– Denerwuje się pan? – pyta z tyłu Ana dokładnie takim tonem, jaki powoduje, że chce się czymś rzucić, jeśli rzeczywiście akurat jest się zdenerwowanym.

– Mam tylko spotkanie, Ano. Dzięki za troskę.

– Z kim? – pyta Ana.

– Z dyrektorem klubu. Mamy rozmawiać o jutrzejszym meczu juniorów.

– Kurde, ale wszyscy gędzą o drużynie juniorów. Wiecie, że to tylko głupi mecz, nie? Nikogo to tak naprawdę nie obchodzi!

Ana żartuje, uwielbia hokej, ale Maya syczy natychmiast:

– Nie mów tak dzisiaj do niego!

– Będzie świrował – potwierdza Leo.

– Jak to świrował? Kto będzie świrował? – dziwi się Peter.

Maya nachyla się szybko z tylnego siedzenia.

– Nie musisz nas odwozić pod samą szkołę, tato. Możesz się zatrzymać tutaj!

– Nie ma problemu – nalega Peter.

– Nie, dla ciebie nie... – jęczy Maya.

– Co to niby znaczy? Wstydzisz się mnie?

Ana przerywa lojalnie:

– Tak!

Leo dorzuca:

– Poza tym to nie chce, żeby cię ktoś zobaczył, bo wtedy wszyscy z jej klasy będą chcieli podejść i gadać o hokeju.

– A co w tym nagle złego? To miasto hokeja! – odpowiada zdziwiony Peter.

– Ale chyba z tego powodu całe cholerne życie nie musi być hokejem – wyrywa się Mai, która zastanawia się, czy nie otworzyć drzwi i nie wyturlać się z jadącego samochodu; śnieg jest nadal głęboki, nic sobie raczej nie złamie, to chyba warte ryzyka.

– Dlaczego TAK mówisz? Leo, dlaczego ona TAK mówi? – peroruje tata z przedniego siedzenia.

– Możesz po prostu zatrzymać samochód? Albo tylko zwolnić, wystarczy, że zwolnisz – prosi Maya.

W tym czasie Ana klepie energicznie Leo po ramieniu.

– Okej, Leo, to tak: nigdy więcej nie grać w hokeja czy nigdy więcej nie grać na komputerze?

Leo spogląda ukradkiem na tatę. Kaszle trochę zawstydzony. Zaczyna odpinać pas i niepewnie łapie za klamkę u drzwi. Peter kręci głową.

– Nawet się nie waż na to odpowiadać, Leo. Nawet się nie waż.

Mira siedzi w volvie w drodze do domu. Słyszała, jak Peter wymiotował rano w łazience. To właśnie robi sport z dorosłymi mężczyznami w tym mieście. Co w takim razie może zrobić z siedemnastoletnimi juniorami, którzy grają jutro mecz? Wśród żon z Björnstad krąży stare powiedzonko: „Chciałabym tylko, żeby mój mąż patrzył na mnie tak jak na hokej”.

Miry nigdy ono nie śmieszyło, bo zbyt dobrze rozumie, skąd wziął się ten żart.

Wie, co mężczyźni w mieście o niej mówią, wie, że daleko jej do lojalnej żony dyrektora sportowego, której sobie życzyli, zatrudniając Petera. Nie traktują klubu jak pracodawcy, tylko jak armię, a żołnierze mają stawiać się na wezwanie, rodziny stać dumnie w drzwiach i do nich machać. Po raz pierwszy Mira spotkała dyrektora klubu na turnieju golfowym zorganizowanym przez sponsorów, podczas aperitifów przed obiadem podał jej pustą szklankę. W jego hokejowym świecie było tak niewiele kobiet, że jak tylko zobaczył jakąś nieznajomą, założył, że to musi być kelnerka.

Gdy zauważył swój błąd, zaśmiał się tylko, jakby Mira również powinna uznać sytuację za zabawną. Gdy tak się nie stało, westchnął: mogłabyś mieć chyba odrobinę poczucia humoru? Gdy usłyszał, że zamierza kontynuować swoją karierę równoległą z karierą Petera, wykrzyknął zdziwiony: „Ale kto się w takim razie zajmie dziećmi? Trzeba je przecież karmić piersią”. Naprawdę próbowała być wtedy cicho. Albo może nie „naprawdę”, po fakcie uważa jednak, że w każdym razie „próbowała”. W końcu odwróciła się do niego, zrobiła znaczący gest w stronę jego grubych jak salami palców ślizgających się na kanapce z krewetkami, a później w kierunku brzucha, na którym guziki walczyły o utrzymanie zapiętej koszuli, i powiedziała: „Tak sobie pomyślałam, że mógłbyś się tym zająć. W sumie masz większe piersi niż ja”.

Następnym razem, gdy urządzano turniej, usunięto z zaproszeń sformułowanie „z osobami towarzyszącymi”. Świat hokeja mężczyzn stał się większy, kobiet mniejszy i nic bardziej nie potwierdzało miłości Miry do Petera niż fakt, że nie pojechała tego dnia na lodowisko i nie przywaliła komuś w głowę. Nauczyła się, że w Björnstad trzeba być gruboskórnym, bo pomaga to zarówno na ziąb, jak i na zniewagi.

Minęło już dziesięć lat i z czasem odkryła, że naprawdę dobre radio samochodowe wiele ułatwia. Podkręca więc radio. Puszczą listę „głośniejgłośniej”

Mai i Leo, nie dlatego, że podobają jej się te piosenki, ale dlatego, że czuje się wtedy blisko nich. Gdy dzieci są małe, wydaje się, że ten ucisk w żołądku, spowodowany wyrzutami sumienia, gdy trzeba wyjść z domu każdego ranka, minie. Ale tak się nie dzieje, jest tylko gorzej. Mama ma więc ich playlisty w swoim telefonie; każda z piosenek została wybrana, ponieważ słysząc ją w radiu, któreś z dzieci krzyczy: „DAJ GŁOŚNIEJ! DAJ GŁOŚNIEJ!”. Puszczą je tak głośno, że całe drzwi wibrują od basów, bo czasem cisza w lesie doprowadza ją do szału. W tych rejonach niebo rozlewa się po drzewach wcześniej każdego popołudnia prawie cały rok i trudno się do tego przyzwyczaić komuś, kto wychował się w dużym mieście, gdzie przyrodę wykorzystuje się głównie na wygaszaczach ekranu i fototapetach.

Wszyscy w Björnstad oczywiście nienawidzą dużych miast, noszą w sobie ciągłą złość, że wszystkie zasoby naturalne są w lesie, ale wszystkie pieniądze lądują gdzieś indziej. Czasem wydaje się, że ludzie tutaj właśnie dlatego uwielbiają ten niegościnnie klimat, bo nie każdy sobie w nim radzi – to przypomina im o ich sile i uporze. Pierwsza rzecz, jakiej Peter nauczył Mirę o Björnstad, brzmiała: „Niedźwiedzie srają w lesie, a wszyscy inni srają na Björnstad, więc ludzie z lasu dają sobie radę sami”.

Mieszkając tutaj, przyzwyczaiła się do wielu rzeczy, ale innych nie pojmie chyba nigdy. Na przykład, jak to możliwe, że w miejscu, w którym wszyscy łowią ryby, nie ma ani jednej restauracji sushi, albo dlaczego ludzie wystarczająco twardzi, by osiedlić się w klimacie, który ledwie znoszą dzikie zwierzęta, nigdy nie mogą powiedzieć prosto z mostu, co myślą. Milczeniu w Björnstad zawsze towarzyszy wstyd. Pamięta, co odpowiedział jej Peter, gdy zapytała, dlaczego wszyscy tutaj tak bardzo nienawidzą ludzi z dużych miast. „Ludzie z dużych miast mają za mało wstydu”. On zawsze obawiał się tego, co myślą inni, rozsypywał się, gdy zapraszano ich na kolację, a Mira kupowała na nią zbyt drogie wino. Z tego też powodu odmówił zamieszkania w jednym z droższych domów na Wzgórzu, chociaż dzięki pensji Miry było ich na to stać. Mieszkali w swoim małym domu w centrum miasta z czystej grzeczności, Peter nie odpuścił nawet wtedy, gdy Mira próbowała go skusić „większą przestrzenią dla jego longplayów”.

Dziesięć lat, a Mira nadal nie nauczyła się żyć z Björnstad, umiała jedynie z nim współistnieć. A cisza wciąż powoduje, że ma ochotę kupić bęben i urządzić na ulicach pochód karnawałowy. Pogłośnia radio. Bębni w kierownicę. Śpiewa

wszystkie piosenki tak żywiołowo, że prawie wypada z drogi, gdy włosy zaczepiają się jej o brzeg wstecznego lusterka.

Dlaczego zawraca sobie głowę sportem? Nie robi tego. Przejmuje się człowiekiem w sporcie. Marzy o lecie, jednym jedynym, gdy jej mąż będzie mógł spojrzeć swojemu miastu w oczy bez spuszczenia wzroku.

Klatka piersiowa Sunego wznosi się i opada, a ramiona mu ciążyą, gdy idzie w końcu w stronę wejścia do hali lodowiska. Pierwszy raz w życiu czuje swój wiek, ciało porusza się z trudem, jakby ktoś założył dres na galaretowatą meduzę. Ale kiedy otwiera drzwi, spływa na niego wielki spokój, tak jak każdego dnia. To jedyne miejsce na świecie, które rzeczywiście rozumie. Stara się więc raczej pamiętać, co to miejsce mu dało, a nie, co zamierzają mu odebrać. Całe życie w służbie sportu – to więcej, niż może powiedzieć większość ludzi. Dane mu było przeżyć kilka magicznych chwil oraz zobaczyć, jak rodzą się dwa wyjątkowe talenty.

Krzykacze z wielkich miast nigdy nie rozumieją, jak to jest wyłuskać naprawdę duży talent w bardzo małym klubie hokejowym. To jak zobaczyć kwitnącą wiśnię w zamarzniętym ogrodzie. Można czekać latami, całe życie, może nawet i kilka, i nadal będzie to cud, jeśli uda ci się to zobaczyć choć jeden raz. A dwa razy to niemożliwość. Wszędzie, ale nie tu.

Za pierwszym razem był to Peter Andersson. Ponad czterdzieści lat temu. Sune, nowo mianowany trener pierwszego zespołu, zobaczył go w szkółce łyżwiarskiej. Mały, chuderławy brzdąc w używanych rękawicach, z ojcem pijakiem i limem pod okiem, na które każdy zwracał uwagę, ale nikt nie pytał. Hokej go dostrzegł, nikt inny go nie widział. Zmienił życie Petera z niesamowitą siłą. Pewnego dnia brzdąc dorósł i wyniósł przegrany, znajdujący się na skraju bankructwa klub na drugie miejsce w kraju, a następnie siebie samego do NHL – niemożliwa wręcz droga z lasu do gwiazd. Zanim los w tragiczny sposób nie zabrał mu wszystkiego.

To Sune zadzwonił wtedy, po pogrzebie, do niego i Miry do Kanady i powiedział, że Björnstad potrzebuje dyrektora sportowego. Że są miasto i klub, które wymagają ratunku. A Peter musiał kogoś uratować. I tak rodzina Anderssonów wróciła do Björnstad.

Drugi raz zdarzył się ponad dziesięć lat temu. Sune i Peter odłączyli się od przeczesujących las, gdy Sune zrozumiał, że szukają gracza hokejowego, podczas

gdy pozostali szukali zwykłego chłopca. Znaleźli Kevina na jeziorze, o świcie, z przemarzniętymi policzkami i niedźwiedzim spojrzeniem. To Peter niósł siedmiolatka do domu. Sune szedł cicho obok i głęboko wciągał powietrze nosem. W środku zimy miasto znów pachniało kwiatem wiśni.

Gdy tego samego roku milczący dwudziestodwuletni gracz pierwszego zespołu postanowił się poddać ze względu na ciągłe kontuzje i niewystarczający talent, to właśnie Sune zatrzymał go na parkingu. To on zobaczył w nim materiał na wspaniałego trenera tam, gdzie inni widzieli przegranego zawodnika. Dwudziestodwulatek miał na imię David, stał niepewnie przed Sunem, szepcząc: „Nie jestem dobrym trenerem”, ale Sune dał mu gwizdek i powiedział: „Ci, którym wydaje się, że są dobrymi trenerami, nigdy nimi nie będą”. Pierwszą drużyną Davida była grupa siedmiolatków, a jednym z zawodników był Kevin. David powiedział im, że mają wygrywać. I wygrywali. Bez końca.

Teraz Kevin ma siedemnaście lat, David jest trenerem juniorów, a w następnym sezonie obaj trafią do pierwszego zespołu. Razem z Peterem są trójcą sukcesu: ręce na lodzie, serce w boksie zawodników rezerwowych i mózg w biurze. Odkrycia Sunego doprowadzą do jego końca. Peter go zwolni, David przejmie jego stanowisko, a Kevin udowodni wszystkim, że to była właściwa decyzja.

Stary mężczyzna zobaczył przyszłość. Ta właśnie go minęła. Otwiera drzwi hali, wszystkie jej dźwięki wylewają się na niego.

Dlaczego zajmuje sobie głowę sportem? Bo jego życie bez niego spowije cisza.

Dlaczego? Amat nigdy nie usłyszał takiego pytania. Hokej sprawia ból, wymaga nieludzkich poświęceń, fizycznych, psychicznych i duchowych. Łamie stopy, niszczy więzadła, wyciąga go z łóżka przed świtem. Pożera cały czas, wysysa wszystkie siły. Więc dlaczego? Bo pewnego dnia, gdy był małym chłopcem, usłyszał, że „nie ma byłych hokeistów”, i dokładnie rozumie, co to znaczy. Zdarzyło się to w szkółce łyżwiarskiej. Amat miał pięć lat, trener pierwszego zespołu zszedł na lód, by porozmawiać z dziećmi. Sune już wtedy był grubym starym mężczyzną, ale patrzył Amatowi prosto w oczy, mówiąc: „Niektórzy z was urodzili się z talentem, inni nie. Część dostała wszystko na tacy, część nie dostała nic. Ale pamiętajcie, że na lodzie jesteście sobie równi. I tylko jedna rzecz się liczy: chęci zawsze będą górować nad pochodzeniem”.

Dziecku łatwo przychodzi fascynacja, zwłaszcza gdy usłyszy, że jeśli będzie się mocno starać, może być najlepsze – a nikt nie pragnie tego bardziej niż Amat. Hokej stał się drzwiami do tutejszej społeczności, zarówno dla niego, jak i jego mamy. Zamierza wykorzystać hokej jeszcze bardziej jako drzwi prowadzące w świat.

Boli go całe ciało, każda komórka błaga, by się położył. Ale on tylko zakręca, ociera pot, trzyma kij jeszcze mocniej i wbija łyżwy w lód. Najszybciej, jak potrafi, najostrzej, jak umie. Znowu. I znowu. I znowu.

W pewnym wieku nie zaskakuje nas już nic. Dotyczy to ludzi, ale jeszcze bardziej hokeja. Wybitne mózgi poświęciły tej grze całe życie, w opastych podręcznikach rozłożyły na atomy wszystkie możliwe teorie. Większość dni upływa w przekonaniu, że nie da się już wymyślić nic nowego, że wszystko zostało już pomyślane, powiedziane i napisane przez prześcigających się w pewności siebie trenerów. Z rzadka zdarzają się sytuacje, w których lód objawia nam rzeczy nie do opisanego. Zaskakujące. Zmieniające wszystko. Nie można się na to przygotować; jeśli chcesz się poświęcić temu sportowi, musisz po prostu wierzyć, że rozpoznasz taką sytuację, gdy do niej dojdzie.

Dozorca idzie w stronę trybun, by przykręcić nowe śrubki w starej poręczy. Spozstrzega Sunego otwierającego drzwi wejściowe i dziwi się, bo ten nigdy nie przychodzi tu tak wcześnie.

– Widzę, że wstałeś dziś z kurami – zaśmiewa się dozorca.

Sune uśmiecha się zmęczony.

– Najciężej trzeba pracować zaraz przed końcowym gwizdkiem.

Dozorca przytakuje smutno. Wiadomo, że zwolnienie Sunego to najgorzej ukrywana tajemnica miasta. Starszy mężczyzna idzie wzdłuż trybun, w kierunku swojego gabinetu, gdy nagle się zatrzymuje. Dozorca unosi brew, Sune wskazuje ruchem głowy na chłopca na lodzie. Mruży oczy, jego wzrok nie jest już tak dobry jak kiedyś.

– Kto to?

– Amat. Jeden z piętnastolatków z drużyny chłopięcej.

– Co on tu robi tak wcześnie rano?

– Jest tu każdego ranka.

Chłopiec rozłożył rękawice, czapkę i kurtkę między liniami. Podjeżdża teraz do nich najszybciej, jak się da, zmienia kierunek, w ogóle nie tracąc na szybkości, zatrzymuje się gwałtownie i eksploduje. Krążek nigdy nie opuszcza kija. Tam i z powrotem. Pięć razy. Dziesięć razy. Nie tracąc na sile. Później strzał. Krążek dokładnie w tym samym miejscu w siatce po każdym okrążeniu. Znowu. I znowu.

– Co rano? To jakaś forma kary? – mamrocze Sune.

Dozorca się śmieje.

– On po prostu kocha hokej. Pamiętasz jeszcze, jak to jest, staruszk?

Sune nie odpowiada, chrząka coś tylko, patrząc na zegarek, i rusza w górę trybun. Jest prawie przy najwyższym rzędzie, gdy zatrzymuje się na nowo. Chce iść dalej, ale serce nie słucha.

Pamięta Amata ze szkółki łyżwiarskiej. Pamięta każdego z tych chłopców, ale wtedy nie było to jeszcze takie oczywiste. Hokej to sport, który nagradza powtarzalność. To samo ćwiczenie, ten sam ruch, aż reakcja zamieni się w instynkt wypalony w rdzeniu kręgowym. Krążek nie tylko sunie, ale też się odbija, więc przyspieszenie jest ważniejsze niż maksymalna prędkość, koordynacja oko–ręka ważniejsza niż siła. Lód ocenia cię pod kątem umiejętności zmiany kierunku i myśli szybciej niż inni, to wyróżnia tych wielkich spośród reszty.

Prawie już nie ma takich dni, w których hokej nadal może nas zaskoczyć. Dzieje się to znienacka, bez sygnałów ostrzegawczych, musimy po prostu wierzyć, że to zauważymy. Więc gdy dźwięk łyżew na lodzie odbija się echem na trybunach, Sune przystaje na chwilę niezdecydowany, zanim rzuci ostatnie spojrzenie przez ramię. Piętnastolatek obraca miękko kij w dłoni i rozpędza się na nowo do zawrotnej prędkości. Sune zapamięta tę chwilę jako jedno z prawdziwych błogosławieństw w swoim życiu: niemożliwe wydarza się w Björnstad po raz trzeci.

Dozorca podnosi głowę znad śrubek w poręczy i widzi, jak stary trener siada na krześle w najwyższym rzędzie trybun. Wydaje się ciężko chory. Dopiero po chwili dozorca rozumie, że to dlatego, że nigdy wcześniej nie widział trenera śmiejącego się w głos.

Sune oddycha przez nos, w oczach ma łzy, a całe lodowisko pachnie kwiatem wiśni.

Dlaczego człowiek zajmuje sobie głowę sportem?

Bo sport opowiada historie.

6

Gdy Amat opuszcza lodowisko, ma całkowicie przesiąknięte potem ubranie. Na samej górze trybun Sune odprowadza chłopca wzrokiem. Na szczęście Amat nie widzi trenera – dzięki temu nie pokonała go trema.

Sune nie rusza się z miejsca nawet po wyjściu chłopca. Dzisiaj czuje się jeszcze starszy niż zwykle. Dwie rzeczy w szczególny sposób przypominają nam o tym, że się starzejemy: dzieci i sport. W hokeju jest się profesjonalistą w wieku dwudziestu pięciu lat, weteranem koło trzydziestki, emerytem koło trzydziestki piątki. Sune ma dwa razy tyle. Tak to już jest z wiekiem, Sune zrobił się niższy i grubszy, ma więcej skóry do mycia i mniej włosów do czesania, częściej denerwują go wąskie krzesła i słabej jakości zamki błyskawiczne w kurtkach.

Ale gdy za Amatem zatrzasną się drzwi, starszy mężczyzna wdycha jeszcze raz zapach kwiatów wiśni. Piętnastolatek. Boże drogi, co za przyszłość. Sunego ogarnia wstyd, że dopiero teraz zwrócił na niego uwagę, chłopiec najwyraźniej rozwijał się w ekspresowym tempie w ostatnim okresie, podczas gdy oczy wszystkich skierowane były na drużynę juniorów; jeszcze przed kilkoma laty taki talent nie umknąłby uwadze trenera. Nie może tego zrzucić na karb starych oczu – jego serce też się zestarzało.

Zdaje sobie sprawę, że nie będzie go tu na tyle długo, by miał szansę trenować chłopca, ale ma nadzieję, że nikt nie zniszczy jego talentu, podcinając mu skrzydła. Albo pozwalając mu urosnąć zbyt szybko. Wie też, że to, niestety, próżne nadzieje; gdy wszyscy zorientują się, jak dobry jest ten chłopak, będą chcieli natychmiast wycisnąć z niego jak najlepsze wyniki. Klub tego potrzebuje, miasto tego żąda. Sune wyklóca się o to z zarządem od lat i jest na przegranej pozycji.

Wersja długa wyjaśnienia, dlaczego Sune zostanie zwolniony, mogłaby zająć wiele dni. Wersja krótka to dwa słowa: „Kevin Erdahl”. Sponsorzy, zarząd i dyrektor klubu zażądali, aby Sune pozwolił siedemnastoletniemu cudownemu dziecku grać w pierwszym zespole, a trener zaproteutował. W jego świecie

potrzeba czegoś więcej niż tylko hormonów, by stać się mężczyzną; kadra seniorów wymaga co najmniej tyle samo dojrzałości co talentu, a on przez lata widział więcej zawodników zniszczonych zbyt wcześnie niż zbyt późno dawanymi szansami. Ale nikt go już nie chce słuchać.

Mieszkańcy Björnstad szczerzą się tym, że nie potrafią przegrywać. Sune wie, że po części to on sam jest temu winny. To on wpajał zasadę „klub jest na pierwszym miejscu” każdemu zawodnikowi i prowadzącemu, który tylko postawił stopę na lodzie. Dobro klubu zawsze jest najważniejsze, nigdy własne ego. Użyją tego teraz przeciwko niemu. Mógł uratować posadę, pozwalając Kevinowi grać w pierwszym zespole, i ma nadzieję, że podjął właściwą decyzję. Ale teraz sam już nie wie. Może zarząd i sponsorzy mają jednak rację, może rzeczywiście jest starym osłem, który już nad niczym nie panuje.

David leży na podłodze w kuchni. Ma trzydzieści dwa lata, jego rude włosy są tak zmierzwiłone, że wyglądają, jakby chciały uciec mu z głowy. Gdy był mały, dręczono go z ich powodu, dzieci w klasie udawały, że jego włosy parzą – to właśnie wtedy nauczył się bić. Nie miał żadnych kolegów, więc poświęcił cały czas hokejowi. Był najlepszy, bo nigdy nie interesowało go nic innego.

Pot kapie na podłogę, David z zapalem robi pompki pod kuchennym stołem, na blacie leży komputer z nagraniami ze starych meczów i treningów, które oglądał przez całą noc. Trenera kadry juniorów w Björnstad Hockey łatwo zrozumieć, ale jednocześnie trudno z nim żyć; gdy dziewczyna Davida jest na niego wściekła, mawia, że to taki typ, który „potrafi się obrazić w pustym pomieszczeniu”. Może to i prawda, jego twarz wygląda, jakby ciągle miał pod górkę. Zawsze słyszał, że jest zbyt poważny, to dlatego hokej tak do niego pasuje. Nikt w żadnym klubie nigdy nie pomyśli, że można ten sport traktować zbyt poważnie.

Jutrzejszy mecz jest najważniejszy nie tylko w życiu juniorów, ale też Davida. Trener o bardziej filozoficznej naturze powiedziałby pewnie swoim zawodnikom, że to ich ostatnie sześćdziesiąt minut na lodzie jako dzieci, że większość z nich kończy w tym roku osiemnaście lat i że wkrótce zostaną seniorami. Ale David nie bawi się w filozofowanie, więc powie im tylko: „Macie wygrać”.

Nie ma w drużynie najlepszych zawodników w kraju, ależ skąd! Jego gracze są jednak najbardziej zdyscyplinowani i najlepiej wyszkoleni taktycznie. Grali ze sobą całe życie. No i mają Kevina.

Rzadko grają efektownie, David wierzy w gorliwość i silny atak, ale przede wszystkim w wyniki. Nawet jeśli zarząd i rodzice marudzą, że powinien trochę „uwolnić” zawodników i dać im pograć w „zabawniejszy hokej”. David nie wie nawet, co to miałyby znaczyć, zna tylko smutny hokej, czyli taki, w którym przeciwnicy strzelają więcej bramek niż jego drużyna. Nigdy nikomu się nie podlizywał, mimo że mu to nakazywano, nie wpuszczał nigdy do składu synów marketingowców od dużych sponsorów. Jest bezkompromisowy i wie, że nie przysparza mu to wielu przyjaciół, ale się tym nie przejmuje. Chcesz być lubiany? To proste – zajmij najwyższe miejsce na podium. David robi więc to, co niezbędne, żeby się tam znaleźć. To dlatego nie traktuje swojej drużyny jak wszyscy inni, bo nawet jeśli Kevin jest najlepszym zawodnikiem zespołu, to nie zawsze najważniejszym.

Komputer na stole pokazuje wcześniejszy mecz sezonu: jeden z zawodników przeciwnej drużyny zamierza się na Kevina, chcąc go powalić od tyłu, ale w następnej sekundzie sam leży już na lodzie. Inny zawodnik z Björnstad, numer szesnaście, stoi nad nim, już bez rękawic i kasku. Grad pięści zalewa powalonego.

Kevin może i jest gwiazdą, ale Benjamin Owich jest sercem drużyny. Bo Benji jest jak David, robi to co trzeba. Odkąd chłopiec był mały, trener powtarzał mu wciąż to samo: „Miej w dupie to, co mówią ludzie, Benji. Będą nas lubić, jak wygramy”.

Ma siedemnaście lat, mama budzi go wcześnie rano, zwraca się do niego pełnym imieniem. Tylko ona go tak nazywa. „Benjamin”. Wszyscy inni mówią Benji. Leży dalej w łóżku, w najmniejszym pokoju w ostatnim szeregowcu, zaraz przed Niecką. Aż mama przychodzi po raz trzeci lub czwarty. Gdy w jej nawoływaniach pojawiają się słowa z rodzinnego kraju, Benji wstaje, bo wtedy już nie ma żartów. Mama i trzy starsze siostry Benjiego przechodzą płynnie na stary język, tylko gdy chcą wyrazić wielką złość lub dozgonną miłość. Ten kraj nie ma, niestety, wystarczająco elastycznej gramatyki, aby opisać, jaką nienadającą się do niczego częścią obwisłego tyłka osła może być Benji albo że ich oddanie dla niego jest tak głębokie jak dziesięć tysięcy studni ze złota. Jego mama może zawrzeć obie te rzeczy w jednym zdaniu. Pod tym względem to jedyny w swoim rodzaju język.

Mama obserwuje go, jak odjeżdża na rowerze. Nienawidzi wyciągać go z łóżka przed wschodem słońca, ale wie też, że jeśli nie wyprawi syna z domu, zanim sama

nie pojedzie do pracy, to chłopak w ogóle nie wyjdzie z pokoju. Jest samotną matką z trzema córkami, ale to właśnie siedemnastoletnim synem przejmuje się najbardziej na świecie. Nic bardziej jej nie martwi niż chłopiec, który za mało troszczy się o przyszłość, a za dużo dręczy przeszłością.

Jej mały Benjamin, w którym tak łatwo zakochują się dziewczęta w Björnstad. Chłopiec o najpiękniejszej twarzy, najsmutniejszych oczach i najdzikszym sercu, jakie widziały. Jego mama to rozumie, bo sama wyszła za mąż za mężczyznę, który dokładnie tak wyglądał, a takich mężczyzn nie czeka nic innego niż problemy.

David parzy kawę w kuchni. Każdego ranka przygotowuje dodatkowy dzbanek, który przelewa do termosu, bo kawa w hali lodowiska jest tak kiepska, że proponowanie jej komuś powinno być prawnie zabronione. Na komputerze leci mecz z zeszłego roku, podczas którego nieustępliwy obrońca nie odstępował Kevina ani na krok aż do momentu, kiedy rozpędzony Benji pojawił się znienacka, uderzył go kijem tak, że obrońca wylądował głową w boksie przeciwnika. Połowa zawodników przeciwnej drużyny wyskoczyła na lód, żeby zemścić się na Benjim, a on czekał już na nich bez kasku i z zaciśniętymi w pięści dłońmi. Przerwanie bójki zajęło sędziom dziesięć minut. W tym czasie Kevin, cały i zdrowy, dojechał spokojnie do boksu.

Niektórzy próbują usprawiedliwić temperament Benjiego trudnym dzieciństwem, śmiercią taty, gdy chłopiec był mały. David nigdy tak nie myśli, on uwielbia temperament Benjiego. Inni nazywają go „dzieckiem z problemami”, ale to właśnie cechy, które są problematyczne poza lodowiskiem, czynią go szczególnie na lodzie. Jeśli wysze się go na lód, to nie ma znaczenia, czy staną mu na drodze węże, trolle czy wszystkie potwory z piekieł – Benji i tak wróci stamtąd z krążkiem. A gdy tylko ktoś pojawi się w pobliżu Kevina, to nawet betonowa ściana nie powstrzyma go, by stanąć pomiędzy nimi. Tego nie da się wyuczyć. Wszyscy wiedzą, jak dobry jest Kevin, każdy trener juniorów we wszystkich klubach ekstraklasy w całym kraju próbował go już zwerbować, a to też oznacza, że każda przeciwna drużyna ma przynajmniej jednego psychopatę, który chce wyrzucić mu krzywdę. David nie przyjmuje więc do wiadomości, że Benji „się bije” w co drugim meczu. On się nie bije. Po prostu broni największej inwestycji, jaką to miasto kiedykolwiek widziało.

David nie używa już oczywiście określenia „inwestycja” przy swojej dziewczynie. „Serio chcesz tak mówić o siedemnastolatku?” – spytała kiedyś. Z czasem nauczył się, że nie ma co próbować jej tego wytłumaczyć. Albo rozumie się ten aspekt hokeja, albo się go nie rozumie.

Na drodze łączącej okolice ratusza z resztą miasta, gdzie mama nie może go już zobaczyć, Benji zatrzymuje rower i zapala jointa. Dym go wypełnia, słodki spokój wznosi się i opada. Gęste długie włosy zeszywniały na wietrze, ale Benjiemu zimno nigdy nie przeszkadzało. Bez względu na porę roku jeździ wszędzie rowerem. Przy pozostałych zawodnikach David często chwali jego umiejętność łydki i zmysł równowagi. Benji na to nie reaguje, podejrzewa, że trenera nie zadowoliliby odpowiedź w stylu: „To dlatego, że codziennie jeżdżę na rowerze po śniegu, będąc w chuj naćpanym”.

W drodze do domu swojego najlepszego przyjaciela mija całe Björnstad. Fabrykę – największego pracodawcę w mieście, który już trzy lata z rzędu „optymalizuje kadrę pracowniczą”, jak w pięknych słowach nazywa się zwolnienia. Duży supermarket, który usunął z rynku mniejsze sklepy spożywcze. Ulicę handlową w różnym stopniu ruiny i coraz cichszą dzielnicę przemysłową. Sklep sportowy z działami myśliwskim, wędkarskim oraz hokejowym. I to by było na tyle. Trochę dalej: pub Futro, dokąd uczęszcza śmietanka towarzyska miasta, mężczyźni gotowi spuścić łomot ciekawskiemu turyście, który się tu zapaści.

Na zachodzie, od strony lasu, stoi warsztat samochodowy, a jeszcze głębiej wśród drzew najstarsza siostra Benjiego prowadzi hodowlę psów. Hoduje je do polowań i pilnowania domostw. Nikt w okolicy nie pyta już o psy do towarzystwa.

Poza hokejem nie ma tu za wiele do kochania, ale Benji nie interesował się też niczym innym. Zaciąga się dymem. Chłopaki wciąż go ostrzegają, że wyleci z drużyny, jeśli David dowie się, że pali trawę, ale Benji śmieje się tylko, przekonany, że nigdy do tego nie dojdzie. Nie dlatego, że jest za dobry, żeby go wyrzucić, o nie! Ale Kevin jest. Kevin to klejnot, a Benji jest jego zakładem ubezpieczeniowym.

Sune spogląda ostatni raz na sufit hali lodowiska. Na wiszące tam flagi i koszulki, pamiątki po mężczyznach, których niedługo nie będzie już pamiętać kolejne pokolenie. Obok nich wisi zniszczony baner ze starym mottem klubu: „Kultura,

wartości, wspólnota”. Sune był jednym z tych, którzy je wieszali, ale dziś nie jest już pewny, czy wie, co ono oznacza. Czasem nawet waha się, czy wiedział kiedyś.

„Kultura” to przedziwne słowo w sporcie, wszyscy go używają, ale nikt nie potrafi wyjaśnić jego znaczenia. Kluby uwielbiają opowiadać, jak budują kulturę, ale w rzeczywistości interesuje je tylko jeden jej aspekt: kult zwycięzcy. Sune zdaje sobie doskonale sprawę, że tak jest na całym świecie, ale najbardziej widać to właśnie w małych miejscowościach. Uwielbiamy zwycięzców mimo tego, że rzadko są to osoby, które można lubić. Tacy ludzie niemal zawsze są zajęci, samolubni i bezwzględni. Ale to nie ma znaczenia. Wybaczamy im. Lubimy ich, gdy wygrywają.

Starszy mężczyzna podnosi się odrętwiały i idzie do swojego gabinetu. Zamyka za sobą drzwi. Jego rzeczy osobiste leżą już spakowane w małym kartonie wciśniętym pod biurko. Nie będzie robił scen, gdy go zwolnią, nie będzie rozmawiał z mediami, po prostu zniknie. Tak został wychowany i tak wychowywał innych. Klub na pierwszym miejscu. Zawsze klub na pierwszym miejscu.

Nikt nie potrafi zrozumieć, jak tych dwóch zostało najlepszymi przyjaciółmi, ale wszyscy już dawno odpuścili próby rozdzielenia ich. Benji dzwoni do drzwi domu, większego niż pół kwartału, w którym mieszka.

Otwiera mama Kevina, uśmiecha się przyjaźnie, choć z telefonem przy uchu wydaje się zestresowana, tata krąży gdzieś w głębi domu, pogrążony w głośnej dyskusji przez komórkę. Na ścianach w holu wiszą rodzinne fotografie, tylko na nich Benji widział całą rodzinę Erdahlów obok siebie. W rzeczywistości jedno jest w kuchni, drugie w gabinecie, a Kevin w ogrodzie. Bang-bang-bang-bang-bang. Zamykanie drzwi i przepaszające wyjaśnienie do telefonu: „Tak, przepraszam. To mój syn. Ten hokeista, tak, dokładnie”.

Nikt w tym domu nie podnosi ani nie ścisza głosu, całej komunikacji amputowano uczucia. Kevin to zarazem najbardziej i najmniej rozpuszczony dzieciak, jakiego Benji spotkał: lodówka pełna jest gotowych pudełek z jedzeniem, przygotowanym według schematu żywieniowego klubu i dostarczanych co trzeci dzień przez firmę cateringową. Kuchnia kosztowała trzy razy więcej niż cały dom mamy Benjiego, ale nikt tu nie gotuje. Pokój Kevina wyposażono we wszystko, o czym może zamarzyć siedemnastolatek; żadna dorosła osoba, poza sprzątaczką, nie przekroczyła jego progu, odkąd Kevin skończył trzy lata. Nikt w Björnstad nie

zainwestował tyle w sport swojego syna, nikt nie sponsorował klubu większymi sumami niż firma ojca, a i tak Benji mógłby policzyć na palcach jednej ręki, i to po tym, jak dwa z nich utknęły mu w tokarce, ile razy widział rodziców Kevina na trybunach. Benji zagadał o to przyjaciela tylko jeden raz. Kevin odpowiedział: „Moich rodziców nie interesuje hokej”. Co ich w takim razie interesuje? „Sukces” – odparł Kevin. Mieli wtedy po dziesięć lat.

Gdy Kevin był najlepszy na sprawdzianie z historii i zdobył czterdzieści dziewięć na pięćdziesiąt punktów, jego ojciec zapytał tylko bez wyrazu: „A co miałeś źle?”. W rodzinie Erdahlów perfekcja nie była celem, lecz normą.

Ich dom jest biały i prostopadły niczym w katalogu reklamowym poziomic. Gdy nikt nie patrzy, Benji przesuwa bezgłośnie kilka centymetrów w bok półkę na buty, przekręca delikatnie dwa zdjęcia na ścianie, tak by wisiały trochę krzywo, a przechodząc przez salon pociera frędzle na dywanie dużym palcem u stopy. Już przy drzwiach tarasu widzi w odbiciu szyby, jak mama Kevina biega w kółko i mechanicznie poprawia wszystko od nowa, nie tracąc przy tym ani słowa z rozmowy telefonicznej.

Benji wychodzi do ogrodu, przynosi sobie krzesło, siada obok Kevina, zamyka oczy i wsłuchuje się w bębnienie. Gdy Kevin robi sobie przerwę, kołnierz jego koszulki jest mokry od potu.

– Denerwujesz się?

Benji nie otwiera oczu.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz poszedłeś z nami do lasu? Nigdy wcześniej nie polowałeś, trzymałeś strzelbę tak, jakbyś się bał, że cię ugryzie.

Kevin wzdycha tak głośno, że połowa powietrza z dużym prawdopodobieństwem wydostaje się jakimś innym otworem ciała.

– A ty, głupi dupku, nigdy w życiu nie potraktujesz nic poważnie?

Szeroki uśmiech Benjiego ujawnia prawie niewidoczną zmianę barwy uzębienia. Jeśli wyśle się Benjiego na lód, to wróci z krążkiem, nawet jeśli miałoby to kosztować ząb, jego lub czyjś.

– Prawie odstrzeliłeś mi jajka. Traktuję to naprawdę poważnie.

– Więc na serio nie denerwujesz się przed meczem?

– Kevin, denerwuję się, gdy ty i broń palna znajdujecie się w pobliżu moich jąder. Nie stresuję się hokejem.

Przerywają im rodzice Kevina, którzy mówią „do widzenia”. Ojciec jakby żegnał kelnera, matka z ostrożnym „kochanie” na końcu. Tak jakby naprawdę starała się, choć bezskutecznie, by nie brzmiało to jak wyuczona kwestia z jakiejś sztuki. Drzwi się zamykają, dwa samochody ruszają z podjazdu. Benji wyławia z kieszeni kurtki nowego jointa i go zapala.

– A TY się stresujesz, Kevin?

– Nie. Nie, nie...

Benji się śmieje, jego przyjaciel nigdy nie potrafił go okłamać.

– Pewnie.

– Dobra, kurwa. Robię, kurwa, pod siebie ze strachu! To chciałeś usłyszeć?

Benji wygląda, jakby już zasnął.

– Ile już dziś wypaliłeś? – prycha Kevin.

– Niewystarczająco – mruczy Benji i kuli się na krześle, jak gdyby miał zamiar zapaść w sen zimowy.

– Wiesz, że mamy być w szkole za godzinę?

– Doskonały powód.

– Jeśli David się o tym dowie, wywalą cię z drużyny...

– Nie, nie wywalą.

Kevin opiera się w milczeniu o kij i spogląda na niego. Ze wszystkich rzeczy, których można by zazdrościć swojemu najlepszemu kumplowi, Kevin najbardziej chciałby posiadać zdolność Benjiego, żeby zawsze mieć w dupie dosłownie wszystko i żeby uchodziło mu to na sucho. Kręci głową i śmieje się znużony.

– Nie, nie wywalą.

Benji przysypia. Kevin odwraca się w stronę bramki, jego wzrok robi się czarny. Bang-bang-bang-bang-bang.

Znów. I znów. I znów.

W kuchni David wykonuje ostatnie pompki. Potem bierze prysznic, ubiera się, pakuje torbę i zabiera kluczyki do auta, by podjechać na lodowisko i zacząć dzień pracy. Ale ostatnie, co robi trzydziestodwuletni trener, zanim odstawi kubek z kawą na mały stolik przy drzwiach i wyjdzie z domu, to sprint do łazienki.

Zamyka drzwi od środka, odkręca do końca krany w wannie i umywalce, tak aby jego dziewczyna nie usłyszała, że wymiotuje.

7

To „tylko gra”, słyszą wszyscy zawodnicy od czasu do czasu. Wielu próbuje sobie wmówić, że to prawda. Ale trzeba wiedzieć tylko jedno, żeby zrozumieć, że to głównie prawda: gdyby nie hokej, nikt w tym mieście nie byłby tym samym człowiekiem.

Tuż przed wyjściem z Benjim do szkoły Kevin idzie do toalety. Nie lubi chodzić to łazienki w szkole, nie żeby była ohydna, po prostu go to stresuje. Wywołuje u niego jakiś dziwny rodzaj obawy, której nigdy nie umiał wytłumaczyć. Tylko w domu potrafi się odpowiednio odprężyć, otoczony przepłaconymi kafelkami i ekskluzywną, acz niepraktyczną umywalką, starannie wybraną przez architekta wnętrz, który wystawił fakturę na więcej godzin pracy niż sami wykonawcy. Ten dom to jedyne miejsce na ziemi, gdzie nauczył się być sam.

Wszędzie indziej – na lodowisku, w szkole, a nawet w drodze do niej i z powrotem – otoczony jest stadem. Zawsze w środku, z drużyną krążącą wokół niego w ustawieniu zależnym od ich umiejętności na lodzie. Najlepsi gracze najbliżej, później pozostali i kolejni w dół w hierarchii coraz bliżej zewnątrz koła. W domu nauczył się być sam tak wcześnie, że stało się to naturalne, nie wytrzymuje jednak samotności nigdzie indziej.

Benji stoi na zewnątrz. Jak zwykle. Ktoś z gorszą samokontrolą niż Kevin pewnie by go uściskał. Ale on kiwa tylko głową i mamrocze:

– Spadamy.

Maya odchodzi tak szybko od samochodu taty, że Ana zmuszona jest biec, by dotrzymać jej kroku. Zdyszana wyciąga plastikowy kubek.

– Chcesz? Przeszłam na dietę koktajlową.

Maya zwalnia i kręci głową.

– Po co ty w ogóle stosujesz te diety? Dlaczego tak nienawidzisz swoich kubeczków smakowych? Co one ci zrobiły?

– Weź się odczep, to jest przepyszne. Spróbuj!

Usta Mai sceptycznie dotykają krawędzi kubka. Bierze pół łyka, po czym wypluwa całość.

– W tym są GRUDKI!

Ana przytakuje zadowolona.

– To masło orzechowe.

Maya pociera z obrzydzeniem palcem po języku, tak jakby było na nim pełno włosów.

– Musisz się leczyć. Serio, Ano. Leczyć.

W Björnstad istniało kiedyś więcej szkół, bo było też więcej dzieci. Teraz pozostały tylko dwa budynki: jeden dla niższych klas podstawówki, drugi dla wyższych i liceum. Wszyscy jedzą obiad w tej samej stołówce. Dokładnie tak duże jest miasteczko.

Amat dogania Lifę i Zachariasza na parkingu. Od zawsze chodzą do tej samej klasy i są najlepszymi kumplami od przedszkola. Nie żeby znów byli do siebie tak podobni, łączy ich głównie to, że nie są tacy jak inni. W takich miasteczkach jak Björnstad najpopularniejsze dzieci wcześniej zostają przywódcami, drużyny wybierane są w niewidoczny sposób już na placu zabaw. Amat, Lifa i Zachariasz to ten typ dzieci, których nikt nie wybrał. Od tej pory trzymali się razem. Lifa mówi mniej niż drzewo. Zachariasz więcej niż radio. A Amatowi pasuje ich towarzystwo. To dobry team.

– ...tak zajebicie czysty *headshot*! Próbował się wycofać i schować... Kurwa, Amat! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Zachariasz, ubrany w te same czarne dżinsy, czarną bluzę z kapturem i czarną czapkę z daszkiem, w których chodzi, chyba odkąd skończył dziesięć lat, przerywa wykład o – jak można się domyślać – swoich wczorajszych wyjątkowo imponujących osiągnięciach jako strzelec wyborowy w wirtualnym świecie i wzburzony uderza Amata w ramię.

– Co?

– Słuchasz w ogóle, co się do ciebie mówi?

Amat ziewa.

– Tak, tak, *headshot*. Jesteś zajebisty. A ja jestem po prostu głodny.

– Trenowałeś rano? – dopytuje Zachariasz.

– Tak.

– Masz coś nie tak z głową, że wstajesz tak wcześnie.

Amat się uśmiecha.

– A ty o której się położyłeś?

Zachariasz wzrusza ramionami i masuje sobie kciuki.

– O czwartej... może piątej.

Amat przytakuje.

– Siedzisz tyle samo w grach wideo co ja na treningu, Zach. Zobaczymy, kto pierwszy będzie zawodowcem.

Zachariasz chce coś odpowiedzieć, ale nagle jego głowa leci do przodu od uderzenia z otwartej dłoni. Zachariasz, Amat i Lifa wiedzą, że to Bobo, jeszcze zanim zdążą się obrócić; czapka ląduje na ziemi w akompaniamencie gromkiego rechotu otaczających ich juniorów. Zachariasz, Amat i Lifa mają po piętnaście lat, juniorzy są tylko o dwa lata starsi, ale fizycznie o tyle silniejsi, że równie dobrze mogłoby to być i dziesięć. Bobo jest z nich wszystkich największy, postawny niczym drzwi do stodoły i tak brzydki, że wystraszyłby szczura. Mocno trąca Zachariasza ramieniem, przechodząc obok niego, Zachariasz potyka się i upada na kolana. Bobo rechocze z udawanym zdziwieniem, juniorzy wokół niego wtórują mu.

– Niezły zarost, Zach, rzadki jak sraka! – kontynuuje Bobo i zanim śmiechy ucichną, dodaje: – Masz już jakiś zarost na fiucie? Czy dalej płaczesz pod prysznicem, gdy dociera do ciebie, że dzisiaj też były to tylko farfocle ze slipów? Kurwa, Zach... serio, jedna rzecz nie daje mi spokoju: gdy ty, Amat i Lifa spaliście ze sobą po raz pierwszy, jak zdecydowaliście, którego z was rozdziewiczycie pierwszego?

Juniorzy kierują się w stronę szkoły, za trzydzieści sekund nie będą już pamiętać tego zajścia, ale ich szyderczy śmiech jeszcze długo nie opuści chłopców. Amat widzi milczącą nienawiść w oczach Zachariasza, gdy pomaga mu wstać. Coraz większą każdego dnia. Boi się, że kiedyś ona eksploduje, w taki lub inny sposób.

Zarówno małe, jak i duże rzeczy mogą sprawić, że chce się należeć do drużyny. Gdy Kevin był w podstawówce, pojechał z ojcem na jarmark świąteczny do Hed. Ojciec miał jakieś spotkanie, więc chłopiec kręcił się po okolicy, oglądając krasnale i sprzedawców na targu. Zgubił się i przyszedł do auta spóźniony o pięć minut. Jego ojca już nie było. Kevin musiał wracać sam po ciemku. Zasypane śnieżne na poboczu sięgały mu do ud, dojście do domu zajęło pół nocy. Wyczerpany i przemoczony wszedł do cichego korytarza. Rodzice już spali. Ojciec chciał go w ten sposób nauczyć, jak ważna jest punktualność.

Pół roku później drużyna hokejowa grała pucharowy mecz na wyjeździe, chłopcy nie widzieli wcześniej większego lodowiska, po spotkaniu, w drodze do autokaru, Kevin się zgubił. Trzej starsi bracia zawodników z drużyny przeciwnej, których kilka godzin wcześniej poniżył, znaleźli go, wciągnęli do toalety i pobili. Kevin nigdy nie zapomni ich zdziwionego wzroku, gdy nagle znikąd pojawił się kolejny dzieciak z podstawówki i rzucił na nich trzech z pięściami i kopniakami. Zarówno Benji, jak i Kevin byli cali we krwi i siniakach, gdy czterdzieści pięć minut później pojawili się przy autokarze. David stał tam i czekał na nich. Kazał całej drużynie jechać do domu, a sam postanowił wrócić pociągiem, gdy tylko chłopcy się pojawią. Ale wszyscy zawodnicy odmówili jazdy autokarem. Byli jeszcze za mali, aby nauczyć się tabliczki mnożenia, ale wiedzieli, że drużyna jest niczym, jeśli nie można na siebie liczyć. To zarówno mała, jak i duża rzecz. Wiedzieć, że są tacy, którzy nigdy cię nie zostawią.

Kevin i Benji wchodzą do szkoły we dwóch, przemieszczają się korytarzem niczym magnes, Bobo i reszta juniorów zbierają się natychmiast wokół nich, po dziesięciu krokach jest ich już dwunastu. Kevina i Benjiego to nie dziwi, tak jest przez całe ich życie. Trudno stwierdzić, co przykuwa uwagę Kevina, bo dzień przed meczem nic na świecie nie jest w stanie tego zrobić, ale gdy chłopak mija rząd szafek, jego wzrok zatrzymuje się na niej. Potyka się o Benjiego, ten klnie głośno, ale Kevin tego nie słyszy.

Maya wkłada torebkę do szafki, obraca się i gdy wzrok Kevina wyłapuje jej spojrzenie, zamyka drzwiczki tak mocno, że przytrząskuje sobie dłoń. To trwa może sekundę, po czym korytarz wypełnia się ludźmi, Kevin znika w tłumie. Ale przyjaciele, których się ma, będąc piętnastolatką, oczywiście tego nie przegapiają.

– Aaaaa... czyli nagle zaczął interesować cię hokej? – nabija się Ana.

Zawstydzona Maya pociera przytrzaśniętą dłoń.

– Zamknij dziób. Cholera... – Po czym wybucha krótkim śmiechem. – To, że nie przepadam za masłem orzechowym, nie musi oznaczać, że nie lubię... orzechów.

Ana śmieje się tak bardzo, że opluwa koktajlem całą szafkę.

– *Okay, fine!* Ale jak już będziesz rozmawiać z Kevinem, to chyba możesz mnie też przedstawić Benjiemu. On jest... hm... mogłabym go zjeść. Jak... masło.

Maya marszczy czoło zdegustowana, zamyka szafkę i idzie. Ana wyrzuca za nią ręce do góry.

– No co? TY możesz mówić takie rzeczy, ale ja to już nie?

– Wiecie, że on sam nie wymyśla tych dowcipów, nie? Nie jest aż taki mądry. Zrzyna je z Internetu – mruczy upokorzony Zachariasz, otrzepując śnieg z ubrania.

Lifa podnosi jego czapkę i ją wyciera. Amat wyciąga rękę, próbując uspokoić przyjaciela.

– Wiem, że nienawidzisz Bobo, ale za rok to my będziemy juniorami... Wtedy będzie już lepiej.

Zachariasz nie odpowiada. Spojrzenie Lify oscyluje między złością a bezradnością. Przestał grać w hokeja, gdy byli jeszcze mali. Zawsze tylko słyszał od starszych zawodników, że musi „znosić żarty” w szatni. To bardzo celna argumentacja, bo gdy Lifa skończył z hokejem, wszyscy mogli zrzucić winę właśnie na to: „Trzeba umieć znosić żarty w hokeju”. Gdyby rodzice Zachariasza nie kochali tak bardzo tego sportu, to zrezygnowałby z treningów dawno temu, a gdyby Amat nie był taki dobry, też pewnie nie dałby rady.

– Będzie lepiej, jak zostaniemy juniorami! – powtarza Amat.

Zachariasz nic nie odpowiada. Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie ma dla niego miejsca w drużynie juniorów, to jego ostatni rok gry w hokeja. Tylko Amat wydaje się jeszcze nie rozumieć, że wkrótce zostawi swojego najlepszego przyjaciela w tyle.

Ale cisza nie ma dla Amata znaczenia; otwiera drzwi i skręca za róg korytarza, tak czy siak słyszy tylko głucho dudnienie w uszach. Przy niej ma klapki na oczach.

– Cześć, Mayu – wypala trochę za głośno.

Dziewczyna odwraca się szybko, zauważa jego istnienie i to wszystko. Gdy ma się piętnaście lat, jedno spojrzenie nie może sprawić jeszcze więcej bólu.

– Cześć, Amat – odpowiada obojętnie i znika, zanim zdąży wypowiedzieć jego imię do końca.

Chłopak tkwi w miejscu, usiłując uniknąć spojrzeń kolegów, bo wie, że nie będą w stanie powstrzymać się od śmiechu.

– Czeeeeeeeeść, Maaaaaaaayu... – przedrzeźnia go Zachariasz, a Lifa wybucha takim śmiechem, że aż smarki lądują mu na koszulce.

– *Fuck off*, Zach – mruczy Amat.

– Sorry, sorry, ale to ciągnie się już od podstawówki i byłem dla ciebie miły przez ostatnie OSIEM lat, odkąd jesteś w niej zakochany, więc teraz w sumie mam ochotę się z ciebie trochę ponabijać – śmieje się Zachariasz.

Amat idzie w kierunku swojej szafki, serce ciąży mu niczym ołów. Kocha tę dziewczynę bardziej niż hokej.

8

To tylko gra. Rozstrzyga tylko małe, nic nieznaczące, prawie niewidzialne rzeczy. Jak to, kto doczeka się uznania. Kogo usłyszą. To coś prawie niewidocznego, łatwo to wyśmiać i nazwać „nieporozumieniem” i „przesadą”. Niektórych czyni gwiazdami, innych widzami. Rozdziela władzę i wyznacza granice.

Tylko to.

David wchodzi do hali lodowiska i idzie od razu do swojego gabinetu, najmniejszego, na końcu korytarza. Zamyka za sobą drzwi i włącza komputer, studiuje nagrania prezentujące grę jutrzejszych przeciwników. To wyśmienita drużyna, przerażająca maszyna, tylko Kevin może się równać z którymkolwiek z ich graczy. Zaangażowanie zespołu musi być na najwyższym poziomie, żeby w ogóle można było mówić o szansie, ale David wie, że ją ma, wie, że każdy jego zawodnik oddałby na lodzie życie, jeśli okazałoby się to niezbędne. Nie to przyprawia go o mdłości. Ale to, czego nie ma. Szybkość.

Pierwsza linia ataku juniorów od lat składa się z Kevina, Benjiego i trzeciego zawodnika, Williama Lyta. Kevin to geniusz, Benji wojownik. A William jest powolny. Jest też duży, silny i świetnie podaje, więc Davidowi udawało się do tej pory wynajdywać techniczne rozwiązania, które mogły zatuszować jego braki w meczu przeciwko słabszej drużynie, ale jutrzejsi przeciwnicy są na tyle dobrzy, że mogą zablokować Kevina, jeśli nie znajdzie się nikt dostatecznie szybki, by stworzyć czyste pozycje. David masuje skronie. Widzi swoje odbicie w ekranie komputera, rude zmierzwiłone włosy i zmęczone oczy. Podnosi się i idzie do toalety. Znów wymiotuje.

W większym gabinecie dwa pomieszczenia dalej Sune siedzi przy swoim komputerze. Ogląda to samo nagranie co David. Wciąż od nowa. Dawniej obydwaj widzieli na lodzie te same rzeczy, mieli o wszystkim takie samo zdanie. Lata

mijały, David zrobił się starszy i wzrosły jego ambicje, Sune się zestarzał i stał się uparty. Teraz doszukują się wszędzie konfliktów. Gdy David obstaje przy tym, że bójki na lodzie powinny być dozwolone, bo „niesie to za sobą mniej kontuzji, jeśli chłopcy będą wiedzieć, że dostaną łomot za nieczystą grę”, Sune odpowiada, że to tak, jakby „wierzyć, że jeśli zlikwiduje się ubezpieczenia samochodowe, to zmniejszy się liczba wypadków, bo ludzie będą się bardziej bali, że uszkodzą sobie pojazd”. Gdy David chce, żeby juniorzy „bardziej napierali”, Sune zaczyna mówić o przewadze „jakości nad ilością”. David mówi „w górę”, Sune krzyczy „w dół”. Gdy inny związek sportowy zaproponował ostatnio, by w drużynie dziecięcej zrezygnować z liczenia bramek i punktów i do dwunastego roku życia zawodników nie prowadzić tabeli, Sune podsumował ten pomysł jako „sensowny”, David natomiast określił go mianem „komunizmu”. David uważa, że Sune powinien pozwolić mu wykonywać swoją pracę, Sune natomiast sądzi, że David nie rozumie, co JEST jego pracą. To dwóch mężczyzn w okopach tak głębokich, że już się nie widzą.

Sune się odchyła, pociera dłońmi oczy i słyszy, jak krzesło trzeszczy pod jego ciężarem, gdy wzdycha. Chciałby wyjaśnić Davidowi, jak samotny może być czasem trener pierwszego zespołu, jak przytłaczająco ciężka jest to odpowiedzialność. Jak bardzo trzeba być przygotowanym na patrzenie całościowo, dostosowywanie się i zmiany. Ale David jest młody, trudny i nie chce słuchać i zrozumieć.

Sune zamyka oczy i klnie pod nosem. Bo on niby jaki jest? Taki sam? Jedną z najtrudniejszych rzeczy w starzeniu jest przyznanie się do błędów, których nie można już naprawić. Najstraszniejszy w posiadaniu władzy nad życiem innych ludzi jest fakt, że czasem można się pomylić.

Sune zawsze sprzeciwiał się przenoszeniu młodszych zawodników do starszych grup wiekowych, całe życie utrzymywał, że najlepiej rozwijają się z rówieśnikami i że zbyt wczesne szanse dławią talent. Ale teraz, oglądając samotnie w swoim gabinecie filmy z poprzednich meczów, musi przyznać to samo co David, coś, czego prawie nikt inny nie rozumie: bez prędkości drużyna juniorów jutro przegra.

Nawet Sune musi więc zadać sobie dziś pytanie: co są warte zasady, jeśli się nie wygrywa?

Björnstad jest tak małe, że prawie wszyscy się tu znają, a jednocześnie tak duże, że jednak można zniknąć w tłumie ludzi, na których nikt nie zwraca uwagi. Robban Holts ma trochę ponad czterdzieści lat i brodę, która zaczyna siwieć; drapie się po niej, po czym okrywa szczelniej szyję kołnierzem wojskowej kurtki. Gdy o tej porze roku znad jeziora wieje wiatr, wydaje się, jakby jakieś duchy rozszarpywały mu twarz. Przechodzi na drugą stronę ulicy, udaje, że ma jakieś ważne sprawy do załatwienia, wmawia sobie, że nikt się nie kapnie, że po prostu czeka, aż otworzy się Futro.

Z miejsca, w którym stoi, widzi dach hali lodowiska. Odkąd drużyna wygrała w ćwierćfinale, Robban, podobnie jak pozostali, od rana do nocy rozmawiał wyłącznie o jutrzejszym meczu juniorów. Ale teraz, od kiedy jego i jeszcze dziewięciu facetów zwolniono z fabryki, nie ma już za wielu do rozmowy. Może i wcześniej nikt zbytnio nie przejmował się jego historiami, ale dotarło to do niego dopiero teraz.

Spogląda na zegarek. Jeszcze godzina do otwarcia Futra. Udaje, że nic sobie z tego nie robi. Wchodząc do spożywczego, trzyma ręce w kieszeniach, żeby nikt nie widział, jak się trzęsą. Zapełnia koszyk produktami, których nie potrzebuje i na które go nie stać, jako ostatnie bierze piwo, tak żeby wyglądało to na spontaniczny zakup. „A to? Parę piwek w domu może się przydać”. W niewielkim sklepie żelaznym pyta, czy może skorzystać z toalety. Wypija piwa duszkiem. Wychodzi, rozmawia chwilę ze sprzedawcą i kupuje kilka nietypowych śrubek, potrzebnych – jak szeroko objaśnia – do mebla, który nie istnieje. Wychodzi z powrotem na ulicę, znów patrzy na dach lodowiska. Kiedyś to on, Robban Holts, był tam królem. Kiedyś był większym talentem niż Kevin Erdahl. Kiedyś był lepszy niż sam Peter Andersson.

Peter zawraca na parkingu i wyjeżdża na drogę, bębniąc palcami o kierownicę. Teraz, gdy dzieci już nie ma, znów czuje puls. To tylko mecz juniorów. Tylko mecz. Mecz. Powtarza to sobie jak mantrę, ale zżerają go nerwy. Płuca zdają się wciągać powietrze przez oczodoły. Hokej to prosty sport: ma się szansę, gdy chęć zwycięstwa jest większa niż strach przed porażką. Ten, kto się boi, nie wygra.

Ma nadzieję, że juniorzy są zbyt młodzi, by się bać przed jutrzejszym meczem, zbyt naiwni, by zrozumieć, o co toczy się gra. Dla hokejowej publiczności niuanse nie istnieją, jest tylko niebo albo piekło. Z poziomu trybuny jest się albo

geniuszem, albo zerem, nigdy kimś pomiędzy, nie ma wątpliwości co do spalonych, atak jest albo całkowicie czysty, albo zasługuje na dożywotnią dyskwalifikację. Gdy Peter miał dwadzieścia lat i jako kapitan drużyny wrócił do Björnstad po prawie wygranym finale w najwyższej lidze krajowej, usłyszał w kuchni głos ojca: „Prawie? Nie da się, kurwa, prawie wsiąść do łodzi. Albo jesteś w łodzi, albo w wodzie. A jeśli wszystkie inne dupki również siedzą w wodzie, to nikogo już, kurwa, nie interesuje, że wpadłeś do niej ostatni”.

Kiedy Peter dostał kontrakt z NHL i był w trakcie przeprowadzki do Kanady, usłyszał od niego, że nie powinien „myśleć, że jest kimś”. Możliwe, że ojciec chciał być bardziej delikatny, niż to zabrzmiało, że jego celem było wyjaśnienie synowi, że pokora i ciężka praca zaprowadzą go tak samo daleko. Możliwe, że alkohol wyostrzył słowa. Możliwe, że Peter nie chciał zatrzaskać za sobą drzwi z całej siły. To nie ma już teraz znaczenia. Młody mężczyzna opuścił Björnstad bez słowa, a gdy potem wrócił do domu, było już na nie za późno. Nie da się spojrzeć grobom w oczy i prosić o wybaczenie.

Peter pamięta, jak włóczył się wszystkimi małymi uliczkami, na których dorastał, i jak zaczął dostrzegać, że ludzie, których znał całe życie, patrzą na niego inaczej. Pamięta, jak nagle przerywali rozmowy, gdy wchodził do pokoju; na początku wciąż spoglądał przerażony na zegarek, myśląc, że się spóźnił. Ulżyło mu, gdy to się skończyło, gdy przestali patrzeć na niego jak na gwiazdę i zaczęli widzieć w nim dyrektora sportowego. A potem klub spadał w kolejnych sezonach i gdy ludzie mówili mu, co naprawdę myślą, odkrył, że jakaś część niego chciałaby, żeby znów widzieli w nim gwiazdę. Dla hokejowej publiczności niuanse nie istnieją.

A więc dlaczego dalej to robi? Bo nigdy nie rozważał nawet innej możliwości. Wielu ludzi ledwie może sobie przypomnieć, dlaczego pokochali ten sport, ale dla Petera to zawsze było proste. Jego największą miłością, od kiedy pierwszy raz założył łyżwy, była cisza. Wszystko poza lodowiskiem, zimno i mrok, i to, że mama była chora, i że ojciec znów przyjdzie pijany... wszystko to ucichło w jego głowie, gdy stanął na lodzie. Miał wtedy cztery lata, ale hokej od razu mu uświadomił, że będzie od niego wymagał całkowitej uwagi. Za to Peter go pokochał. Za to nadal go kocha.

Mężczyzna w wieku Petera, ale z wyglądu starszy o piętnaście lat, widzi go przejeżdżającego autem przez miasto. Otula się wojskową kurtką i drapie po brodzie. Gdy byli siedemnastolatkami, tylko jeden człowiek w całym Björnstad uważał, że Peter ma większy talent hokejowy niż Robban. „Talent przypomina wypuszczenie dwóch balonów pod niebo: interesujące nie jest to, który wzbije się szybciej, ale który ma dłuższy sznurek” – zwykł mówić ten stary piernik Sune. No i oczywiście miał rację. Zarząd i sponsorzy zmusili go, aby przeniósł Robbana do pierwszego zespołu, mimo że trener upierał się, że chłopak nie jest na to psychicznie gotowy. W bójce na lodzie doznał obrażeń i się wystraszył, przez resztę sezonu wolał wybijać krążek w bandę, niż ryzykować czołowe starcie. Za pierwszym razem, gdy publiczność go wygwizdała, wrócił do domu i się rozpłakał. Za drugim razem wrócił do domu i zaczął pić.

Kiedy skończył osiemnaście lat, był gorszy, niż gdy miał siedemnaście, a w tym samym czasie Peter stał się lepszy niż ktokolwiek w tym mieście. Kiedy Peter dostał szansę gry w pierwszym zespole, był na to gotowy. Robban wahał się za każdym razem, gdy wychodził na lód, Petera nie dało się przestraszyć. Wyjechał na kontrakt z NHL w tym samym roku, w którym Robban zaczął pracować w fabryce. W hokeju nie istnieje żadne „prawie”. Jeden zawodnik spełnił marzenia, drugi przestępuje w śniegu z nogi na nogę, aż drzwi do pubu w końcu się otworzą. To pół piętra niżej, pięć schodów. Z dołu nie widać już dachu hali lodowiska.

Sune słyszy, jak David wychodzi ze swojego gabinetu. Czeka, aż drzwi do toalety otworzą się i zamkną, po czym na żółtej karteczce zapisuje trzy słowa i się podnosi. Wchodzi do gabinetu Davida i przykleja ją na ekranie komputera. Nie jest religijny, ale dziś modli się do wszystkich wyższych sił, które zna, żeby nie był to błąd. Żeby te trzy słowa nie zniszczyły jeszcze jednego chłopięcego życia.

Przez sekundę rozważa, czy nie zostać i nie zaczekać na Davida, nie spojrzeć mu w oczy i nie powiedzieć prawdy: „Mam nadzieję, że nigdy nie przestaniesz się buntować i wysyłać nas do diabła. To sprawia, że jesteś najlepszy”.

Zamiast tego wraca do swojego gabinetu, zamyka drzwi. Sport formuje skomplikowanych mężczyzn, zbyt dumnych, by przyznać się do błędu, ale wystarczająco pokornych, by zawsze stawiać klub na pierwszym miejscu.

Po powrocie z toalety David widzi trzy słowa na żółtej kartce: „Amat. Młodzicy. Szybki!!!”.

To tylko gra. Ale może odmienić czyjeś życie.

9

Wszyscy dorośli mają takie dni, kiedy czują, że to już koniec. Kiedy nie wiedzą już, o co tak cały czas usilnie walczą, kiedy rzeczywistość i codzienność przytłacza i nie wiadomo, jak długo da się jeszcze radę. Fantastyczne jest to, że wszyscy mogą przetrwać bez załamывania się dłużej, niż im się wydaje. Przeróżające, że nigdy nie wiadomo, jak długo.

Gdy rodzina już śpi, Mira nadal kręci się po domu i wszystkich liczy. Jej mama tak właśnie robiła ze swoimi dziećmi, Mirą i jej piątką rodzeństwa – zliczała ich każdej nocy. Mama zwykła powtarzać, że nie rozumie, jak można mieć dzieci i tego nie robić, jak można żyć, nie bojąc się przez cały czas, że się je straci. „Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć”, Mira słyszała mamę, szepczącą po domu, a każde dziecko leżało ze spokojnie zamkniętymi oczami i czuło się widziane i doceniane. To jedno z jej najpiękniejszych wspomnień z dzieciństwa.

Wyjeżdża z małego Björnstad do większego miasta za lasem. Dojazd do pracy zajmuje jej więcej czasu, niż zniósłby przeciętny człowiek, ale i tak mija zaskakująco szybko, biorąc pod uwagę wrażenie, że gdy wysiada się z samochodu, ląduje się w innym świecie. Mimo że miasto, w którym pracuje, jest o niebo mniejsze niż stolica, gdzie się urodziła, to całkowicie inny świat niż ten wśród drzew. Większy. Z inspirującymi współpracownikami, gotowymi podyskutować o literaturze, sztuce i polityce, z przeciwnikami, których można ścigać i zwalczać.

To dziwne, słyszy często, że ona, nierozumiejąca hokeja, postanowiła wyjść za hokeistę. Ale to nie do końca prawda, ona nie rozumie tylko treningów. Mecze są dla niej całkowicie logiczne. Adrenalina, głód balansujący na granicy strachu, rzucanie się w przepaść i unoszenie w niej lub zapadanie – to rozumie. To samo czuje na sali sądowej i podczas mediacji, prawo to po prostu inny rodzaj gry, z innymi zasadami, ale albo się jest graczem, albo nie. Jak to się mówi w Björnstad: „Niektórzy mają w sobie niedźwiedzia”.

Może właśnie dlatego Mira, która do dziewiętnastego roku życia nie mieszkała nigdy w mieście mniejszym niż milionowe, mimo wszystko potrafiła stworzyć dom wśród ludzi lasu. Rozumie ich miłość do walki, dzieli ją z nimi. Wie, że śmieszną rzeczą w walce o swój sukces – a Bóg jej świadkiem, że Mira musiała się przebijać przez studia prawnicze wśród bogatych dzieciaków, które nigdy nie musiały zmywać wieczorami w rodzinnej restauracji – jest to, że nigdy tak do końca nie przestaje się walczyć. Nigdy nie przestaje się bać upadku ze szczytu, bo zamykając oczy, nadal czuje się zakwasy i ból, przy każdym kroku w górę.

Petera boli brzuch już wtedy, gdy wchodzi do gabinetu dyrektora klubu. W środku panuje bałagan, stare zdjęcia i puchary jedne na drugich, kilka drogich butelek z alkoholem na stoliku w kącie, kije golfowe i na wpół otwarta szafa z dodatkowym garniturem i czystymi koszulami. Będą potrzebne, bo dyrektor siedzi przy biurku z kanapką i wygląda jak owczarek, który usiłuje zjeść balon wypełniony majonezem. Peter stara się powstrzymać od wytarcia serwetkami zarówno biurka, jak i dyrektora, udaje mu się przynajmniej z dyrektorem.

– Możesz zamknąć drzwi? – pyta dyrektor między jednym a drugim kęsem.

Peter bierze głęboki wdech, czuje ucisk w jelitach. Wie, że wszyscy w tym mieście uważają go za naiwniaka, który nie zdaje sobie sprawy, do czego to wszystko zmierza. Ale on po prostu ma jeszcze nadzieję. Zamyka drzwi i w tym samym momencie nadzieja się kończy.

– Oddamy Davidowi pierwszy zespół – mówi dyrektor jak na filmie instruktażowym przedstawiającym dyplomatyczne porażki.

Peter, przybity, kiwa głową. Dyrektor strzepuje okruszki chleba z krawatu.

– Wszyscy wiedzą, jak blisko ty i Sune jesteście... – wyrywa mu się niczym przeprosiny.

Peter nie odpowiada. Dyrektor wyciera koniuszki palców w spodnie.

– Nie stój tak, do cholery, wyglądasz, jakbym sprzedał twojego szczeniaka do chińskiej restauracji. Musimy przede wszystkim myśleć o dobru klubu!

Peter wbija wzrok w podłogę. Jest graczem zespołowym, tak widzi siebie samego. Podstawa takiego myślenia to zawsze zrozumienie swojej własnej roli i jej ograniczeń. Dziś będzie to sobie musiał powtarzać wiele razy, zmuszać mózg do

kierowania sercem. To Sune przekonał go, by został dyrektorem sportowym, to drzwi u Sunego stały zawsze otworem, gdy robiło się ciężko.

– Z całym szacunkiem: wiecie, że nie zgadzam się z tą decyzją. Nie wydaje mi się, żeby David był gotowy – mówi cicho.

Nie patrzy dyrektorowi w oczy, jego wzrok błądzi po ścianach, jakby czegoś szukał, mimo że tak naprawdę unika kontaktu wzrokowego w nieprzyjemnych sytuacjach. Mira mówi, że Peter „strzela do niewidzialnych rzutek”, kiedy tylko zdarza mu się najmniejszy konflikt. Gdy w spożywczym źle wydadzą mu resztę, nie jest nawet w stanie zareagować bez pocenia się jak szczur i chęci ułożenia w pozycji embrionalnej. Za dyrektorem wiszą stare zdjęcia i proporczyki, na jednym z nich, postarzałym i wyblakłym, jest napisane: „Kultura, wartości, wspólnota”. Peter chciałby zapytać dyrektora, co myśli o zwolnieniu człowieka, który to wszystko zbudował. Ale się nie odzywa. Dyrektor wymachuje rękami.

– Zdajemy sobie sprawę, że taktyka Davida jest ostra, ale przynosi wyniki. A sponsorzy sporo zainwestowali... Do diabła, Peter, wybawili nas od plajty. Teraz przez parę lat mamy szansę zbudować coś wielkiego, z własnymi produktami z drużyny juniorów.

Peter po raz pierwszy patrzy mu w oczy i sfrustrowany cedzi słowa przez zęby:

– Naszym celem nie są „produkty”. Nie sprzedajemy gwoździ. Wychowujemy ludzi. Chłopcy to mięso i krew, nie plany biznesowe i docelowe stopy zwrotu, praca z młodzieżą w klubie to nie fabryka, jak niektórzy sponsorzy chcieliby to widzieć.

Gryzie się w język, powstrzymuje przed wypowiedzeniem ostatnich słów. Dyrektor drapie się po zaroście. Obydwaj wyglądają na zmęczonych. Peter znów wbija wzrok w podłogę.

– Sune uważa, że David za mocno ciśnie juniorów. Boję się, co się może stać, jeśli ma rację – przebąkuje.

Dyrektor się uśmiecha. Wzrusza ramionami.

– Wiesz, co się staje z węglem poddanym ekstremalnemu ciśnieniu? Zamienia się w diament.

Rodzina Anderssonów nigdy nie gra w monopol, nie z powodu rodziców, odmawiają dzieci. Ostatnim razem skończyło się tym, że Mira stała z planszą

wciśniętą do połowy do kominka, grożąc, że ją spali, jeśli Peter się nie przyzna, że oszukiwał. Mama i tata są tak nastawieni na wygraną, że Maya i Leo z czystej przekory odmawiają rywalizacji. Leo uwielbia hokej, bo kręci go bycie w drużynie, ale pewnie byłby tak samo szczęśliwy jako chłopak od sprzętu co środkowy. Maya wybrała gitarę. Nie można w niej rywalizować, chociaż jej mama naprawdę, naprawdę próbowała dowiedzieć się, czy mimo wszystko może jednak się da. Ostatnie sportowe wspomnienie Mai wygląda następująco: mając sześć lat, wypadła z gry w ping-ponga bieganego wokół stołu, bo potrąciła ją inna dziewczynka, tak że Maya się wywróciła. Opiekun grupy, który miał rozdawać medale, zamknął się wtedy w schowku gospodarczym, żeby Mira go nie znalazła. Córka musiała pocieszać matkę całą drogą do domu. Następnego dnia oznajmiła, że chce grać na jakimś instrumencie.

Nigdy wcześniej Mira nie była tak dumna i zarazem zazdrosna, niż kiedy zobaczyła, jak córka po raz pierwszy podłącza wzmacniacz i razem ze swoim tatą na perkusji zaczyna grać Davida Bowiego. Nienawidziła i kochała Petera za to, że miał tyle poczucia rytmu, by się tego nauczyć. I że mógł być tak blisko zakochanej w sztuce Mai.

Peterowi wydaje się, że klatka piersiowa za bardzo mu ciąży, by mógł podnieść się z krzesła. Dyrektor kontynuuje zaufanym tonem:

– Zarząd chce, żebyś to ty poinformował o wszystkim Sunego, a później wziął na siebie wywiady w mediach. To ważne, byśmy pokazali, że to jednogłośnie decyzja.

Peter pociera palcami brwi.

– Kiedy?

– Zaraz po finałach juniorów.

Zdziwiony Peter podnosi wzrok.

– Masz na myśli półfinały? Jutro?

Dyrektor kręci spokojnie głową.

– Jeśli przegramy półfinały, to David nie dostanie roboty. Wtedy zarząd będzie chciał wybrać kogoś innego. W tym wypadku potrzebujemy jeszcze kilku tygodni.

Świat Petera zaczyna trząść się w posadach.

– Jaja sobie robisz? Zastanawiacie się nad wywaleniem Sunego i przyjęciem kogoś Z ZEWNĄTRZ?

Dyrektor kręci głową, otwiera małą paczkę chipsów, zjada pełną garść i strzepuje sól z marynarki.

– Peter, na Boga, nie bądź naiwny! Jeśli juniorzy wygrają finały, zdobędziemy niewyobrażalną uwagę, sponsorzy, zarząd, gmina, wszyscy będą chcieli na tym skorzystać! Ale zarządu nie interesuje drugie miejsce... Spójrz na nas, spójrz na klub... – Dyrektor gestykuje trochę zbyt energicznie, próbując przebić się przez deszcz okruszków z chipsów. – Nie bądź hipokrytą, Peter! Nie poświęcasz się klubowi dla drugiego miejsca, nie dlatego zostałeś dyrektorem sportowym. Nikogo nie obchodzi, jak mocno walczyli, liczy się tylko wynik. David nie ma doświadczenia w pracy z pierwszym zespołem, możemy na to przymknąć oko, jeśli wygra. Ale jeśli przegra... Jezu... Znasz przecież reguły gry: albo się wygrywa, albo jest się jak wszyscy inni.

Dyrektor klubu i dyrektor sportowy długo na siebie patrzą. Nic więcej nie mówią, bo przecież wszystko jest wiadome. Petera też można zastąpić, jeśli nie będzie postępował według wytycznych zarządu i sponsorów. Klub na pierwszym miejscu. Zawsze.

Wszyscy członkowie rodziny są diametralnie różni i nawet gdy Mira nie przypomina, że jej mąż PRZYZNAŁ, że oszukiwał, to nadal myśli od czasu do czasu o tym monopolu i... jest jej wstyd. Odkąd urodziły się dzieci, nie ma sekundy, żeby nie czuła się złą mamą, we wszystkim. Bo nie rozumie, nie ma cierpliwości, nie wie dokładnie wszystkiego, nie robi lepszych kanapek do szkoły i nadal chce od życia więcej, niż być tylko mamą. Słyszy, jak inne kobiety w mieście wzdychają za jej plecami: „No tak, ale ona przecież pracuje na cały etat, masz pojęcie?”. Nieważne, jak bardzo próbowałyby się pozwolić takim słowom spłynąć po człowieku, to jednak niektóre z nich zostają w pamięci.

Praca jest dla niej wybawieniem, wstydzi się to przyznać przed samą sobą, ale zdaje sobie sprawę, że jest dobra w tym, co robi, i nigdy nie czuje się taka jako rodzic. Nawet w najlepsze dni, podczas tych migotliwych chwil, gdy są na wakacjach i Peter z dziećmi kłóć się na plaży, a potem śmieją się i wyglądają na szczęśliwych, Mira czuje się sztucznie. Jakby na to nie zasługiwała, jakby pokazywała światu perfekcyjnie wyretuszowane zdjęcie rodzinne.

Praca może i jest wymagająca i ciężka, ale również zrozumiała i logiczna. W przeciwieństwie do rodzicielstwa. Kiedy stara się w pracy, to najczęściej

wszystko idzie zgodnie z planem, w domu natomiast nie ma znaczenia, jak bardzo stara się jako mama – nadal mogą wydarzyć się najstraszniejsze rzeczy.

Gdy Peter zaczął pracować jako dyrektor sportowy, najtrudniej było mu przyzwyczać się, że wszyscy ciągle są z niego niezadowoleni. To trudne do zaakceptowania, jeśli chce się żyć w zgodzie z każdym. To Sune wyjaśnił mu, że nie ma się czego bać, bo jego umiejętność szukania kompromisów daleko go zaprowadzi i pozwoli podejmować decyzje głową, a nie sercem.

Mówiąc to, Sune nie przewidział pewnie swojego zwolnienia. Może się zestarzał i zmienił zdanie. Może to sam Peter się zmienił. Nie wiadomo. Wyszedł z gabinetu dyrektora, zamknął za sobą drzwi i oparł się czołem o ścianę na korytarzu. Zna zasady, wszyscy je znają: albo jest się tym klubem, albo jest się jak wszyscy inni.

Ale zasady nie ułatwiają podjęcia tej decyzji. Czuje, że wszystkich zawodzi. Zawsze.

W rogu biurka w gabinecie Miry stoją coraz gęściej ustawione rodzinne fotografie. Jedna z nich przedstawia ją i Petera zaraz po podpisaniu kontraktu z NHL, w dniu, w którym przeprowadzili się do Kanady. Mira zwraca na nie uwagę, gdy wkłada aktówkę pod biurko; widzi swoje własne zmęczone odbicie w szklanej ramce i zaczyna się śmiać. Boże drogi, jacy byli wtedy młodzi. Ona dopiero co po studiach prawniczych i w ciąży, Peter – wschodząca gwiazda hokeja. Przez kilka magicznych tygodni wszystko było takie proste. Odbicie w ramce przestaje się śmiać, gdy tylko Mira przypomina sobie, jak szybko uśmiechy za zdjęcia zniknęły im z twarzy.

Peter złamał nogę na przedsezonowym zgrupowaniu; żeby wrócić do drużyny, musiał wykazać się na niższym poziomie rozgrywkowym, w drużynie farmerskiej, a gdy w końcu pozwolono mu grać, znowu złamał stopę. Po czterech meczach w NHL. Kolejny powrót zajął mu dwa lata. Po sześciu minutach w piątym meczu upadł na lód i już się nie podniósł. Mira krzyczała z bezsilności. Cały okres dorastania przyrzekała sobie, że nigdy nie poświęci siebie dla żadnego mężczyzny, ale teraz rzuciła wszystko i przeszła z nim dziewięć operacji, niezliczoną liczbę godzin rehabilitacyjnych, u fizjoterapeutów i specjalistów. Cały ten talent, wylany pot, aż koniec końców w mężczyźnie z sercem, które chciało wiele więcej, niż zdołało podolać ciało, pozostały tylko łzy i gorz. Mira pamięta, jak lekarz

poinformował ją, że Peter nigdy już nie będzie mógł grać w najwyższej lidze – nikt nie miał odwagi powiedzieć mu tego wprost.

Mieli wtedy małego synka i córkę w drodze. Mira już postanowiła, że dziewczynka będzie nazywać się Maya. Przez wiele miesięcy ich tata siedział w domu, w ogóle w nim nie będąc. Byli hokeiści nie istnieją, nie potrafią być jak inni ludzie. To jakby próbować przywrócić do codziennego życia żołnierzy wracających do domu; błędzą po omacku, bez sensu i celu, nie mając o co walczyć i konkurować. Całe życie Petera – posiłki i godziny treningów, a nawet czas na sen – określały rutyna, kalendarz, autobusy i szatnie. Jedno z najstraszniejszych słów dla hokeisty to „dzień powszedni”.

Były dni, gdy Mira chciała się poddać i rozwieść. Ale wtedy przypominała sobie jedno z tych nedorzecznych mott w pokoju dziecięcym męża: „Robię krok w tył tylko po to, by nabrać rozpędu”.

Peter stoi sam w korytarzu. Drzwi do gabinetu Sunego są zamknięte. Chyba pierwszy raz od dwudziestu lat nie stoją otworem. Peter czuje ulgę, że nie musi teraz nikomu patrzeć w oczy. Myśli o słowach na ścianie w gabinecie dyrektora: „Kultura, wartości, wspólnota”. W głowie kołacze mu się tylko to, co usłyszał od Sunego podczas przedsezonowego treningu całe wieki temu: „Kultura to nie tylko to, co wspieramy, ale również to, na co pozwalamy”. Dla trenera Sunego zasada ta obowiązywała, gdy biegali w lesie aż do porzygania, ale dla człowieka Sunego rozciągała się na całe życie.

Peter nalewa sobie kawę, mimo że smakuje ona, jakby coś zdechło na dnie kubka. Zatrzymuje się przed ścianą na korytarzu. Wisi tam zdjęcie drużyny ze srebrnego sezonu, najważniejsza pamiątka klubu. Tę samą fotografię można też znaleźć w innych miejscach w budynku. Robban Holts stoi na niej w środkowym rzędzie obok Petera. Odkąd Peter wrócił do Björnstad, nie mieli nawet okazji porozmawiać, ale każdego dnia dyrektor sportowy zastanawia się, jak by to było, gdyby zamienili się miejscami. Gdyby Robban był bardziej utalentowany i to on poleciał do Kanady, a Peter został i pracował w fabryce. Czy wszystko wyglądałoby wtedy inaczej?

Mira wyciągnęła go z łóżka pewnego poranka, jeszcze zanim dzieci się obudziły. Zmusiła go, by usiadł przy ich łóżkach i patrzył, jak śpią. „To teraz twoja drużyna”

– szeptała raz za razem, aż łzy popłynęły mu z oczu prosto na jej policzki.

Tego roku zaczęli budować swoje nowe życie; zostali w Kanadzie i walczyli w każdym miejscu lodowiska, na jakie zesłał ich los. Mira zatrudniła się w biurze, Peter pracował na pół etatu jako sprzedawca ubezpieczeń. Zaczęło im wychodzić, odnaleźli się w sytuacji i właśnie gdy Mira zaczęła myśleć o przyszłości, nadeszły noce, gdy zrozumieli, że coś jest nie tak.

Całe dzieciństwo wmawia się chłopcom, że muszą tylko dawać z siebie wszystko. Że wystarczy, jeśli tylko w pełni się poświęcą. Peter przygląda się sobie na zdjęciu, jest na nim tak niewyobrażalnie młody. Spotkał Mirę tego samego dnia, gdy przegrali ostatni mecz w stolicy. To cud, że w ogóle udało im się dotrzeć tak daleko, ale Peterowi to nie wystarczyło. Dla niego to nie był tylko jeden mecz, ale szansa małej miejscowości, by pokazać dużemu miastu, że nie wszystko da się kupić. Gazety w stolicy drwiąco nazwały mecz „krzykiem z lasu”, a Peter wbił wzrok w swoich partnerów z drużyny i ryknął: „Może oni mają pieniądze, ale hokej jest nasz!”. Dali z siebie wszystko. Ale to nie wystarczyło.

Wieczorem drużyna poszła na miasto, żeby świętować srebro. Peter całą noc przesiedział sam w małej rodzinnej restauracji obok hotelu. Mira stała za barem. Peter rozplakał się przy niej, nie dlatego, że było mu żal siebie, ale dlatego, że nie mógł spojrzeć w oczy swojemu miastu. Bo zawiódł ich wszystkich. Po latach sam się uśmiecha, wspominając, że była to naprawdę dziwna pierwsza randka. Co Mira wtedy powiedziała? „Czy rozważałeś kiedyś, żeby nie uzalać się nad sobą przez cały czas?” Strasznie go rozbawiła, śmiał się z tego jeszcze przez wiele dni. Zakochał się w niej tamtego dnia i do dziś się to nie zmieniło.

Któregoś razu, długo później i po winie, gdy Mira była już rozbawiona, złapała go tak mocno za uszy, że myślał, że mu odpadną, a gdy błagalnie przybliżył twarz do jej twarzy, usłyszał: „Mój ty kochany idioto, wiesz, że to wtedy się w tobie zakochałam? Byłeś zagubionym chłopakiem z lasu, ale czułam, że jeśli właśnie wygrałeś srebro, a nadal płaczesz, bo boisz się, że zawiodłeś ludzi, których kochasz, to będziesz dobrym mężem. I ojcem. I że ochronisz swoje dzieci. I nigdy nie pozwolisz, żeby coś złego przydarzyło się twojej rodzinie”.

Mira pamięta każdy centymetr upadku w mrok. Największy strach wszystkich rodziców, budzenie się i nasłuchiwanie oddechu. Wiesz, że to głupie i niepotrzebne, ale przysłuchujesz się im co wieczór, gdy już śpią. „Kiedy się taki stałem?” – myślisz. Obiecujesz sobie, że odpuszczysz, przecież co się może wydarzyć. Ale kolejnej nocy znów leżysz i gapisz się w sufit, nie mogąc usnąć, kręcisz głową i myślisz: „Jeszcze tylko dzisiaj”, zakradasz się po cichu i kładziesz dłonie na małych klatkach piersiowych, by poczuć, jak unoszą się i opadają. A któreś nocy jedna z nich opada po raz ostatni.

A ty osuwasz się w przepaść. Cały ten czas w poczekalni, noce spędzone na podłodze, przy łóżku chłopca, ten poranek, gdy lekarz poinformował Petera, bo nikt nie odważył się powiedzieć tego Mirze. Po prostu się osunęli. Jak daliby radę żyć, gdyby nie Maya? Jak ludzie dają radę?

Mira cieszyła się, gdy wyprowadzili się z Björnstad, nie do pomyślenia, że mogłaby być szczęśliwa z powrotu. Ale tu mogli zacząć od nowa. Ona, Peter i Maya. Potem pojawił się Leo. Byli szczęśliwi, przynajmniej na tyle, na ile można być, nosząc w sobie smutek zbyt wielki, by pochłonął go czas.

Ale Mira nadal nie wie, jak z tym żyć.

Peter przesuwa palcami po szklanej ramie fotografii. Nigdy nie przestał kochać Miry; nadal, tak jak wtedy, gdy był nastolatkiem, sprawia ona, że serce podchodzi mu do gardła tak mocno, że aż się dusi. Ale Mira nie miała racji. Nie był w stanie obronić swojej rodziny. Nie ma dnia, by nie rozmyślał, co mógł zrobić inaczej. Negocjować z Bogiem? Oddać mu cały swój talent? Poświęcić wszystkie sukcesy? Życie? Co Bóg dałby mu w zamian? Czy mógłby zamienić się miejscami w trumnie ze swoim pierworodnym synem?

Nocami Mira nadal chodzi po domu i zlicza dzieci. Jeden, dwa, trzy.

Dwoje w swoich łóżkach. Jedno w niebie.

Można mówić, co się chce o Björnstad, ale czasem zapiera ono człowiekowi dech w piersiach. Gdy słońce wznosi się ponad jeziorem, gdy poranki są tak zimne, że powietrze zdaje się chrupkie, gdy drzewa chylą się z szacunkiem nad lodem, na którym bawią się dzieci, przepuszczając im możliwie dużo światła, to człowiek zastanawia się, dlaczego ludzie dobrowolnie mieszkają w miejscach, gdzie widać tylko asfalt i budynki. Czterolatki bawią się tu same na zewnątrz, wciąż mieszkają tu ludzie, którzy nigdy nie zamykają swoich domów na klucz. Po Kanadzie rodzice Mai byli do tego stopnia nadopiekuńczy, że nawet w wielkim mieście uznano by to za przesadę, tak więc Björnstad okazało się wręcz psychotyczne. Dziwna rzecz dorastać w cieniu zmarłego starszego brata: takie dzieci boją się zwykle wszystkiego lub też, wręcz przeciwnie, niczego. Maya stała się typem numer dwa.

Pożegnała się na korytarzu z Aną ich tajemnym uściskiem dłoni. Ana wymyśliła go w pierwszej klasie, ale to Maya wpadła na pomysł, że jedynym sposobem, żeby utrzymać go w tajemnicy, jest wykonywanie go tak szybko, aby nikt nie zdążył zobaczyć wszystkich jego części: pięść do góry, pięść w dół, dłoń, dłoń, motyl, haczyk na palcu, pistolety, jazzowe ręce, minirakieta, eksplozja, tyłek do tyłka, out bitches. To Ana wymyśliła wszystkie nazwy. Maya śmieje się nadal za każdym razem, gdy na końcu uderzają się tyłkami, a Ana odwraca się, wyrzucając ręce do góry, krzyczy: *...and Ana is OUT bitches* i idzie w swoją stronę.

Ale nie robi już tego tak głośno, nie w szkole, nie gdy inni mogą ją zobaczyć. Kuli się, mówi ciszej, próbuje wtopić się w tłum. Całe ich dzieciństwo Maya kochała swoją najlepszą przyjaciółkę za to, że była inna od wszystkich dziewczynek, które spotkała, ale dorastanie jest dla Any jak papier ścierny. Staje się gładsza i gładsza, mniejsza i mniejsza.

Maya odczuwa jej brak.

Mira patrzy na zegarek i wyciąga dokumenty z aktówki, spieszy się na spotkanie, zaraz potem na jeszcze jedno. Jak zwykle jest spóźniona, biegnie z powrotem do biura, już ma poślizg w grafiku. Jest słowo, które kiedyś kochała, ale którego nie cierpi, gdy wymawia się je w dialekcie z Björnstad: „karierowiczka”. Nazywają ją tak przyjaciele Petera, niektórzy z podziwem, inni z pogardą. Petera nikt nie nazywa „karierowiczem”. Dobija ją to, bo wie, co insynuują. „Pracę” ma się, by utrzymać rodzinę, „kariera” jest samolubna. Robi się ją dla własnej przyjemności. Jest więc teraz zawieszona pośrodku, odczuwa wyrzuty sumienia zarówno w biurze, jak i w domu.

Wszystko stało się kompromisem. Gdy była młoda, marzyła o prawie karnym i dramatycznych procesach sądowych w dużych miastach, teraz jej rzeczywistość to umowy, kontrakty, ugody, spotkania i mejle, mejle, mejle. „To poniżej twoich kwalifikacji” – powiedział szef, zatrudniając ją, tak jakby miała jakiś wybór. Jej wykształcenie i kompetencje mogłyby zapewnić sześciocyfrową pensję w wielu miejscach na świecie, ale przy codziennych dojazdach z Björnstad ta firma to jedyne wyjście. Jej klienci to przedsiębiorstwa leśne, gminne spółki, praca jest często monotonna, rzadko stymulująca, zawsze stresująca. Zwykła wtedy myśleć o Kanadzie i o tym, na co narzekali tam wszyscy trenerzy hokeja: chcieli mieć *the right kind of guy*. Nie tylko kogoś, kto potrafił grać, ale kogoś, kto dawał radę w szatni, kto nie sprawiał problemów, robił swoje. Grał i siedział cicho.

Myśli przerywa jej koleżanka z pracy, a zarazem najlepsza przyjaciółka, jej penicylina na chorobę zwaną znudzeniem:

– Nigdy nie miałam takiego kaca. W ustach mam kapcia. Widziałaś, żebyś się z kimś lizała wczoraj wieczorem?

– Nie było mnie z tobą wczoraj wieczorem. – Mira się uśmiecha.

– Nie? Jesteś pewna? To było wyjście z pracy. Chyba. Nie było cię? To nie było wyjście z pracy? – mamrocze koleżanka i rzuca się na krzesło.

Ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, z którym obnosi się z pewnością siebie; zamiast próbować skurczyć się przed bojaźliwymi mężczyznami z biura, pojawia się w ciemnoczerwonych butach z ostrymi jak wojskowy nóż obcasami, wysokimi niczym kubańskie cygara. Jest fantazją z kreskówki, nikt nie wypełnia przestrzeni tak jak ona. Albo jakiegoś afterparty.

– Co robisz? – pyta.

– Pracuję. A ty? – Mira odwzajemnia pytanie z uśmiechem.

Koleżanka macha jedną ręką, trzymając drugą na oczach, jakby udawała, że to zimny ręcznik.

– Zaraz zacznę pracować.

– Muszę to skończyć przed lunchem. – Mira wzdycha nad swoimi dokumentami.

Koleżanka nachyla się i na nie spogląda.

– Normalna osoba potrzebowałaby miesiąca, żeby to wszystko zrozumieć. Za dobra jesteś na tę firmę, wiesz to, nie?

Koleżanka zwykła mówić, że zazdrości Mirze mózgu. Mira z kolei zazdrości koleżance środkowego palca, którym ta biegle się posługuje. Mira uśmiecha się wykończona.

– Co ty tam zawsze powtarzasz?

– Przestań głądzić, morda w kubel i fakturuj. – Koleżanka rechocze.

– Morda w kubel i fakturuj! – powtarza Mira.

Obie kobiety pochylają się nad biurkiem, przybijają szybką piątkę.

Nauczycielka stoi w klasie i próbuje uciszyć grupę siedemnastoletnich chłopców. To taki poranek, kiedy naprawdę szczerze zadaje sobie pytanie, dlaczego wystawia samą siebie na to wszystko, nie tylko na zawód nauczyciela, ale też na Björnstad. Podnosi głos, chłopaki z tyłu klasy ją ignorują, nawet nie z rozmysłem; jest całkowicie przekonana, że w rzeczywistości w ogóle nie zauważają, że ona tu jest. Oczywiście są też i inni uczniowie w klasie – którzy chcą czegoś więcej – ale nie widać ich i nie słychać, pochylają tylko głowy, mocno zaciskając oczy, w nadziei, że sezon hokejowy wkrótce się skończy.

Jedna z najprostszych prawd dotyczących zarówno miast, jak i ludzi brzmi następująco: najczęściej nie stają się tym, czym mówimy, żeby byli, tylko tym, czym są według tego, co o nich mówią. Nauczycielka słyszała zawsze, że jest na to za młoda. Za ładna. Że nie będą jej szanować. Ci chłopcy słyszeli o sobie: niedźwiedzie, zwycięzcy, nieśmiertelni.

Hokej chce ich takich. Potrzebuje ich takich. Ich trener wpaja im, żeby w starciach na lodzie mieli odwagę iść na całość. Nikt nie zastanawia się, jak zmienić to nastawienie po opuszczeniu szatni. Oczywiście łatwiej jest zwalić winę

na nią. Że jest zbyt młoda. Zbyt ładna. Zbyt wrażliwa. Zbyt urażona. Zbyt trudno ją szanować.

W ostatniej próbie opanowania sytuacji nauczycielka zwraca się do kapitana i gwiazdy drużyny, siedzącego w kącie i klepiącego w telefon. Wypowiada jego imię. Zero reakcji.

– Kevin! – powtarza nauczycielka.

Chłopak unosi brew.

– Tak? W czym ci mogę pomóc, moja piękna?

Juniorzy wokół niego śmieją się jak na zawołanie.

– Jesteś tu z nami? To będzie na sprawdzianie – mówi nauczycielka.

– Ja już to umiem – odpowiada Kevin.

Doprowadza ją do szału, że chłopak nie mówi tego w sposób prowokujący lub agresywny. Jego głos jest beznamiętny niczym prognoza pogody.

– Doprawdy? – prycha nauczycielka.

– Przeczytałem podręcznik. Opowiadasz przecież dokładnie te same rzeczy, które są w książce. Mój telefon mógłby odwalać twoją robotę.

Juniorzy rechoczą tak, że aż szyby dźwięczą w oknach, i wtedy oczywiście Bobo, największy i najbardziej przewidywalny chłopak w całej szkole, zawsze gotowy, żeby kopnąć leżącego, dostrzega swoją szansę.

– No, uspokój się, cukierkowa majteczko – drwi Bobo.

– Jak mnie nazwałeś? – krzyczy nauczycielka. Nagle dociera do niej, że on właśnie tego chce.

– To komplement. Uwielbiam słodyczne.

Zalewa ją fala śmiechów.

– Siadaj na miejsce!

– Przecież mówię, uspooooookój się, cukierkowa majteczko. Powinnaś być dumna.

– Dumna?

– No tak. Za kilka tygodni będziesz mogła chodzić i opowiadać wszystkim napotkanym ludziom, że to TY byłaś kiedyś nauczycielką tej legendarnej drużyny juniorów, która zgarnęła złoto do Björnstad.

Spora część klasy wiwatuje, dłonie uderzają w kaloryfery, stopy tupią o podłogę. Nauczycielka zdaje sobie sprawę, że już nie ma co podnosić głosu, że już przegrała. Bobo staje na swojej ławce niczym gniazdowy i śpiewa: „To my, niedźwiedzie! To, my niedźwiedzie! To my, niedźwiedzie z BJÖRNSTAD!”. Pozostali uczniowie wskakują na swoje ławki i dołączają do Bobo. Gdy nauczycielka opuszcza klasę, wszyscy są już rozebrani do pasa i skandują: „NIEDŹWIEDZIE Z BJÖRNSTAD!”. Wszyscy poza Kevinem, który nadal siedzi ze wzrokiem wlepionym w telefon, tak spokojny, jakby znajdował się sam w ciemnym pokoju.

W biurze koleżanka przejeżdża z obrzydzeniem językiem po zębach.

– Ale serio, mam wrażenie, jakbym zjadła tupecik. Nie uwierzysz, że się migdałiłam z tym z rachunkowości, co? Miałam w planie tego drugiego. Kurde, z którego on jest działu? Ten z dżinsowym tyłkiem i grzywą.

Mira się śmieje. Koleżanka to singielka, niemalże ekstremalna, Mira zaś jest fanatyczną monogamistką. Wilk samotnik i kwoka na jajach, skazane na wzajemną zazdrość. Koleżanka mamrocze:

– Dobra, no to w takim razie kto w biurze? Jakbyś miała wybierać właśnie teraz.

– Tylko znowu nie to...

– Wiem, wiem, jesteś mężatką. Ale gdyby twój mąż nie żył.

– Heloł??!!

– O Boże... Co w tym takiego drażliwego? No dobra, może też być chory. Albo w śpiączce. Lepiej? Z kim byś sypiała, gdyby twój mąż leżał w śpiączce?

– Z nikim! – syczy Mira.

– A gdyby od tego zależało przetrwanie ludzkości? Z tym z dżinsowym tyłkiem i grzywą, nie? W każdym razie nie z Borsukiem!

– A który to znowu Borsuk?

Mira musi przyznać, że koleżanka całkiem nieźle naśladuje mężczyznę, który ostatnio został jednym z szefów w firmie i który przypadkiem zaskakująco przypomina borsuka. Mira rechoce tak bardzo, że prawie przewraca kubek z kawą.

– Nie czepiaj się go. Jest miły.

– Krowy też, ale nie trzymamy ich w domu.

Koleżanka nienawidzi Borsuka, nie jako osoby, ale jako konceptu. Został szefem, mimo że wszyscy wiedzą, że to stanowisko należało się Mirze. To temat, którego Mira zawsze stara się unikać, bo nie zdobyła się jeszcze na odwagę, by opowiedzieć koleżance prawdę. Firma zaproponowała Mirze szefostwo, ale odmówiła. To oznaczałoby zbyt długie wieczory w pracy i za dużo podróży, a nie mogła tego zrobić rodzinie. I teraz tak siedzi, i nie ma odwagi powiedzieć tego koleżance, bo nie chce zobaczyć zawodu w jej oczach. Że Mira dostała szansę i jej nie wykorzystała.

Koleżanka odgryza nadłamany paznokieć i wypluwa go do kosza na śmieci.

– Widziałaś, jak Borsuk patrzy na kobiety? Te przymrużone małe oczy... Zakład o tysiąka, że to taki typ, który chce, żeby mu wsadzać markera w od...

– Ja tu PRACUJĘ! – przerywa Mira.

Koleżanka pozostaje zadziwiająco niewzruszona.

– Ale co? To obiektywne spostrzeżenie. Mam rozległą wiedzę w zakresie markerów, ale oczywiście ty, pani mądralińska, możesz nadal udawać, że jesteś moralnie nie do ruszenia, tylko dlatego, że twój mąż jest w śpiączce!

– Jesteś nadal pijana, co? – Mira się uśmiecha.

– A Peter, lubi takie rzeczy? Markery?

– NIE!

Koleżanka natychmiast przeprosza:

– Przepraszam, czy to drażliwy temat? Sprzeczcacie się o to?

Mira wygania ją ze swojego gabinetu. Nie ma tyle czasu na śmiechy w ciągu dnia. Ma grafik albo przynajmniej, gdy zaczynał się dzień, liczyła, że uda się jej trzymać planu. Później przychodzi któryś szef i pyta, czy nie mogłaby „rzucić okiem” na jakiś kontrakt, co zajmuje godzinę. Klient dzwoni z jakąś pilną sprawą, to zajmuje kolejną godzinę. Leo dzwoni, żeby powiedzieć, że jego trening odbędzie się pół godziny wcześniej, ponieważ drużyna juniorów zażądała więcej czasu na lodzie, więc Mira musi być wcześniej w domu po pracy. Maya dzwoni i prosi, żeby mama kupiła jej po drodze nowe struny do gitary. Peter wysłał esemesa, że będzie dziś później. Szef znów przychodzi i pyta, czy Mira ma czas na „szybkie spotkanie”. Nie ma. Ale i tak idzie.

Stara się być *the right kind of guy*. Nawet jeśli nie da się jednocześnie być *the right kind of mama*.

Maya dokładnie pamięta pierwsze spotkanie z Aną. Uścisnęły sobie dłonie, zanim jeszcze spojrzały sobie w twarz. Maya miała sześć lat i jeździła sama na łyżwach po jeziorze. Rodzice nigdy jej na to nie pozwalali, ale byli w pracy, a opiekunka usnęła na krześle, więc Maya wzięła łyżwy i wymknęła się z domu. Może szukała jakiegoś wyzwania, może po prostu wierzyła, że jakaś dorosła ręka zawsze ją złapie, zanim wydarzy się coś złego, a może po prostu była jak to dzieci – zrodzona do przygód. Zmierzch nadszedł szybciej, niż się spodziewała, nie widziała zmiany koloru na lodzie. Gdy ten załamał się pod nią, woda obezwładniła ją tak prędko, że nawet nie zdążyła się wystraszyć. Nie miała szans, sześciolatka bez kolców ratowniczych i tyczki ze szpikulcem, z rękami tak wyziębionymi, że ledwie mogła utrzymać się na powierzchni, już była martwa. Można mówić, co się chce o Björnstad, ale może ono odebrać człowiekowi dech. W sekundę.

Zobaczyła dłoń Any na długo, zanim zobaczyła samą Anę. Maya nigdy nie pojmie, jak sześciolatniej dziewczynce udało się wyciągnąć z wody tak samo ciężką równolatkę w przemoczonym kombinezonie. Ale taka była Ana. Po czymś takim nie można ich już było rozdzielić. Ana, dziecko natury, które polowało i łowiło ryby, ale nie za bardzo rozumiało ludzi, została najlepszą przyjaciółką Mai, jej dokładnego przeciwieństwa.

Za pierwszym razem, gdy Maya była u Any w domu i słyszała jej kłócących się rodziców, zrozumiała, że Ana może i znała jezioro, ale to wcale nie znaczyło, że nie zapadała się pod lód w inny sposób, w sobie. Od tamtej pory Ana nocowała u Mai częściej niż u siebie w domu. Wymyśliły tajemny uścisk dłoni, aby przypominał im, że zawsze ma być *sisters before misters!*, co Ana powtarzała jak mantrę, zanim jeszcze wiedziała, co to znaczy. Gdy tylko miała okazję, męczyła Mayę, żeby szły łowić ryby, polować albo wspinać się na drzewa. Mayę, która najchętniej siedziałyby w domu i grała na gitarze, blisko kaloryfera, doprowadzało to do szału. Ale Boże, jak ona ją kochała.

Ana była jak tornado. Klocek z setką kantów, w mieście, gdzie każdy powinien pasować w okrągłe otwory. Miały dziesięć lat, gdy nauczyła Mayę strzelać ze strzelby. Maya pamięta, że tata Any zawsze chował zapasowy klucz do szafy na broń w najwyższej szufladzie szafki, w głębi śmierdzącej stęchlizną piwnicy.

Szuflada poza kluczami i kilkoma butelkami alkoholu pełna była magazynów pornograficznych. Maya gapiła się na nie zszokowana, Ana zobaczyła to i wzruszyła tylko ramionami: „Tata nie jarzy, jak działa Internet”. Strzelały w lesie, aż skończyła im się amunicja. Wtedy Ana, która zawsze miała przy sobie nóż, wystrugała im miecze i pojedynkowały się między drzewami, aż zrobiło się ciemno.

Maya spogląda teraz za swoją przyjaciółką na korytarzu, widzi, jak ta opuszcza zawstydzona ramiona, nie mając nawet odwagi krzyknąć OUT, ponieważ wszystko, o czym teraz marzy, to być tak zwyczajną, jak to tylko możliwe. Maya nienawidzi dorastania, nienawidzi papieru ściernego i okrągłych otworów. Tęskni za nią. Dziewczynką, która bawiła się w rycerzy w lesie.

Stajemy się tym, czym jesteśmy według tego, co o nas mówią. Ana zawsze słyszała, że coś jest z nią nie tak.

Benji siedzi tak głęboko zatopiony w fotelu w gabinecie dyrektora, że więcej go na podłodze niż w fotelu. To gra, dyrektor musi go opieprzyć, że tak wiele razy w tym semestrze przyszedł spóźniony, ale właściwie to chce tylko pogadać o hokeju. Jak wszyscy inni. Rozważanie zawieszenia lub innych dyscyplinarnych kroków byłoby nie do pomyślenia.

Benji myśli czasem o Adri, swojej najstarszej siostrze, która ma hodowlę psów. Im bliżej finału mistrzostw Szwecji są juniorzy, tym bardziej Benji dostrzega swoje podobieństwo do psów. Robisz coś pożytecznego, dostajesz dłuższą smycz.

Słyszają nauczycielkę, na długo zanim wpada do gabinetu.

– TE MAŁP... TE... NIE WYTRZYMAM JUŻ TEGO DŁUŻEJ! – wrzeszczy, nim jeszcze przekroczy próg gabinetu.

– Uspokój się, cukierkowa majteczko. – Benji się uśmiecha; naprawdę ma wrażenie, że nauczycielka go w tym momencie uderzy.

– JESZCZE RAZ! POWIEDZ TAK DO MNIE JESZCZE RAZ, A PRZYSIĘGAM, ŻE NIE BĘDZIESZ W STANIE ZAGRAĆ TEGO MECZU! – wrzeszczy na niego z podniesioną ręką.

Dyrektor krzyczy głośno, podrywa się z krzesła, bierze ją pod ramię i wzburzoną wyprowadza na korytarz. To pewnie właściwa reakcja, żeby wziąć kogoś pod

ramię. Ale zarówno dyrektor, jak i Benji wiedzą, że za drzwiami powinien skończyć Benji.

W klasie w głębi korytarza Bobo wywraca się na swojej ławce, spada głową w dół na podłogę, nadal bez podkoszulka i z „niedźwiedziami z Björnst...” na ustach. Wokół niego zbierają się dwie grupy siedemnastolatków: ci, którzy lubią hokej, i ci, którzy go nienawidzą. Ci, którzy obawiają się, że coś sobie zrobił, i ci, którzy mają taką nadzieję.

11

Prosta zasada, równie często powtarzana, co ignorowana: nieważne, czy powiesz dziecku, że da sobie radę ze wszystkim, czy że nie poradzi sobie z niczym. I tak prawdopodobnie masz rację.

Bengt nie potrafi być przywódcą. Ciągłe tylko krzyczy. Jest trenerem Amata, odkąd ten trafił do drużyny młodzików. Chłopiec mało czego boi się tak jak tego, że jeśli David w następnym sezonie dostanie posadę trenera pierwszego zespołu, to Bengtowi przypadnie drużyna juniorów, dokładnie wtedy, gdy trafi do niej Amat. Kolejne dwa lata z tym człowiekiem to więcej, niż jest w stanie znieść, nawet dla hokeja. Bengt nie zna się ani na taktyce, ani na technice, wydaje mu się, że wszystko to wojna, przed meczem wrzeszczy tylko: „Musicie wygrać bitwę o zamek!” i „Nie dajcie się jebać w dupę”. Gdyby piętnastolatki mieli w rękach siekiery zamiast kijów, prowadziłby ich w dokładnie taki sam sposób.

Inni w drużynie mają oczywiście gorzej, Amatowi tyle się nie obrywa, bo w ostatnim sezonie jest najlepszy. Kiedy Zachariasz aż kuli się pod znanymi wszystkim fontannami śliny trenera, który krzyczy: „Swędzi cię jeszcze blizna po operacji zmiany płci, Zach?!” lub „Jesteś, kurwa, wolniejszy niż kobieta w ciąży!”, Amat pędzi do przodu. I pomyśleć, że jeszcze dwanaście miesięcy temu był bliski porzucenia hokeja, i sam już teraz nie wie, czy powinien się cieszyć, że dalej gra, czy bać, że koniec był tak bliski.

Czuł zmęczenie, to wszystko, co pamięta. Zmęczenie walką, tym, że wszyscy na niego krzyczą, obelgami i bijatykami, szatnią, do której podczas treningu zakradali się juniorzy, by pociąć na kawałki jego buty i wrzucić mu ubranie pod prysznic. Zmęczony udowadnianiem wszystkim, że nie jest tym, za kogo mają go inni. Z Niecki. Syn sprzątaczk. Zbyt mały. Zbyt słaby.

Któregoś wieczoru po treningu wrócił do domu, położył się do łóżka i nie wstał z niego przez cztery dni. Mama była cierpliwa, pozwoliła mu tak leżeć. Piątego

dnia rano otworzyła drzwi do jego pokoju, już prawie gotowa do wyjścia do pracy i powiedziała:

– Może i grasz z niedźwiedziami, ale to nie znaczy, że od razu musisz zapamiętać, że jesteś lwem.

Gdy pocałowała go w czoło i położyła rękę na jego piersi, szepnęła:

– To za trudne, mamó.

– Twój ojciec byłby dumny z tego, jak grasz – odparła.

– Tato nie wiedział pewnie nawet, co to hokej... – wymamrotała.

– Właśnie dlatego! – odpowiedziała mama podniesionym głosem, chociaż szczyliła się tym, że nigdy nie krzyczy.

Tego ranka zdążyła już posprzątać trybuny, korytarz i gabinety i zejść do szatni, kiedy dozorca, przechodząc obok, zapukał w drzwi. Gdy podniosła głowę, wskazał na lodowisko i się uśmiechnął. Amat rozłożył między liniami rękawiczki, czapkę i kurtkę. To tego dnia zrozumiał, że jedynym sposobem, by stać się lepszym od niedźwiedzi, było przestać grać jak oni.

David siada na samej górze trybun. W swoim trzydziestodwuletnim życiu więcej czasu spędził na lodowisku niż poza nim. Kocha hokej z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że to najbardziej skomplikowana z nieskomplikowanych czynności na świecie. Można się jej nauczyć w sekundę, doskonali się ją całe życie.

Gdy David został trenerem, Sune zmusił go, aby przez cały sezon oglądał mecze pierwszego zespołu z najwyższych rzędów trybun; teraz to już nawyk, od którego nie może się uwolnić. Z góry hokej wygląda inaczej, a prawda jest taka, że Sune i David zawsze zgadzali się w kwestii pytań, mieli tylko inne odpowiedzi. Sune chciał jak najdłużej zatrzymać wszystkich zawodników w ich grupie wiekowej, tak by mieli czas na pozbycie się słabości i stworzenie silnej drużyny. Dla Davida ten sposób myślenia prowadził do zbudowania drużyny, w której nikt nie był wyjątkowy. Sune uważał, że zawodnik grający ze starszymi wykorzystywał będzie tylko swoje silne strony, David był tego samego zdania, nie widział w tym jednak problemu. Nie interesował go zastęp graczy dobrych w dokładnie tym samym, chciał mieć specjalistów.

Sune był jak Björnstad: tkwił w odwiecznym przekonaniu, że żadne drzewo nie może wyrosnąć zbyt wysoko, naiwnie sądząc, że wystarczy tylko ciężka praca. To dlatego klub upadał wraz ze wzrostem bezrobocia w mieście. Nie wystarczy mieć robotników, ktoś musi mieć też pomysły. Kolektywy sprawdzają się tylko wtedy, gdy buduje się wokół gwiazd.

Tylu mężczyzn w tym klubie uważa, że wszystko w hokeju „powinno być tak jak zawsze”. David ma wtedy ochotę zawinąć się w dywan i krzyczeć aż do zderzenia strun głosowych. Tak jakby hokej nigdy się nie zmieniał. Gdy go wynaleziono, nie można było nawet podawać do przodu, a dwa pokolenia wstecz zawodnicy grali bez kasków. Hokej jest jak wszystkie inne żyjące organizmy – musi się dopasowywać i rozwijać, inaczej zginie.

David nie pamięta już, jak długo spiera się o to z Sunem, ale gdy czasem przychodzi wieczorem do domu w najbardziej podłym nastroju, jego dziewczyna drażni się z nim, pytając: „Znow pokłóciłeś się z tatą?”. Na początku widział w tym swoisty dowcip, bo gdy David poszedł w jego ślady, Sune był dla niego kimś więcej niż tylko trenerem. Koniec kariery hokeisty to niezliczona liczba zamykających się przed nim drzwi, a David nie potrafił żyć bez drużyny, bez uczucia przynależności do czegoś. Gdy kontuzje zmusiły go do opuszczenia lodowiska w wieku dwudziestu dwóch lat, tylko Sune go rozumiał.

To Sune zrobił z Davida trenera, a z Petera dyrektora sportowego. Na wiele sposobów byli swoimi przeciwieństwami. David mógł zacząć kłótnię nawet z drzwiami, a Peter tak bardzo unikał walki, że nie potrafił zabijać nawet czasu. Sune miał nadzieję, że będą się uzupełniać, ale zamiast tego wytworzyła się między nimi obopólna nienawiść.

Przez lata David najbardziej wstydził się zazdrości, którą czuł, gdy Peter i Sune zamykali się w gabinecie, nie zaprosiwszy go. Jego miłość do sportowej wspólnoty opierała się na strachu przed wykluczeniem. W końcu postąpił więc tak, jak wszyscy ambitni uczniowie – zbuntował się.

Miał dwadzieścia dwa lata, gdy zaczął trenować grupę siedmiolatek, wśród których byli też Kevin, Benji i Bobo. Poświęcił im dziesięć lat, uczynił z nich jeden z najlepszych zespołów w kraju i w końcu zrozumiał, że nie może już dłużej być lojalny wobec Sunego. Zawodnicy są ważniejsi, klub to coś większego. To podstawa hokeja – drużyna to więcej niż jednostka. Dlatego też David jest święcie przekonany, że akademicy, których noga nigdy nie stanęła w szatni, nie są

w stanie zrozumieć panującej tam kultury. W mediach rozprawiają jedynie bez końca o zagrożeniu „elitaryzmem”. Są zbyt egoistyczni i wystraszeni, by postawić dobro grupy ponad swoje własne.

David wie, co powiedzą ludzie w mieście, gdy przejmie stanowisko Sunego. Wielu nie będzie tego popierać. Ale spodoba im się tabela wyników.

Bengt odgwizdał koniec treningu tak blisko ucha Zachariasza, że ten potknął się o własny kij. Trener zaśmiał się drwiąco.

– Najgorsza na treningu, jak zwykle, była mała panienka Zach. To jej więc przypada zaszczyt zebrania wszystkich krążków i pacholków!

Bengt opuszcza lód otoczony resztą drużyny młodzików. Niektórzy z nich naśmiewają się z Zachariasza. Chłopak próbuje pokazać im środkowy palec, ale to zaskakująco trudne, gdy ma się na sobie rękawice hokejowe. Amat zaczął już krążyć po lodowisku i zbierać krążki. Ich przyjaźń jest właśnie taka: Amat nie schodzi z lodu, dopóki jest na nim Zachariasz.

Gdy Bengt znika z pola widzenia, Zachariasz podnosi się sfrustrowany i zaczyna naśladować przesadnie pochylony do przodu styl jazdy trenera, drapiąc się zapalczywie po pośladkach.

– ZBIERAĆ KRAŻKI! BRONIĆ ZAMKU! NIE DAĆ SIĘ JEBAC W DUPE! ŻADNEGO JEBANIA W DUPE NA MOIM LODOWISKU! CZEKAĆ! CO, KURW...! CO TO, KURWA! W MOJEJ DUPIE? CZY TO KUTAS? CZY TO JAKIŚ MAŁY KUTAS? TO JAKIŚ MAŁY KUTAS W MOJEJ DUPIE, AMAT! WYCIĄGNIJ GO NATYCHMIAST, WYCIĄGNIJ, MÓWIĘ!

Próbuje cofnąć się do Amata, który ze śmiechem odjeżdża na bok, tak że Zachariasz ląduje w otwartej ławce rezerwowych, wywijając przy tym orła.

– Chcesz zostać i popatrzeć na trening juniorów? – pyta Amat, chociaż wie, że Zachariasz nigdy w życiu nie zrobiłby tego dobrowolnie.

– Przestań mówić „juniorzy”, gdy masz na myśli Kevina. Wiem, że to twój idol, ale ja chciałbym pożyć trochę własnym życiem! *Carpe diem!* Śmiej się i kochaj!

Amat wzdycha.

– Nieważne, zapomnij...

– AMAT, CZY TO KEVIN ERDAHL JEST TERAZ W TWOJEJ DUPIE? – krzyczy Zachariasz.

Amat uderza niespokojnie kijem o lód.

– Robimy coś razem w weekend?

Naprawdę się stara, żeby jego pytanie zabrzmiało niewzruszenie. Tak jakby nie myślał o tym cały dzień. Zachariasz podnosi się z boksu krokiem słońiatka postrzelonego środkiem usypiającym.

– Mam dwie nowe gry! Ale musisz przynieść swoją konsolę, bo ostatnim razem zepsułeś moją!

Amat wygląda na lekko obrażonego tym stwierdzeniem, biorąc pod uwagę, że konsola przestała działać po tym, jak rozzłoszczony Zachariasz po przegranej rzucił nią prosto w jego czoło. Chrząka i zbiera ostatnie krążki.

– No... myślałem raczej o tym, żeby gdzieś... wyjść.

Zachariasz wygląda, jakby kolega zaproponował mu wlewanie sobie nawzajem do oczu trucizny.

– Wyjść gdzie?

– No, na imprezę. Czasem można iść na imprezę. Ludzie to robią.

– Masz na myśli Mayę?

– Mam na myśli LUDZI!

Zachariasz podnosi się, zaczyna tańczyć na czubkach ostrzy łyżew i śpiewać:

– Amatowi w głowie stuka, bo dziś Mayę chce wypukać...

Śmiejąc się, Amat uderza krążkiem w bandę tuż obok niego.

David stoi z Bengtem w korytarzu koło szatni.

– To błąd! – upiera się Bengt.

– Może cię to zdziwi, ale usłyszałem cię już za pierwszym razem. Idź i przygotuj juniorów do treningu – odpowiada zimno David.

Bengt człapie w stronę szatni, David masuje się po skroniach. Bengt nie jest bezużytecznym trenerem pomocniczym, David wytrzymuje jego krzyki i przekleństwa, bo to część prawa szatni i, boże, niektórzy chłopcy w drużynie potrzebują na treningach tyrana, żeby w ogóle włożyć ochraniacz na odpowiednią część ciała. Ale czasem zastanawia się, jak juniorzy dadzą sobie radę, gdy przejmie ich Bengt, bo facet nie wie o hokeju więcej niż przeciętny krzykacz na trybunach.

David mógłby wyjść na ulicę, rzucić kamieniem i trafić w cokolwiek, co ma puls i wie tyle samo o hokeju co Bengt.

Amat i Zachariasz nadchodzą, śmiejąc się, cichną jednak natychmiast, gdy widzą Davida. Wciskają się w ścianę, żeby nie stać mu na drodze. Amat aż podskakuje, gdy trener podnosi rękę.

– To ty jesteś Amat, prawda?

Chłopiec przytakuje.

– My... my tylko zbieraliśmy krążki... tylko żartowaliśmy... Wiem, że Zach nabijał się z trenera Bengta, ale to był tylko ża...

David patrzy na nich, nie rozumiejąc. Amat przetyka ślinę.

– Zresztą, jak nic pan nie widział... to... nic.

David się uśmiecha.

– Widziałem cię na trybunach podczas treningów juniorów. Byłeś tam częściej niż większość zawodników na lodzie.

Amat przytakuje zawstydzony.

– Ja... przepraszam... Po prostu próbuję się nauczyć.

– To dobrze. Wiem, że analizujesz grę Kevina, to dobry wzór do naśladowania. Przyjrzyj się, jak zawsze obserwuje łyżwy obrońców w sytuacji jeden na jednego; gdy tylko przechylają łyżwy, zmieniając ułożenie ciała i punkt ciężkości, Kevina uderza w krążek i ucieka.

Amat kiwa zdumiony głową. David patrzy mu prosto w oczy; chłopiec nie nawykł do tego, by dorośli się tak zachowywali.

– Wszyscy widzą, że jesteś szybki, ale musisz jeszcze potrenować strzały. Wyczekać bramkarza, aż przesunie się na bok, i strzelić dokładnie w okienko. Omijając wszystkich. Dasz radę się tego nauczyć?

Amat przytakuje. David poklepuje go mocno po ramieniu.

– Dobrze. No to ucz się szybko, bo za piętnaście minut trenujesz z juniorami. Idź do szatni po koszulkę.

Dłoń Amata instynktownie dotyka ucha, tak jakby chciał je dla pewności przeczyścić, bo źle usłyszał. Davida już tam nie ma.

Zachariasz odczekuje, aż trener zniknie za rogiem, i rzuca się Amatowi na szyję. Amat aż nie może oddychać. Zachariasz chrząka.

– Amat, ale teraz na serio... Gdybyś mógł wybrać i przespać się z Mayą albo z Kevinem, to kogo wybierzesz?

– Morda. – Amat się śmieje.

– Tak tylko sprawdzam! – Zachariasz rechocze i klepiąc go po kasku, warczy: – Załatw ich, bracie! Załatw ich!

Amat bierze oddech głęboki jak jezioro za halą lodowiska, omija po raz pierwszy szatnię młodzików i przekracza próg juniorów. Natychmiast spotyka się z tornadem gwizdów, obelg i jednogłośnym: „WON STĄD, JEBANY PĘDRAKU!”, ale gdy David wychodzi z toalety, robi się tak cicho, że słyhać nawet spadające na ziemię suspensorium. David kiwa głową w stronę Bengta, który niechętnie rzuca Amatowi koszulkę. Ubranie śmierdzi. Amat nigdy w życiu nie był bardziej szczęśliwy.

W korytarzu nadal stoi jego najlepszy przyjaciel. Za drzwiami.

W hokeju „prawie” nie ma racji bytu.

12

Długie małżeństwo to skomplikowana sprawa. Właściwie tak skomplikowana, że wielu zadaje sobie czasem pytanie: „Tkwię w tym, bo jestem zakochany czy też dlatego, że nie mam już siły dać się komuś znowu tak dobrze poznać?”.

Mira wie, jak Petera wkurza, że tak na niego narzeka. Że zawsze czuje się krytykowany. Czasami dzwoni do niego pięć razy dziennie, tylko po to, żeby sprawdzić, czy zrobił to, co obiecał, że zrobi.

To wina burzy śnieżnej. Nigdy mu o tym nie powiedziała.

Gabinet Petera jest perfekcyjnie urządzone, biurko tak czyste, że można by z niego jeść, o ile ktoś, oczywiście, odważyłby się w ogóle zbliżyć z jedzeniem do jego biura, nie obawiając się, że Peter dostanie ataku paniki z powodu okruchów.

Półki wypełnione są longplayami, których nie ma odwagi trzymać w domu, bo boi się, że Mira zmusi go do ich wyrzucenia albo kupienia większego lokum. Zamawia je przez Internet na adres klubu, recepcja jest jego dziuplą. Część ludzi kryje się przed swoimi współmałżonkami z paleniem, Peter kryje się z kupowaniem.

Robi to, bo go to uspokaja. Ponieważ płyty przypominają mu o Izaaku. Nigdy jej o tym nie powiedział.

Mira nie pamięta dokładnie, ile lat miały dzieci, gdy przysłała burza śnieżna, ale nie mieszkali jeszcze w Björnstad tyle zim, żeby zdążyła przyzwyczać się do sił natury. To było w okolicy świąt Bożego Narodzenia, dzieci miały już wolne, ale w pracy pojawił się jakiś problem i Mira zmuszona była stawić się na ważne spotkanie. Peter zabrał Mayę i Leo na sanki, Mira stała przy samochodzie i patrzyła na nich, znikających w wirującej bieli, wszystko było jednocześnie takie piękne i złowieszcze. Gdy zniknęli jej z oczu, poczuła się tak opuszczona, że przepłakała całą drogę do biura.

Gdy Peter nabawił się kontuzji w Kanadzie i Mira zaczęła pracować, to on zostawał w domu z Izaakiem. Pewnego dnia dziecko rozboleł brzuch, nie przestawało płakać. Spanikowany Peter próbował wszystkiego, kołysał i wychodził na zewnątrz z wózkiem, sprawdził wszystkie domowe sposoby, o których słyszał, ale nic nie działało. Dopóki nie włączył jakiejś płyty. Może to zasługa starego adaptera, trzasków w głośnikach, dźwięków wypełniających pokój... Ale Izaak zupełnie ucichł. Uśmiechnął się. A później zasnął u Petera na rękach. Peter pamięta, że wtedy po raz ostatni naprawdę czuł się jak dobry ojciec. Gdy rzeczywiście się ludził, że wie, co robi. Nigdy nie powiedział tego Mirze ani nikomu innemu. Kupuje teraz ukradkiem płyty w nadziei, że przeżyje tamten moment chociaż jeszcze jeden raz.

Tamtego dnia po spotkaniu Mira zadzwoniła do Petera. Nie odbierał. On, który zawsze odpowiadał. Później usłyszała w radiu, że śnieżycy nadciągnęła nad las i że zaleca się, aby wszyscy pozostali w domu. Dzwoniła tysiąc razy, krzyczała, nagrywając się na jego pocztę głosową – żadnej odpowiedzi. Rzuciła się do samochodu i jechała na pełnym gazie, mimo że ledwie widziała dalej niż na metr przed maską. Pobiegła prosto między drzewa, tam, gdzie zostawili ją rankiem, i wyła histerycznie, opadła na kolana i grzebała desperacko w śniegu, tak jakby miała znaleźć pod nim dzieci. Przemroziła uszy i koniuszki palców, po fakcie nie potrafiłaby nawet wyjaśnić, co się w niej działo. Dopiero wiele lat później zrozumiała, że było to załamanie nerwowe.

Po dziesięciu minutach telefon zadzwonił. Po drugiej stronie byli Peter i dzieci, całkowicie wyluzowani i beztroscy, zastanawiali się, gdzie jest. GDZIE WY JESTEŚCIE?! – krzyknęła. „W domu” – odpowiedzieli z ustami pełnymi lodów i bułeczek cynamonowych. Gdy Mira zapytała „dlaczego?”, Peter odpowiedział zdziwiony: „Zrobiła się śnieżycy, więc poszliśmy do domu”. Zapomniał naładować telefon. Zostawił go w szufladzie w sypialni.

Mira ani razu mu o tym nie wspomniała, nikomu innemu też nie, ale nigdy nie udało jej się do końca wyrwać z tej burzy śnieżnej. Z tego uczucia w samochodzie, że ich też straciła. Więc teraz dzwoni do męża i dzieci po pięć razy dziennie, czasem tylko po to, by na nich ponarzekać. Żeby wiedzieć, że wciąż ich ma.

Peter puszcza płytę, ale dziś to nie pomaga. Nie może przestać myśleć o Sunem. Godzinami walczy to samo, gapi się w czarny monitor komputera, uderza gumową piłeczką o ścianę, coraz mocniej i mocniej.

Dźwięk telefonu tak go cieszy, że zapomina nawet zezłościć się na żonę, która zawsze przyjmuje za pewnik, że zapomni zrobić to, co obiecał.

– Zostawiłeś samochód w warsztacie? – pyta Mira, chociaż słyszy już odpowiedź.

– Tak! Tak, wszystko załatwione! – mówi Peter z totalną pewnością w głosie, której nabiera tylko wtedy, gdy kłamie.

– Jak w takim razie dojechałeś do biura? – pyta Mira.

– Skąd wiesz, że jestem w biurze?

– Słyszę, jak odbijasz tę idiotyczną piłeczkę o ścianę.

Peter wzdycha.

– Powinnaś być adwokatem albo kimś takim, mówił ci to już ktoś?

Adwokat się śmieje.

– Zastanowię się nad tym, jeśli nie będę mogła zawodowo zająć się grą w kamień, nożyce, papier.

– Jesteś szachrajką.

– A ty kłamcą.

Głos mu drży, gdy nagle szepcze jej do ucha:

– Kocham cię bardzo.

Mira się śmieje, tak żeby nie słyszał, że płacze, gdy mu odpowiada.

– Ja ciebie też.

Odkładają słuchawki. Mira zjada swój spóźniony o cztery godziny lunch przed komputerem, tak żeby wyrobić się ze wszystkim w pracy i jeszcze mieć czas, by w drodze do domu kupić Mai nowe struny do gitary, zanim podrzuci Leo na trening hokeja. Peter nie je wcale – nie chce mieć okazji, żeby znów wymiotować.

Długie małżeństwo to skomplikowana sprawa.

W szatni juniorów jest ciszej niż zwykle. Powaga jutrzejszego meczu zaczyna wślizgiwać się im pod skórę. William Lyt, który niedawno skończył osiemnaście lat, ale już ma zarost gęsty jak futro wydry i waży tyle co mały samochód osobowy,

pochyla się w stronę Kevina i szepcze do niego, jakby grał w filmie o więzieniu i prosił o nóż zrobiony ze szczoteczki do zębów.

– Masz snus?

David wspomniał raz w zeszłym sezonie Bengtowi, że przeczytał gdzieś, że jedno opakowanie snusu może wyrządzić kondycji więcej szkody niż skrzynka piwa, więc od tamtej pory juniorzy muszą się liczyć z tym, że zarówno od Bengta, jak i od rodziców dostaną porządny opieprz, jeśli ci zobaczą chociażby okrągły zarys opakowania snusu na kieszeniach ich spodni.

– Nie – odpowiada Kevin.

Mimo wszystko Lyt kiwa głową, dziękując, i udaje się na łowy po szatni. Grają obok siebie w pierwszej linii, ale niezależnie od tego, o ile większy i silniejszy jest Lyt, to jednak Kevin jest oczywistym autorytetem. Benji, który zawsze miał pewien problem z autorytetami, leży, wpółdrzemiąc, na podłodze, ale nagle sięga po kij hokejowy i dźga nim Kevina w brzuch.

– Co, kurwa!?! – syczy Kevin.

– Daj mi snus – prosi Benji.

– Głuchy jesteś, głupku? Przecież mówię, że nie mam!

Benji leży nadal spokojnie, nie spuszczając wzroku z Kevina. Dźga go w brzuch kijem, aż Kevin wyrywa mu go, sięga do kurtki i wyławia z niej prawie pełne opakowanie snusu.

– Kiedy wreszcie się nauczysz, żeby mi nie kłamać? – Benji się uśmiecha.

– Kiedy wreszcie zaczniesz sam kupować snus? – odpowiada Kevin.

– Przypuszczalnie w tym samym czasie.

Lyt wraca z pustymi rękami. Kiwa wesoło w stronę Kevina.

– Twoi rodzice przyjdą jutro na mecz? Moja matka kupiła bilety chyba dla całej rodziny!

Kevin milknie, zaczyna oklejać taśmą swój kij. Benji widzi to kątem oka, wie dokładnie, co to oznacza, więc odwraca się do Lyta i drwi:

– Lyt, nie chciałbym ci robić przykrości, ale twoja rodzina przychodzi na mecze oglądać KEVINA.

Cała szatnia wybucha szyderczym śmiechem. A Kevinowi udaje się uniknąć odpowiedzi, czy jego rodzice będą jutro na meczu. Pomijając, że Benji nigdy nie

ma snusu, trudno o lepszego kumpla.

Amat siedzi w kącie i udaje, najlepiej, jak potrafi, że kąt jest pusty. Jako najmłodszy w szatni, pędrak, śmiertelnie boi się zwracać na siebie uwagę, całkiem słusznie. Patrzy wysoko, tak aby unikać kontaktu wzrokowego, ale jednocześnie zdążyć zauważyć, jeśli ktoś chciałby czymś w niego rzucić. Ściany powyżej wieszaków przykryte są kartkami z hasłami: „Trenuj ciężko, wygrywaj łatwo”, „Drużyna zawsze na pierwszym miejscu”, „Gramy dla niedźwiedzia z przodu, nie dla nazwiska z tyłu”. Pośrodku, tak jakby było zupełnie nowe, wisi hasło napisane wyjątkowo dużą czcionką: „Nie umiemy przegrywać, bo przegrywać potrafiamy tylko ci, którzy przegrywają często”.

Amat traci na chwilę koncentrację i zbyt późno dostrzega idącego w jego kierunku Bobo. Gdy obrońca juniorów pochyła się nad nim całym swoim ciałem, Amat ginie w jego cieniu; czeka, aż Bobo go uderzy, ale ten zamiast tego uśmiecha się tylko. To oczywiście zawsze jest o niebo gorsze.

– Musisz wybaczyć chłopakom, wiesz, nie mają za grosz wychowania.

Amat mruga ciężko, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Bobo najwyraźniej to cieszy, odwraca się uroczyście w stronę pozostałych graczy, którzy czekają w milczeniu. Wskazuje rozzłoszczony na kawałki taśmy walające się po podłodze.

– Patrzcie na ten bałagan! He! Tak to ma wyglądać? Wydaje wam się, że wasze MAMY tu pracują, co?

Juniorzy rechoczą. Bobo maszeruje demonstracyjnie po szatni, zbierając kawałki taśmy, aż ma ich pełne garście. Podnosi je nad sobą, niczym nowo narodzone dziecko, napotyka wzrok Amata, uśmiecha się i wyjaśnia:

– To mama Amata tutaj pracuje, chłopaki!

Kawałki taśmy wirują chwilę pod sufitem, zanim opadną na chłopca w kącie, niczym małe ostre naboje. Ciepły oddech Bobo łaskocze mu ucho, gdy ten wydaje mu rozkaz:

– Byłbyś tak miły i zawołał matkę, pędraku? Strasznie tu brudno.

Szatnia opróżnia się w dziesięć sekund, gdy Bengt krzyczy: „JUŻ CZAS!”. Kevinowi schodzi najdłużej. Mija Amata, który na klęczkach zbiera kawałki taśmy, zagryzając dolną wargę.

– To tylko żart – informuje go Kevin bez cienia współczucia.

– Jasne. Tylko żart – powtarza cicho Amat.

– Znasz tę... Mayę... nie? – pyta Kevin już w drzwiach, tak jakby właśnie przyszło mu to do głowy.

Amat podnosi wzrok. Widział każdy trening juniorów w tym sezonie. Kevinowi rzeczy nie przychodzą tak po prostu do głowy. Wszystko, co robi, jest zawsze przemyślane i zaplanowane.

– Tak – mamrocze Amat.

– Ma chłopaka?

Amat ociąga się z odpowiedzią. Kevin bębni wyczekująco kijem o podłogę. Amat gapi się dłuższą chwilę na swoje dłonie, po czym jego głowa porusza się niechętnie kilka centymetrów w lewo i prawo. Zadowolony Kevin przytakuje i idzie w stronę lodowiska. Amat stoi w miejscu, zagryzając dolną wargę, oddycha ciężko przez nos, wyrzuca taśmę do kosza i poprawia ochraniacze. Ostatnie, co widzi na ścianie przed wyjściem z szatni, to ledwo widocznych osiem słów napisanych ołówkiem na poźółklej, zmiętej kartce: „Wymaga się wiele od tego, komu wiele dano”.

Amat gromadzi się razem z juniorami na środku tafli, na której namalowano dużego, groźnego niedźwiedzia. Symbol klubu: siła, skala, strach. Amat jest najmniejszy na lodzie, zawsze taki był; odkąd skończył osiem lat, wszyscy powtarzali, że nie da sobie rady na wyższym poziomie, że nie jest dość twardy, dość silny, dość duży. Rozgląda się i wie, że jutro ta drużyna gra w półfinale, jest jedną z czterech najlepszych drużyn juniorów w kraju. I on do niej należy. Patrzy na Lyta i Bobo, na Bengta i Davida, na Benjiego i Kevina i zamierza pokazać im, że potrafi grać. Nawet jeśli miałyby go to zabić.

Prawie nic nie potrafi wprawić Petera w tak zły humor jak hokej. Może to absurdałne, ale z drugiej strony prawie nic nie wprowadza go w lepszy humor niż hokej. Wałkuje i wałkuje swoje położenie, aż w biurze kończy mu się tlen. Kiedy wreszcie frustracja i mdłości stają się nie do wytrzymania, podnosi się i idzie na trybuny. Tam lepiej mu się myśli, siedzi więc i odbija swoją piłeczkę w górę i w dół, ze wzrokiem wlepionym w beton tak długo, że nie zauważa nawet, kiedy zaczyna się trening juniorów.

Sune wychodzi ze swojego gabinetu po kawę, w drodze powrotnej widzi Petera, który siedzi samotnie na trybunach. Sune wie, że dyrektor sportowy to już dorosły mężczyzna, ale staremu trenerowi trudno przestać widzieć w swoich chłopcach chłopców.

Sune nigdy mu nie powiedział, że go kocha. Dla przybranych ojców może być to tak samo trudne jak dla rodzonych. Ale wie, jak bardzo Peter boi się, że wszystkich zawiedzie. Wszyscy mężczyźni czegoś się boją, to ich napędza, a Peter najbardziej obawia się tego, że nie jest wystarczająco dobry. Niewystarczająco dobry jako tata, mąż, dyrektor sportowy. Stracił rodziców i pierwsze dziecko, każdego ranka opanowuje go panika, że straci Mirę, Mayę i Leo. Nie wytrzymałby, bojąc się, że straci jeszcze swój klub.

Sune widzi, jak Peter podnosi w końcu głowę i spogląda na juniorów na lodzie. Na początku trochę rozkojarzony, ale tak przyzwyczajony do oglądania ich treningów, że zlicza ich w myśli, nawet o tym nie wiedząc. Sune stoi w cieniu, tylko po to, żeby zobaczyć wyraz twarzy Petera, gdy to do niego dotrze.

Przez dziesięć lat Peter uczestniczył w tworzeniu tej grupy chłopców, zna wszystkie imiona, wie, jak nazywają się wszyscy rodzice. Odhacza ich po kolei w głowie, sprawdzając, czy któregoś nie brakuje, czy ktoś nie jest kontuzjowany, ale wszyscy zdają się być na lodzie. Właściwie to jest o jednego za dużo. Liczy jeszcze raz. Nie zgadza się. Wtedy dostrzega Amata. Najmniejszego i najlżejszego ze wszystkich, ze sprzętem, który nadal jest trochę za duży, dokładnie jak w szkółce łyżwiarskiej. Peter tylko się gapi. Po czym zaczyna śmiać się w głos.

Tyle razy dane mu było słyszeć, że ten chłopiec powinien skończyć grać, że nie będzie miał szans, a teraz stoi tam na lodzie. Nikt nie walczył mocniej o tę szansę, a David daje mu ją właśnie dzisiaj. To taki mały cud, w całej swej prostocie, a Peter potrzebuje dziś cudu.

Widząc to, Sune kiwa głową, zadowolony, ale i trochę przestraszony. Idzie z powrotem do swojego gabinetu, zamyka drzwi. Wieczorem będzie miał jeden ze swoich ostatnich treningów z pierwszym zespołem, a gdy sezon się skończy, pójdzie do domu i w głębi serca będzie sobie życzył tego, czego pragną wszyscy, którzy coś zostawiają – żeby to upadło. Żeby nic nie działało. Żeby okazało się, że jest się niezastąpionym. Ale nic takiego się nie wydarzy, lodowisko zostanie tam, gdzie jest, klub będzie istniał dalej.

Amat poprawia kask i wjeżdża prosto w środek starcia, zostaje ostro powalony na lód, ale zwawo się podnosi. Powalony ponownie znów się podnosi. Peter odchyła się do tyłu i uśmiecha tak szeroko jak wtedy, gdy prawie zasypia po dwóch tostach z serem i w połowie kieliszka wina – tak przynajmniej twierdzi Mira. Pozwala sobie na jeszcze kwadrans na trybunach, zanim wróci do biura. Z złejszym sercem.

Fatima stoi w toalecie i przeciąga się, ostrożnie i powoli, tak aby nikt nie usłyszał jej jęku bólu. Czasami dosłownie ześlizguje się rano z kanapy, bo mięśnie nie pozwalają jej usiąść. Ukrywa to, jak tylko się da, zawsze każe synowi siedzieć z przodu w autobusie, tak żeby był zwrócony w inną stronę, gdy podnoszą się do wyjścia, by nie widział jej miny. Dyskretnie wysuwa końce plastikowych worków w koszach na śmieci w gabinetach, aby nie musieć schylać się tak nisko, gdy trzeba je wymienić. Każdego dnia wynajduje nowe sposoby, jak ułatwić sobie pracę.

Przeprasza, wślizgując się do gabinetu Petera; gdyby tego nie zrobiła, nawet by jej nie usłyszał. Peter spogląda znad dokumentów, patrzy zdziwiony na zegarek.

– Ależ, droga Fatimo, co pani tu teraz robi?

Fatima cofa się przerażona dwa kroki.

– Przepraszam, że przeszkadzam, chciałam tylko opróżnić kosz i podlać kwiatki. Mogę przyjść później, jak już pan pójdzie do domu.

Peter śmieje się i drapie po czole.

– Nikt pani nie powiedział?

– Czego?

– O Amacie?

Za późno dociera do niego, że nie można w ten sposób zwracać się do matki. Ona natychmiast myśli, że syn albo brał udział w jakimś okropnym wypadku, albo został zatrzymany przez policję, nie ma nic pomiędzy, jeśli mówi się do rodzica: „Słyszałeś o swoim dziecku?”.

Peter obejmuje ją miękko w ramionach i prowadzi przez korytarz na trybuny. Zrozumienie, na co patrzy, zajmuje jej pół minuty. Potem ukrywa twarz w dłoniach i płacze. Syn na treningu juniorów, o głowę niższy od pozostałych. Jej syn.

Nigdy nie stała bardziej wyprostowana niż wtedy. Mogłaby przebiec tysiąc mil.

Juniorzy trenują spokojnie, mają powiedziane, by grać na siedemdziesiąt pięć procent, nikt nie chce złapać kontuzji przed meczem. Amat nie ma takiej możliwości, rzuca się w każdą sytuację, przyciska płozy łyżew do lodu tak mocno, jakby próbował dokopać się do betonu. Nic z tego nie ma. Juniorzy zahaczają go kijami, przewracają, dociskają do bandy, uderzają w nadgarstki i wyszukują każdą szczelinę w jego ochraniaczach, by zrobić mu krzywdę. Ktoś wali go łokciem w kark, Amat upada bezbrinnie na czworaka, widzi łyżwy Lyta zatrzymujące się zaraz przy nim i nie zdąża już zamknąć oczu, gdy deszcz lodu trafia go w policzki. David nie wydaje z siebie ani jednego dźwięku. Po trzech kwadransach Amat jest tak spocony, zmęczony i wściekły, że tylko ogromne opanowanie powstrzymuje go od krzyku: „Dlaczego ja? Po co mnie tu ściągaliście, skoro nie zamierzacie dać mi grać?”. Słyszy ich śmiech za plecami. Wie, że mogliby śmiać się jeszcze głośniejsze.

– Przecież mówiłem. Jest za słaby – prycha Bengt, gdy Amat podnosi się z lodu po raz setny.

David patrzy na zegarek.

– Jedziemy jeden na jednego. Amat na Bobo – instruuje.

– Chyba żartujesz? Amat ma za sobą dwa treningi z rzędu, ledwie żyje!

– Wystaw ich – odpowiada David.

Bengt wzrusza ramionami i sięga po gwizdek. David stoi nadal przy bandzie. Wie, że jego spojrzenie na hokej jest kontrowersyjne, że zawsze musi wygrywać, żeby klub pozwolił mu grać tak, jak chce. Ale tylko to go obchodzi. Nie ma zwycięzców bez przegranych, żadna gwiazda nie urodzi się bez poświęcenia kogoś z drużyny.

Jeden na jednego u Davida jest proste: na lodzie wzdłuż bandy ustawia się rząd pachółków, tak aby między nimi a bandą utworzył się „korytarz”. Naprzeciw siebie

obrońca i napastnik. Jeśli krążek opuści korytarz, wygrywa obrońca, tak więc ćwiczenie zmusza napastnika do znalezienia sposobu, by precyzyjnie się na wąskiej przestrzeni.

Bengt rozkłada pacholki w odległości siedmiu–ośmiu metrów od bandy, ale David nakazuje zwężenie korytarza. Bengt dziwi się, ale posłusznie wykonuje polecenie, David wskazuje ręką, by zawęził przestrzeń jeszcze bardziej. Kilku juniorów kręci się niespokojnie, nic nie mówiąc. W końcu korytarz ma około metra szerokości, jest tak wąski, że Amat nie będzie mógł wykorzystać swojej prędkości i przemknąć obok Bobo, musi spotkać się z nim oko w oko. Amat, jakieś czterdzieści kilo lżejszy od Bobo, też to zauważa. Jego uda krzyczą od nadmiaru kwasu mlekowego, gdy rozpędza się z krążkiem; ćwiczenie zakłada oczywiście pewną odległość między zawodnikami, ale Bobo się tym nie przejmuje. Najeżdża prosto na Amata i uderza go całym ciężarem ciała. Amat upada na lód jak worek z mąką. Gromki śmiech z boksu gospodarzy. David kiwa dłonią, żeby to powtórzyli.

– Wstawać, jak przystało na prawdziwych mężczyzn! – krzyczy Bengt.

Amat poprawia kask. Próbuje oddychać normalnie. Tym razem Bobo najeżdża szybciej, Amatowi ciemnieje przed oczami, a gdy otwiera je wbity w bok lodowiska, nie potrafi dokładnie powiedzieć, jak tam trafił. Nie słyszy już śmiechów z boksu, echo huczy mu w uszach. Podnosi się, zgarnia krążek. Bobo uderza go kijem prosto w pierś – to takie uczucie, jakby na pełnym gazie wjechać w nisko wiszącą gałąź.

– Na nogi! – ryczy Bengt.

Amat podnosi się na czworakach. Z ust leci mu krew, musiał ugryźć się w język lub wargę albo i w to, i w to. Bobo pochyla się nad nim, już nie jest mu tak wesoło. Wygląda na zaniepokojonego. Błysk współczucia w oku. Albo po prostu jakiegoś uczucia.

– Kurwa... Amat. Nie podnoś się. Nie widzisz, że David właśnie tego chce? Że po to cię tu ściągnął?

Amat spogląda w stronę boksu gospodarzy. David stoi tam niewzruszony z rękami na piersiach i czeka. Nawet Bengt wygląda na zaniepokojonego. I nagle do Amata dociera, co Bobo ma na myśli. Dla Davida liczy się jedynie wygrana, a tylko drużyny z poczuciem własnej wartości mogą wygrać ważne mecze. Więc co

robi David dzień przed najważniejszym meczem? Daje im wygrać z kimś słabszym. Amat nie jest dziś zawodnikiem, jest ofiarą.

– Nie podnoś się – prosi Bobo.

Amat nie słucha.

– Jeszcze raz – szepcze, trzęsąc udami. Gdy Bobo nie reaguje od razu, Amat uderza kijem o lód i krzyczy: – JESZCZE RAZ!

Nie powinien był tego robić. Słyszą go wszyscy zawodnicy. Nie pozostawia więc Bobo wyboru. Wzrok obrońcy ciemnieje.

– Okej, jak chcesz, zarozumiała idioto.

Amat rozpędza się, Bobo wyczekuje pośrodku, zmusza go do podjazdu pod bandę, nie patrzy na krążek, tylko uderza prosto w Amata. Napastnik, wywijając orła, trafia głową w bandę. Mija dziesięć sekund, zanim może podnieść się na kolana.

– Jeszcze raz? – warczy Bobo przez zaciśnięte szczęki.

Amat nie odpowiada. Pozostawia za sobą cienką stróżkę krwi, jadąc w kierunku drugiej niebieskiej linii, zabiera krążek i się ustawia. Widzi, jak Bobo się spina, krążąc złowróźnie wokół niedźwiedzia na środku lodowiska, po czym wjeżdża w korytarz, z zamiarem skończenia tego raz na zawsze. „Jak prawdziwy mężczyzna” – myśli Amat. Jak mężczyzna.

Skąd u niego tyle energii, by tak się rozpędzić? Tyle odwagi, by jechać prosto na Bobo po tym, jaki łomot już dostał. Ale w pewnym momencie w życiu albo się tonie, albo płynie i nic innego nie ma już znaczenia. Co jeszcze mogą mu zrobić? *Fuck them*. Bobo najeżdża z pełną siłą, ale w ostatnim momencie Amat, zamiast stać jak mężczyzna, zgina się wpół i widząc, że łyżwy Bobo skręcają, posyła krążek pomiędzy nimi, wykręcając się zwinnie ze starcia.

Jednym ruchem omija Bobo, kolejnym dosięga krążka, a w trzecim jest już w strefie ataku. Słyszy, jak za nim Bobo z hukiem wpada w bandę, ale teraz skupia się tylko na bramkarzu. Prowadzi krążek szeroko, prawa, lewa, prawa i czeka na przemieszczenie się bramkarza, czeka, czeka, czeka i gdy widzi, jak łyżwy tamtego skręcają o kilka milimetrów, strzela w okienko prosto w drugi róg. Omijając wszystkich. Siatka porusza się, gdy krążek trafia do bramki.

Lew pośród niedźwiedzi.

Bobo nadjeżdża w ślepej złości z drugiego końca lodowiska. Jest jednym z najgorzej jeżdżących zawodników, ale z kijem w uniesionej dłoni nadal ma taki rozpęd i przewagę wagową, że może posłać Amata do szpitala. Nie słyszy zwinnych, szybkich łyżew za sobą, więc ból jest szczególnie nieprzyjemny, gdy dostaje w szczękę z łokcia.

Kawałek dalej Amat upada z wyczerpania, nietknięty. Bobo leży na lodzie, mruży oczy od reflektorów, gdy pochyla się nad nim twarz Benjiego.

– Wystarczy – mówi Benji.

Bobo kiwa kurczowo głową. Benji pomaga mu wstać i poirytowany masuje sobie ramię.

Odgłos krążka trafiającego w siatkę może być najpiękniejszym dźwiękiem na świecie, gdy ma się piętnaście lat. Ale też wtedy, gdy ma się trzydzieści dwa.

– Wpisz go na jutro – mówi David, po czym opuszcza boks.

Gdy juniorzy idą do szatni, Amat nadal leży na lodzie. Głos Bengta dociera do niego jak przez mgłę gęstą niczym jogurt.

– Zbierz pacholki i krążki. Zawsze mówię chłopakom, że nie ma pieprzenia przed meczem, ale tobie to raczej nie grozi, więc po prostu odpuść sobie walenie konia, bo jutro grasz.

Doczołganie się do szatni zajmuje Amatowi godzinę. Jest pusta. Kaloryfer wyłączony. Jego buty pocięte na kawałki, a wszystkie ubrania wrzucone pod prysznic. To najpiękniejszy dzień w jego życiu.

Dziś, w sobotę, to wszystko się wydarzy. To najlepsze i to najgorsze.

Jest za piętnaście szósta rano, a Maya szuka tabletek przeciwbólowych w kuchennych szafkach. Ma gorączkę i katar. Wraca do łóżka i układa się obok Any. Prawie zasypia, gdy przyjaciółka kopie ją, mrucząc sennie:

– Zagraj coś dla mnie.

– Cicho.

– Zagraj coś dla mnie!

Maya burczy:

– Wiesz, mam do ciebie pytanie: zawsze móc słuchać, jak gram dla ciebie na gitarze, kiedy tylko mnie poprosisz, czy móc uniknąć ŚMIERCI PRZEZ ZATŁUCZENIE TĄ GITARĄ?

Ana złości się w ciszy przez dłuższą chwilę. Potem dotyka ostrożnie lodowatą stopą uda Mai.

– Proszę cię.

Maya poddaje się i zaczyna grać. Bo Ana uwielbia zasypiać przy dźwiękach gitary, a Maya uwielbia Anę. Zanim sama zaśnie, z bólem głowy i kaszlem, myśli tylko o tym, że cały dzień powinna zostać w łóżku.

Potem będzie żałować, że tego nie zrobiła.

Gdy Peter zatrzymuje samochód przed warsztatem w ostatnim domu na końcu miasta, za którym na zachód rozciąga się już tylko las, ogród spowija gęsty mrok. Przespał trzy bojaźliwe godziny i obudził się z ciężką głową.

W słabo oświetlonym garażu Knur, jego przyjaciel z dzieciństwa, stoi pochylony nad maską starego forda, który wygląda, jakby raczej potrzebował magicznych rytuałów niż klucza nastawnego. Od zawsze nazywano go Knurem, bo grał jak

dzik. Jest tak samo wysoki jak Peter, ale dwa razy szerszy; możliwe, że brzuch zrobił mu się trochę bardziej miękkimi od czasów, gdy grał w hokeja, ale mięśnie na rękach i ramionach nadal sprawiają wrażenie, jakby były wykute ze stali. Ma na sobie tylko koszulkę, mimo że drzwi do garażu stoją otworem. Podaje Peterowi rękę, nie zważając, czy ten ma gdzie potem wytrzeć kleistą maź z oleju i brudu, którą uścisk pozostawia na jego dłoni. Przy czym doskonale wie, że brud doprowadza przyjaciela do szału.

– Mira chyba mówiła, że miałeś go odstawić wczoraj. – Rechocze, wskazując w kierunku samochodu.

– Taki był plan – przyznaje Peter, walcząc z paniką spowodowaną brudem na palcach.

Knur śmieje się sucho, podaje mu szmatę i drapie się po brodzie tak gęstej i zarośniętej, że zaczyna przypominać włochatą kominiarkę.

– Wkurzyła się?

– Zadowolona nie była, że tak to ujmę – odpowiada Peter.

– Kawy?

– Masz parzoną?

Knur śmieje się w głos.

– Parzoną? Wielki pan się znalazł. W kącie masz czajnik i rozpuszczalną.

– Dam radę.

Knur klepie go umyślnie po rękę, przechodząc obok, Peter wyciera się poirytowany. Czterdzieści lat przyjaźni, nadal ten sam żart. Knur przynosi latarkę i wychodzi na ogród. Peter, dygocząc z zimna, staje obok z tym uczuciem bezużyteczności, które może wypełnić mężczyznę z pewnego pokolenia widzącego innego mężczyznę z tego samego pokolenia naprawiającego samochód jego żony. Knur podnosi się i szczerząc Peterowi fachowej terminologii, oznajmia:

– To tylko jakieś małe gówno. Bobo się tym zajmie, jak wstanie. Możesz go odebrać koło dziewiątej.

Wraca do garażu, roztargniony ściąga jedno z kół w fordzie i wygląda, jakby uważał, że to co najmniej tak samo kłopotliwe jak dla Petera wciśnięcie kartonów w odpowiedni kosz do segregacji. Bobo niestety odziedziczył po ojcu zarówno jego czystą siłę, jak i średnie umiejętności łyżwiarskie. Knur był w swoim czasie

budzącym postrach obrońcą, ale Sune zwykł o nim mawiać: „Ten chłopak potrafi się potknąć o niebieską linię na lodzie”.

– Może dasz dziś Bobo trochę pospać? Ma ważny mecz po południu – mówi Peter.

Knur unosi brew, nie podnosząc wzroku, przeciera dłonią pot z twarzy, zostawiając oleiste strużki na brodzie.

– Naprawa zajmie jakieś dwie godziny. Jeśli odbierzesz go koło dziewiątej, to Bobo nie musi zaczynać przed siódmą. To znaczy, że pośpi.

Peter otwiera usta, ale nic nie mówi. Mecz to mecz, ale jutro ta rodzina musi wstać i nadal się z czegoś utrzymywać. Bobo to solidny obrońca, ale nie ma w nim potencjału na zawodowca. W domu jest dwójka młodszego rodzeństwa, a światowa gospodarka nie czeka na nikogo. Niedźwiedzie srają w lesie, a wszyscy inni srają na niedźwiedzie.

Knur proponuje mu podwózkę do domu, ale Peter woli się przejść. Chce uspokoić nerwy. Mija fabrykę z coraz mniejszą liczbą pracowników. Supermarket, który wyparł mniejsze sklepiki. Wybiera drogę przez centrum, skręca na deptak z butikami. Z sezonu na sezon jest coraz mniejszy.

Ramona przekroczyła już wiek emerytalny, ale pozytywnym aspektem posiadania własnego pubu jest to, że nikt nie może jej zmusić do odejścia. Futro było jej, odkąd przestało należeć do jej mamy, wcześniej zaś należało do dziadka. Pub w dużej mierze wygląda dokładnie jak kiedyś, z tym wyjątkiem, że dziadek palił w środku, a Ramona na zewnątrz. Trzy przed śniadaniem, odpalając jednego od drugiego. Chłopcy grający tu codziennie w bilard i pijący na kreskę nazywają ją czule „Marlboromamą”. Ramona nie ma własnych dzieci. Holger nie mógł ich mieć, może też i nie czuł potrzeby. Zwykł mawiać, że poza Ramoną jedyna rodzina, jaka go obchodzi, to rodzina sportowa. Zapytany kiedyś, czy jest jakiś sport, którego nie lubi, odpowiedział: polityka, powinni przestać pokazywać ją w telewizji. Gdyby dom się palił, to Holger pierwszą ratowałby Ramonę, a ona w rękach trzymałaby karnet na Björnstad Hockey. To był ich sport. Swoją najgłośniejszy śmiech, najcieplejsze uściski dłoni zostawił na trybunach. To ona paliła, ale to on dostał raka. „Cierpię na ironiczną chorobę” – deklarował beztrąsko. Ramona nie pozwala nikomu mówić, że „umarł”; twierdzi, że ją opuścił,

bo tak też to widzi. Jako nielojalność. Stoi tak w śniegu, niczym nagi pień, odarty z kory, bezbronny, gdy jego już nie ma.

Nauczyła się, jak przetrwać kolejne dni. Nie miała wyboru. Gdy popołudniami kończy się zmiana w fabryce, Futro wypełnia się młodymi mężczyznami, których nazywa „chłopcami”, chociaż policja i klub nadają im o wiele gorsze miano. Pakują się czasem w straszne gówno, ale kochają Ramonę, tak jak tylko Holger potrafił, więc czasem chroni ich aż za bardzo, zdaje sobie z tego sprawę. Björnstad wydaje na świat twardych ludzi, a warunki życia nie czynią jej chłopców delikatniejszymi, ale to jedyne, co jej po nim pozostało, tylko tak może być blisko wspomnień.

Śmierć czyni dziwne i niepojęte rzeczy z kochającymi się duszami. Ramona nadal mieszka nad pubem, kilku chłopców, którzy jeżdżą ciężarówkami w magazynach supermarketu, robi dla niej zakupy, odkąd mały spożywczak po drugiej stronie ulicy splajtował, bo starsza kobieta nie rusza się już dalej niż do popielniczki za drzwiami wejściowymi. Minęło jedenaście lat, odkąd Holger ją opuścił, ale podczas każdego meczu pierwszego zespołu, nawet gdy bilety są całkowicie wyprzedane, na trybunach są dwa puste miejsca.

Peter widzi ją z daleka. Ramona czeka, aż podejdzie.

– Szuka pan szanowny czegoś? – pyta.

Zestarzała się, ale jest jak jej pub – zawsze taka sama. Ci, którym nie podoba się, że Futro daje wieczorami schronienie miejscowym chuliganom, przyrównują ją do nieprzyjemnej baby ze społecznymi fobiami na dobrej drodze do wariatkowa, ale mimo że Peter rzadko ją obecnie spotyka, to widząc ją, nadal czuje się, jakby wracał do domu po długiej podróży.

– A nie wiem jeszcze. – Peter się uśmiecha.

– Zestresowany przed meczem?

Nie musi odpowiadać. Ramona gasi trzeciego papierosa o podeszwę buta, wkłada niedopałek do pudełka i proponuje:

– Whisky?

Peter spogląda w niebo. Miasto niedługo się obudzi i wydaje się, że nawet słońce planuje wstać wcześniej. Wszyscy budzą się zatopieni w marzeniu o tym, że mecz juniorów wszystko zmieni. Czy dzięki niemu władze gminy znów zwrócą wzrok w stronę lasu? Otworzą liceum hokejowe, a może i galerię handlową? Zmieniają opis

drogi z obecnego „Jeśli dojechałeś do Björnstad, to jesteś za daleko” na „Podążaj tą drogą, mijając Hed”. Peter spędził tyle czasu na przekonywaniu o tym innym, że sam już nie wie, czy nadal w to wierzy.

– Chętnie napiję się kawy – odpowiada.

Ramona śmieje się ochryple i schodzi ociężale z powrotem do pubu.

– Tak to jest z synami ojców, którzy aż za bardzo lubili whisky: albo pijecie ją bez przerwy, albo nigdy. W takich rodzinach nie ma nic pomiędzy.

Zanim Peter skończył osiemnaście lat, był więcej razy w Futrze niż później. Zdarzało się, że musiał nieść ojca do domu, czasem pomagał mu pobić jakiegoś komornika z Hed, skoro i tak był już na chodzie. Wszystko wygląda tu dokładnie tak samo jak wtedy. Może trochę mniej śmierdzi papierosami, ale zważywszy na to, czym innym może śmierdzieć w pubie w piwnicy, nie była to zbyt pozytywna zmiana. Oczywiście, teraz jest tu pusto. Peter nigdy nie przychodzi wieczorami, bo nie jest to miejsce zbyt bezpieczne dla zdrowia, gdy jest się dyrektorem sportowym w klubie, którego pierwszy zespół gra poniżej swoich możliwości. Starsi panowie przy barze zawsze mieli dużo do powiedzenia, ale od młodszych można teraz dostać więcej niż tylko ostre słowo. Pewnemu typowi ludzi w mieście przemoc buzuje tuż pod skórą. Peter nigdy nie doświadczył tego w dzieciństwie, ale zaobserwował to już po powrocie z Kanady. Cicha złość ze strony tych, którym nie wyszły hokej, szkoła lub finanse albo którym nie chciało się znaleźć dla niej innej drogi ujścia. Nazywa się ich teraz „Grupą”, chociaż nikt nie słyszał, by sami tak o sobie mówili.

Fanklub drużyny hokejowej od zawsze nazywał się „Ursus Arctos” i oficjalnie to do niego należą mężczyźni przesiadujący w Futrze, dokładnie tak samo jak emeryci, przedszkolanki i rodzice z małymi dziećmi na miejscach siedzących na trybunach. „Grupa” działa bez kart członkowskich i koszulek. Miasto jest wystarczająco małe dla dużych tajemnic i Peter wie, że nawet w najlepszych dniach jest ich nie więcej niż trzydziestu–czterdziestu. To jednak wystarczy, by w trakcie meczów pierwszego zespołu dla zapewnienia bezpieczeństwa żądać dodatkowego wsparcia ze strony policji. Zawodnicy zwerbowani z innych miast, których aktywność na lodzie nie odpowiadała wysokości miesięcznej pensji, zjawiali się nagle w gabinecie Petera z zamiarem podarcia kontraktu i wyprowadzki. Zadający niewygodne pytania dziennikarz następnego dnia zdaje się w ogóle nie zainteresowany tematem. „Grupa” sprawiła, że przeciwnicy boją

się przyjeżdżać do Björnstad. Niestety, boją się również sponsorzy. Dwudziestolatkowie z Futra stali się najbardziej konserwatywnymi członkami społeczności; nie chcą mieć nowoczesnego Björnstad, bo wiedzą, że nowoczesne Björnstad nie będzie ich chciało.

Ramona puszcza kubek z kawą po barze i puka w stół.

– Chcesz coś z siebie wydusić?

Peter drapie się po głowie. Marlboromama zawsze była najlepszym psychologiem w mieście. Nawet jeśli jej najbardziej popularne zalecenie brzmi: „Weź się w garść, inni mają gorzej”.

– Po prostu mam dużo na głowie. – Spogląda na ściany pełne koszulek zawodników, ich zdjęć, proporczyków i szalików. – Kiedy ostatni raz widziałaś jakiś mecz?

– Zanim opuścił mnie Holger. Przecież wiesz, chłopcze.

Peter obraca kubek w dłoniach. Wyciąga portfel. Mimo że Ramona macha przecząco ręką, zostawia pieniądze na barze.

– Jak nie chcesz pieniędzy za kawę, to dołóż je do funduszu.

Kobieta kiwa z uznaniem głową i zabiera banknoty. Fundusz to skarbonka w jej sypialni. Wyciąga z niej pieniądze, gdy któryś z chłopców traci pracę i nie radzi sobie z rachunkami.

– Jeden z twoich dawnych kolegów z pierwszej linii właśnie ich potrzebuje. Robban Holts został dopiero co zwolniony z fabryki. I spędza tutaj za dużo czasu.

– Oj nie – mówi Peter, bo nie wie, co innego miałby powiedzieć.

Miał zamiar zadzwonić do Robbana z Kanady, a potem też już po przeprowadzce. Zamiary się nie liczą. Dwadzieścia lat to za dużo, by wiedzieć, jak rozpocząć teraz rozmowę. Powinien przeprosić? Ale, za co? Jak? Jego wzrok krąży znów po ścianach.

– A więc hokej. Zastanawiasz się czasem, Ramono, co to za dziwny sport? Zasady, lodowisko... Kto na to wpadł?

– Ktoś, kto pijanym facetom z bronią chciał zapewnić trochę mniej niebezpieczną rozrywkę? – odpowiada stara właścicielka baru.

– Mam na myśli... Kurczę... Może to zabrzmie trochę idiotycznie, ale nie zastanawiasz się czasem nad tym, czy nie traktujemy tego zbyt poważnie? Czy nie

wywieramy na juniorach zbyt dużej presji? To przecież jeszcze... dzieci.

Ramona nalewa sobie whisky. Śniadanie to w końcu najważniejszy posiłek w ciągu dnia.

– To zależy pewnie od tego, czego żądamy od dzieci. I czego one żądają od hokeja.

Peter trzyma kurczowo kubek.

– A czego my żądamy, Ramono? Co nam może dać sport? Poświęcamy mu całe życie i na co możemy liczyć w najlepszym wypadku? Kilka chwil... zwycięstw, kilka sekund, dzięki którym czujemy się więksi, niż w rzeczywistości jesteśmy, kilka odosobnionych momentów, gdy łudzimy się, że jesteśmy... nieśmiertelni. A przecież to kłamstwo. Nic z tego nie jest ważne.

Zalega między nimi niewzruszona cisza. Dopiero gdy Peter posyła kubek z powrotem po barze i podnosi się do wyjścia, stara wdowa dopija swoją whisky i odburkuje:

– Jedyne, co daje nam sport, to chwile. Ale do cholery, czym więcej jest życie, jeśli nie chwilami?

Najlepszy psycholog w mieście.

Mira zbiera ochraniacze Leo, składa jego pranie, pakuje mu torbę na trening i stawia ją w przedpokoju. Syn ma dwanaście lat i powinien robić to już sam, Mira zdaje sobie z tego sprawę. Ale wie też, że to ona podrzuca go na trening i to ona będzie musiała wrócić prosto do domu, żeby przywieźć połowę rzeczy, których Leo zapomniał spakować. Zdąży jeszcze usiąść na pół godziny przy komputerze. Gdy Leo był w podstawówce, na jednej z rozmów rozwojowych usłyszała od nauczyciela, co syn opowiada o pracy rodziców: tata zajmuje się hokejem, mama pisaniem mejli.

Mira nastawia kawę, odhacza punkty na swoich listach i w kalendarzu, z ciężkim sercem wciąga głęboko powietrze. „Zespół lęku napadowego” – stwierdził pół roku temu psycholog, do którego Mira już więcej nie poszła. Wstydziła się. Tak jakby to życie nie było wystarczająco szczęśliwe, jakby nie była zadowolona – jak miała wytłumaczyć rodzinie tę nazwę? Zespół lęku napadowego, co to w ogóle jest? Adwokat, żona dyrektora sportowego, hokejowa mama, wszyscy

święci na ziemi wiedzą, że uwielbia swoje role, ale czasem, jadąc w jednym lub drugim kierunku, zatrzymuje samochód w środku lasu, siedzi w ciemności i płacze. Przypomina sobie wtedy swoją mamę, ocierającą łzy z policzków dzieci i szepczącą: „Nikt nie mówił, że będzie łatwo, takie życie”. Rodzic jest niczym za mały kocyk. Jakkolwiek próbowaloby się przykryć nim wszystkich, to i tak zawsze ktoś marznie.

Budzi Leo koło ósmej, jego śniadanie stoi już na stole, za pół godziny zawiezie go na trening. Potem wróci do domu, by zabrać Anę i Mayę, tak aby mogły za darmo popracować w sklepiku podczas meczu juniorów. Po rozgrywkach trzeba podwieźć Leo do jakiegoś kolegi, Mayę pewnie też. Mira ma nadzieję, że potem zdążą z Peterem wrócić do domu, wypić kieliszek wina, może nawet zjeść kawałek odmrożonych lasagne, zanim on uśnie z wyczerpania, a ona do północy odpowiadać będzie na mejle, które nigdy się nie kończą. Jutro niedziela i trzeba wyprać stroje hokejowe, spakować torby na trening i obudzić dzieci. A w poniedziałek znów do pracy, która, szczerze powiedziawszy, ostatnio idzie do dupy. Odkąd odmówiła objęcia stanowiska szefa, wymagania wobec niej, o dziwo, wzrosły, wie, że wolno jej przychodzić ostatniej i wychodzić pierwszej tylko dlatego, że jest najlepsza w tym, co robi. Ale już od dawna sama nie czuje, że jest swoją najlepszą wersją. Nie ma na to czasu. Jest jej za mało.

Gdy dzieci były małe, obserwowała innych rodziców tracących rozum na trybunach lodowiska, nie rozumiała ich. Teraz wszystko jest jasne. Dziecięce hobby to nie tylko ich hobby, rok za rokiem rodzice przeznaczają na nie tyle czasu, tyle mu poświęcają, płacą takie pieniądze, że wartość dziecięcego hobby wgryza im się w mózgi. Zaczyna symbolizować inne rzeczy, kompensuje lub uwydatnia własne niepowodzenia.

Mira wie, że to idiotyczne, wie, że to tylko głupi mecz w głupich rozgrywkach, ale głęboko w środku czuje również niepokój i jest jej niedobrze, ze względu na Petera, juniorów, klub i miasto. Głęboko w środku również i ona chciałaby coś wygrać.

Wchodzi do pokoju Mai, zbiera ubrania z podłogi i kładzie dłoń na czole córki, gdy ta jęczy cicho przez sen. Czoło córki jest ciepłe. Za kilka godzin Mira zdziwi się, że córka dobrowolnie, niemal ekstatycznie będzie się upierać, by jechać na halę. Chociaż zwykle Maya jest temu tak przeciwna, że nawet rozdwojoną końcówkę włosa potrafiłaby podać jako pretekst do opuszczenia meczu.

Po fakcie mama będzie sobie wyrzucać, że nie zmusiła jej do pozostania w domu.

Nie wiedzieć dlaczego, wiele rzeczy sprawia ludziom ból. Obawa może być wewnętrznym prawem grawitacji, obkurczać duszę. Benji zawsze z łatwością zasypiał, nigdy natomiast dobrze nie spał. W dniu meczu budzi się wcześniej, nie kieruje nim jednak zdenerwowanie, bo ono nie ma racji bytu w jego ciele. Wyjeżdża z domu, zanim jeszcze wstanie mama, zostawia rower na skraju lasu i ostatnie kilometry do hodowli Adri przemierza pieszo. Siedzi na zewnątrz i głaska psy, aż zjawiają się jego pozostałe siostry, Katia i Gaby, i całują go we włosy. Zaraz po nich pojawia się najstarsza siostra i uderza go mocno z otwartej dłoni w kark, pytając, czy to prawda, że nazwał swoją nauczycielkę „cukierkową majteczką”. Benji nigdy nie okłamuje Adri. Siostra uderza go ponownie po głowie, po czym równie mocno całuje, szepcząc, że go kocha i że nigdy nie może mu się stać żadna krzywda, ale jeśli jeszcze raz usłyszy, że znów tak nazwał nauczycielkę, to go zabije.

Czworo rodzeństwa je śniadanie w otoczeniu psów, prawie nie odzywając się do siebie. Spotykają się tak raz do roku, na pamiątkę, zawsze dostatecznie wcześniej rano, by mama jeszcze spała i się o tym nie dowiedziała. Nigdy nie wybaczyła mężowi. Gdy to się wydarzyło, Benji był jeszcze za mały na nienawiść, a siostry znajdują się gdzieś pomiędzy. Każdy prowadzi swoją własną walkę. Gdy Benji się podnosi, żadna nie proponuje, że mu potowarzyszy, nie pyta, dokąd się wybiera. Całują go tylko jedna po drugiej, mówią mu, że jest idiotą i że go ubóstwiają.

Benji wraca przez śnieg do roweru, jedzie na cmentarz, gdzie skulony i oparty o nagrobek Alana Ovicha pali trawę, aż ból staje się wystarczająco miękki, by pozwolić spłynąć łzom. Koniuszki palców chłopca przesuwają się po zniszczonych literach w nazwisku na nagrobku. Tego dnia piętnaście lat temu, wczesnym rankiem w marcu, Alan wziął strzelbę, zanim jeszcze rodzina zdążyła się obudzić, po czym zabrał ze sobą wszystko, co sprawiało mu ból, i poszedł prosto do lasu. Nie ma znaczenia, ile razy spróbujesz wytłumaczyć to dziecku. Gdy traci się w ten sposób rodzica, wie się, że dorośli kłamią, mówiąc: „To nie była twoja wina”.

To boli. A dusza się obkurcza.

Minuty skradają się w kierunku lunchu. Kevin jest w ogrodzie, miękkim, kontrolowanym ruchem prowadzi krążek po lodzie pomiędzy czterdziestoma ustawionymi w skomplikowany wzór szklanymi butelkami. Innym może się to zdawać niezrozumiale szybkie, ale dla niego każdy ruch nadgarstka jest ociężały. Nie wie dlaczego, ale czas płynie mu wolniej niż pozostałym. Gdy był mały, starsze dzieciaki biły go, bo grał lepiej od nich, aż pewnego dnia na treningu pojawił się znikąd Benji. Przez wiele miesięcy nocowali u siebie nawzajem każdego dnia, z latarkami pod kołdrą czytali należące do sióstr Benjiego stare komiksy z superbohaterami, życie obu stało się logiczne. Połączyły ich własne supermoce.

– Synku? – przerywa mu mama Kevina; stoi w drzwiach na taras i wskazuje na zegarek.

Kiedy Kevin podchodzi do niej, mama wyciąga ostrożnie rękę i strzepuje mu śnieg z ramienia, trochę dłużej niż zwykle, delikatniej, niż jest do tego przyzwyczajony. Mama zagryza wargę.

– Denerwujesz się?

Kevin kręci głową. Mama kiwa dumnie.

– Musimy już jechać, tacie udało się nas przebukować na wcześniejszy lot do Madrytu. Wyrzucimy cię pod lodowiskiem.

– Może uda wam się zobaczyć pierwszą tercję?

W jej oczach widzi, jak matka się rozsypuje. Ale nigdy się do tego nie przyzna.

– Śpieszmy się, synku, twój tato ma ważne spotkanie z klientem.

– To partia golfa – syczy Kevin, tylko na tyle potrafi się jej przeciwstawić.

Mama nie odpowiada. Kevin wie, że nie ma sensu tego ciągnąć, najważniejszą rzeczą w tym domu nie jest hokej, tylko unikanie rozmów o uczuciach. Przegrywasz, jeśli podniesiesz głos, dostajesz wtedy kartkę „nie da się z tobą dyskutować, gdy krzyczysz” i gdzieś w domu zamykają się drzwi. Kevin idzie w stronę korytarza.

Mama się waha. Znow wyciąga rękę w kierunku jego ramienia, ale powstrzymuje się i zamiast tego delikatnie gładzi go po szyi. Jest szefem w dużej firmie, lubianym przez swoich pracowników właśnie ze względu na wrażliwość

i empatię, tak jakby było jej łatwiej, gdy między ludźmi są tytuły. Przez wiele lat kładła się wieczorami z marzeniami o tym wszystkim, co zrobi, gdy będzie starsza i będzie miała czas, teraz budzi się nocami zdezorientowana, bo nie może już sobie przypomnieć, co to były za rzeczy. Chciała zapewnić Kevinowi to, czego sama jako dziecko nigdy nie miała, zawsze myślała, że na wszystko inne też wystarczy czasu. Rozmowy i słuchanie. Lata lecą za szybko, gdzieś pomiędzy jej godzinami pracy a treningami Kevina chłopiec dorósł. Nigdy nie zdążyła się nauczyć, jak komunikować się z własnym dzieckiem, kiedy najpierw trzeba przechylić głowę do tyłu, by móc mu spojrzeć w oczy.

– Przyjdziemy na finał! – obiecuje, tak jakby było oczywiste, że żyje w świecie, w którym nie do pomyślenia jest, że finał odbędzie się bez jej syna.

Przed kafeterią nadal jest pusto, chociaż hala lodowiska zapełnia się już ludźmi. Mira parzy kawę i wyciąga z zamrażalnika bułki do kiełbasek. Maya wygląda przez okno.

– Kogo tak wypatrujesz? – drażni się Ana.

Maya posyła jej ostre spojrzenie, po którym Ana składa dłonie na ustach i naśladuje ochrypy głos komunikatu z kokpitu:

– Panie i panowie, prosimy państwa o nieotwieranie opakowań z orzeszkami podczas lotu, ponieważ mamy na pokładzie alergików.

Maya kopie ją w łydkę. Ana odskakuje, nie przerywając:

– Mogą Państwo EWENTUALNIE powoli zlizać sól z orzesz...

Mira widzi i słyszy wszystko, prawie wszystko też rozumie, ale siedzi cicho. Wydaje się niemożliwe pozwoić córce dorosnąć, ale jaki ma się wybór? Mira też miała kiedyś piętnaście lat i niestety, pamięta dokładnie, co chodziło jej wtedy po głowie.

– Idę do samochodu po mleko – tłumaczy się, gdy widzi, że Ana jest blisko powiedzenia czegoś, czego ani matka, ani córka nie są gotowe usłyszeć w swoim towarzystwie.

Ojciec czeka już w samochodzie, prosi Kevina, by ten usiadł z przodu, po czym zaczyna go przepytować przed sprawdzianem z angielskiego w poniedziałek. Cała egzystencja ojca jest dążeniem do perfekcji, całe jego życie to szachownica, na

której nie jest zadowolony, gdy nie wyprzedza reszty o dwa ruchy. „Sukces nie wynika z przypadku. Los może dać ci pieniądze, ale nigdy sukces” – zwykł mówić. Jego bezwzględność w interesach odstrasza ludzi, ale Kevin nigdy nie widział, żeby ojciec podniósł na kogoś rękę lub chociaż krzyknął. Zdarza mu się być nawet czarującym bez opowiadania przy tym niczego prywatnego. Nie traci panowania nad sobą, nigdy się nie emocjonuje, bo ludzie żyjący przyszłością się tak nie zachowują. Dziś jest mecz hokeja, ale w poniedziałek syn ma sprawdzian z angielskiego. Dwa ruchy do przodu przed innymi.

– Mój obowiązek to być twoim ojcem, nie kolegą – wyjaśnił, gdy Kevin przed wieloma laty wspomniał, że mama Benjiego jest prawie na każdym meczu. Nie musiał się złościć, by Kevin zrozumiał: mama Benjiego nie wspierała corocznie klubu milionowymi sumami, nie pilnowała, żeby reflektory na lodowisku działały. Dzięki temu miała zapewne więcej czasu, by oglądać mecze.

Benji wybiera drogę od strony jeziora, by móc sobie zapalić, tak by nikt go nie zobaczył i żeby mama Lyta znów nie czuła się w obowiązku pisać petycji. Jak wtedy, gdy w czasach przedszkola Lyt zobaczył Benjiego jedzącego cukierki, chociaż nie była to sobota. Mama Lyta bardzo broni sprawiedliwości i równości, jak długo oczywiście zgadza się to z jej teorią, co te słowa znaczą. Prawie wszyscy rodzice są tacy. Benji zawsze uważał, że bycie dorosłym w tym mieście musi być straszne. Zakupuje niedopałek w śniegu, po czym stoi wśród drzew z zamkniętymi oczami, zastanawiając się, czy po prostu nie odwrócić się i nie pójść w innym kierunku. Daleko od tego wszystkiego. Ukraść jakiś samochód i zostawić za sobą Björnstad. Czy to uczyniłoby go szczęśliwszym?

Parking przy hali lodowiska jest wypełniony ludźmi. Tata Kevina zatrzymuje samochód kawalek dalej.

– Nie zdążymy dziś stanąć i porozmawiać. – Wskazuje na pozostałych sponsorów i rodziców na parkingu; są tak samo zafascynowani pieniędzmi rodziny Erdahlów jak ich dzieci hokejem Kevina.

Gdy dorasta się w rodzinie, w której nigdy nie mówi się o uczuciach, szybko zaczyna się wyłapywać niuanse takich wypowiedzi. Ojciec nie musi przeproszać Kevina, że nie podrzuca go pod drzwi, i tak właśnie zrobił. Poklepują się krótko po ramieniu. Kevin wysiada.

– Do usłyszenia potem – mówi ojciec.

Kevin dzwoni do niego od razu po każdym meczu. Niektórzy ojcowie pytają: „Wygraliście?“, ale jego pyta: „Jak dużo wygraliście?“. Kevin słyszy, że ojciec zawsze zapisuje wyniki – całą jedną część piwnicy zajmują schludnie ułożone pudła wypełnione grubymi zeszytami ze staranną statystyką z każdego meczu Kevina, odkąd był małym chłopcem. Z pewnością wielu uważa, że to błąd pytać swojego syna: „Ile strzeliłeś bramek?“ zamiast „Strzeliłeś jakaś bramkę?“, ale zarówno ojciec, jak i sam Kevin odpowiedzieliby na to to samo: „Ile bramek strzelili ich synowie?“.

Kevin nie pyta ojca, czy zdąży zobaczyć pierwszą tercję, zamyka za sobą drzwi, zarzuca torbę na ramię, tak jakby to była najzwyczajniejsza na świecie sobota. Ale gdy samochód zawraca, Kevin odwraca się i patrzy za autem, aż to zniknie mu z oczu. Na parkingu wokół niego jest więcej rodziców niż zawodników. Dla nich nie jest to najzwyczajniejsza na świecie sobota.

Z jakiegoś powodu mama Kevina obraca się i patrzy przez tylną szybę; zwykle tego nie robi, szanuje decyzję męża, by nie być sentymentalnym i uczyć syna samodzielności. W sąsiedztwie na Wzgórzu widzieli już rozpuszczone dzieciaki, triumf przeciętności, przeniańczone, słabe ciamajdy, które całe życie będzie trzeba prowadzić za rękę. Nie chcą, by to spotkało Kevina. Nawet gdy matce sprawia to ból, nawet gdy syn w podstawówce musiał wracać sam po ciemku z Hed, bo ojciec chciał go nauczyć, jakie mogą być skutki nieprzychodzenia na czas, nawet gdy mama musiała udawać, że śpi, gdy dotarł w końcu do domu. Nawet gdy cicho płakała w poduszkę. Jest przekonana, że to, co wygodne dla rodziców, nie musi być najlepsze dla dziecka, a Kevin wyrasta na silnego mężczyznę, bo dali mu taką możliwość.

Ale mama na zawsze zapamięta też, co widziała w tylnej szybie tej soboty, gdy jej syn stał na parkingu. W najważniejszym dniu w swoim życiu był najsamotniejszym chłopcem na ziemi.

Amat robi wszystko, by wyglądało to, jakby po prostu dziwnym trafem przechodził obok kafeterii. Ale to tak jakby udawać, że całkowicie niechcący zjadło się lody najlepszemu przyjacielowi. Mira idzie w drugim kierunku, ale pozdrawia go radośnie i trochę zbyt głośno:

– Cześć, Amat! Szukasz Mai?

W tym momencie Amat nie czuje się już wcale jak James Bond. Mira wskazuje wesoło na kafenię i zbiega po schodach, obraca się jednak i woła:

– Powodzenia dziś! – Po czym napina mięśnie i warczy dramatycznie, jak robią to piętnastolatki w mieście, gdy życzą sobie nawzajem powodzenia: – Załatw ich!

Amat uśmiecha się zawstydzony. W kafeterii Ana i Maya podnoszą głosy, dyskutując burzliwie, więc Mira śpieszy na dół, zanim któraś z dziewczyn powie o chłopakach coś, czego mózg matki nie będzie mógł wyprać mydłem, wodą ani znaczącymi ilościami rieslinga.

Kevin nie słyszy, gdy Benji staje obok niego. Przyjaciel kładzie mu rękę na ramieniu i nawet słowem nie wspomina, że oczy Kevina błyszczą. W zamian za to Kevin nie mówi nic o rocznicach i cmentarzach. Zawsze tak było. Patrzą sobie tylko w oczy i mówią to, co zawsze przed meczem:

– Co jest najfajniejsze na świecie?

Gdy Kevin nie odpowiada natychmiast, Benji szturcha go łokciem w brzuch.

– Co jest na DRUGIM miejscu, gwiazdorze?

– Seks... – Kevin się uśmiecha.

– No dobra, ale NAJPIERW ty i ja wchodzimy do tej hali i robimy to, co NAJFAJNIEJSZE na świecie! – wykrzykuje Benji, wymachując torbą tak zamaszyście, że przyjaciel aż musi przykucnąć.

W drodze do szatni Kevin podnosi brew i pyta:

– Byłeś już w toalecie?

Podczas jednego z pierwszych wspólnych meczów Benji posikał się w boksie. Nie dlatego, że nie zdążył, ale dlatego, że jeden z dzieciaków z drużyny przeciwnika przez cały mecz próbował blokować Kevina, więc Benji odmówił opuszczenia bosku, by nie przegapić zmiany i nie zostawić Kevina bez ochrony.

Benji rechocze. Kevin też. Po czym biorą kije i idą robić to, co najfajniejsze na świecie.

– Ale słyszałaś te najnowsze kawałki? Są totalnie INSANE! Czujesz się jak na haju od samego słuchania! – krzyczy Ana.

– Czego ty nie rozumiesz? Nie lubię techno! – odwrzaskuje Maya.

– To nie TECHNO! To HOUSE! – odparowuje urażona Ana.

– *Whatever*. Podoba mi się muzyka, w której ktoś potrafi grać na chociaż JEDNYM instrumencie i której tekst składa się z więcej niż PIĘCIU słów.

– Jezu, kiedy ty w końcu zaczniesz słuchać czegoś, co nie jest soundtrackiem samobójstwa? – zastanawia się Ana, zgarniając włosy na twarz i naśladując ulubiony rodzaj muzyki Mai, z nieskończone długimi gitarowymi akordami i jęczącym tekstem: *I'm so sad, wanna die, because my music suuuucks...*

Maya śmieje się w głos i odpowiada, kręcąc pięścią w powietrzu, z drugą ręką na niewidzialnym laptopie:

– Okej, a to twoje gusta: *Umpty-umpty-umpty...* DRUGS! YEAH! *Umpty-umpty-umpty!*

Amat chrząka obok nich. Dziewczęta skaczą po całej kafeterii jak szalone, tak że Ana przewraca cały stos pudeł z żelkami. Maya przystaje i śmieje się w głos.

– Wszystko... w porządku? – pyta Amat.

– My się jedynie bardzo, ale to bardzo interesujemy muzyką. – Maya się uśmiecha.

– Okej, ja... no wiesz, ja... przechodziłem tylko obok, ja... może będę mógł zagrać – mówi Amat.

Maya kiwa głową.

– Słyszałam. Moje gratulacje.

– W sumie to pewnie będę siedział w boksie. Ale jestem w... drużynie... ja, jeśli nie masz żadnych planów na później. Na wieczór, znaczy się. Albo jeśli masz... Chciałem tylko zapytać, czy my... to znaczy, czy chciałabyś... ze mną...

Ana potyka się na dwóch opakowaniach żelków i wywraca niemal całą lodówkę z napojami. Maya śmieje się tak, że prawie się dusi.

– Przepraszam, Amat, przepraszam, co mówiłeś?

Amat właśnie ma odpowiedzieć, ale nie jest mu to dane. Nagle obok niego pojawia się Kevin, który nie ma zamiaru udawać, że przypadkiem przechodził obok. Przyszedł tu ze względu na Mayę. Dziewczyna przestaje się śmiać, gdy go zauważy.

– Cześć – mówi Kevin.

– Cześć – odpowiada Maya.

– Masz na imię Maya, prawda?

Dziewczyna przytakuje z rezerwą. Przygląda mu się od stóp do głów.

– Tak, a ty?

Kevinowi zajmuje chwilę, zanim dociera do niego, że żartuje. Wszyscy w Björnstad wiedzą, jak się nazywa. Śmieje się.

– Efraim Gównołap.

Kłania się teatralnie, chociaż nigdy nie zdarza mu się żartować w ten sposób. Maya chichocze. Amat stoi obok, nie mogąc znieść, że najpiękniejszy na świecie dźwięk nie jest przeznaczony dla niego. Kevin spogląda zafascynowany na Mayę.

– Mamy imprezę u mnie w domu dziś wieczorem. Świątujemy zwycięstwo. Rodziców nie ma.

Maya podnosi sceptycznie brew.

– Zdajesz się być pewny, że wygracie.

Kevin nie rozumie pytania.

– Ja zawsze wygrywam.

– A no chyba że tak, Efraimie Gównolebie.

– GównoŁAPIE, jeśli mógłbym prosić. – Kevin się uśmiecha.

Maya się zaśmiewa. Ana podnosi się zawstydzona z podłogi i poprawia włosy.

– Będzie... Benji? Na imprezie?

Maya kopie ją w łydkę. Kevin kiwa z zadowoleniem głową.

– Widzisz? Weź ze sobą przyjaciółkę. Będzie fajnie. – Po czym odwraca się po raz pierwszy w stronę Amata, wykrzykując: – Też będziesz, nie? W końcu jesteś teraz członkiem drużyny!

Amat stara się wyglądać pewnie. Kevin jest dwa lata od niego starszy i gdy stoją obok siebie, widać to jeszcze bardziej.

– Czy ja też mogę zabrać koleżkę? – pyta cicho.

– Sorry, Ahmed! Wjazd tylko dla drużyny, chyba rozumiesz, nie? – odpowiada Kevin, waląc go po plecach.

– Amat, mam na imię Amat – mówi chłopak, ale Kevina już nie ma.

Chichoczące Maya i Ana znikają wewnątrz sklepienia. Amat zostaje sam w korytarzu.

Jeśli tylko będzie mu dane rozstrzygnąć wynik dzisiejszego meczu, nic go przed tym nie powstrzyma.

Z drużyny można być dumnym z różnych powodów. Z miejsca, wspólnoty albo jakiejś konkretnej osoby. Oddajemy się sportowi zarówno dlatego, że ukazuje nam, jacy jesteśmy mali, jak i dlatego, że czyni nas wielkimi.

Mira zostawia dziewczynki w kafeterii i śmieje się mimochodem. Gdyby Peter słyszał, co opowiadała kolegom, gdy sama miała piętnaście lat, potrzebny byłby defibrylator. Na początku byli sobą całkowicie zaskoczeni, ona nazywała go „jedynym pruderyjnym hokeistą”, a on zasłaniał uszy, gdy żartowała z pozostałymi barmanami. Przywykła do tego, że jest jedyną kobietą w swoich miejscach pracy, nie miało znaczenia, czy było to biuro adwokackie, czy knajpa, ale testosteron nigdy nie stanowił dla niej problemu. To Peter musiał oddychać w papierową torebkę, gdy na jednym z niewielu oficjalnych obiadów drużynowych, kiedy żony były jeszcze zapraszane, pozbawiony przednich zębów gracz pierwszego zespołu, mając nadzieję, że to obrzydzi Mirę, poinformował ją, że „wytarł fiuta w każdą jebaną szklankę w tym lokalu”. Odpowiedziała mu szczegółowo, opisując damską wersję jego zabawy, a bezzębny zawodnik nie miał odwagi spojrzeć na nią do końca wieczoru. Peter wstydził się tamtego dnia. Wstydzi się cały czas. Ostatni zawstydzony neandertalczyk. Minęło tyle lat, a oni nadal potrafią zadziwić siebie nawzajem. To nie tak źle.

Mira przemierza halę w stronę parkingu, ale zatrzymuje się przy lodowisku i przez chwilę się w nie wpatruje. Jakkolwiek by się starała, to w tym świecie będzie tylko żoną Petera. Zakłada, że wszyscy dorośli zastanawiają się czasem nad życiem, które gdzieś tam istnieje, które mogłoby być ich. Częstotliwość chwil zastanowienia przesądza pewnie o tym, jak szczęśliwy może być człowiek. Jej mama zwykła mawiać, że Mira jest nie tylko nieuleczalną romantyczką, ale jednocześnie nieuleczalnym wojownikiem. Mira przypuszcza, że to prawda, biorąc pod uwagę, że grali razem z Peterem ze trzy razy w kręgle i nadal są małżeństwem. Za trzecim razem guglowali „dyżurną poradnię małżeńską” o wpół

do drugiej w nocy. Boże, jak ona potrafi się czasem na niego wkurzyć, a jednocześnie, Boże, jak ona go kocha – to nigdy nie była miłość, która rosła, ona ją pochłonęła. To ciągły stan wyjątkowy. I jedyne, czego sobie życzy, to by doba miała czterdzieści osiem godzin. Nie jest chciwa, wystarczyłoby jej trzydzieści sześć. Dobry Jezu, chciałaby tylko zdążyć wypić drinka i obejrzeć jakiś serial, czy prosi o zbyt wiele? Chciałaby mieć czas, by uszyć wystarczająco duży koc.

Mira myśli o drugim życiu zdecydowanie za często. O tym, które przypadło w udziale komuś innemu. Gdy Peter dostał zawodowy kontrakt, tak bardzo się cieszyła, ze względu na niego. Gdy zakończył karierę, cieszyła się ze względu na siebie. Bo znalazło się miejsce dla niej. Czy kiedykolwiek mu się do tego przyzna? Że ten krótki okres, gdy nie był ani zawodnikiem, ani dyrektorem sportowym, tylko sprzedawał ubezpieczenia i starał się być zadowolony, to najlepszy czas, jaki Mira pamięta? Jak można się przyznać do czegoś takiego komuś, kogo się kocha?

Gdy zmarł Izaak, wszyscy robili za nich wszystko. Gdy ich płuca przestały pracować, potrzebowali dodatkowej miłości, która mogłaby im dać sztuczny oddech. Mira podjęła więc najtrudniejszą w swoim życiu decyzję: zrozumiała, że musi oddać Peterowi hokej.

Istnieje cienka granica między życiem a przeżyciem, ale pozytywnym skutkiem ubocznym bycia zarówno romantyczką, jak i wojowniczką jest to, że człowiek nigdy się nie poddaje. Mira wyciąga mleko z samochodu, przystaje i śmieje się sama do siebie, ostatnio nauczyła się robić to coraz częściej. Następnie bierze do ręki zielony szalik z napisem Björnstad Hockey i zawiązuje go sobie wokół szyi. W drodze powrotnej wita się i ściska z ludźmi w tych samych barwach, przez chwilę wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Nie trzeba rozumieć wszystkiego w hokeju, by go kochać, i nie trzeba kochać tego miasta, żeby być z niego dumnym.

Peter krąży wokół lodowiska niczym wykluczony upiór, cały jego dzień to seria sekund, w których wchodzi do jakiegoś pokoju, natychmiast zapominając, po co tam poszedł. W korytarzu koło swojego gabinetu rozkojarzony wpada na Fraka, co jest pewnym wyczynem, bo Fraka nie jest mały. Ma ponad dwa metry wzrostu i jeszcze więcej w talii, niż gdy razem grali w finale. To był zawsze ten typ chłopaka, który kompensował brak pewności, ściągając na siebie jak najwięcej uwagi: mówił głośno jak dziecko ze słuchawkami na uszach, a gdy byli nastolatkami, chodził na imprezy w garniturze, bo przeczytał w jakiejś gazecie, że

dziewczyny to lubią. Pod koniec liceum zmarł jeden ze sponsorów klubu i całej drużynie zapowiedziano, że na pogrzeb mają przyjść w garniturach. Gdy Frak o tym usłyszał, pojawił się na ceremonii we fraku. Właśnie w ten sposób zyskał swój przydomek.

Teraz jest właścicielem dużych sklepów spożywczych, jednego tutaj i drugiego w Hed, i jeszcze kilku w miejscach, których Peter nie miał siły zapamiętać, gdy Frak o tym opowiadał. Facet gada tyle, że wyrzucono go już z każdej drużyny łowieckiej w całej okolicy, bo nie potrafi być cicho nawet w lesie. Za każdym razem, gdy razem grali, Frak miał w zwyczaju gestykulować, wymachując żywo długimi rękoma, gdy sędzia odgwizdał jakieś przewinienie. Śmiech, płacz, zwątpienie i wściekłość na przemian ogarniały go tak szybko, że Sune mawiał, że trenuje „mima, któremu nie zamyka się gęba”. Frak był przeciętnym graczem, ale uwielbiał rywalizację. To uczyniło z niego ponadprzeciętnego sprzedawcę, gdy skończył się hokej. Teraz co roku zmienia samochód, a na ręce ma ogromnego jak ciśnieniomierz rolexa. Trofea w innym sporcie.

– Ale heca, co? – Ogromny sprzedawca artykułów spożywczych uśmiecha się szeroko, spoglądając na Petera.

Znajdują się naprzeciw starego zdjęcia drużynowego. Stoją na nim obok siebie.

– Teraz ty jesteś dyrektorem sportowym, a ja głównym sponsorem. – Frak rechocze w taki sposób, że Peter nie przypomina mu nawet, że jest zwykłym sponsorem, nie głównym.

– Tak. To jest... coś – dodaje.

– Troszczymy się o siebie, prawda? Niedźwiedzie z Björnstad! – grzmi Frak, zanim Peter zdąży go powstrzymać:

– Spotkałem wczoraj Kevina Erdahla. Zapytałem go, czy się denerwuje. Wiesz, co odpowiedział? „Nie”. Więc zapytałem go, jaką taktykę przygotował na mecz, i wiesz, co mi powiedział? „Wygrać”. Po czym spojrzał mi prosto w oczy i dokończył: „To przecież dlatego sponsoruje pan klub, prawda? Żeby mieć zysk z inwestycji”. Siedemnaście lat. Czy myśmy też tak gadali, jak mieliśmy po tyle lat?

Peter nie odpowiada. Nie może sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miał siedemnaście lat. Podchodzi do automatu z kawą, który znów się zepsuł, trzeszczy i tłucze się, zanim z wielką niechęcią wypluje z siebie coś w kolorze przeżutego

snusu i o konsystencji kleju. Peter i tak ją pije. Frak drapie się po jednym z podbródków i ścisza głos:

– Widzieliśmy się z władzami gminy, kilku sponsorów i paru ludzi z zarządu, tak... no wiesz, trochę nieformalnie.

Peter szuka śmietanki i próbuje dać mu do zrozumienia, że nie chce tego słuchać. Frak zdaje się nie zauważać aluzji.

– Gdy juniorzy wygrają finały, zainwestujemy w liceum hokejowe w mieście. W innym wypadku to wygląda chujowo, no wiesz, pod kątem PR. No i toczą się jeszcze dyskusje o remoncie hali lodowiska...

– Też nieformalnie ma się rozumieć. – Peter chrząka, ponieważ wie, że „nieformalnie” w języku polityków w gminie oznacza, że jedną ręką poklepuje się po plecach, podczas gdy druga, wypchana banknotami, trafia do kieszeni kogoś innego.

Frak klepie Petera po plecach i kiwa głową w stronę gabinetu.

– Kto wie, Peter, może nawet będzie nas stać na automat do espresso dla ciebie!

– Podziękował – odburkuje Peter.

– Zakładam, że nie masz tu żadnego alkoholu. – Frak ruchem głowy wskazuje na gabinet.

– Zdenerwowany przed meczem, co? – Peter się uśmiecha.

– A czy da Vinci miał rabat na brązowy, jak malował Mona Lisę?

Peter śmieje się, wskazując na gabinet obok jego pokoju.

– Dyrektor na pewno ma flaszczkę.

Twarz Fraka rozplywa się w uśmiechu. Peter woła za nim jeszcze:

– Frak, ale tym razem bez ściągania koszuli, okej? Nie tak jak w ćwierćfinałach! Rodzicom się to nie podobało!

– Obiecuję! – kłamie Frak i dodaje, niby od niechcienia, jakby nie taki miał właśnie plan przez ten cały czas: – Napijemy się jeszcze razem kieliszeczek przed meczem, nie? Możesz pić wodę, jak wolisz. Albo jakiś napój czy co tam lubisz. Zaprosiłem kilku sponsorów, pomyślałem, że moglibyśmy chwilę porozmawiać. Tak... nieformalnie.

Po chwili wraca z butelką i dyrektorem. Czoło błyszczy mu od potu jak wyczyszczony lód, pod pachami ma ciemne plamy. Dopiero w tym momencie do

Petera dociera, że wpadł w zasadzkę.

Nigdy dotąd Fatima nie była w hali lodowiska tak wypełnionej ludźmi. Do tej pory oglądała mecze Amata w drużynie młodzików, na które przychodzili tylko rodzice zawodników i ich zmuszone do tego młodsze rodzeństwo. Dzisiaj natomiast na parkingu dorośli ludzie błagają o to, by móc kupić bilety cztery razy drożej niż zwykle. Amat kupił swoje dwa już dawno temu, nawet ją to zastanawiało, dlaczego nie chce iść jak zwykle z Zachariaszem, ale syn odpowiedział, że chce jej pokazać, z kim już wkrótce będzie grał. Działo się to zaledwie kilka tygodni temu, ale wtedy jeszcze między bajki można było włożyć nadzieję, że ten dzień nadejdzie tak szybko. Fatima trzyma bilety mocno w ręce, stara się być jak najbardziej niewidoczna i nie wchodzić nikomu w drogę w tym tłumie, ale najwyraźniej jej to nie wychodzi.

– Ej, ty! Mogłabyś się tym zająć?

Fatima się odwraca. Zdenerwowana Maggan Lyt wskazuje ręką w jej stronę, a później na ziemię, na upuszczoną przez kogoś szklaną butelkę.

– Może przyniosłabyś miotłę? Chyba zdajesz sobie sprawę, że ktoś może na nią nadepnąć? Jakies dziecko!

Kobieta, która upuściła butelkę – Fatima rozpoznaje matkę jednego z zawodników – nie wygląda, jakby sama miała zamiar ją podnieść. Już jest w drodze do swojego miejsca na trybunach.

– HALO! Słyszysz, co się do ciebie mówi? – wybucha Maggan, łapiąc Fatimę za ramię.

Fatima kiwa głową i chowa bilety do kieszeni. Schyla się po butelkę. Nagle jakaś inna ręka zatrzymuje ją w połowie ruchu.

– Fatima? – Mira uśmiecha się uprzejmie, zanim znacznie mniej uprzejmie odwraca się w stronę Maggan Lyt: – A pani jaki ma problem?

– Jaki mam problem? Ona tu chyba pracuje, nie? – syczy Maggan.

– Ale nie dziś – odpowiada Mira.

– Jak to nie dziś? To niby co tu dziś robi?

Fatima prostuje plecy, robi niewielki krok do przodu, tak mały, że jest widoczny tylko dla niej. Patrzy Maggan prosto w oczy:

– Nie nazywam się „ona”. Jestem tu, gdy pani o mnie mówi. I przyszedłam tu z tego samego powodu co pani. Zobaczyć, jak gra mój syn.

Mira nigdy w życiu nie widziała bardziej dumnego człowieka. Ani też tak osłupiałej Maggan. Gdy tłum porywa mamę Lyt, Mira podnosi butelkę z podłogi. Fatima szepcze:

– Przepraszam, Miro, ja... nie jestem przyzwyczajona, czy ja... czy ja mogłabym dziś siedzieć obok ciebie?

Mira zagryza wargę. Łapie Fatimę mocno za rękę.

– Droga Fatimo, to ja chciałabym cię zapytać, czy mogłabym siedzieć obok ciebie.

Sune siedzi w najwyższym rzędzie trybun. Sponsorzy mijający go na schodach udają, że go nie widzą, więc wie, o czym będą rozmawiać w gabinecie, do którego wszyscy się udają. Zadziwiająco, że nie czuje już złości. Ani żalu. Jedynie zmęczenie. Polityką, pieniędzmi i wszystkim w tym klubie, co nie ma nic wspólnego ze sportem. Jedynie zmęczenie. Może więc wszyscy oni mają rację. Może już tu nie pasuje.

Wciąga długo powietrze przez nos i spogląda na лёd. Kilku pojedynczych zawodników z drużyny przeciwnej, z przerażenia już przebranych, krąży, rozgrzewając się. Nerwy są zawsze takie same. Sune odnajduje w tym pewien rodzaj ukojenia; to nadal tylko sport, nieważne, co mężczyźni w gabinecie chcieliby z niego uczynić. Krążek, dwie bramki, gotowe do walki serce. Niektórzy twierdzą, że hokej jest jak religia, ale to nieprawda. Hokej jest jak wiara. Religia to coś między tobą a innymi ludźmi, jest pełna interpretacji, teorii i opinii. Wiara natomiast... jest tylko między tobą a Bogiem. To uczucie w piersi, gdy sędzia wyjeżdża na лёд i staje między dwoma rozpoczynającymi grę zawodnikami, odgłos uderzających o siebie kijów, czarny krążek opadający pomiędzy nimi. Wszystko rozgrywa się wtedy między tobą a hokejem. Drzewo wiśniowe zawsze pachnie wiśnią, pieniądze natomiast nie mają zapachu.

David stoi w korytarzu dla zawodników i widzi sponsorów zmierzających w stronę gabinetów. Wie, co o nim mówią, jak perorują o jego sukcesie, ale zdaje sobie również sprawę, jak się to zmieni, gdy za rok pierwszy zespół nie dorówna temu sukcesowi. Boże, czy w tym mieście ktoś w ogóle rozumie, jak niesamowita jest ich

drużyna juniorów? W hokeju nie ma już kopciuszków, duże kluby przechwytyją mniejsze, jeszcze zanim zawodnicy wejdą w wiek nastoletni. Nawet tutaj, w Björnstad, gdzie – o dziwo – wszyscy chłopcy zostali w klubie, jest tylko jeden zawodnik na poziomie prawdziwej ekstraklasy, reszta przegrałaby z najlepszymi w kraju w stu meczach na sto. Ale mimo wszystko są tutaj teraz. To drużyna pełna trzmieli.

Ludzie pytają go często o jego „taktyczny sekret”. Nie odpowiada im, bo i tak by nie zrozumieli. Taktycznym sekretem jest miłość. Został trenerem Kevina, gdy ten był wystraszonym siedmiolatkiem, którego inne dzieciaki zatłukłyby na śmierć, jeśli nie chroniłby go Benji. Benji już wtedy był najodważniejszym małym diabłem, jakiego David kiedykolwiek widział, a Kevin był najlepszy. David nauczył ich obu jeździć na łyżwach, tyle samo do tyłu co do przodu. Wpoił im, że przyjęcia są tak samo ważne jak strzały, całe treningi kazał Benjiemu grać bez kija i wiele tygodni z rzędu zmuszał Kevina do grania kijem wyprofilowanym w złą stronę. Ale nauczył ich też, że mają tylko siebie, że jedyne osoby na świecie, którym mogą ufać, to te obok na lodzie, a jedyni ludzie, którzy odmówią powrotu do domu, zanim Benji i Kevin wrócą do autobusu, to członkowie ich drużyny.

To David nauczył ich oklejać taśmą kije i ostrzyć łyżwy, ale również to on pokazał im, jak wiązać krawat i się golić. No w każdym razie... „podbródek”. Reszty nauczyli się sami. Wybuchają niekontrolowanym śmiechem za każdym razem, gdy przypomina sobie, jak trzynastoletni Bobo, ten zagubiony hiperaktywny mały grubasek, odwrócił się w szatni w stronę Benjiego i zapytał, czy jeśli goli się fiuta, to również powinno golić się tyłek. „Myślisz, że laski lubią wszystko wygolone?” Gdy David był juniorem, przytrzymywanie młodszych zawodników i golenie im na siłę włosów łonowych należało do chrztu nowych. Postrzegano to jako coś poniżającego. Nie wie, co teraz jest poniżające, ale podejrzewa, że dzisiejsze nastolatki bałyby się nawet groźby przytwierdzenia taśmą do krzesła i przymusowego czekania, aż włosy znów odrosną.

Hokej zmienia się cały czas, tak samo jak ludzie, którzy w niego grają. Gdy David był juniorem, jego trener wymagał w szatni bezwzględnej ciszy, tymczasem drużyna Davida wypełnia ją śmiechem. Młody trener wiedział, że poczucie humoru jednoczy ludzi, więc gdy chłopcy byli jeszcze mali i zdenerwowani, opowiadał im jakiś kawał przed meczem. Ich ulubiony z dzieciństwa brzmiał tak: „Wiesz, jak można zatopić łódź podwodną z Hed? Wystarczy podpłynąć i zapukać

do drzwi. A wiesz, jak można zatopić ją jeszcze raz? Podpływasz i pukasz do drzwi, bo wtedy gospodarze otworzą z gromkim: »Nie, nie, kolejny raz się na to nie nabierzemy!«». Gdy chłopcy trochę podrośli, ich ulubionym żartem było: „Wiesz, skąd wiadomo, że w Hed jest wesele? Wszyscy w kościele siedzą po tej samej stronie”. Potem zrobili się już wystarczająco duzi na własne dowcipy, a David zostawiał ich w szatni samych coraz częściej. Bo czasem nieobecność trenera również jednoczy grupę.

Patrzy na zegarek i liczy minuty do rozpoczęcia meczu. Sponsorzy na trybunach nigdy nie pojmą jego taktyki gry, bo nie rozumieją, ile chłopcy w drużynie są gotowi poświęcić dla siebie nawzajem. Podczas gdy sponsorzy wydzierają się, że powinien „nastawić drużynę ofensywnie”, on cierpliwie przydzielił zawodnikom wyraźne role, wyuczył ich kierunku podania krążka i zajmowania dokładnych pozycji, taktyki obronnej, kątów podań i odbić, nauczył ich oceniać sytuację i eliminować błędy. I tego, że jeśli uda im się zniwelować przewagę techniczną i szybkość przeciwników, ściągnąć ich do swojego poziomu, sfrustrować i zirytować, to wygrają, bo mają to, czego nie ma nikt inny – Kevina. Jeśli ten będzie miał choć jedną szansę, to strzeli dwa gole, a jak długo obok niego krąży Benji, to ta szansa na pewno się pojawi.

– Mieście w dupie trybuny i to, co mówią ludzie – powtarzał David. Jego taktyka wymaga bezwzględnej uległości, pokory i zaufania, dziesięciu lat treningów i harówki; jeśli Björnstad przegra w każdej statystyce poza tą zliczającą gole, to David powie każdemu z tych chłopców w szatni, że wykonali swoją robotę. Ufają mu. Kochają go. Gdy mieli po siedem lat, obiecał im, że wyniesie ich na samą górę, i dotrzymał danego słowa, choć wszyscy się z tego śmiali.

Zanim odwróci się w kierunku szatni, zauważa Sunego siedzącego samotnie w najwyższym rzędzie trybun. Ich wzrok spotyka się na krótko. Kiwają sobie nawzajem. Bo nawet jeśli ciągle się za sobą kłócili, to David doskonale wie, że ten uparty stary dziad jest jedynym człowiekiem w tym klubie, który to rozumie. Rozumie miłość.

Są tacy, którzy twierdzą, że w hokeju wszystko jest białe albo czarne. Nie mają o tym bladego pojęcia. Fatima i Mira siedzą już na swoich miejscach, gdy nagle Mira przeprosza i się podnosi, przechodzi na schody i zatrzymuje mężczyznę w średnim wieku, w którym Fatima rozpoznaje jednego z kierowników z fabryki. Mira z poirytowaniem w oku chwyta za jego czerwony szalik.

– Jezu, Krister, myśl trochę, co? Ściągnij to!

Mężczyzna, najzwyczajniej nieprzyzwyczajony do wysłuchiwania uwag, szczególnie ze strony kobiet, patrzy na nią tępo.

– Ty tak na poważnie?

– A TY tak na poważnie? – wybucha Mira tak, że aż tłum na schodach odwraca się w ich stronę.

Mężczyzna rozgląda się wokół z nagłym niepokojem na twarzy. Wszyscy patrzą na niego. Nie wie, kto ze stojących za nim ludzi mamrocze: „Krister, do cholery, ona ma przecież rację!”, ale nagle do mamrotu dołączają inni. Mężczyzna ściąga powoli szalik z szyi i chowa go w kieszeni. Jego żona pochyła się przepraszając w stronę Miry.

– Próbowałam mu to wyperswadować. Ale wiesz, jacy są faceci. Czasem w ogóle nie rozumieją hokeja.

Mira wybucha śmiechem, po czym wraca na miejsce obok Fatimy.

– Czerwony szalik, facet jest chyba nienormalny, nie? Przepraszam cię, o czym to rozmawialiśmy?

Nic w Björnstad nie jest czarne lub białe. Tylko czerwone albo zielone. A czerwony to kolor Hed.

Amat koniuszkami palców dotyka szwów koszulki meczowej. Ciemnozielonej ze srebrnymi cyframi i brązowym niedźwiedziem na piersi. Kolory Björnstad: las, lód i ziemia. Ma numer osiemdziesiąt jeden, w młodzikach był zawsze dziewiątką, ale

w juniorach to numer Kevina. Szatnia to dziś całkowity chaos. Benji, numer szesnaście, śpi wprawdzie jak zwykle zwinięty w kącie, ale pozostali zawodnicy siedzą ściśnięci na ławkach, dociskani dodatkowo przez rodziców, tym bardziej podnieconych i głośnych w swoich technicznych instrukcjach, im bliżej początku meczu. Dotyczy to każdego sportu – rodzice uważają, że ich wartość ekspercka rośnie wraz ze wzrostem umiejętności dziecka. Tak jakby nie było dokładnie na odwrót.

Hałas jest nie do zniesienia, najgłośniej wydziera się Maggan Lyt, to rodzaj przywileju, który sobie rości w związku z tym, że jej syn gra w pierwszej linii. Mama Benjiego nigdy nie była w szatni, mama Kevina prawie nie pojawia się na hali, więc Maggan rządzi tu od lat. Do trzynastego roku życia Williama rozwiązywała mu tu łyżwy po każdym meczu, razem z mężem poświęcili drugi samochód i nieskończoną liczbę wyjazdów zagranicznych, by było ich stać na dom zaraz obok Erdahlów, tak aby chłopcy mogli się przyjaźnić. Jej frustracja, że Williamowi nigdy nie udało się wejść pomiędzy Kevina a Benjiego, zaczyna już przeradzać się w czystą agresję.

Gdy przychodzi David, szatnia eksploduje od wyrzutów, pytań i żądań dorosłych. Trener mijają ich, jakby nie istnieli, za nim idzie Bengt, wyganiając rodziców w stronę drzwi. Maggan Lyt jest tak urażona, że aż odpycha jego dłoń.

– Jesteśmy tu przecież, żeby wspierać drużynę!

– Od tego mamy trybuny – odpowiada David, nie patrząc na nią.

Maggan traci panowanie nad sobą.

– A pan? Co z PANEM? Co to za przywództwo? Jak można dokonywać zmian w drużynie akurat w TYM meczu?

David unosi ze zdziwieniem brew. William Lyt wygląda, jakby chciał umrzeć.

– Co ON tu robi? – pyta z żądaniem w oczach Maggan, wskazując na Amata.

Amat zdaje się podzielać życzenie Williama. David specjalnie odpowiada cicho, zmuszając tym samym dorosłych do zamilknięcia.

– Nie uzasadniam przed nikim mojego wyboru składu na mecz.

Puls w skroniach Maggan bije niczym dzwony kościelne.

– Uzasadni go pan przede MNA, niech to będzie dla pana jasne. Przez dziesięć lat ci chłopcy grali dla pana, a teraz, podczas najważniejszego meczu, wybiera pan sobie jakiegoś MŁODZIKA? – Robi zamaszysty gest dłonią w stronę pozostałych

rodziców, wymuszając tym samym z ich strony kiwanie głowami i ukryte za chrząkaniem przytakiwanie, po czym wbija wzrok w Davida. – Ma pan pojęcie, jak ważny jest dla nas ten mecz? Dla nas wszystkich? Zdaje pan sobie sprawę, ile poświęciliśmy dla hokeja?

Amat kręci się nerwowo, najchętniej wybiegłby na korytarz, zostawił za sobą halę i nigdy już tu nie wrócił. Nie czuje się pewniej, widząc, że twarz trenera nabiega krwią tak szybko, że nawet Maggan cofa się do ściany.

– I to pani będzie mi opowiadać o poświęceniu? – David kieruje się prosto na nią, nie dając jej możliwości odpowiedzi. – Proszę na niego spojrzeć! – żąda, wskazując na Amata, i zanim Maggan zdąży zareagować, łapie ją za ramię i ciągnie za sobą, aż stają przed chłopcem. – Proszę na niego spojrzeć! Będzie tu pani stać i opowiadać, że pani syn zasłużył na to bardziej niż on? Chce mi pani powiedzieć, że wasza droga tutaj była taka sama? Chce mi pani powiedzieć, że wasza rodzina walczyła o to bardziej niż on? PROSZĘ NA NIEGO POPATRZEĆ!!!

Maggan Lyt cała się trzęsie, gdy ją puszcza. David klepie Amata szybko po ramieniu, jego kciuk dotyka szyi chłopca, a wzrok spotyka jego oczy. Ani słowa. Tylko to.

Po czym trener przechodzi na drugą stronę szatni, kładzie dłoń na policzku Williama Lyta i szepcze:

– Gramy dla nas. Dla nikogo innego. Ty i ja, gramy dla nas. Bo jesteśmy tu tylko dzięki nam samym. Nikomu innemu.

William kiwa głową i ociera oczy.

Bobo uderza nieprzerwanie stopami o podłogę. Nie może usiedzieć spokojnie. Po wyrzuceniu rodziców z szatni cisza staje się tak intensywna, że aż dławi. Bobo nie może wtedy usiedzieć cicho, nigdy nie potrafił, nie jest Kevinem czy Benjim, zawsze musiał walczyć o uwagę, o środek szatni. Odkąd pamięta, zawsze bał się kątów, bycia zapomnianym, niezaaprobowanym. Widzi, jak pochylają się głowy najlepszych przyjaciół, i tak bardzo chciałby stanąć przed nimi i wygłosić jakąś inspirującą mowę, taką, jakie widzi się na filmach, ale nie znajduje odpowiednich słów ani głosu. Chce po prostu zabić ciszę. Więc podnosi się i odchrząkuje:

– Ej, chłopaki! Co mówi jedna wampirzyca lesbijka do drugiej?

Juniorzy podnoszą ku niemu zdziwiony wzrok.

Bobo rechocze. – „Widzimy się za miesiąc!”

Kilku chłopaków wybucha śmiechem, tyle wystarczy, by Bobo nie przestawał.

– Wiecie, co jest najczęstszą przyczyną śmierci lesbijek?

Jeszcze kilku zaczyna chichotać.

– Włosy w żołądku – wtóruje Bobo i rzuca się na wielki finał:

– A dlaczego lesbijki są takie sztywne? BO MAJĄ W DUPIE JAJA!

Cała szatnia rechocze. Z nim albo z niego, nie ma to znaczenia. Jak długo rechoczą. Upojony uznaniem wypala w stronę Davida, do tej pory niewzruszonego:

– A trener ma jakiś dobry kawał?

W szatni zapada cisza. David siedzi bez ruchu. Twarz Bobo robi się najpierw czerwona, następnie biała. Bengt jednocześnie przychodzi mu z odsieczą i go niszczy:

– A wiecie, czemu Bobo płacze i bolą go uszy po seksie?

Bobo kręci się zdezorientowany. Kilku chłopaków znów zaczyna wyczekująco chichotać. Na twarzy Bengta pojawia się niepokojąco szeroki uśmiech.

– Dziewczyna użyła gazu łzawiącego i alarmu osobistego!

Grad śmiechu juniorów sprawia, że szatnia aż się trzęsie. Na końcu śmieje się nawet David, który po fakcie jeszcze wiele razy wróci myślami do tej chwili: czy dowcip to zawsze tylko dowcip, czy właśnie ten nie był za mocny, czy w szatni obowiązują inne zasady niż poza nią, czy dopuszczalne powinno być przekraczanie pewnej granicy, by przełamać napięcie i nerwowość przed meczem, i czy powinien zareagować na dowcip Bengta. Ale teraz nie reaguje. Pozwala wszystkim się śmiać. Będzie o tym pamiętał po powrocie do domu, gdy spojrzy w oczy swojej dziewczyny. Właściwie nigdy tego nie zapomni.

Amat siedzi w kącie i słyszy samego siebie, jak zanosi się śmiechem. Bo to przynosi ulgę. Bo sprawia, że czuje się częścią drużyny. Bo to przyjemne być jak wszyscy inni w grupie. Będzie się tego wstydził całe życie.

Benji budzi się dopiero, gdy Kevin go szarpie. Umiejętność przespania zarówno taktycznej pyskówki Maggan Lyt, jak i dowcipu Bengta to jeden z jego

najcenniejszych talentów, możliwość przespania obu to już przywilej. Zawsze znaleźli się rodzice kwestionujący zachowanie Benjiego na lodzie i poza nim, ale David odpowiadał im niezmiennie w ten sam sposób: „Jeśli pozostali gracze dawaliby z siebie na lodzie chociaż odrobinę tego, co Benji, nie ruszyłoby mnie nawet, gdyby spali w boksie”.

Bobo opada na ławkę, nastolatek unicestwiony przez dorosłego mężczyznę na oczach swoich przyjaciół. Obok niego siada inny dorosły, kładąc mu rękę na ramieniu i kciuk na szyi. Bobo podnosi wzrok. David uśmiecha się do niego.

– Jesteś najbardziej dobrodusznym graczem, jakiego mam w drużynie, wiesz o tym, nie?

Bobo zaciska usta, David pochyła się ku niemu.

– Będziesz dziś grał w trzeciej linii obrony i wiem, że jesteś tym zawiedziony.

Bobo walczy z płaczem. W dzieciństwie był najlepszym obrońcą drużyny dzięki swoim rozmiarom i sile, ale w ostatnich latach pokonała go słaba technika jazdy. Najpierw zleciał do drugiej linii. Teraz do trzeciej. David trzyma miękko dłoń na jego karku i patrzy mu w oczy.

– Potrzebuję cię. Twoja drużyna cię potrzebuje. Jesteś ważny. Więc chcę, byś dał mi dziś wszystko, w każdej zmianie. Chcę każdej kropli krwi. Jeśli dasz z siebie wszystko, zaufasz mi, to obiecuję, że nigdy cię nie zawiodę.

Gdy David się podnosi, stopy Bobo znów uderzają o podłogę.

Gdyby trener poprosił go teraz, by wyszedł stąd i kogoś zabił, zrobiłby to bez wahania. Kiedy David staje na środku szatni, po dziesięciu wspólnych latach, każdy z chłopców czuje to samo. Trener spogląda im w oczy.

– Nie będę mówił dużo. Wiecie, z kim się mierzycie. Wiecie, że jesteście lepsi. Więc spodziewam się tylko jednego. Dopuszczam tylko to. Nie wracajcie więc do szatni, dopóki mi tego nie dacie. – Szuka wzroku Kevina, skupia się na nim. – Wygranej.

– Wygranej! – powtarza Kevin z ciemnym wzrokiem.

– WYGRANEJ! – powtarza David z uniesionymi pięściami.

– WYGRANEJ!!! – huczy cała szatnia jednogłośnie.

Wyskakują z ławek, tupoczący, tłukący się i prychający orszak, gotowy do szarży za swoim kapitanem. David przechodzi obok każdego, klepiąc go po kasku, gdy

jest już przy drzwiach, kładzie palce na kłamce i szepcze tak cicho, by usłyszał tylko chłopiec z numerem dziewięć:

– Jestem z ciebie dumny, Kevin. Kocham cię. Nieważne, co wydarzy się dziś wieczorem, czy zagraasz swój najlepszy, czy najgorszy mecz, nigdy nie wybrałbym innego zawodnika zamiast ciebie.

Drzwi się otwierają. Kevin nie wychodzi na lód.

On na niego wlatuje.

Samotność to niewidzialna choroba. Odkąd Holger ją opuścił, Ramona jest niczym zwierzęta w filmach dokumentalnych, które ogląda na kanałach przyrodniczych w te noce, gdy tabletki na sen nie działają; trzymane latami w zamknięciu zwierzęta nie uciekną, nawet gdy usunie się ogrodzenie. Wszystkie żywe istoty, trzymane za murami wystarczająco długo, boją się w końcu bardziej tego, co nieznane niż swojego więzienia. Na początku zostawała w środku dlatego, że tutaj jeszcze wyraźnie słyszała jego śmiech, głos i przekleństwa, gdy uderzał się palcem u stopy o próg za barem. Spędził w tym budynku całe życie, a i tak nie zauważał tego cholernego progu. Człowiek izoluje się jednak szybciej, niż mu się wydaje, dni się zlewają, gdy żyje się bardziej w sobie niż na zewnątrz. Po drugiej stronie ulicy mijaly lata, a ona desperacko próbowała utrzymać wszystko w Futrze i w mieszkaniu na piętrze w dokładnie takim samym stanie jak wtedy, gdy Holger zmarł. Bała się, że wyjdzie na zewnątrz i go zapomni, że pójdzie do sklepu spożywczego, wróci do domu i odkryje, że jego śmiechu już tu nie ma. Nagle któregoś ranka minęło jedenaście lat i wszyscy poza jej chłopcami myślą, że postradała zmysły. Stała się podróżnikiem w czasie uwięzionym we własnej maszynie.

Mówi się niekiedy, że żaloba jest psychiczna, tęsknota natomiast fizyczna. Ta pierwsza to rana, ta druga to amputowana część ciała, zwiędły płatek kwiatka w porównaniu ze złamanym pniem. Gdy coś rośnie dostatecznie blisko tego, co kocha, wrasta w te same korzenie. Możemy mówić o stracie, możemy ją przepracować i dać jej czas, ale biologia nadal zmusza nas do życia według pewnych reguł: przepołowione rośliny nie odradzają się, tylko umierają.

Stoi w śniegu, tuż przy drzwiach, i pali. Trzy z rzędu. Widać stąd dach lodowiska, ryk, gdy juniorzy z Björnstad strzelają na jeden do zera, brzmi, jakby miał rozerwać w posadach wszystkie budynki na ulicy, unieść cały las i wrzucić go do wody. Ramona próbuje zrobić na chodniku krok w stronę ulicy, tylko jeden jedyny. Ciało trzęsie się niekontrolowanie, gdy Ramona szuka oparcia w ścianie za

sobą, mimo minusowej temperatury jej ubrania toną w pocie. Wraca do środka, do ciepła, zamyka drzwi, gasi lampy i kładzie się na podłodze w barze ze zdjęciem Holgera w dłoniach. Dokładnie przy progu. Ludzie mówią, że zwariowała, bo tak nazywają to ci, którzy nie wiedzą, czym naprawdę jest samotność.

Amat jest przerażony, a nie dane mu jeszcze było grać ani sekundy. Gdy wraz z resztą drużyny podązał za Kevinem na łód, kiedy trybuny się podniosły i okrzyki go ogłuszyły, pojechał od razu do boksu gospodarzy, pewien, że za chwilę zwymiotuje. Któregoś dnia przypomni sobie tę chwilę i zrozumie, że to uczucie nigdy nie znika. Bez względu na to, jaki osiągnie się w życiu sukces.

Kevin strzela gola w pierwszej minucie. To nie przypadek – na początku każdego meczu ma krótkie okienko, gdy obrońcy nie wiedzą jeszcze, jaki jest dobry, zwrotny i jaki ma miękki nadgarstek. Dają mu centymetr, nie powtórzą znów tego błędu, pozostałą część meczu gaszą go kryciem tak bliskim, że równie dobrze mogliby dzielić jedną parę łyżew. Przeciwnicy odwracają wynik meczu na 2:1. Zasługują na to, są strasznie dobrzy, ostro i konsekwentnie nadchodzą fala za falą, tak że patrząc na tablicę wyników, Amat za każdym razem jest zdziwiony, że prowadzą tylko jedną bramką. To najsilniejsza i najbardziej technicznie grająca drużyna, jaką widział, jest prawie pewien, że pokonaliby nawet pierwszy zespół Björnstad. I wszyscy to widzą. Po każdej zmianie zawodnicy opadają coraz ciężiej na ławkę obok Amata, kije uderzają o bandę z coraz mniejszą frustracją, nawet Bengt klnie coraz ciszej. W drodze do szatni, w przerwie między drugą a trzecią tercją, Amat słyszy kilku dorosłych, śmiejących się bez entuzjazmu: „No tak, no ale półfinał to przecież żaden, kurwa, wstyd, może w następnym sezonie uda nam się wystawić lepszą drużynę”. Dziwi go, jak bardzo go to wkurza, coś się w nim budzi. Wchodzi do szatni gotowy coś rozwalić. Tylko David to zauważa.

Robban Holts stoi samotnie na ulicy i nienawidzi samego siebie. Gdyby znowu nie skończył mu się alkohol, dobrowolnie nie wyszedłby dziś nawet z domu. Widzi dach hali lodowiska, oblicza w myśli, jaki to mniej więcej moment meczu. Niepokój, z którym żyje, jest specyficzny – to wiedza, że największe chwile swojego życia przeżyło się w wieku siedemnastu lat. Gdy dorastał, wszyscy mówili mu, że będzie zawodowcem. Tak bardzo im ufał, że kiedy nim nie został, odebrał to jako zdradę, jakby to nie była jego wina. Budzi się rano z uczuciem, że ktoś

ukradł mu lepsze życie; czuje niewyobrażalny ból fantomowy z powodu rozdźwięku między tym, kim miał być, a kim się stał. Gorycz może być żrąca, może zniszczyć pamięć, tak jak dowody na miejscu przestępstwa, aż na końcu pamiętasz tylko to, co pasuje do jej motywu. Robban schodzi po schodach do Futra, ale zdziwiony przystaje w pół kroku. Światło w środku jest zgaszone. Ramona wypija ostatnią szklankę whisky i zarzuca na siebie wierzchnie ubranie.

– Dobrze, że jesteś – szepcze.

– Dlaczego? Wybierasz się gdzieś? – pyta zdziwiony, wie, tak jak i wszyscy inni, że ta stara wariatka od dziesięciu lat nie wyszła dalej niż kilka kroków poza pub.

– Idę na mecz hokejowy – odpowiada.

Robban zaczyna się śmiać, nie ma innej opcji.

– I chcesz, żebym ci przypilnował baru?

– Chcę, żebyś ze mną poszedł.

Robban przestaje się śmiać. Ramona musi mu obiecać, że odpuści całą jego krechę z ostatnich czterech miesięcy, żeby w ogóle zrobił krok za drzwi.

Frak stoi, mimo że ma miejsce siedzące. Nikt w rządzie za nim nie ma już dłużej siły się z nim użerać.

– Pieprzony William Lyt! Łatwiej znaleźć na lodzie ludzi objętych programem ochrony świadków niż tego dupka! – syczy do pozostałych sponsorów.

– Słucham? – wydziera się Maggan Lyt dwa rzędy niżej.

– PROGRAM OCHRONY ŚWIADKÓW, Maggan! – powtarza Frak.

A wszyscy siedzący między nimi marzą o tym, żeby móc ubiegać się o miejsce w programie. To nie tak, że hokej jest ważny w Björnstad. Jest tu po prostu wszystkim.

Gdy zaczyna się trzecia tercja, Bobo nadal siedzi milczący w boksie gospodarzy, na palcach jednej ręki może zliczyć minuty, gdy grał. Nie wie, jak być częścią zespołu, gdy nie jest się częścią meczu. Próbuje się opanować, ale kocha tę drużynę, swoją koszulkę i swój numer. Widząc coś i nie mogąc pojąć, że inni nie widzą, łapie w końcu Williama Lyta w boksie i krzyczy:

– Ich obrona CHCE, żebyś próbował przebić się środkiem, nie widzisz tego? CHCA, żeby było ciasno w środku, tak żeby Kevin nie miał czystej pozycji. Prowadź

krążek do środka, a potem choć raz na zewnątrz, to zobaczysz, że...

William wciska swoją rękawicę prosto w usta Bobo.

– Zamknij ryj, Bobo! Kim ty niby jesteś? Grasz w trzeciej linii obrony, nie będziesz mówił pierwszej linii, co mamy robić! Przynieś mi wodę!

Jego wzrok jest tak zimny i protekcyjny, że Bobo ledwie słyszy rechot pozostałych zawodników. Dla każdego człowieka żaden upadek nie jest tak bolesny jak upadek w hierarchii. Bobo zna Lyta całe życie, ale sposób, w jaki przyjaciół teraz na niego patrzy, pozostawia ślad, budzi ten rodzaj żrącej goryczy, która nigdy nie opuszcza pewnego rodzaju mężczyzn, która potrafi dopaść cię już dorosłego i spowodować, że będziesz czuł, że ktoś ukradł ci prawdziwe życie. Bobo przynosi wodę, Lyt zabiera ją bez słowa. Bobo to największy zawodnik w drużynie, ale gdy siada, jest najmniejszym zawodnikiem w boksie.

Ramona zatrzymuje się przed halą lodowiska. Trzęsie się na śniegu, szepcząc:

– Robban... przepraszam, nie mogę... nie mogę... dalej niż tu.

Robban trzyma ją za rękę. Nie tak miała żyć, Holger miał siedzieć w środku, to miała być ich chwila. Robban obejmuje ją ramieniem, tak jak potrafi to zrobić tylko ten, kogo też z czegoś okradziono.

– Idziemy do domu, Ramono. Nic się nie stało.

Ona kręci głową, wbija w niego wzrok.

– Deal był taki, że anuluję twoją kreskę, jeśli pójdziesz na mecz. Zaraz po meczu chcę wiedzieć, co się działo. Zostanę tu i poczekam.

Robban ma wiele cech. Odwaga, by się z nią kłócić, nie jest jedną z nich.

Przychodzi taki moment w życiu każdego zawodnika, kiedy dowiaduje się dokładnie, jaki jest dobry i jaki dobry nie jest. Dla Williama Lyta to połowa trzeciej tercji. Nigdy nie był wystarczająco dobry na tym poziomie, ale teraz widać wyraźnie, że nie jest też dostatecznie wytrzymały. Nie nadąża, nie daje rady, zawodnicy przeciwnej drużyny mogą nim kierować, nie znajdując się nawet obok niego. Kevin ma podwójne krycie, cztery ręce na sobie przez cały czas. Benji niczym tornado szaleje po całej tafli, ale Björnstad potrzebuje więcej miejsca do gry. Lyt daje z siebie wszystko. Ale to nie wystarcza.

David zbudował całą swoją filozofię, cały niesamowity sezon tej drużyny na niepoleganiu na przypadku. Nigdy nie liczą na najlepsze. Nie rzucają po prostu krążka i grają; mają plan, strategię, pomysł na każdą kombinację i każdy ruch. Ale jest tak, jak zwykł marudzić ten stary pryk Sune: „Krażek nie tylko się ślizga, ale też się odbija”.

Lyt zostaje zatrzymany w drodze do boks gospodarzy, upada na lód i widzi, jak krążek odbija się od kija przeciwnika, który zakręca nim odruchowo. Krążek przeskakuje jeszcze trzy kije, Kevin wyciąga się w jego stronę, ale brutalnym blokiem zostaje powalony na lód. Nie ma szans, by objechać upadających zawodników, na szczęście Benjamin Ovich nie należy do tych objeżdżających. To człowiek taran. Gdy krążek wpada do bramki, to razem z Benjim poprzeczka uderza go w szyję. Nigdy nikt nie zmusiłby go, by się przyznał, że bolało, nawet gdyby dostał mieczem dwuręcznym.

2:2. Maggan Lyt jest już na dole i wali w drzwi sekretariatu, żeby być pewna, że odnotują asystę Williama.

David po cichu kiwa głową do samego siebie i stuka Amata po kasku. Źrenice Bengta rozszerzają się w prawdziwym stresie, gdy dociera do niego, co się zaraz wydarzy.

– Cholera, David, chyba nie myślisz poważnie?

David jest poważny niczym niewypał.

– Po jednej zmianie Lyt będzie potrzebował maski tlenowej, po dwóch księdza. Potrzebujemy tempa.

– Lyt właśnie miał asystę.

– Fuksło mu się. Nie gramy na fuksa. AMAT!

Amat tylko gapi się na trenera. David łapie go za kask.

– Chcę, żebyś im zwał przy następnym wznowieniu w naszej strefie. Nie obchodzi mnie, czy złapiesz krążek, czy nie, chcę tylko, żeby wiedzieli, jaki jesteś szybki.

Wskazuje na boks przeciwników. Amat kiwa z wahaniem głową. David nie spuszcza z niego wzroku.

– Chcesz coś osiągnąć, Amat? Chcesz rzeczywiście pokazać całemu miastu, że możesz być kimś? To pokaż im to teraz.

Przy kolejnym wznowieniu na niebieskiej linii Benji stoi po jednej stronie Kevina, a Amat po drugiej. W tym czasie Maggan Lyt opiera obie dłonie o pleksi oddzielające boks, wrzeszcząc, że nikt nie będzie bezkarnie zdejmował jej syna z tafla w półfinale. Bengt spogląda na Davida.

– Jeśli przegramy ten mecz, to ona cię wykastruje.

David opiera się rozluźniony o bandę.

– W tym mieście wybacza się zwycięzcom.

Na lodzie Benji robi to, co mu kazano, przejmuje krążek i wyprowadza go natychmiast ze strefy obronnej, krążek sunie w stronę bramki, Amat też robi, co mu kazano – zwiewa. Po pierwszych krokach zostaje natychmiast zablokowany przez jednego z obrońców, gdy się wyswobadza, nie ma już sensu gonić krążka. Ale i tak go goni. Na trybunach, wśród tych, którzy znają się na hokeju, rozlega się krótki świst. Wśród tych, którzy się nie znają, rozlega się głębokie westchnienie. Bramkarz drużyny przeciwnej wyjeżdża spokojnie z bramki i przejmuje krążek, uderza następnie w kierunku bramki Björnstad i gdy sędzia odgwizduje tam kolejne wznowienie, Amat stoi samotnie w strefie przeciwnika sześćdziesiąt metrów dalej. Pozostali sponsorzy mruczą: „A temu co? Potrzeba kompasu?”, ale Frak widzi to, co David. To, co zobaczył Sune.

– Szybki jak rosomak z musztardą w dupie! Nie złapią go! – Uśmiecha się.

David przechyla się przez bandę i łapie Amata za ramię, gdy ten wraca.

– Jeszcze raz.

Amat kiwa głową. Następuje wznowienie, Benjiemu nie udaje się tym razem nawet wybić krążka ze strefy, ale Amat i tak pędzi na maksa w stronę bramki przeciwnika i zatrzymuje się dopiero pod bandą po drugiej stronie lodowiska. Słyszy buczenie i śmiechy z trybuny: „Zgubiłeś się? Nie jesteś nawet w pobliżu krążka!”. Ale patrzy tylko na Davida. Bramkarz Björnstad blokuje krążek, kolejne wznowienie. David wykonuje w powietrzu kolisty ruch dłonią. „Jeszcze raz”.

Za trzecim razem, gdy Amat mknie przez lód, nie ma znaczenia, gdzie jest krążek, ponieważ do jeszcze jednej osoby w hali, która widzi jego pęd, dociera, co

się zaraz wydarzy. Trener przeciwników wyrywa plik papierów z ręki swojego asystenta, wrzeszcząc:

– Kto to, do chuja, jest? Kim, do chuja, jest numer osiemdziesiąt jeden?

Amatowi udaje się spojrzeć na trybuny. Maya stoi na schodach, zaraz poniżej kafeterii, widzi go. Marzył o tym od pierwszego dnia podstawówki i teraz ona go widzi. Rozprasza go to na tyle, że słyszy Bobo wykrzykującego jego imię, dopiero gdy jest przy boksie gospodarzy.

– AMAT! – Bobo wisi na bandzie, łapiąc go za koszulkę: – Prowadź krążek do środka, a potem na zewnątrz!

Przez pół sekundy patrzą sobie prosto w oczy i Bobo nie musi tłumaczyć, co dałby za to, by samemu stać tam na lodzie. Amat kiwa obiecująco głową, uderzają się nawzajem po kaskach. Maya nadal stoi na schodach. Przy następnym wznowieniu Kevin i Benji krążą wokół strefy i stają, pochylając się przy Amacie. Kevin się śmieje.

– Masz jeszcze jakiś power w tych kurzych nóżkach?

– Daj mi krążek, to sam zobaczysz – odpowiada Amat z nabiegłymi krwią białkami oczu.

Kevin nie przegrałby tego wznowienia, mając nawet ręce związane z tyłu i pistolet przy skroni. Benji przejmuje krążek wzdłuż bocznej bandy i pędzi za nim, jutro uda nie pozwolą mu nawet wstać z łóżka, ale teraz nie czuje nic, jednym uderzeniem powala dwóch przeciwników, Amat drybluje do środka, ale wyprowadza krążek daleko, pędząc za plecami swojego obrońcy tak szybko, że jeden z dwóch kryjących Kevina rywali zmuszony jest odpuścić numer dziewięć i gonić numer osiemdziesiąt jeden. To wszystko, czego potrzebuje Björnstad. Uderzenie kijem w przedramię sprawia, że Amatowi wydaje się, że odpadnie mu ręka, ale dogania krążek i objeżdża bramkę. Ma jeden oddech, by zdążyć jeszcze popatrzeć w górę, zaczekać, aż kij Kevina dotknie lodu, i wypuścić krążek w tym samym momencie, w którym zostaje powalony na lód. Kevin ma dwa centymetry wolnego miejsca – to dwa razy tyle, ile potrzebuje.

Gdy za bramką zapala się czerwona lampa, dorośli ludzie rzucają się na siebie na trybunach. Sponsorzy rozbijają sobie nawzajem kubki z kawą ponad rzędami krzeseł, usiłując przybić piątkę. Dwie piętnastolatki rozsadzają ze szczęścia kafeterię, a stary trener pierwszego zespołu, który nigdy się nie śmieje, siedzi na

szczyt trybun, uśmiechając się od ucha do ucha. Fatima i Mira wpadają sobie w ramiona, aż lądują na ziemi, i nikt do końca nie wie, czy wiwatują, czy płaczą.

Na zewnątrz, przed halą lodowiska, stoi Ramona, sama na śniegu, czując uderzającą ją falę dźwięku. „Kocham cię” – szepcze do Holgera. Po czym odwraca się i idzie samotnie do domu, z uśmiechem w piersi. To dzieje się pomiędzy ludźmi a hokejem, pomiędzy miastem, które chce wierzyć, a światem, który od lat mówił im, żeby odpuścić. W całym budynku nie ma ani jednego ateisty.

Kevin odwraca się i jedzie prosto do boksu, odtrąca każdego kolegę z drużyny, który próbuje go objąć, przeskakuje przez bandę i rzuca się wprost w ramiona Davida.

– Dla ciebie! – szepcze chłopak, a David obejmuje go, jakby był jego własnym synem.

Dwadzieścia metrów dalej Amat zczołguje się z lodu, równie dobrze mógłby być teraz w całkiem innej hali, bo i tak nikt na niego nie patrzy. Sekundę po przekazaniu krążka obrońca wbił się w niego całym ciężarem ciała, dociskając kij i łokieć do jego szyi, a głowa Amata uderzyła o lód tak, jakby zepchnięto go do pustego basenu. Nie widział nawet gola. Gdy podniósł się na kolana, wszyscy gracze z Björnstad jechali już za Kevinem w stronę boksu, wszyscy na trybunach podążali wzrokiem za numerem dziewięć. Nawet Maya. Numer osiemdziesiąt jeden, który Amat wybrał, bo jego mama urodziła się w tym roku, stoi samotnie w rogu lodowiska i patrzy na tablicę wyników. To zarazem najlepsza i najgorsza chwila, jaka przydarzyła mu się na tym lodowisku. Poprawia kask i robi dwa pojedyncze kroki w stronę boksu, gdy ktoś zakręca za nim i uderza go dwa razy po głowie.

– Dziewczyna cię zobaczy, gdy będziemy wygrywać finał. – Benji się uśmiecha.

Odjechał już i ustawił się przy środkowej linii, gotowy do następnego wznowienia, zanim Amat zdążył odpowiedzieć. Lyt przechodzi właśnie przez bandę, gdy David zatrzymuje go i woła do Amata, żeby został na lodzie. Gdy Kevin sunie na środek lodowiska, kiwają do siebie krótko, numer dziewięć i numer osiemdziesiąt jeden. Amat jest teraz jednym z nich. Nie ma znaczenia, ilu na trybunach naprawdę to rozumie.

Peter traci orientację po końcowej syrenie, w jednej sekundzie krzyczy w czyichś objęciach, a w następnej spada na łeb na szyję na całą sekcję na trybunach i czołga się z dzwoniącymi uszami, bo wszyscy wokół tylko krzyczą prosto w nie lub naokoło nich. Starzy, młodzi, ci, którzy kochają tę grę, i ci, których to nawet nie obchodzi. Nie ma pojęcia, jak to się dzieje, gdy nagle ląduje w wiwatującym uścisku z jakimś nieznajomym, ale gdy podnosi wzrok, widzi, że tańczy na schodach z Robbanem Holtsem. Zatrzymują się, spoglądają na siebie i zaczynają się śmiać, nie mogąc przestać. Tego jednego wieczoru mają znów po siedemnaście lat.

Hokej to po prostu mała, śmieszna gra. Oddajemy jej rok za rokiem, nie mogąc nawet mieć nadziei na cokolwiek w zamian. Poświęcamy wszystko, co mamy, zapalamy się, krwawimy i płaczemy, całkowicie świadomi, że w najlepszym wypadku to, co może nam dać w zamian ten sport, jest całkowicie, niepojęcie małe i bezwartościowe – tylko kilka pojedynczych chwil. To wszystko.

Ale czym, do diabła, jest życie?

19

Adrenalina robi z człowiekiem dziwne rzeczy. Gdy wybrzmiewa gwizdek końcowy, ojcowie i matki przeskakują przez bandę, szanowani przedsiębiorcy i szefowie z fabryki ślizgają się po lodzie na cienkich podszwach, obejmując się wzajemnie. Kiedy Kevin i Benji, owinięci w ogromną zieloną flagę, objeżdżają wokół lodowisko, trybuny są prawie puste. Całe miasto jest już na lodzie. Wszyscy podskakują, ślizgają się, upadają, śmieją się, wiwatują i płaczą. Przyjaciele z dzieciństwa, koledzy z klasy, rodzice, rodzeństwo, krewni, sąsiedzi. Jak długo miasto będzie to pamiętać? Zawsze.

Przegrana w hokeju jest jak cios prosto w serce. Wygrana to lot w chmurach. Björnstad jest dziś wieczorem wniebowzięte.

Peter stoi w rogu lodowiska. Samotnie siada na lodzie i po prostu się śmieje. Wszystkie te godziny w biurze, wszystkie spotkania, kłótnie, nieprzespane noce i pełne niepokoju poranki są teraz tego warte. Siedzi dalej, chociaż reszta miasta, mieszkaniac po mieszkańcu, opuszcza już lód. Robban Holts siada obok niego. Uśmiechają się razem.

Adrenalina potrafi robić dziwne rzeczy, zwłaszcza gdy odpływa. Jako zawodnik Peter słyszał często, jak ważne jest „kontrolowanie adrenaliny”, ale nigdy tego nie rozumiał. Totalne skupienie, oczywista koncentracja na lodzie i umiejętność bycia tu i teraz przychodziły mu naturalnie. Dopiero gdy po raz pierwszy oglądał mecz z trybun, zrozumiał, jak blisko adrenalinie do paniki. Te same instynkty budzą ciało do walki i wyczynów, jak i włączają w mózgu strach przed śmiercią.

W czasach swojej kariery sportowej Peter widział zawsze sygnał końcowy jako kolejkę górską, która nagle się zatrzymuje. Część ludzi myśli wtedy: „Jak dobrze, że to już koniec”. A część: „Jeszcze raz!”. Jego pierwszym marzeniem po każdym meczu było zawsze móc zagrać jeszcze jeden. Teraz jako dyrektor sportowy po

każdym meczu potrzebuje tabletki na migrenę, by w ogóle być w stanie normalnie funkcjonować.

Kiedy ponad godzinę później ostatni upojeni zwycięstwem fani, rodzice i sponsorzy w końcu opuszczają halę, wylewając się na parking z gromkim okrzykiem na ustach: „TO MY, NIEDŹWIEDZIE, TO MY, NIEDŹWIEDZIE, TO MY, NIEDŹWIEDZIE, NIEDŹWIEDZIE Z BJÖRNSTAD”, Peter i Robban zostają sami ze swoimi wspomnieniami.

– Idziesz ze mną na górę do gabinetu? – pyta Peter, a Robban odpowiada mu, wybuchając śmiechem:

– Mój drogi, to nasza pierwsza randka, nie jestem taką dziewczyną.

Peter też się śmieje.

– Na pewno? Możemy się napić herbaty i pooglądać stare zdjęcia drużyny!

Robban wyciąga dłoń.

– Pozdrów ode mnie chłopaków, dobra? Powiedz im, że oglądał ich stary wyjadacz. I że był z nich dumny.

Peter ściska mu dłoń.

– Wpadnij do nas kiedyś na obiad. Mira strasznie by się ucieszyła.

– Pewnie! – kłamie Robban i obaj zdają sobie z tego sprawę.

Żegnają się. W życiu mamy tylko chwile.

W szatni jest pusto. Po adrenalinie, pieśniach, tańcach, skakaniu po ławkach i tłuczeniu się w ściany, po tłumie młodych i starszych mężczyzn bez koszulek i z piwem we włosach, nagle robi się tu przytłaczająco cicho. Tylko Amat zbiera jeszcze kawałki taśmy z podłogi. Zdziwiony Peter przystaje w drzwiach.

– A co ty tu jeszcze robisz?

Chłopiec się czerwieni.

– Proszę nikomu nie mówić. Że sprzątam. Chcę tylko pozbierać to najgorsze.

Petera ściska nagle w gardle ze wstydu. Pamięta, gdy pierwszy raz widział, jak ośmio- czy dziewięcioletni Amat zbierał puszki na trybunach, by Fatima mogła sobie pozwolić na kupienie mu sprzętu sportowego. Byli zbyt dumni na pomoc, więc Mira i Peter zmuszeni byli dawać fałszywe ogłoszenia w lokalnej prasie, dzięki czemu każdego roku Amatowi udawało się kupić tani używany sprzęt

dokładnie w swoim rozmiarze. Stąd aż do Hed Mira zbudowała całą sieć ochotników kolejno odgrywających sprzedawców.

– Nie... oczywiście, nigdy by mi nawet nie przyszło do głowy opowiedzieć o tym innym graczom – mamrocze.

Amat patrzy zdziwiony. Prycha.

– Graczom? Mam gdzieś, czy powie pan chłopakom. Proszę tylko nic nie mówić MAMIE! Będzie strasznie zła, że robię to za nią.

Peter chciałby mu coś powiedzieć. O tym, jak niewiarygodnie dumny był z niego dziś wieczorem. Ale nie znajduje słów, nie wie, jak się do tego zabrać. Czuje się jak jakiś beznadziejny aktor. Czasem tak strasznie zazdrości Davidowi, że chłopcy go tak kochają, że aż doprowadza go to do szału. Ufają Davidowi, podążają za nim i go ubóstwiają. Peter czuje się jak zagubiony na placu zabaw rodzic, zazdrosnym okiem patrzący na wzbudzających salwy śmiechu u dzieci zabawnego ojca czy zabawną matkę.

Nie mówi więc Amatowi nic, co chciałby mu powiedzieć. Uśmiecha się tylko i kiwa głową.

– Jesteś pewnie jedynym nastolatkiem na świecie, który dostaje opieprz za to, że za dużo sprząta.

Amat podaje mu męską koszulę.

– Któryś ze sponsorów ją zostawił.

Koszula śmierdzi alkoholem. Peter kręci powoli głową.

– Amat... wiesz... ja... – Słowa zawodzą. Udaje mu się tylko powiedzieć: – Myślę, że powinieneś iść na parking. Nigdy jeszcze nie wychodziłeś z hali po takim meczu. Myślę, że powinieneś... Przeżyjesz coś... co się rzadko zdarza. Przejdziesz przez te drzwi jako... zwycięzca.

Amat nie zrozumie tego, dopóki rzeczywiście nie spakuje sprzętu, nie przejdzie przez korytarz, a potem przez drzwi wejściowe. Dorośli wiwatują i biją brawo na jego widok, kilka dziewczyn ze starszych klas wykrzykuje jego imię, Bobo go obejmuje, a Benji czochra mu włosy, każdy chce uścisnąć mu dłoń. Kawalek dalej Kevin udziela wywiadu lokalnej gazecie. Potem podpisuje autografy morzu dzieci, podczas gdy ich mamy żywiołowo dopominają się o zdjęcia, każda po dwa: jedno z Kevinem i dzieckiem, drugie z Kevinem i mamą.

Amat odbija się między uściskami i poklepywaniem po plecach, słyszy siebie samego krzyczącego „TO MY, NIEDŹWIEDZIE Z BJÖRNSTAD”, tak że aż pali go w piersi, słyszy, jak inni śpiewają jeszcze głośniejsze, chcąc być częścią tego co on.

Upojenie w nim buzuje, endorfiny aż się gotują, po fakcie będzie pamiętał, co przyszło mu wtedy do głowy: „Jak zwykły człowiek może w takiej sytuacji nie pomyśleć, że jest nieśmiertelny”.

Mira sprząta w kafeterii, Maya i Ana wychodzą z toalety, przebrane i z poprawionym makijażem, chichoczące i pełne nadziei.

– Śpię dziś... u Any. Będziemy się... uczyć. – Maya się uśmiecha.

Oczywiście córka kłamie, mama robi to samo, udając, że nie rozumie. Balansują teraz na tej krawędzi w życiu, gdzie martwią się o siebie tyle samo. Okres nastoletni zapewnia kilka lat równowagi po dzieciństwie, zanim ciężar znów się przeważy i Maya będzie wystarczająco dorosła, by bardziej martwić się o rodziców niż oni o nią. Niedługo nie będzie już małą córeczką mamusi, to Mira stanie się małą mamusią Mai. Nie potrzeba wiele, by dać swemu dziecku wolność. Potrzeba wszystkiego.

Peter wchodzi do gabinetu dyrektora, pełno w nim zataczających się, pijanych już mężczyzn.

– O, szukałem jej! – krzyczy rozebrany do pasa Frak, podchodząc chwiejnym krokiem i odbierając koszulę z rąk Petera.

Peter wbija w niego wzrok.

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć o tym, że masz ze sobą w szatni alkohol. To jeszcze dzieci, Frak!

– Ech, Peter, odpuść! To nie są żadne DZIECI! Daj chłopakom świętować.

– Daję im świętować, ale uważam, że dorośli faceci powinni mieć jakieś granice.

Frak odpędza ręką słowa niczym natrętne muchy. Dwóch mężczyzn stoi za nim z puszkami piwa w ręku, entuzjastycznie dyskutując o pierwszej drużynie, jednego z napastników opisują jako „tak walniętego, że nie może, kurna, iść do sklepu po chleb bez opieki”, o bramkarzu mówią: „No tak, ten to ma pusto pod kopułką, to widać po tym, z kim się hajtnął, przecież ona spała przed nim z połową zespołu, a po ślubie pewnie z resztą”. Peter nie jest pewny, czy to sponsorzy, czy

tylko kumple Fraka. Słyszał już tego typu dyskusje wiele razy, ale nadal nie może się przyzwycząić do hierarchii, która tu panuje: zawodnicy mogą obrzucać głównym sędziemu, ale nigdy trenera, trener może krytykować zawodników, ale nie dyrektora sportowego, ten nie krytykuje dyrektora klubu, dyrektor klubu zarządu, zarząd sponsorów. A najwyżej stoi grupa ubranych w garnitury mężczyzn w tym gabinecie i rozmawia bez skrępowań o zawodnikach, tak jakby byli końmi wyścigowymi. Produktami.

Frak ciągnie Petera czule za ucho, próbując go rozchmurzyć.

– Peter, nie bocz się. Przecież to twój wielki wieczór! Pamiętasz, jak dziesięć lat temu mówiłeś, że rozkręcisz młodzieżówkę? Że pewnego dnia będziemy mieć juniorów, którzy zmierzą się z najlepszymi w kraju? I jak się wtedy z siebie śmialiśmy? Wszyscy się śmiali. A teraz jesteśmy tutaj. To TWÓJ wieczór, Peter. To TWOJA zasługa!

Peter wyslizguje się z uchwytu, w który ramieniem próbuje złapać go pijany i szczęśliwy Frak. Pozostali sponsorzy wdają się w głośne porównania blizn i wstawionych zębów, klejnotów własnych hokejowych karier. Nikt nie pyta o to Petera. On nie ma blizn, nigdy nie stracił żadnego zęba, nigdy nie wdawał się w bójki. Nigdy nie miał w sobie agresji.

Jeden z członków zarządu, mokry od piwa sześćdziesięcioletni dyrektor z branży wentylacyjnej, zaczyna podskakiwać wokół Petera, poklepując go po plecach.

– Frak i ja spotkaliśmy polityków z gminy. Byli tu dziś wieczorem! I mogę ci tak trochę nieoficjalnie powiedzieć, że twój ekspres do kawy zapowiada się CHOLERNIE obiecująco.

Peter wzdycha i opuszcza to towarzystwo. Wychodzi na korytarz. Gdy zauważa Davida, robi mu się lżej, mimo że normalnie lekceważąca postawa trenera juniorów doprowadza go do szału. Ale teraz to jedyny trzeźwy człowiek w okolicy.

– David! – krzyczy za nim.

David idzie dalej, nie zwracając na niego uwagi. Peter biegnie za nim.

– David! Dokąd idziesz?

– Obejrzeć film z meczu – odpowiada bezwiednie trener.

Peter wybucha śmiechem.

– Nie zamierzasz świętować?

– Będę świętował, jak wygramy finał. Przecież po to mnie zatrudniliście. Żeby wygrać finał.

Jest jeszcze bardziej arogancki niż zwykle. Peter wzdycha i zagubiony wkłada ręce do kieszeni.

– David, no weź. Wiem, że nie zawsze się dogadywaliśmy, ale dziś to twoje zwycięstwo. Zasłużyłeś na nie.

David mruży oczy, kiwa głową w stronę gabinetu i sponsorów.

– Nie, Peter. Jest tak, jak mówią wszyscy w środku. To TWÓJ wieczór. To ty jesteś gwiazdą tego klubu, nie? Zawsze tak było.

Peter przystaje. W żołądku czuje rosnącą czarną chmurę, nie jest pewien, czy to wstyd, czy wściekłość. Gdy krzyczy za Davidem, jego głos jest bardziej zdenerwowany, niż powinien:

– Chciałem ci tylko pogratulować!

David odwraca się i śmieje zrezygnowany.

– Powinieneś pogratulować Sunemu. To on przewidział, że tobie i mnie się to uda.

Peter chrząka.

– Ja... on... Nie mogłem go znaleźć na trybunach.

David patrzy mu w oczy, aż w końcu Peter zmuszony jest schylić głowę. Zawiedziony David kiwa głową.

– Siedział tam gdzie zwykle. I ty to wiesz. Wiem, że wiesz, bo musiałeś iść z gabinetu naokoło, żeby nie przejść obok niego.

Peter się obraca, klnąc cicho. Słowa Davida ciągną się za nim.

– Wiem, co tu się dzieje, Peter. Nie jestem jakimś naiwnym gówniarzem. Przejmę robotę Sunego, bo nadszedł już czas, bo sobie zasłużyłem i wiem, że to z mojej strony świństwo. Ale nie zapominaj, kto otworzy mu drzwi. Nie próbuj sobie nawet wmawiać, że to nie jest twoja decyzja.

Peter obraca się gwałtownie z zaciśniętymi w pięści dłońmi.

– Lepiej uważaj, co mówisz!

David się nie cofa.

– Bo co? Uderzysz mnie?

Peterowi drży broda, David nie rusza się z miejsca. W końcu prychna lekceważąco. Na brodzie ma długą bliznę, drugą na kości żuchwowej.

– Tak jak myślałem. Nazywasz się przecież Peter Andersson. Zawsze to inni łądowali za ciebie na ławce kar.

Wchodząc do swojego gabinetu, David nawet nie zatrząskuje za sobą drzwi. Zamyka je po cichu. Peter najbardziej nienawidzi go właśnie za to. Za to, że ma rację.

Udzielając wywiadu lokalnej gazecie, Kevin wygląda na całkowicie niewzruszonego. Inni w jego wieku byliby w strzępach z nerwów, on natomiast jest spokojny i profesjonalny. Patrzy dziennikarce w twarz, ale nigdy w oczy, skupia wzrok na jej czole albo między brwiami, jest rozluźniony, ale nie nonszalancki, nie jest niemiły, ale też nie jest miły, odpowiada na wszystkie pytania, w sumie nic nie mówiąc. Gdy dziennikarka pyta o mecz, odpowiada, że chodzi o to, by dużo jeździć na łyżwach, wbijać wiele bramek, tworzyć szanse. Na pytanie o to, czym wygrana w finale może być dla miasta i ludzi, odpowiada jak maszyna: „Gramy jeden mecz naraz, koncentrujemy się na hokeju”. Gdy dziennikarka podkreśla, że powalony pod koniec meczu przez Benjamina Ovicha zawodnik drużyny przeciwnej ma wstrząs mózgu, Kevin bez mrugnięcia okiem odpowiada: „Nie widziałem tej sytuacji”.

Ma siedemnaście lat, a doświadczenie z mediami jak polityk. Tłum ludzi porywa go, zanim dziennikarce udaje się zadać mu kolejne pytanie.

Amat znajduje mamę w tłumie i całuje ją w czoło. Matka szepcze tylko ze łzami w oczach: „Idź, idź”. Chłopiec śmieje się, obejmuje ją i obiecuje, że wróci do domu na czas. Mama wie, że kłamie. Ale jest szczęśliwa.

Zachariasz stoi na skraju parkingu, w najdalszym kręgu popularności, podczas gdy jego najbliższy przyjaciel jest w samym jej centrum. Dorośli wsiadają do samochodów i odjeżdżają, zostawiając młodzież świętującą tak doniosłą chwilę, a gdy orszak zawodników i dziewcząt rusza na imprezę, na której ma być prawie każdy, staje się żałośnie oczywiste, kto należy do grupy, a kto zostaje w tyle.

Zachariasz nigdy nie zapyta Amata, czy o nim zapomniał, czy po prostu miał go gdzieś. Jeden idzie, a drugi zostaje. I nic nigdy nie będzie już takie samo.

W drodze do sklepiku Peter spotyka Mayę i Anę. Ku jego zdziwieniu córka rzuca się mu na szyję, tak jak to miała w zwyczaju jako pięcioletnie dziecko.

– Taka jestem z ciebie dumna, tato – szepcze.

Peter niechętnie wypuszcza ją z objęć. Gdy dziewczynki ze śmiechem na ustach pędem zbiegają po schodach, w całej hali robi się cicho. Słychać tylko oddech Petera i głos jego żony.

– Teraz moja kolej, gwiazdorze! – woła Mira.

Peter uśmiecha się melancholijnie, idąc w jej kierunku. Delikatnie łapią się za ręce i tańczą powoli, obracając się wolno w kółko, aż Mira bierze jego twarz w dłonie i całuje go tak mocno, że aż go to zawstydza. Nadal na niego tak działa.

– Nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego – szepcze Mira.

– Nie, nie... to... – próbuje Peter.

– Chodzi o Sunego?

Peter chowa twarz w jej szyi.

– Po finałach sponsorzy chcą ogłosić, że David przejmuje pierwszy zespół. Chcą zmusić Sunego, by podał się do dymisji. Według nich to będzie źle wyglądać w mediach, jeśli my go zwolnimy.

– To nie twoja wina, kochanie. Nie możesz wszystkich uratować. Nie możesz nieść na barkach całego świata.

Peter nie odpowiada. Żona gładzi go po włosach.

– Widziałeś swoją córkę? Ma się „uczyć” u Any.

– Sporo tego makijażu jak na rozwiązywanie równań, co? – mruczy Peter.

– Najtrudniejsze w ufaniu nastolatkom jest to, że kiedyś samemu się nimi było. Pamiętam, jak kiedyś z jednym chłop...

– Nie chcę tego słuchać!

– Kochanie, no weź, przed tobą też miałam życie.

– NIE!

Jednym ruchem bierze ją w ramiona, Mira aż traci oddech. Nadal tak na nią działa. Chichoczą jak dwa dzieciaki.

Przez okienko sklepiku widzą Mayę i Anę znikające na drodze wraz z hokeistami i kolegami ze szkoły. Temperatura spada szybko o zmroku, płatki śniegu tańczą wokół sylwetek dziewczynek.

Nikt jeszcze tego nie wie. Ale zanoszą się na burzę.

Adrenalina robi z człowiekiem dziwne rzeczy. Szyby w oknach Willi Erdahlów dźwięczą od przeciążonych głośników, parter wypełnia się ludźmi tak szybko, jakby wrzucani byli przez dziurę w dachu, większość zawodników jest już pijana do nieprzytomności, pozostali są tylko w trochę lepszym stanie. Imprezy bez rodziców to dla nich żadna nowość. Goście piją z jednorazowych plastikowych kubków, wszystkie obrazy zdjęto ze ścian, schowano delikatne przedmioty, a meble owinięto w folię ochronną. Całą noc przy schodach na górę stoi na zmianę dwóch juniorów, pilnując, by nikt nie wchodził na piętro. Można twierdzić, co się chce o Kevinie, ale dokładnie tak jak jego trener stawia na przygotowanie i plan i nie ufa przypadkowi. Sprzątaczką, która przyjdzie rano, zwykła mówić, że nawet jeśli Kevin zamordowałby kogoś w domu, to i tak nie byłoby po tym ani śladu. Kevin dobrze jej płaci, by nie mówiła nic rodzicom, a takiego wieczoru jak ten sąsiedzi kładą się spać z zatyczkami w uszach, udając, że nie było ich w domu, jeśli ktoś by pytał.

Nikt już się go nie czepia, że jako jedyny nie bawi się dobrze na własnej imprezie. W salonie przy akompaniamencie śpiewów piją nastolatki, ściągając z siebie coraz więcej ubrań, ale po drugiej stronie grubych, dobrze izolowanych ścian ogród jest prawie cichy.

Krople potu kapią z twarzy Kevina, gdy raz po raz strzela w stronę bramki. Nigdy nie może się uspokoić zaraz po meczu, po dzisiejszej wygranej nie jest jednak przynajmniej agresywny. Gdyby przegrali, to ogród i przydomowe lodowisko byłyby pełne połamanych kijów i kawałków szkła. Benji siedzi jak zwykle niewzruszony przy plastikowym stole, rolując w palcach papierosa, tak aby wyciągnąć z niego tytoń, nie naruszając bibuły. Napenia pustego papierosa trawą, skręca końcówkę, delikatnie wyciąga zębami filtr i zastępuje cienko zwiniętym kawałeczkiem papieru. Jest zdany na tę metodę, ponieważ właścicielka sklepu z wyrobami tytoniowymi to siostra dyrektora szkoły, więc nie da się tam bez wzbudzania niepotrzebnego zainteresowania kupować bibulek, nie zaopatrując

się też w tytoń. Zamawianie przez Internet też nie wchodzi w grę, bo mama Benjiego kontroluje przychodzącą korespondencję niczym pies policyjny. Choć więc nikt nigdy nie widział Kevina palącego, od lat pobiera on opłaty wejściowe na swoje imprezy w postaci dwóch fajek od osoby, tak żeby Benji miał w co skręcać trawę. To w sumie zadziwiające, ale Kevin od razu się uspokaja, widząc przyjaciela idiotę tak skupionego na swoich dragach.

– Sprzedam cię kiedyś do jakiejś dziecięcej fabryki w Azji, te twoje paluszki szyłyby piłki szybciej niż niejeden smarkacz – naśmiewa się Kevin.

– Mam ci uszyć większą siatkę, żebyś w końcu mógł trafić do bramki? – zastanawia się Benji i bez spoglądania na przyjaciela uchyla się natychmiast, gdy krążek wystrzelony przez Kevina przelatuje kilka centymetrów od jego włosów i uderza o plandekę, tak mocno, że ta faluje jeszcze przez kilka minut.

– Nie zapomnij skręcić kilku dla sprzątaczkę – przypomina Kevin.

Benji pamięta. Nie pierwszy raz mają imprezę.

Amat wchodzi do domu i ze zdziwienia otwiera usta:

– Ale serio? Mieszka tu tylko... JEDNA rodzina?

Bobo i Lyt śmieją się, popychając go w stronę kuchni. Lyt jest już tak pijany, że nie byłby w stanie przypiąć magnesu na lodówce. Pija *knockshots*. Amat nie wie, co w nich jest, ale smakują bimbrem i tabletkami na gardło, po każdym kieliszku wszyscy uderzają się nawzajem pięściami w piersi, krzycząc: „KNOCKSHOT!”. Wydaje się to bardziej logiczne już po pięciu czy sześciu kieliszkach. Zresztą jak wszystko.

– Dziś możesz się pieprzyć z KAŻDĄ, z którą chcesz, WSZYSTKIE to hokejowe dziwki, gdy wygrywamy – bełkocze Lyt, wskazując ręką na tłum ludzi w domu, po czym chwyta Amata gwałtownie za rękaw swetra. – O ile oczywiście Kevin, Benji albo ja jej nie chcemy. Pierwsza linia ma pierwszeństwo!

Amat zapamięta, że słysząc to, Bobo wydawał się tak samo zażenowany jak on sam. Pierwszy raz widzi go takim. Gdy Lyt odchodzi, zataczając się i skrzecząc: „Miałem dziś asystę! Kto chce się dupczyć?”, obaj stoją nadal zagubieni naprzeciwko siebie w kuchni. Aby uniknąć rozmowy, piją więcej, uderzając się w piersi i krzycząc KNOCKSHOT, obaj są bowiem przekonani, że po głosie można poznać, kto jest prawiczką.

Maya i Ana przychodzą na imprezę prawie ostatnie, ponieważ Ana wcześniej ze dwadzieścia razy musiała poprawić makijaż. Co miesiąc fiksuje się na nowej części ciała i teraz są to kości policzkowe. Jeszcze niedawno była to linia włosów i Ana całkiem na poważnie zmusiła Mayę do szukania informacji o tym, czy wykonuje się operacje plastyczne zmniejszające wysokość czoła.

Przed wejściem do środka Maya zatrzymuje się na chwilę na ulicy, podziwiając widoki. Z miejsca, gdzie mieszkają Erdahlowie, można zobaczyć jezioro i drogę aż do lasu po drugiej stronie. Przyroda jest tu bardziej dzika, drzewa rosną ciaśniej, nawet śnieg zdaje się tworzyć większe zaspę. Jeszcze dalej rozciąga się otwarta biała przestrzeń, tak szeroka, że jako dziecko ma się wrażenie, że jest się ostatnim człowiekiem na ziemi. Dzieciaki z Björnstad wcześniej uczą się, że to właśnie tam mają pójść, gdy planują coś, o czym nie powinni dowiedzieć się dorośli. Maya zna to miejsce doskonale, bo Ana nieraz prawie je tam zabiła, gdy były małe. Kiedy miały po dwanaście lat, Ana ukradła skuter śnieżny i obwoziła tam na nim Mayę całą noc. Maya ani razu się do tego nie przyznała, ale nigdy nie czuła się bardziej wolna niż wtedy.

Rok później Ana przestała gugłować, jak na kabelki odpalić skuter śnieżny, a zaczęła sprawdzać w Internecie diety. Zanim wejdą na imprezę, Maya zatrzymuje się na chwilę, przypominając sobie z tęsknotą dziewczynki, które bawiły się po drugiej stronie jeziora. Gdyby tylko wiedziała, że za kilka godzin wyjdzie z tego domu jako całkowicie inny człowiek, popędziłaby przez lód już teraz.

Kevin stoi na zewnątrz, ale przez ogromne okna widzi, jak Maya wchodzi do środka. Patrzy prosto na nią, nie zauważając, że w tym samym czasie Benji obserwuje jego. Gdy Kevin ochoczo rusza w stronę domu, poirytowany Benji zbiera swoje rzeczy do plecaka i idzie za nim. Przeciskają się przez salon, bez słowa i w różnych celach. Kevin zatrzymuje się przy Mai, robi wszystko, by nie zauważyła, jak mocno pod koszulką bije mu serce, ona z kolei stara się nie pokazać, jaka jest szczęśliwa i jaką przyjemność jej sprawia, że cała gromada starszych dziewczyn z kuchni jej teraz nienawidzi.

– Madame. – Kevin uśmiecha się teatralnie i kłania przed nią nisko.

– Szanowny Pan Gównołap, miło mi! – Maya się śmieje i również się kłania.

Kevin już ma coś powiedzieć, ale powstrzymuje się, widząc, że Benji wychodzi z domu. Jest tym niemal tak zawiedziony jak dziewczęta w kuchni i Ana, a wydaje się fizycznie niemożliwe, żeby być tak rozczarowanym jak Ana i nie rozpaść się na kawałki.

Na ulicy Benji zarzuca plecak na ramię, osłania płomień zapalniczki przed wiatrem i czeka, aż dym spłynie mu do płuc. Słyszy, jak Kevin go woła, ale się nie odwraca.

– No chodź, Benji! Nie wygłupiaj się teraz!

– Nie baluję z gówniarami, wiesz o tym. Ile one mają lat? Piętnaście?

Kevin wymachuje rękami.

– Oduść sobie, to nawet nie ja je zaprosiłem!

Benji odwraca się i patrzy przyjacielowi prosto w oczy. Mija prawie dziesięć sekund, zanim Kevin zaczyna się śmiać. Nieźle!

– Wiesz, że nie umiesz mi kłamać.

– Zostań, co? – prosi Kevin, uśmiechając się.

Benji kręci powoli głową. Kevin patrzy na niego zasmucony.

– Co będziesz robił?

– Własną imprezę.

Kevin spogląda na plecak.

– Tylko nie pal tyle, że znów będziesz widział jakieś krasnale z nożami w lesie, dobra? Nie będę za tobą latał i cię szukał, jak wylądujesz na jakimś drzewie, krzycząc i becząc.

Benji zanoszą się od śmiechu.

– To się zdarzyło tylko RAZ. I nie po trawie.

– Pamiętasz, jak zadzwoniłeś do mnie z krzykiem: „ZAPOMNIAŁEM, JAK SIĘ MRUGA!!!”?

– Nie żartuj sobie z tego. To było, kurwa, straszne.

Kevin wyciąga dłoń w jego stronę, ale się powstrzymuje.

– I jak masz zamiar kraść jakiś samochód, to nie na tej ulicy, okej? Ojciec się mega wkurzy!

Benji przytakuje, nic jednak nie obiecując. Po czym wyciąga jointa i delikatnie wkłada go Kevinowi za ucho.

– Na dziś. Z odrobiną tytoniu, tak jak lubisz.

Kevin obejmuje go, tak szybko, że nikt nawet nie zdąży tego zauważyć, ale tak mocno, jak tylko się da. Nigdy nie może zasnąć po meczach i wtedy właśnie pali. Wyłącznie najlepsi przyjaciele wiedzą o sobie takie rzeczy. Chłopcy, którzy kiedyś z latarkami leżeli blisko siebie pod kołdrą, przeglądając komiksy, i którzy zrozumieli, że powodem ich wyobcowania jest fakt, że obaj są superbohaterami.

Kevin długo patrzy za znikającym w ciemności Benjim. Zazdrości mu. Wie, że dziewczyny zakochują się w nim samym, bo dobrze gra w hokeja, bez tego byłby po prostu przeciętnym siedemnastolatkiem. Inaczej jest z Benjim. W nim dziewczyny zakochują się z zupełnie innych powodów. Ma w sobie coś, czego wszyscy pragną, coś zupełnie niezależnego od tego, co robi na lodzie. W jego oczach można zawsze wyczytać, że zostawi cię, gdy tylko przyjdzie mu ochota, nie oglądając się za siebie. Nie jest niczym związany, niczym się nie przejmuje, Kevina przeraża samotność, Benji wita ją z otwartymi ramionami jak coś zupełnie naturalnego. Całe życie Kevin śmiertelnie się boi, że któregoś dnia się obudzi i odkryje, że drugiego superbohatera już nie ma. Że to nic dla niego nie znaczyło.

Benji ma w sobie inną krew niż pozostali. Znika po prostu w lesie, idzie w kierunku jeziora, a Kevin myśli sobie, że to jedyna wolna istota, jaką zna.

To ostatni moment ich dzieciństwa. Skończy się ono dziś w nocy.

21

Maya śledzi każdy ruch Kevina po jego powrocie do domu. Początkowo wygląda jak kociak pozostawiony na deszczu. Opuszczony i zapomniany, mimo że nikt, kogo dotąd poznała, nie jest cały czas tak bardzo w centrum uwagi jak on. W następnej sekundzie wychyla w kuchni dwa kieliszki, wrzeszcząc „KNOCKSHOTS” z Bobo i Amatem i obejmując Lyta, podskakuje tak, że aż wibruje podłoga, i śpiewa: „TO MY, NIEDŹWIEDZIE!”.

Maya nie wie, kiedy podaje jej pierwszy kieliszek z alkoholem, wie tylko, że drugi nie smakuje już tak ohydnie. Kevin przez cały czas zakłada się z Lytem, kto wypije szybciej, wygrywa za każdym razem, a Maya uśmiecha się pobłaźliwie i mówi:

– Wy, hokeiści, nawet pić nie możecie bez rywalizacji.

Kevin patrzy na nią, jakby byli sami, przyjmuje to jako wyzwanie.

– Przynieś więcej shotów – mówi do Lyta.

– Tak, Lyt! Leć! Mierzę ci czas! – Maya śmieje się sarkastycznie, klaszcząc w dłonie.

Lyt wpada prosto na ścianę. Kevin rechoce tak, że ledwie łapie oddech. Mayę fascynuje to, że on cały czas zdaje się żyć tu i teraz, na lodzie nie myśli o niczym innym niż hokej, poza lodem nie myśli raczej w ogóle. Żyje instynktownie. Maya sama chciałaby taka być.

Nie wie, ile wypijają, pamięta tylko, że wygrywa z Lytem, wypijając szybciej trzy shoty z rzędu, i że stoi na krześle, z triumfalnie uniesionymi rękami, tak jakby trzymała gigantyczny puchar.

Kevinowi podoba się, że jest inna. Że jej oczy nigdy nie przestają się poruszać, cały czas obserwując. Że wydaje się wiedzieć, kim jest. Kevin sam chciałby taki być.

Ana kończy picie po pierwszym shocie. Nie wie dokładnie dlaczego, ale Benji zniknął, a to właśnie dla niego chciała tu przyjść. Stoi z Mayą w kuchni, ale ktoś

ciągle się wpycha pomiędzy nie. Widzi spojrzenia starszych dziewczyn za każdym razem, gdy Kevin śmieje się z tego, co mówi Maya, jest w nich coś między pogardą a groźbą śmierci, czuje dłonie Lyta na swoich pośladkach i wciska się coraz bardziej w kąt. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowałyby się wygładzić, jak małą próbowałyby się stać, i tak nigdy nie będzie tu pasować.

Benji idzie przez lód, aż dociera na środek jeziora. Stoi tam i pali, obserwując między drzewami, jak miasto gaśnie, dom za domem. Dociska lekko twardą skorupę pod stopami, trochę późno na takie samotne nocne wyprawy na lód o tej porze roku, nawet w Björnstad. Zawsze, także jako dziecko, rozkoszował się myślą, jak by to było, gdyby wpadł pod lód i zniknął w chłodzie i mroku. Zastanawiał się, czy wszystko, co sprawia ból, jest mniej dotkliwe tam na dnie. Co dziwne, sprawa z jego ojcem nie spowodowała, że bał się śmierci, wręcz przeciwnie. Benji nigdy nie zrozumiał tylko jednego: dlaczego ojciec czuł się zmuszony, by użyć strzelby. Las, lód, jezioro, chłód – to miasto dysponuje wieloma sposobami na naturalną śmierć.

Zostaje na lodzie, aż palenie i minusowa temperatura sprawiają, że jest odrętwiałały zarówno na zewnątrz, jak i w środku, potem wraca w kierunku miasteczka, skręca przy jednym z mniejszych osiedli z domami jednorodzinnymi i kradnie skuter. Jedzie do Hed.

– Dlaczego nie lubisz hokeistów? – pyta Kevin.

– Nie jesteście zbyt mądrzy. – Maya się śmieje.

– Co masz na myśli? – pyta szczerze zainteresowany Kevin.

– Wynaleźliście suspensorium siedemdziesiąt lat wcześniej niż hełmy – odpowiada Maya.

– Mamy swoje priorytety! – Kevin się uśmiecha.

Piją więcej. Na czas. On zwycięża. Nigdy nie przegrywa.

„Stodoła” to słaba nazwa dla knajpy, zwłaszcza gdy rzeczywiście znajduje się w stodole. Ale jak to zwykł mówić szef Katii: „Nikt nigdy nie spojrzał na nikogo w Hed i nie powiedział: »Wiesz co, jesteś wręcz ZBYT kreatywny!«”. Jakiś zespół gra na scenie przed garstką spektakularnie niezainteresowanych mężczyzn

w postępującym wieku średnim i różnym stopniu upojenia. Katia stoi za barem, gdy podchodzi do niej ochroniarz.

– Czy twój brat ma skuter?

– Nie.

Ochroniarz parska śmiechem.

– W takim razie poprosiłbym, żeby postawił go na tyłach.

Katia, starsza siostra swojego młodszego brata, który z pewnością pewnego pięknego dnia wpędzi ich do grobu, wzdycha tylko na widok wchodzącego do środka Benjiego. Sama nie wie, czy to on szuka problemów, czy to problemy znajdują jego, wie tylko tyle, że jedno bez drugiego nie istnieje. Na szczęście dla niego nie ma tu ich najstarszej siostry, bo ta skrzyłaby mu kark. Ale Katia nie potrafi się złościć, nigdy nie potrafiła, nie na niego.

– Spoko, spoko, oddam skuter – obiecuje Benji i próbuje się uśmiechnąć, mimo że ona widzi, że przez cały wieczór był nie w sosie.

– Co ty tutaj robisz? Słyszałam, że dziś wygraliście – pyta siostra.

– Świątuję, widzisz przecież – odpowiada gorzko, a ona pochyla się w jego stronę i całuje go mocno we włosy.

– Byłeś u taty?

Benji kiwa głową. Jej kochany młodszy brat, Katia doskonale rozumie, dlaczego wszystkie dziewczyny się w nim kochają. „Pełne żalu oczy, dzikie serce, kogoś takiego nie czeka nic poza problemami”, zwykła mówić ich mama, a ona wie to z własnego doświadczenia. Katia nigdy nie poszła na grób ojca, ale czasem myśli o nim i o tym, jak źle musiał się czuć i nie mówić o tym nikomu. To straszne utrzymywać coś w wielkiej tajemnicy przed tymi, których się kocha.

Gdy Benji jest wściekły, pojawia się u swojej najmłodszej starszej siostry Gaby, bawi się z jej dziećmi, aż wszystko z niego schodzi. Kiedy chce być cicho i porozmyślać, jedzie do swojej najstarszej siostry Adri, do hodowli. Ale gdy jest zraniony, przyjeżdża tutaj. Do Katii. Więc ona klepie go tylko po policzku, zamiast opieprzyć.

– Możesz stanąć chwilę za barem? Zdążyłabym zrobić trochę rzeczy w biurze. Potem wrócisz ze mną do domu. Chłopaki załatwią tę sprawę ze skuterem – mówi, kiwając głową w stronę ochroniarzy.

Jutro rano dwóch mężczyzn, z którymi się nie dyskutuje, odstawi skuter do właściciela, tłumacząc, że ten „musiał się pomylić i zapomnieć go w Hed”. Gdy właściciel odda go do naprawy, warsztat pokryje koszty. W tych okolicach nie ma się co za dużo rozwodzić nad takimi sprawami.

– I wara od piwa! – rozkazuje Katia.

Benji idzie za bar, czeka, aż siostra wejdzie do biura, i otwiera piwo. Zespół na scenie gra covery starych rockowych kawałków, bo to trzeba grać, gdy się chce grać w Hed. Członkowie zespołu wyglądają tak, jak można by się tego spodziewać: są niewystarczająco zdolni, opasli i przeciętni. Wszyscy poza basistą. W nim nie ma nic przeciętnego. Czarne włosy, czarne ubranie, a jednak bije od niego światło. Pozostali wyżywają się, ile mogą, na swoich instrumentach, on natomiast wydaje się bawić. Stoi upchnięty na powierzchni półtora metra kwadratowego, pomiędzy wzmocniaczem a automatem z papierosami, ale tańczy w swoim własnym królestwie. Tak jakby ta stodoła nie znajdowała się na końcu świata, tylko na jego początku.

W przerwie między piosenkami basista zauważa młodego barmana z rozczochranymi włosami. Reszta lokalu mogłaby równie dobrze być wtedy pusta.

Ana wychodzi z toalety. Lyt stoi zaraz za drzwiami. Pochyliła się nad nią swoim wielkim ciałem i próbuje wepchnąć ich z powrotem do środka. Gdyby nie był taki pijany, pewnie by mu się to udało, ale Ana wysuwa się zwinnie na korytarz, gdy on sam chwytą się umywalki, by utrzymać się na nogach.

– No co z tobą!? Miałem dziś, kurwa, asystę! Nic mi się za to nie należy?

Ana się cofa, spogląda instynktownie w obie strony małego korytarza, niczym zwierzę w lesie, które ocenia drogi ucieczki. Lyt macha ręką, mamrocze ciężko.

– Widziałem, jak patrzyłaś na Benjiego. Spoko. Ale on tu już dziś nie wróci, to ćpun, rozsu... rozum... MNIESZ! Więc nie wróci już dziś na ZIEMIĘ! Więc olej go i zesku... zeskuu zeeskuup się trochę na MNIE! Miałem dziś kurwa azzzy... azzzyzz... kurwa ASYSTĘ i WYGRALIŚMY!

Ana zatrzaskuje mu drzwi przed nosem i biegnie do kuchni. Szuka Mai. Nigdzie jej nie widzi.

Benji nalewa piwo za barem. Zespół skończył grać, Katia puściła płytę country, Benji odwraca się do następnego klienta tak gwałtownie, że niemal uderza go szklanką w twarz. Basista się uśmiecha. Benji unosi brew.

– Muzyk w moim barze, no proszę. Co poleć?

Basista przechyla głowę.

– Whisky sour?

Benji uśmiecha się od ucha do ucha.

– A ty, kurwa, myślisz, że co to jest? Hollywood? Możesz dostać jacka z colą.

Nalewa, rozmawiając, potem puszcza wprawnie drinka po barze. Basista długo go ogląda, zanim wyznaje:

– Przepraszam, ja nawet nie lubię whisky. Chciałem po prostu zabrzmieć jak jakiś superrocker.

– Ty, ale whisky sour nie jest jakoś superrockowa – wyjaśnia Benji.

Basista przeciąga ręką po włosach.

– Spotkałem kiedyś barmana, który mówił, że jak się stoi wystarczająco długo po tamtej stronie baru, to postrzega się ludzi jak rodzaje alkoholi. Jak jakąś pokreconą wersję totemów, którymi zajmują się wróżki. Czaisz, o co mi chodzi?

Benji parska śmiechem. Rzadko mu się to zdarza.

– Twoim totemem nie jest w każdym razie whisky, mówię ci!

Basista przytakuje i pochyla się dyskretnie w jego stronę.

– W sumie wolę bardziej to, co płonie, niż płynie. Ludzie mówią, że może mógłbyś mi w tym pomóc.

Benji wypija drinka basisty i kiwa głową.

– Co byś sobie życzył?

Amat i Bobo w sumie nie decydują, żeby wyjść do ogrodu. Tak się po prostu dzieje. Obydwaj są słabi w imprezowaniu, nie wiedzą, co robić, to normalne, że szukają czegoś, co rzeczywiście rozumieją. Na czym się znają. Kończy się więc na tym, że obaj stoją w ogrodzie, z kijami Kevina w dłoni, i na przemian strzelają do bramki.

– Co zrobić, żeby być tak szybkim jak ty? – pyta pijany Bobo.

– Trzeba dużo uciekać w szkole przed takimi jak ty – odpowiada Amat pół żartem, pół serio.

Bobo rechocze, w pół na poważnie, a w pół nie. Amat zauważa, że strzela mocniej, niż mogłoby się wydawać, gdy stoi w bezruchu i celuje na spokojnie.

– Sorry... ja... Wiesz, że to wszystko na żarty, nie? Wiesz... tak to już jest... Pierwszy zespół wyzywa się na nas, a my wyzywamy się na was...

– Tak. Tak. Tylko żarty... – kłamie Amat.

Bobo strzela mocniej. Przepelniony winą.

– Teraz ty grasz w pierwszej linii. To ty będziesz teraz wrzucał moje rzeczy pod prysznic po meczu, nie na odwrót.

Amat kręci głową.

– Za bardzo śmierdzisz, żebym chciał dotykać twoich rzeczy, Bobo.

Śmiech Bobo odbija się między domami, teraz już szczerzy. Amat uśmiecha się do niego. Głos Bobo staje się nagle cichszy:

– Muszę być szybszy na jesień. Inaczej nie będę mógł grać.

To ostatni sezon Bobo, zanim zrobi się za stary na drużynę juniorów. W innych miastach są drużyny juniorów do lat dwudziestu, ale nie w Björnstad, bo po zakończeniu szkoły nie pozostaje tu wystarczająco dużo chłopaków w tym wieku. Niektórzy wyprowadzają się, żeby dalej się uczyć, inni, żeby pracować. Najlepszych zawodników przenoszą do seniorów, reszta zostaje z niczym.

– Później będzie pierwszy zespół! – próbuje Amat, ale Bobo tylko prychnie sucho.

– Nigdy mnie nie wezmą do pierwszego zespołu. To mój ostatni sezon, jeśli nie będę szybszy. Później to już tylko warsztat z ojcem każdego dnia do końca życia.

Amat nic nie mówi, nie musi. Każdy, kto grał w hokeja przynajmniej pięć minut jako dziecko, wie, że jedyne, czego człowiek sobie życzy od wszechświata, to możliwość grania dalej. Chce się więcej i więcej, ponieważ ta gra łączy w sobie najlepsze składniki sportu: szybkość i siłę, totalną technikę i totalną walkę, sto procent mózgu i sto procent serca. Nie ma lepszej zabawy. Większego upojenia. To zniewalający halucynogen. Amat robi głęboki wdech i mówi coś, do czego nigdy nie przyzna się nikomu innemu:

– Bałem się dziś, Bobo. Cały mecz cholernie się bałem. Nawet się nie cieszyłem, kiedy wygraliśmy, po prostu czułem ulgę. Ja... Kurde, pamiętasz, jak się było małym i grało na jeziorze? Wtedy to po prostu była zabawa. Człowiek nawet nie myślał, tylko to się chciało robić. I nadal chcę robić tylko to. Nie wiem nawet, co

MIAŁBYM robić, gdyby nie to, hokej to jedyna rzecz, w której jestem dobry. Ale teraz... Teraz to wydaje się...

– Pracą? – uzupełnia Bobo, nie patrząc na niego.

Amat kiwa głową.

– Boję się po prostu cały czas. Czy to jest chore?

Bobo kręci głową. Nie rozmawiają o tym więcej. Uderzają w krążki w ciszy. Bang-bang-bang-bang-bang. Bobo odchrząkuje i zmienia temat:

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie.

– Skąd wiadomo, że ma się ładnego fiuta?

Amat wpatruje się w Bobo, żeby sprawdzić, czy ten żartuje. Nie wygląda na to.

– Jak bardzo jesteś pijany?

Bobo się czerwieni.

– To... to taka rzecz, o której po prostu myślę. Wszystkie chłopaki gadają przecież o cyckach lasek. Ciekawy jestem, czy one tak samo gadają o naszych fiutach. No i skąd się wie, że się ma ładnego? Myślisz, że to ważne dla lasek, żeby mieć ładnego?

Amat uderza trzy krążki w szybkim tempie. Bobo stoi obok, wielki jak drzewo, a jednak przestraszony niczym szczeniak w poczekalni u weterynarza. Amat uśmiecha się i klepie go po ramieniu.

– Wiesz co, Bobo? Wydaje mi się, że powinieneś myśleć trochę mniej. To wszystkim wyszłoby na dobre.

Bobo kiwa głową i szczyrzy zęby. Mają po kilkanaście lat, a za dziesięć będą wspominać ten wieczór, gdy wszyscy inni bawili się na imprezie w domu, a oni na zewnątrz zostali przyjaciółmi.

Noc jest gwieździsta, drzewa spokojne, oni stoją za stodołą i palą. Benji w sumie nigdy nie czuje się upalony z obcymi, w większości przypadków to dla niego intymna i samotna czynność, nie wie, dlaczego właśnie dzisiaj jest inaczej. Może to sposób, w jaki basista tworzył własną przestrzeń na scenie. Jakby poruszał się w innym wymiarze. Benji się w tym odnalazł. Albo też za tym tęsknił.

– Co ci się stało w twarz? – pyta basista, wskazując na bliznę na brodzie.

– Hokej – odpowiada Benji.

– Więc taki z ciebie *fighter*?

Akcent wskazuje, że nie jest z tej części kraju. Pytanie zdradza, że jest tu po raz pierwszy.

– Jeśli akurat to chcesz ocenić, to nie szukaj blizn na twarzy, tylko na dłoniach – odpowiada Benji.

Basista zaciąga się głęboko, zdmuchuje grzywkę z oczu.

– Ze wszystkich sportów, w przypadku których nie rozumiem, dlaczego człowiek się im poświęca, hokej jarzę najmniej.

Benji prychnął.

– A czy bas nie jest dla tych, co słabo grają na gitarze?

Basista śmieje się w głos, dźwięk unosi się między drzewami i trafia Benjiego tak samo szybko w głowę jak i w serce. Niewiele osób ma taką moc. Że są zarazem jak tequila i szampan.

– Zawsze mieszkałeś w Hed? Nie dostałeś jeszcze klaustrofobii od tak małego miasteczka?

Basista się uśmiecha. Wzrok wędruje na wpół nieśmiało, na wpół chciwie po ustach barmana. Dym z ust Benjiego unosi się przy jego policzku.

– Mieszkam w Björnstad. W porównaniu z nim Hed jest duże. A ty co tutaj robisz?

Basista wzrusza ramionami, stara się brzmieć nonszalancko, ale widać wszystko, co sprawia mu ból.

– Mój kuzyn śpiewa w zespole, ich basista zaczął gdzieś studiować, więc zapytali, czy nie chciałbym się tu przenieść i pograć z nimi kilka miesięcy. Są cholernie beznadziejni i dostajemy na przykład skrzynkę piwa za występ, ale właśnie skończyłem fatalny związek. Musiałem wyjechać.

– Nie da się już chyba dalej niż tu – odpowiada Benji.

Basista wsłuchuje się w drzewa, czuje, jak delikatne płatki śniegu spadają mu na dłonie.

– Ładniej tu, niż myślałem.

Benji pali z zamkniętymi oczami. Chciałby być bardziej upalony. Bardziej pijany. Może by się wtedy odważył. Ale tak mówi tylko:

– Nie jest tu tak jak tam, skąd pochodzisz.

Basista wdycha dym Benjiego. Kiwa głową, spoglądając w dół.

– Gramy tu w następną niedzielę. Gdybyś chciał przyjść. Byłoby... Chętnie bym kogoś poznał. Tutaj.

Jego czarne ubranie powiewa delikatnie na chudym ciele. Jego ruchy są miękkie i lekkie, tak wolne od wysiłku, że chłopak zdaje się nic nie ważyć. W lesie pełnym saren stoi na śniegu jak jedyny w swoim rodzaju ptak. Jego oddech jest zimny, gdy dociera do policzka Benjiego. Benji gasi żar ręką, cofa się dwa kroki.

– Muszę iść, zanim siostra zobaczy, że stoję na zewnątrz.

– Wielki, ostry hokeista boi się swojej siostry? – Muzyk się uśmiecha.

Benji wzrusza spokojnie ramionami.

– Też byś się bał. A kto niby, kurwa, nauczył mnie, jak się bić?

– Widzimy się więc w następną niedzielę?! – woła basista.

Żadnej odpowiedzi.

Maya stoi w kuchni i nagle zauważa, że Any nie ma. Idzie jej szukać. Chłopaki widzą, jak pod wpływem buzującego w niej alkoholu przytrzymuje się ściany, by nie stracić równowagi, jak pingwin na chyboczącej się krze. Lyt nachyla się w stronę Kevina i szepcze mu do ucha:

– Córka dyrektora sportowego, Kev, NIGDY nie uda ci się jej zaliczyć!

– Założymy się? – rehocze Kevin.

– O stówę! – przytakuje Lyt.

Podają sobie dłonie.

Po fakcie Maya będzie pamiętać dziwaczne detale, jak na przykład to, że Kevin rozlał na sweter trochę alkoholu i że plama wyglądała jak motyl. Nikt nie będzie chciał tego słuchać. Będą pytać tylko o to, ile wypila. Czy była pijana. Czy trzymała go za rękę. Dawała mu sygnały. Czy weszła na piętro dobrowolnie.

– Zgubiłaś się? – Kevin się uśmiecha, gdy znajduje ją przy schodach.

Okrążyła parter trzy razy, ale nie znalazła łazienki. Śmieje się i rozkłada ręce. Zapomina o Anie.

– Ale masz zajebisty dom! Mieszkasz jak w Hogwarcie! No więc, ile pieniędzy mają właściwie twoi rodzice?

– Chcesz zobaczyć piętro? – pyta Kevin.

Nigdy nie przestanie żałować, że poszła za nim na górę.

Samochód Katii zapala niechętnie po ósmej czy dziewiątej próbie.

– Nocujesz dziś u Adri w hodowli.

– Nie, zawieź mnie do domu – prosi sennie Benji.

Siostra klepie go po policzku.

– Nie, bo przecież rozumiesz, stary: Adri i ja kochamy naszego młodszego brata. A jak wrócisz do domu do mamy, znów śmierdząc piwem i trawą, to nie będziemy już mieć młodszego brata.

Benji chrząka i ściąga z siebie kurtkę, robiąc z niej poduszkę na oknie. Siostra dźga go zadziornie w ramię, poniżej rękawa koszulki, w miejscu, gdzie znajduje się tatuaż niedźwiedzia, i mówi:

– Basista to ciacho. Ale zakładam, że znów mi powiesz, że to nie twój typ, dokładnie jak zresztą wszyscy?

Benji odpowiada z zamkniętymi oczami:

– On nie lubi hokeja.

Siostra się śmieje, ale gdy jej młodszy brat zasypia, powstrzymuje łzy, mrugając. Przez całe jego dorastanie, jeszcze od czasów piaskownicy i huštawek, widziała, jak oglądają się za nim dziewczyny. Zarówno z tego powodu, że marzy im się, aby go okiełznać, jak i dlatego, że domyślają się, że to niemożliwe. Nie rozumieją tylko dlaczego.

Z każdym rokiem, im Benji robił się starszy, życzyła mu innego życia. W innym miejscu, w innym czasie może udałoby mu się być innym chłopcem. Łagodniejszym i pewniejszym siebie. Ale nie w Björnstad. Tu nosił w sobie zbyt wiele tego, czego nikt nie widzi, i tutaj ma hokej. Drużynę, chłopaków, Kevina. Są dla niego wszystkim, więc on jest dla nich wszystkim tym, czym oni chcą, żeby był. To straszna rzecz.

Mieć tajemnicę przed tymi, których się kocha.

Wszyscy mówią, jak to jest. Pielęgniarka w szkole, biedny nauczyciel prowadzący wychowanie seksualne, zaniepokojeni rodzice, moralizujące seriale telewizyjne, cały Internet. Wszyscy. Całe życie człowiek dowiadyuje się, co ma się wydarzyć. Nikt jednak nie opowiada, że będzie właśnie tak.

Maya leży na plecach na łóżku Kevina, po raz pierwszy pali marihuanę. Jest inaczej, niż sobie wyobrażała, tak jakby ciepło miało swój smak, a dym idzie bezpośrednio do głowy zamiast do gardła. Kevin ma plakaty hokeistów na wszystkich ścianach, puchary na wszystkich półkach, a w rogu stoi stary adapter. Maya zapamięta właśnie to, ponieważ nie pasował do reszty.

– To stary adapter ojca, lubię jego brzmienie, to... jak trzeszczy, gdy kładzie się płytę... – mówi tak, jakby się tłumaczył.

Puszcza muzykę, ona nie pamięta jaką, pamięta tylko trzeszczenie. Za dziesięć lat, słysząc ten sam dźwięk w kącie jakiegoś baru lub sklepu z ubraniami na drugim końcu świata, nadal będzie natychmiast wracać do tego momentu. Czuje ciężar jego ciała na swoim i śmieje się, zapamięta to, całują się, a ona usłyszy te dwa pytania częściej niż jakiegokolwiek inne w swoim życiu: „Kto pocałował kogo? Też go całowałaś?”. To on całuje ją. No i tak, ona jego też. Ale gdy usiłuje ściągnąć jej spodnie, powstrzymuje go. Jemu wydaje się, że to gra, więc ona łapie jego rękę mocniej.

– Nie chcę, nie dziś wieczór... ja nigdy... – szepcze Maya.

– Oczywiście, że chcesz – nalega on.

Maya się wzburza.

– Głuchy jesteś czy co? Mówię przecież nie!

Uścisk jego dłoni wokół jej nadgarstków staje się silniejszy, najpierw niepostrzeżenie, potem tak, że aż boli.

Katia skręca w wąską drogę do lasu, zaraz za tablicą „Witamy w Björnstad”. Jedzie w stronę hodowli. Nie ma tu żadnych latarni, więc wyglądając przez okno, zaspany Benji nie rozumie od razu, co widzi, póki tego nie miną.

– Zatrzymaj się – mamrocze.

– Co? – pyta Katia.

– STÓJ! – krzyczy Benji.

Katia hamuje zszokowana. Jej młodszy brat już zdążył otworzyć drzwi i wybiec w ciemność.

Wszyscy mówią o tym, jak to jest. Całe życie człowiek dowiaduje się różnych detali: zostajesz napadnięta na ścieżce do biegania, powalona i wciągnięta w zaułek na wakacjach w ciepłych krajach, odurzona narkotykami w jakimś barze i uwięziona przez obcych ci dorosłych mężczyzn w jakichś slumsach w wielkim mieście.

Wszyscy ostrzegają cię raz za razem, ostrzegają wszystkie dziewczyny: to może się wydarzyć! Tak do tego dochodzi!

Tylko że nikt nie opowiada, że to może być tak: z kimś, kogo ona zna. Ufa mu. Śmieje się z nim. W jego pokoju, pod plakatami hokejowymi, z całym parterem pełnym kolegów ze szkoły. Kevin całuje ją po szyi, odsuwa jej rękę, Maya będzie pamiętać, jak dotykał jej ciała, jakby nie należało do niej. Jakby była towarem, na który zasłużył, tak jakby jej głowa i reszta ciała były dwoma odrębnymi, niemającymi na siebie wpływu obiektami. Nikt jej o to nie zapyta. Będą tylko pytać o to, jak bardzo się opierała. Jak „stanowcza” była.

– Przestań udawać taką trudną, przecież poszłaś ze mną na górę, nie? – Śmieje się.

Maya próbuje odsunąć jego rękę, ale on jest nieskończenie silniejszy od niej. Próbuje się wyrwać z jego uścisku i podnieść z łóżka, ale jego kolano przytrzymuje ją w talii.

– Kevin, przestań, ja nie chc...

Jego oddech huczy jej w uchu.

– Będę ostrożny, obiecuję. Myślałem, że mnie lubisz.

– Bo lubię, ale ja nigdy... Przestań, proszę!

Odręca rękę Kevina tak desperacko, że jej paznokcie robią dwie głębokie rany na jego skórze. Będzie pamiętać, jak widziała skapujące krople krwi, powoli, powoli, i jak on zdawał się tego nawet nie zauważać. Przytrzymuje ją ciężarem ciała, nawet nie musi jej łapać, a ton jego głosu zmienia się w sekundę:

– No co, kurwa! Przestań zgrywać trudną. Mogę zejść i przyprowadzić z dołu, jaką tylko chcę, i pieprzyć się z nią zamiast z tobą!

Maya ostatkiem sił wyrywa jedną rękę i uderza go w policzek, najmocniej, jak może.

– No to idź w takim razie! No idź! I PUŚĆ MNIE!!!!

On nie puszcza. Oczy robią mu się czarne. Tak jakby już go nie było w środku, chłopca, z którym żartowała cały wieczór. Gdy próbuje go powstrzymać, dłonie zaciskają mu się niczym łańcuch wokół jej szyi, gdy próbuje krzyknąć, jego palce tłumią jej usta. Brak tlenu powoduje, że chwilami traci przytomność i z tego wszystkiego będzie pamiętać przedziwne detale, o które nikt nie zapyta: na przykład, że guzik jej potarganej bluzki oderwał się i uderzył o podłogę gdzieś w pokoju. I że pomyślała: „Jak ja go później znajdę?”.

Będą ją pytać o alkohol i marihuanę. Nie zapytają o bezdenny strach, który nigdy już jej nie opuści. O ten pokój z adapterem i plakatami, skąd już nigdy tak naprawdę nie uda jej się wyjść. Guzik bluzki gdzieś na podłodze i panikę, która będzie jej towarzyszyć już zawsze. Płacze bezgłośnie pod jego ciałem, krzyczy głucho pod jego dłonią.

Dla sprawcy gwałt trwa kilka minut. Dla ofiary nie kończy się nigdy.

Jest sobota w nocy i wszystko się już wydarzyło. Ana po prostu jeszcze o tym nie wie. Wie tylko, że starsze dziewczyny w kuchni wyśmiewają ją, gdy pyta o Mayę.

– Ta mała kurewka? Poszła z Kevinem. Ale nie martw się, kochana, wywali ją z powrotem, jak już z nią skończy, nikt w drużynie nie zatrzymuje płotek.

Ich śmiech wyrzyna dziury w płucach Any, gardło się jej zaciska. Mogłaby oczywiście pójść i poszukać swojej najlepszej przyjaciółki, przez dłuższą chwilę stoi jednak z telefonem w ręce, nie dzwoniąc. Złość wygrywa. Niewiele rozczarowań może się równać z tym, co przeżywasz, gdy twoja przyjaciółka rzuca cię dla chłopaka, nie ma bardziej milczącego spaceru niż wtedy, gdy wracasz do domu z imprezy sama, mając piętnaście lat.

Ana i Maya odnalazły się jako dzieci, gdy uratowały sobie nawzajem życie, pierwsza wyciągnęła drugą z przerębli, a w zamian za to Maya wyciągnęła Anę z osamotnienia. Były swoimi przeciwieństwami na wiele sposobów, ale obie lubiły wariacko tańczyć, głośno śpiewać i jeździć szybko skuterem śnieżnym. To wystarcza na długo. Najlepsze przyjaciółki. *Sisters before misters*. A najważniejszą ze wszystkich rzeczy, które sobie obiecały, było: nigdy siebie nie zostawimy.

Dziewczyny w kuchni nadal śmieją się z Any. Mówią coś o jej ubraniu i sylwetce, ale ona już nie słucha, wszystko to zna ze szkolnych korytarzy i komentarzy. Lyt zatacza się zza rogu i ją zauważa, ale Ana mruczy tylko: „Idź do diabła”. Bo to właśnie mogą zrobić. Wszyscy.

Wychodząc z domu, rozważa ostatni raz, czy nie zadzwonić do Mai. Może by jeszcze raz okrążyć piętro i jej poszukać. Ale nie zamierza się prosić o uwagę. Nawet w mieście, w którym śnieg leży przez trzy czwarte roku, jest nieznośnie zimno w cieniu osoby trochę bardziej popularnej niż ty sam. Ana włącza dźwięk w telefonie i wrzuca go do torebki. Ludzkość ma wiele trucizn, ale żadnej mocniejszej niż duma.

Widzi Amata i łapie go za ramię. Jest taki pijany, że nie byłby w stanie przeczytać najwyższej linijki na tablicy optycznej. Ana wzdycha.

– Jak spotkasz Mayę, to powiedz jej, że nie chce mi się czekać, aż się zdecyduje, czy lubi orzeszki ziemne, czy nie.

Amat jąka się zdziwiony.

– Gdzi... al... ale co... al... ale kto?

Ana wywraca oczami.

– Maya. Powiedz jej, że się zmyłam.

– Gdzie o... gdzie ona jest?

Pytanie rozjaśnia mu wzrok, otrzeźwia mu głos. Anie jest go prawie żal.

– Proszę cię, Amat, nie kapujesz? To poszukaj w sypialni Kevina!

Amat rozpada się na tysiąc niewidzialnych kawałków, ale Ana nie ma siły zostawać. Nie chce być w tym domu, gdy sama się rozsypie. Zatrząskuje za sobą drzwi, chłód nocy gładzi jej policzki. Oddech natychmiast staje się lżejszy, bicie serca wolniejsze.

Wychowywała się na dworze, przebywanie po wewnętrznej stronie okna zawsze wydawało się jej więzieniem. Relacje międzyludzkie, próba znalezienia przyjaciół, zostania zaakceptowaną, ciągłe głodówki i umniejszanie się przyprawiają ją o klaustrofobię. Wybiera drogę przez ciemny las i czuje się tam o wiele bezpieczniej niż w domu pełnym ludzi. Przyroda nigdy nie wyrządziła jej krzywdy.

Za zamkniętymi drzwiami na piętrze domu rodziny Erdahlów pozostaje jedyna tajemnica, którą Maya kiedykolwiek ukryła przed swoją najlepszą przyjaciółką. Że do końca, nie mogąc już nawet oddychać pod ciężarem Kevina, przekonywała samą siebie co do jednej rzeczy: „Nie bój się. Ana cię znajdzie. Ana nigdy cię nie zostawi”.

Amat nigdy nie będzie potrafił wyjaśnić, co nim powodowało. Zazdrość – może. Pycha – przypuszczalnie. Kompleks niższości – ewentualnie. Zakochanie – definitywnie. Na schodach siedzi dwóch juniorów i pilnuje przejścia, ale gdy mówią mu, że nie może wejść na górę, wydziera się niespodziewanie dla samego siebie i dla nich: „A WY w której, kurwa, gracie linii?”.

Przez wszystkie lata w drużynie dzieciaków, a potem młodzików ludzie mówili mu, że ma doskonałe nogi, ale to nie one doprowadziły go do tego miejsca. To był wzrok. Zawsze miał wzrok szybszy od innych, widział więcej niż pozostali, widział każdy szczegół w każdym ataku. Ustawienie obrońców, przesuwanie bramkarza, najmniejszy ruch w kąciku oka, gdy kolega z drużyny dotykał kijem lodowiska.

Juniorzy rozsuwają się wystraszeni. Schody mają trzy części. W korytarzu na piętrze znajdują się zdjęcia całej rodziny Erdahlów, a obok nich zdjęcia samego Kevina, wszędzie pełno jego zdjęć. W stroju hokejowym, gdy ma pięć lat. Gdy ma sześć lat. Gdy ma siedem lat. Ten sam uśmiech co roku. To samo spojrzenie.

Będą pytać Amata o to, co dokładnie słyszał. Gdzie się dokładnie znajdował. Nigdy nie będzie mógł odpowiedzieć, czy to „nie”, „przestań”, czy też stłumiony dłonią desperacki krzyk spowodował jego reakcję. Może nic z tych rzeczy. Może otworzył drzwi czysto instynktownie. Będą go pytać, czy był pijany. Będą gapić się na niego oskarżycielsko, mówiąc: „Ale czy nie jest prawdą, że od lat byłeś zakochany w tej dziewczynie?”. Amat będzie mógł wtedy odpowiedzieć tylko jedno: że ma doskonały wzrok. Szybszy nawet od jego stóp.

Naciska klamkę i stoi w drzwiach do pokoju Kevina, widzi gwałt i rozdarte ubrania. Łzy i ogniście czerwone ślady palców na szyi dziewczyny. Ciało, które zdobywa drugie wbrew jego woli. Widzi wszystko, później będą mu się śniły najdziwniejsze detale: na przykład, jakie dokładnie plakaty których zawodników NHL wisiały na ścianie. Amat zapamięta je z jednego najprostszego powodu – takie same plakaty wiszą nad jego łóżkiem.

Gdy Amat wpada do środka, Kevin odwraca uwagę od Mai na dwie sekundy. To dwa razy więcej, niż potrzebuje Maya. Ona nie będzie tego pamiętać jako reakcji, tylko jako walkę o życie. Impuls samozachowawczy. Udaje jej się na tyle mocno odsunąć go kolanem, by stworzyć sobie minimalną przestrzeń, pozwalającą jej zepchnąć jego ciało z siebie. Uderza go z całej siły w szyję i ucieka. Nie wie, jak udaje jej się wyjść z pokoju, kogo mijają po drodze, czy uderza, czy kopie juniorów pilnujących schodów. Może wszyscy na imprezie są zbyt pijani, żeby zwrócić na nią uwagę, może tylko udają, że nie widzą. Wypada przez drzwi i po prostu biegnie.

Jest połowa marca, ale stopy zatapiają się jeszcze w śniegu, gdy stąpa po ciemku na poboczu drogi, a ciepłe łzy wypływają jej spod powiek, zamarzają, kapiąc

z brody. „Nie da się żyć w tym mieście, można w nim tylko przeżyć” – zwykła mawiać jej mama. Nigdy nie było to prawdziwsze niż dzisiejszej nocy.

Maya otula się mocno kurtką, nie potrafi wyjaśnić, jakim cudem w ogóle udało jej się ją zabrać, jej bluzka jest potargana, na szyi i nadgarstkach widnieją już czarne siniaki od odcisków palców. Słyszy za sobą głos Amata, ale nie zwalnia, zdyszany chłopak potyka się w śniegu kilka ostatnich kroków, zanim upada na kolana. Jest pijany i zdruzgotany, wykrzykuje jej imię. Maya w końcu przystaje, odwraca się z zaciśniętymi w pięści dłońmi i wpatruje się w niego, łzy płyną jej z bezbronności i z wściekłości.

– Co się stało? – szepcze Amat.

– A co, kurwa, myślisz? – odpowiada.

– Musimy... musisz...

– Co? Co muszę, Amat? Co JA, do diabła, muszę zrobić?

– Porozmawiać z kimś... policją... kimkolwiek... Musisz...

– To nieważne, Amat. Nieważne, co powiem, nikt tutaj i tak mi nie uwierzy.

– Dlaczego nie?

Maya przeciera oko rękawiczką, brudzi ją eyelinerem. Amat też teraz płacze. Mają po piętnaście lat, a cały świat pękł jednego wieczoru. Mija ich pojedynczy samochód. Spojrzenie Mai lśni w odbiciu jego reflektorów. Gdy pojazd znika, coś gaśnie zarówno w jej oczach, jak i w niej samej.

– Bo to cholerne miasto hokeja – szepcze Maya.

Amat nadal klęczy, gdy ona ginie mu z oczu. Ostatnie, co Maya mija, zanim noc pochłonie jej sylwetkę, to tablica z napisem „Witamy w Björnstad”.

Niedługo i to się zmieni.

Ana otwiera drzwi domu, bezszelestnie dzięki nowym zawiasom. Tata śpi, mama już z nimi nie mieszka. Dziewczynka przechodzi przez kuchnię w stronę pomieszczenia gospodarczego, psy witają ją zimnymi nosami i gorącymi sercami. Robi to, co zwykle w dzieciństwie, gdy dom śmierdzał alkoholem, a rodzice krzyczeli na siebie. Idzie spać do zwierząt. Bo one nigdy nie zrobiły jej krzywdy.

Ludziom, którzy nigdy nie mieszkali tam, gdzie ciemność i zimno są czymś naturalnym, a wszystko inne wyjątkiem, trudno zrozumieć, jak można znaleźć kogoś zamarznętego na śmierć, z rozpiętą kurtką lub wręcz nagiego. Ale gdy człowiekowi jest naprawdę zimno, naczynia krwionośne się kurczą, ciało za wszelką cenę próbuje powstrzymać krew od wypłynięcia do zamarznętych części i wychłodzenia w drodze powrotnej do serca. Podobnie jak w drużynie hokejowej, która dostała karę i musi grać w zmniejszonym składzie: stawiać na to, co się ma, grać w obronie, chronić serce, płuca i mózg. Gdy obrona w końcu się załamuje, gdy jest się już bardzo wyziębionym i ustawienie ofensywne już nie działa, bramkarz się gubi, obrońcy przestają się ze sobą porozumiewać, a odcięte wcześniej od krwioobiegu części ciała zaczynają na nowo funkcjonować. Wtedy właśnie ciepła krew z mózgu płynie do zamarznętych stóp i rąk, dając wrażenie ogromnej fali gorąca. Dlatego człowiek zaczyna się trząść i myśleć, że się przegrzał, i zaczyna się rozbierać. Po czym zimna krew napływa z powrotem do serca i następuje koniec. Co jakiś czas w Björnstad zdarza się, że ktoś wracając do domu pijany, idzie na skrót przez lód albo gubi się w lesie i przysiada, żeby chwilę odpocząć. Następnego dnia można go znaleźć nieżywego w śnieżnej zaspie.

Gdy Maya była mała, często zastanawiała się nad tym, jak to możliwe, że jej rodzice, dwoje najbardziej nadopiekuńczych ludzi na świecie, zdecydowali się zamieszkać właśnie tu. W miejscu, w którym każdego dnia sama przyroda próbuje zabić ich córkę. Będąc już starszą, zaczyna rozumieć, że właśnie wszystkie te upomnienia w rodzaju: „Nie wchodź sama na lód”, „Nie idź sama do lasu” sprzyjają rozwojowi sportów zespołowych. Dzieci w Björnstad dorastają wciąż ostrzegane o tym, że mogą umrzeć, jeśli będą same.

Próbuje dodzwonić się do Any, ale ta nie odbiera. Nie ma siły iść główną drogą przez miasto, więc otula się ciaśniej kurtką i skręca w wąską dróżkę w las.

Gdy w ciemności mija ją samochód i zatrzymuje się nagle pięćdziesiąt metrów dalej, ogarnia ją panika. Adrenalina w jej ciele reaguje natychmiast przekonaniem, że zaraz ktoś wyskoczy z auta, złapie ją i będzie jej chciał to wszystko zrobić jeszcze raz.

Jedną z rzeczy odebranych Mai tej nocy było miejsce, w którym nie musi się bać. Wszyscy mamy takie miejsce, dopóki nie zostanie nam odebrane. Nie można go odzyskać. Maya będzie się teraz bała już wszędzie.

Wybudzony Benji widzi ją przez szybę. Nikt nie wybiera tej drogi dobrowolnie w nocy, Benji zauważa, że Maya kuleje. Chłopak zmusza Katię, by się zatrzymała, i wyskakuje w ciemność, jeszcze zanim siostra zdąży to zrobić. Maya chowa się za drzewem. W minusowej temperaturze nie da się stać w bezruchu dłużej niż kilka minut, mimowolnie ciało wymusza drobne ruchy, by utrzymać cyrkulację krwi w organizmie. Benji polował w tych lasach ze swoimi siostrami, odkąd był wystarczająco duży, by utrzymać w rękach broń, więc dostrzega ją teraz bez problemu. Maya zdaje sobie sprawę z tego, że ją widzi. Katia woła z samochodu, ale ku zdziwieniu Mai Benji odkrzykuje:

– To nic! Przepraszam! Widziałem... wydawało mi się, że... Ech, chyba po prostu za bardzo się upaliłem!

Maya patrzy prosto na niego, Benji stoi jakieś dziesięć kroków od niej, jej łzy zamarzają z taką samą szybkością jak jego. Ale Benji kiwa tylko głową w ciemności, odwraca się i znika.

Zbyt dobrze wie, jak to jest się ukrywać, by zdemaskować kogoś, kto właśnie to robi.

Gdy czerwone światła samochodu znikają w ciemności, Maya stoi nadal z czołem opartym o pień drzewa, płacząc histerycznie bez głosu i łez. Nie upada na ziemię, chociaż serce przestaje jej bić.

Jest wiele sposobów na to, by umrzeć w Björnstad. Zwłaszcza od wewnątrz.

Peter i Mira budzą się zadowoleni. Z uśmiechem na twarzy. Właśnie to zapamiętają z tego dnia i będą się później za to nienawidzić. Najstraszniejsze wydarzenia w życiu rodziny mają właśnie taki efekt: wyraźniej niż wszystko inne pamięta się zawsze ostatni szczęśliwy moment, zanim wszystko się posypało. Chwilę przed zderzeniem, lody na stacji benzynowej zaraz przed wypadkiem, ostatnią kąpiel na wakacjach *all inclusive* przed diagnozą o chorobie. To właśnie te najlepsze momenty, do których noc za nocą wraca pamięć z pytaniem: „Czy coś mogłem zrobić inaczej?”, „Jak mogłem być taki szczęśliwy? Czy mogłbym to wszystko powstrzymać, gdybym tylko wiedział, co się wydarzy?”.

Przed tragedią wszyscy mamy tysiące marzeń, ale po niej tylko jedno. Gdy na świat przychodzi dziecko, rodzice pragną, żeby było najbardziej wyjątkowe na świecie, dopóki nie zachoruje, bo wtedy nagle marzy się tylko o tym, by wszystko było normalne. Jeszcze wiele lat po śmierci Izaaka Mirę i Petera gryzło sumienie za każdym razem, gdy wybuchali śmiechem. Gdy są szczęśliwi, nadal zdarza im się czuć wstyd i zastanawiać się, czy to fair w stosunku do zmarłego syna, że ich świat nie skończył się wraz z jego śmiercią. Jednym z najstraszniejszych efektów żałoby jest to, że jej brak tłumaczmy egoizmem.

Nie da się wytłumaczyć, co pozwala człowiekowi iść dalej po pogrzebie, skleić na nowo rodzinę, żyć w kawałkach. Więc o co w końcu się człowiek modli? O dobry dzień. Jeden dobry dzień. Kilka godzin utraty pamięci.

Dzisiaj więc, dzień po meczu hokejowym, Peter i Mira budzą się zadowoleni. Z uśmiechem na twarzy. Peter pogwizduje w kuchni, gdy Mira wychodzi spod prysznic, całują się tak, jak robią to dorośli, którzy zapominają, że są rodzicami. Dwunastoletni Leo ucieka obrzydzony od stołu. Mama i tata śmieją się z twarzami przytulonymi blisko siebie. Jeden dobry dzień.

Maya słyszy ich ze swojego pokoju, zawinięta w kołdrę. Jeszcze nie zauważyli, że wróciła do domu, nadal myślą, że jest u Any. Gdy zdziwieni otworzą drzwi, wyjaśni im, że jest chora. Pod kołdrą leży w dwóch dresach, by zapewnić sobie odpowiednio ciepłe czoło. Nie może rodzicom powiedzieć prawdy, nie ma serca im tego robić, wie, że by tego nie przeżyli. Nie myśli jak ofiara przestępstwa, ale jak przestępca: może się skupić jedynie na tym, żeby nikt się o tym nie dowiedział, i na myśli, że musi się pozbyć wszelkich dowodów. Więc gdy tata zawozi Leo na trening, a mama jedzie na zakupy, Maya wyslizguje się z pokoju, by wyprać ubrania, które miała na sobie wczoraj, tak by nikt nie zobaczył plam. Zniszczoną bluzkę wkłada do plastikowej reklamówki i idzie w stronę wyjścia. Nagle przystaje gwałtownie i przez kilka kolejnych godzin stoi w drzwiach, trzęsąc się za strachu. Nie ma odwagi wyjść do kosza na śmieci.

Tysiąc marzeń wczoraj, jedno jedyne dziś.

Siostry Benjiego zawsze komunikowały się w różny sposób. Najmłodsza Gaby mówi, średnia Katia słucha. Najstarsza Adri opieprza. Przy trójce młodszego rodzeństwa i ojcu, który idzie do lasu ze strzelbą, człowiek dorasta szybciej, niż powinien, twardnieje bardziej, niżby chciał.

Adri nie pozwala Benjiemu odespać kaca. Wyciąga go z łóżka i przez całe przedpołudnie każe pomagać sobie przy psach. Potem ciągnie go do szopy przerobionej na małą siłownię i podnoszą ciężary, aż robi mu się niedobrze. Benji nie narzeka. Nigdy mu się to nie zdarza. Jeszcze przed kilkoma laty Adri wyciskała na ławce więcej niż on, ale przegonił ją w oszalamiającym tempie. Nieraz widziała, jak w Stodole powalał dorosłych mężczyzn, gdy tylko powiedzieli coś nieodpowiedniego o Katii. Pod jego nieobecność siostry często rozmawiają o tym, co widzą w jego oczach, gdy jest naprawdę zły. Ich mama zwykła mówić, że „nie wie, co by się stało z tym chłopcem, gdyby nie hokej”, ale siostry wiedzą to doskonale. Widziały już takich facetów w Stodole, na siłowni i w wielu innych miejscach. Facetów, których źrenice giną w ciemności.

Hokej dał Benjiemu kontekst, strukturę i zasady. Ale przede wszystkim uwypuklił jego najlepsze cechy: niewiarygodnie wielkie serce i całkowicie niezniszczalne poczucie lojalności. Pozwolił mu skupić się na budowaniu zamiast na niszczeniu. Całe dzieciństwo Benji zasypiał wieczorami z kijem w dłoniach, Adri jest prawie pewna, że nadal tak jest.

Gdy jej młodszy brat opuszcza sztangę, ześlizguje się z ławki i po raz trzeci wymiotuje, podaje mu butelkę z wodą i siada na taborecie obok.

– No dobra. O co chodzi?

– Mam kaca – jęczy brat.

Dzwoni mu telefon. Wydzwania tak od rana, ale Benji nie odbiera.

– No dobra. Nie z żołądkiem, baranie. O co chodzi tutaj? – odpowiada Adri, wskazując na jego głowę.

Benji przeciera usta wierzchem dłoni, po czym wypija kilka niewielkich łyków wody.

– Takie... tam. Z Kevinem.

– Fajt?

– Tak jakby.

– No więc?

– Olej to.

Telefon nadal dzwoni. Adri wzrusza ramionami i kładzie się na ławce. Benji ustawia się za nią i pilnuje sztangi, gdy siostra ją podnosi. Zawsze wiedział, że gdyby dłużej grała w hokeja, spuściłaby łomot całej drużynie juniorów. Gdy była mała, grała przez jakiś czas w drużynie dziewcząt w Hed, ale w końcu dojeżdżanie na treningi kilka wieczorów w tygodniu okazało się dla mamy niewykonalne. W Björnstad nie było drużyny dziewczęcej. Nigdy. Benjiego czasem zastanawia, jak dobra mogłaby być. Siostra rozumie hokej, opieprza go za dokładnie te same techniczne błędy co David. Uwielbia ten sport. Dokładnie tak jak jej brat. Gdy już się nakrzyczy, klepie go po policzku.

– Wy, zawodnicy, jesteście jak psy. Żeby zrobić coś głupiego, potrzebujecie tylko okazji. A żeby zrobić coś dobrego, potrzebujecie tylko powodu.

– No więc? – mruczy Benji.

Siostra uśmiecha się i wskazuje na telefon.

– Więc nie bądź zrzędą, braciszku, i jedź pogadać z Kevinem. Bo jeśli jeszcze raz usłyszę ten sygnał, to następnym razem upuszczę ci tę sztangę na twarz.

Amat dzwoni do Mai dziesiąty raz. Setny. Bez rezultatu. Dziewczyna nie odpowiada. Chłopak nadal widzi przed oczami każdy detal, myśli o tym tak

intensywnie, że w końcu wydaje mu się, że może to sobie wymyślił.

Że się pomylił. Boże, ależ byłoby cudownie, gdyby się okazało, że nic z tego się nie wydarzyło. Przecież był pijany. Zazdrosny. Bez przerwy próbuje się dodzwonić do Mai, nie zostawia wiadomości na poczcie. Nie wysyła esemesów. Idzie do lasu, biega tak długo, aż wymiotuje, aż jest zbyt zmęczony, by myśleć, biega cały dzień, żeby wieczorem paść z wycieńczenia.

Kevin stoi w ogrodzie. Wszyscy zawodnicy są przyzwyczajeni do gry, nawet gdy coś ich boli. Zawsze ma się gdzieś jakąś drobną kontuzję. Naciągniętą pachwinę, skręcony staw lub złamany palec. Nie ma tygodnia, żeby ktoś z drużyny juniorów nie mówił o tym, jak chciałby być już dorosłym i nie musieć mieć kraty na kasku. „Odkręcić ten wózek na zakupy”. Nie obawiają się tego, mimo że nieraz widzieli zawodników pierwszego zespołu uderzonych prosto w twarz krążkiem lub kijem. Wyczekują tego. W dzieciństwie widzieli po meczu zawodnika z rozerwaną i wiszącą na pół brody wargą, która potrzebowała aż dwudziestu szwów. Na pytanie: „Czy to boli?”, odpowiedział tylko: „Ech, no piecze trochę, jak wsadzam pod wargę snus”.

W niedzielę po południu dom Erdahlów jest perfekcyjnie wysprzątany, pusty i cichy. Kevin stoi w ogrodzie i strzela do bramki, krążek za krążkiem. Już jako dzieciak nauczył się grać mimo bólu. Nawet się nim rozkoszować. Krwiaki, pęknięcia, rany, wstrząśnienia mózgu nigdy nie miały wpływu na jego grę. Ale dzisiaj jest inaczej. Dwa zadrapania na jednej ręce sprawiają, że krążki lecą wysoko powyżej bramki.

Drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz, Benji przechodzi przez dom i widzi, że poza śladem na drzwiach do piwnicy, gdzie pewnie ktoś wpadł po pijaku, dom wygląda jak zwykle. Tak jakby nikt nigdy tu nie mieszkał. Przystaje w drzwiach na taras i przygląda się, jak Kevin strzela krążkami po rabatkach sąsiadów jak niewidomy. Gdy ich wzrok się spotyka, oczy Kevina są nabiegłe krwią ze złości.

– No, jesteś! Dzwoniłem do ciebie z tysiąc razy.

– No i jestem – odpowiada Benji.

– Masz odbierać, jak dzwonię – syczy Kevin.

Benji mówi powoli, brwi opadają mu złowrogo.

– Chyba pomyliłeś mnie z Lytem albo Bobo. Nie jestem twoim niewolnikiem. Odbieram, jak mi pasuje.

Kevin wskazuje na niego końcem kija, który aż trzęsie się od jego złości.

– Wystarczająco sobie poćpałeś? Za tydzień gramy finał, a wszyscy zachowują się tak, jakbyśmy już odwalili całą robotę, po prostu się do niego dostając. Musimy zebrać wszystkich chłopaków, żeby im powiedzieć, czego od nich oczekuję w tym tygodniu! Więc masz być na miejscu. Nie mogę tolerować sytuacji, że odlatujesz w momencie, gdy drużyna potrzebuje cię najbardziej!

Benji nie wie, czy Kevin żartuje z tym „odlotem”, czy też jest zbyt głupi, by samemu nie zauważyć ironii. Z nim nigdy nic nie wiadomo. To zarówno najmądrzejszy, jak i najgłupszy człowiek, jakiego zna.

– Wiesz przecież, dlaczego sobie poszedłem.

Kevin prychnął.

– Bo jesteś pierdolonym świętym?

Benji przygląda mu się uważnie, nie odrywając od niego wzroku. Gdy w końcu Kevin nie wytrzymuje i spogląda w bok, pyta:

– Co się wczoraj stało?

Kevin wybucha krótkim śmiechem i rozkłada ręce.

– Nic. Wszyscy się nawalili. Wiesz, jak to jest.

– Co ci się stało w rękę?

– Nic!

– Widziałem Mayę w lesie. Nie wyglądało to na nic.

Kevin się odwraca, jakby miał zamiar uderzyć Benjiego kijem. Jego usta drżą, źrenice płoną.

– Więc TERAZ się przejmujesz? Jakie to ma w ogóle dla ciebie znaczenie? Przecież cię tam nawet nie było! Wolisz się zawinąć do Hed i skopcić, niż zostać tutaj ze swoimi najlepszymi kumplami. Twoją DRUŻYNĄ!

Benji nie spuszcza oczu z Kevina, nie mówiąc ani słowa. Kevin znów odwraca wzrok, uderza krążek tak wysoko ponad bramką, że można by go uznać za broń myśliwską.

– Potrzebowałem cię wczoraj – mamrocze.

Benji nie odpowiada, co jak zwykle wyzwala w Kevinie jeszcze większą agresję.

– Nie było cię TUTAJ! NIGDY cię nie ma, gdy cię potrzebuję! Lyt zarzygał, kurwa, całą kuchnię, a ktoś wpadł na drzwi do piwnicy i został po tym duży ślad! Wiesz, co będzie, jak wróci ojciec i to zobaczy? Wiesz? Czy już całkiem przećpałeś ca...

– W dupie mam twojego ojca. Chcę wiedzieć, co się tu wczoraj wydarzyło – przerywa mu Benji.

Kevin robi pięć szybkich kroków i roztrzaskuje kij o drążek bramki. Kij łamie się na dwa ostro zakończone pociski, z których jeden przelatuje tuż obok twarzy Benjiego. Przyjaciel nie mruga nawet okiem.

– SERIO? MASZ W DUPIE MOJEGO OJCA... Ty jebany niewdzięczniku... A kto od dziesięciu lat płaci za twoje łyżwy, kije i ochraniacze? To też masz w dupie? Myślisz, że twoją matkę stać na to wszystko? Mój ojciec miał, kurwa, co do ciebie rację! ZAWSZE miał, kurwa, co do ciebie rację! Jesteś jak wirus, jebany wirus. Żerujesz tylko na innych!

Benji robi dwa kroki do przodu, tylko dwa. Jego twarz jest niewzruszona.

– Co tu się wczoraj wydarzyło, Kevin?

– Czego ty chcesz? Co? Co to, jakieś przesłuchanie? Masz jakiś problem?

– Nie bądź tchórzem, Kevin.

– TY mi będziesz pieprzył o tchórzostwie? O TCHÓRZOSTWIE? To ty jesteś pierdolonym... pierdolonym...

Benji rusza tak szybko, że ostatnie słowa Kevin wykrzykuje mu już prosto w twarz. Dzielą ich dwa centymetry. Oczy Benjiego są szeroko wytrzeszczone.

– Kim jestem? No, powiedz to Kevin. Kim jestem?

Skóra Kevina pulsuje, ma załzawione oczy i czerwono-niebieską szyję po jednej stronie, jakby od uderzenia drobną pięścią. Cofa się, podnosi kawałek złamanego kija i rzuca nim tak mocno w bramkę, że ta aż cała dźwięczy od uderzenia.

– Wynoś się z mojego domu, Owich. Dość już się nachapałeś na mojej rodzinie.

Nie odwraca się, by spojrzeć za Benjim. Nawet gdy zatrząskują się za nim drzwi.

Wracają do domu późno. Dom wygląda tak, jak go zostawili. Syn udaje, że śpi, nie pukają do jego pokoju. Na stole w kuchni tata znajduje dwie kartki w kratkę formatu A4, na których Kevin starannie zapisał wszystkie statystyki z meczu.

Długość gry, strzały, asysty, bramki, grę w przewadze i w osłabieniu, posiadanie krążka, spalone i błędy. Przez kilka minut ojciec siedzi przy świetle samotnej lampy i uśmiecha się w sposób, którego nikomu już nie pozwala oglądać. Jest tak dumny, że gdyby trochę mniej się kontrolował, poszedłby na górę do pokoju syna i pocałował go w czoło.

Mama zauważa rzeczy, które ojciec przeoczył. Obrazy, które sprzątaczką powiesiła w niewłaściwych miejscach. Krzywo stojący stół w salonie. Kawałek plastikowej folii, który utknał pod jedną z nóg kanapy. A przede wszystkim ślad na drzwiach do piwnicy.

Podczas gdy jej mąż siedzi w kuchni, ona bierze głęboki wdech i popycha walizkę z całej siły w stronę zniszczonych drzwi. Mąż przybiega natychmiast, a ona tłumaczy, że potknęła się i upuściła walizkę. Pomaga jej się podnieść, szepcząc przy tym:

– Nie przejmuj się, kochanie, to tylko drzwi do piwnicy, zostanie mały ślad. – Po czym pokazuje jej kartkę A4. – Wygrali!

Żona śmieje się wtulona w jego ramię.

24

Gdy wcześnie rano w poniedziałek w szkole włącza się alarm przeciwwłamaniowy, firma ochroniarska nie dzwoni na policję, której przyjazd i tak zająłby wiele godzin. Zamiast tego dzwonią do nauczycielki. Oczywiście nie przez przypadek wybierają tę, której brat pracuje u nich, tak aby pomogła mu to załatwić. Nauczycielka wysiada z samochodu na opustoszałym parkingu, unosi poły płaszcza i wlepia w brata tępo zmęczony wzrok.

– Czasem jesteś takim leniem, że zaczynam podejrzewać, że adoptowałeś swoje dzieci.

Brat wybucha śmiechem.

– Siostra, przestań głądzić, przecież to ty zawsze marudzisz, że za mało do ciebie dzwonię!

Kobieta prycha, bierze od niego latarkę i otwiera szkołę.

– Pewnie znów śnieg zleciał z dachu na czujniki alarmowe na tyłach.

Wchodzą w korytarz, nie zapalając świateł; jeśli ktoś się tu włamał, to lampy zapalą się automatycznie w tej części szkoły. Ale co za idiota włamywałby się do szkoły w poniedziałkowy poranek?

Ostre światło budzi Benjiego, mimo że lampy palą się już od jakiegoś czasu. Bołą go plecy. W ustach czuje smak bimbru i orzeszków chili, co trochę go niepokoi, bo nie przypomina sobie, żeby je jadł. Mruży zaspane oczy, zakrywa je ręką, spoglądając na osobę, która świeci mu w nie latarką. Oczywiście nie było to konieczne, ale śmierdzi zbyt mocno, by chciało się go budzić, potrząsając nim.

– Chyba sobie jaja robisz! – Nauczycielka wzdycha.

Benji podnosi się z dwóch ławek, na których spał w klasie. Rozkłada ręce niczym najbardziej zmęczony troll świata.

– Dyrektor w sumie prosił mnie ostatnio, żebym przestał spóźniać się do szkoły, więc... ta-dam! A tak w ogóle... która godzina?

Sprawdza kieszenie. Nie znajduje zegarka. Skrawki zapamiętanych zdarzeń z nocy sugerują, że go połknął. Po fakcie nie do końca jasne zdaje się, co popchnęło go do tego, by zakończyć swoją odyseję włamaniem do szkoły, ale Benji jest pewien, że wtedy był to fantastyczny pomysł.

Nauczycielka zostawia go bez słowa, Benji widzi, jak na korytarzu rozmawia z ochroniarzem. W raporcie jej brat napisze potem, że był to fałszywy alarm, ponieważ bracia zawsze robią to, co każą im starsze siostry, nieważne, ile sami mają lat. Nauczycielka wraca do klasy i otwiera dwa okna, by przewietrzyć pomieszczenie. Wącha kurtkę Benjiego.

– Nie mów mi, że do tego masz jeszcze narkotyki w szkole.

Benji próbuje wskazać palcem w jej stronę.

– Nigdy by mi... by mi nie... nigdy by mi to nie przyszło DO GŁOWY! Narkotyki w szkole to nic dobrego. Ale za to we mnie... Zatańczy pani?

Z hukiem zlatuje z ławki i ląduje na plecach, chichocząc. Nauczycielka przykuca przy nim, patrząc na niego ponuro, aż Benji milknie.

– Jeśli zgłoszę to do dyrektora, będzie zmuszony cię zawiesić. Może cię nawet wyrzucić ze szkoły. Ale wiesz co, Benji? Czasem mam wrażenie, że tego właśnie chcesz. Że próbujesz udowodnić całemu światu, że nie ma w twoim życiu nic, czego nie mógłbyś jeszcze zepsuć.

Benji nie odpowiada. Nauczycielka podaje mu kurtkę.

– Wyłączę alarm i wpuszczę cię na salę gimnastyczną, żebyś mógł się wykąpać. Śmierdzisz tak, że zastanawiam się, czy nie dzwonić do zakładu zwalczania szkodników. Masz jakieś czyste ubrania w szafce?

Benji sili się na uśmiech, gdy nauczycielka pomaga mu wstać.

– Na galowo przed dyrektorem?

Nauczycielka wzdycha.

– Nie zgłoszę cię. Sam możesz sobie niszczyć życie. Nie zamierzam ci w tym pomagać.

Benji spogląda jej w oczy i kiwa głową w podziękowaniu. Nagle jego głos staje się dorosły, a wzrok chłopca zamienia się w mężczyzny.

– Przepraszam, że nazwałem panią „cukierkową majteczką”. To było bezczelne. Więcej tego już nie zrobię. Nikt z drużyny też nie.

Pociera dłonią kark tak, że Jeanette prawie żałuje, że była szczerą, gdy spotkała Adri w barze w Hed i ta zapytała ją o to, jak bratu idzie w szkole. Ale wie też, że chłopak mówi prawdę, że ani on, ani nikt inny z drużyny nie będzie jej już wyzywał. Zastanawia się, jak to jest mieć tyle autorytetu u innych. Jedno jego słowo może spowodować, że każdy hokeista w szkole zacznie lub skończy wszystko, co planował. To sprawia, że sama prawie zaczyna tęsknić za hokejem. Razem z Adri były przyjaciółkami w dzieciństwie, razem grały w hokeja w Hed. Czasem wydaje jej się, że obie za szybko z tym skończyły, i zastanawia się, co by było, gdyby w Björnstad funkcjonowała drużyna dziewcząt.

– Idź się wykup – mówi i klepie Benjiego po rękę.

– Tak, proszę pani. – Benji się uśmiecha, znów z chłopięcym błyskiem w oku.

– „Panią” też nie jestem specjalnie zachwycona – odpowiada nauczycielka.

– To jak mam się w takim razie do pani zwracać?

– Jeanette. Jeanette będzie idealnie.

Z torby sportowej w samochodzie przynosi mu ręcznik i razem idą w stronę sali gimnastycznej. Gdy nauczycielka dezaktywuje alarm, Benji przystaje w drzwiach.

– Jesteś dobrą nauczycielką, Jeanette. Po prostu źle trafiłaś, akurat na nas teraz, gdy jesteśmy najlepsi.

Jeanette rozumie, dlaczego drużyna go słucha, a dziewczęta się w nim zakochują. Gdy mówi coś, patrząc ci prosto w oczy, wierzysz mu, bez względu na to, jaki numer chwilę wcześniej wywinął.

Ojciec Kevina zawiązuje krawat, poprawia spinki przy mankietach i podnosi aktówkę. Najpierw – jak zwykle – miał zamiar z progu krzyknąć „do widzenia” synowi w ogrodzie, ale zmienił zdanie i wyszedł na taras. Odłożył aktówkę i wziął do ręki kij. Stoją teraz obok siebie i strzelają na przemian. Chyba pierwszy raz od dziesięciu lat.

– Założę się, że nie trafisz w słupek – mówi ojciec.

Kevin unosi brew, jakby to był żart. Gdy spostrzega, że się myli, odsuwa krążek kilka centymetrów w tył, po czym strzela prosto w metal. Tata uderza z zadowoleniem kijem o lód.

– Fuks?

– Dobrzy gracze zasługują czasem na fuksa – odpowiada Kevin.

Nauczył się tego jako dziecko. Ojciec nigdy nie pozwolił mu wygrać więcej niż jeden mecz w ping-ponga w garażu.

– Widziałeś statystyki z meczu? – pyta syn z nadzieją w głosie.

Ojciec kiwa głową, patrząc na zegarek. Podnosi aktówkę.

– Mam nadzieję, że nie będziesz traktował finału jako wymówki i w stu procentach przygotujesz się do zajęć w tym tygodniu.

Kevin kiwa głową. Ojciec prawie dotyka jego policzka. Prawie pyta o czerwone ślady na szyi. Zamiast tego chrząka i mówi:

– Ludzie w tym mieście będą się teraz chcieli uwiesić na tobie jeszcze bardziej niż zwykle, więc pamiętaj o tym, że wirus czyni cię słabym. Musisz się na nich uodpornić. W finale nie chodzi tylko o hokej. Ale też o to, jakim chcesz być człowiekiem. Mężczyznę, który bierze to, na co zasługuje, czy takim, który stoi w kącie i czeka, aż mu się to da.

Ojciec wychodzi, nie czekając na odpowiedź. Zostawia za sobą syna ze śladami zadrapań na ręce i histerycznie bijącym pulsem.

Mama czeka w kuchni. Kevin patrzy na nią niepewnie. Na stole leży świeżo przygotowane śniadanie. Pachnie chlebem.

– Ja... Ech, to może głupie... ale wzięłam wolne przedpołudnie – mówi mama.

– Dlaczego? – pyta Kevin.

– Pomyślałam, że moglibyśmy... spędzić ze sobą trochę czasu. Tylko ty i ja. Że moglibyśmy... porozmawiać.

Kevin unika jej wzroku. Jest zbyt proszący, by mógł go znieść.

– Muszę iść do szkoły, mamo.

Odpowiada mu kiwnięciem głowy, zagryzając dolną wargę.

– Tak. Oczywiście. To było... głupie. Głupia jestem.

Chce za nim pójść i zadać mu milion pytań. Wczoraj w nocy znalazła w suszarce pościel, mimo że Kevin nigdy w życiu nie wyprał sam więcej niż skarpetkę. W suszarce leżał też podkoszulek z plamami krwi, które nie do końca zeszły. A gdy rano syn trenował w ogrodzie, weszła do jego pokoju. Na podłodze znalazła guzik od bluzki.

Chce za nim pójść, ale nie wie, jak przez zamknięte drzwi do łazienki rozmawiać z prawie dorosłym mężczyzną. Pakuje aktówkę, wsiada do samochodu i jedzie pół godziny, aż w końcu zatrzymuje się w środku lasu. Siedzi tam całe przedpołudnie, tak aby nikt w pracy nie zapytał jej, dlaczego przyszła tak wcześnie. Przecież powiedziała im, że będzie z synem.

Mira stoi z ręką na drzwiach do pokoju Mai, ale nie puka po raz drugi. Córka już raz powiedziała, że jest chora, a Mira nie chce być tego typu mamą. Głędzącą, niefajną, bojaźliwą i nadopiekuńczą. Nie chce pukać po raz kolejny, by zapytać, czy w rzeczywistości nie chodzi o coś innego. To tak nie działa. Nic bardziej nie uciszy piętnastolatki niż pytanie: „Chcesz porozmawiać?”. Nie można tak po prostu otworzyć drzwi i zapytać, dlaczego nagle dobrowolnie sama zaczęła prac swoje rzeczy. Kim ona niby jest? Policją?

Mira jest więc tą nieględzącą, fajną, niebojaźliwą i nienadopiekuńczą mamą. Wsiada do samochodu i rusza. Po czterdziestu pięciu minutach jazdy w głąb lasu przystaje. Siedzi sama w ciemności i czeka, aż uścisk w piersi zelżeje.

Lyt otwiera drzwi i wygląda, jakby zobaczył tort.

– Kevin! Cześć! Yyy... co...?

– Gotowy?

– Na... co? Szkołę? Teraz? Z tobą? Czy... mam iść z tobą do szkoły?

– Jesteś gotowy czy nie?

– Gdzie Benji?

– Walić Benjiego – syczy Kevin.

Lyt stoi zszokowany z otwartymi ustami, nie wiedząc, co powiedzieć. Kevin wywraca niecierpliwie oczami.

– Czekasz na komunię? Zamknij, kurwa, gębę. Idziemy.

Lyt potyka się o własne nogi, próbując założyć buty na właściwą stopę, a kurtkę na dobrą stronę. Całą drogę Kevin nie odzywa się ani słowem, dopóki wyrośnięty kolega z drużyny z uśmiechem na twarzy nie wyciąga z kieszeni banknotu.

– Wiszę ci stówkę czy nie?

Chichocze niekontrolowanie, gdy Kevin wyciąga dłoń po pieniądze i odpowiada mu nonszalancko:

– Ale morda w kubeł, okej? Wiesz, jakie są laski.

Lyt nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy jak teraz, gdy z kapitanem drużyny łączy go wspólna tajemnica.

Dzwoni telefon i Maya chciałaby z całego serca, żeby była to Ana, ale to znów Amat. Chowa telefon pod poduszkę, jakby próbowała go udusić. Nie ma pojęcia, co mu odpowiedzieć, wie, że Amat najbardziej na świecie w ogóle nie chciałby o tym wiedzieć. Jeśli nie będzie odbierać od niego telefonów, to może obydwójce nauczą się udawać, że to nigdy się nie wydarzyło. Że wszystko było tylko pomyłką.

Wyciąga baterie z czujników przeciwpożarowych i otwiera wszystkie okna, zanim spali bluzkę pod prysznicem. Zaraz potem podpala opakowanie po jogurcie, tylko kawałek, po czym gasi ogień i odkłada pudełko na kuchenny blat. Gdy do domu wróci mama, znana ze swojego superwęchu głodnego grizzly, i zacznie się zastanawiać, dlaczego wszędzie śmierdzi spalenizną, córka opowie jej, że niechcący przewróciła jogurt na gorącą płytę.

Dokładnie zamiata resztki bluzki z podłogi w łazience i dopiero wtedy zauważa, że guziki roztopiły się i utknęły w rurze odpływowej, a syntetyczny materiał nie zamienił się, jak miała nadzieję, w popiół. Gdyby była tu Ana, powiedziałaaby z pewnością: „*Shit*, Mayu, jeśli będę kiedyś chciała kogoś zamordować, przypomnij mi, żebym nie brała cię do pomocy”. Tęskni za nią. Boże, jak za nią tęskni. Długo płacze skulona. Siedzi na podłodze, próbując przekonać samą siebie, żeby zadzwonić do najlepszej przyjaciółki, chociaż wie, że nie może jej tego zrobić. Nie może jej wciągnąć w to wszystko. Zmusić do utrzymania swej tajemnicy.

Ponad godzinę zajmuje jej posprzątanie całej łazienki i usunięcie resztek spalonej bluzki. Wkłada je do plastikowej reklamówki. Stoi na progu drzwi wejściowych i wlepia wzrok w kosze na śmieci dziesięć metrów dalej. Nie ma znaczenia, że na dworze jest jasno. Maya boi się ciemności, w środku dnia.

Ana idzie sama do szkoły. W ręce niczym broń trzyma telefon, na ekranie widnieje numer Mai, palec spoczywa na przycisku, ale Ana nie dzwoni. Najważniejszą obietnicą, jaką sobie złożyły, było to, że nigdy siebie nie zostawią – nie chodziło o bezpieczeństwo, tylko o fakt, że obietnica je zrównywała. W żadnym innym wypadku tak nie było. To, w czym brylowała Ana, związane było z przyrodą, tam też Maya nie dawała sobie bez niej rady, ale gdy tylko wracały z lasu do domu, wszystko przypominało Anie o tym, że życie Mai to lepsza wersja jej własnego życia. Maya nadal ma dwoje rodziców. Rodzeństwo. Dom, który nie pachnie papierosami i wódką. Jest mądra, wesoła i popularna. Ma lepsze oceny. Jest uzdolniona muzycznie. Odważna. Może mieć lepszych przyjaciół. I może mieć chłopaków.

Jeśli Ana zostawiłaby ją samą w lesie, Maya by umarła. Przyjaciółka po prostu nie rozumiała, że to samo wydarzyłoby się, gdyby zostawiła Anę samą na imprezie. Obiecały sobie, że nigdy siebie nie zostawią, to jedyna rzecz, która sprawiała, że były sobie równe.

Ana trzyma palec na przycisku, ale nie dzwoni. Wiele lat później przeczyta stary artykuł o badaniu wykazującym, że ta część mózgu, która rejestruje fizyczny ból, odpowiedzialna jest również za zawiść. Dopiero wtedy zrozumie, dlaczego zawiść sprawiała jej tyle bólu.

Amat i Fatima stoją jak zwykle na przystanku autobusowym, ale nic nie jest już takie jak kiedyś. Wczoraj w spożywczym wszyscy kłaniali się Fatimie. Gdy płaciła, do kas podszedł Frak, właściciel całego sklepu, i próbował ją namówić, by pozwoliła mu zapłacić za wszystkie zakupy. Oczywiście się nie zgodziła, mimo że bardzo nalegał, w końcu się poddał, rozłożył ręce i z uśmiechem na twarzy powiedział, „że jest uparta jak zima i że rozumie, po kim Amat to ma”.

Jego biały samochód mija ich teraz przy drodze, kilka minut przed autobusem. Frak przystaje, twierdzi, że wracał właśnie z jednego ze swoich pozostałych sklepów i akurat przejeżdżał obok. Fatima nie jest pewna, czy to prawda. Najpierw nie zgadza się na podwiezienie do hali lodowiska, ale później, widząc, jak Amat patrzy na samochód, zmienia zdanie. Frak prowadzi, Fatima siedzi na fotelu pasażera, we wstecznym lusterku widzi, jaki dumny jest jej syn. Że to wszystko dzięki niemu.

Gdy tego ranka chłopiec trenuje samotnie na lodzie, na trybunach, obok trenera pierwszego zespołu i dyrektora sportowego, siedzą sponsorzy. W gabinecie dyrektora klubu, do którego wchodzi Fatima, by opróżnić kosz na śmieci, dyrektor podnosi się, by go jej podać. Po czym ściska jej dłoń.

Szkolny korytarz jest już pełen ludzi, gdy chłopcy wchodzą do środka. Wszyscy się za nimi obracają, Lyt nigdy wcześniej nie czuł się tak dobrze, wiedząc, że Benjiego nie ma w pobliżu. Uwaga ze strony tych, którzy myślą, że został nowym najlepszym przyjacielem Kevina, jest upajająca. Dlatego też nie reaguje, gdy słyszy, że Kevin „musi się wysrać”, i znika w toalecie, zamykając za sobą drzwi. Stary najlepszy przyjaciel wiedziałby, że Kevin nigdy nie chodzi dobrowolnie do szkolnej toalety.

W łazience, po ciemku, Kevin rwie banknot na drobne kawałki i spuszcza w toalecie. Nie zapala światła. Nie widzi swego odbicia w lustrze.

Amat dogania Zachariasza przy szafkach. Nie widzieli się od meczu, ale Amatowi dopiero teraz przychodzi do głowy, że powinien był zadzwonić. Widząc zawód i złość w oczach przyjaciela, uświadamia sobie, że to nie jedyne, co powinien był zrobić.

– Cześć... Przepraszam za sobotę, wszystko stało się tak szybko, ja...

Zachariasz zatrzaskuje drzwi szafki i kręci głową.

– Czaję. To była impreza drużyny. Twojej nowej drużyny.

– No weź, nie to miałem na myś... – próbuje wytłumaczyć się Amat, ale Zachariasz nie daje mu skończyć.

– Daj spokój, Amat. Jesteś teraz gwiazdą. Czaję.

– No weź, proszę, Zachariasz, ja...

– Gratulacje i pozdrowienia od starego.

To ostatnie boli Zachariasza najbardziej. Ojciec pracuje w fabryce, gdzie wszyscy uwielbiają hokeja. Ponieważ klub został założony przez robotników z fabryki, nadal uważają oni, że należy do nich. Co też Zachariasz byłby gotów zrobić, by tata któregoś dnia mógł pójść do pracy jako ojciec jednego z juniorów! Sam fakt, że jego syn przyjaźni się z jednym z nich, sprawił, że uśmiechał się dziś całą drogą do pracy.

Amat przetyka kilka słów, które właśnie chciał powiedzieć, szukając w zamian jakichś nowych, gdy nagle czapka Zachariasza wylatuje w powietrze, a on sam uderza o szafkę. Dwóch uczniów z ostatniej klasy, których Amat nie zna, rechocze głośno.

– Ojej! Nie zauważyłem cię. – Jeden z nich się szczyrzy.

– Pewnie po raz pierwszy ktoś cię nie zauważył, co, grubasie? Co żarłeś? Innego grubasa? – Drugi rechocze, szczypiąc Zachariasza w brzuch.

Takie sytuacje przytrafiają się Zachariaszowi często, i to od wielu lat, ale dziś nagle rzuca się na jednego z nich z całym impetem, na jaki go stać, i trafia tamtego w pierś, co jest szokiem zarówno dla niego, jak i dla otoczenia.

Uczeń chwije się, jakby uderzony workiem z piaskiem, po czym odzyskuje równowagę i zalewa Zachariasza gradem pięści prosto w twarz. Amat krzyczy i rzuca się między nich, starsi uczniowie nie są zapewne fanami hokeja, bo powalają go bez chwili zastanowienia na ziemię.

– Co my tu mamy? Małego terrorystę? Jesteś z Niecki, co?

Amat nic nie odpowiada.

– W Niecce są, kurwa, tylko terroryści i wielbłądy. Jesteś z Niecki?

Amat dalej nie odpowiada. Życie nauczyło go, że to tylko pogarsza sprawę. Jeden z uczniów szarpie go za sweter, cedząc przez zęby:

– Pytam, skąd jesteś.

Odgłos uderzenia głową o szafkę jest tak ogłuszający, że Amat na początku myśli, że to jego własna głowa. Bobo podnosi jednego z uczniów z podłogi, co najmniej dziesięć kilo lżejszego od siebie, chociaż starszego. Dźwięcznym głosem wyjaśnia:

– Z Björnstad. Ma na imię Amat i jest z Björnstad.

Chłopak spogląda na niego rozbieranym wzrokiem, aż Bobo w końcu go puszcza, po to tylko, by natychmiast znów uderzyć jego głową w szafkę. Z twarzą tuż przy twarzy tamtego pyta:

– Skąd?

– Z Björnstad! Z Björnstad!!! Kurwa... To był tylko żart, Bobo!

Bobo go puszcza. Tamci uciekają szybko. Bobo pomaga Amatowi się podnieść, podaje też dłoń Zachariaszowi, ale ten ją odtrąca. Bobo nic na to nie mówi.

– Dzięki – przebąkuje Amat.

– Jesteś teraz jednym z nas. A nas nikt nie tyka! – Bobo się uśmiecha.

Amat patrzy na Zachariasza, któremu leje się krew z nosa.

– Ja... To znaczy my...

– Muszę lecieć na lekcję. Ale widzimy się na lunchu. Wszyscy z drużyny siedzą zawsze przy wspólnym stole. Znajdź nas! – przerywa mu Bobo i znika.

Amat kiwa za nim głową. Obok niego Zachariasz wyciągnął już z szafki kurtkę i plecak i kieruje się w stronę wyjścia.

– Kurde, Zachariasz! Czekaj! No weź, przecież ci POMÓGŁ.

Zachariasz przystaje, ale się nie obraca. Nie chce, by Amat widział łzy w jego oczach.

– Nie. On pomógł tobie. Leć, gwiazdo! Twoja nowa drużyna czeka na ciebie.

Drzwi zamykają się za nim. Sumienie, poczucie winy i niesprawiedliwości zalewają Amata. Gdyby tak bardzo nie bał się kontuzji tuż przed finałem, uderzyłby pewnie pięścią w drzwiczki szafki. Ale podnosi tylko telefon z podłogi. I znów dzwoni.

Benji jest w drodze do klasy, gdy mijając toalety, zauważa, że Kevin wychodzi z jednej z nich. Zaskakuje go to tak samo jak łokieć prosto w brzuch podczas meczu. Wie, że Kevin w szkole nigdy tam nie chodzi. Kapitan przechodzi obok, a Benji aż się zatrzymuje. Nie jest łatwo go zaskoczyć, ale teraz aż przystaje z otwartymi ustami i na wpół zamkniętymi oczami. Kevin unika jego wzroku, tak jakby go tam nie było.

Odkąd obaj pamiętają, wszyscy, którzy widzieli ich grających razem, zgodnie przyznawali, że chłopcy nadają na wspólnej fali, tajemnej częstotliwości, słyszalnej

tylko dla nich dwóch; nie potrzebują się nawet widzieć na lodzie, żeby wiedzieć, gdzie obaj się znajdują. Żaden z nich nigdy nie potrafił tego wytłumaczyć, ale cokolwiek to było, pozostał z tego tylko szum. Kevin przecina korytarz chroniony przez Lyta, pozostali zawodnicy dołączają do nich automatycznie. Benji nigdy się nie zastanawiał, kim byłby bez swojej drużyny, ale teraz wygląda na to, że jest na dobrej drodze, żeby się tego dowiedzieć.

Gdy Kevin, Lyt, Bobo i pozostali wchodzą do klasy, Benji stoi przed drzwiami i próbuje przestać udowodniać światu, że ma jeszcze coś, co mógłby zniszczyć. Naprawdę próbuje.

Sprawdzając obecność w klasie, Jeanette widzi, jak przed szkołą Benji odpala papierosa, wsiada na rower i odjeżdża. Nauczycielka długo się waha. Po czym mimo wszystko wpisuje mu obecność.

Ana zwiększa maksymalnie głośność w telefonie, otwiera wszystkie aplikacje i włącza film, zanim odłoży telefon do szafki. Zachowuje się jak nałogowiec, który opróżnia dom z butelek, wie, że jeszcze przed południem nie będzie mogła się powstrzymać od telefonu do Mai. Robi więc wszystko, by bateria się wyczerpała, co uniemożliwi rozmowę.

Nie ma znaczenia, kto z kim dziś siedzi. Wszyscy jedzą lunch samotni.

Peter siedzi na ławce w szatni juniorów. Jedna z kartek z pompatycznymi sloganami motywacyjnymi spadła na ziemię, leży tam teraz pomięta i podeptana. Peter czyta ją kolejny raz z rzędu. Pamięta, kiedy Sune ją zawiesił. Peter nauczył się właśnie wtedy czytać.

Był dzieckiem na dobrej drodze prosto w samą ciemność i hokej go odnalazł. Sune wyciągnął go na powierzchnię, a hokej go na niej utrzymywał. Mama umarła, gdy jeszcze był w podstawówce, ojciec balansował na granicy pomiędzy wesołym pijackiem a złośliwym alkoholikiem. Jeśli w takich okolicznościach mały chłopiec znajdzie coś, czego może się trzymać, robi to tak mocno, aż zbieleją mu kości palców. Sune zawsze przy nim był, w zwycięstwach i przegranych, w Björnstad i po drugiej stronie kuli ziemskiej. Gdy nadeszły kontuzje i kariera się skończyła, gdy Peter w przeciągu roku pochował ojca i syna. To Sune zadzwonił wtedy do niego i powiedział, że klub potrzebuje jego pomocy. A Peter pragnął poczuć, że jest w stanie utrzymać coś przy życiu.

Wie, jak cicho może być, gdy hokej decyduje, że to już koniec. Jak szybko tęskni się za lodowiskiem, szatnią, chłopakami, wyprawami autobusowymi i kanapkami na stacji benzynowej. Z młodości pamięta tragiczne losy byłych hokeistów, którzy w wieku czterdziestu lat kręcili się przy lodowisku, rozprawiając o czasach swojej świetności, z roku na rok z coraz to mniejszą grupką zainteresowanych słuchaczy. Posada dyrektora sportowego dała mu możliwość dalszego życia w drużynie, zbudowania czegoś większego, co mogłoby przeżyć jego samego. Ale wraz z nią nadeszła odpowiedzialność. Podejmowanie trudnych decyzji. Życie z bólem.

Podnosi kartkę, która opadła na ziemię. Czyta ją ostatni raz. „Wymaga się wiele od tego, komu wiele dano”.

Dzisiaj musi przekonać człowieka, który wyciągnął go na powierzchnię, aby dobrowolnie złożył rezygnację. Sponsorzy i zarząd nie chcą go nawet zwolnić, tak

by mógł dostać odprawę. Od Petera oczekuje się, że powie mu, by odszedł po cichu, bo to najlepsze dla klubu.

Sune budzi się wcześnie w swoim małym szeregowym domu, w którym zawsze mieszkał sam. Rzadko miewa gości, ale tych, którzy się pojawiają, nieodmiennie zadziwia porządek. Dom nie jest zavalony rzeczami, gazetami, puszkami po piwie i kartonami po pizzy, tak jak to sobie wyobrażają niektórzy, wiedząc, że Sune całe życie był kawalerem. Jest tam przytulnie i czysto. Nie ma nawet afiszów hokejowych na ścianach ani pucharów na półkach. Sune nigdy nie był specjalnie zainteresowany rzeczami. Ma swoje rośliny na parapetach, a podczas przerwy wakacyjnej kwiaty w małym ogródku na tyłach domu. Przez resztę czasu jest hokej.

Wypija kawę rozpuszczalną i od razu myje kubek. Kiedyś zapytano go o największy talent, dzięki któremu można zostać uznanym trenerem hokeja. „Trzeba umieć pić naprawdę beznadzieją kawę” – odparł wtedy. Wszystkie te wczesne poranki i późne wieczory w halach lodowiska, z przepalonymi dzbankami na kawę i tanimi automatami, trasy autobusowe z opustoszałymi przydrożnymi barami, obozy i turnieje ze szkolnymi stołówkami – jak ktoś, kto ma w domu drogi ekspres do kawy, wytrzymałby to wszystko? Chcesz być trenerem hokeja? Nie przyzwyczajaj się do tego, co mają inni. Czas wolny, życie rodzinne. Dobra kawa. Ten sport toleruje tylko najtwardszych mężczyzn. Takich, którzy, jeśli trzeba, potrafią wypić zimną kawę.

Sune idzie wolno przez miasto. Po drodze wita się z prawie każdym mężczyzną powyżej trzydziestki. W którymś momencie ich życia trenował praktycznie każdego z nich. Całkiem inaczej jest natomiast z nastolatkami, z roku na rok rozpoznaje ich coraz mniej. Nie znajduje już wspólnego języka z chłopcami w tym mieście, sprawia to, że czasem czuje się przestarzały jak faks. Nie za bardzo wierzy też w ideę, że „dzieci to nasza przyszłość”, bo coraz mniej z nich wybiera hokej. Jak można być dzieckiem i nie chcieć grać w hokeja?

Idzie w górę w stronę lasu, a podchodząc do drogi dojazdowej do hodowli psów, spostrzega Benjamina. Chłopak zbyt późno gasi papierosa, by nie zostać zauważonym, ale Sune udaje, że tego nie widzi. Gdy sam jeszcze grał, koledzy z drużyny czasami palili, niektórzy pili nawet piwo. Czasy się zmieniają, ale on

sam nie jest do końca przekonany, czy hokej też się zmienia, tak jak twierdzą niektórzy trenerzy.

Zatrzymuje się przy ogrodzeniu i przygląda psom bawiącym się w zagrodzie. Długowłosy chłopak stoi zmieszany obok niego, ale nie pyta, w jakiej sprawie przyszedł. Sune poklepuje go krótko po ramieniu.

– Zagraliście fantastyczny mecz w sobotę! Fantastyczny!

Benji przytakuje, nie podnosząc głowy. Sune nie jest pewien, czy to nieśmiałość, czy skromność, więc po chwili dodaje:

– Wiesz, gdy David zaczynał jako trener, mówiłem mu zawsze, że najlepsi zawodnicy są jak psy myśliwskie. Urodzeni egoiści, zawsze będą polować dla siebie. Więc trzeba ich karmić, trenować i kochać, aż zaczną polować i dla ciebie. I dla swoich przyjaciół z drużyny. Dopiero wtedy są naprawdę dobrzy. Naprawdę wielcy.

Benji odsuwa włosy z oczu.

– Chciałby pan sprawić sobie takiego?

– Myślałem o tym wiele lat. Ale zawsze wydawało mi się, że nie będę miał czasu dla szczeniaka.

Benji wkłada ręce do kieszeni i tupiąc nogami, otrzepuje śnieg z butów.

– A teraz?

Sune wybucha śmiechem.

– Mam wrażenie, że niedługo będę miał dużo więcej wolnego czasu niż do tej pory.

Benji przytakuje, po raz pierwszy patrząc mu prosto w oczy.

– To, że uwielbiamy Davida, nie znaczy, że nie graliśmy też dla pana.

– Wiem – odpowiada stary trener, poklepując go znów po ramieniu.

Sune nie zdradza, o czym myśli, bo nie jest pewien, czy wyświadczyłby tym Benjaminowi przysługę. Przez wszystkie te lata, gdy kłócili się Davidem o to, czy siedemnastolatekowie są gotowi do gry w pierwszym zespole, w sumie się ze sobą zgadzali. Sporna pozostawała jedynie kwestia, który z siedemnastolatków powinien tam grać. Kevin może i ma talent, ale Benji ma wszystko pozostałe. Sunego zawsze bardziej interesowała długość sznurka niż wielkość balonu.

Adri wychodzi z domu, mierzwi włosy młodszemu bratu i podaje rękę Sunemu.

– Sune – przedstawia się trener.

– Wiem, kim pan jest – odpowiada Adri i natychmiast zadaje pytanie: – Co pan myśli o kolejnym sezonie? Mamy szansę na awans? Trzeba by dołożyć do składu kilku chłopaków, co potrafią jeździć na łyżwach, co? Wykopać kilka „żelazek” z drugiej i trzeciej linii?

Chwilę zajmuje mu zrozumienie, że Adri mówi o pierwszym zespole, a nie o juniorach. Jest tak przyzwyczajony, że rodziny juniorów chcą dyskutować tylko o nich, że teraz stoi skonfundowany.

– Zawsze jest jakaś szansa. Ale krążek nie tylko sunie... – zaczyna Sune.

– ...ale czasem się też odbija. – Adri się uśmiecha.

Gdy trener patrzy na nią zdziwiony, Benji wyjaśnia:

– Adri kiedyś grała. W Hed. Niezły był z niej diabeł. Odsiedziała więcej kar niż ja. Sune uśmiecha się z uznaniem. Adri wskazuje ręką na zagrodę.

– Co możemy dla pana zrobić?

– Chciałbym sobie kupić psa – odpowiada trener.

Adri, z poważną miną na twarzy, wyciąga dłoń i klepie go po ramieniu.

– Niestety, nie mogę pozwolić na to, żeby kupił pan psa. Ale mogę panu jednego dać. Za to, że zbudował pan klub, który uratował mojego młodszego brata.

Benji oddycha przez nos, koncentrując wzrok na psach. Wargi Sunego drżą niemal niewidocznie. Po chwili bierze się w garść i wydusza z siebie:

– No więc którego szczeniaka poleciałaby pani takiemu staremu dziadkowi na emeryturze?

– Tego. – Benji wskazuje bez namysłu.

– Dlaczego?

Teraz to chłopak klepie trenera po ramieniu.

– Bo ten będzie wyzwaniem.

David siedzi samotnie na trybunach. Tym razem wpatruje się w sufit zamiast w taflę lodu.

Ma migrenę, żyje w stresie większym niż kiedykolwiek, nie pamięta, kiedy przespał ostatnio całą noc. Jego dziewczyna nie ma już nawet siły próbować z nim rozmawiać, bo i tak nie otrzymuje żadnych odpowiedzi. David żyje w swoich

myślach, tam jest na lodzie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mimo tego, a może właśnie dlatego, nie może oderwać wzroku od starego zniszczonego baneru, który nad nim wisi: „Kultura, wartości, wspólnota”.

Dzięki staraniom sponsorów lokalna gazeta ma z nim dzisiaj przeprowadzić wywiad. David był przeciwny, ale dyrektor klubu wyszczerzył tylko zęby. „Chcesz, żeby mniej o was pisali? To każ swojej drużynie gorzej grać!” Trener już teraz wie, o co będą pytać. „Co sprawia, że Kevin Erdahl jest taki dobry?” A on odpowie jak zwykle: „Talent i trening. Tysiące małych rzeczy, które Kevin powtórzył tysiące razy”. Ale w rzeczywistości nie jest to do końca prawda.

Nigdy nie będzie tego umiał wyjaśnić żadnemu dziennikarzowi, ale w rzeczywistości trener w ogóle nie jest w stanie stworzyć takiego zawodnika. To, co sprawia, że Kevin jest lepszy od innych graczy, to totalny instynkt zwycięzcy. I nie chodzi o to, że nienawidzi przegrywać, ale że w jego świecie nie przyszłoby mu nawet do głowy myśl, że mógłby zaakceptować to, że nie wygrał. Jest bezwzględny. Tego nie da się nauczyć.

Sport to fantastyczna, ale też ciężka sprawa. Boże, ile czasu poświęcają mu ci chłopcy? A ile poświęcił sam David? Całe dni do dwudziestkiptki to tylko treningi i treningi. A co dostaje się w zamian, gdy nie jest się wystarczająco dobrym? Nic. Żadnego wykształcenia, żadnej tarczy ochronnej. Zawodnik pokroju Kevina może zostać zawodowcem. Może nawet milionerem. A zawodnicy, którzy są PRAWIE tak dobrzy? Łądują w fabryce, po drugiej stronie hali lodowiska.

David spogląda na baner. Ma zapewnioną pracę tak długo, jak jego drużyna wygrywa, ale co, jeśli przegrają? Jak niewiele dzieli go od fabryki? Co potrafi oprócz hokeja? Nic.

W wieku dwudziestu dwóch lat siedział dokładnie w tym samym miejscu, rozmyślając o tym samym. Sune siedział obok niego. David zapytał go o baner i o to, co dla niego znaczy. Sune odpowiedział: „Wspólnota oznacza, że pracujemy nad spełnieniem tego samego celu i zgadzamy się na powierzone nam na tej drodze role. Wartości oznaczają, że możemy na sobie polegać. I że się kochamy”. David długo rozmyślał, zanim zadał kolejne pytanie: „A kultura?”. Sune spoważniał, jego słowa zdawały się jeszcze bardziej przemyślane: „Kultura to dla mnie zarówno to, do czego nawołujemy, jak i to, na co przyzwalamy”.

David ciekawiło, co trener miał na myśli. Sune odpowiedział: „Większość ludzi nie robi tylko tego, o co ich prosimy. Ale również to, co uchodzi im płazem”.

David zamyka oczy. Odchrząkuje cicho. Po czym podnosi się i idzie w stronę lodowiska. Nie patrzy już więcej w sufit. Baner nie ma w tym tygodniu żadnego znaczenia. Znaczenie ma tylko wynik.

Peter mijają gabinet dyrektora. Pełno w nim ludzi, mimo że to dopiero popołudnie. Sponsorzy i członkowie zarządu, entuzjastyczni i rozochoceni, tak jak to zwykle bywa po meczu. Jeden z nich, mężczyzna około sześćdziesiątki, który dorobił się na trzech firmach budowlanych, porusza intensywnie biodrami, obrazując, jak Björnstad pokonało przeciwnika w półfinale.

– Cała trzecia tercja to był ORGAZM! Myśleli, że tak sobie tu przyjadą i NAS pokonają! Teraz będą chodzić z obolałą dupą CAŁYMI TYGODNIAMI!

Część zgromadzonych się zaśmiewa, niektórzy nie. Nawet jeśli coś sobie myślą, to nikt nic nie mówi. To przecież tylko żart, a członkowie zarządu są jak koledzy z drużyny – tak już po prostu jest.

Po południu Peter jedzie do supermarketu, którego właścicielem jest Frak, razem siedzą u Fraka w gabinecie, przypominając sobie dawne mecze. Opowiadają te same dowcipy, które śmieszyły ich, gdy poznali się w szkółce łyżwiarskiej, mając po pięć lat. Frak wyciąga whisky, ale przyjaciel odmawia.

– Nie masz jakiejś roboty na magazynie? – pyta Peter przed wyjściem do domu.

Frak drapie się z powątpiewaniem po brodzie.

– Dla kogo?

– Dla Robbana.

– Na pracę u mnie w magazynie czeka ze sto osób, co to, kurwa, za Robban?

Peter podchodzi do starej fotografii na ścianie, na której widnieje drużyna hokejowa z małego miasteczka w lesie, druga w kraju. Najpierw na zdjęciu wskazuje palcem na siebie. I na Fraka. Potem na Robbana Holtsa, który stoi między nimi.

– „Opiekujemy się swoimi”. Nie tak mówiłeś? „Niedźwiedzie z Björnstad”.

Frak spogląda na fotografię i przytakuje zawstydzony.

– Pogadam z kadrami.

Dwóch czterdziestolatków podaje sobie dłonie pod zdjęciem siebie samych w wieku dwudziestu lat. To tylko gra, ale na dobre i na złe. Na zawsze.

Szatnia wypełnia się juniorami, nie wypełniając się dźwiękiem. Ochraniacze zakładają w ciszy. Benji się nie pojawia. Wszyscy to zauważają, ale nikt nic nie mówi.

Lyt z udawanym zapałem próbuje przerwać ciszę opowieścią o tym, jak jedna dziewczyna na imprezie u Kevina zrobiła mu loda, ale gdy nie chce zdradzić która, kłamstwo wychodzi na jaw. Wszyscy wiedzą, że Lyt nie potrafi dochować tajemnicy. Widać, że Lyt chciałby coś powiedzieć, ale patrzy tylko wystraszony w stronę Kevina i odpuszcza. Zawodnicy ruszają w stronę lodowiska, Lyt okleja nogi ochraniaczami, sfrustrowany odrywa kawałki taśmy i rzuca je na podłogę. Bobo wyczekuje, aż prawie wszyscy opuszczą szatnię, po czym podnosi się i zbiera całą taśmę i wyrzuca ją do kosza. Nigdy nie rozmawiają o tym z Amatem.

Mija połowa treningu, zanim Kevin podczas przerwy w grze znajduje się na tyle blisko Amata, by móc rozmawiać, niesłyszany przez innych. Amat stoi oparty o kij, z oczami wlepionymi w łyżwy.

– To, co ci się wydaje, że widziałeś... – zaczyna Kevin.

Nie brzmi groźnie. Twardo czy też autorytarnie. Prawie szepcze:

– Wiesz, jakie są laski.

Amat chciałby wiedzieć, co mu odpowiedzieć. Chciałby mieć odwagę. Ale usta nic nie mówią. Kevin klepie go delikatnie po plecach.

– Będzie z nas niezły team. W pierwszym zespole.

Gdy trener daje znak, zjeżdża do boksu. Amat jedzie za nim, ze wzrokiem nadal wlepionym w łyżwy. Nie ma odwagi patrzeć na lód, boi się, że zobaczy w nim swoje odbicie.

Mira przez cały czas czuje gulę w żołądku. Oczywiście próbuje przekonać samą siebie, że z Mayą wszystko w porządku, że to normalnie u nastolatki, że to taka faza. Przekonuje samą siebie, że musi być wyluzowaną mamą. Średnio jej to wychodzi.

Więc gdy przyjaciółka wpada do jej gabinetu, Mira nie jest poirytowana, lecz odczuwa wdzięczność. Mimo że ma do ogarnięcia masę własnych obowiązków, czuje ulgę, gdy przyjaciółka „potrzebuje pomocy w dojechaniu tych sukinsynów”.

– Myślałam, że ten klient poszedł na ugodę – przypomina Mira, czytając dokumenty, które przyjaciółka rzuciła jej na biurko.

– No właśnie, w tym problem! Chcą, żebym odpuściła. Jak jakiś pieprzony tchórz. A wiesz, co na to Borsuk?

– „Rób, jak mówi kli...” – wtrąca Mira.

– RÓB, JAK MÓWI KLIENT, TAK MÓWI! Jak on w ogóle może być szefem? SZEFEM! Co, do diabła, jest z tymi facetami, mają inną konsystencję czy co? Jak to się dzieje, że fiuty zawsze lądują na szczycie każdej hierarchii?

– No dobra... Ale jeśli klient przystał na warunki, to...

– ...to taka moja robota? Do diabła z tym! A czy przypadkiem moją robotą nie jest pilnowanie interesów klienta?

Przyjaciółka podskakuje ze zdenerwowania, tak że obcasy zostawiają ślady w podłodze. Mira pociera czoło.

– No, no tak, no ale jeśli klient CHCE, żebyś...

– Moi klienci to głównie wiedzą, czego chcą!

Mira spogląda na dokumenty i na nazwę kancelarii reprezentującej przeciwną stronę. Śmieje się pod nosem. Przyjaciółka wysłała tam kiedyś CV, ale się nie udało.

– Ale to, że zależy ci na wygranej właśnie w tej sprawie... nie ma nic wspólnego z tym, że akurat nienawidzisz tej kancelarii...

Przyjaciółka nachyla się przez biurko Miry i łapie ją za ramiona.

– Nie, nie chcę z nimi wygrać – odpowiada z wytrzeszczonymi oczami. – Chcę ich zniszczyć! Chcę, by czuli, że to koniec, żeby wyszli z mediacji i chcieli przeprowadzić się nad morze, wyremontować jakąś starą szkołę i otworzyć pensjonat! Tak ich dojadę, że będą chcieli medytować i ODNALEŹĆ SAMYCH SIEBIE. Zostać wegetarianami i chodzić w skarpetkach do sandałów, jak z nimi skończę!

Mira wzdycha.

– Dobra, dobra... Daj mi te papiery, to na nie spojrzę...

– Skarpetki do SANDAŁÓW, Miro! Żeby zaczęli hodować własne pomidory. Chcę zniszczyć ich pewność siebie, żeby nie chcieli już być adwokatami i zamiast tego dążyli do SZCZĘŚCIA i tego typu głupot! Dobra?

Mira przytakuje. Zamykają za sobą drzwi. Wygrają to, zawsze wygrywają.

Peter siada przy biurku. Wlepia wzrok w wypowiedzenie, które czeka na podpis Sunego. Przez wszystkie te lata w świecie sportu nauczył się już, że prawie wszyscy postrzegają siebie samych jako dobrych członków drużyny, ale bardzo niewiele rozumie, co to tak naprawdę znaczy. Mówi się, że człowiek jest zwierzęciem stadnym – to tak głęboko zakorzenione przekonanie, że prawie nikt nie chce się przyznać, że nie umie funkcjonować w grupie. Że nie potrafi współpracować, jest samolubny albo, co najgorsze, że nikt go nie lubi. Ciągłe więc powtarza: „Jestem dobrym członkiem drużyny”. Aż sam w to uwierzy, nie będąc wcale gotowym na związane z tym konsekwencje.

Peter zawsze żył w drużynie, wie, jakiego to wymaga poświęcenia. „Drużyna to więcej niż jednostka” to tylko utarty slogan dla tych, co nie rozumieją sportu. Dla wszystkich innych to bolesna prawda, zgodnie z którą ciężko czasem żyć. Przyjąć rolę, na którą się nie ma ochoty, odwalać w ciszy gównianą robotę, grać w obronę, zamiast zdobywać bramki i być gwiazdą. Człowiek staje się prawdziwym członkiem drużyny, gdy zaakceptuje najgorsze strony kolegów z grupy, bo tak bardzo się ją kocha. Tego właśnie nauczył go Sune.

Wlepia wzrok w miejsce, w którym Sune powinien złożyć podpis; jest tak zatopiony w myślach, że aż podskakuje, gdy dzwoni telefon. Widząc kanadyjski numer, czuje zarówno ulgę, jak i zdziwienie. Odbiera z uśmiechem na twarzy:

– Brian the Butcher? Jak się masz, stary druhu!

– Pete! – pokrzykuje dawny kolega z drużyny.

Grali razem w drużynie farmerskiej, Brian nigdy nie przeskoczył tego poziomu, ale przebranżowił się i został skautem sportowym. Teraz jest jednym z szefów, wyszukującym młode talenty dla jednej z najlepszych drużyn w lidze. Każdego lata, przedstawiając raport do draftu w NHL, podczas którego profesjonalne kluby wybierają zawodników, spełnia lub niszczy życiowe marzenia ludzi na całym świecie. Wiadomo, że dzwoni nie tylko ze względu na Petera.

– Jak tam rodzina?

– Dziękuję, dobrze – odpowiada Peter. – A twoja?

– Ech, jest jak jest. W zeszłym miesiącu podpisaliśmy papiery rozwodowe.

– O cholera! Przykro mi.

– Niepotrzebnie, Pete. Mam teraz więcej czasu na golfa!

Peter śmieje się bez entuzjazmu; podczas tych kilku lat w Kanadzie Brian był jego najlepszym przyjacielem. Jego żona przyjaźniła się z Mirą, dzieci bawiły się razem. Nadal do siebie dzwonią, ale rozmawiają coraz mniej o swoim życiu. Teraz łączy ich już tylko hokej. Peter właśnie ma zapytać, jak Brian się czuje, ale ten go uprzedza:

– A jak tam twój chłopak?

Peter bierze oddech i odpowiada:

– Kevin? Fantastycznie, właśnie wygrali półfinał. Był niesamowity.

– Nie będę więc żałował, jeśli powiem moim ludziom, żeby go wzięli w draftcie?

Serce Petera zaczyna bić mocniej.

– Serio? Myślicie, żeby go wybrać?

– Jak mi obiecasz, że to nie błąd. Wiesz, że ci ufam, Pete!

Peter nigdy w życiu nie był bardziej poważny.

– Gwarantuję ci wspaniałego zawodnika.

– I to... dobry chłopak?

Peter przytakuje ochoczo, wie dokładnie, co to oznacza. Wybór tego, a nie innego zawodnika to ogromna inwestycja dla każdego klubu w NHL. Sprawdzają każdy detal: nie wystarczy być już dobrym na lodzie, kluby nie chcą żadnych niespodzianek związanych z prywatnym życiem zawodników. Peter zdaje sobie sprawę, że tak nie powinno być, ale takie są teraz reguły gry. Przed kilkoma laty jeden z talentów przepadł w drafcie, bo skauci dowiedzieli się, że jego ojciec jest nałogowcem i przestępcą. To ich wystraszyło, nie byli pewni, jak poradziłby sobie nastolatek, gdyby w szybkim tempie został milionerem. Peter mówi więc prawdę, to, co Brian tak bardzo chce usłyszeć.

– Kevin to dobry chłopak. Ma super oceny w szkole. Stabilną rodzinę, dobre wychowanie. Z pewnością nie ma tu żadnych *off the ice problems*.

Brian przytakuje zadowolony po drugiej stronie linii.

– Dobrze, dobrze. I ma ten sam numer co ty, nie? Dziewiątkę?

– Tak.

– Myślałem, że chcieli zawiesić tę koszulkę na ścianie.

Peter uśmiecha się szeroko.

– Zawieszają! Ale już z nazwiskiem Kevina.

Brian śmieje się w głos. Kończą rozmowę, obiecując, że wkrótce znów się usłyszą, że Peter przyleci z rodziną do Kanady i że dzieci będą się mogły spotkać. Obaj wiedzą, że to kłamstwo. Teraz łączy ich już tylko hokej.

Po treningu Amat zbiera pacholki i krążki, nie dlatego, że ktoś mu kazał, ale dlatego, że wydaje się to oczywiste, i żeby uniknąć pozostałych. Spodziewa się, że szatnia będzie już pusta, ale spotyka w niej Bobo i Kevina. Obaj zbierają taśmę z podłogi i wyrzucają ją do kosza.

Amat stoi w drzwiach, zdziwiony, jak łatwo to wszystko przychodzi.

– Lyt pożyczył samochód od ojca! Jedziemy do kina do Hed! – Kevin mówi to, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Bobo z zadowoleniem klepie Amata po plecach.

– Mówiłem ci przecież: teraz jesteś jednym z nas!

Dwadzieścia minut później są już w samochodzie. Amat zdaje sobie sprawę, że siedzi na miejscu Benjiego, ale o nic nie pyta. Lyt znów przechwala się lodem.

Kevin prosi Bobo, żeby opowiedział „jakiś dobry kawał”, a ten tak zachwyca się tym pomysłem, że aż zachłystuje się napojem i rozpryskuje go po tylnym siedzeniu, co doprowadza Lyta do szału. Wszyscy zaśmiewają się w głos. Rozmawiają o finale, o długiej podróży autobusem do miasta, w którym ma się odbyć, o laskach i imprezach, i o tym, jak wspaniale będzie grać razem w pierwszym zespole. Amat dołącza do rozmowy, wprawdzie niechętnie, ale po chwili z przyjemnym ciepłym uczuciem przynależności do czegoś. Bo tak jest prościej.

Rozpoznają ich nawet w Hed, nawet tam poklepują ich po plecach i gratulują wygranej. Po kinie, gdy Amat myśli, że wracają już do domu, Lyt skręca w boczną drogę zaraz za znakiem Björnstad. Zatrzymują się przy jeziorze. Amat nie rozumie dlaczego, dopóki Kevin nie otworzy bagażnika. Leżą w nim piwo, latarki, łyżwy i kije. Rozkładają czapki zamiast bramek, ale im więcej piją piwa, tym więcej stoją i rozmawiają, zamiast grać.

– Skąd wiadomo, gdzie kończy się napletek? – pyta Bobo, odchrząknawszy. – Tak się zastanawiam... Podczas obrzezania skąd wiadomo, gdzie ciąć? Sprawdziłem to megadokładnie i nie ma tam, kurde, żadnej linii.

– Przypomnij mi, żebym ci nie dawał nożyczek w szatni – odpowiada Lyt, wywołując tym takie salwy śmiechu, że aż piwo wylewa im się na kurtki.

Tej nocy czterej chłopcy grają w hokeja na jeziorze i wszystko wydaje się takie proste. Jakby byli dziećmi. Amata zadziwia, jakie to łatwe. Siedzieć cicho, by móc być razem z nimi.

Peter znów odbija gumową piłeczkę o ścianę. Stara się nie skupiać na wypowiedzeniu leżącym na stole, nie myśleć o Sunem jako człowieku, tylko jako trenerze. Tego też życzyłby sobie Sune. Klub zawsze pierwszy.

Zarząd i sponsorzy to dupki, Peter wie to nawet lepiej niż inni, ale chcą tego samego co on i Sune – sukcesu klubu. A żeby go osiągnąć, trzeba przestać myśleć tylko o sobie. Czasem Peter zmuszony był siedzieć cicho, gdy zarząd domagał się idiotycznych naborów, a potem jeszcze raz, gdy okazywało się, że miał rację. Zdarzało się, że dostawał polecenie podpisania kontraktu tylko na siedem miesięcy, tak żeby klub nie musiał płacić pensji latem. Przez resztę roku zawodnicy figurowali jako bezrobotni, dostając zasiłek od gminy. Czasem Frak wypisywał im też fałszywe zaświadczenia o praktykach w supermarkecie, gdy w rzeczywistości całe lato trenowali z resztą zespołu. Gdy sezon zaczynał się na

nowo, dostawali nowe siedmiomiesięczne kontrakty. Żeby przetrwać, mały klub zmuszony był czasem naginać zasady etyczne, Peter akceptował to jako część pracy. Mira powiedziała mu pewnego razu: „W tym klubie panuje nieprzyjemna kultura milczenia, jak wśród wojskowych lub przestępców”. Ale czasem może właśnie trzeba kultury milczenia, by wygrać.

„Załatwimy to między sobą” – tak się zwykle mówiło w klubie, gdy coś się wydarzyło. Trzeba móc polegać na sobie nawzajem, zarówno na lodzie, jak i poza nim. Wolność słowa w grubych ścianach, na dobre i na złe. Peter poświęcił więcej czasu niż niejeden dyrektor sportowy, żeby udaremnić rozróby „Grupy” na trybunach, przez co nienawidzą go w Futrze, ale czasem sam nie jest już pewien, którzy kibice są najbardziej niebezpieczni w Björnstad: ci z tatuażami na szyi czy ci w krawatach?

Odkłada piłeczkę. Ze starannie poukładanego pudełka z przyborami wyciąga długopis i podpisuje wypowiedzenie w miejscu dla reprezentanta klubu. Gdy Sune złoży swój podpis zaraz obok, będzie to wyglądało, jakby sam złożył rezygnację. Ale Peter doskonale wie, co właśnie zrobił. Wykopał swojego idola.

Bengt stoi w gabinecie Davida, waha się do ostatniego momentu, ale w końcu odchrząkuje i pyta:

– Jak zamierzasz ukarać Benjiego?

David nie odwraca wzroku od ekranu komputera.

– Nie będziemy go karać.

Hamując frustrację, Bengt bębni palcami o framugę drzwi.

– Olał trening kilka dni przed finałem. Nie odpuściłbyś tego komuś innemu.

David podnosi wzrok i spogląda na niego tak nagle, że Bengt aż się cofa.

– Chcesz wygrać w finale?

– To chyba oczywiste!

– No to odpuść. Może nie mogę zagwarantować, że z Benjim wygramy w finale, ale jest, kurwa, pewne, że bez niego przegramy.

Bengt wychodzi bez protestów. Gdy David zostaje sam w gabinecie, wyłącza komputer, wzdycha głęboko i bierze do ręki flamaster i krążek. Zapisuje na nim cztery litery.

Następnie rusza w stronę cmentarza.

Maya leży w łóżku, nie mogąc zasnąć, na przemian traci i odzyskuje świadomość, jakby miała halucynacje. Z szafki w łazience ukradła mamie kilka tabletek nasennych, w nocy stała z nimi skrupulatnie ułożonymi na dłoni, zastanawiając się, ile by ich potrzebowała, by nigdy więcej się nie obudzić. Nadal spoglądając w sufit, ma nadzieję, że wszystko to sen, że obróci się i znów wróci do rzeczywistości: będzie piątek i nic się jeszcze nie wydarzy. Gdy dociera do niej prawda, jest tak, jakby przechodziła to wszystko jeszcze raz od nowa. Uścisk na jej szyi, niekończący się strach i stuprocentowe przekonanie, że on ją zabije.

Znów. I znów. I znów.

Ana z tatą jedzą obiad w ciszy, którą trenowali przez piętnaście lat. Mama jej nienawidziła. To właśnie cisza była powodem jej ucieczki. Ana mogła z nią pojechać. Ale skłamała, twierdząc, że nie mogłaby mieszkać gdzieś, gdzie nie ma drzew, a jedyne drzewa w okolicy domu jej mamy zasadzono jako ozdoby na zewnątrz galerii handlowych. Właściwie to została, bo nie mogła opuścić ojca, chociaż w sumie to sama nie wie, czy to ze względu na niego, czy na nią samą. Nigdy o tym nie rozmawiali. W każdym razie tata pije mniej, niż gdy mama z nimi mieszkała. Za to Ana kocha oboje rodziców jeszcze bardziej.

Ana proponuje, że wyjdzie z psami. Tacie wydaje się to wprawdzie dziwne, bo zawsze musi ją do tego namawiać. Ale nic nie mówi. Ana też nie.

Mieszkają w starej części Wzgórza, w domach, które stały tam, jeszcze zanim zaczęto budować te nowe, droższe. Z automatu zostali więc zakwalifikowani do klasy wyższej. Wybiera dłuższą drogę, mija oświetloną ścieżkę do biegania, z której tak dumna jest gmina, bo „miejscowe kobiety mogą bezpiecznie uprawiać sport”. To czysty przypadek, że oświetlono drogę na Wzgórzcu, a nie w lesie za Niecką. A szczęśliwym trafem przetarg na jej wykonanie wygrały dwie firmy, których właściciele mieszkają zaraz przy tej drodze.

Ana spuszcza psy ze smyczy pod lampami. Pozwala im się pobawić. To zawsze pomaga. Drzewa i zwierzęta nigdy nie sprawiają jej bólu.

Kevin wchodzi do domu, mijając rodziców w kuchni i salonie, nie zwracając na siebie uwagi. Wchodzi na górę, zamyka za sobą drzwi do pokoju i ćwiczy pompki, aż robi mu się ciemno przed oczami. Gdy dom cichnie, a drzwi do sypialni rodziców są już zamknięte, wkłada dres i wymyka się z domu. Biega w lesie tak długo, aż w końcu nie ma już siły myśleć.

Ana idzie za psami oświetloną drogą. Kevin przystaje nagle piętnaście metrów od niej, co początkowo nie wzbudza jej zdziwienia – może wystraszyły go psy. Ale nagle spostrzega, że to ona go zatrzymała. Jeszcze przed kilkoma dniami nie potrafiłby wskazać jej na zdjęciu klasowym, nawet jeśli byłaby na nim sama, ale teraz wie, kim ona jest. Nie jest ani dumny, ani zawstydzony – to jedyne reakcje, jakie kiedykolwiek widziała u chłopaków w szkole, po tym jak w weekend przespali się z jakąś dziewczyną.

To strach. Ana nigdy w życiu nie widziała jeszcze kogoś tak wystraszonego.

Maya próbuje grać na gitarze, ale zbyt trzęsą jej się palce. Poci się w tej dużej bluzie z kapturem, ale gdy rodzice o to dopytują, odpowiada, że to przez gorączkę. Zaciska kaptur ciasniej wokół szyi, by ukryć ślady duszenia. Do połowy chowa dłonie w rękawach bluzy, tak aby nie było widać ciemniejących siniaków.

Słyszy dzwonek przy drzwiach wejściowych, za późno na jednego z kolegów Leo. Słyszy mamę, która z kimś rozmawia, zadowolona i beztroska, tak jak to tylko ona potrafi. Ktoś puka do jej pokoju, Maya udaje, że śpi, dopóki nie zauważa, kto stoi w drzwiach.

Ana zamyka za sobą ostrożnie drzwi. Czekając, aż kroki Miry znikają w kuchni. Jest zdyszana. Biegła tu całą drogę ze Wzgórza w panice i złości. Widzi ślady na szyi i przegubach dłoni Mai, mimo że przyjaciółka próbuje je ukryć. Gdy w końcu patrzą sobie w oczy, łzy wyszukują każdą bruzdę w ich skórze, każde załamanie, płyną kanałami i skapują im z bród. Ana szepcze:

– Widziałam go. Bał się. Ten drań się bał. Co on ci zrobił?

Dopóki Maya nie opowiedziała o tym na głos, miała wrażenie, że to nigdy naprawdę się nie wydarzyło. Nagle znów jest w pokoju z pucharami i plakatami hokejowymi. Płacząc, szuka na bluzie guzika od bluzki, którego nigdy tam nie było.

Rozpada się na kawałki w ramionach Any, która trzymając ją mocno, z całego serca chciałaby móc zamienić się z nią miejscami.

Nigdy później nie ma się już takich przyjaciół jak w wieku piętnastu lat.

Przecież dopiero co Ana i Maya były dziećmi. Marzyły wtedy zawsze o Nowym Jorku. O tym, jak tam zamieszkają, gdy będą już sławne i bogate. Ana chciała być sławna, a Maya bogata, co zdawało się kompletnie niezrozumiałe dla każdego, kto widział, jak jedną zajmowało tylko struganie drewnianych mieczy, a drugą gra na gitarze. Różnica między nimi uwidaczniała się najbardziej, gdy mówiły o lesie. Ana mówiła: „U nas w lesie”, a Maya: „U was w lesie”. Dla Mai miasto było czymś normalnym, dla Any wręcz przeciwnie. Marzyły jednak o czymś dokładnie odwrotnym: Maya o cichym studiu nagraniowym, Ana o kłębiącej się masie ludzi. Ana chciała być sławna, by poczuć się doceniona, Maya chciała być bogata, by w końcu nie musieć się przejmować tym, co myślą inni. Obie były niesamowicie złożone, dlatego tak dobrze rozumiały się nawzajem.

Gdy były całkiem małe, Ana chciała zostać zawodową hokeistką. Grała nawet przez sezon w drużynie dziewczęcej w Hed, ale była zbyt niespokojna, by robić to, co kazali jej trenerzy, i ciągle się biła. W końcu tata obiecał jej, że nauczy ją strzelać ze strzelby, jeśli przestanie zmuszać go do podwożenia jej na treningi. Wiedziała, że wstydzi się, że jego córka jest inna, a propozycja uczenia się strzelania brzmiała zbyt dobrze, by ją odrzucić.

Gdy trochę podrosła, chciała zostać komentatorem sportowym w telewizji, ale w starszych klasach podstawówki nauczyła się, że dziewczynki w Björnstad oczywiście mogą lubić sport, ale nie tak jak ona. Nie tak bardzo. Nie pouczając chłopców na temat zasad i taktyki. Nastolatki powinny interesować się głównie hokeistami, nie samym hokejem.

Ze spuszczoną głową zajęła się więc prawdziwym lokalnym sportem: wstydem i milczeniem. To one właśnie doprowadzały mamę do szału. Ana prawie zdecydowała się na przeprowadzkę z nią, ale rozmyśliła się jednak i została. Ze względu na Mayę, na tatę i może też trochę dlatego, że kochała drzewa tak samo mocno, jak ich czasami nienawidziła.

Niekiedy miała wrażenie, że to właśnie las nauczył mieszkańców Björnstad trzymania buzi na kłódkę, podczas polowań i połowów trzeba być cicho, by nie wystraszyć zwierząt. Jeśli wpaja się im to od urodzenia, rzutuje to ogólnie na sposób, w jaki się porozumiewają. Ana jest w związku z tym cały czas rozdarta pomiędzy chęcią wykrzyczenia wszystkiego na całe gardło a całkowitym milczeniem.

Leżą obok siebie w łóżku Mai.

- Musisz o tym opowiedzieć – szepcze Ana.
- Komu? – Maya oddycha ciężko.
- Wszystkim.
- Po co?
- Bo inaczej on znów to zrobi. Jakiejś innej dziewczynie.

Wciąż na nowo toczą cichą walkę, ze sobą i między sobą. Ana wie, że to absurdalne, by Maya miała czuć się teraz odpowiedzialna za kogoś jeszcze. Że to właśnie ona ma wstać i krzyczeć w najcichszym mieście na świecie. Wystraszyć zwierzęta. Ana chowa twarz w dłoniach, tak żeby rodzice Mai nie słyszeli jej płaczu.

– Fuuuck! Popełniłam błąd, nigdy nie powinnam cię tam zostawić. Powinnam wiedzieć. Poszukać cię. Byłam cholernym tchórzem. To moja wina, to moja wi...

Maya obejmuje jej twarz dłońmi.

- To nie twoja wina. To nie nasza wina.
- Musisz o tym opowiedzieć.

Zrozpaczona Ana szlocha, ale Maya kręci stanowczo głową.

- Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

Ana kiwa głową i pociąga nosem.

- Przysięgam na własne życie – obiecuje.
- To nie wystarczy. Przysięgnij na techno!

Ana wybucha śmiechem. Jak nie kochać kogoś, komu udaje się wywołać u niej śmiech w takim momencie?

– Przysięgam na każdy rodzaj muzyki elektronicznej. Poza tym beznadziejnym eurotechno z lat dziewięćdziesiątych.

Maya uśmiecha się i ociera jej łzy, patrząc jej prosto w oczy.

– Na razie Kevin skrzywdził tylko mnie. Ale jeśli o tym opowiem, to pozwolę mu skrzywdzić też wszystkich, których kocham. Nie zniosłabym tego.

Trzymają się za ręce. Siedzą obok siebie na łóżku i liczą tabletki nasenne, zastanawiając się, ile ich potrzeba, żeby odebrać sobie życie. W dzieciństwie wyglądało to zupełnie inaczej. Wydaje się, że to było dopiero co. Bo tak też jest.

Benji widzi go z daleka – czarny punkt na nagrobku. Leżał tam już kilka godzin. Benji strzepuje z niego śnieg i czyta napis. Jedno słowo.

Gdy Kevin, Bobo, Lyt, Benji i pozostali chłopcy byli mali, David dawał im czasem przed meczami krążki z krótkimi wiadomościami, nad którymi mieli się zastanowić: „Pilnuj mocniej tyłów”, „Jeźdź więcej na łyżwach”, „Cierpliwości!”. Czasem pisał coś, co miało ich tylko rozśmieszyć. Ze śmiertelnie poważną miną wręczał najbardziej zdenerwowanemu chłopcu w autobusie krążek, na którym napisał: „Rozsunięty rozporek. Fiut na wierzchu”. Pewien rodzaj jego poczucia humoru zarezerwowany był tylko dla zawodników, dzięki czemu czuli się wybrani. Żarty to potężna broń, równie łatwo mogą ludzi łączyć, jak i dzielić. Tworzyć „nas” i „ich”.

Najważniejsze, co David zapewniał swoim zawodnikom, to poczucie, że widzi każdego z nich z osobna. Zaprosił całą drużynę do siebie na obiad i przedstawił ich swojej dziewczynie, ale gdy klub zorganizował spotkanie dla ojców i synów ze wszystkich drużyn, był jedynym trenerem, który się na nim nie pojawił. Zamiast tego pojechał po Kevina i Benjiego – pierwszego wyciągnął z ogrodu, a drugiego z cmentarza – i zabrał ich nad jezioro, by pograć na lodzie.

Bił się za nich, dosłownie. Dziewięcioletni lub dziesięcioletni Benji miał styl gry, który doprowadzał do szału rodziców zawodników drużyny przeciwnej. Na jednym z meczów wyjazdowych przeciwko drużynie młodzików z Hed jeden z zawodników groził, że przyprowadzi ojca, po tym jak Benji powalił go na lód. Benji nie rozmyślał o tym za wiele, dopóki po meczu w ciemnym przejściu dla zawodników nie pojawił się rosły mężczyzna i nie złapał go za włosy, nie podniósł i nie rzucił nim o ścianę, grzmiąc: „I co teraz, mały cyganie? Teraz też będziesz fikać?”. Benji się nie wystraszył, chociaż był święcie przekonany, że mężczyzna go zabije. Wokół nich stało wielu dorosłych, ale żaden nie zareagował. Benji do tej

pory nie wie, czy to ze strachu, czy z przekonania, że sobie zasłużył. Pamięta tylko pięść Davida, który jednym ciosem posłał mężczyznę na podłogę.

– Jeśli jeszcze raz na tym lodowisku zobaczę dorosłego mężczyznę zaczepiającego dziecko, to go zabiję – powiedział David, nie do mężczyzny na ziemi, ale do wszystkich pozostałych, którzy nie reagowali. – Wiesz, jak uratować kogoś z Hed, kto właśnie tonie? – zapytał po wszystkim.

Benji pokręcił przecząco głową. David uśmiechnął się szeroko.

– No i dobrze.

W szatni David napisał jedno jedyne słowo na krążku, który wsadził do torby Benjiego. „Duma”. Benji nadal ma ten krążek.

W autobusie w drodze powrotnej do domu wszyscy żartowali. Śmiechy były coraz głośniejsze, a dowcipy coraz bardziej pieprzne. Benji pamięta tylko ten, który opowiedział Bengt:

– Chłopaki, wiecie, co zrobić, żeby czterech gejów usiadło na krześle? Obrócić je do góry nogami!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Benji pamięta dokładnie, bo spojrzał wtedy ukradkiem na Davida, który też się śmiał. Równie łatwo jest ludzi łączyć, jak i dzielić. Tworzyć „nas” i „ich”. Benji nigdy nie bał się batów ani nienawiści, jeśli ktoś dowiedziałyby się o nim prawdy. Od dzieciństwa nienawidził go każdy zawodnik drużyny przeciwnej. Boi się tylko jednego: że któregoś dnia jego koledzy z drużyny i trenerzy nie będą chcieli opowiedzieć przy nim jakiegoś kawału. Boi się wykluczenia ze śmiechu.

Stoi przy grobie ojca, trzymając w ręku krążek. David napisał na nim tylko jedno słowo:

„Wygraj!”

Następnego dnia Benji nie idzie do szkoły, przychodzi za to na trening. Ma najbardziej przepoconą koszulkę. Gdy przestaje rozumieć świat, tylko jednego nikt nie jest mu w stanie odebrać – bycia zwycięzcą. David poklepuje go dwukrotnie po kasku, nie mówiąc ani słowa.

W szatni Lyt siedzi na miejscu Benjiego, obok Kevina. Benji nic nie mówi, staje tylko przed nim, aż Lyt pośpiesznie zbiera swoje rzeczy i przenosi się zawiedziony

na ławkę naprzeciwko. Twarz Kevina jest niewzruszona, ale oczy zdradzają jego uczucia. Nigdy nie potrafili się okłamywać.

David nigdy w życiu nie widział lepszego treningu w wykonaniu swoich dwóch najlepszych zawodników.

Jest sobota. Dzień finału juniorów. Mężczyźni i kobiety w mieście budzą się i wkładają zielone koszulki i szaliki, na parkingu przed halą lodowiska stoi gotowy do dostarczenia zawodników do stolicy autobus z dumnymi banerami oraz z jednym dodatkowym miejscem przygotowanym na puchar, który przywiozą ze sobą.

Wczesnym rankiem trzy dziewczynki z pierwszych klas podstawówki bawią się na ulicy w centrum miasta. Gonią się nawzajem, walczą na patyki, rzucają się śnieżkami, być może ostatni raz tej długiej zimy. Maya stoi przy oknie swojego pokoju i się im przygląda. Przed kilkoma laty razem z Aną czasami ich pilnowały. Ana do tej pory, gdy znudzą ją piosenki Mai, potrafi wybiec do dziewczynek i rozpocząć wojnę na śnieżki, rozśmieszając je tak, że aż się pokładają. Maya obejmuje się ciasno ramionami. Nie spała całą noc, przekonana, że nic nie jest w stanie sprawić, by opowiedziała, co się wydarzyło. Dopiero trzy bawiące się pod jej oknem małe dziewczynki spowodowały, że zmieniła zdanie.

Wyczerpana Ana śpi pod grubą kołdrą w jej łóżku, tak niesamowicie drobna i delikatna. To będzie straszna historia o tym mieście i o tym dniu: Maya w końcu zdecydowała się opowiedzieć prawdę o Kevinie, ale nie po to, by chronić siebie, ale by chronić innych. I już teraz, stojąc przy oknie, zdaje sobie sprawę, jak miasto się jej za to odpłaci.

Najgroźniejszy na lodowisku jest atak, którego człowiek się nie spodziewa. Dlatego pierwszą i podstawową rzeczą, której uczy hokej, jest to, by trzymać głowę wysoko. Inaczej się po niej dostanie.

Telefon Petera dzwoni cały ranek, sponsorzy, członkowie zarządu, rodzice zawodników – całe miasto – ledwie trzymają nerwy na uwięzi. Mimo że Peter nienawidzi podróży, za kilka godzin będzie siedział w autobusie w drodze na mecz razem z całą drużyną. To, że podczas każdego sezonu spędzał jedną trzecią wszystkich nocy poza domem, stało się oczywistą częścią ich rodzinnego życia. Trochę wstydził się do tego przyznać, ale czasem było to nawet przyjemne. A potem podczas jednej z takich wyjazdowych nocy zachorował Izaak i od tamtej pory Peter nie był już w stanie spać w hotelowych łóżkach.

Leo wybłagał sobie miejsce w jednym z samochodów. Początkowo Peter protestował, ale potem doszedł do wniosku, że dzięki temu cała wyprawa będzie dużo znośniejsza. Nocleg w stolicy to nie lada przygoda dla dwunastolatka, a Leo tak bardzo chciał jechać. W skrytości ducha Peter życzył sobie, żeby Maya też była taka chętna. Stoi przy drzwiach do jej pokoju i z całej siły powstrzymuje się, żeby nie zapukać.

Kiedyś usłyszał, że najlepszym sposobem, by psychicznie przygotować się do rodzicielstwa, jest dzielenie namiotu na festiwalu rockowym z bandą grubych kolegów palących haszysz. Człowiek przetacza się z miejsca na miejsce w ciągłym stanie drastycznego braku snu, z plamami na swetrze, za które rzadko sam odpowiada. Szum w uszach, nie można spokojnie przejść obok kałuży, żeby nie pojawił się jakiś głupek, podskakujący w niej z chichotem, a wizyta w toalecie kończy się tym, że zaraz ktoś stoi przed drzwiami, uderzając w nie i wrzeszcząc. Pobudka w środku nocy, tylko po to, by usłyszeć: „Tak sobie pomyślałem...”, a rano budzisz się, bo ktoś na ciebie nasikał.

Może to i prawda, ale i tak nic nie daje. Bo to, na co nie da się przygotować, gdy ma się dzieci, to czucie. Nie uczucia, tylko właśnie czucie. Nie zdawał sobie sprawy, że może czuć tak dużo, że czasem ledwie wytrzymuje we własnej skórze. Po przyjściu na świat Izaaka każdy najcichszy dźwięk ogłuszał, każdy najmniejszy niepokój przeradzał się w przerażenie, wszystkie samochody jeździły nagle szybciej, a oglądanie wiadomości w telewizji kończyło się prawie załamaniem nerwowym. Gdy Izaak umarł, Peter był pewien, że zamilknie na zawsze, tymczasem zaś miał wrażenie, jakby wszystkie pory w skórze otworzyły mu się tak, że ból sprawiało nawet powietrze. Teraz jego klatka piersiowa może rozerwać się na kawałki pod wpływem nieprzychylnego spojrzenia dzieci, zwłaszcza córki. Cały okres dojrzewania życzył sobie, by życie nabrało tempa, a teraz nie marzy o niczym innym, niż by zwolniło. Żeby zatrzymał się czas i Maya nigdy nie dorosła.

Tak bardzo ją kocha, choć dzięki niej czuje się czasem głupkowato. Już od początkowych klas podstawówki nie bardzo nadawał się na pomocnika w odrabianiu lekcji, ale córka nadal pyta go o różne rzeczy, bo jest miła. Gdy była mała, udawała, że zasypia na tylnym siedzeniu w samochodzie, żeby wnosił ją na rękach do domu. Zawsze się na to uskarżał, gdy dźwigał ją do środka, z dwiema torbami z zakupami w rękach i prowadząc wózek Leo. Ale w rzeczywistości uwielbiał, kiedy obejmowała go za szyję. Po tym właśnie poznawał, że udawała. Gdy spała naprawdę, to niosło się ją jak worek ziemniaków. Udając, wtulała zawsze nos w jego szyję i obejmowała mocno, jakby się bała, że może go stracić. Gdy podrosła, brakowało mu tej chwili każdego dnia. Rok temu skreśliła sobie nogę w kostce na wycieczce szkolnej do lasu i znów musiał ją zanieść z samochodu do domu. Nigdy nie czuł się gorszym rodzicem, niż gdy zorientował się, że chciałby, żeby skreśliła sobie kostkę jeszcze raz.

Kładzie rękę na drzwiach do jej pokoju, ale nie puka. Jego telefon nie przestaje dzwonić. Peter jest tak rozkojarzony, że wychodząc z domu do samochodu, nadal trzyma w dłoni kubek z kawą.

Mira krąży po supermarkecie według listy zakupów, spisanej dokładnie w takiej kolejności, w jakiej produkty znajdują się na sklepowych półkach. Nie przypomina to przypadkowych list Petera, którego zakupy zawsze wyglądają, jakby właśnie zaopatrywał schron przed apokalipsą.

Wszyscy w sklepie się jej kłaniają, niektórzy machają do niej ręką z drugiego końca pomieszczenia, personel się uśmiecha, a Frak wybiega do niej ze swojego gabinetu, ubrany w koszulkę Björnstad z numerem dziewięć i nazwiskiem Erdahl na plecach. Wybiera się właśnie do hali lodowiska, ale nie może przestać gadać. Mira słucha go cierpliwie, jednym okiem spoglądając na zegarek. Nie chce, aby Peter i Leo wyszli z domu, zanim ona wróci.

Gdy wkłada zakupy do bagażnika, jedna z siatek się rozrywa. Ludzie na parkingu przepychają się, by pomóc jej pozbierać awokado. Tak dobrze znają jej męża, dyrektora sportowego. A jednocześnie nie znają go w ogóle.

– Pewnie strasznie się cieszy, że może jechać na ten mecz! – mówi ktoś w tłumie, a Mira przytakuje, mimo że wie, jak bardzo Peter nienawidzi podróży.

Od śmierci Izaaka Peter praktycznie nie zostawił Mai i Leo na całą noc. Mira znacznie częściej wyjeżdżała służbowo, był taki okres, kiedy w szafie w przedpokoju zawsze stała jej spakowana walizka podręczna. Peter żartował wtedy, że na pewno gdzieś ma też „tajną skrytkę bankową, w której trzyma farby do włosów, fałszywe paszporty i pistolet”. Nigdy nie powiedziała mu, jak bardzo raniły ją te żarty. Wie, że jest egoistką, i gardzi sobą z tego powodu, ale chciałaby, żeby Leo nie pojechał na finał. Z Leo ten wyjazd przestaje być służbowy, to wspólna wyprawa syna z ojcem, która nie pomaga zachować równowagi w statystykach. Nie czyni jej ani odrobinę mniej egoistyczną.

Podnosi z ziemi kilka awokado i wkłada je do torby. Gdy Izaak zachorował, cała rodzina żyła według iście wojskowego kalendarza: wizyty u lekarzy, daty operacji, dojazdy, poczekalnie, leczenie i zalecenia, listy i protokoły. Po pogrzebie Peter nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić, ból okazał się zbyt wielki. Mira nadal chodziła z Mayą do parku, sprzątała i gotowała obiady, jeździła na zakupy ze swoimi listami. W jakiejś książce przeczytała kiedyś, że po traumatycznym doświadczeniu, takim jak pobicie czy porwanie, ofiara często przechodzi załamanie nerwowe znacznie później, w karetce lub na posterunku policji, gdy jest już po wszystkim. Nagle, wiele miesięcy po śmierci Izaaka, Mira siedziała na podłodze w sklepie, w obu rękach trzymając awokado, i płakała histerycznie, nie mogąc przestać. Peter przyjechał po nią i zabrał ją do domu. Przez kolejne tygodnie po tym wydarzeniu to on działał jak maszyna: sprzątał, gotował i zajmował się Mayą. Może to właśnie ich uratowało – zdolność do niezalamywania się w tym samym czasie.

Uśmiecha się do siebie w drodze do domu. Włącza listę „głośniejgłośniej”. Przed nią cały weekend z córką, co za błogosławieństwo. Maya dorasta tak szybko. Dopiero co była małą czerwoną rodzynką zawiniętą w kocyk, a gdy pielęgniarki oznajmiły, że czas już jechać do domu, Mira gapiła się na nie, jakby właśnie usłyszała, że zamierzają je samotnie wypchnąć na środek Oceanu Indyjskiego, na zrobionej z puszek po piwie tratwie wielkości znaczka pocztowego. A potem ten mały piszczący robaczek zamienił się w człowieka. Nabral cech, wyrobił sobie poglądy i styl ubierania. I nie lubił gazowanych napojów. Jaki dzieciak nie lubi gazowanych napojów? Albo słodyczy? Mai nie da się przekupić cukrem, a jak, na Boga, być porządnym rodzicem dziecka, którego nie da się przekupić?

Dopiero co potrzebowała pomocy przy odbekiwaniu. Teraz gra na gitarze. Boże. Czy matczyna miłość będzie kiedyś do zniesienia?

Słońce ułożyło się na czubkach drzew, powietrze jest czyste i lekkie, to dobry dzień. Jeden dobry dzień. Mira wysiada z samochodu w tym samym momencie, w którym Peter i Leo wsiadają do swojego. Peter całuje ją tak mocno, że aż traci dech, ona w zamian go szczypie, wprawiając męża w zakłopotanie. Peter nadal trzyma w dłoni kubek z kawą, Mira podnosi torby z zakupami i kręcąc głową, wyciąga po niego rękę, gdy na schodach pojawia się Maya. Rodzice odwracają się w jej kierunku. To ostatni szczęśliwy i bezpieczny moment, jaki zapamiętają.

Piętnastolatka zamyka oczy. Otwiera usta. Opowiada. Wszystko.

Gdy kończą się słowa, na ziemi wśród kawałków rozbitego kubka leżą awokado. Na jednym z większych ułamków porcelany nadal widnieje logo. Niedźwiedź.

Słowa to małe rzeczy. Ciągłe tylko słyszą, że nikt nie ma na myśli niczego złego. Wszyscy wykonują tylko swoją pracę. Policjanci powtarzają to cały czas: „Wykonuję tylko swoje obowiązki”. Dlatego też nikt nie pyta, co zrobił chłopak, zamiast tego, gdy tylko dziewczyna zaczyna opowiadać, przerywają jej pytaniami, co ona robiła. Szła po schodach przed nim czy za nim? Położyła się na łóżku dobrowolnie czy została do tego zmuszona? Rozpięła bluzkę? Pocałowała go? Nie? Ale przyjęła jego pocałunek? Piła alkohol? Paliła marihuanę? Powiedziała nie? Była stanowcza? Krzyczała wystarczająco głośno? Walczyła wystarczająco mocno? Dlaczego od razu nie sfotografowała siniaków? Dlaczego uciekła z imprezy, nie mówiąc o niczym żadnemu z pozostałych gości?

Muszą po prostu zebrać wszystkie informacje, mówią, gdy po raz dziesiąty zadają jej to samo pytanie, sformułowane w inny sposób, żeby zobaczyć, czy nie zmieni swojej wersji wydarzeń. To poważne oskarżenie, napominają ją, tak jakby to oskarżenie stanowiło tutaj problem. Dowiaduje się o wszystkim, czego nie powinna była robić. Nie czekać tydzień ze zgłoszeniem na policję. Nie wyrzucać ubrań, które miała wtedy na sobie. Nie kąpać się. Nie pić alkoholu. Nie stawiać się w takiej sytuacji. Nie wchodzić do pokoju na piętro, dać mu do zrozumienia. Gdyby tylko w ogóle nie istniała, to nic z tego by się nie wydarzyło, czemu o tym nie pomyślała?

Ma piętnaście lat, on siedemnaście, we wszystkich rozmowach jednak to nadal on jest „chłopcem”. Ona jest „młodą kobietą”.

Słowa to wielkie rzeczy.

Mira krzyczy. Rozmawia przez telefon. Wszczyła awanturę. Zostaje poproszona o spokój. Wszyscy przecież wykonują tu swoją pracę. Na posterunku policji w Hed Peter siedzi z ręką na palcach Mai i nie jest pewien, czy córka nienawidzi go za to, że on też nie krzyczy. Że nie jest prawnikiem i nie wie, o co się na nich wydzierać.

Że nie krąży gdzieś, próbując kogoś, kogokolwiek, zabić. Że jest bezsilny. Obydwojgu robi się zimno, gdy zabiera dłoń z jej ręki.

Maya widzi bezimienny gniew w oczach jednego rodzica i niekończącą się pustkę u drugiego. Jedzie z mamą do szpitala. Jej tata udaje się w przeciwnym kierunku, do Björnstad.

Nadejdą takie dni, kiedy Maya będzie pytana, czy rzeczywiście rozumiała, jakie będą konsekwencje pójścia na policję i opowiedzenia wszystkiego. Przytaknie. Czasem będzie jej się wydawać, że tak naprawdę rozumiała je jako jedyna. Dużo później, za dziesięć lat, pomyśli, że w istocie największy problem polegał na tym, że wcale nie zszokowało jej to tak jak dorosłych. Byli o wiele bardziej niewinni niż ona. Miała piętnaście lat i Internet, zdawała już sobie sprawę, że świat to okrutne miejsce, jeśli jest się dziewczynką. Rodzice w ogóle nie mogli sobie wyobrazić, że coś takiego może się wydarzyć, Maya nie sądziła tylko, że to przytrafi się właśnie jej. Upadek ich duszy byłby wtedy może mniejszy.

„Jakie to musiało być dla nich straszne” – pomyśli za dziesięć lat, a potem przypomni sobie najdziwniejsze szczegóły. Że jeden z policjantów miał trochę za dużą obrączkę, którą ciągle zsuwał z palca i uderzał o stół. I że nigdy nie spojrzał jej w oczy, przez cały czas zawieszając wzrok na jej czole lub ustach.

Pamięta, że gdy tam siedziała, przypomniła sobie lekcję fizyki z ostatnich klas podstawówki, o cieczach i zimnie. Zamarzając, ciecze zwiększają objętość – to niezbędna wiedza, gdy buduje się dom w Björnstad. W lecie deszcz skapuje w szczeliny kamieni, gdy nadchodzi minusowa temperatura, wilgoć zamienia się w lód i niszczy kamień. Pamięta, że tak właśnie się czuła, dorastając w cieniu zmarłego starszego brata. Jej dzieciństwo składało się z ciągłych desperackich prób pozostania cieczą i niewniknięcia w szczeliny rodziców.

Gdy dorasta się tak blisko śmierci, wie się, że jest ona całkowicie inna dla każdego człowieka, ale że dla jednego z rodziców śmierć to przede wszystkim milczenie. W kuchni, korytarzu, telefonie, na tylnym siedzeniu samochodu, w piątek wieczór, poniedziałek rano, zawinięta w pomiętą pościel, na samym dnie pudełka z zabawkami na strychu, na małym taborecie przy zlewie, pod wilgotnymi ręcznikami, które nie leżą już rzucone na podłogę przy wannie. Dzieci wszędzie zostawiają po sobie milczenie.

Maya doskonale wie, że taka cisza może być jak woda. Jeśli dostanie się zbyt głęboko, zamieni się w lód i rozsadzi nasze serca. Już na posterunku policji w Hed wiedziała, że poradzi sobie w tej sytuacji. Już wtedy wiedziała też, że jej rodzicom się to nie uda. Rodziców nie da się uleczyć.

To niesamowicie wielki wstyd dla całej ludzkości, że właśnie ofiara czuje największą empatię w stosunku do innych. Nadejdą takie dni, kiedy Maya będzie pytana, czy rzeczywiście rozumiała konsekwencje, a ona przytaknie. Ze wszystkich kłębiących się w niej wtedy uczuć największe będzie poczucie winy. Za niewyobrażalne okrucieństwo okazane tym, którzy kochali ją najbardziej.

Siedzieli na posterunku policji. Maya opowiadała o wszystkim. W spojrzeniu rodziców widziała jak raz za razem dźwięczy w nich jedna straszna myśl. Do której w głębi duszy każda matka i każdy ojciec obawia się przyznać najbardziej na świecie: „Nie jesteśmy w stanie ochronić naszych dzieci”.

Na parkingu przed halą lodowiska stoi zielony autobus. Wszędzie pełno ludzi, rodziców, zawodników, sponsorów i członków zarządu. Wszyscy obejmują się i machają rękami.

Tata Kevina podjeżdża aż pod autobus. Wysiada, wita się z zebranymi, podając im dłoń, rozmawia z nimi nieśpiesznie. Mama Kevina długo się waha, zanim położy rękę na ramieniu syna. Kevin nie protestuje. Mama nie mówi mu, że jest z niego dumna, on nie odpowiada, że wie.

Zaniepokojona Fatima stoi w korytarzu, po raz kolejny wypytując Amata, czy coś jest nie tak. Chłopiec odpowiada, że nie ma się czym martwić. Z łyżwami w dłoni wychodzi z domu. Przy drzwiach na klatkę schodową spotyka Lifa, kolega zdaje się już czekać dobrą chwilę. Amat uśmiecha się lekko.

– Chcesz pożyczyć kasę? Zwykle na mnie nie czekasz.

Lifa wybucha śmiechem, wyciąga przed siebie rękę z dłonią zwiniętą w pięść. Amat uderza w nią własną pięścią.

– Załatw ich! – krzyczy Lifa.

Amat kiwa głową. Chwilę się zastanawia, jakby chciał coś dodać, ale zamiast tego pyta:

– Gdzie Zach?

Lifa patrzy na niego zdumiony.

– Na treningu.

Twarz Amata czerwienieje ze wstydu. A więc tak szybko po awansie do juniorów zapomniał, że młodziki zawsze mają trening o tej porze. Lifa ponownie wyciąga pięść, ale natychmiast zmienia zdanie i zamiast tego mocno ściska przyjaciela.

– Jesteś pierwszym z Niecki w juniorach.

– Benji jest przecież praktycznie z Niecki... – zaczyna Amat, ale Lifa kręci na to energicznie głową.

– Benji mieszka w szeregowcach. Nie jest jednym z nas.

Amat wie, że z balkonu może zobaczyć dom Benjiego, ale to nie wystarcza. Lifa przyjechał do Björnstad kilka lat po Amacie, jego rodzina mieszkała najpierw w Hed, ale tutaj żyje się taniej. Przez kilka lat grał w hokeja z Amatem i Zachariaszem, ale później jego starszy brat kazał mu z tym skończyć. „To pieprzony sport dla snobów, tylko bogata gówniarzeria gra w hokeja” – stwierdził. „Będą cię nienawidzić, nienawidzą nas wszystkich, nie chcą, by ktoś od nas był w czymś lepszy od nich”. Miał rację, słyszeli to zarówno w szatni, jak i na lodzie. Nikt nigdy w Björnstad nie pozwoli ci zapomnieć, skąd pochodzisz. Amat i Zachariasz to wytrzymali, Lifa nie. Któregoś razu, w młodszych klasach podstawówki, ktoś ze starszych zawodników zakradł się do ich szatni i markerem zamazał napis na ich koszulkach, zmieniając go z „Björnstad Hockey” na „Slumsy Hockey”.

Wszyscy wiedzieli, kto to zrobił. Nikt nie pisał ani słowem. A Lifa już nigdy później nie zagrał. Teraz stoi przy klatce schodowej jednego z domów w Niecce i ze łzami w oczach obejmuje Amata.

– Wczoraj widziałem kilku chłopców, sześć- i siedmiolatek, bawiących się kijami hokejowymi przed moją klatką. Udawali swoich idoli. Jeden z nich był Pawłem Daciukiem, jeden Sidneyem Crosbym, a jeszcze inny Patrickiem Kane’em... A wiesz, co krzyczał jeszcze jeden? JA JESTEM AMAT!

– Pieprzysz...

Amat się śmieje, ale Lifa kręci tylko głową i ściska mocno przyjaciela.

– Załatw ich, brachu! Wygraj ten finał, zostań zawodowcem i załatw ich, kurwa, wszystkich. Pokaż im, że jesteś jednym z nas.

– Możesz powiedzieć chłopakom, że w szatni czeka na nich niespodzianka – szepcze mu tajemniczo na ucho ojciec Kevina.

– Dziękuję – odpowiada syn.

Podają sobie dłonie, ojciec kładzie jedną rękę na plecach syna. To prawie jak uścisk.

Gdy Kevin zjawia się w szatni, ta rozbrzmiewa radosnymi okrzykami, koledzy z drużyny latają po niej jak małe uszczęśliwione noworoczne fajerwerki. Bobo klepie go po plecach, w drugiej ręce trzymając nowy kij.

– Czaisz, ile one kosztują? Twój ojciec jest, kurwa, KRÓLEM!

Kevin wie doskonale, ile kosztowały kije. Na podłodze w kartonie leży po jednym dla każdego zawodnika w drużynie.

Po treningu młodzików Zachariasz schodzi z lodowiska ostatni, zdążył już sam zebrać pacholki i krążki. W ostatniej sekundzie udaje mu się uchylić, uderzenie tuż za nim wprawia w drganie szybę z pleksi. Rozgląda się na oślep wokół, krążek nadleciał ze złej strony, z korytarza, a nie z lodowiska.

– Pilnuj się, grubasie! – szydzi z niego Lyt z nowym kijem w dłoni.

Zachariasz wie dokładnie, ile kosztował. Jeśli już w ogóle nastolatki znają się na cenach, to właśnie rzeczy, na które ich nie stać.

– Wal się – mamrocze Zach.

– Co powiedziałeś? – syczy Lyt, a jego twarz ciemnieje.

– Powiedziałem: WAL SIĘ.

Bobo stoi na korytarzu, tuż za Lytem, i próbując go powstrzymać, mamrocze coś w stylu:

– To tylko żart. Pamiętaj o finale.

Lyt opanowuje na chwilę złość i prychnął zrozumiawszy w stronę Zachariasza:

– Niezły kij! Matka ci go załatwiła z pomocy społecznej?

Zachariasz podnosi głowę, zamiast ją pochylić.

– A czy twoja matka była już w szatni, żeby jak zwykle pomóc ci założyć suspensorium, malusi Lyciku? Wkłada ci do niego fiuta tak delikatnie, jak lubisz? Nadal ci kupuje za duże...

Zanim Zachariasz zdąży dokończyć zdanie, Lyt rzuca się na niego z nowym kijem na wysokości twarzy. Bez natychmiastowej reakcji Bobo, któremu udaje się pomiędzy nich wepchnąć, Lyt posłałby dwa lata młodszego Zachariasza do szpitala. Spanikowany Amat biegnie zaraz za nim, ustawia się pomiędzy Lytem a Zachariaszem.

– Kurwa, do chole... PRZESTAŃCIE! STOP, KURWA!

Lyt wymachuje rękami, tak że Bobo go puszcza, posyła Amatowi krytyczne spojrzenie, po czym podchodzi do Zachariasza, wyszarpuje mu kij z dłoni i rzuca nim ile sił w ścianę, tak że kij rozpada się na kawałki. Kopie kawałki kija w stronę Zachariasza.

– Powiedz opiece społecznej, żeby następnym razem załatwili ci lepszy kij. Tym można się tylko uszkodzić.

Lyt odwraca się na pięcie i idzie w kierunku szatni, gdzie koledzy z drużyny przyjmują go okrzykami: „Niedźwiedzie w Björnstad!”, przeplatany imionami kolejnych zawodników.

Amat zbiera kawałki zniszczonego kija. Zachariasz stoi bez ruchu.

– Rozwalił go, idio...

Amat traci kontrolę nad sobą i zrywa się z ziemi.

– Co się, KURWA, z tobą dzieje, Zach? – wrzeszczy. – Co? Co się z tobą stało? Dlaczego musisz wszystkich cały czas prowokować?

Zachariasz gapi się na niego tępo. Lata przyjaźni kryją się za jego wzrokiem.

– Powodzenia dzisiaj, gwiazdorze.

Odchodzi. Amat jeszcze długo stoi w miejscu. Gdy w końcu pojawia się w szatni, wyrzuca kawałki zniszczonego kija przyjaciela do kosza na śmieci. Przy szafce czeka na niego jego nowy kij. Pierwszy raz w życiu nieużywany.

W autobusie Bobo siadł dwa rzędy przed Lytem. Słyszy jak ten, w akompaniamencie śmiechów o „socjalnym dniu” i „skurwysynie”, opowiada historię o kiju Zachariasza. Mama Zachariasza jest na zwolnieniu lekarskim. Wcześniej pracowała na tym samym oddziale w szpitalu co mama Bobo. Gdy do autobusu wsiada Amat, Bobo robi mu miejsce obok siebie.

– Próbowałem go zatrzymać... – mamrocze Bobo.

– Wiem – odpowiada przygnębiony Amat.

Obaj pamiętają koszulki treningowe ze „Slumsy Hockey”. To był pomysł Lyta. Ale to Bobo je pomazał. Lyt mieszka na Wzgórzu, Bobo minutę od Niecki. Bobo chce o tym wspomnieć Amatowi, ale nie ma już na to czasu, bo w tym samym momencie ktoś krzyczy: „A co tu, kurwa, robi policja?”, a na parking wjeżdża samochód policyjny, blokując autobusowi drogę.

David jest spóźniony. Pierwszy raz w życiu. Wczoraj wymiotował trzy razy i w końcu próbował nawet namówić swoją dziewczynę na kieliszek wina na uspokojenie. On, który nigdy nie pije. On, który zawsze czuł się wykluczony z każdej drużyny, w której grał, bo upijanie się co najmniej kilka razy do roku zdawało się tam rytuałem dla wszystkich poza nim. Tak jakby nie dało się mu ufać, skoro nie był gotowy rzygać obok kolegi z drużyny na podłogę w jakimś barze hotelowym.

Jego dziewczyna mocno się zdziwiła. David wzruszył ramionami.

– Ludzie zawsze mówią, że to uspokaja.

Wybuchnęła śmiechem. Po czym się rozplakała. Zbliżyła czoło do jego głowy i wydusiła z siebie:

– Głuptasie. Nie chciałam ci nic mówić. Ale nie mogę pić wina.

– Co?

– Nie chciałam nic mówić przed finałem. Nie chciałam cię... rozpraszać. Ale... nie mogę pić.

– O czym ty mówisz?

Zachichotała zaraz przy jego policzku.

– Jesteś tępą jak stare dęto, serio. Kochanie, jestem w ciąży.

David jest więc dziś spóźniony i zbity z tropu, i zadowolony. Wchodzi w sam środek brutalnego zamieszania na parkingu, prawie wpada pod policyjny samochód. To zarówno najszczęśliwszy, jak i najnieszczęśliwszy i najdziwniejszy dzień w jego życiu.

Używają takich słów jak „bezpieczeństwo” i „ryzyko ucieczki”. Może pozwoliliby mu grać, gdyby mecz był na miejscu. Ale finał odbywa się wiele godzin drogi stąd, w innym mieście. Wszyscy wykonują tylko swoją pracę. Policjanci torują sobie

drogę na parkingu wśród zdziwionych rodziców i wchodzi do autobusu. Wszyscy chłopcy zaczynają krzyczeć, gdy funkcjonariusze proszą, by Kevin wyszedł razem z nimi. Ogromny mężczyzna w mundurze łapie go za ramię i unosi z fotela, autobus eksploduje gniewem. Bobo i Lyt próbują stanąć na drodze policjanta, są na tyle duzi, że potrzebni są kolejni czterej funkcjonariusze, by w ogóle można było opuścić pojazd. Kevin wygląda na małego, bezbronnego i bezsilnego. Może właśnie dlatego dorośli wokół reagują w ten sposób, a może istnieje dziesięć tysięcy innych powodów.

Ojciec Kevina rzuca się z krzykiem na policjanta, który trzyma jego syna. Gdy inny policjant go odciąga, Frak łapie policjanta za szyję i zaczyna go dusić. Jeden z członków zarządu wali z całej siły pięściami o maskę policyjnego samochodu. Maggan Lyt fotografuje z bliska każdego z funkcjonariuszy, obiecując im osobiście, że wszyscy stracą pracę.

Amat i Benji jako jedyni siedzą spokojnie na swoich miejscach w autobusie.

Słowa to trudne rzeczy.

Peter stoi na końcu parkingu, tam, gdzie zaczynają się już drzewa. Gardzi samym sobą, że tu przyjechał. Bo co ma tu niby robić? Przemoc i whisky są do siebie bardzo podobne. W rodzinach, w których było ich za dużo, dzieci dorastają albo nimi wypełnione, albo całkowicie je odrzucając. Ojciec Petera był zdolny zabić, on sam nie potrafi się nawet bić. Nawet na lodzie. Nawet teraz. Nawet Kevina. Peter nie potrafi go skrzywdzić, ale mimo wszystko stoi tu, bo chciałby zobaczyć, jak robi to ktoś inny.

Tylko David go zauważa. Ich spojrzenia się spotykają. Peter nie odwraca wzroku.

Sport i nauka nie zawsze idą w parze. Sport lubi oczywiście badania dotyczące łąkotek i więzadeł stawowych, ale już mniej podobają mu się prace związane z przemocą i grupami, które jej używają. Uniwersytety zdają się interesować głównie tym, co w sporcie złe, znacznie mniej zaś tym, co dobre. Sportowcy twierdzą, że nauka doszukuje się tylko problemów. Naukowcy natomiast, że sportowcy mają klapki na oczach.

Coś może ich jednak zjednoczyć. Jedno pytanie, które fascynuje ich tak samo mocno od setek lat: kim jest przywódca?

Maya przechodzi wszystkie obowiązkowe badania w szpitalu. Odpowiada na wszystkie pytania. Nie płacze, nie uskarża się, nie awanturuje, jest pomocna i zgodna. Mira natomiast rozpacza tak, że czasem nie może przebywać w tym samym pomieszczeniu. Telefon dzwoni nieprzerwanie. Mama zaangażowała w sprawę całą kancelarię, córka leży na zimnej kozetce w zimnej sali i wie, że rozpętała wojnę. Mama musi przejąć dowodzenie, ruszyć na wroga, działać, inaczej tego nie zniesie. Maya podnosi więc telefon i wysyła do Any esemesa z dokładnie tymi słowami: „Będzie wojna”. Po kilku sekundach przychodzi odpowiedź: „Ty i ja przeciwko światu”.

W swojej karierze hokejowej David widział już setki przywódców. Formalnych i naturalnych, krzyczących i cichych. Nie zdawał sobie sprawy, że sam może być jednym z nich, dopóki Sune nie posłał go na lód z gwizdkiem i z grupą siedmiolatków. „Nie jestem dobrym trenerem” – powiedział David, ale Sune pogładził go po włosach i rzekł: „Ci, którym wydaje się, że są dobrymi trenerami, nigdy nimi nie będą”. Stary pryk miał rację i jednocześnie się mylił.

Gdy policyjny radiowóz odjechał z Kevinem, potrzebował godziny, żeby wsadzić wszystkich zawodników na nowo do autobusu i przekonać rodziców, że w niczym nie pomoże, jeśli będą tu tak po prostu stać i krzyczeć. Jadą już trzy godziny,

a autobus nadal wibruje od telefonów i się kołysze, gdy chłopcy biegają tam i z powrotem, pokazując sobie nawzajem wiadomości. Wydaje się, że jeszcze nikt z Björnstad nie wie, dlaczego Kevin został zatrzymany. Policja odmawia jakichkolwiek informacji, więc między siedzeniami w autobusie rozlewa się coraz szerzej lawina spekulacji. Nawet dorośli nie mogą się powstrzymać, Bengt jest tak nakręcony, że aż się ślini.

David siedzi w milczeniu sam na przodzie autobusu, wlepiając wzrok w esemesa w telefonie. To od ojca Kevina. Właśnie się dowiedział, o co oskarżony jest jego syn. Przywódca, samoistny czy nadany, uczy się na samym początku jednej rzeczy: że to, co się mówi, może być tak samo ważne jak to, czego się nie mówi.

Mama siedzi obok kozetki, trzymając córkę za dłonie. Obu im trzęsą się ręce. Maya opiera głowę o czoło mamy.

– Jakoś to przeżyjemy, mammo.

– Dziecko kochane, to nie ty masz pocieszać mnie, tylko ja ciebie.

– Pocieszasz, mammo. Pocieszasz.

Telefon Miry znów dzwoni. Maya rozumie, że to z kancelarii. Kiwa głową i gładzi mamę po policzku, mama całuje ją i szepcze:

– Wychodzę tylko na korytarz. Nie zostawiam cię.

Obu trzęsą się ręce.

Przez ostatnich dziesięć lat David wychowywał chłopców dla tej jednej chwili. Zmuszał ich do poświęceń, wypalenia, nauczania się odporności na presję, nawet gdy ramiona i kark krzyczą z bólu. Co to wszystko jest warte, jeśli dziś nie wygrają finału? Czym jest gra, jeśli nie jest się w niej najlepszym?

David zawsze żywił o hokeju jedno niezachwiane przekonanie: że świat poza halą lodowiska nie ma prawa się na nią wdrzeć. To oddzielne wszechświaty. Na zewnątrz życie jest skomplikowane, przerażające i trudne, podczas gdy na lodzie wszystko jest proste i zrozumiałe. Gdyby David tak uparcie nie rozdzielał tych dwóch światów, chłopcy, z całym tym syfem, którego doświadczyli na zewnątrz, poddaliby się już dawno temu. Ale lodowisko to była ich strefa wolności. Ich jedyne szczęśliwe miejsce. Nikt nie mógł im tego odebrać: tutaj należeli do zwycięzców.

Nie dotyczyło to tylko chłopców. David też zawsze czuł się dziwnie i nie na miejscu na asfalcie. Ale nigdy na lodzie. To ostatnie miejsce, w którym działa kolektyw, gdzie drużyna jest ważniejsza niż pojedyncza osoba, klub ważniejszy od jednostki. Jak daleko można się posunąć w obronie swojego wszechświata? Jak wiele w przywództwie zależy od tego, co się powie, a ile od tego, co się przemilczy?

Salowa wie doskonale, kim jest Maya, ale stara się to ignorować. Jej mąż, Knur, to jeden z najlepszych przyjaciół Petera, pół życia grali razem w hokeja. Ale przed chwilą, gdy spotkała go z żoną na korytarzu, Peter zdawał się jej nawet nie rozpoznawać. Rozmawiali z nią jak przez szybę, ale nie wzięła im tego za złe. Widziała to już wcześniej – traumę, która powoduje, że rozmawiając z nią, ludzie patrzą wyłącznie na jej uniform, nie na twarz. Salowa jest przyzwyczajona do tego, że zarówno pacjenci, jak i ich rodziny traktują ją bardziej jak funkcję niż człowieka. Nic sobie z tego nie robi. Sprawia to nawet, że jest jeszcze bardziej dumna ze swojej pracy.

Gdy zostaje w sali sama z Mayą, pochyla się w jej stronę, mówiąc:

– Wiem, że to strasznie nieprzyjemne. Staramy się robić wszystko najszybciej, jak się da.

Dziewczynka kiwa głową, patrząc jej w oczy. Zagryza mocno zęby na dolnej wardze. Zazwyczaj Salowa jest bardzo powściągliwa w kontakcie z pacjentami i tego też uczy młodszych kolegów. Zwykła im mówić: „Nieraz zjawia się tu ludzie, których znasz, musisz traktować ich jak pacjentów, to kwestia przywództwa”. Te słowa utykają jej teraz w gardle.

– Nazywam się Ann-Katrin, mój mąż jest starym przyjacielem twojego taty.

– Maya – szepcze dziewczynka.

Ann-Katrin kładzie delikatnie dłoń na policzku Mai.

– Uważam, że jesteś bardzo odważna, Mayu.

Peter jedzie z Björnstad do Hed. Wchodzi do szpitala, gotowy z triumfem opowiedzieć córce, że Kevin został zatrzymany przez policję. Dosięgła go sprawiedliwość. Ale wchodzi do sali i ją widzi. Nie ma na świecie nic mniejszego niż twoje własne dziecko na kozetce w szpitalu. Tutaj nie dociera sprawiedliwość. Siada więc obok córki i płacze, że nie jest w stanie nikogo zabić.

– Co mam robić, Mayu? – pyta w końcu. – Powiedz mi, co mam robić...

Córka poklepuje go po zarośniętym podbródku.

– Kochaj mnie.

– Zawsze.

– Tak jak kochasz hokej i Davida Bowiego?

– O niebo bardziej, Ogryzku.

Maya wybucha śmiechem. Jakie to dziwne, że spowodował to właśnie dziecięcy „Ogryzek”. Gdy miała pięć lat, zjadała całe jabłka, razem z ogryzkiem. Jako dziewięciolatka zmusiła go, by przestał już tak ją nazywać, a później skrycie cały czas za tym tęskniła.

– Potrzebuję dwóch rzeczy – szepcze.

– Niech zgadnę: Any i gitary?

Dziewczynka kiwa głową. Do sali wraca Mira. Dłonie rodziców dotykają się w przelocie. Gdy Peter jest już przy drzwiach, córka woła za nim:

– I musisz jeszcze powiedzieć Leo. Inaczej będzie się strasznie bał.

Mama z tatą spoglądają na siebie. Jak wiele jeszcze lat upłynie, zanim na samą myśl o tej chwili ucisk w ich piersiach nie będzie niczym zawał serca? Jak to możliwe, że właśnie dzisiaj o Leo pamiętała tylko jego starsza siostra?

Ann-Katrin siedzi w pokoju socjalnym, wpatrując się w ścianę. Tak jak i pozostali słyszała, że policja zabrała Kevina, ale jako jedna z nielicznych wie, dlaczego Maya jest w szpitalu, i widzi związek między jednym a drugim. Maya jej nie rozpoznała, Kevin też by tego nie zrobił, mimo że siedziała na trybunach prawie na każdym meczu, odkąd był małym chłopcem. Część rodziców dla innych dzieci na zawsze pozostanie bez twarzy.

Wysłała synowi esemesa: „Powodzenia dzisiaj!”, Bobo natychmiast odpisuje: „Kev? Słyszałaś coś?”. Mama kłamie: „Nie. Nic. Spróbuj się skoncentrować na meczu!”. Mija kilka minut, zanim dostaje odpowiedź: „Wygramy dla Kevina!”. Przełyka ślinę i odpisuje: „Kocham cię”. Bobo odpowiada tak jak każdy nastolatek: „Ok”.

Ann-Katrin odchyła się na krześle i patrzy w sufit, rozmyślając o wszystkich dzieciach, które tyle cierpią. Tyle się tego widzi w szpitalu. Dlatego tak wielu jej

kolegów jest na zwolnieniu lekarskim. Pielęgniarki i lekarze nie mają przerwy na letni trening jak w hokeju, żadnego finału, pauz. Sezon trwa cały czas, dzień za dniem, to może dobić nawet najtwardszych. Nawet tych z Björnstad.

A gdy nawet ci najtwardsi nie dadzą rady? Kto ich wtedy poprowadzi?

David podnosi się, odchrząkuje, by zwrócić na siebie uwagę chłopców, ale powstrzymuje się, gdy widzi, że już zaczęli siadać na miejscach. Nie ze względu na niego, tylko na Benjiego. Chłopak stoi na środku autobusu, patrzy każdemu z nich po kolei w oczy, po czym w końcu zatrzymuje się przy Filipie, milczącym chłopcu, rok młodszym od większości w drużynie, który mieszka na Wzgórzu, trzy domy od Kevina.

– Gdy byliśmy mali i martwiłeś się, bo byłeś najmniejszy i najsłabszy w drużynie i nie potrafiłeś nawet strzelić powyżej listwy okopowej na bandzie, co powiedział ci wtedy trener?

Filip spuszcza zażenowany głowę, ale Benji kładzie mu rękę na brodzie i ją unosi. Filip nie tylko jest o rok młodszy od reszty, przez wiele lat był o tyle słabszy fizycznie od takich zawodników jak Bobo, że nikt nie zwrócił uwagi na to, jak dobry stał się ostatnio we wszystkim innym. To taki typ chłopca, który ginie w szatni, nigdy nic nie mówi, nigdy nie sprawia kłopotów, po prostu jest. Przez ostatnie trzy lata, zanim ktokolwiek to zauważył, na swój spokojny sposób stał się najlepszym obrońcą drużyny.

– „Miej w dupie pozostałych, skup się na tym, na co masz wpływ” – odpowiada Filip spokojnie.

Benji przytakuje i poklepuje go po głowie. Następnie odwraca się do Williama Lyta.

– A co trener powiedział ci, gdy wszyscy inni nauczyli się jeździć tyłem przed tobą i bałeś się, że nie będziesz już mógł grać?

Lyt mruga oczami i zdenerwowany ociera policzki.

– „Skup się na tym, na co masz wpływ”.

Benji trzyma go za ramiona i patrzy mu prosto w oczy, ponownie cytując trenera:

– „Jesteśmy drużyną. Dajemy sobie nawzajem siłę. Gdy jeden upada, do walki staje kolejny”.

Lyt przeciera oczy rękawem bluzy.

– „Drużyna jest ważniejsza niż zawodnik. Klub jest ważniejszy niż jednostka” – wtóruje.

Gdy nikt inny nie słyszy, Benji szepcze do niego:

– Liczymy dziś na ciebie, Lyt, jesteś dziś naszą gwiazdą. Musisz nas dziś poprowadzić.

Gdyby Benji poprosił go teraz, by kogoś zabił, to Lyt zrobiłby to bez wahania. Ani badania, ani sport nie potrafią dokładnie określić, za którymi przywódcami podążymy. Wiadomo tylko, że nie mamy wątpliwości, gdy ich spotykamy.

Benji staje przed Bobo, olbrzymem, który był najlepszym obrońcą drużyny, dopóki wszyscy inni nie nauczyli się jeździć na łyżwach lepiej niż on.

– Co jest najfajniejsze na świecie, Bobo?

Mija chwila, zanim Bobo niepewnie odpowiada:

– Pieprzenie, nie?

Niektórzy juniorzy chichoczą. Benji pochyla głowę do ogromnej twarzy Bobo.

– Ale najpierw pojedziemy i zrobimy to, co jest najfajniejsze na całym świecie, dobra, Bobo? I wiesz, czego od ciebie oczekuję, nie?

Bobo się podnosi.

– Tylko jednego, tak?

– Wygranej – mówi Benji.

– Wygranej! – wykrzykuje Bobo.

– WYGRANEJ! – grzmi cały autobus.

David siedzi na swoim miejscu. WYGRANEJ, WYGRANEJ, WYGRANEJ – huczy autobus, gdy trener kasuje esemesy od taty Kevina. Gdy podchodzi do niego Bengt z zapytaniem, czy wie, dlaczego policja zabrała Kevina, kręci głową.

– Nie. Nic nie wiem. Skupmy się na tym, na co mamy wpływ, Bengt.

Benji kładzie się na tylnych siedzeniach autobusu. Przesypia resztę drogi.

Jest w lesie takie miejsce, gdzie kochają sport. Jest sobie dziewczynka, która siedzi teraz na łóżku i gra na gitarze dla swojej przyjaciółki. Jest posterunek policji, w którym zatrzymano młodego mężczyznę. W korytarzu szpitala salowa mija adwokata, na trybunach w stolicy dorośli mężczyźni i kobiety skandują, że są niedźwiedziami z Björnstad, razem ze sponsorami i członkami zarządu, tymi samymi, którzy przed dziesięcioma laty naśmiewali się z dyrektora sportowego, twierdzącego, że kiedyś będą mieć najlepszą drużynę juniorów w kraju. Teraz wszyscy są tu na miejscu. Wszyscy poza nim.

W szatni drużyna z kijami w dłoniach czeka na mecz, na ławce z telefonem na kolanach siedzi młodszy brat, czekając na to, co koledzy napiszą w Internecie o jego siostrze, gdy dowiedzą się, co zaszło. Do jednej z kancelarii prawnych dzwoni bogaty klient, w innej mama rozpoczyna wojnę. Dziewczynka gra jeszcze na gitarze, dopóki jej przyjaciółka nie zaśnie, w drzwiach stoi tata i rozmyśla o tym, że obie sobie poradzą. Wytrzymają to wszystko. I tego właśnie się boi. Bo to sprawia, że świat nadal uważa, że to jest porządku.

Jest sobie zawodnik z numerem szesnaście na plecach, któremu, odkąd nauczył się jeździć na łyżwach, wpajano, co jest niezbędne, by wygrać. Zdaje sobie sprawę, że wygrana w meczu zależy nie tylko od tego, co dzieje się na lodzie, ale również od tego, co jest w głowie. Trener uczył go, jak wiele z muzyki jest w hokeju: każda drużyna ma swój rytm i tempo, w którym chce grać. Jeśli zaburzy się ich rytm, zaburzy się też ich piosenkę, a nawet najlepsi muzycy na świecie nienawidzą, gdy muszą grać poza rytmem, bo gdy już raz się zacznie, to trudno z tym kończyć. Każdy przedmiot w ruchu chce sunąć do przodu, im większa toczy się kula śniegowa, tym większym trzeba być głupkiem, żeby stanąć jej na drodze. To mają na myśli sportowcy, mówiąc o impecie, w szkole nauczyciele nazywają to pędem. David stosował znacznie prostsze metody, rozmawiając z Benjiminem: „Gdy drużynie się powodzi, wszystko wydaje się łatwe i w ten sposób z automatu idzie im jeszcze

lepiej. Ale jeśli tylko uda ci się stworzyć choć małe zawirowanie, nawet najmniejsze, to zobaczysz, że zaraz sami sobie stworzą wielkie zamieszanie”. Wszystko to kwestia równowagi. Wystarczy najmniejszy nawet podmuch wiatru.

Drużyna przeciwna dotarła właśnie na stadion, by zmierzyć się z Björnstad Hockey, których wszyscy z pogardą nazywają „Erdahl Hockey”. Już na długo przed samym meczem wiedzieli, że są o niebo lepsi od tych wieśniaków z lasu, a teraz jeszcze dowiedzieli się, że Kevin nawet nie zagra w meczu. Bez niego Björnstad to bułka z masłem. Jakiś żart. Potrącone zwierzę na poboczu drogi. Ich przeciwnicy są pewni siebie i spokojni, wiedzą, że by wygrać, muszą jedynie grać. Zachować spokój. I równowagę.

Ich trener jest jeszcze w autobusie, ale nadęci pychą zawodnicy chcą już zobaczyć swoich przeciwników, więc wchodzą do hali pierwsi. Lampy w korytarzu prowadzącym do szatni są zepsute, ktoś żartuje, że „pewnie zakosiły je te biedne wieśniaki”, ktoś inny odpowiada: „Po co, skoro w Björnstad nie ma prądu!”. Początkowo wydaje się, że nieruchoma postać przy drzwiach ich szatni to tylko jakiś cień, ich oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności, więc pierwszy zawodnik w niego wchodzi. Klatka piersiowa Benjiego jest z betonu, wytrzeszczone białka jego oczu spoglądają po kolei na każdego z graczy. Może gdyby mieli więcej czasu, to zaśmialiby się nerwowo, ale teraz stoją cicho w ciemności, unikając jego spojrzenia.

Benji nie rusza się z miejsca. Czeka w drzwiach. Zmusza ich, by do niego podeszli, jeśli chcą wejść do szatni. Powinni byli poczekać na trenera albo wezwać sędziego, ale są na to zbyt dumni. Gdy powoli tracą rezon, wszystko jest już do przewidzenia, Benji już zidentyfikował dwie potencjalne ofiary: jeden popycha go, drugi uderza pięścią na wysokości ramienia, Benji przyjmuje pierwsze uderzenie, po czym błyskawicznie oddaje cios drugiemu prosto w ucho, tak że tamten z krzykiem upada na ziemię. Benji odwraca się ponownie w stronę pierwszego i uderza dwukrotnie w żebra, nie tak mocno, by coś się złamało, ale wystarczająco mocno, by przeciwnik zgął się wpół, następnie wymierza mu cios łokciem w kark, powalając go na jego leżącego już kolegę. Gdy kolejny przeciwnik rusza w jego stronę, Benji odchyła się miękko na bok, popychając go w plecy, tak że zawodnik wpada na łeb na szyję do ciemnej szatni. Czwarty popełnia ten błąd, że łapie go

obiema rękami za ubranie, Benji uderza go z czuba tak, że chłopak aż się wywraca. Nikt nie jest w stanie poradzić sobie z jego ciosami.

W oświetlonym pomieszczeniu nie miałby z pewnością najmniejszych szans, by poradzić sobie z całą drużyną, ale w wygaszonym ciasnym korytarzu, w którym naraz zaatakować go może jeden, dwóch napastników, wszyscy nagle zadają sobie to pytanie: kto następny?

Nikt. Wystarczy sekunda zawahania ze strony całej grupy. Benji uśmiecha się do nich szyderczo i spokojnie odchodzi, zanim ktokolwiek zdąży coś powiedzieć. Gdy otwiera drzwi do swojej szatni, wydobywa się z niej szalone „TO MY, NIEDŹWIEDZIE!”, a na korytarz pada struga światła, na tyle długa, by wszyscy w drużynie przeciwnej zobaczyli, jak bardzo całe zdarzenie wytrąciło ich z równowagi.

Nie opowiedzą o tym trenerowi, bo co też mieliby powiedzieć? Że pozwolili jednemu chłopakowi pobić czterech ich najsilniejszych zawodników, podczas gdy reszta drużyny stała i się gapiła? „Co to, kurwa, było?” – mamrocze ktoś. „Jakiś psychol” – stwierdza ktoś inny. Już w szatni, przy zapalonym świetle, próbują rozładować sytuację nerwowym śmiechem. Wmówić sobie, że tym wariatem z numerem szesnaście zajmą się potem, że to nic ważnego i że są za dobrzy, by przejmować się takimi rzeczami. Gdy rozpoczyna się mecz, widać, że sobie z tym nie poradzili. Rytm, tempo, równowaga. Podmuch wiatru.

Benji wkłada koszulkę z numerem szesnaście. David staje przed swoją drużyną, z rękami założonymi na plecach i wzrokiem skierowanym ku ziemi. Całą drogę zastanawiał się nad tym, co właściwie znaczy dla niego przywództwo, i doszedł do palącego wniosku: Sune był jego mentorem, a największą siłą Sunego było to, że szkolił przywódców. Problem polegał tylko na tym, że nigdy nie pozwalał im przewodzić.

Zawodnicy wstrzymują oddech, ale gdy David zwraca się w ich stronę, na jego ustach błąka się uśmiech.

– Chcecie usłyszeć prawdę, chłopcy? Prawda jest taka, że nikt nie wierzył, że dojdziecie tak daleko. Ani przeciwnicy, ani związek, ani trenerzy kadry narodowej, z pewnością też nikt dzisiaj na trybunach. Dla nich to wszystko były mrzonki, dla was cel. Nikt tego za was nie zrobił. Więc ten mecz, ta chwila... należy do was. Nie pozwólcie nikomu, by mówił wam, co macie z nią zrobić.

Chciałby im powiedzieć o wiele więcej, ale są już w finale. Zrobił wszystko, co mógł. Więc obraca się tylko i wychodzi z szatni. Zaraz za nim wychodzi skonfundowany Bengt. Drużyna nadal siedzi na miejscach i gapi się na siebie zdziwiona. Po chwili jeden po drugim podnoszą się i dwukrotnie uderzają nawzajem o kaski. To najcichszy z nich pierwszy podnosi głos.

– Skąd jesteśmy? – pyta Filip.

– Z BJÖRNSTAD – odpowiada chórem szatnia.

Lyt staje na jednej z ławek i wykrzykuje:

– ZA KEVINA!

– ZA KEVINA – wtórują mu wszyscy.

Gdy wychodzą na lód, Benji już tam stoi. Sam, na środku lodowiska, z szesnastką na plecach i czernią w oku. Ostatni z szatni Björnstad wychodzi najlepszy i zarazem najmniejszy gracz drużyny. Bobo klepie Amata po ramieniu.

– Skąd jesteś, Amat?

Amat podnosi wzrok, nieznacznie trzęsie mu się szczęka.

– Z Niecki.

Bobo kiwa głową i pokazuje mu swoje rękawice. Markerem napisał na nich „Slumsy Hockey”. Niezdarny gest niezdarnego chłopaka.

Czasem takie są najważniejsze.

Dlaczego człowiek zajmuje sobie głowę sportem? Kobieta na trybunach robi to, bo tylko to daje jej konkretne odpowiedzi. Kiedyś była wybitną biegaczką narciarską, poświęciła całą młodość, przecierając trasy, wieczór za wieczorem, z latarką na czole, we łzach od zimna i wyczerpania. Cały ten ból, wszystkie przegrane i to, co zwykle nastolatki robią w wolnym czasie, a czego ona nigdy nie doświadczyła. Ale gdyby ją teraz zapytać, czy czegoś żałuje, to pokręciłaby tylko głową. Gdyby ją zapytać, co zrobiłaby inaczej, gdyby mogła cofnąć czas, odpowiedziałaby: „Trenowałabym więcej”. Nie potrafi odpowiedzieć, dlaczego tak zajmuje ją sport, bo już dawno się nauczyła, że jeśli zadałeś to pytanie, to i tak tego nie zrozumiesz.

Jej syn Filip gra teraz w pierwszej linii obrony, a ona wie, ile musiał poświęcić. Wszystkie rundy w lesie przy świetle dwóch latarek, wszystkie godziny na tarasie, gdy strzelał gole, a mama stała na bramce. Wszystkie te łzy, gdy był najmniejszy

w drużynie i mierzył się, i ważył co rano, bo lekarz obiecał mu, że jego ciało w końcu dogoni pozostałych. Ślady ołówka na framudze drzwi, których mama nie chce teraz zamalować. Zrozpaczony nieszczęśnik, którego codziennie musiała zbierać z podłogi, gdy okazywało się, że ma dokładnie tyle samo wzrostu co wczoraj. Tyle samo waży. Może i nikt nie zauważył, kiedy stał się najlepszym obrońcą w drużynie, ale jego mama była przy tym przez cały czas.

Całą rozgrzewkę Frak stał z telefonem w ręce, próbując się dowiedzieć, co się stało z Kevinem. Nadal żadnych wieści. Domyśla się, że jak już będzie coś wiadomo, tata Kevina najpierw skontaktuje się z Davidem. Frak nie może się jednak do niego dodzwonić.

Sponsorzy i członkowie zarządu zgromadzeni wokół niego są wściekli na brak informacji. Już zaczynają wywody o adwokatach, z którymi się skontaktują, dziennikarzach, którzy dostaną tę historię, i o tych, których powinno się za to ukarać.

Frak nie jest wściekły, jego uczucia osiągnęły już inny wymiar. Patrzy na rodziców zgromadzonych na trybunach. W myślach zlicza wszystkie dni, wieczory i noce, które poświęcili dla drużyny. Na szyi czuje ciężar własnego srebrnego medalu z innych czasów. Nie wie, kto pozbawił ich dziś szansy na największe zwycięstwo, ale z całego serca już go nienawidzi.

To Benji mówi Davidowi i Bengtowi, żeby wystawili Lyta na środek, w miejsce Kevina. Nigdy nie będzie na świecie wystarczająco dużo liter, by opisać, co to znaczy dla Lyta. Przed rzuceniem przez sędziego pierwszego krążka Benji przystaje przy Amacie.

– Dziś też masz na sobie szybkie łyżwy, nie?

Amat uśmiecha się szeroko i kiwa głową. W swoim boksie przeciwnicy rozprawiają już głośno o tym, „by dać szesnastce posiedzieć na ławce kar”. Nie są idiotami, przejrzeni Benjiego i wiedzą, że to agresywny szaleniak. Gdy sędzia upuszcza krążek, Benji rusza pełną parą z kijem skierowanym w stronę przeciwnika, który go przejął. A wszyscy, którzy widzieli go w ciemnym korytarzu, rozumieją oczywiście, że nie będzie sobie zawracał głowy krążkiem, tylko od razu przejdzie do starcia czołowego. Przeciwnik dociska łyżwy do lodu i spina całe ciało na przyjęcie ataku.

Ten jednak nie nadchodzi. Benji zgarnia krążek i posyła go w strefę ofensywną, Lyt, blokując przeciwnika na środku lodowiska, upada niczym postrzelona foka – to środkowy, który poświęca się dla drużyny, by trzeci zawodnik w linii miał wystarczająco czystą pozycję. W tym meczu mają jedną chwilę, zanim przeciwnicy zrozumieją, jak szybki jest Amat.

Wykorzystują ją.

Frak krzyczy jak szalony, gdy Amat czeka na ruch bramkarza, a następnie posyła krążek prosto do siatki, rodzice pędzą w dół trybun, tak jakby zamierzali przedostać się przez bandę. Amat krąży dookoła bramki z uniesionymi rękoma, po chwili leży już przygnieciony przez Benjiego, Lyta i Filipa. W następnej sekundzie cała drużyna jest już na lodzie, kłębiąc się wokół siebie nawzajem. Frak łapie jedną z matek i krzyczy:

– SKĄD JESTEŚMY?!

Jeszcze przed chwilą wszyscy byli ateistami. Teraz już nie.

Po pierwszej tercji prowadzą jeden do zera. David nic im nie mówi, nie wchodzi nawet do szatni, w milczeniu stoi na korytarzu razem z Bengtem. Słyszy, jak zawodnicy poklepują się po kaskach. Przeciwnicy wyrównują jeden do jednego, potem wychodzą na prowadzenie, ale dokładnie zaraz przed przerwą między drugą a trzecią tercją Bobo wychodzi na jedną ze swoich nielicznych zmian i krążek ląduje u niego przy niebieskiej linii obrony. Próbuje podać go dalej, ale krążek odbija się od łyżwy przeciwnika i wraca do Bobo. Gdyby miał chociaż chwilę na zastanowienie się, zapewne doszedłby do wniosku, że pomysł jest idiotyczny. Ale nikt nigdy nie posądzał Bobo o myślenie. Więc strzela. Bramkarz nawet się nie rusza. Gdy siatka za nim zaczyna falować, Bobo stoi zszokowany. Widzi zapalającą się lampę, cyfry na tablicy zmieniające się na dwa do dwóch, słyszy okrzyki radości z trybun Björnstad, ale jego mózg nie rejestruje przebiegu wypadków. Pierwszy na lodzie dociera do niego Filip.

– Wygramy! – krzyczy.

– Dla Kevina! – ryczy Bobo, który podjeżdża z impetem do bandy i rzuca się na pleksi z taką szaleńczą dumą, że zapomina zgarnąć za sobą kij ze strefy neutralnej, gdy gra zaczyna się na nowo.

Filip kocha hokej, jego mama również. Nie tak jak większość średnio zainteresowanych rodziców, którzy ledwie rozumieją zasady gry. Ona wręcz ubóstwia ten sport, bo jest ostry, szczery, przejrzysty i prawdziwy. Konkretne pytania, konkretne odpowiedzi.

Maggan Lyt stoi obok. Znają się z mamą Filipa od dziecięcych lat, mieszkają dwa domy od siebie. Razem jeździły na nartach, w tym samym roku wyszły za mąż, ich synowie urodzili się w odstępie kilku miesięcy od siebie, przez ponad dziesięć lat rozgrzewały stopy, tupiąc nimi na trybunach podobnych do tych. Chcesz im powiedzieć, że hokejowi rodzice są fanatyczni? Wyślą cię wtedy, żebyś posłuchał publiczności na zawodach juniorów w biegach narciarskich. Albo podyskutował sobie z ojcem młodej slalomistki, który nagle wbiega na stok, sabotując całe zawody, bo uważa, że trasa jest nieprawidłowo ustawiona dla jego córki. Albo zapytał mamy młodej łyżwiarki figurowej, ile godzin dziennie powinna trenować dziewięciolatka. Zawsze znajdzie się ktoś gorszy. Prawie wszystko może się zdawać całkowicie normalne, jeśli porównuje się wystarczająco długo.

Mama Filipa nigdy nie krzyczy. Nie wyzywa. Nigdy nie krytykuje trenera i nie wchodzi do szatni. Ale broniłaby Maggan Lyt do końca swoich dni, gdyby tylko ktoś krytykował zachowanie przyjaciółki. Bo one też stanowią drużynę. Mama Filipa nauczyła się, że nie można wymagać od rodziców poświęcenia całego swojego życia sportowi dziecka, ryzykowania finansów rodziny, nie spodziewając się, że ich zaangażowanie w końcu zamieni się w nadgorliwość.

Gdy więc Maggan krzyczy do sędziego: „Ślepy jesteś?”, mama Filipa milczy. Gdy inny rodzic wykrzykuje w jego stronę: „Noż kurwa, czyś ty się z głupim na głowy pozamieniał? Nie możesz sobie w domu porządzić?”, również nic nie mówi. Ktoś kolejny komentuje: „Co za aerobik dla starych bab”, a mężczyzna na trybunach ponad nimi rozkłada ręce, wydzierając się: „Gracie, kurwa, w kosza czy co?”. Jeden z przeciwników trochę zbyt długo blokuje zawodnika z Björnstad w narożniku lodowiska, nie dostając za to kary, a gdy chłopiec wraca do boksu, z trybun słychać: „Jesteś HOMO czy numer dwadzieścia dwa?”.

Matka z dwójką małych dzieci, siedząca kilka rzędów niżej, obraca się i prosi:

– Mogliby państwo uważać na to, co mówicie? Tu są dzieci!

Maggan odpowiada jej z pogardą kapiącą z każdego słowa:

– Ależ, moja droga, jeśli naprawdę tak się boisz, że te małe pisklaczki wyfruną z gniazda i usłyszą coś strasznego, to nie powinnaś ich zabierać na HOKEJA!

Jeśli w tym momencie zapytać by mamy Filipa, dlaczego nie zaprotestowała, odparłaby zapewne, że można coś kochać, nie kochając w tym wszystkiego. Nie ma się czego wstydzić, nawet jak nie jest się z tego dumnym. To działa zarówno w stosunku do hokeja, jak i do przyjaciół.

Matka demonstracyjnie bierze dzieci za ręce i wyprowadza na schody, a potem sadza kilka rzędów dalej. Na lodowisku za jej plecami Filip goni przeciwnika przez cały lód, rzuca się do przodu, blokując podanie i wytrącając go z równowagi. Benji rusza w ich kierunku.

W tym samym czasie jeden ze sponsorów na trybunach powyżej odwraca się do Fraka i kiwa głową w stronę matki z dwójką dzieci.

– Co to, kurwa, za moralna policja? Co ona tu robi? – syczy.

Właśnie rozpoczyna się trzecia tercja meczu. Rozmowa tonie w okrzykach pozostałych kibiców, gdy numerowi szesnaście udaje się przejąć krążek w strefie neutralnej, wykiwać dwóch przeciwników sztuczka, której nikt się nie spodziewał, i strzelić prosto w bramkę, koło której nawet nie stał bramkarz.

Benji odpędza od siebie próbujących go objąć kolegów z drużyny, zgarnia krążek z bramki i jedzie wprost w kierunku rodziców z Björnstad. Przystaje przy bandzie, kawalek od nich, macha do dwójki przeszczęśliwych dzieci i rzuca krążek ich matce.

Sponsor obraca się do Fraka.

– Kto to jest, mówiłeś? – pyta.

– To siostra Benjiego, Gaby. A dzięki wujkowi tych dzieciaków właśnie wyszliśmy na prowadzenie trzy do dwóch – odpowiada Frak.

Gdy w dzieciństwie Maya była smutna, zawsze szła spać. Przesypiała wszystko, co trudne. Gdy miała półtora roku i jechała z mamą wypożyczonym samochodem przez centrum Toronto, na środku jednego z największych skrzyżowań w mieście zepsuł im się silnik. Autobusy trąbiły, taksówkarze się wydzielali, a Mira krzyczała przez telefon na biednego recepcjonistę w wypożyczalni samochodów. Na tylnym siedzeniu Maya rozglądnęła się w tym czasie spokojnie naokoło, ziewnęła szeroko, po czym zasnęła i obudziła się dopiero sześć godzin później, gdy w końcu dotarły do hotelu.

Mira stoi w korytarzu i przez uchylone drzwi do pokoju patrzy na córkę leżącą na łóżku. Piętnastolatka nadal przesypia trudne chwile. Ana leży obok niej pod kołdrą. Tak to pewnie jest z rodzicami, którzy pochowali jedno ze swoich dzieci, Mira zawsze życzyła sobie dla syna i córki zdrowia, bezpieczeństwa i najlepszego przyjaciela.

Wtedy można przetrwać wszystko. Prawie.

David zapamięta ten mecz na zawsze. Nad jego ostatnimi minutami rozwodził się będzie swojej dziewczynie całymi nocami, klepiąc ją po brzuchu i szepcząc: „Nie śpij! Nie opowiedziałem jeszcze najlepszego”. Raz po raz przedstawiał będzie, jak Amat wielokrotnie rzucał się, próbując zablokować strzały kaskiem, tak że w końcu sędzia zmusił go do zejścia z lodu, by sprawdzić, czy kask nie pękł. Jak Lyt, który spędził na taflি najwięcej czasu ze wszystkich, wspierał, poklepywał po plecach i podnosił z ławki ledwie żywych ze zmęczenia kolegów przez te kilka minut, które odsiedział w boksie. Gdy wyczerpany Bobo, schodząc z lodowiska, potknął się na progu, tak że prawie poleciał jak długi, to Lyt go złapał, a potem przyniósł mu butelkę z wodą. W tym czasie Filip grał niczym doświadczony zawodnik seniorów, totalnie bezbłędnie. A Benji? Benji był wszędzie. David widział, jak uderzono go płożą w bok łyżwy tak mocno, że nawet siedzący w boksie Bengt złapał się za stopę i zawył:

– Oż ty! Ten strzał zabolął nawet MNIE!

Benji grał nadal mimo bólu, cała drużyna wbiła się jak w ścianę, roztrzaskała ją czołami i parła dalej. Każdy z nich grał na dwieście procent. Każdy był najlepszą wersją samego siebie. Żaden trener nie mógłby ich poprosić o więcej. Zrobili wszystko, dosłownie wszystko. Wszystko, co było w ich mocy.

To nie wystarczyło.

Gdy na krócej niż minutę przed końcem meczu przeciwnicy wyrównują na trzy do trzech, na lód upada cała drużyna, dwa tuziny rodziców na trybunach i całe miasto w lesie. W przerwie przed dogrywką trzech zawodników wymiotuje. Kolejnych dwóch ma takie skurcze mięśni, że pewnie nie wrócą do gry. Koszulki są przemoczone, każda komórka ciała pusta. Mimo wszystko potrzeba więcej niż piętnaście minut gry, by ostatecznie powalić ich na ziemię. Wciąż grają, ale w końcu Benji nie dojeżdża na czas, Filip po raz pierwszy gubi krytego zawodnika, kij Lyta jest za krótki, a Amat jest o sekundę spóźniony, by przejąć strzał.

Cały Björnstad Hockey nadal leży na lodzie, gdy ich przeciwnicy tańczą już wokół nich, wraz z rodzicami i przyjaciółmi, którzy wbiegli na taflę, by świętować. Dopiero gdy okrzyki radości i pieśni przenoszą się do szatni przeciwników, niepocieszeni Filip, Bobo, Lyt i Amat wloką się powoli w kierunku swojej. Dorośli nadal siedzą na trybunach z twarzami ukrytymi w dłoniach. Dwoje dzieci płacze nieprzerwanie w ramionach matki.

Nie ma większej ciszy na tej planecie niż ta w sercach dwóch tuzinów zawodników po przegranej. David wchodzi do szatni i widzi posiniaczonych juniorów zalegających na ławkach i podłodze; większość z nich jest tak zmęczona, że nie ma nawet siły ściągnąć z siebie ochraniaczy. Bengt stoi obok i czeka, aż trener coś powie, ale ten odwraca się tylko i wychodzi.

– A ten dokąd? – pyta jeden z rodziców.

– Jesteśmy słabymi przegrywającymi, bo dobrzy to tacy, którzy przegrywają często – mamrocze Bengt.

W końcu to kapitan drużyny przeciwnej wyciąga do niego dłoń. Wykąpany i przebrany, ale na koszulce nadal ma plamy od szampana. Numer szesnaście

z Björnstad wciąż leży na lodzie z łyżwami na nogach. Trybuny są prawie puste.

– Dobry mecz, stary! Gdybyś kiedyś chciał zmienić klub, to możesz przyjść grać z nami – mówi kapitan drużyny.

– Gdybyś kiedyś chciał zmienić klub, to możesz przyjść pograć ze MNA – odpowiada Benji.

Kapitan się zaśmiewa i pomaga mu wstać, widzi minę Benjiego.

– Wszystko w porządku?

Benji zbywająco kiwa głową, ale mimo wszystko pozwala przeciwnikowi podtrzymać się całą drogę na korytarzu.

– Przepraszam, że... no wiesz... – mówi Benji, wskazując na zepsute żarówki w korytarzowych lampach.

Kapitan śmieje się w głos.

– Serio? Chciałbym, żebyśmy to my wpadli na taki pomysł z wami. Niezły z ciebie twardziel. Potrzebujesz poważnego leczenia, stary, ale serio, niezły z ciebie byk.

Żegnają się mocnym uściskiem dłoni. Benji wczolguje się do szatni i kładzie na ziemi, nie próbując nawet ściągnąć łyżew.

Gaby idzie korytarzem z dwójką swoich dzieci, mija dorosłych w zielonych szalikach i koszulkach z niedźwiedziem, niektórym się kłania, innych ignoruje. Słyszy, jak jeden z ojców nazywa sędziego „upośledzonym w rozwoju”, a drugi dodaje, że „przydałoby się, żeby ten dupek przestał być taką babą”. Zamiast czekać na Benjiego, Gaby prowadzi dzieci prosto do samochodu; nie chce, by musiały tego wysłuchiwać, a wie, co o niej powiedzą, jeśli zaprotestuje. Gdy wychodzą z budynku, córka, która nie nauczyła się jeszcze wymawiać poprawnie R, pyta:

– Mamo, co znaczy „kuwa”?

Gaby próbuje zignorować to śmiechem, ale mała upiera się, wskazując na korytarz.

– Jeden pan to powiedział: „Sędzia to staa kuwa!”.

Mija kolejny kwadrans, zanim David wraca z reklamówką pełną krążków. Podchodzi do zawodników i rozdaje je każdemu z osobna. Chłopcy po kolei czytają

osiem liter wypisanych na krążku. Niektórzy się uśmiechają, inni zaczynają płakać. Bobo odchrząkuje, podnosi się i spogląda na trenera:

– Przepraszam, trenerze... ale czy mogę zapytać...

David podnosi brew, Bobo ruchem głowy wskazuje na krążek.

– Pan... no wie pan... chyba się pan nie zgejowił, co?

Śmiech może przynieść prawdziwe uczucie ulgi. Połączyć grupę. Wyleczyć rany, zabić ciszę. Szatnia grzmi od rechotu, aż David z szerokim uśmiechem na twarzy kiwa głową, odpowiadając:

– Macie jutro dodatkowe bieganie w lesie, jak już dojdziecie do domu. Podziękujcie koledze.

Bobo kuli się pod gradem ciśniętych w niego kulek posklejanej taśmy.

Benji dostaje krążek jako przedostatni. Bengt jako ostatni. David klepie go po ramieniu.

– Wracam dziś nocnym pociągiem. Macie zabukowany hotel, wiem, że zaopiekujesz się chłopcami jak trzeba.

Bengt kiwa głową. Spogląda na krążek. Łzy spływają mu po policzkach, gdy czyta napis. „Dziękuję”.

Gaby aż podskakuje, gdy Bobo stuka w jej szybę; dzieci zasnęły na tylnym siedzeniu, ona prawie też.

– Sorki... To pani jest siostrą Benjiego? – zaczyna nieśmiało.

– Tak. Czekamy na niego, powiedział, że chce wracać z nami do domu, zamiast spać w hotelu, rozmyślił się? – pyta Gaby.

Bobo kręci głową.

– Nadal jest w szatni. Nie możemy mu ściągnąć łyżew. Prosił, żeby pani przyszła.

W szatni najpierw Gaby mówi Benjiemu, że go kocha. Później, że ma cholerne szczęście, że ich mama musiała dziś pracować i nie mogła przyjechać, bo gdyby wiedziała, że jej syn całą trzecią tercję i dogrywkę grał ze złamaną stopą, będąc przy tym najdłużej na lodzie, to zatłukłaby go na śmierć.

Na parkingu przy autobusie Filip długo stoi w milczeniu obok mamy, która wyciera mu policzki.

– Przepraszam – szepcze syn. – To moja wina. Ostatnia bramka. To był mój zawodnik. Przepraszam.

Mama obejmuje go, jakby znów był małym chłopcem, chociaż jest już tak duży, że mógłby ją podnieść jedną ręką.

– Kochanie moje, nie musisz za nic przeproszać. Za nic w świecie nie musisz przeproszać.

Poklepuje go po policzku, sama wie, jak to jest, też stała załamana na mecie po zawodach, aż kropelki potu zamieniały się w kryształki lodu, i czuła to samo. Wie, co sport daje i czego żąda w zamian. Wszystkie dotychczasowe niepowodzenia syna przemykają jej przed oczami: letnie zgrupowania przedsezonowe, na które nie został zabrany, drużyny krajowe, dla których nie był interesujący, mecze, które musiał oglądać z trybun. Przytula szesnastolatka, który każdego dnia swojego życia trenował dla dzisiejszego meczu. Jutro obudzi się, wstanie z łóżka i zacznie na nowo.

Z komputerem na kolanach Ana siedzi na podłodze obok łóżka, w pokoju swojej najlepszej przyjaciółki. Od czasu do czasu zerka niespokojnie, czy Maya się nie obudziła. Po czym wraca do Internetu, w te miejsca, do których wie, że udadzą się wszyscy ze szkoły, gdy dowiedzą się, co się stało. Przeklikuje przez milczące wątki jeszcze niezaktualizowanych statusów, pojedyncze zdjęcia kotów i owocowych koktajli, nieliczne zawiedzione sprawozdania z finałowej przegranej juniorów. Ale nic poza tym. Jeszcze nie. Ana ponownie aktualizuje wszystkie strony. Mieszka tu całe życie, wie, jak szybko rozchodzą się informacje, ktoś zna kogoś, kogo brat jest policjantem, czyjś kolega pracuje w lokalnej gazecie, czyjaś mama jest salową w szpitalu. Ktoś coś komuś opowie. I wybuchnie piekło. Aktualizuje wszystkie strony, wciąż i wciąż na nowo. Uderza coraz mocniej w klawiaturę.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Bengt wyjaśnia drużynie, że hotel jest zarezerwowany, sponsorzy zapłacili, a chłopcy mogą zamawiać z room service’u, co tylko sobie życzą, a potem mają się

wyspać i rano wrócić do domu. Zawodnicy pytają, gdzie jest David. Bengt odpowiada, że trener pojechał do domu, by być na miejscu, gdy wypuszczą Kevina.

– A gdyby ktoś chciał jechać do domu? – pyta Lyt.

– No to załatwimy to. Możecie wybierać – odpowiada Bengt.

Ani jeden zawodnik nie chce zostać. Są drużyną, wracają do swojego kapitana. W połowie drogi do domu wiadomość w końcu eksploduje w ich telefonach. Dlaczego Kevin został zatrzymany, o co jest oskarżony i kto złożył doniesienie. „O czym oni gadają” – mówi jeden z graczy. „Widziałem ich na imprezie. To przecież ONA leciała na NIEGO!” Kolejny podchwytuje: „*Fucking bullshit!* Widziałem, jak szli do jego pokoju, szła PRZED NIM!”. Trzeci stwierdza: „Że niby nie chciała! Widzieliście, jak była ubrana?”.

Każdy z nich doskonale potrafi wypowiadać głoskę R. Na pierwszej „starej kurwie” się nie kończy.

W łóżku w swoim pokoju wypełnionym kijami, krążkami i koszulkami klubowymi młodszy brat budzi się, gdy przyjaciółka jego siostry z całej siły rzuca komputerem o ścianę. Tak jakby miała nadzieję, że ludzie tam piszący też rozpadną się na tysiąc kawałków.

Mira i Peter siedzą na niskim schodku przed domem. Nie dotykają się. Peter pamięta dokładnie ten dystans. Były takie dni, gdy uważał, że żałoba utrzymywała ich razem, że Mira została z nim, mimo że na to nie zasługiwał, bo nie miała nikogo innego, z kim mogłaby podzielić się Izaakiem. Ale zaraz po śmierci chłopca było dokładnie na odwrót. Żałoba odpychała ich od siebie, zamieniała pole siłowe między koniuszkami ich palców. Teraz znów tak jest.

– To... moja wina – szepcze Peter.

Mira kręci gwałtownie głową.

– Nie mów tak. To nie jest twoja wina. To nie jest też wina hokeja. Nie dawaj temu skur... nie dawaj... nie szukaj dla niego usprawiedliwienia!

– To klub wychowywał go całe życie. Mój klub.

Mira nie odpowiada. Jej pięści są już tak długo zaciśnięte, że ślady po paznokciach nie znikną jeszcze wiele dni po tym, jak je rozluźni. Całe swoje zawodowe życie poświęciła normom prawnym i prawodawstwu, wierzyła w sprawiedliwość i humanizm, przeciwstawiała się przemocy i krwawej zemście. Z całych sił próbuje więc teraz pozbyć się uczucia, które ją przepelnia i którego nie może powstrzymać. Zalewa ją z impetem, niwecząc wszystko, w co do tej pory wierzyła.

Chce go zabić. Chce zabić Kevina.

Rodzice Bobo czekają na parkingu, aż autobus wróci z finału. Ann-Katrin długo jeszcze będzie rozmyślać o tym, jak cisza dzisiejszej nocy przypominała ciągle szum głosów, pogaszone światła we wszystkich domach, w których – co i tak wiadomo – nikt nie spał, telefony i komputery wysyłające do siebie coraz bardziej rozzłoszczone i straszne słowa. Ludzie w Björnstad nie rozmawiają za wiele. Wydaje się jednak, że czasem robią tylko to. Knur łapie ją delikatnie za rękę.

– Musimy zaczekać. Nie możemy się w to mieszać, dopóki... nie będziemy pewni.

– Peter to jeden z twoich najlepszych przyjaciół.

– Nie wiemy, co się wydarzyło, kochanie. Nikt nie wie, co się wydarzyło. Nie możemy się w to mieszać.

Ann-Katrin przytakuje. Oczywiście, że nie mogą się w to mieszać. Każda historia ma przecież dwie strony. Należy też wysłuchać wersji Kevina. I niech wszyscy święci pańscy wiedzą, że Ann-Katrin naprawdę próbuje.

Zawstydzona Ana stoi na środku pokoju, zasłaniając rękami twarz. Maya, w szoku, siedzi na łóżku, na podłodze wokół nich leżą rozsypane kawałki komputera. Mira wchodzi do pokoju i bierze je obie za ręce.

– Ano, wiesz, że cię kocham, jakbyś była moją własną córką.

Ana ociera twarz z łez kapiących na ziemię.

– Ale musisz na jakiś czas iść do domu. Musimy... być tylko z rodziną.

Maya chce zaprotestować, ale jest zbyt zmęczona. Gdy zamykają się drzwi wejściowe, znów się kładzie i zasypia. Śpi i śpi.

Peter zawozi do domu przyjaciółkę córki. We wszystkich domach jest ciemno, ale i tak czuje spojrzenia z okien. Chce coś powiedzieć, gdy Ana wysiada z samochodu, być mądrym rodzicem, który pociesza, wspiera i wychowuje. Ale nie znajduje słów. Udaje mu się wydusić to jedno:

– Będzie dobrze.

Ana otula się mocno kurtką i ściąga czapkę niżej na czoło, ze względu na niego stara się wyglądać tak, jakby mu wierzyła. Niezbyt jej to wychodzi. Peter widzi, że dziewczynka aż się trzęsie z wściekłości. Przypomina mu się, jak kiedyś, przed wieloma laty, Mira i Maya się pokłóciły – to był jeden z pierwszych nastoletnich wybuchów złości u Mai. Załamana Mira szlochała wtedy w kuchni: „Ona mnie nienawidzi. Moja własna córka mnie nienawidzi”. Peter przytulił wówczas mocno żonę i szepnął jej do ucha: „Twoja córka cię podziwia i potrzebuje. A jeśli kiedykolwiek zaczniesz w to wątpić, to popatrz tylko na Anę. Ze wszystkich ludzi na ziemi twoja córka wybrała na najlepszą przyjaciółkę kogoś takiego samego jak ty. Z uczuciami na wierzchu”. Peter chciałby wysiąść teraz z samochodu i przytulić

Anę, powiedzieć jej, żeby się nie bała, ale nie jest takim typem człowieka. I sam też zbyt się boi, by kłamać.

Gdy Peter odjeżdża, Ana wślizguje się do domu, budzi psy i wychodzi z nimi do lasu, tak daleko, jak się tylko da. Tam przysiada, chowa twarz w ich sierści i wybucha rozpaczliwym płaczem.

Czuje ich oddech na karku, liżą ją po uchu, trącają nosami. Nigdy nie zrozumie, jak można woleć ludzi niż zwierzęta.

Tej nocy w domu rodziny Ovichów nie ma ani jednego wolnego łóżka. Dwójka dzieci Gaby śpi w łóżku wujka, Adri i Katia u mamy, a mama na kanapie. Córki nalegały, że to one będą spać w salonie, ale mama tylko je ofuknęła, tak że już więcej nie miały odwagi protestować. Gdy wczesnym rankiem Gaby przywozi Benjiego ze szpitala, siostry i mama patrzą tylko na kule i zagipsowaną stopę i uderzają go po karku, krzycząc, że wpędzi je kiedyś do grobu, że go kochają i że jest osłem.

Benji zasypia na podłodze, przy łóżku swoich siostrzeńców. Gdy się budzi, dzieciaki leżą już wtulone w swoje kołdry koło niego. Śpią w swoich koszulkach hokejowych. Z numerem szesnaście na plecach.

Mira siedzi na brzegu łóżka córki. Gdy Maya i Ana były małe, Peter żartował sobie z tego, jak bardzo się od siebie różnią, zwłaszcza gdy śpią. „Gdy Maya spała w jakimś łóżku, nie ma nawet potrzeby go ścielić. Gdy spała w nim Ana, należy najpierw przesunąć łóżko z powrotem na miejsce”. Maya budziła się jak zaspane jagnię, Ana niczym pijany stary mężczyzna, który szuka pistoletu. Zdawało się, że łączą je tylko imiona. Nienawidziły, gdy ludzie wymawiali ich imiona jak „Maja” i „Anna”, bo na świecie pełno było innych Maj i Ann. Maya nigdy nie była bardziej zła niż wtedy, gdy odkryła, że są też inne dzieci noszące jej imię. Była wtedy w wieku, w którym jak najbardziej na miejscu jest żądać, aby plastikowe rączki sztućców były w tym samym kolorze co jedzenie, a powodem do wybuchu złości w porze spania mogło być coś w rodzaju: „Tato, moje stopy są tak samo duże, A JA TAK NIE CHCĘ”. Nic nie denerwowało jej bardziej niż to, że nie tylko ona nazywa się Maya. Zarówno dla niej, jak i dla Any imię to mienie osobiste, fizyczna własność, jak płuca i źrenice, w ich wizji świata wszystkie Maje i Anny były

złodziejkami. Mira podejrzewa czasami, że obie nauczyły się czytać jako pięciolatki, bo dowiedziały się, że ich imiona wyglądają inaczej w piśmie. Za nic nie chciały być zwyczajne. Wydaje się, że było to jednocześnie wieki temu i dopiero co.

Ludzie dorastają tak nieubłaganie szybko.

Peter zamyka bezgłośnie drzwi. Wieszka kluczyki do volva na haczyku w korytarzu. Godzinami siedzą z Mirą bez słowa w kuchni. W końcu Mira szepcze:

– Teraz już nie chodzi o nas. Tylko o to, żeby jakoś dała sobie z tym radę.

Peter wbija wzrok w blat stołu.

– Jest taka... silna. Nie wiem, co mam jej powiedzieć, już teraz jest silniejsza ode mnie.

Paznokcie Miry wbijają się głęboko w skórę.

– Zabiłabym go, Peter. Chciałabym zobaczyć... jak umiera.

– Wiem.

Mira się trzęsie, gdy Peter pokonuje pole siłowe i ją obejmuje, razem oddychają ciężko i szlochają, powstrzymując się, by nie obudzić dzieci. Nigdy nie przestaną się o to obwiniać. Adwokat i dyrektor sportowy.

– Nie możesz się winić. To nie wina hokeja, Peter. Jak to się mówi: „Potrzeba całej wioski, by wychować jedno dziecko” – szepcze.

– Może właśnie to jest problem. Może to była niewłaściwa wioska – odpowiada Peter.

Rodzice odbierają juniorów przy hali lodowiska. Wracają w milczących samochodach do milczących domów, gdzie tylko ekrany są włączone. Przed świtem Lyt przychodzi do Bobo, nie rozmawiają za wiele, ale czują, że muszą coś zrobić. Działać. Przemierzają miasto, zgarniając po drodze kolejnych juniorów sprzed domów. Jak czarny rój przemieszczają się między ogródkami. Zaciśnięte w pięści dłonie pod ciemnym niebem, dzikie spojrzenia na opustoszałych ulicach. Godzina za godziną, aż do wschodu słońca. Czują się zaatakowani, pod ostrzałem. Chcieliby wykrzyknąć, ile ta drużyna dla nich znaczy, okazać lojalność i miłość do swojego kapitana. Ale nie znajdują słów, więc szukają innych sposobów, by to

wyrazić. Maszerując ramię w ramię jak złowieszczą armia. Tak bardzo chcieliby kogoś obronić. Zranić. Zabić. Szukają wroga, jakiegokolwiek.

Amat wraca do domu i od razu kładzie się spać. Fatima siedzi bez słowa w drugim pokoju. Następnego dnia jadą autobusem do hali lodowiska. Nadal nic nie mówią. Amat wiąże łyżwy, bierze kij do ręki, rozwścieczony pędzi przez cały lód i uderza z całym impetem w bandę. Nie pozwala sobie na płacz, dopóki nie jest tak spocony, że nikt tego nie zauważy.

W jednym z domów przy kuchennym stole siedzą mama i tata.

– Mówię tylko, że... A co, jeśli... – mówi mama.

– Myślisz tak o naszym SYNU!?! Co z ciebie za matka, jeśli MYŚLISZ TAK O NASZYM SYNU!!!!?? – wrzeszczy ojciec.

Zrozpaczona kręci głowę ze wzrokiem wbitym w podłogę. Oczywiście, że mąż ma rację. Co z niej za matka? Cichym głosem odpowiada, że oczywiście nie, oczywiście nie myśli tak o ich synu. Próbuje wyjaśnić, że wszystko stanęło na głowie, nikt nie myśli racjonalnie i że po prostu muszą się trochę przespać.

– Żebyś miała jasność, nie zamierzam się kłaść, dopóki Kevin jest na posterunku – deklaruje ojciec.

Mama kiwa głową. Sama nie jest pewna, czy jeszcze kiedyś uda jej się usnąć.

– Wiem, kochanie, wiem.

W innym domu przy kuchennym stole siedzą mama i tata. Przed dziesięcioma laty wyprowadzili się z Kanady i przyjechali do Björnstad, bo było to najbezpieczniejsze miejsce, jakie mogli sobie wyobrazić. Tak strasznie potrzebowali miejsca na świecie, w którym nic nie mogłoby się wydarzyć.

Nie zamieniają ze sobą teraz ani słowa. Przez całą noc. I tak wiedzą, co myśli to drugie. „Nie potrafimy ochronić naszych dzieci”.

Nie potrafimy ochronić naszych dzieci nie potrafimy ochronić naszych dzieci nie potrafimy ochronić naszych dzieci.

Nienawiść może być niesamowicie stymulująca. Świat staje się łatwiejszy do zrozumienia i mniej przerażający, gdy wszystkich dzielimy na przyjaciół i wrogów, nas i tych innych, dobrych i złych. Najłatwiejszym sposobem na zjednoczenie jakiejś grupy nie jest miłość, bo ta jest trudna i wymagająca. Nienawiść jest za to prosta.

Po pierwsze, na początku każdego konfliktu wybieramy stronę, bo to łatwiejsze niż próba utrzymania w głowie dwóch ewentualności naraz. Po drugie, szukamy dowodów potwierdzających to, w co chcemy wierzyć, co pozwoli nam żyć dalej jak zwykle. Po trzecie, odczłowieczamy naszego wroga. Istnieje na to wiele sposobów, ale najprostszym jest zabranie mu imienia.

Gdy zapada noc i prawdy zaczynają się rozprzestrzeniać, nikt w Björnstad w swoim telefonie i komputerze nie pisze „Maya”, tylko M. Albo „młoda kobieta”. Albo „laska”. Nikt nie mówi o „gwałcie”, wszyscy rozprawiają o „oskarżeniu”. Zaczyna się od „nic się nie stało”, które przechodzi potem w „a nawet jeśli, to było to dobrowolne”, a kończy na „a nawet jeśli nie było dobrowolne, to niech wini samą siebie, co ona sobie myślała, upijając się i idąc potem do jego pokoju?”. Zaczyna się od tego, że „sama chciała”, a kończy na tym, że „sobie zasłużyła”.

Tak szybko można kogoś przekonać, by przestał widzieć człowieka w człowieku. A gdy wystarczająco wiele osób siedzi wystarczająco cicho, to garść głosów sprawia wrażenie, że wszyscy krzyczą.

Maya robi wszystko, co trzeba i o co jest proszona. Odpowiada na wszystkie pytania policjantów, robi wszystkie badania w szpitalu, przez wiele godzin jedzie do terapeuty, który wciąż na nowo chce, żeby przypomniawszy sobie to, o czym ona chce zapomnieć. Poczwała to, co chciała zagłuszyć, płakała, gdy chciało jej się krzyczeć, rozmawiała, gdy chciała po prostu umrzeć. Ana dzwoni do niej, ale Maya wyłączyła telefon. Jest pełen anonimowych esemesów. Ludzie tak szybko

zadecydowali, co jest prawdą, że kupili karty do telefonu tylko po to, by napisać jej, co o niej myślą, pozostając bezimienni.

Gdy wchodzi do domu, kurtka spada z niej na podłogę w korytarzu, tak jakby nagle stała się na nią za duża. Maya kurczy się coraz bardziej, narządy opuszczają ją jeden po drugim. Płuca, nerki, wątroba, serce. Na końcu pozostaje tylko jad.

Leo siedzi przy komputerze, gdy Maya staje w drzwiach. Nie przychodziła do niego do pokoju, odkąd byli mali.

– Co robisz? – pyta prawie niesłyszalnie.

– Gram – odpowiada Leo.

Odłączył Internet. Telefon leży wyłączony na dnie plecaka. Starsza siostra stoi kilka metrów od niego, z rękami mocno zaciśniętymi wokół ciała, i przygląda się ścianom, na których jeszcze wczoraj wisały plakaty i koszulki hokejowe.

– Mogę pograć z tobą? – pyta szeptem.

Brat przynosi jej krzesło z kuchni. Grają, nie rozmawiając. Całą noc.

Mira jest w biurze. Siedzi na spotkaniu za spotkaniem z innymi prawnikami. Walczy. Peter zostaje w tym czasie w domu, sprząta każdy centymetr kwadratowy, czyści zlew tak mocno, że dostaje zakwasów, pierze całą pościel i wszystkie ręczniki, myje ręcznie każdą szklankę w domu.

Były takie chwile po stracie Izaaka, gdy życzyli sobie jakiegoś wroga, winnego, tylko po to, by móc go ukarać. Niektórzy doradzali im wtedy rozmowy z Bogiem, ale trudno rozmawiać z nim normalnym tonem, gdy jest się rodzicem, trudno wierzyć w wyższą moc, dotykając koniuszkami palców daty na nagrobku. To nie wina matematyki, działanie obliczające długość życia jest proste: wystarczy wziąć czterocyfrową liczbę po prawej stronie nagrobka i odjąć od niej liczbę po lewej, pomnożyć przez trzysta sześćdziesiąt pięć i dołożyć dodatkowy dzień za każdy rok przestępny. Ale jakkolwiek człowiek próbuje to robić, i tak się nie zgadza. Liczy, potem jeszcze raz i znów, ale zawsze wychodzi źle, jakby się nie dodawało, to nie wystarcza. Dni jest za mało, by starczyło na całe życie.

Nienawidzili, gdy ludzie mówili „choroba”, bo choroby są takie nienamacalne. Chcieli mieć twarz, sprawcę, potrzebowali kogoś, kogo mogliby zalać ciężarem winy, inaczej sami by pod nim zginęli. Byli tacy samolubni, wiedzą o tym, ale gdy

nie został już nikt, kogo mogli oskarżać, skierowali swój krzyk przeciwko niebu, ich wściekłość była zbyt wielka do udźwignięcia.

Chcieli mieć wroga. Teraz go mają. I sami nie wiedzą, czy powinni siedzieć z córką, czy ścigać tego, który ją skrzywdził. Pomóc jej żyć dalej czy dopilnować, żeby tamten zginął. Czy to w ogóle to samo? Nienawiść jest dużo łatwiejsza niż jej przeciwieństwo.

Rodziców nie da się ukoić. Dzieci też nie.

Wszystkie dzieciaki we wszystkich miastach na całym świecie bawią się w coś, co zagraża ich życiu. W każdej paczce jest ktoś, kto zawsze przegina, pierwszy skacze z najwyższej skały, ostatni przebiega przez tory, gdy nadjeżdża pociąg. Ten ktoś nie jest najodważniejszy w grupie, ale najmniej się boi. To ktoś, kto czuje, że nie ma do stracenia tyle co inni.

Benji szukał zawsze najsilniejszych fizycznych wrażeń, bo te wypierały pozostałe uczucia. Adrenalina, smak krwi w ustach i dudniący w całym ciele ból zamieniły się w przyjemny szum w głowie, lubił się bać, bo gdy człowiek się boi, nie myśli o niczym innym. Nigdy się nie ciął, ale rozumie tych, którzy to robią. Czasem tak bardzo tęsknił za bólem, który może poczuć i na którym może się skupić, że wsiadał w pociąg i jechał wiele godzin do innego miasta, czekał na zmrok, wszczynał bójkę z największymi skurwysynami, jakich udało mu się znaleźć, i bił tak długo, aż tamci nie mieli innego wyboru i spuszczali mu solidne manto. Bo czasami, gdy strasznie mocno bolało go ciało, ból był trochę mniejszy w innych miejscach.

Basista go nie zauważa, dopóki nie schodzi ze sceny. Jest tak zdziwiony, że zapomina ukryć uśmiech. Ma na sobie te same czarne ubrania, które spływają po nim niczym deszcz.

– Przyszedełś.

– Oferta rozrywkowa w okolicy jest dość ograniczona.

Basista wybucha śmiechem. Piją piwo, stojąc trzy kroki od siebie, opaśli pijani mężczyźni przechodzą od czasu do czasu, poklepując Benjiego po plecach. Chwalą za złamaną stopę, stwierdzają, że sędzia najwyraźniej był „cipą”. Po czym dodają: „Przejebana sprawa z Kevinem”. Ta sama procedura, z siedmioma, ośmioma

mężczyznami w różnym wieku. Wszyscy chcą stawić numerowi szesnaście piwo. Basista nie jest tego pewien, ale po każdym klepinięciu w plecy Benji zdaje się cofać o centymetr. Basista był tu już wcześniej, to nie pierwszy napotkany chłopak, który zachowuje się, jakby obejmowała go ochrona tożsamości. Może w takich miejscach jak to, gdzie nie chce się nikogo zawieść, jest inaczej.

W końcu zostają sami, basista dopija piwo i mówi cicho:

– Będę się zbierał. Widzę, że jest tu wielu ludzi... którzy chcą pogadać o hokeju.

Gdy Benji łapie go za ramię i szepcze: „Nie... pójdziemy gdzieś indziej”, rozpala ogień.

Basista wychodzi na zewnątrz i skręca w prawo za budynek. Benji odczeka dziesięć minut, zanim wychodzi na lewo, kuśtyka okrężną drogą przez las i spotyka go między drzewami, potykającego się i klnącego.

– Jesteś pewien, że wiesz, jak grać w hokeja? Wyglądasz, jakbyś robił coś nie tak.

– Basista się uśmiecha, wskazując głową na kule.

– Jesteś pewien, że wiesz, jak się gra na gitarze? Wyglądało, jakbyś stroił ją przez cały koncert – odpowiada Benji.

Pałą. Wiatr wzmaga się w ciemności, gwizdże na śniegu, ale w ostatnim momencie zdaje się odpuszczać chłopakom. Owiewa ich tylko w pośpiechu, delikatnie niczym niezdecydowane opuszki palców pierwszy raz na czyjejs skórce.

– Podobają mi się twoje włosy – mówi basista, zatapiając w nich oddech.

Benji przymyka oczy, puszcza kule, żałuje, że nie wypił więcej. Nie wypalił więcej. Nie docenił swojego odruchu kontrolnego, zostawił skurwiela bez dozoru, powinien był znieczulić się mocniej. Stara się popuścić sobie wodze, ale gdy tylko kładzie dłonie na plecach basisty, zaciskają się one instynktownie. Muzyk wzdryga się zdziwiony, Benji spina się, z rozmysłem opiera ciężar ciała na złamanej stopie, aż ból przeszywa mu promieniami wszystkie kości. Delikatnie odsuwa od siebie basistę. Podnosi kule z ziemi.

– To był... błąd – mówi cicho.

Basista stoi samotnie wśród drzew, ze stopami zatopionymi w śniegu, gdy numer szesnaście kuśtyka z powrotem do Stodoły.

– Wielkie tajemnice czynią nas małymi ludźmi... – woła za nim.

Benji nie odpowiada. Ale się kurczy.

Poniedziałek przychodzi do Björnstad, nie przynosząc ze sobą specjalnie dużo dziennego światła, jakby był równie niechętny wstawaniu co ludzie. Chmury wiszą nisko nad zaciągniętymi kapturami i ciężkimi głowami.

W volvie przed szkołą siedzi matka, próbując przekonać córkę, że nie musi tego robić. Nie musi wchodzić do środka. Nie dziś.

– Muszę – odpowiada córka, poklepując matkę po włosach.

– Nie wiesz... co piszą w Internecie... – Mama szlocha.

– Wiem doskonale, co piszą. Właśnie dlatego muszę iść. Nie zgłosiłabym się na policję, gdybym nie była na to gotowa, mamó. Teraz nie mogę...

Głos jej się załamuje. Paznokcie Miry wydrapują kawałeczki gumy z kierownicy.

– Nie możesz dać im wygrać. Jesteś córką swojego ojca.

Maya wyciąga dłoń, odgarnia z policzka mamy dwa zagubione kosmyki włosów i zakłada je jej za ucho.

– Swojej matki. Zawsze swojej matki.

– Zabiłabym ich, kochanie. Chciałabym ich wszystkich zabić. Cała kancelaria jest w to zaangażowana, nie ma szans, żebym dała im wyg...

– Musisz pozwolić mi iść, mamó. Będzie jeszcze gorzej, zanim zrobi się lepiej. Muszę już iść.

Mira patrzy, jak córka odchodzi. Następnie jedzie daleko w głąb lasu, puszczając muzykę na cały regulator. Wysiada z samochodu i uderza dłońmi o pień drzewa, aż zaczynają krwawić jej palce.

David zna najprostszą prawdę o hokeju: że to drużyna wygrywa mecz. Nie ma znaczenia, jak dobra jest taktyka trenera; jeśli ma zadziałać, to zawodnicy muszą w nią najpierw uwierzyć. Każdy z nich musi mieć wbite do głowy te same komendy po tysiąc razy: wykonuj swoją część roboty, skup się na swoim zadaniu, rób swoje.

David leży w łóżku obok swojej dziewczyny, trzyma dłoń na jej brzuchu.

– Myślisz, że będę dobrym tatą? – pyta.

– Będziesz strasznie, ale to strasznie irytującym tatą – odpowiada dziewczyna.

– To nie było miłe.

Trzyma jego ucho między kciukiem a palcem wskazującym. Zdaje się taki smutny, że dziewczyna zaczyna aż chichotać.

– Na porodówkę weźmiesz ze sobą tablicę taktyczną i razem z położną będziesz próbował ustalić jakąś strategię parcia, bo przecież na pewno jest jakiś rekord, który można pobić w tej dziedzinie. A siatka centylowa to dopiero będą zawody. Będziesz najbardziej irytującym, męczącym, najlepszym tatą na świecie.

Jego palce wędrują wzdłuż konturów jej pępka.

– Myślisz, że on... albo ona... znaczy się dziecko... myślisz, że będzie lubiło hokej?

Dziewczyna go całuje.

– Bardzo, bardzo trudno cię kochać, nie kochając hokeja. I bardzo, bardzo, bardzo trudno cię nie kochać.

David leży na plecach, z jej nogami ciasno oplatającymi jego.

– Ta akcja z Kevinem. Ze... wszystkim. Nie wiem, co mam robić.

Odpowiada mu bez wahania:

– Rób swoje, kochanie. Nie możesz się w to mieszać, nie jesteś ani policjantem, ani prokuratorem. Jesteś trenerem hokeja. Rób swoje. Nie to zawsze powtarzałeś

chłopcom?

– Nie za bardzo wiem, co chciałyby pani, żebym zrobił... – odpowiada dyrektor przez telefon, nie pamięta już nawet, ile takich rozmów odbył tego ranka.

– CHCĘ, ŻEBY PAN WYKONYWAŁ SWOJĄ PRACĘ! – krzyczy Maggan Lyt z drugiej strony słuchawki.

– Musi pani zrozumieć, że nie mogę wyprzedzać dochodzenia policji...

Ślina uderza w mikrofon, gdy Maggan odpowiada:

– Wie pan, co to jest? To SPISEK przeciwko całej drużynie. Tu chodzi tylko o zwykłą ZAWIŚĆ.

– Więc... co według pani powinienem zrobić?

– TO, CO DO PANA NALEŻY!!!

W warsztacie Bobo ustawia opony jedną na drugiej. Jest zestresowany i zły. Odkłada narzędzia na półki na ścianie i ściąga z siebie brudny kombinezon.

– Muszę już iść do szkoły, tato.

Knur drapie się po brodzie, patrzy na syna, chciałby może coś powiedzieć, ale nie wie co. Zamiast tego kiwa tylko głową.

– Wieczorem musisz mi pomóc to skończyć.

– Mamy trening.

– Dziś wieczorem? Przecież sezon się już skończył!

– Ten jest nieobowiązkowy. Ale wszyscy będą. To dla drużyny. Lyt mówi, że musimy być zjednoczeni, dla Kevina.

– Lyt tak mówi? William Lyt? – wykrzykuje zdziwiony Knur. Nigdy w życiu nie słyszał, żeby ktoś w tej rodzinie chciał być zjednoczony, ale po spojrzeniu syna wie, że nie ma co dyskutować na ten temat, jeśli nie chce doprowadzić do sprzeczki. – Nie zapomnij tylko, że tutaj też masz rzeczy do zrobienia – mruczy pod nosem.

Po prysznicu Bobo wybiega na ulicę. Ann-Katrin i Knur patrzą na niego zza kuchennego okna. Na ulicy stoi Lyt i co najmniej dziesięciu innych juniorów. Teraz wszędzie chodzą razem.

– Musimy z nim porozmawiać, widziałam Mayę w szpitalu, WIDZIAŁAM ją, nie wyglądała, jakby kłam... – zaczyna Ann-Katrin, ale jej mąż kręci głową.

– Nie możemy się w to mieszać, Anki. To nie nasza sprawa.

Jeanette walczy z kulą w brzuchu, próbuje zdusić ból gardła i migrenę, która pojawia się, gdy jest niewyspana.

– Mówię tylko, że powinniśmy o tym porozmawiać z uczniami. A nie tylko udawać, że nic się nie stało.

Dyrektor wzdycha i wymachuje telefonem.

– Droga Jeanette, chyba nie rozumiesz, pod jaką presją się znajduję. Telefony urywają się od rana. Rodzice szaleją. Dzwonili nawet dziennikarze. Nie jesteśmy przygotowani na takie sytuacje.

Jeanette strzela kostkami, zdarza jej się to, gdy jest zdenerwowana – to stary hokejowy nawyk.

– Więc mamy po prostu siedzieć cicho?

– Tak... nie... nie będziemy... Jezu, nie będziemy... spekulować i szerzyć plotek. Co się dzieje z tymi ludźmi? Dlaczego po prostu nie mogą poczekać na wyniki dochodzenia? Chyba po to mamy sądy? Nie możemy stawiać się ponad prawem, to nie nasza działka. Jeśli... się okaże... że to, co ta uczennica mówi o Kevinie... jeśli to prawda... to się okaże. A jeśli się okaże, że nie... to musimy mieć pewność, że nie zrobiliśmy czegoś głupiego.

Jeanette chce się krzyknąć, ale tego nie robi.

– A Maya? Co, jeśli przyjdzie dziś do szkoły?

Wyraz twarzy dyrektora zmienia się błyskawicznie z pewnego poprzez niepewny aż po panicznie wystraszony.

– Na pewno nie przyjdzie. Nie przyjdzie, nie? Myśli pani, że przyjdzie?

– Nie wiem.

– Nie przyjdzie. Nie no, nie przyjdzie. A ona... Nie ma pani z nią dziś zajęć, nie?

– Nie, ale mam zajęcia z połową zawodników drużyny. Więc co dokładnie miałabym według pana zrobić?

Zrezygnowany dyrektor rozkłada ręce.

– A co pani myśli?

Siedzą w szkolnej kafejce, krzesła ciasno obok siebie, głowa przy głowie. Wzrok Williama Lyta się zapala.

– Gdzie jest, kurwa, Benji? Ktoś go widział?

Kręcą głowami. Lyt przyciska palec wskazujący do stołu.

– Moja mama załatwiła nam podwózkę do Hed. Jedziemy przed lunchem, dobra? Nie mówcie nikomu spoza drużyny. Jak nauczyciele będą źli, to niech gadają z naszymi rodzicami. Okej?

Przytakują. Lyt uderza pięścią w stół.

– Pokażemy chujom, którzy za tym stoją, że trzymamy się razem. Bo wiecie, co to jest? To spisek przeciwko całej drużynie! Z zawiści! Spisek i jebana zawiść!

Chłopcy kiwają przytakująco głowami, przeklinają przygnębieni, pod oczami mają czarne worki. Wielu z nich płakało. Lyt poklepuje każdego z nich po ramieniu.

– Teraz musimy trzymać się razem. Cała drużyna!

Wypowiadając ostatnie zdanie, patrzy prosto na Bobo.

Amat stoi przy swojej szafce, wygląda, jakby zaraz miał do niej zwymiotować. Bobo wychodzi z kafejki i staje niezdarnie obok niego.

– Musimy... trzymać się wszyscy razem. Policja wypuszcza dziś Kevina, więc idziemy na pierwsze lekcje, ale potem jedziemy całą drużyną do Hed. To ważne, żebyśmy tam pojechali razem. Żeby im... pokazać.

Obaj unikają patrzenia w stronę rzędu szkolnych szafek, wśród których jest też szafka Mai. Wszyscy uczniowie przechodzący obok gapią się w nią, nie patrząc w tamtą stronę, nastolatki szybko się tego uczą. Drzwiczki szafki pokryte są szarym tuszem. Pięć liter. Tym jest teraz dla nich.

Rodzice wyprowadzają Kevina z posterunku policji w Hed, delikatnie go podtrzymując, jakby nie mógł iść sam. Po jednej stronie tata, po drugiej mama, a wokół nich niczym mur obronny z krwi i kości przemieszczają się mężczyźni w średnim wieku, ubrani w dzinsy i marynarki, z krawatami zaciśniętymi równie mocno co pięści. Większość z nich to sponsorzy klubu, dwóch jest członkami zarządu, jeden to gminny polityk, pozostali to czołowi przedsiębiorcy i dyrektorzy

z okolicy. Ale gdyby ktoś pytał, odpowiedzą tylko: „Przyjaciele rodziny Erdahlów. Jedynie przyjaciele rodziny”. Kilka kroków za nimi idą juniorzy. Pojedynczo wyglądają może jak młodzi chłopcy, ale w grupie to mężczyźni. Milczący i groźni. Są tam, by coś pokazać. Komuś pokazać.

Mama okrywa ramiona Kevina miękkim kocem, gdy pomagają mu wsiąść do samochodu. Mężczyźni wokół niego nie walą go jak zwykle mocno po plecach, tylko poklepują czule po policzku. Może w ten sposób jest im łatwiej. Jakby to chłopiec był ofiarą.

Benji siedzi na niskim murku dwadzieścia metrów dalej. Z czapką głęboko naciągniętą na czoło i kapturem na głowie, tak że cień zasłania mu twarz. Nikt z dorosłych nie zwraca na niego uwagi, ale Kevin go widzi. Przez sekundę, właśnie gdy mama owinęła go kocem, a drzwi samochodu jeszcze się nie zatrzasnęły, napotyka wzrok swego najbliższego przyjaciela. Po chwili spuszcza oczy.

Gdy karawana samochodów opuszcza Hed, długim rzędem za autem taty Kevina, Benjiego już nie ma. Na ulicy przed posterunkiem policji został tylko Amat. Wkłada słuchawki do uszu, podkręca głośność i mocno zaciska ręce w kieszeniach. Idzie całą drogę do Björnstad.

Ana wchodzi na szkolną stołówkę, jest tam tak głośno od krzyków i hałasu. Na opuszczonej wyspie w kącie siedzi samotnie Maya, tak odizolowana od reszty, że nikt nie usiadł nawet przy sąsiednich stolikach. Wszyscy się gapią, nie patrząc. Ana idzie w jej kierunku, ale Maya podnosi wzrok, jak stworzenie złapane w pułapkę, które ostrzega kolejne, by się nie zbliżało. Powoli kręci głową. Stopy Any są ciężkie jak kula ziemską, gdy odchodząc, schyla głowę i siada przy innym stoliku w drugim kącie stołówki. Wstyd nie opuści jej do końca życia.

Grupa starszych dziewczyn, które Ana pamięta z kuchni na imprezie u Kevina, kieruje się w stronę Mai. Wpierw jakby w ogóle jej nie zauważając, po chwili, jakby była jedyną osobą na świecie. Jedna z nich podchodzi do niej ze szklanką w ręce. Maya widzi, jak pozostałe ustawiają się niczym mur odgradzający je od reszty sali, więc nawet jeśli wszyscy widzą, co się dzieje, zapytani przez nauczycieli stwierdzą później, że „mało dało się zobaczyć”. Że „nie widzieli zdarzenia”.

– Tak jakby ktoś chciał zgwałcić właśnie CIEBIE, ty mała obrzydliwa kurwo...

Mleko sływa po włosach Mai, skapuje jej po twarzy i na koszulkę. Szklanka nie tłucze się, gdy dziewczyna uderza nią o jej skroń, łuk brwiowy zostaje cały. Przez sekundę Maya widzi przerażenie w oczach dziewczyny, która pewnie zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko i że Maya może zacząć krwawić i upaść na podłogę. Ale Maya ma twardą skórę. Oczy napastnika wypełniają się więc na nowo pogardą. Tak jakby ta, którą uderzyła, nie była już człowiekiem.

Wszyscy patrzą, ale nikt nie widzi. W stołówce jest jednocześnie głośno i cicho jak makiem zasiał. Maya słyszy chichot wibrujący jak głuchy pisk w uszach. Siedzi bez ruchu z pulsującymi od bólu skronią i czołem, wyciera je delikatnie serwetkami, które miała na tacy, ale jest ich za mało. Nie ma odwagi rozejrzeć się za innymi, ale nagle ktoś kładzie przed nią ich gruby stos. Jakaś inna ręka, prawie tak duża jak jej własna, zaczyna wycierać stół. Patrzy na niego i kręci prosząco głową.

– Będziesz miał przechlapane, jak tu ze mną zostaniesz... – szepcze.

– Wiem – odpowiada Leo.

Jej młodszy brat siada obok i zaczyna jeść. Morze spojrzeń zdaje się go nie ruszać.

– Dlaczego to robisz? – pyta siostra.

Leo patrzy na nią oczami ich matki.

– Bo ja i ty nie jesteśmy tacy jak oni. Nie jesteśmy niedźwiedziami z Björnstad.

Prawie wszystkie dyskusje o tym, jak ludzie zachowują się względem siebie, wcześniej czy później kończą się argumentem o „ludzkiej naturze”. Nauczycielom biologii nigdy nie było łatwo to wyjaśnić: Z jednej strony, nasz gatunek przetrwał, bo trzymaliśmy się razem i współpracowaliśmy, z drugiej – ewoluowaliśmy dzięki temu, że najsilniejsze jednostki rozwijały się kosztem słabszych. Koniec końców kłócimy się więc o to, gdzie leży granica. Jak bardzo możemy być egoistyczni. Jak bardzo powinniśmy się czuć odpowiedzialni za siebie nawzajem.

W dyskusji ktoś zawsze odwołuje się do takich słów jak „człowieczeństwo” i „humanizm”. Ale to tylko słowa. Każdy może wtedy odpowiedzieć: „Ale weźmy na przykład tonący statek”, bo to już jakiś obraz. „Albo płonący dom”. Trudno wygrać dyskusję, gdy w grę wchodzi takie argumenty. A gdybyśmy rzeczywiście znaleźli się w takiej sytuacji? Kogo byśmy ratowali, gdybyśmy mogli wybierać tylko jedną osobę? Kogo wyciągnęlibyśmy pierwszego z lodowatej wody, jeśli łódź ratunkowa miałaby ograniczoną liczbę miejsc?

Rodzinę. Zawsze zaczyna się od rodziny. To właśnie sobie wmawia. Marznie, podkreśla wszystkie kaloryfery i ma na sobie cztery warstwy ubrań, a i tak się trzęsie. Przechodzi z pokoju do pokoju w całym domu. Posprzątała u Kevina w pokoju, pozbyła się całej pościeli, wyrzuciła wszystkie koszulki i dzinsy z kosza na pranie do kontenerów na ubrania daleko od ich miejsca zamieszkania. Odkurzyła wszystkie ewentualne guziki od bluzki i spuściła w toalecie wszystkie możliwe ślady marihuany.

Bo jest jego matką. A matki od tego zaczynają.

Gdy przyszła policja, stała wyprostowana w drzwiach. Adwokaci podkreślali, że mogą protestować, przedłużać, utrudniać, że przeszukanie i dowody techniczne nadal można podważyć jako nielogiczne, skoro zgłoszenie na policję nastąpiło tydzień po domniemanym przestępstwie. Ale mama nalegała na wpuszczenie

mundurowych do domu. Powtarzała raz za razem, że jej rodzina nie ma niczego do ukrycia, nie mogąc przestać zastanawiać się, czy próbuje do tego przekonać ich czy siebie. Nie może przestać marznąć. Ale jest jego mamą. Więc jak ma się do tego zabrać, jeśli nie tak?

Ojciec siedzi w kuchni, to teraz centrum dowodzenia, rozmowa za rozmową i w domu zaczyna roić się od mężczyzn. Wszyscy są wyrozumiali, opiekuńczy, źli. Zranieni. Zaatakowani. Gotowi na wojnę, nie dlatego, że tak zdecydowali, ale dlatego, że wydaje im się, że nie mają wyboru. Najgłośniej mówi Mario Lyt, przyjaciel ojca z dzieciństwa:

– Wicie co? Rodzina tej dziewczyny mogła przyjść do nas i porozmawiać. Mogliśmy spróbować rozwiązać to między sobą. Zamiast tego czekali cały tydzień do momentu, aż wiedzieli, że mogą nam wszystkim zaszkodzić NAJBARDZIEJ, i poszli na policję z tymi kłamstwami DOKŁADNIE przed finałem! A jeśli to prawda, dlaczego nie zgłosili tego od razu? Dlaczego czekali tydzień? Co? Mam wam powiedzieć dlaczego? Bo niektórzy w tym mieście nie potrafią sobie poradzić z własną zawiścią!

Mógł nazwać „rodzinę tej dziewczyny” po nazwisku. Andersson. Ale odniosłoby to wtedy dużo mniejszy efekt. Nie musi już nic dopowiadać, po chwili teoria sama się rozprzestrzenia.

– Tak to już jest, jak się dyrektorowi sportowemu pozwala na zbyt wiele. Daliśmy mu za dużo władzy, wydaje mu się, że klub jest jego. Więc teraz nie może sobie poradzić, że traci władzę, no nie? Że Kevin jest lepszy, niż on sam kiedykolwiek był. Że zarząd i sponsorzy ominęli go i zażądali, by David przejął pierwszy zespół po Sunem. Co nie? Więc teraz dyrektor sportowy próbuje wmieszać w to rodzinę...

Gdy David przychodzi do domu Erdahlów, przy wejściu stoi trzech mężczyzn w średnim wieku, jak na straży. David wie, że w nocy będą to juniorzy. Tak jakby dom potrzebował ochrony.

– Jak w *Ojcu chrzestnym* – mamrocze David.

Odpowiada mu Frak, olbrzym wygląda na zawstydzonego, dlatego też przesadnie się śmieje.

– Prawda, tak jakby Don Corleone potrzebował naszej pomocy. Jakby stado grubych sponsorów mogło tu coś zmienić...

Rechocze i klepie się po brzuchu, próbuje brzmieć beztrąsko, ale w końcu poddaje się i kładzie ogromną dłoń na ramieniu Davida.

– Ech, przecież wiesz, my tylko wspieramy rodzinę. Przecież sam rozumiesz. Chcemy tylko pokazać, że jesteśmy... razem. Rozumiesz, nie? Mam na myśli... Nikt przecież nie zna Kevina lepiej niż ty. Boże, przecież praktycznie go wychowałeś, myślisz, że chłopak z twojej drużyny mógłby zrobić to, o co jest oskarżany? Co? Jeden z twoich chłopców? Rozumiesz chyba, po co tu jesteśmy?

David nie odpowiada. To nie jego praca. Nie jego miejsce. Bo od kogo miałby zacząć? Jeśli rzeczywiście zachodzi taka potrzeba, kogo ratować pierwszego? Czyim słowom ufać?

Kevin siedzi na łóżku. Pod plakatami na ścianach wygląda na drobnego, bluza z kapturem zdaje się na niego za duża. Spędził na posterunku dwie noce. Nie ma znaczenia, jak wygodne jest tam łóżko albo jak przyjaźnie nastawiony jest personel: gdy człowiek słyszy zamykające się od zewnątrz drzwi, zanim kładzie się spać, to coś się z nim wtedy dzieje. Tak to sobie przynajmniej tłumaczy. Że nie ma wyboru, że to nie jego wina, że w sumie to może nawet się nie wydarzyło. Dom jego rodziców wypełniony jest mężczyznami, którzy znają go od dzieciństwa. Wiedzą, kim jest. Całe życie był kimś specjalnym, wybrańcem, wobec którego mieli dodatkowe oczekiwania. Nie wierzą więc w tę historię, jak mogliby nawet tak o nim pomyśleć? Wiedzą, kim jest. Nie zawiodą go. Jeśli stoi za tobą wystarczająco dużo ludzi, to możesz zacząć wierzyć we wszystko, co wychodzi z twoich ust.

Tak to sobie tłumaczy.

David zamyka za sobą drzwi, staje naprzeciwko łóżka i patrzy chłopcu prosto w oczy. Wszystkie te godziny, które spędzili razem na łodzi, wszystkie weekendy w autobusie wzdłuż i wszerz całego kraju, kanapki ze stacji benzynowej i partyjki pokera. Dopiero co był dzieckiem. Dopiero co.

– Popatrz mi prosto w oczy i powiedz, że tego nie zrobiłeś. Nie proszę o nic więcej – mówi David.

I Kevin patrzy mu prosto w oczy. Z płaczem potrząsa głową. Szepcze z mokrymi policzkami:

– Spałem z nią, ale to ona chciała. Prosiła mnie! Może pan zapytać, kogo chce na imprezie... Kurde, trenerze... serio? Myśli trener, że JA mógłbym kogoś zgwałcić? Po co miałbym TO robić!?

Wszystkie dni ojca i syna na hali lodowiska, podczas których David zabierał Kevina i Benjiego na jezioro. Wszystko, czego ich nauczył. Wszystko, co ich łączyło. Za rok przejmą razem pierwszy zespół. Od czego ma więc zacząć? Jeśli woda jest lodowata i wiadomo, że łódź nie dowiezie wszystkich do brzegu? Kogo poświęcić pierwszego? Kogo chronić do końca? Nie tylko Kevin ucierpi, jeśli się przyzna. Wszyscy, których kocha, też. Tak to sobie tłumaczy.

David siedzi u chłopca w pokoju i go obejmuje. Obiecuje, że wszystko będzie dobrze. Że nigdy go nie zawiedzie. Że jest z niego dumny. Łódź może się chwieje, ale nie nabiera wody. Wszystkie stopy w domu są suche. Kevin odwraca się w stronę trenera i szepcze, jakby znów był uczniem podstawówki:

– Drużyna dziś trenuje, prawda? Mogę też przyjść?

Matka siedzi na taborecie w swojej sypialni i rozmyśla nad dzieciństwem syna. Jak razem z mężem wracali z podróży zagranicznych, gdy Kevin miał dziesięć czy jedenaście lat i zastawali bałagan w całym domu. Ojciec kłął zawsze, nie zauważając, jak przemyślany był to chaos, ale mama szybko wyłapała mechanizm. Zawsze te same rzeczy, które zmieniały miejsce, te same obrazy wisiały nierówno, kosz na śmieci pełen resztek z szafek z jedzeniem, najwyraźniej opróżnionych jednocześnie.

Gdy Kevin podrósł i zaczął organizować imprezy, mama wracała do domu, który oczywiście miał wyglądać, jakby nikogo w nim nie było. Ale wcześniej, gdy był mały i dumnie opowiadał ojcu, że nie boi się zostać sam w domu, musiał ostatniego wieczoru wrócić i narobić bałaganu, żeby nikt się nie zorientował, że cały czas spał u Benjiego.

Na krześle w swojej kuchni siedzi ojciec, wokół niego rozmawiają jego przyjaciele i partnerzy biznesowi, ale nie słyszy już żadnych słów. Wie, że swoją pozycję w mieście, swój status w tej grupie mężczyzn zawdzięcza jedynie pieniądзом. Nikt z nich nie gra w golfa z biedakami, wie, bo sam był kiedyś biedny. Całe życie

dążył do perfekcji, nie z próżności, to była strategia na przetrwanie. Nigdy nie dostał nic za darmo, nie mógł sobie pozwolić na to, co bogate dzieci. Jest przekonany, że podstawą jego sukcesu jest większa niż u innych gotowość do pracy i bezwzględnej walki. Próba osiągnięcia perfekcji to nie bycie zadowolonym i leniwym. Nie można żyć w ten sposób połowicznie, trzeba mieć te same cele w życiu zawodowym i prywatnym, wszystko musi być odzwierciedleniem jego osoby. Nawet jego dziecko. Szczelina w fasadzie może przerodzić się w przepaść.

Może i chciał porozmawiać z Kevinem po tym, jak wyciągnęli go z posterunku, ale każde słowo zamieniało się we wrzask. On, który zawsze szczyił się tym, że nie traci panowania nad sobą i nigdy nie podnosi głosu, krzyczał tak, że aż trząsał się cały samochód. Może i chciał krzyczeć o tym, co się wydarzyło, ale łatwiej było krzyczeć o tym, dlaczego do tego doszło.

– JAK, DO CHOLERY, MOGŁEŚ UPIĆ SIĘ NA TYDZIEŃ PRZED FINAŁEM?

Łatwiej mówić o przyczynie niż o problemie. Dla ojca, który pracuje z liczbami, matematyka jest łatwiejszym do przyjęcia modelem wytłumaczenia: jeśli tylko nie byłoby X, to Y by się nie wydarzyło. Gdyby Kevin nie zrobił imprezy, tak jak to obiecał rodzicom, gdyby się nie upił, gdyby nie zabrał dziewczyny do pokoju, to nie mieliby teraz tego problemu.

Teraz ojciec nie ma wyboru. Nie stać go na to, by ktoś rozsiewał kłamstwa o jego synu, nie pozwoli, żeby atakowano jego rodzinę. Gdy została w to wmieszana policja, gdy przed całym miastem wyciągnęli Kevina z autobusu, gdy lokalni dziennikarze zaczęli dzwonić, przekroczono granicę, przed którą jeszcze było możliwe pokojowe rozwiązanie sprawy. Teraz już na to za późno. Ojciec ma firmę, którą sygnuje swoim nazwiskiem, jeśli zmiesza się ją z błotem, może to zagrozić przyszłości całej rodziny. Nie pozwoli im więc wygrać, nie wystarczy tylko ich skrzywdzić – nie pozwoli im nawet istnieć. Musi walczyć z nimi każdą dostępną bronią.

David i Kevin siedzą nadal na łóżku, gdy ojciec otwiera drzwi. Stoi przed nimi, zmęczony i blady, i spokojnie wyjaśnia:

– Rozumiem, że myśli pan teraz tylko o hokeju, ale jeśli w ogóle chce pan mieć jakiś pierwszy zespół do trenowania i grania w następnym sezonie, to musi mnie pan teraz dokładnie posłuchać. W klubie może zostać albo Peter Andersson, albo pan, nie ma innego wyjścia. Jego córka kłamie, może mieć do tego tysiące

powodów. Może chciała uprawiać seks, bo była zakochana, a gdy zrozumiała, że miłość nie jest odwzajemniona, wymyśliła sobie gwałt. Może dowiedział się o tym jej ojciec, wpadł w szal i wtedy ona skłamała, by chronić siebie samą, bo nadal chciała być małą niewinną córeczką rodziców. Kto wie? Piętnastoletnie dziewczyny są nieprzewidywalne...

David i Kevin patrzą w podłogę, nie odpowiadając. Obaj pamiętają, że Kevin dostał propozycje od dużych klubów, ale nie chciał się przenieść, bo nie chciał zostawić Benjiego i domu, ze strachu. To David przekonał ojca, żeby pozwolił mu zostać w Björnstad. Obiecał, że chłopak będzie się równie dobrze rozwijał na miejscu, zagra wcześniej w pierwszym zespole i w ten sposób osiągnie jeszcze większy sukces, gdy już będzie zawodowcem. Ojciec zgodził się na to, bo David miał zostać trenerem pierwszego zespołu, poza tym ta decyzja czyniła jego firmę jeszcze bardziej popularną w gminie. Kevin był chłopakiem z Björnstad, ojciec był facetem z Björnstad – dobrze to wyglądało. Ojciec zainwestował wiele pieniędzy w ten obrazek. Teraz wskazuje z powagą na Kevina i mówi:

– To już nie jest zabawa. Peter Andersson czekał tydzień, żeby zgłosić się na policję, bo CHCIAŁ, żeby wytargali cię z tego autobusu. Chciał, żeby wszyscy widzieli. Więc albo on usunie z klubu nas, albo my wszyscy usuniemy z klubu jego. Nie ma innego wyjścia. To on rozpoczął wojnę.

David nic nie mówi, myśli tylko o swojej pracy. Swojej drużynie. Wszystkich tych godzinach. I jedna myśl nie daje mu spokoju. Widział Petera na parkingu, gdy przyjechała policja. Widział go, jak stał i czekał. Tata Kevina ma rację, Peter chciał to zobaczyć.

Kevin nie podnosi głowy, łzy kapią na podłogę, gdy mówi:

– Ktoś musi pogadać z Amatem. On... Ja nic nie zrobiłem... Wiecie, że nic nie zrobiłem... Ale Amatowi może się wydawać... Wszedł do pokoju, gdy my... Ona się po prostu WYSTRASZYŁA, rozumiecie? Więc wybiegła, ale Amat może myśleć, że... no wiecie.

David nie podnosi wzroku, bo nie chce widzieć, jak ojciec Kevina na niego patrzy.

Przyznanie się do hipokryzji to najtrudniejsza rzecz na świecie.

Amat idzie pół na pół poboczem i przykrytym śniegiem rowem, zimno mu i jest przemoczony, ale mózg zdrętwiał mu już na długo przed stopami. Jest w połowie drogi między Hed i Björnstad, gdy mija go stary saab i zatrzymuje się dziesięć metrów dalej. Czeka na niego, Amat idzie powoli, w samochodzie siedzi dwóch mężczyzn dwudziestopięcio-, może trzydziestoletnich. W czarnych kurtkach, z wyczekującym spojrzeniem. Amat wie, kim są. Nie jest pewien, co jest bardziej niebezpieczne: patrzeć im w oczy czy unikać kontaktu wzrokowego?

Przed kilkoma miesiącami lokalna gazeta przeprowadzała wywiad z jednym z graczy drużyny, która miała zagrać z pierwszym zespołem z Björnstad. Zawodnik był z południa, nie znał się, więc gdy dziennikarz zapytał go, czy obawia się „Grupy”, niebezpiecznych kibiców z Björnstad, odpowiedział, że przecież nie będzie się bał „kilku leśnych gangsterów na bezludziu”.

Następnego dnia autobus wiozący jego drużynę, przejeżdżając przez las, natrafił na blokadę z ciężarówek. Spomiędzy drzew wyłoniło się nagle trzydziestu–czterdziestu mężczyzn w czarnych kurtkach, uzbrojonych w solidne gałęzie. Stali tak przez dziesięć minut, podczas gdy drużyna w autobusie przygotowywała się na wyważenie drzwi i atak. Nic takiego nie nastąpiło. Nagle mężczyźni zniknęli między drzewami, a ciężarówki się wycofały, pozwalając kierowcy autobusu jechać dalej.

Zawodnik, który udzielił wywiadu, odwrócił się do starszego kolegi i z trudem oddychając, zapytał: „Dlaczego nic nie zrobili?”. „Przyszli się przywitać. Chcieli, żebyś się zastanowił, co mogą zrobić, gdy będziemy już jechać w drugą stronę” – odpowiedział kolega z drużyny.

Björnstad przegrało ten mecz, ale zawodnik, który udzielił wywiadu, zagrał najgorzej w życiu. Po powrocie do domu okazało się, że ktoś wybił mu szyby

w samochodzie, wypełnił go gałęziami i liśćmi i podpalił.

– Jesteś Amat, prawda? – pyta mężczyzna na przednim siedzeniu.

Amat kiwa głową. Kierowca wskazuje na tył samochodu.

– Podwieźć cię?

Amat nie jest pewien, czy bardziej niebezpiecznie jest odmówić, czy przyjąć zaproszenie. W końcu jednak kręci głową. Mężczyźni nie wyglądają na urażonych, kierowca nawet się uśmiecha.

– Miło tak pospacerować. Czaimy.

Wrzuca bieg, powoli puszcza sprzęgło, ale zanim ruszą dalej, kierowca wychyla się przez okno i dodaje:

– Widzieliśmy cię, jak grałeś w półfinale. Masz do tego serce. Gdy ty i reszta juniorów będziecie już w pierwszym zespole, uda nam się tu razem zbudować coś na nowo. Prawdziwą drużynę z Björnstad z prawdziwymi chłopakami z Björnstad. Rozumiesz? Ty, Benji, Filip, Lyt. Kevin.

Amat wie doskonale, że wyraz jego twarzy jest dokładnie wystudiowany, gdy mężczyzna wypowiada imię Kevina. Że to właśnie po to się zatrzymali. Jego broda porusza się szybko w górę i w dół, ich oczy spotykają się na chwilę. Wiedzą, że zrozumieli.

Życzą mu udanego spaceru i odjeżdżają.

Peter siedzi w gabinecie przy czarnym ekranie komputera, rozmyślając o cechach „dobrego chłopaka”. Tysiące razy używał tego sformułowania w różnych sytuacjach i tysiące mężczyzn odpowiadało mu pełnym zrozumieniem skinieniem głowy, chociaż tak naprawdę nikt do końca nie wie, co ono oznacza. Właściwie to w sporcie całkowicie niezrozumiałe pojęcie, ponieważ zakłada, że to, jakim człowiekiem jest się poza lodowiskiem, ma wpływ na to, kim się jest na lodzie. A to z kolei rzecz, do której ciężko się przyznać. Bo gdy kocha się sport lub cokolwiek innego, to najchętniej chciałoby się widzieć to w bańce. W miejscu, które zawsze pozostanie takie samo, bez względu na to, jak bardzo zmieni się otaczający je świat.

To dlatego Peter zawsze się upiera, że „nie można łączyć sportu i polityki”. Kilka lat temu podczas kłótni Mira prychnęła, odpowiadając: „Nie? A niby dzięki czemu

buduje się hale lodowiskowe, jeśli nie polityce? Myślisz, że tylko ci, co lubią hokej, płacą podatki?”.

Niedługo później na meczu wyjazdowym pierwszego zespołu doszło do incydentu, podczas którego jeden z zawodników Björnstad stracił humor i uderzył przeciwnika kijem w głowę. Przeciwnik okazał się dwudziestoletnim talentem, uraz karku i wstrząs mózgu złamały mu karierę. Zawodnik Björnstad dostał jednomeczową karę zawieszenia, ale go nie zdyskwalifikowano.

Po meczu w drodze do szatni zatrzymało go dwóch mężczyzn: asystent trenera drużyny przeciwników i jeden ze sponsorów. Wybuchła kłótnia, a po niej bójka, w której zawodnik uderzył trenera rękawicą, a sponsor zerwał graczowi kask i próbował go uderzyć z czuba, ale ten chwycił kij i wymierzył mu cios w kolano, powalając go na ziemię. Nikt nie odniósł poważnych obrażeń, ale zawodnik został zgłoszony na policję i ukarany grzywną.

Peter pamięta tę sprawę, bo Mira przez cały sezon zmuszała go, by o niej rozmawiać. „Więc jeśli ktoś bije się trzy metry od lodowiska, to można go zgłosić na policję? Ale jeśli ten sam człowiek półtorej minuty wcześniej uderza kijem po głowie dwudziestolatka, to wystarczy, że pójdzie i odsiedzi sobie karę, wstydząc się przez chwilę?” – awanturowała się wtedy.

Peter nie miał szans w tej kłótni, bo nie mógł powiedzieć tego, co naprawdę czuł: że w sumie nie uważał, że to, co wydarzyło się w drodze do szatni, powinno zgłaszać się na policję. Nie dlatego, że lubił przemoc albo że w jakiś sposób próbował bronić zawodnika, ale z tego względu, że był przekonany, że hokej powinien rozwiązywać hokejowe problemy. Wewnątrz bańki.

Zawsze uważał, że nie da się tego wytłumaczyć komuś, kto nie kocha hokeja. Teraz nie jest pewien, czy mógłby przekonać siebie samego. Nie wie, co o nim mówią.

Cholernie trudno przyznać się do hipokryzji.

Dyrektor klubu wyciera ręce o spodnie. Czuje, jak pot spływa mu po plecach. Cały dzień rozmawiał przez telefon. Próbował przeciągnąć to jak najdłużej w czasie, ale teraz nie ma już wyboru. Gróźb dotyczących wycofania pieniędzy przez sponsorów i wypowiedzenia członkostwa jest zbyt wiele, a wszyscy pytają o to samo: „Po czyjej ty właściwie jesteś stronie?”.

Tak jakby to było oczywiste, że klub hokejowy ma wybrać stronę. Dyrektor jest dumny z tego, że przewodzi organizacji, która nie ma związków z żadną ideologią, religią ani innymi przekonaniem. Nie wierzy w Boga, ale wierzy w sport, wierzy w połączoną siłę w klubie hokejowym, dlatego właśnie, że to tylko klub hokejowy. Trybuny są tu wyjątkowe, jednoczą się na nich bogaci i biedni, wysoko i nisko postawieni, z prawej i lewej strony, tydzień za tygodniem. Ile takich miejsc istnieje jeszcze w społeczeństwie? Ilu rozrabiającym chłopakom hokej pomógł trzymać się z daleka od uzależnień i więzienia? Ile pieniędzy sport oszczędza w społeczeństwie? Jak to możliwe, że całe zło to „problem hokeja”, ale wszystko, co dobre, jest zasługą kogoś innego? Doprowadza go do szału, że ludzie nie rozumieją, ile pracy trzeba włożyć w taki klub. Tyle dyplomacji nie jest potrzebne nawet w siedzibie Unii Europejskiej.

Telefon znów dzwoni. Znów. I znów. W końcu dyrektor podnosi się i wychodzi na korytarz, próbuje oddychać normalnie, mimo ścisku w klatce piersiowej. Po czym staje w drzwiach gabinetu Petera i mówi cicho:

– Może powinieneś jechać do domu? Dopóki to... nie przycichnie...

Peter siedzi na krześle, nie patrząc na niego. Wszystkie jego rzeczy są już spakowane w kartony. Nie włączył nawet komputera. Tylko czekał.

– Tak myślisz czy po prostu boisz się, co powiedzą inni?

Dyrektor marszczy czoło.

– Do cholery, Peter, chyba doskonale sobie zdajesz sprawę, że ta... sytuacja... jest straszna! Po prostu straszna! To co... jeśli... to, co przeżywa twoja córka, jest...

Peter się podnosi.

– Maya. Możesz nazywać ją po imieniu. Jesteś co roku na jej urodzinach. Nauczyłeś ją jeździć na rowerze, pamiętasz? Dokładnie tutaj, przed halą.

– Próbuję po prostu... Peter, proszę cię... Zarząd próbuje po prostu ogarnąć to jakoś... odpowiedzialnie...

Brwi Petera poruszają się nieznacznie, to jedyny fizyczny znak niewyobrazalnej burzy, która w nim szaleje.

– Odpowiedzialnie? Niech zgadnę: zarząd chciałby, żebyśmy załatwili to „między sobą”? Nie mieszała w to policji i mediów, tylko „spojrzeli sobie w oczy i o tym pogadali”? Tak to dziś mniej więcej brzmiało w twoim telefonie? To był GWAŁT! Jak chcielibyście to załatwić MIĘDZY SOBĄ!?

Gdy Peter podnosi kartony i wychodzi na korytarz, dyrektor usuwa mu się z drogi, chrząka i w końcu zrozpaczony mówi:

– To słowo przeciwko słowu, Peter. Ja... musimy przede wszystkim myśleć o klubie. Kto jak kto, ale ty powinieneś to zrozumieć. Klub nie może tutaj opowiadać się po czyjejsz stronie...

Peter odpowiada, nie odwracając się:

– Klub się już opowiedział. Właśnie teraz.

Włożył kartony do bagażnika, ale zostawił samochód na parkingu. Idzie wolno przez swoje miasto, nie wiedząc dokąd.

Dyrektor szkoły ledwie zdąży odłożyć telefon, gdy ten zaczyna dzwonić na nowo. Głos za głosem, rodzic za rodzicem. Jakich oczekują odpowiedzi? Czego się spodziewają? To sprawa policji, niech zadecyduje sąd, tak jakby nie było wystarczająco trudno zarządzać samą szkołą! Matka dziewczyny jest adwokatem, ojciec chłopaka jest jednym z najbardziej znaczących mężczyzn w okolicy, słowo stoi przeciwko słowu. Kto ma to niby rozsądzić? To chyba nie jest zadanie szkoły? Dyrektor powtarza więc to samo, każdemu z osobna raz po raz:

– Tylko proszę nie robić z tego polityki. Cokolwiek postanowicie, nie róbcie z tego polityki.

Zaletą posiadania brata pracującego w firmie ochroniarskiej jest to, że dzięki wszystkim nocnym zgłoszeniom i fałszywym alarmom dysponuje szczególną wiedzą na temat architektury budynków szkolnych. Wie na przykład, gdzie na najwyższym piętrze znajduje się komórka z wąskimi schodami, której używają kominiarze do wejścia na dach. Na górze, za wentylacją, dokładnie nad szkolną stołówką, można sobie zapalić papierosa, nie będąc widzianym ani przez dyrektora, ani przez uczniów. W niektóre dni przydaje się to bardziej niż w inne.

Dlatego też właśnie Jeanette zauważa Benjiego na szkolnym podwórku zaraz po lunchu. Wszyscy pozostali uczniowie wagarują, by być bliżej Kevina, więc jeśli Benji jest tu dobrowolnie, może to oznaczać tylko jedno. Że robi dokładnie na odwrót.

Ana siedzi samotnie w klasie pełnej uczniów rozmawiających tylko o Mai i Kevinie. Maya siedzi samotnie w innej klasie, w której panuje cisza. Widzi, jak uczniowie podają sobie karteczki między ławkami i przeglądają telefony na kolanach.

Już zawsze będzie dla nich właśnie tym: w najlepszym wypadku dziewczyną, która została zgwałcona, w najgorszym – dziewczyną, która kłamała. Nigdy nie pozwolą jej być nikim innym. W każdym pomieszczeniu, na każdej ulicy, w sklepie i na hali lodowiska będą w niej widzieć ładunek wybuchowy. Będą się bać ją dotknąć, nawet ci, którzy jej wierzą, nie zaryzykują zranienia odłamkami, gdy wybuchnie. Wycofają się, zamilkną, odwrócą w drugą stronę. Będą sobie życzyć, by po prostu zniknęła, żeby nigdy jej nie było. Nie dlatego, że jej nienawidzą, bo nie wszyscy czują wobec niej nienawiść, nie wszyscy piszą „kurwa” na jej szafce, nie wszyscy gwałcą, nie wszyscy są źli. Ale wszyscy milczą. Bo tak jest łatwiej.

W środku lekcji podnosi się i wychodzi z klasy, nauczyciel nawet nie protestuje. Przechodzi przez pusty korytarz, wchodzi do toalety, staje przed lustrem i uderza w nie z całej siły pięścią. Szkło pęka, po kilku sekundach impuls bólu dociera do mózgu, Maya dostrzega jeszcze krew, zanim ręka zaczyna ją boleć.

Benji widzi ją, wchodzącą do toalety. Do ostatniej sekundy próbuje przekonać samego siebie i pójść w drugą stronę. Stulić dziób. Nie wtrącać się. Ale słyszy uderzenie i brzęk szkła opadającego na umywalkę, a sam rozbił już w życiu wystarczająco dużo lusterek, żeby rozpoznać ich dźwięk.

Puka do drzwi. Gdy Maya nie otwiera, mówi:

– Mogę je wyważyć albo możesz je otworzyć. Twój wybór.

Maya stoi przed nim z papierem toaletowym niezdarnie owiniętym wokół dłoni. Opatrunek powoli zabarwia się na czerwono. Benji zamyka za sobą drzwi, wskazuje głową na lustro.

– Siedem lat nieszczęścia.

Maya może i powinna się bać, ale już dłużej nie może. Nawet już nie nienawidzi. Nie czuje nic.

– W moim przypadku to już chyba nie ma znaczenia.

Benji wkłada ręce do kieszeni. Stoją w milczeniu. Ofiara i najlepszy przyjaciel. Kurwa i brat. Maya odchrząkuje, by powstrzymać szloch.

– Wali mnie, co chcesz. Rozumiem, że mnie nienawidzisz. Myślisz, że kłamię i że wsadziłam do pudła twojego najlepszego kumpla. Ale się mylisz. Cholernie się mylisz.

Benji wyciąga ręce z kieszeni, podnosi delikatnie kilka kawałków szkła z umywalki i upuszcza je jeden po drugim do kosza na śmieci.

– To ty się mylisz.

– Idź do diabła – syczy Maya, kierując się w stronę drzwi, Benji przesuwa się zwinnie, tak by nie musiała go dotknąć. Dopiero długo, długo później Maya zrozumie, jaki serdeczny to był gest.

Benji mówi tak cicho, że na początku wydaje jej się, że źle usłyszała:

– To ty się mylisz, myśląc, że on nadal jest moim najlepszym kumplem.

Jeanette ma pół godziny przerwy między dwiema lekcjami, korzysta więc z okazji, by pójść do toalety i zmyć zapach papierosów z rąk, gdy korytarz nadal jest jeszcze pusty. Zatrzymuje się w pół kroku, gdy wychodzi z niej Maya, zapłakana i z zakrwawioną ręką, tak jakby właśnie coś rozbiła. Dziewczynka nie widzi nauczycielki, biegnie w innym kierunku, do wyjścia.

W następnej chwili łazienka eksploduje z hukiem: umywalka zostaje wyrwana ze ściany i rzucona o ziemię, toaleta skopana na kawałki, a kosz na śmieci wyrzucony prosto przez okno. W krótkim czasie korytarz zapełnia się zarówno dorosłymi, jak i uczniami, ale w środku wszystko jest już wtedy starannie zdemolowane. Potrzeba dyrektora, stróża i nauczyciela gimnastyki, by powstrzymać Benjiego i wyprowadzić go z łazienki.

Po fakcie szkoła wyjaśni to jako „wybuch emocjonalny ucznia z udokumentowaną historią problemów z agresją”. Powiedzą, że to „zrozumiałe, biorąc pod uwagę jego relację z chłopcem, który został oskarżony o... no... wiecie co”.

Jeanette stoi i gapi się na całe to spustoszenie, napotyka wzrok Benjiego, widzi, jak go wyprowadzają. Chłopak zdemolował całą łazienkę i bez mrugnięcia okiem wziął na siebie zarówno zawieszenie, jak i koszty naprawy, tylko po to, by nikt nie dowiedział się, że to Maya rozbiła lustro. Zdecydował, że wystarczająco dużo już wycierpiała. Jediną dorosłą osobą, która o tym wie, jest Jeanette, a ona nigdy nikomu o tym nie powie. Ona też wie niejedno o tym, co to znaczy się ukrywać.

Wychodzi z powrotem na dach. Wypala całą paczkę.

Mira jest w biurze, zakopana w wydrukach wcześniejszych orzeczeń sądowych i praktyk w przestępstwach o podłożu seksualnym, w ciągłej wymianie zdań z kolegami, totalnej mobilizacji przed wojną. Klębiły się w niej wszystkie uczucia naraz: gniew, żal, bezsilność, chęć zemsty, nienawiść, niebezpieczeństwo i strach. Wszystkie znikają w sekundę, gdy telefon zaczyna wibrować i na ekranie pojawia się imię córki. Cztery małe słowa: „Możesz przyjść do domu?”. Nigdy żadna matka nie jechała przez ten las szybciej niż Mira.

Maya siedzi na podłodze łazienki w domu, zmywa krew z dłoni i w końcu całkowicie się rozsypuje. Wszystko, co powstrzymywała, zagryzała w sobie, czego starała się nie pokazywać, by chronić tych, których kocha, by nie musieli cierpieć tak jak ona. Nie ma już siły dźwigać również ich cierpienia. Nie wytrzyma dodatkowo winy za smutek innych.

– Nie chcę, żeby te skurwysyny widziały, że krwawię... – szepcze do matki.

– Czasem obawiam się, że może powinni. Żeby zrozumieli, że ty też jesteś człowiekiem.

Mama płacze, obejmując córkę mocno, mocno ramionami.

Czym jest społeczność?

Amat widzi go z daleka. W Niecce nie ma takich drogich samochodów. Nikt, kto ma tak drogi samochód, nie przyjeżdża do Niecki dobrowolnie. Mężczyzna wysiada, pewny siebie i wyprostowany.

– Cześć Amat. Wiesz, kim jestem?

Amat kiwa głową.

– Tatą Kevina.

Ojciec Kevina się uśmiecha. Przygląda się Amatowi. Widzi, jak chłopiec ukradkiem patrzy na jego zegarek, rozumie, że przelicza go na miesięczne pensje matki. Ogląda jego auto, zastanawiając się, jaką ma opcję wyposażenia. Mężczyzna pamięta siebie samego w tym wieku, gdy nie miał nic i nienawidził wszystkich, którzy coś posiadali. Pamięta, jak wyobrażał sobie, że jest właścicielem luksusowej willi, i spędzał całe godziny, urządzać ją w głowie ekskluzywnymi meblami z katalogu ukradzionego w butik, z którego go wyrzucono.

– Możemy chwilę porozmawiać? Tylko ty i ja... jak mężczyźni?

Frak siedzi w biurze na końcu sklepu spożywczego. Krzesło skrzypi pod jego ogromnym cielskiem, głowa opiera się o dłonie. Głos w słuchawce jest ponury, ale nie współczujący:

– To nic osobistego, Frak. Ale chyba sam rozumiesz, że nie może być mowy o liceum hokejowym w Björnstad po... tym wszystkim. Nie możemy pozwolić, by w mediach wyglądało na to, że... no wiesz.

Mężczyzna w słuchawce to gminny polityk. Frak jest przedsiębiorcą, ale to również dwaj chłopcy, którzy grali kiedyś razem w hokeja na jeziorze. Ich rozmowy są czasem oficjalne, czasem nieoficjalne, dzisiaj jedna forma płynnie przechodzi w drugą.

– Frak, odpowiadam przed gminą. I partią. Rozumiesz chyba, nie?

Frak rozumie. Zawsze był człowiekiem, który wierzył w trudne pytania i łatwe odpowiedzi. Czym jest przedsiębiorstwo? Pomysłem. A miasto? Wspólnotą. Pieniądze? Możliwościami. Za jego plecami, po drugiej stronie ściany, słychać uderzenia młotkiem. Frak rozbudowuje sklep, bo wzrost to przetrwanie. Przedsiębiorca w zastoju nie jest tak naprawdę w bezruchu, ale się cofa.

– Frak, muszę już kończyć, mam spotkanie – tłumaczy głos w słuchawce.

Frak odkłada telefon. Jeden z pomysłów właśnie nie wypalił. Nie ma już liceum hokejowego. Co to oznacza? Gdy Frak był mały, w Björnstad funkcjonowały trzy szkoły, teraz jest jedna. Ile czasu zajmie gminie zamknięcie ostatniej szkoły, gdy liceum hokejowe otworzy się w Hed? Gdy najlepsi juniorzy stąd całymi dniami zaczną trenować w hali w Hed, to oczywiste będzie, że wieczorami zagrają w pierwszym zespole Hed. Gdy drużyna z Björnstad nie będzie mogła ściągnąć najlepszych juniorów z okolicy, klub przepadnie. Nikt nie wyremontuje hali lodowiska, nie będzie nowych miejsc pracy, wynikających z naturalnego rozwoju, czyli centrum konferencyjnego i centrum handlowego, nowego obszaru przemysłowego, lepszego połączenia z autostradą, a może nawet lotniska.

Czym jest klub hokejowy? Może i Frak jest naiwnym romantykiem, jak zwykła o nim mówić żona, ale dla niego klub hokejowy raz w tygodniu przypomina wszystkim o tym, co ich łączy, a nie, co ich dzieli. Jest dowodem na to, że potrafią współpracować i stać się więksi. Uczy ich marzyć.

Frak wierzy w trudne pytania i proste odpowiedzi. Co dzieje się z miastem, które nie rośnie? Umiera.

Peter wchodzi do sklepu. Wszyscy go widzą, a jednocześnie nie widzi go nikt. Personel i klienci, młodzi i starzy, przyjaciele z dzieciństwa i sąsiedzi, wszyscy rozsuwają się, gdy przechodzi obok. Znikają za półkami i w alejkach, udają, że są zajęci listami zakupowymi i porównywaniem cen. Tylko jeden człowiek patrzy prosto na niego.

Frak stoi w drzwiach do swojego gabinetu. Napotyka wzrok Petera. Kim jest dyrektor sportowy? Kapitan drużyny? Przyjaciel z dzieciństwa? Frak rusza powoli do przodu, otwiera usta, jakby chciał go zawołać, ale Peter kręci powoli głową. Nigdy nie dowie się, że jego córka potrząsnęła głową na Anę w stołówce, bo nie

chciała, by nienawiść skierowana na nią uderzyła w przyjaciółkę, ale teraz robi to samo.

Gdy Frak wraca do gabinetu i zamyka za sobą drzwi, wstydzi się tak samo jak wszyscy przyjaciele. Wstyd wychodzi ludziom dobrze w tym mieście. Bo wcześniej zaczynają trenować.

Ojciec Kevina nie czeka na odpowiedź, pociera ręce i się śmieje.

– Ale zimno, mimo że to już marzec, nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Siądziemy w samochodzie?

Amat siada w milczeniu na fotelu, zamyka drzwi tak, jakby się bał, że zaraz się zepsują. W aucie pachnie skórą i perfumami. Ojciec Kevina przygląda się czynszówkom.

– Dorastałem w prawie identycznym domu. Mój miał chyba o jedno piętro mniej. Ojciec z wami nie mieszka, prawda?

Zadaje pytanie bezpośrednio i w nieskomplikowany sposób. Dokładnie tak, jak załatwia interesy.

– Zginął na wojnie, gdy byłem niemowlęciem – odpowiada Amat i mruga szybciej, mężczyzna to zauważa, nie będąc nawet zwróconym w jego stronę.

– Moja matka też wychowywała nas samotnie. Mnie i moich trzech braci. Najcięższy kawałek chleba na ziemi, prawda? Twoja mama ma trochę problemów z kręgosłupem, tak?

Amat próbuje to ukryć, ale mężczyzna widzi, jak drga mu brew.

– Znam dobrego fizjoterapeutę. Dopilnuję, by do niego trafiła – kontynuuje z troską w głosie.

– Dziękuję bardzo – mamrocze Amat, nie patrząc na niego.

Mężczyzna rozkłada na krótko ręce.

– Jestem w sumie zdziwiony, że nikt INNY nie pomógł jeszcze twojej mamie. Ktoś z klubu powinien był już dawno temu zapytać ją, jak się czuje. Przecież pracuje tam już jakiś czas, prawda?

– Odkąd się tu przeprowadziliśmy – przyznaje Amat.

– Chodzi przecież o to, żebyśmy sobie w tym mieście pomagali, prawda? W naszym mieście i w naszym klubie musimy o sobie nawzajem dbać – mówi

ojciec Kevina, wręczając Amatowi wizytówkę.

– To numer do fizjoterapeuty? – pyta chłopak.

– Nie, do szefa działu personalnego w pewnej firmie w Hed. Powiedz mamie, żeby do niego zadzwoniła i poszła na rozmowę o pracę. Biurową, nie sprzątanie. Prostsza administracja, archiwizowanie, takie tam rzeczy. Zna porządnie język, prawda?

Amat przytakuje trochę zbyt szybko, zbyt gorliwie, niżby chciał.

– Tak! Tak... tak... oczywiście!

– No więc. Po prostu tam zadzwońcie – odpowiada ojciec Kevina.

Po czym długo milczy. Jakby tylko to miał do załatwienia.

Czym jest „Grupa”? Niczym, jeśli ich zapytasz. Nie istnieje. Mężczyźni siedzący przy stołach w Futrze nie mają ze sobą nic wspólnego, poza tym, że są mężczyznami. Najstarsi po czterdziestce, najmłodszy nie osiągnęli jeszcze pełnoletności. Kilku ma wytatuowanego niedźwiedzia na szyi, kilku na ramieniu, wielu wcale. Niektórzy mają dobrą pracę, niektórzy złą, wielu nie ma żadnej. Część ma rodziny, dzieci, kredyty, jeździ na wycieczki czarterowe, część mieszka samotnie i nigdy nie wyjechała poza Björnstad. Gdy policja próbuje zidentyfikować ich jako „Grupę”, pojawia się problem: mają coś wspólnego, gdy widzi się ich razem. Ale jak tylko stoją metr od siebie, są zwykłymi obywatelami.

Nie zawsze są groźni. Rzadko brutalni, jeśli akurat nie jest to dzień meczu, a w pobliżu nie ma kibiców przeciwnej drużyny. Ale od czasu do czasu przypominają wszystkim, do kogo należy klub. I co się może wydarzyć, jeśli ryzykuje się jego przetrwanie.

Ramona stoi za barem. Mężczyźni w czarnych kurtkach siedzą przy jej stołach. To najbardziej troskliwi chłopcy, jakich zna, robią dla niej zakupy, wymieniają żarówkę na górze, zanim jeszcze zdąży poprosić. Ale gdy raz zapytała ich, dlaczego tak bardzo nienawidzą Petera, ich oczy pociemniały, a jeden z nich powiedział: „Bo ten dupek nigdy nie musiał walczyć o hokeja. Wszystko dostał za darmo. Boi się więc, chodzi na smyczy u sponsorów, pozwala, żeby ich interesy stały się ważniejsze od dobra klubu. Wszyscy wiedzą, że sam wyrósł w sektorze stojącym, ale gdy teraz sponsorzy chcą nas stamtąd wykurzyć i wymienić na hot-dogową

publikę, to nie robi nic. Wszyscy wiedzą, że kocha Sunego jak ojca i nie chce, żeby David przejął pierwszy zespół, ale trzyma mordę na kłódkę. Co z niego za facet? Jak można pozwolić mu być dyrektorem sportowym w naszym klubie?”

Ramona wbiła w nich wtedy wzrok i wysyczała: „A wam? Ile ludzi w mieście odważy się wam podskoczyć? Myślicie, że to znaczy, że za każdym razem macie rację?”

Zamilkli. Ramona pewnie i mogła być dumna z tego powodu. Gdyby nie fakt, że przez niewielkie okna widzi właśnie Petera idącego w tym kierunku. Powoli, jakby nie wiedział, dokąd zmierza. Zatrzymuje się, zagląda przez okno, w ręce trzyma siatkę z zakupami, waha się.

Ramona mogłaby po niego wyjść. Zaprosić na filiżankę kawy. To byłoby takie proste. Ale rozgląda się wokół po Futrze, patrzy na mężczyzn przy stołach. Jedyne, co teraz jest w tym mieście łatwiejsze niż zaproszenie Petera na kawę, to niezaproszenie go.

Jak wielki jest świat, gdy ma się dwanaście lat? Bezkresny, a jednocześnie maciupki. To wszystkie niesamowite marzenia, ale również ciasna szatnia w hali lodowiska. Leo siedzi na ławce. Przód jego koszulki zdobi ogromny niedźwiedź. Nikt nie patrzy na niego, chociaż patrzą wszyscy. Najlepsi przyjaciele podnoszą się i zmieniają miejsce, gdy siada obok nich. Nikt nie podaje do niego przez cały trening. Chciałby, żeby ktoś go powalił. Po treningu wrzucił jego rzeczy pod prysznic. Nawet krzyknął coś strasznego o jego siostrze.

Byle tylko uniknąć tej ciszy.

Palce Amata wciąż wodzą wzdłuż brzegów wizytówki. Ojciec Kevina spogląda na zegarek, dając do zrozumienia, że się spieszy, uśmiecha się, jakby już skończyli. Chłopiec sięga do wewnętrznej klamki w drzwiach samochodu, gdy mężczyzna klepie go po ojcowsku po ramieniu.

– Amat... A tak w ogóle to wiem, że na imprezie u mojego syna wydawało ci się, że coś widziałeś. Ale chyba wiesz też, ile osób widziało cię tam pijącego alkohol, prawda? – mówi tak, jakby ta myśl właśnie przyszła mu do głowy.

Drżąca wizytówka zdradza, jak bardzo Amat się trzęsie. Ojciec Kevina kładzie dłoń na jego ręce.

– Gdy człowiek się upije, myśli często, że widział nie wiadomo co, ale to nie znaczy, że to prawda. Po pijaku robi się głupie rzeczy. Wierz mi, wiele razy tak miałem!

Mężczyzna śmieje się ciepło i pokornie. Amat nadal gapi się na wizytówkę. Nazwisko szefa działu personalnego, duża firma, inne życie.

– Zabujałeś się w Mai? – Ojciec Kevina zadaje pytanie tak nagle, że Amat przytakuje, zanim zdąży pomyśleć.

Pierwszy raz się przed kimś do tego przyznaje. Łzy zbierają mu się pod powiekami. Mężczyzna nadal trzyma dłoń na jego palcach.

– Nieźle was urządziła, ciebie i Kevina. Przechlapana sytuacja. Myślisz, że się tobą przejmuje? Myślisz, że postąpiłaby tak, gdyby się tobą przejmowała? Może trudno ci to teraz zrozumieć, ale dziewczyny potrzebują innego rodzaju uwagi niż chłopcy. I robią cholernie dziwne rzeczy, by ją zdobyć. Małe dziewczynki plotkują i obmawiają, mężczyźni tak nie robią. Mężczyźni patrzą sobie w oczy i rozwiązują problemy, nie wciągając w nie innych. Prawda?

Amat spogląda na niego z boku. Zagryza wargę i przytakuje. Ojciec Kevina pochyla się przyjacielsko i szepcze:

– Ta dziewczyna wybrała Kevina. Ale wierz mi, niedługo przyjdzie czas, że będzie żałować, że nie wybrała ciebie. Gdy już będziesz w pierwszym zespole, gdy zostaniesz zawodowcem, dziewczyny będą się koło ciebie kłębić. I wtedy zrozumiesz, że na niektórych z nich nie można polegać. Są jak wirus.

Amat siedzi cicho, czuje ciężar ręki mężczyzny na swoim ramieniu.

– Chciałbyś mi o czymś opowiedzieć, Amat?

Chłopiec potrząsa głową. Pot z palców plami wizytówkę. Mężczyzna wyciąga portfel i podaje mu pięć banknotów po tysiąc koron.

– Słyszałem, że przydałyby ci się nowe łyżwy. Na przyszłość, jeśli będziesz czegoś potrzebował, po prostu do mnie zadzwoń. My tu dbamy o siebie nawzajem, zarówno w mieście, jak i w klubie.

Amat trzyma w ręce pieniądze, zawija je wokół wizytówki, naciska kłamkę i wychodzi z samochodu. Mężczyzna otwiera za nim okno i woła:

– Wiem, że wieczorny trening jest dobrowolny, ale byłoby dobrze, gdybyś na niego poszedł. Drużyna musi trzymać się razem, prawda? Na świecie jest się nikim samemu!

Chłopiec obiecuje, że przyjdzie. Mężczyzna uśmiecha się, udaje złego, marszczy czoło, unosi ramiona i warczy:

– To my, niedźwiedzie, niedźwiedzie z Björnstad.

Drogi samochód skręca za rogiem i znika na ulicy. Po drugiej stronie parkingu stoi znacznie tańszy stary saab z otwartą maską. Właściciel, młody mężczyzna z wytatuowanym na szyi niedźwiedziem, pochyla się nad nim i majstruje przy silniku.

Zdaje się nie zwracać uwagi ani na drogi samochód, ani na chłopca pozostawionego na parkingu przed czynszówkami. Ale gdy ojciec Kevina niknie za rogiem, chłopiec upuszcza coś na śnieg. Potem stoi długo i patrzy prosto w ziemię, tak jakby zastanawiał się, czy tego nie podnieść. W końcu ociera twarz wierzchem dłoni i znika w jednej z klatek schodowych.

Młody mężczyzna odczeka chwilę, zanim odchodzi od swojego samochodu i podnosi z ziemi pięć banknotów tysiąckoronowych. Są całe pomięte od trzymania ich w zaciśniętych pięściach.

Mężczyzna chowa je w kieszeni czarnej kurtki.

Amat zamyka za sobą drzwi do mieszkania. Patrzy na wizytówkę, po czym chowa ją w pokoju i zabiera łyżwy. Są za małe i tak zniszczone, że aż się łuszczą. Doskonale wie, jaki model mógłby sobie kupić za pięć tysięcy koron. Wszystkie dzieci w Niece znają ceny rzeczy, na które ich nie stać. Pakuje torbę i wychodzi, zbiega po schodach i otwiera drzwi do klatki schodowej.

Pieniądze zniknęły. Nigdy nie będzie umiał powiedzieć, czy odczuwa z tego powodu zawód czy ulgę.

Peter stoi na bezgłośnej ulicy. Może stąd zobaczyć dach hali lodowiska. Czym jest dom? To miejsce, które należy do ciebie. Czy może więc być domem, jeśli nie jesteś tam już mile widziany? Sam nie wie. Wieczorem porozmawia z Mirą, która powie: „Mogę dostać pracę gdziekolwiek”, a on przytaknie. Mimo że sam nie znajdzie jej wszędzie. Będą rozmawiać o przeprowadzce i na poważnie postanowią spróbować żyć bez hokeja.

Spacerując dalej, nie zauważa mijanego po drodze starego saaba.

Mira wychodzi ze śmieciami. To obowiązek córki, ustalili to, gdy dostała gitarę, ale teraz jest inaczej. Nawet lato nie pomoże przewyciężyć strachu córki przed ciemnością.

Z okien sąsiadów pachnie świeżo zaparzoną kawą. Boże, jak Mira narzekała na tę kawę, gdy wrócili do Björnstad. „Kawa, kawa, kawa, czy ludzie nie robią tu nic poza pić kawę?” – prychała do Petera, który wzruszał tylko ramionami i mówił: „Tylko pokazują, że chcą się zaprzyjaźnić. Trudno zapytać: »Mogę być twoim przyjacielem?«, dużo łatwiej: »Napijesz się kawy?«. To miasto, w którym... hm... jak by to wytłumaczyć? To miasto, które wierzy w trudne pytania i łatwe odpowiedzi...”.

Mira się przyzwyczaiła. Do wszystkiego, co wyrażano poprzez kawę w tym mieście w środku lasu. Zamiast powiedzieć: „Dziękuję”, „Proszę” lub „Jestem po twojej stronie”, pytano: „Chcesz kawy?”. Albo: „Mogę ci postawić piwo?”. Albo: „Dwa shoty, ja stawiam”.

Mira wrzuca śmieci do kosza. W oknach u sąsiadów świeci się światło. Nikt nie otwiera drzwi.

David wyprowadza drużynę z szatni i z hali lodowiska, dziś wieczorem trenują w lesie. Każe im robić pompki, nikt nie walczy bardziej niż Bobo. Chłopiec, który może nawet nie będzie mógł grać w przyszłym sezonie, za stary na juniorów i za słaby na seniorów, mimo to jest tu z własnej woli, krwawi i się poci. David każe im biegać. Filip jest pierwszy za każdym razem. Przyszły sezon będzie należał do niego, w końcu wszyscy zobaczą, jaki jest dobry. Powiedzą, że „rozbłysnął w ciągu jednej nocy”. Pewnie, wymagało to jedynie całego wolnego czasu chłopaka, odkąd skończył pięć lat, wszystkiego, co miał i co miała jego mama. „W ciągu jednej nocy”. Jezu! Całe życie.

David każe im przeciągać linę, Lyt wyrywa sobie prawie ramię z barku, żeby wygrać. A Amat? Nie odzywa się ani słowem, ale wykonuje każde ćwiczenie, robi wszystko, co się do niego mówi.

Dyrektor klubu stoi na skraju lasu, wystarczająco blisko, by wszystko widzieć, i wystarczająco daleko, by nie zostać zauważonym. Poci się. Duży samochód

zatrzymuje się na parkingu przed halą lodowiska i wysiada z niego Kevin wraz z ojcem; to pierwszy raz, gdy ktokolwiek widzi ojca na treningu syna. Kevin jest już przebrany, biegnie w kierunku swojej drużyny w lesie, okrzyki radości wzbijają się między drzewami, witają go jak króla.

Dyrektor przygląda im się nadal ze skraju lasu, David stoi wśród swoich chłopców i podaje rękę ojcu Kevina. Spojrzenia dyrektora i trenera spotykają się na chwilę, po czym dyrektor odwraca się i udaje do swojego gabinetu.

Gdyby Kevin przyszedł do hali lodowiska, klub byłby zmuszony do rozmowy o zasadach i konsekwencjach. Dyrektor prawdopodobnie musiałby go poprosić, żeby wrócił do domu, „dopóki to nie przycichnie”. Ale nie można przecież powstrzymywać chłopców od treningu w lesie.

To właśnie sobie wmawia.

W innej części miasta, przed domem na Wzgórzu, mama Kevina wychodzi ze śmieciami. Płakała, zarówno z wyczerpania, jak i z innych powodów, ale świeży makijaż przykrywa teraz ślady łez.

Z wyprostowanymi plecami i pewnym wzrokiem podnosi pokrywę kosza. W oknach u sąsiadów świecą się światła.

Otwierają się drzwi. Ktoś woła ją ze środka:

– Chce pani wpaść na kawę?

Otwierają się kolejne drzwi, w następnym domu. I jeszcze jedno. I kolejne.

Trudne pytania, proste odpowiedzi. Czym jest społeczność?

To suma naszych wyborów.

Stare przysłowie, które uwielbiają trenerzy, mówi: „Co to jest, gdy człowiek wychodzi do lasu, a inni idą za nim? Przywództwo. A co to jest, gdy ten sam człowiek wychodzi do lasu sam? Spacer”.

Peter wchodzi do domu. Wkłada mleko do lodówki, na stole kładzie chleb, a kluczyki wrzuca do miski. Dopiero wtedy przypomina sobie, że zostawił samochód przed halą. Ciekawe, czy jutro zostanie go wypełnionego zwęglonymi gałęziami. Podnosi kluczyki, ściąga z nich brelok, odkłada je na miejsce, a brelok wrzuca do kosza na śmieci.

Mira wchodzi do kuchni. Staje mu na stopach, powoli zaczynają tańczyć, Peter szepcze żonie do ucha:

- Możemy się przeprowadzać. Dostaniesz pracę wszędzie.
- Ale ty nie, kochanie. Z hokejem nie da się pracować wszędzie.

Peter to wie. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ale nigdy w życiu nie był bardziej przekonany niż teraz.

– Ty przeprowadziłaś się tutaj dla mnie. Ja mogę wyprowadzić się stąd dla ciebie.

Mira trzyma jego twarz w dłoniach. Zauważa kluczyki do samochodu w misce. Odkąd go zna, zawsze były na breloku w kształcie niedźwiedzia. Teraz już nie.

Ana siedzi na łóżku, ale pokój wydaje się już nie jej. Gdy mama po rozwodzie była najbardziej zła i urażona, że Ana nie chciała wyprowadzić się razem z nią, powiedziała jej, że córka jest „klasycznym współuzależnionym”. Że została ze względu na ojca, bo wiedziała, że bez niej on się załamie. Może to i prawda, Ana nie jest tego pewna. Zawsze lubiła być blisko niego, ale nie dlatego, że ją rozumiał, lecz dlatego, że rozumiał las. Las był jej największą przygodą, a nikt nie wiedział o nim więcej niż on, nie było w Björnstad lepszego myśliwego niż tata Any.

W dzieciństwie czekała nocami ubrana na łóżku, z nadzieją, że zadzwoni telefon. Gdy w gminie dochodziło do wypadku samochodowego z udziałem dzikich zwierząt, co zimą zdarzało się często, kierowca alarmował policję, że zranione zwierzę uciekło do lasu. Wtedy wzywano tatę Any.

Jego zaciętość, upór i małomówność nie były najlepszymi cechami, ale idealnie sprawdzały się w lesie. „Możecie tu sobie siedzieć z gębami na kłódkę do końca życia!” – krzyczała mama na odchodnym. I tak też było. Nie mieli nic przeciwko temu.

Ana pamięta, jak zawsze próbowała wyblagać sobie możliwość pojechania z ojcem do lasu w nocy, ale nigdy się na to nie zgodził. Zawsze było zbyt niebezpiecznie, za późno i za zimno. To oznaczało, że pił. Tata zawsze jej ufał, gdy była w lesie, nie ufał jednak sobie.

Adri chodzi po obejściu i rozdaje psom jedzenie. Widzi Benjiego na siłowni w komórce, kule leżą na podłodze, gdy on wyciska ciężary. Podniósł ich już tyle, że to wręcz chore, nawet jak na niego. Adri wie, że drużyna ma dziś dobrowolny trening, słyszała w mieście, że biegają w lesie. I że Kevin też tam jest.

Ale nie pyta brata, dlaczego wołał zostać u niej. Nie chce być głądzącą siostrą. Może nie urodziła się tutaj, ale jest dziewczyną z Björnstad. Twardą jak las, upartą jak lód. Ciężko pracuje, trzyma buzię na kłódkę.

Ana stoi nago przed lustrem w swoim pokoju i liczy. Zawsze była w tym dobra. Całe życie miała najwyższą ocenę z matematyki. Gdy była mała, liczyła wszystko: kamienie, żdźbła trawy, drzewa w lesie, ślady na ziemi, puste butelki w szafce pod zlewem po weekendzie, piegi na skórze Mai, nawet oddechy. Gdy przychodziły gorsze chwile, liczyła blizny. Ale przede wszystkim wyliczała, co jest nie tak. Stała przed lustrem i wskazywała palcem każdą część ciała, w której coś jej nie pasowało. Czasem powiedzenie tego na głos do lustra wydawało się o wiele łatwiejsze do zniesienia, niż gdy robił to ktoś potem w szkole.

Tata puka do drzwi. Nie zdarzało się to od lat. Odkąd mama się wyprowadziła, każde z nich ma swoje piętro, swój świat. Ana ubiera się i zdziwiona otwiera drzwi, ojciec stoi w korytarzu i wygląda na załamane. Nie pijacko załamane, to nie ten żalony samotny facet, który przesiaduje do późna w nocy. Teraz jest

trzeźwy. Wyciąga rękę w kierunku córki, nie dotykając jej jednak, tak jakby nie wiedział, jak ma powiedzieć, że mu zależy. Wypowiada słowa powoli:

– Rozmawiałem z kilkoma osobami w kole łowieckim. Klub wezwał członków na zebranie. Część rodziców i sponsorów żąda ponownego głosowania w sprawie Petera.

– Taty... Mai? – pyta Ana, nie do końca rozumiejąc, co ojciec ma na myśli.

– Żądają, by klub go zwolnił.

– Co? Za CO?

– Zgłoszenie na policję było tydzień po imprezie. Niektórzy twierdzą, że... to, co się stało... jest...

Nie jest w stanie wymówić słowa „gwałt” przy córce, nie chce, by widziała, jaką czuje ulgę i szczęście, że to nie jej się przydarzyło. Boi się, że Ana go za to nienawidzi. Dziewczyna uderza pięściami o ramę łóżka.

– Kłamstwo? Mówią, że to kłamstwo? I teraz myślą, że tata Mai czekał tydzień, żeby to zgłosić, bo chciał udupić KEVINA? Tak jakby to KEVIN był TUTAJ OFIARĄ?

Ojciec kiwa głową. Stoi w drzwiach, nie wiedząc, co ma na to odpowiedzieć. W końcu wydusza z siebie jedynie:

– Zrobiłem klopsy z łosia. Są w kuchni.

Zamyka za sobą drzwi i znika na dole.

Tego wieczoru Ana dzwoni do Mai tysiąc razy. Rozumie, dlaczego przyjaciółka nie odbiera. Wie, że Maya jej nienawidzi. Bo przecież dokładnie przepowiedziała, co się wydarzy. Właśnie to. Gdyby nikomu nie powiedziała, co się stało, Kevin skrzywdziłby tylko ją. Ale teraz krzywdzi też tych, których Maya kocha.

Dzwoni dzwonek. Peter otwiera drzwi. To dyrektor klubu. Jest smutny, tak pomięty, spocony i brudny, przepracowany i zestresowany, że Peter nie ma nawet siły go nienawidzić.

– Zwołują zebranie z głosowaniem. Klub to członkowie, jeśli żądają, żeby zarząd cię zwolnił, to nie mogę tego przeskoczyć. Ale oczywiście możesz przyjść i zabrać głos w swojej sprawie. Masz do tego prawo.

Dziewczynka pojawia się w korytarzu, za ojcem. Peter wyciąga początkowo rękę, jakby chciał ją chronić, ale ona uchyla się spokojnie. Staje na progu i patrzy

dyrektorowi w oczy. Mężczyzna nie odwraca wzroku.

Przynajmniej na tyle go stać.

Jest już późno, gdy Benji stuka kulą o drzwi sypialni Adri. Cały się trzęsie od bolących mięśni. Adri zna tylko trzy fazy treningu u normalnych ludzi: gdy znoszą ból, gdy uczą się nim rozkoszować i gdy zaczynają za nim tęsknić. Jej brat jest o niebo dalej. Potrzebuje bólu. Jest od niego uzależniony. Nie może bez niego żyć.

– Możesz mnie podwieźć? – pyta.

Adri o tyle chce go zapytać, ale nic nie mówi. Nie jest tego typu siostrą. Jeśli jej brat chce, żeby na niego nadawać, to niech dzwoni po Katię lub Gaby.

Peter zamyka drzwi. Stoją z Mayą w korytarzu.

– Czy to zarząd, czy rodzice chcą cię wywalić? – pyta Maya, spoglądając na ojca.

Peter sili się na uśmiech.

– Jedni i drudzy. Ale zarządowi jest prościej, jeśli członkowie się tego domagają. Zawsze łatwiej, gdy ktoś inny odsiada za ciebie karę.

Maya kładzie dłonie na jego rękach. Szłocha.

– Wszystko zniszczyłam, to wszystko przeze mnie, to przeze mnie... tak masz...

Peter odgarnia jej włosy z twarzy.

– Nie mów tak – odpowiada spokojnie – nawet tak nie myśl. Nigdy więcej. Co te dupki mogą mi dać? Ekspres do kawy? Mogą go sobie wsadzić w dupę!

Maya zaczyna chichotać, tak jak wtedy, gdy mama opowiada sprośne kawały, a tata się wstydzi.

– Przecież ty nawet nie lubisz espresso. Do zeszłego roku wymawiałeś to jako „expresso”.

Peter pochyla głowę ku głowie córki.

– Ty i ja znamy prawdę. Ty, twoja rodzina i wszyscy dobrzy, rozsądnie myślący ludzie znają prawdę. Nie ujdzie mu to na sucho, w taki czy inny sposób, obiecuję ci to. Nie możesz tylko... nie możesz...

– Już w porządku, tato, już w porządku.

– Nie, to nie jest w porządku! I nigdy nie będzie! Nigdy nie możesz myśleć, że to, co zrobił... Nie chcę... Tak strasznie się boję, że sobie pomyślisz, że nie chcę go

zabić... że nie chciałbym go zabić w każdej sekundzie mojego życia... Bo to nieprawda.

Łzy ojca spływają jej po policzkach.

– Też się boję, tato. Wszystkiego. Mroku i... wszystkiego.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Kochaj mnie.

– Zawsze, Ogryzku.

Maya kiwa głową.

– Ale mogłabym prosić o jedną rzecz?

– Co tylko chcesz.

– Możemy iść do garażu i pograć trochę Nirvany?

– Wszystko, tylko nie to!

– Jak możesz nie lubić Nirvany?

– Byłem już za stary, gdy zrobili się popularni.

– Jak można być za starym na NIRVANE? Ile ty w takim razie MASZ lat?

Oboje wybuchają śmiechem. Jaka to niesamowita moc, gdy nadal potrafi się wzbudzić uśmiech u drugiego człowieka.

W kuchni Mira słyszy, jak Maya z ojcem grają w garażu. Córka jest już od niego dużo lepsza, Peter wciąż gubi rytm, a ona dostosowuje się do niego, by nie poczuł się głupio. Mira najchętniej by sobie teraz zapaliła i się czegoś napiła. Zanim zdąży się rozejrzeć za papierosami, zauważa, że na stole leżą karty do gry. Nie taka zwykła talia, ale dziecięca wersja, którą mieli ze sobą w wakacyjnym kamperze, gdy dzieci były małe. Leo i Maya przestali grać, bo rodzice nigdy nie mogli się dogadać co do reguł gry.

– Gramy. Może nawet pozwolę ci wygrać – mówi Leo, siadając przy stole.

Obok kart stawia dwa napoje. Ma dwanaście lat, ale mimo to pozwala mamie mocno go przytulić.

W obskurnej sali prób na obrzeżach Hed pojedyncza lampa oświetla chłopca w czarnym ubraniu, który gra na skrzypcach. Trzyma jeszcze instrument w rękach, gdy słyszy pukanie. W drzwiach, oparty o kule, stoi Benji z butelką

w ręce. Basista próbuje sprawiać wrażenie milczącego i tajemniczego, ale uśmiech go zdradza.

– Co ty tutaj robisz?

– Spaceruję – odpowiada Benji.

– Nie mów, że to bimber. – Basista uśmiecha się w stronę butelki.

– Jak masz tutaj mieszkać, to prędzej czy później musisz nauczyć się go pić – tłumaczy Benji.

Basista przypuszcza, że tu w okolicy znaczy to „przepraszam”. Zdażył już zauważyć, jak wiele komunikuje się tu za pomocą napojów.

– Nie zamierzam zamieszkać tu na stałe – odpowiada.

– Nikt nie zamierza. Po prostu się zostaje – kwituje Benji, wskazując do sali.

Nie pyta o skrzypce, basista jeszcze bardziej go za to lubi. Że jest takim typem człowieka, którego nie dziwi, że można mieć więcej niż jedną twarz.

– Możesz potańczyć, jak będę grał – proponuje basista, delikatnie przejeżdżając smyczkiem po strunach.

– Nie umiem tańczyć – odpowiada Benji, nie łapiąc, że to żart odnośnie do kul.

– To łatwe. Po prostu najpierw stój spokojnie, a potem już nie – mówi cicho basista.

Benjiego ciągle jeszcze bolą mięśnie klatki piersiowej. To pomaga. Dzięki temu to, co kłębi się w środku, wydaje się spokojne.

Ana budzi się na dźwięk telefonu, podrywa go z ziemi, ale to nie jej aparat dzwoni. Tylko taty. Słyszy, jak rozmawia, ubierając się, przywołuje psy i zabiera klucz do szafy na broń. Dźwięki są niczym znana melodia, kołysanka z dzieciństwa. Czeka na kolejne odgłosy. Zamykane drzwi. Klucz przekreślony w zamku. Silnik starego pick-upa. Nie nadchodzą nigdy. Zamiast tego słyszy delikatne pukanie. Nieśmiały wzrok ojca, jej imię, pytanie przez drzwi:

– Ano, śpisz?

Stoi ubrana, zanim ojciec skończy pytanie. Otwiera drzwi. Tata trzyma w rękach dwie sztuki broni.

– Potrącone zwierzę, przy północnej drodze, mógłbym zadzwonić po jakiegoś nieudacznika w mieście, ale... skoro w domu mam drugiego najlepszego

myśliwego w Björnstad...

Ana chce go uścisnąć. Ale się powstrzymuje.

Chłopcy leżą na plecach na podłodze w sali prób. Butelka jest pusta. Na przemian śpiewają najgorsze znane im piosenki biesiadne. Zaśmiewają się z nich godzinami.

– O co chodzi z tym hokejem? – pyta basista.

– A ze skrzypcami? – odpowiada Benji.

– Trzeba wyłączyć mózg, żeby móc na nich grać. Muzyka to przerwa od siebie samego.

Odpowiedź jest za szybka, zbyt oczywista i szczerą, by Benji mógł ją skontrolować czymś uszczypliwym. Mówi więc, jak jest.

– Dźwięki.

– Dźwięki?

– O to chodzi w hokeju. Wchodzisz do hali. Wszystkie te dźwięki, które rozpoznajesz, tylko jeśli grasz w hokeja. I... to uczucie, gdy idziesz z szatni na lodowisko, ostatnie centymetry, gdy podłoga zamienia się w lód. Pierwszy ślizg, gdy wyjeżdżasz na taflę... Dostajesz wtedy skrzydeł.

Chłopcy długo pozostają bez ruchu. Nie mają odwagi się podnieść, jakby leżeli na szklanym dachu.

– Jeśli nauczę cię tańczyć, nauczysz mnie jeździć na łyżwach? – pyta w końcu basista z uśmiechem.

– Nie umiesz jeździć na łyżwach? Co z tobą nie tak? – wybucha Benji, tak jakby basista właśnie oświadczył, że nie wie, jak posmarować kromkę masłem.

– Nigdy nie widziałem w tym sensu. Zawsze myślałem, że lód to sposób, w który przyroda mówi człowiekowi, żeby odpuścił sobie wodę.

Benji się śmieje.

– Więc dlaczego chcesz się uczyć teraz?

– Bo ty to uwielbiasz. Chciałbym zrozumieć... to, co kochasz.

Basista dotyka jego ręki, Benji jej nie odsuwa, ale się podnosi i czar pryska.

– Muszę już iść – mówi.

– Nie idź – prosi basista.

Ale Benji i tak idzie. Przechodzi przez drzwi, nie mówiąc już nic więcej. Śnieg spada na łzy, ciemność go pochłania, poddaje się bez walki.

Rozbite okno może wypełnić pokój tak niewyobrażalną ilością pokruszonego szkła, że wydaje się wręcz niemożliwe, że to tylko jedna szyba. Podobnie jest, gdy małe dziecko przewróci karton z mlekiem, a kuchnia zalewa się całkowicie, jakby płyn w nieskończoność zwiększał swą objętość zaraz po opuszczeniu opakowania.

Ten, kto rzucił kamieniem, szedł blisko ściany, prawie pod samym oknem, i rzucił go z całej siły, tak aby wpadł jak najgłębiej do pokoju. Kamień odbija się od drzwi szafy i ląduje na łóżku Mai. Szkło rozsypuje się za nim, lekko i zwiewnie niczym motyle, kryształki lodu czy też małe błyszczące diamentyki.

Peter i Maya słyszą odgłos poprzez gitarę i perkusję. Wbiegają z garażu do domu, do pokoju Mai wdziera się już lodowaty wiatr, Leo stoi na środku, gapiąc się na czerwony napis na kamieniu. KURWA.

To Maya jako pierwsza rozumie prawdziwe zagrożenie, Peterowi zajmuje chwilę, zanim w końcu dociera do niego, kto jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jedno za drugim rzucają się w stronę drzwi wyjściowych, ale za późno. Już są otwarte. Volvo ruszyło właśnie z podjazdu.

Jest ich czwórka, dwoje ucieka, biegnąc, dwoje na rowerze. Ci na rowerze nie mają szans. Śnieg do kostek nadal jeszcze leży na chodnikach, więc mogą jechać tylko po torach wyrzeźbionych przez samochody na środku drogi. Mira wciska pedał gazu tak mocno, że w pościgu za nimi szeroki samochód aż wyje i zjeżdża na boki. Dogania ich po dwudziestu metrach, jej stopa nawet nie dotyka hamulca. To tylko dzieci, najwyżej trzynasto-, czternastoletnie, ale wzrok matki jest pusty. Jeden z chłopców odwraca się, oślepiony przez reflektor rzuca się z roweru w pełnym biegu i wali głową prosto w ogrodzenie. Drugiemu chłopcu udaje się zrobić to samo, na chwilę przed tym, jak zderzak volva uderza z pełną siłą w tylne koło i rower wylatuje z drogi.

Spodnie chłopca są zniszczone, a z jego brody leje się krew. Mira zatrzymuje samochód, otwiera drzwi i wysiada. Z bagażnika wyciąga jeden z kijów golfowych Petera. Łapie go mocno obiema rękami i rusza prosto na nastolatka leżącego na ziemi. Chłopiec krzyczy i płacze, ale Mirę to nie obchodzi, nic nie czuje.

Maya wybiega na ulicę w samych skarpetkach, słyszy, jak ojciec woła za nią, ale się nie obraca. Słyszy uderzenie, gdy samochód najeżdża na rower, widzi wypadające w powietrze bezwładne ciało, czerwone światła stopu wbijają się jej w oczy. Dostrzega kontury mamy wysiadającej z pojazdu, otwierany bagażnik, wyjmowany kij. Ślizga się w przemoczonych skarpetkach na zamarzniętych kałużach wody, jej stopy krwawią. Krzyczy, aż głos zamienia się w chropowate rżenie.

Mira nigdy w życiu nie widziała tak przerażonego człowieka. Małe dłonie łapią kij golfowy od tyłu i powalają mamę na ziemię. Gdy Mira spogląda do góry, Maya trzyma ją mocno, krzycząc, ale Mira nie jest początkowo w stanie zrozumieć słów. Nigdy nie widziała takiego przerażenia.

Chłopcy na ulicy z trudem podnoszą się na nogi i kuśtykając, odchodzą. Na miejscu zostaje matka z córką, obie płaczą histerycznie, mama nadal trzyma kij w zaciśniętych pięściach, podczas gdy córka tuli ją, kołysząc i szepcząc jej do ucha:

– Już dobrze, mamó, już dobrze.

Domy naokoło nadal są ciemne, chociaż obie wiedzą, że nikt nie śpi. Mira chce się podnieść i wykrzyknąć im to wszystko, rzucić kamieniem w ICH okna, ale córka trzyma ją mocno, siedzą na środku drogi i oddychają ciężko, dygocąc przy tym. Maya szepcze:

– Wiesz, że gdy byłam małą, to wszyscy inni rodzice w przedszkolu nazywali cię „wilczą mamą” i się ciebie bali? A wszyscy moi koledzy chcieli mieć taką mamę jak ja?

Mira szlocha do ucha córki.

– Czym sobie zasłużyłaś na takie cholerne życie, kochanie, czym...

Maya kładzie dłonie na policzkach mamy i całuje ją delikatnie w czoło.

– Wiem, że mogłabyś dla mnie zabić. Że oddałabyś za mnie życie. Ale damy sobie z tym radę, przejdziemy przez to, ty i ja. Bo jestem twoją córką. Mam wilka we krwi.

Peter podnosi je i wsadza do volva. Najpierw córkę, potem mamę. Powoli cofa samochodem po ulicy. Do domu.

Rowery leżą nadal w śniegu, następnego dnia już ich nie ma. Nikt z ulicy nie będzie o tym rozmawiał.

Poranek przychodzi do Björnstad niewzruszony problemami ludzkiego życia. Rozbite okno zaklejone od wewnątrz kartonem, siostra i brat śpiący obok siebie jak zabici na materacu w korytarzu, z daleka od innych okien. We śnie Leo zwija się w kłębek blisko Mai, tak jak wtedy, gdy miał cztery lata i zakradał się do niej do pokoju, gdy śniły mu się koszmary.

Peter i Mira siedzą w kuchni i trzymają się za ręce.

– Uważasz, że nie jestem prawdziwym facetem, bo nie potrafię się bić? – pyta Peter.

– Myślisz, że nie jestem prawdziwą kobietą, bo potrafię? – odpowiada żona.

– Ja... to... Musimy zabrać stąd dzieci.

– Nie jesteśmy w stanie ich ochronić. Nie ma znaczenia, gdzie jesteśmy, kochanie, nie możemy ich ochronić – stwierdza Mira.

– Tak się nie da żyć, nie da – mówi Peter łamiącym się głosem.

– Wiem. – Mira go całuje, uśmiecha się i szepcze: – Ale to bzdura, że nie jesteś prawdziwym facetem. Jesteś bardzo, ale to bardzo prawdziwym facetem, tylko w innych sytuacjach. Na przykład NIGDY nie przyznajesz się do tego, że nie masz racji.

Peter odpowiada z twarzą w jej włosach:

– A ty jesteś prawdziwą kobietą. Najprawdziwszą, jaką spotkałem. TOTALNĄ szachrajką w kamień, nożyce, papier.

Obydwoje wybuchają śmiechem. Nawet dzisiaj. Bo mogą, a nawet muszą. Tej łaski jeszcze im nie odebrano.

Ramona stoi na zewnątrz Futra i pali, ulica jest pusta, niebo ciemne. Zauważa szczeniaka już z daleka, mimo brzydkiej pogody. Zaczyna sucho kaszleć, gdy

z mroku, kołysząc się, wyłania się Sune. Stara barmanka zachichotałaby może, gdyby mniej paliła. Jakies czterdzieści–pięćdziesiąt lat mniej.

Sune krzyczy, szczeniak ma to najwyraźniej gdzieś. Skacze Ramonie po nogach, drapiąc ją po spodniach i szukając uwagi.

– Zachciało ci się szczeniaka, stary dziadu? – Uśmiecha się szeroko.

– Nieposłuszne małe chuchro, niedługo przerobię go na pasztet – mruczy Sune, ale z daleka widać, jaką miłością darzy włochatego towarzysza.

Ramona kaszle.

– Kawy?

– Dostanę do niej odrobinę whisky?

Ramona kiwa głową. Wchodzą do środka, otrzepują buty, piją, podczas gdy szczeniak z zapalem i cierpliwością zabiera się do obgryzania nogi u krzesła.

– Przypuszczam, że już słyszałaś – mówi smutnym głosem Sune.

– Tak.

– Hańba. To po prostu hańba.

Ramona nalewa więcej alkoholu. Sune długo przygląda się szklance.

– Był tu Peter?

Ramona kręci głową, unosi brew, tak jakby chciała zapytać: „Rozmawiałeś z nim?”. Sune zaprzecza.

– Nie wiem, co miałbym mu powiedzieć...

Ramona nic nie mówi. Doskonale go rozumie. Zaproszenie kogoś na kawę może być takie proste, a zarazem takie trudne.

– Klub to już nie twoja robota, Sune – mówi ściszym głosem Ramona.

– Formalnie mnie jeszcze nie wyrzucili, zdaje się, że zapomnieli w całym... tym wszystkim. No ale tak. Masz rację. To już nie moja sprawa.

Ramona nalewa więcej whisky. Dolewa odrobinę kawy. Wzdycha głośno, zarówno za siebie, jak i za Sunego.

– No więc o czym będziemy rozmawiać? Stara baba z dziadem siedzą i gęgają. Otwórz lepiej porządnie dziób.

Sune uśmiecha się lekko.

– Z ciebie to był zawsze psycholog.

– Barman. Tobie po prostu zawsze było żal pieniędzy na takiego z prawdziwego zdarzenia.

– Brakuje mi Holgera.

– Tylko wtedy, gdy cię opieprzam.

Sune wybucha takim śmiechem, że szczeniak aż podskakuje. Zwierzę szczeka poirytowane, po czym powraca do obgryzania mebli.

– W sumie to najbardziej brakuje mi twojego opieprzania Holgera.

– Mnie też.

Więcej whisky. Ciut więcej kawy. Milczenia i wspomnienia, niewypowiedziane słowa i zepchnięte w nicość zdania. Aż w końcu Sune mówi:

– To, co zrobił Kevin, to hańba. Okrutna hańba. Ale obawiam się teraz o klub. Przez siedemdziesiąt lat nic go nie ruszyło, ale nie jestem pewien, czy ten rok go nie załatwi. Boję się, że jeśli chłopak zostanie skazany, to ludzie będą próbowali rzucić winę na hokej. Pełno jest inteligentów, którzy tylko na to czekają i zacierają ręce. I teraz będzie to wina hokeja.

Uderzenie Ramony jest tak szybkie, że stary, grubawy Sune prawie spada z barowego krzesła. Zdenerwowana barmanka syczy:

– Po to tu przyszedłeś? Żeby o tym gadać? Jezu drogi... wy, faceci. To nigdy nie jest wasza wina, nie? Kiedy w końcu przyznacie, że to nie „hokej” wychowuje tych chłopców, tylko WY? Przez całe życie wszędzie spotykam facetów, którzy próbują zwalić winę za swoje głupoty na rzeczy, które sami wynaleźli. „Religia prowadzi do wojny”, „broń zabija ludzi”, jedno i to samo gówno!

– Ja tylko... Nie miałem na myśl... – próbuje Sune, uchylając się, gdy Ramona znów usiłuje go uderzyć.

– Zamknij dziób, teraz ja mówię! Pieprzeni faceci! To WY jesteście problemem! Religia nie wojuje, broń nie zabija, a ty wbij sobie raz na zawsze do głowy, że hokej jeszcze nigdy nikogo nie zgwałcił. Ale wiesz, kto to robi? Wojuje, zabija i gwałci?

Sune odchrząkuje.

– Faceci?

– FACECI! Zawsze ci pieprzeni faceci!

Sune poprawia się na krześle. Szczeniak kuli się zawstydzony w kącie. Ramona drobniawo poprawia włosy, dopija whisky i przyznaje sama przed sobą, że

zapraszanie na kawę nie jest jednak takie trudne.

Uzupełnia szklankę zarówno sobie, jak i Sunemu, przynosi szczeniakowi kawałek salami, obchodzi bar i siada obok starego trenera. Wzdycha ciężko i niechętnie wyznaje:

– Też brakuje mi Holgera. Wiesz, co by powiedział, gdyby tu był?

– Nie.

– Że ty i ja sami dobrze wiemy, co jest właściwe. I że nie musi nam tego mówić.

Na twarzy Sunego pojawia się uśmiech.

– Twój stary zawsze był zarozumiałym dupkiem.

– No.

W innej części miasta Zachariasz wymyka się z domu, nie budząc nikogo. Na plecach niesie torbę, a w ręce wiaderko. W uszach słuchawki zalewające ciało muzyką. Dziś kończy szesnaście lat, przez całe życie był dręczony. Za wszystko. Za wygląd, uczucia, sposób mówienia, adres. Wszędzie. W szkole, szatni, Internecie. To w końcu łamie człowieka, choć nie widać tego wyraźnie, bo wszyscy wokół dręczonego dziecka zdają się myśleć, że się do tego przyzwyczało. Nigdy. Człowiek nie przyzwyczaja się nigdy. Spala się cały czas. I tylko nikt nie wie, jak długi jest lont. Odkąd skończył dziewięć czy dziesięć lat, Zachariasz planuje samobójstwo.

Telefon od brata o kolejnym alarmie wrywa Jeanette ze snu. Rozbudzona i poirytowana jedzie do szkoły. Z latarką przeszukuje cały budynek, niczego nie znajdując. Odwołuje brata, zakładając, że to pewnie znów przez śnieg na czujniku ruchu, gdy nagle wchodzi stopą w coś mokrego.

Drugi najlepszy myśliwy w Björnstad zmywa krew z przyczepy zardzewiałego pick-upa. Dziewczynka wraz z ojcem całą noc szukała śladów, aż w końcu w głębi ciemnego lasu znaleźli poważnie ranne zwierzę w stanie agonalnym. Zakończyli jego życie w humanitarny i bezbolesny sposób. Ana zamyka klapę przyczepy, wyciągnąwszy ze środka dwie strzelby, sprawdza je wprawnymi rękoma doświadczonego myśliwego.

Kilku siedmio-, ośmioletnich chłopców odbija hokejowy krążek, biegając po ulicy kawałek dalej. Jeden z sąsiadów, osiemdziesięcioletni dziadek, stoi przy skrzynce na listy. Z powodu reumatyzmu porusza się z bólem, tak jakby ciągnął za sobą niewidzialne bloki skał, wyciąga rękę po gazetę i idzie z powrotem do domu, ale nagle zatrzymuje się i patrzy na Anę. Całe jej życie mieszkali obok siebie, sąsiad jeszcze kilka lat temu polował z jej tatą, a gdy była mała, częstował ją na Boże Narodzenie domowej roboty cukierkami. Żadne z nich nic nie mówi, mężczyzna splota tylko z pogardą na ziemię. Wchodząc do domu, zatrząskuje za sobą drzwi z takim hukiem, że wisząca nad nimi zielona flaga z niedźwiedziem aż się trzęsie.

Chłopcy grający w hokeja podnoszą głowy. Jeden z nich ma na sobie koszulkę z numerem dziewięć. Patrzą na Anę, a ich miny zdradzają, o czym rodzice rozmawiają w domu. Jeden z chłopców również splota na ziemię. Po czym odwracają się do niej plecami.

Tata Any podchodzi do niej i kładzie jej rękę na ramieniu, czuje, jak cała dygocze, nie jest tylko pewien, czy to dlatego, że zaraz zacznie płakać czy krzyczeć.

Przez prawie połowę życia Zachariasz myślał o tym, czy go nie zakończyć. Wiele razy układał już w głowie wszystkie szczegóły. Gdzieś, gdzie mogliby go zobaczyć. Żeby te świny miały ten obraz przed oczami do końca życia. „Wy to zrobiliście”. Nie potrzeba do tego wiele: sznur, kilka narzędzi, coś, na czym można stanąć. Taboret byłby dobry, ale odwrócone do góry nogami wiaderko też się nada. Trzyma je właśnie w ręce. Wszystko inne ma w plecaku.

Od lat powstrzymywała go tylko obecność Amata. Taki przyjaciel wystarczył. Lifa i Zachariasz nigdy nie kumpłowali się w ten sposób, tylko przez Amata, więc gdy ten został przeniesiony do juniorów i wybrał inne życie, Zachariaszowi nie zostało nic.

To ze względu na Amata jeszcze żył. To z nim rozmawiał w najmroczniejsze i najtrudniejsze noce: „Pewnego dnia będziesz miał więcej pieniędzy i władzy niż którykolwiek z tych bydlaków. I będziesz wtedy dobroduszny. Bo wiesz, jak bolesna może być bezsilność. Nie skrzywdzisz ich, mimo że będziesz mógł. I świat będzie od tego lepszy”.

Nigdy później nie ma się już takich przyjaciół jak w wieku piętnastu lat. Zachariasz kończy dziś szesnaście. Włamuje się do szkoły, nie przejmując się tym, że uruchomi alarm. Stawia wiaderko obok siebie.

Jeanette patrzy na podłogę, serce bije jej jak szalone. Kałuża pod stopami powiększa się powoli. Nauczycielka stoi prawie przy drzwiach, szafki po boku należą do wyższych klas podstawówki. Czuje ostry zapach, wdzierający się do nosa. Brat podchodzi bliżej, światło dwóch latarek pada teraz w to samo miejsce.

– Co to jest? – pyta brat.

Tata słyszy, jak Ana zgrzyta zębami. Mówi do niej cicho:

– Po prostu się boją, szukają kozła ofiarnego.

Ana chce krzyczeć. Otworzyć z trzaskiem drzwi do sąsiada, zerwać zieloną flagę z niedźwiedziem i wykrzyczeć mu: „Dlaczego tym kozłem nie jest KEVIN, CO?”. Tak głośno, że wszyscy inni sąsiedzi ze Wzgórza też by usłyszeli. Chce im wykrzyczeć, że kocha hokej. KOCHA hokej! Ale jest dziewczyną, więc co się stanie, jeśli powie to jakiemuś chłopakowi? Ten odpowie zapewne: „Tak? Jesteś dziewczyną i lubisz hokej? Okej, kto w takim razie zdobył Puchar Stanleya w 1983 roku? Co? Kto był siódmy w tabeli strzelców w 1994 roku? Co? No mów, jeśli tak bardzo lubisz hokej!”.

Dziewczyny nie mogą tak po prostu lubić hokeja w Björnstad. Najlepiej, żeby nie lubiły go wcale. Bo jak się lubi grać, to jest się lesbą, a jak się lubi zawodników, to jest się kurwą. Ana chciałaby przycisnąć sąsiada do ściany i powiedzieć mu, że ta cała ich szatnia, w której siedzą i głupawo żartują, to zwykła konserwa, w której wolniej dojrzewają, a część z nich gnije od środka. Nie mają koleżanek, w mieście nie ma też żeńskiej drużyny, więc żyją w przekonaniu, że hokej należy wyłącznie do nich, a dodatkowo trenerzy tłumaczą im, że dziewczyny tylko „rozpraszają”. Hokeiści uczą się więc, że dziewczyny są tylko do rżnięcia. Chce mu wykrzyczeć, jak wszyscy faceci w tym mieście chwalą ich, gdy „walczą” i „nie poddają się”, ale żaden nie otworzy gęby, by im wyjaśnić, że jak dziewczyna mówi nie, to jest to, kurwa, NIE! I że cały problem z tym cholernym miastem nie polega na tym, że chłopak zgwałcił dziewczynę, tylko na tym, że wszyscy udają, że tego NIE zrobił! Więc teraz inni chłopcy pomyślą, że jego zachowanie było okej. Bo nikt się tym nie przejmuje! Ana najchętniej stanęłaby na dachu i krzyczała: „W dupie macie Mayę! I Kevina w sumie też! Oni nie są dla was ludźmi, tylko pozycjami. A jego jest po prostu wyższa niż jej!”.

Chciałaby tak wiele. Ale ulica jest pusta, a ona milczy. Nienawidzi siebie za to.

– Co to jest? – powtarza brat.

– Woda – odpowiada Jeanette.

Zdaje sobie sprawę, że w szkole nie ma zbyt wielu uczniów, którzy wiedzą, jak się do niej włamać, bez względu na to, czy uruchomią alarm, czy nie. Nie jest pewna, czy osoba, która to zrobiła, liczyła na to, że zdąży, zanim przyjedzie ochrona, czy też w ogóle się tym nie przejmowała.

Na pierwszej lekcji tego dnia ma zastępstwo w dziewiątej klasie. Zauważa, że Zachariasz ma farbę na rękach. Biję od niego ostry zapach środków czyszczących. Na szafce w korytarzu nie ma już napisu KURWA, bo poświęcił całą noc, by go usunąć. Chłopak wie, jak to jest być kimś, kogo inni krzywdzą tylko dlatego, że istnieje. Wie, co silni robią w tym mieście ze słabymi.

Jeanette nic mu nie mówi. Rozumie, że to rodzaj cichego sprzeciwu. Nie opowiadając nikomu o tym, kto włamał się do szkoły, przyłącza się do jego protestu.

Palce ojca nadal spoczywają na ramieniu Any, gdy wchodzi do domu, ale córka się wyswobadza. Patrzy na nią, gdy zanosí broń do piwnicy. Widzi jej nienawiść. Zapamięta, że pomyślał wtedy: „Ze wszystkich mężczyzn na świecie najmniej chciałbym być tym, który skrzywdził najlepszą przyjaciółkę tej dziewczynki”.

Gdy dziecko uczy się polować, dowiaduje się, że w lesie są dwa rodzaje zwierząt: drapieżniki i ich ofiary. Drapieżniki mają blisko siebie osadzone oczy, skierowane do przodu, ponieważ muszą tylko skupić się na zdobyczy. Oczy ofiar są szeroko rozstawione, z obu stron głowy, bo ich jedyną szansą na przetrwanie jest dostrzeżenie w porę napadającego od tyłu drapieżnika.

Gdy Ana i Maya były małe, godzinami stały przed lustrem z metrem krawieckim, próbując dojść do tego, którymi z nich są.

Frak siedzi przy biurku, sklep nie jest jeszcze otwarty, ale jego gabinet wypełniają ludzie. Zebrani mężczyźni przyszli tutaj, bo nie chcą, by widziano ich w hali lodowiska. Są podenerwowani i zachowują się paranoicznie. Opowiadają o dziennikarzach, którzy wszędzie węszą. Wielokrotnie powtarzają słowo „odpowiedzialność”, tłumaczą Frakowi, że „muszą to utrzymać w ryzach, żeby nie wymknęło się spod kontroli”. To sponsorzy i członkowie zarządu, ale dzisiaj oczywiście są głównie zatroskanymi przyjaciółmi, ojcami i obywatelami. Wszyscy chcą tylko tego, co najlepsze dla miasta. Klubu. Wszyscy chcą tylko, żeby prawda wyszła na jaw. Zaniepokojony obywatel mówi: „Chyba każdy rozumie, że... Dlaczego Kevin miałby to zrobić? Oczywiście, że to było za obopólną zgodą, a potem zmieniła zdanie, gdybyśmy tylko mogli załatwić to między sobą...”. Ktoś inny dodaje: „Oczywiście musimy myśleć o obu rodzinach, oczywiście, no oczywiście, dziewczynka jest z pewnością przerażona. Przecież to tylko dzieci. Ale prawda musi ujrzeć światło dzienne, zanim stracimy nad tym kontrolę”. Pod koniec spotkania ojciec Kevina podnosi się i wraz z Frakiem idą do miasta. Pukają od drzwi do drzwi.

Maya budzi się wcześniej. Idzie do garażu i gra tam na gitarze. Nigdy nie będzie potrafiła wyjaśnić, co się z nią wtedy stało. Jak przeszła od bycia tak załamana, że leżała w objęciach mamy na podłodze w łazience, płacząc i krzycząc, do... tego, co

teraz czuje. To coś wydarzyło się w nocy. Kamień wrzucony przez okno, odłamki szkła na podłodze, czerwony napis KURWA. W końcu coś się z człowiekiem dzieje. Maya nadal tak bardzo boi się ciemności, że czuje, że szarpie ją za ubrania, gdy tylko wchodzi do pomieszczenia ze zgaszonym światłem. Ale tego ranka dociera do niej, że jedynym sposobem, by przestać się bać mroku na zewnątrz, jest znalezienie jeszcze większej ciemności w sobie. Wie, że to miasto nigdy nie odda jej sprawiedliwości, więc istnieje tylko jedno rozwiązanie: albo umrze Kevin, albo Maya.

Gdy się pojawiają, Ramona pije właśnie śniadanie. Ojciec Kevina, ten Erdahl, wchodzi do baru tak jak do każdego innego pomieszczenia. Jakby należało do niego. Frak płacze się za nim, niczym w za dużym obuwiu.

– Zamknięte – informuje Ramona.

Na twarzy Fraka pojawia się nieznaczny uśmiech, dokładnie jak u jego ojca, przychodzi Ramonie do głowy. Jest tak samo wysoki, gruby i popieprzony.

– Chcieliśmy tylko chwilę porozmawiać – mówi.

– Nieformalnie – dodaje Erdahl.

Jego oczy umiejscowione są blisko siebie.

Gabinet Miry zawalony jest kartonami i tonie w papierach. Przyjaciółka stawia na jej biurku kubek kawy.

– Zrobimy, co w naszej mocy – obiecuje. – Wszyscy w kancelarii robią, co mogą. Ale musisz przygotować się na to, że większość przypadków, w których słowo staje przeciwko słowu... Wiesz, jak się kończy.

Mira ma zaczerwienione oczy, pomięte ubranie, co nie zdarzało się nigdy wcześniej.

– Powinam była zostać prawdziwym adwokatem, zrobić specjalizację właśnie z tego. Powinam... Zmarnowałam całe życie na prawo gospodarcze i inne gówno, a powinam była...

Przyjaciółka siada naprzeciwko niej.

– Chcesz usłyszeć prawdę?

– Tak.

– Mogłabyś zatrudnić najlepszego na świecie eksperta od przestępstw seksualnych. Ale i tak nie jest pewne, czy to odegrałoby jakąkolwiek rolę. Tu mamy słowo przeciwko słowu, zgłoszenie na policję było tydzień później, nie mamy technicznych dowodów ani świadków. Najprawdopodobniej policja umorzy śledztwo w ciągu kilku dni.

Mira zrywa się ze złością z krzesła, w ostatniej sekundzie powstrzymuje się, żeby nie rzucić kubkiem w ścianę.

– Nie mam zamiaru pozwolić im wygrać! Jeśli nie wygram w sądzie, zrobię to w jakiś inny sposób!

– Co masz teraz na myśli? – pyta zaniepokojona przyjaciółka.

– Dobiorę się do firmy ojca, do przedsiębiorstwa ich przyjaciół, wykopię każde gówno, które kiedykolwiek próbowali ukryć, każdy raport roczny i deklarację podatkową i dopiero pożałują. Jeśli zapomnieli zapłacić podatek choćby od długopisu kupionego dziesięć lat temu, to ich pogrążę!

Przyjaciółka nic nie mówi. Głos Miry wypełnia cały gabinet:

– Zamierzam zaatakować wszystkich i wszystko, co kochają, i będę chronić moje dzieci! Słyszysz? BĘDĘ CHRONIĆ MOJE DZIECI!

– Tak właśnie zaczynają się wojny. Jedna strona się chroni, więc druga musi się chronić jeszcze bardziej, a później zaczynamy mylić nasz własny strach z ich groźbami. A potem zaczynamy do siebie strzelać.

– TO MOJE DZIECKO, DO CHOLERY!

Przyjaciółka zamyka oczy. Są szeroko rozstawione na twarzy.

– Może właśnie dlatego musisz znać różnicę między zemstą a sprawiedliwością.

Ana otwiera drzwi. Tata jest z psami u weterynarza, w domu nie ma nikogo. Maya stoi na zewnątrz z rękami mocno zaciśniętymi wokół ciała. Żadna z nich nie wie, czy powinny płakać, czy się śmiać, krzyczeć czy żartować, jaka strategia da im największe szanse na przetrwanie.

– Brakuje mi twojej wkurzającej twarzy – mówi w końcu cicho Maya.

Ana się uśmiecha.

– A mnie twojego okropnego gustu muzycznego.

Dolna warga Mai zaczyna drżeć.

– Nie chcę cię w to wplątywać. Próbuję trzymać cię od tego wszystkiego z daleka.

Ana kładzie ręce na ramionach Mai.

– Jestem twoją siostrą. Bardziej wplątać się mnie już nie da.

Maya wpatruję się w nią, aż pieką ją oczy.

– Próbuję cię tylko chronić.

– Całe życie mnie chronisz i wiesz co? Megacienko ci to idzie! Ewidentnie jestem przecież walnięta, więc co z tą twoją ochroną?

Śmieją się obie.

– Ale z ciebie głupek. – Maya pociąga nosem.

– Ale nikt nie kocha cię tak jak ja, kozo. Nikt.

– Wiem. – Oczy Mai błyszczą, gdy pyta: – Możemy iść do lasu postrzelać? Ja... – Kłamie, chociaż nigdy wcześniej nie robiła tego Anie: – Muszę po prostu gdzieś uciec. Muszę... Może strzelanie mnie uspokoi. Tak sobie pomyślałam, że to może pomóc mi pozbyć się... złości.

Ana patrzy na nią długo. Może rozumie, że nagłe zainteresowanie bronią u Mai jest wynikiem czegoś innego, a może nie. Bez względu na wszystko jest prawdziwą przyjaciółką, więc przynosi dwie strzelby i nie pyta już o nic więcej.

Ramona kładzie dłonie na barze. Obserwuje obu mężczyzn.

– Prowadzę działalność usługową.

– Co? – pyta Frak.

Erdahl natomiast siada spokojnie na krześle i uśmiecha się cierpliwie.

– Chce, żebyśmy coś zamówili. Więc okej, proszę nam dać dwie pięćdziesiątki najlepszej whisky, jaką pani ma, to porozmawiamy. – Erdahl nie traci czasu, gdy Ramona nalewa drinki. – Wie pani, kim jestem?

Kobieta prychnie i wypija swoją whisky. Erdahl tłumaczy to jako „tak”. Podnosi szklankę i natychmiast po tym, jak płyn dotyka języka, wypluwa go na bar.

– Osz do cholery... Czy to pani NAJLEPSZA whisky?

Ramona kręci głową.

– To moja najgorsza.

Frak wypija swoją bez mrugnięcia okiem. Wygląda prawie na zadowolonego. Ale jego kubeczki smakowe działają mniej więcej tak samo dobrze jak kontrola

głośności jego gęby. Erdahl odstawia szklankę z pogardą.

– Czy moglibyśmy w takim razie prosić o najlepszą, jaką pani ma? Ta smakuje jak płyn do czyszczenia łodzi.

Ramona przytakuje zgodnie. Stawia na barze nowe szklanki. Nalewa whisky z tej samej butelki co wcześniej. Erdahl się na nią gapi. Na twarzy Fraka mimowolnie pojawia się uśmiech.

– W Futrze mamy tylko jedną whisky.

Maya i Ana zaszły tak głęboko w las, że je wręcz pochłonął. Nawet tata Any potrzebowałby kilku dni, żeby odnaleźć ich ciała. Stoją teraz i strzelają, raz za razem. Od czasu do czasu Ana poprawia pozycję Mai, zgina ramię i łokieć, przypomina jej, jak wstrzymywać oddech, nie przestając oddychać.

– Dobra... A to: żyć do starości w Björnstad czy przeprowadzić się, dokąd masz tylko ochotę, ale umrzeć w ciągu roku? – pyta Ana.

Maya odpowiada, marszcząc tylko czoło i wykrzywiając twarz niczym zmięta serwetka. Ana wzrusza ramionami.

– Głupie pytanie?

– No.

– Wyrwiemy się stąd, zobaczysz! Nie pozwolę nam tu utknąć. Zamieszkamy w Nowym Jorku, dostaniesz kontrakt na płytę, a ja będę twoim menedżerem.

Maya zaczyna chichotać, nie sądziła, że ten rodzaj śmiechu jeszcze w niej tkwi, ale teraz się z niej wylewa.

– O nie, nie, nie, nigdy nie będziesz moim menedżerem.

– Co? Byłabym zajebistym menedżerem – oburza się Ana.

– Byłabyś beznadziejnym menedżerem. BEZNADZIEJNYM. Nie ogarniasz nawet swojego telefonu.

– Nieprawda!

Maya unosi brew.

– Dobra, no to gdzie go masz?

Ana szuka nerwowo rękami po całym ciele.

– No TERAZ to nie wiem. Ale... Dobra! Mogę być twoją stylistką. Uwierz mi, POTRZEBUJESZ stylistki!

– A co jest teraz nie tak z moim stylem? – zastanawia się Maya.

Ana przygląda się jej demonstracyjnie od góry do dołu.

– Sorry. Nie stać cię na konsultację u mnie. Odezwij się, jak już będziesz miała kontrakt.

Maya wybucha śmiechem.

– Jesteś walnięta.

– Mogę też być twoją dietetyczką! Odkryłam nową dietę owocową, która czyści jelita! Dzięki niej kupa jakb...

Maya zatyka uszy, odwraca się i idzie jeszcze głębiej w las.

– Niestety, mam tu strasznie słaby zasięg... Schhhh... Halo? Halo?

Trzyma telefon przy uchu, udając, że rozmawia. Ana mruży oczy.

– To mój telefon? Gdzie go znalazłaś?

– Jestem w tunelu! – odkrzykuje Maya.

Ana ją dogania. Siłują się chwilę i obejmują. Widzą, jak wschodzi słońce.

– Mogę kiedyś u ciebie nocować? – szepcze Maya.

Ana nie wie, co ma odpowiedzieć. Maya nigdy wcześniej u niej nie nocowała, zawsze było na odwrót. Ale jest prawdziwą przyjaciółką, więc odpowiada:

– Nie musisz nawet pytać.

Ramona dopija whisky, Frak też. Oczy Erdahla się zwężają.

– Aha. Myślę, że w takim razie możemy sobie odpuścić uprzejmości. Wie pani, dlaczego tu przyszedłem?

Ramona patrzy na niego z ciekawością.

– Nie, ale pewnie ma pan ze sobą złoto. Frak przyniósł kadzidło. A za drzwiami stoi trzeci mędrzec z gaciami pełnymi mirry. Mam rację?

Erdahl oddycha zrezygnowany przez nos, wskazuje krótkim, niechętnym gestem na pomieszczenie.

– Ten... bar... jest jednym z najstarszych sponsorów Björnstad Hockey. Nie wnosi wprawdzie jakichś znaczących sum, ale wszyscy cenimy sobie tradycję. Zakładam, że została pani poinformowana o dodatkowym spotkaniu członków... w świetle tego, co się wydarzyło.

Frak kaszle zawstydzony i dodaje:

– Chcemy tylko porozmawiać. Sponsorzy, my wszyscy uważamy, że to ważne, żebyśmy byli zgodni. Ze względu na klub.

– A co to oznacza? – pyta Ramona z udawaną uległością.

Erdahl, znudzony rozmową, podnosi się, informując:

– Część zarządu musi zostać wymieniona. Peter Andersson zostanie przegłosowany jako dyrektor sportowy i wymieniony na bardziej odpowiednią osobę. Zarówno zarząd, jak i sponsorzy są co do tego zgodni, ale szanujemy wszystkich członków i chcielibyśmy, aby propozycja wyszła bezpośrednio od nich. Przyszliśmy tu z najlepszymi intencjami.

Ramona uśmiecha się złośliwie.

– Rzeczywiście wygląda mi pan na człowieka, który ma wyłącznie dobre intencje. A co takiego zrobił Peter Andersson, jeśli wolno zapytać?

Erdahl cedzi przez zęby.

– Dobrze pani wie, co się wydarzyło.

– No właśnie nie wiem. I nie wydaje mi się też, żebyście panowie wiedzieli. Dlatego też właśnie prowadzone jest w tej sprawie śledztwo.

– Wie pani, o co oskarżony jest mój syn – mówi Erdahl.

– Brzmi pan tak, jakby to on był ofiarą – podkreśla Ramona.

Erdahl traci w końcu panowanie nad sobą, Frak nigdy w życiu go takim nie widział, ze strachu przewraca stojące na barze szklanki. Erdahl krzyczy:

– To mój syn JEST ofiarą! Ma pani JAKIEKOLWIEK, kurwa, pojęcie o tym, jak to jest być oskarżonym o coś takiego? CO?

Ramona odpowiada niewzruszenie:

– Nie. Ale mogę sobie tak na szybko wyobrazić, że jedyne, co może być gorsze od bycia oskarżonym o gwałt, to bycie zgwałconym.

– Więc zamierza pani brać za pewnik, że ta cholerna dziewczyna mówi prawdę? – syczy Erdahl.

– Mam zamiar pozwolić sobie nie zakładać, że ta dziewczynka ma jakiś powód, by kłamać, tylko dlatego, że pański syn akurat jest hokeistą. I ta dziewczynka ma imię. Nazywa się Maya – mówi Ramona.

Erdahl śmieje się pogardliwie.

– Aha, więc jest pani jedną z tych, którzy zamierzają zrzucić całą winę na hokej? Ramona kiwa poważnie głową.

– Grał pan kiedyś w hokeja?

– Przestałem, gdy miałem dwanaście lat – przyznaje Erdahl.

– To w takim razie ma pan rację. Winię za to hokej. Bo gdyby grał pan jeszcze kilka lat, to może hokej zdążyłby nauczyć pana przegrywać jak mężczyzna. Może nauczyłby się pan, że pański syn może popełniać błędy, a jeśli tak się stanie, to pan powinien mu wtedy pomóc jak MĘŻCZYZNA i wziąć za niego odpowiedzialność. A nie przychodzić mi tutaj i zwać całą winę na piętnastoletnią dziewczynkę i jej ojca.

Erdahl aż wywraca krzesło, wymachując rękami. Może nie miał takiego zamiaru, ale nie schyla się też, by je podnieść. Oddycha ciężko przez nos, źrenice gonią wzrok barmanki. Rzuca na blat tysiąc koron.

– Może i jest pani właścicielką baru. Ale nie tego budynku. Przemyślałbym to na pani miejscu – dorzuca na koniec z szyderstwem zmieszonym z groźbą.

Zatrząskuje za sobą drzwi tak, że aż dzwonią wszystkie szyby.

Ana i Maya wchodzą do domu, Ana przynosi klucz do szafy na broń ojca i odkłada strzelby na miejsce. Maya zapamiętuje każdy detal: jak są ułożone, gdzie znajduje się klucz.

– Co to takiego? – pyta niewinnie, wskazując na dwulufową strzelbę.

– Dubeltówka – odpowiada Ana.

– Trudno ją załadować? – pyta Maya.

Ana najpierw się śmieje, ale po chwili staje się podejrzliwa:

– Dlaczego pytasz?

Maya wzrusza ramionami.

– A ty co? Policja? Tak tylko pytam. Wygląda zajebiście, nie mogłybyśmy kiedyś z niej postrzelać?

Ana uśmiecha się i wymierza jej kuksańca w ramię.

– Policja? Chyba TY, baranie!

Przynosi potem naboje i pokazuje Mai, jak się łamie, ładuje i odbezpiecza dubeltówkę, bo uwielbia te rzadkie momenty, w których jest lepsza od swojej

przyjaciółki. Mówi z lekką drwiną:

– To tak proste, że nawet ty możesz sobie z tym poradzić.

Maya się śmieje.

– Ile mieści się tu nabojów? – pyta.

– Dwa – odpowiada przyjaciółka.

Łamie ponownie broń, rozładowuje ją, odkłada naboje i zamyka szafę. Dziewczynki wychodzą z piwnicy, Maya nie odzywa się ani słowem.

Jedna myśl nie opuszcza jej głowy: „Potrzebuję tylko jednego”.

Frak stoi nadal w Futrze, podnosi ostrożnie szklanki z ziemi.

– To tylko... rozmowa – mówi cicho.

– Twój ojciec by się wstydził – odcina się Ramona.

– Po prostu próbuję... nie wybierać strony.

Ramona prycha.

– Słabo ci idzie.

Frak odwraca się, niepokieszony zarzuca na siebie kurtkę i wychodzi. Wraca po kilku minutach. Staje przed barem, jak ten nieszczęśliwy chłopiec z dzieciństwa, który przychodził tu z Peterem, by zabrać do domu zapitych ojców.

– Przychodzi tu jeszcze Robban Holts? – mamrocze.

– Prawie każdego dnia, odkąd jest bezrobotny – przytakuje Ramona.

– Proszę mu powiedzieć, żeby wpadł do sklepu i pogadał z szefem magazynu. Dopilnuję, żeby miał rozmowę o pracę.

Ramona kiwa głową. Mogliby sobie powiedzieć więcej. Ale są z Björnstad.

Późnym popołudniem Kevin biegnie na trasie wokół Wzgórza. Coraz szybciej, czapka nisko na oczach, kaptur naciągnięty na głowę. Na sobie ma nawet rozciągnięte dresy, bez żadnego logo niedźwiedzia, żeby nikt go nie rozpoznał. To oczywiście niepotrzebne, bo i tak wszyscy są teraz na zebraniu w hali lodowiska i głosują. Mimo wszystko czuje, jakby ktoś go obserwował z lasu. To oczywiście tylko głupie wyobrażenie. Paranoja. Tak to sobie tłumaczy.

Słońce już zaszło. Maya stoi w lesie i się trzęsie, ale drzewa ją kryją. Nadal panicznie boi się ciemności, ale zamierza uczynić ją swoim przyjacielem. Sprzymierzeńcem. Stała tak i patrzyła, jak Kevin przemieszczał się po oświetlonym domu, nie mógł jej zobaczyć; ale ona widziała jego i to dało jej nagle poczucie władzy. Oszalamiającej.

Gdy zaczął biegać, mierzyła mu czas. Jedno okrążenie zajmowało mu trzy minuty i dwadzieścia cztery sekundy. Jeszcze jedno. I jeszcze jedno. Znów i znów, i znów.

Zapisuje czasy. Podnosi ręce, tak jakby trzymała broń. Zastanawia się, gdzie powinna się ustawić.

Ona albo on musi umrzeć. Jeszcze nie zdecydowała kto.

Nie jest trudno się bić. Trudno jest tylko zacząć i skończyć. Gdy już się bijesz, działasz instynktownie. Jedyna skomplikowana rzecz w przemocy to mieć odwagę na pierwszy cios i powstrzymać się przed zadaniem ostatniego, gdy już się wygra.

Samochód Petera stoi nadal na parkingu przed halą lodowiska. Nikt go nie podpalił, chociaż Peter podejrzewa, że niejeden to rozważał. Zeskrobuje śnieg z szyb, wsiada do środka, ale nie zapala silnika.

Zawsze zazdrościł dobrym trenerom hokeja, że potrafią stanąć przed grupą i porwać ją za sobą. Sam nie ma takiej charyzmy. Był kiedyś kapitanem drużyny, ale prowadził ją poprzez grę, nie gadanie. Nie potrafi nikomu wytłumaczyć hokeja, po prostu miał szczęście, że był w nim dobry. „Słuch absolutny” zwykło się na to mówić w muzyce, „inteligencja kinestetyczna” – nazywa się to czasem w sporcie. Widzisz, jak ktoś coś robi, a twoje ciało natychmiast wie, jak to powtórzyć. Jazdę na nartach, wybijanie krążka, grę na skrzypcach. Niektórzy trenują całe życie, by się nauczyć, inni po prostu... mają to w sobie.

Był na tyle dobry, że nie musiał uczyć się bić. To było jego wybawienie. Żadna filozoficzna postawa. Nie przekonywał sam siebie, że przemoc jest zła. Po prostu nigdy jej w sobie nie miał. Brakowało mu instynktu.

Gdy Leo zaczął trenować, Peter wdał się raz w dyskusję z trenerem, który cały czas się wydzierał.

– Trzeba ich, cholera, czasem postraszyć, żeby zaczęli słuchać – stwierdził trener.

Peter nic na to nie odpowiedział, ale w samochodzie w drodze do domu odwrócił się do Leo i powiedział:

– Gdy byłem mały, ojciec bił mnie, jeśli wylałem mleko. Nie nauczyło mnie to niewylewania. Sprawilo jedynie, że bałem się mleka. Pamiętaj o tym.

Parking powoli zapełnia się samochodami. Ludzie nadchodzą z różnych stron. Niektórzy go zauważają, ale ignorują. Czeka, aż wejdą do środka. Aż zacznie się zebranie. Zastanawia się, czy po prostu nie włączyć silnika, nie pojechać do domu, nie spakować rodziny i całego dobytku i się stąd nie wynieść. Jak najdalej stąd. Zamiast tego wysiada z samochodu, idzie przez parking, otwiera ciężkie drzwi do hali i wchodzi do środka.

Nie jest trudno się bić. Trudno tylko wiedzieć, kiedy zacząć.

Ann-Katrin siedzi blisko Knura w jednym z tylnych rzędów. Wydaje się, że całe miasto zebrało się w kafeterii w hali lodowiska. Wszystkie krzesła są już pozajmowane, mieszkańcy wciąż napływają i ustawiają się pod ścianami. Na samym przodzie, na niewielkiej scenie, siedzi zarząd. W pierwszych rzędach sponsorzy i rodzice juniorów. W środku rodzice Kevina. Ann-Katrin przygląda się, jak ludzie, których znała całe życie, podchodzą do matki Kevina i niczym na pogrzebie współczują jej okropnej niesprawiedliwości, jaka ją spotkała.

Knur łapie ją mocno za rękę, gdy zauważa, czemu żona się przygląda.

– Nie możemy się w to mieszać Ann-Katrin. Połowa z tych ludzi to nasi klienci.

– To nie głosowanie, tylko lincz – szepcze Ann-Katrin.

– Musimy poczekać, aż dowiemy się, co się stało, nie wiemy wszystkiego. Nie wiemy – odpowiada mąż.

Ann-Katrin zdaje sobie sprawę, że Knur ma rację. Więc czeka. Czekają. Wszyscy.

Frak specjalnie stoi na środku parkingu, a nie kryje się w cieniu lub za drzewem. Ostatnie, czego by sobie życzył, to sprawiać wrażenie groźnego.

Gdy niewielki samochód z logo lokalnej gazety na drzwiach wjeżdża na parking, macha przyjacielsko w jego stronę. W środku siedzą dziennikarka i fotograf, Frak gestykuluje promiennie, by otworzyli szybę.

– Dobry wieczór, dobry wieczór. Wydaje mi się, że nie mieliśmy wcześniej przyjemności. Frak! Właściciel supermarketu!

Dziennikarka podaje mu dłoń przez okno.

– Dobry wieczór, idziemy właśnie na zebra...

Frak pochyła się i drapie intensywnie po brodzie.

– A tak! Zebranie, co? Chciałbym z państwem zamienić parę słów w tej sprawie. Tak... *off the record*, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Dziennikarka przechyla głowę.

– Nie.

Frak odchrząkuje.

– Ech, wiecie państwo, jak jest. Ludzie robią się nerwowi, gdy pojawia się prasa. To, co się wydarzyło, jest... jak by to powiedzieć... traumą dla całego miasta, rozumiecie państwo. Więc chcielibyśmy wiedzieć, że wasz artykuł... że nie będziecie się państwo doszukiwać problemów tam, gdzie ich nie ma.

Dziennikarka nawet nie wie, co mu odpowiedzieć, ale sposób, w jaki ten ogromny mężczyzna pochyła się nad jej drzwiami, sprawia, że czuje się nieprzyjemnie. Frak oczywiście tylko się uśmiecha, życzy im miłego wieczoru i odchodzi.

Dziennikarka i fotograf odczekują kilka minut, zanim podążają jego śladem. Gdy otwierają drzwi do hali i idą korytarzem, z mroku wyłaniają się dwaj mężczyźni. Dwudziestopięcio-, trzydziestolatkowie, w czarnych kurtkach, z rękami w kieszeniach.

– To zebranie tylko dla członków – mówi jeden z nich.

– Jesteśmy dziennikarzami... – zaczyna dziennikarka.

Mężczyźni zagradzają im drogę. Są o głowę wyżsi od fotografa i o dwie od dziennikarki. Nic więcej nie mówią, robią tylko pół kroku w przód i przystają, nieznacznie podkreślając potencjał przemocy. Hala jest słabo oświetlona, a część, w której się znajdują, wieje pustką.

Fotograf łapie dziennikarkę za rękaw kurtki. Kobieta widzi, że zrobił się błady na twarzy. Sama nie jest stąd, zastępuje kogoś w gazecie, ale fotograf mieszka w Björnstad. Ma tu rodzinę. Ciągnie ją do samochodu. I odjeżdżają.

Fatima siedzi w kuchni. Słyszy dzwonek do drzwi, ale Amat upiera się, że to on otworzy. Jakby się spodziewał, kto to będzie. Na zewnątrz stoi dwóch bardzo do siebie podobnych chłopców. Fatima nie słyszy, o czym rozmawiają, ale widzi, że jeden z nich wskazuje na Amata palcem. Gdy syn zamyka za nimi drzwi, nie chce

opowiedzieć matce, o co chodzi. „Takie tam, z drużyną” – mówi tylko i idzie do swojego pokoju.

Bobo stoi za Williamem Lytem, nie podoba mu się ta agresja, nie rozumie, czemu miałyby służyć, ale nie wie też za bardzo, jak się jej przeciwstawić.

– Amat jest przecież jednym z nas, dlaczego jesteś taki zły? – zapytał w drodze do niego.

– Czas, żeby to udowodnił – zahuczał Lyt.

Gdy Amat otwiera drzwi, Lyt wciska mu palec w pierś i wydaje rozkaz:

– W klubie jest zebranie. Cała drużyna ma tam być, żeby pokazać, że wspieramy Kevina. Ty też.

– Postaram się – mamrocze Amat.

– Nie postarasz się. Tylko tam będziesz. Trzymamy się razem! – stwierdza Lyt.

Bobo szuka wzroku Amata, zanim odchodzą. Na próżno.

Zebranie przypomina wszystkie inne. Zaczyna się niemrawo, ale szybko przeradza w awanturę. Dyrektor klubu odchrząkuje i prosi o uwagę, bezowocnie starając się opanować niepokój.

– Po pierwsze, chciałbym wyjaśnić, że tylko zarząd może zdymisjonować dyrektora sportowego. Członkowie nie mają uprawnień do dowolnego usuwania części personelu, stowarzyszenie nie działa w taki sposób.

Jeden z mężczyzn podskakuje z krzesła, z uniesionym palcem.

– Ale członkowie mogą zdymisjonować zarząd i to właśnie zrobimy, jeśli przeciwstawicie się woli miasta!

– W stowarzyszeniu funkcjonują zasady demokracji, nie grozimy sobie nawzajem – oznajmia przygnębiony dyrektor.

– Grozimy? A kto tu komu grozi? A czyje dzieci policja wytargała z autokaru? – syczy mężczyzna.

Jedna z kobiet stoi z rękami opartymi na biodrach i patrzy współczująco na zarząd.

– Nie chcemy procesu czarownic, po prostu chronimy nasze dzieci. Moja córka była na imprezie u Kevina i teraz policja wydzwaniania po nią, żeby złożyła

„zeznanie”. No, drodzy państwo, te dzieci znają się od małego i nagle mają być „świadkami” przeciwko sobie? Co tu się wyprawia?

Jakiś mężczyzna podnosi się za nią.

– Nie chcemy nikogo oskarżać. Ale przecież wszyscy wiemy, że... jak to jest... Ta młoda kobieta chciała się dostać do paczki. Może szuka uwagi? Mam na myśli to, że... Dlaczego Kevin miałby zrobić coś takiego? Znamy go. To nie taki chłopak. O, nie!

Kolejny siedzi, ale mimo to mówi głośno:

– Chyba każdy rozumie, że ona po prostu szukała szczęścia. Wokół tych chłopców aż roi się od *groupies*, to chyba normalne. Nie mówię, że zrobiła to specjalnie, może to z emocji, to przecież nastolatka, a Boże drogi, jak wtedy buzują hormony. Ale jeśli pijana weszła do jego pokoju, to wplątała go w niezłą kabałę, nie? Niezłą kabałę, mówię wam. Jak niby ten biedny chłopak miał to zrozumieć?

Maggan Lyt podnosi się, mruga przepraszająco do wszystkich zgromadzonych w koło.

– Sama jestem kobietą. Stąd też traktuję słowo „gwałt” bardzo, ale to bardzo poważnie. Bardzo poważnie! Dlatego uważam, że musimy nauczyć nasze dzieci, że nie wolno na ten temat kłamać. A przecież wszyscy wiemy, że ta młoda kobieta kłamie. Dowody na jego niewinność są przytłaczające, nie miał najmniejszego powodu, żeby zrobić to, o co jest oskarżony. Nie chcemy skrzywdzić tej młodej kobiety ani jej rodziny, ale jakie wysyłamy sygnały, nie sprzeciwiając się tutaj? Zaraz wszystkie dziewczynki będą tu krzyczeć „gwałt”, gdy tylko okaże się, że ich miłość jest nieodwzajemniona. Sama jestem kobietą, dlatego traktuję to bardzo poważnie. Wszyscy tutaj zgromadzeni wiemy, że to właśnie ojciec tej młodej kobiety próbuje przekształcić tę sprawę w politykę. Najwyraźniej nie może sobie poradzić z tym, że w tym klubie są większe gwiazdy niż on sa...

Peter staje w drzwiach. Pierwsza osoba zauważa go i kieruje na niego powoli wzrok, kolejne odwracają się już szybko w jego stronę. Ocean oczu, które zna całe życie. Przyjaciele z dzieciństwa, koledzy ze szkolnej ławki, młodzieńcze miłości, współpracownicy, sąsiedzi, rodzice dzieci, z którymi zadają się jego własne. W samym tyle, przy ścianie, z niewypowiedzianą nienawiścią wypełniającą całe ich jestestwa, stoją dwa tuziny młodych mężczyzn w czarnych kurtkach. Nic nie

mówią, ale żaden z nich nie spuszcza go z oczu. Peter czuje ich nienawiść, ale mimo wszystko stoi wyprostowany, zwracając się do Maggan Lyt:

– Ależ proszę bardzo, proszę sobie nie przeszkadzać.

W pomieszczeniu robi się wystarczająco cicho, żeby wszyscy mogli usłyszeć, jak pęka mu serce.

Dziennikarka i fotograf wrócą do redakcji i opowiedzą wszystko redaktorowi naczelnemu, dziennikarka będzie się spodziewać, że szef natychmiast wyśle ich tam z powrotem. Zamiast tego on zacznie pomrukiwać: „No nie wiem, czy to można nazwać groźbą... Ludzie są teraz nerwowi... To chyba zrozumiałe... Może jednak nie... No wiesz”. Fotograf odchrząknie i zaproponuje: „Nie będziemy doszukiwać się problemów tam, gdzie ich nie ma, co?”. Redaktor naczelny przytaknie: „Dokładnie... dokładnie tak!”.

Dziennikarka nic wtedy nie powie, jest za młoda, za bardzo się boi, że straci pracę, ale zapamięta przerażenie w ich oczach. Jeszcze długo później nie będzie mogła zapomnieć tego, co Kevin Erdahl powiedział jej podczas wywiadu po półfinałach. Co zwykli mówić wszyscy sportowcy, gdy ktoś z drużyny zrobił coś nieodpowiedniego. Z udawanym zdziwieniem i zamkniętą postawą. Zdawkowa odpowiedź: „Co? Nieee. Nie widziałem tej sytuacji”.

Tym razem Fatima nie puka do pokoju syna, mimo że zawsze to robi. Amat siedzi na łóżku z wizytówką w ręce. Mama tłumaczy zdecydowanie:

– Chłopcy mogą mieć tajemnice przed swoimi mamami, ale nie, gdy tak słabo idzie im ich ukrywanie.

– To nic, mamó. Nie musisz się... martwić – odpowiada Amat.

– Twój tata mia... – zaczyna mama, ale syn jej przerywa.

Zwykle tego nie robi.

– Nie opowiadaj mi, co zrobiłby tata. Jego TU nie ma!

Dłonie Fatimy spoczywają na kolanach. Amat oddycha ciężko. Próbuje podać jej wizytówkę, ale ona jej nie przyjmuje.

– To praca – mówi, miotany między chłopcą rozpaczą a złością młodego mężczyzny.

– Ja mam pracę.

– Lepsza praca – odpowiada syn.

Mama zdziwiona unosi brew.

– Okej, a czy mają tam lodowisko, żeby każdego dnia mogła patrzeć, jak mój syn trenuje?

Amat spuszcza ramiona.

– Nie.

– W takim razie dla mnie nie jest to lepsza praca. Mam już jedną. Nie musisz się o mnie martwić.

Z oczu syna aż biją gromy.

– A kto ma to robić, mammo? Kto? Rozejrzyj się! Kto się nami zajmie, gdy twoje plecy nie dadzą już rady?

– Pozwól mi się tym zająć. Tak jak do tej pory – odpowiada matka.

Amat znów próbuje wcisnąć jej wizytówkę do ręki, ale mama odmawia.

– SAMEMU JEST SIĘ NIKIM NA TYM ŚWIECIE, MAMO!

Fatima nie odpowiada. Siedzi tylko obok, aż chłopiec w końcu zaczyna szlochać.

– To za trudne, mammo. Nic nie rozumiesz... nie rozumiesz, ile ja... Nie mogę...

Fatima zabiera dłonie z rąk syna. Podnosi się. Cofa o krok. W końcu mówi zdecydowanym tonem:

– Nie mam pojęcia, co wiesz. Ale cokolwiek to jest, są tacy, którzy śmiertelnie się boją, że o tym opowiesz. I pozwól jeszcze, że coś ci powiem, synku: ja nie potrzebuję żadnych mężczyzn. Nie potrzebuję nikogo, kto będzie mnie rano zawoził swoim dużym samochodem na halę albo da mi pracę, której nie chcę. Nie potrzebuję kogoś, który będzie płacił moje rachunki albo mówił mi, co mam myśleć i czuć. Potrzebuję tylko jednego mężczyzny: mojego syna. I jeszcze jedno. Nigdy nie jesteś sam. I nigdy nie byłeś. Musisz tylko wybrać towarzystwo.

Zostawia go samego w pokoju. Zamyka za sobą drzwi. Nie zabiera wizytówki.

Maggan Lyt nadal stoi przed wszystkimi, zbyt dumna, by się teraz wycofać. Zwraca się w stronę zarządu z żądaniem:

– Uważam, że powinniśmy głosować jawnie.

Dyrektor klubu zabiera głos po raz pierwszy od rozpoczęcia zebrania:

– Dobrze, ale czuję się w obowiązku poinformować wszystkich zgromadzonych, że według statusu stowarzyszenia każdy ma prawo wnieść o tajne głosowanie...

Zbyt późno orientuje się, że to właśnie na tym Maggan najbardziej zależy. Kobieta odwraca się teraz demonstracyjnie do reszty zebranych i mówi:

– No dobrze. Czy jest tu na sali ktoś, kto nie ma odwagi powiedzieć na głos, co myśli? Nie ma siły spojrzeć nam w oczy i powiedzieć, jak jest? W takim razie niech wstanie i zażąda, by głosować anonimowo!

W pomieszczeniu nikt nawet nie drgnie. Peter odwraca się i wychodzi. Mógłby zostać i się bronić, ale odpuszcza.

Amat wkłada słuchawki do uszu. Przemierza swoją dzielnicę i miasto pozostałych. Swoje dorastanie i dzieciństwo, całe życie. Zawsze znajdują się ludzie, którzy nie zrozumieją jego decyzji. Którzy nazwą go nieszczerym i nielojalnym tchórzem. Prawdopodobnie oni wszyscy wiodą spokojne życie, otoczeni ludźmi o takich samych poglądach i wartościach, potwierdzających tylko ich własny obraz świata. Łatwo im go oceniać, zawsze łatwiej pouczać innych o moralności, gdy nie trzeba wziąć odpowiedzialności na siebie.

Wchodzi na halę lodowiska. Ustawia się wśród kolegów. Opuścił kraj przepelniony wojną, jeszcze zanim nauczył się mówić, ale nigdy nie przestał uciekać. Tylko hokej pozwolił mu poczuć, że przynależy grupy. Że jest normalny. Zdolny.

William Lyt poklepuje go po plecach. Amat patrzy mu w oczy.

Ramona stoi na korytarzu i czeka na Petera. Wsparta o laskę, czuć od niej whisky. Po raz pierwszy od dziesięciu lat Peter widzi ją dalej niż pięć metrów od Futra. Kobieta pomrukuje na niego.

– Będą się jeszcze tego wstydzic. Kiedyś przypomną sobie, że gdy słowo chłopca stało przeciwko słowu dziewczynki, to na ślepo uwierzyli jemu. I będą się wstydzic.

Peter poklepuje ją po ramieniu.

– Nikt nie wymaga... Nikt... Nie musisz się w to mieszać tylko ze względu na moją rodzinę – mówi cicho Peter.

– Nie będziesz mi tu, do cholery, mówił, co muszę, a czego nie muszę, chłopcze.

Peter kiwa głową, całuje ją w policzek i odchodzi. Jest już przy samochodzie, gdy Ramona za pomocą laski otwiera drzwi do kawiarenki. Jeden z członków zarządu, w garniturze, rozluźniając krawat, dodaje niby żartem:

– I jakby to w ogóle mogło się udać? Czy ktoś się nad tym w ogóle zastanawiał? Widzieliście, jakie ciasne džinsy noszą teraz młode kobiety? Wąskie jak dupa węża! Same ledwie je z siebie ściągają, więc jak miałby to zrobić nastolatek wbrew ich woli, co?

Mężczyzna zaśmiewa się z własnego geniuszu, kilka osób mu wtóruje, ale huk otwieranych drzwi powoduje, że cała sala cichnie i się odwraca. W drzwiach stoi Ramona, pijana i wkurzona, wskazując na niego laską.

– Tak mówisz, Lenarciku? To cię zastanawia? Założymy się o jedną z twoich rocznych pensji, że ściągnęłabym z ciebie cały garnitur wbrew twojej woli, zanim którykolwiek z tych dupków tutaj zdążyłby zareagować? – W pijackiej złości uderza laską tak mocno o stojące obok krzesło, że siedzący na nim bogu ducha winny mężczyzna ledwie łapie powietrze, trzymając się za klatkę piersiową. Ramona podnosi laskę na wszystkich zgromadzonych. – To nie jest moje miasto. Wy nie jesteście moim miastem. Powinniście się wstydzić.

Jeden mężczyzna podnosi się i krzyczy:

– Niech się pani zamknie, do cholery! Nie ma pani o tym zielonego pojęcia!

Trzej mężczyźni w czarnych kurtkach wychodzą z cienia przy ścianie, jeden z nich robi kilka kroków do przodu i staje przy mężczyźnie.

– Powtórz to, a ja zamknę ciebie. Na dobre.

Amat stoi przed halą i patrzy w oczy kolegom z drużyny. Bierze głęboki wdech, odwraca się i zaczyna iść. Pierwszy krok jest niepewny, kolejny już zdecydowany. Słyszy, jak Lyt krzyczy za nim, ale nie zwraca na niego uwagi, tylko wchodzi do budynku, nie zamykając za sobą drzwi. Przechodzi obok lodowiska, schodami w górę, do kafeterii, przeciska się między rzędami krzesel, staje naprzeciw zarządu i patrzy każdemu z nich w oczy. Także pierwszemu i najwyższemu ze wszystkich na sali, Erdahlowi.

– Nazywam się Amat. Widziałem, co Kevin zrobił Mai. Byłem pijany i jestem w niej zakochany, mówię to od razu, żebyście nie musieli tego potem robić za moimi plecami, gdy już stąd wyjdę, kłamliwe dupki! Kevin Erdahl zgwałcił Mayę

Andersson. Jutro pójdę na policję, a oni powiedzą, że nie jestem wiarygodnym świadkiem. Ale opowiem wam to wszystko tutaj, wszystko, co zrobił Kevin, wszystko, co widziałem. I nigdy tego nie zapomnicie. Bo widzieliście, jak gram w hokeja. I wiecie, że moje oczy są lepsze niż was wszystkich razem wziętych. To przecież pierwsze, czego człowiek uczy się w Björnstad Hockey, prawda? „Spojrzenia nie da się wyuczyć. Człowiek się z nim rodzi”.

Po czym zaczyna opowiadać. Mówi o wszystkich szczegółach. O każdej rzeczy znajdującej się w pokoju Kevina. Plakatach na ścianach, dokładnym rozłożeniu pucharów na półkach, porysowanej podłodze, kolorze pościeli, krwi na ręku chłopaka, przerażeniu w oczach dziewczynki, cichym krzyku zduszonym pod ciężką dłoń, siniakach, gwałcie, o tym, co niewyobrażalne, ohydne, nie do wybaczenia. Opowiada wszystko. I nikt na sali nigdy tego nie zapomni.

Potem zostawia ich samym sobie. Nie trzaska drzwiami, nie tupie na schodach, nie krzyczy na nikogo, wychodząc z budynku. William rzuca się na niego w momencie, gdy pojawia się na parkingu.

– Coś ty zrobił? Coś ty zrobił, ty jebana kurwo, COŚ TY, KURWA, ZROBIŁ?

Ręce rzucające się, by ich rozdzielić, są o pół mniejsze niż Lyta, mniejsze nawet od Amatowych, ale trzymają obu chłopców tak silnie, jakby miały nieskończoną moc.

– Wystarczy! – ryczy Ann-Katrin do Williama.

Bobo stoi kilka metrów dalej i widzi, jak mama ustawia dwa razy od siebie cięższego młodego mężczyznę. Nigdy nie czuł się bardziej głupio. Nigdy też nie był bardziej dumny.

W kafeterii mama Filipa podnosi się z krzesła. Wyczekuje, aż szum ucichnie. Zaciska mokre dłonie. Spogląda na zarząd i pyta:

– Czy ktokolwiek może zażądać anonimowego głosowania?

Dyrektor kiwa głową.

– Tajnego głosowania? Oczywiście. Według statusu stowarzyszenia wystarczy tylko jedna osoba.

– W takim razie ja tego żądam – mówi mama Filipa i siada na krześle.

Jej najbliższa przyjaciółka siedzi obok i szarpie ją ze złością za ramię.

– Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawia...

I wtedy mama Filipa wypowiada trzy słowa, które najlepsi przyjaciele powinni czasem mieć odwagę sobie powiedzieć:

– Zamknij się, Maggan.

Amat się wycofuje, nie patrząc nawet na swoich dawnych kolegów z drużyny. I tak wie, co o nim myślą. Wkłada słuchawki do uszu, rzuca ostatnie spojrzenie na halę, widzi, jak pod samotną jarzeniówką błyszczy śnieg. Wie, że wybrał przegrywającą stronę, że nigdy tego nie wygra. Może już nawet nigdy nie będzie dane mu grać. Gdyby ktoś go teraz zapytał, czy było warto, wyszeptałby: „Nie wiem”. Czasem życie nie pozwala wybierać bitew. Tylko towarzystwo.

Wraca spacerem do domu. Na ziemi leży jeszcze śnieg, ale w powietrzu czuć już wiosnę. Zawsze nienawidził tej pory roku, bo to oznaczało, że kończył się hokej. Jest już prawie pod domem, wchodzi do sąsiedniej klatki schodowej, na pierwsze piętro i dzwoni do drzwi.

Otwiera mu Zachariasz z padem od konsoli w ręku. Patrzą na siebie tak długo, aż śnieg na butach Amata się roztopia. Chłopiec oddycha ciężko, czuje pulsowanie w oku.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Zachariasz przesuwa się w głąb korytarza, tak żeby przyjaciel mógł wejść do środka. Amat zawiesza kurtkę na tym samym haczyku, na którym wieszał ją prawie codziennie, odkąd podrósł na tyle, by sam do niego dosięgnąć. Zachariasz siedzi na łóżku w swoim pokoju i gra w grę wideo. Przez pierwsze pół godziny Amat siedzi obok niego. Potem Zachariasz podnosi się, podchodzi do jednej z półek i kładzie przyjacielowi na kolanach dodatkowy pad.

Grają bez słów. Nigdy ich nie potrzebowali.

W tym samym czasie na zebraniu w hali lodowiska członkowie klubu głosują nad przyszłością dyrektora sportowego. Przyszłością miasta. Swoją własną. Wszystkich.

Ramona siedzi w kącie, obok mężczyzny w czarnej kurtce. Na jego szyi widnieje wytatuowany niedźwiedź. Mężczyzna kręci nerwowo na palcu kluczykami do samochodu. Ramona klepie go po policzku.

– Nie musiałeś go straszyć, że mu zamkniesz gębę. Poradziłabym sobie. Ale dziękuję.

Mężczyzna uśmiecha się nieznacznie. Kostki na dłoniach pokryte ma bliznami, na przedramieniu ślady od ciosu nożem, Ramona nigdy go za to nie podziwiała, ale też nie oceniała. On i pozostali w czarnych kurtkach wychowali się w Futrze. Ramona była przy nich, gdy wszyscy inni się odsunęli, broniła ich, nawet gdy miała inne zdanie, stała za nimi murem, nawet gdy na nich krzyczała. Kochają ją.

– Nie jestem pewien, czy przekonam chłopaków, by głosowali tak, jak chcesz – mówi mimo wszystko mężczyzna.

Ramona kiwa głową i głaska go po krótko ostrzyżonych włosach.

– Spojrzałam dziś Amatowi w oczy. Wierzę mu. I tak też zagłosuję. To od was zależy, co zrobicie. Zawsze tak było.

Mężczyzna przytakuje. Tatuaz na szyi porusza się w górę i w dół, gdy przelyka ślinę.

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy się w to mieszać. Grupa i klub są najważniejsze.

Ramona podnosi się z trudem, ale zanim odchodzi, by oddać swój głos, poklepuje go po kolanie, pytając:

– Czyj klub?

Mężczyzna patrzy na nią, siedząc dalej na swoim miejscu. Przesuwa kluczyki między palcami. Logo Saaba pojawia się i znika w dłoni. Jego wzrok wędruje do mężczyzny w pierwszym rzędzie. Widział go w Niece, z Amatem. To ojciec Kevina Erdahla. Mężczyzna w czarnej kurtce wkłada rękę do kieszeni. Nadal ma w niej pomięte pięć tysięcy, które podniósł ze śniegu.

Nadal nie zdecydował się jeszcze, co z nimi zrobi.

Miłość rodzica do dziecka jest niezwykła. Wszystkich innych ludzi zaczyna się kiedyś kochać, ale nie dziecko. Je kocha się od zawsze, jeszcze zanim się pojawi. Jakkolwiek próbować się do tego przygotować, to pierwsza fala uczuć zalewająca wszystkich ojców i wszystkie matki, tak że aż tracą grunt pod nogami, ich szokuje. To niepojęte, nieporównywalne z niczym innym. To tak, jakby próbować opisać piasek między palcami stóp lub płatki śniegu na języku komuś, kto całe życie spędził w ciemnym pokoju. Uczucie, które wyżyma duszę.

David trzyma dłoń na brzuchu swojej dziewczyny, kocha kogoś, kogo jeszcze nigdy nie spotkał, widzi, jak całe jego życie przejmują miłość, która jeszcze nie istnieje. Jego mama zwykła mawiać, że każde dziecko jest niczym transplantacja serca. Teraz rozumie dlaczego.

Czuje palce dziewczyny na karku. Przez cały wieczór rozmawiał przez telefon, wie już wszystko o zebraniu i decyzji. Dostał propozycję, o której marzył, odkąd został trenerem drużyny chłopięcej.

– Nie wiem, co mam robić.

– Zaufaj swojemu sercu – odpowiada dziewczyna.

– Jestem trenerem hokeja. To jedyne, co chcę robić. Reszta to polityka. Nie ma nic wspólnego ze sportem.

Dziewczyna całuje jego dłoń.

– Bądź w takim razie trenerem hokeja.

Maya dzwoni do drzwi Any. Nie wspomina o Kevinie na ścieżce do biegania, nie mówi Anie o niczym; jeszcze niedawno byłoby nie do pomyślenia mieć przed nią tajemnice, teraz to takie naturalne. Okropne uczucie. Wracają do domu Mai. W kuchni siedzą Peter, Mira i Leo. Czekają na telefon, aż ktoś im opowie, jak skończyło się zebranie. Ale na razie panuje cisza. Robią więc jedyne, co mogą.

Maya przynosi gitarę, Peter pałki do perkusji. Ana pyta, czy może śpiewać, mimo że wychodzi jej to kiepsko. Jej fałszowanie pomaga całej rodzinie przetrzymać czas oczekiwania na decyzję.

W mieście, w hali lodowiska przy drodze w kierunku jeziora, dobiega końca zebranie członkowskie w klubie sportowym. Zakończono głosowanie. Poznano rezultat. Wszyscy przyjmują jego konsekwencje.

Grupa mężczyzn w czarnych kurtkach miesza się z resztą zgromadzonych. Część z nich przysła z rodzinami, niektórzy są sami. Mężczyźni i kobiety zmierzają w stronę parkingu. Wszyscy rozmawiają, ale nikt nic nie mówi. To będzie długa noc w domach, gdzie wszystkie lampy zgasną, ale nikt nie uśnie.

Dyrektor klubu nadal siedzi przy stole w kafeterii, mimo że wszyscy już wyszli. Frak stoi po ciemku na trybunach. Klub to ich życie. Żaden z nich już jednak nie wie, do kogo należy.

Amat siedzi na łóżku u Zachariasza, gdy jego telefon zaczyna wibrować. Esemes. Jedno słowo. Od Mai.

„Dziękuję”.

Amat również odpisuje jednym słowem.

„Przepraszam”.

Pierwszy esemes jest za to, co zrobił. Drugi za to, ile czasu potrzebował, by się odważyć.

Rodzice Kevina wychodzą z zebrania jako pierwsi. Ojciec podaje dłoń kilku osobom, zamienia kilka krótkich słów. Matka nie mówi nic. Wsiadają do swoich samochodów, jadą każde w swoim kierunku.

Sune idzie do domu. Karmi szczeniaka. Gdy dzwoni telefon, zaskakuje go to, a z drugiej strony w ogóle nie dziwi. To dyrektor klubu sportowego. Po rozmowie Sune nie kładzie się spać, podejrzewając, że niedługo ktoś zapuka do drzwi.

Mama Kevina zatrzymuje samochód. Wyłącza silnik, ale natychmiast chce go na nowo zapalić. Gasi światła i siedzi bez ruchu. Całkowicie opadła z sił, czuje, że ma gorączkę, ledwie trzyma ręce na kierownicy. Jej wnętrze spaliło się na popiół, ciało to tylko skorupa, tak zapamięta to uczucie.

Wysiada z samochodu, przechodzi przez osiedle, odnajduje właściwy dom i dzwoni do drzwi. To ostatni budynek przed Niecką.

Szczeniak wyczuwa czyjąś obecność jeszcze przed pukaniem do drzwi. Sune otwiera, próbując odgonić psa od wejścia, ale jego głos nie jest już w stanie ukryć, kto rządzi w ich relacji.

– Różnica między zawodnikami hokeja a psami? – David uśmiecha się ponuro.

– Zawodnicy przynajmniej czasami robią to, co się im każe – mruczy Sune.

Mężczyźni patrzą na siebie. Kiedyś byli mentorem i uczniem. Kiedyś łączyła ich niezachwiana miłość. Czasy się zmieniają, bo hokej nigdy nie stoi w miejscu.

– Przyszedłem, bo chciałem, żebyś to usłyszał bezpośrednio ode mnie... – zaczyna David.

– Dostałeś pierwszy zespół – potwierdza Sune.

– Dyrektor dzwonił?

– Hm.

– To nic osobistego, Sune. Jestem trenerem hokeja. To moje zajęcie.

Gips na stopie Benjiego nie jest już gipsem, tylko drewnianą nogą. Jedno oko zakrywa czarna przepaska, jego pokój zamienił się w piracki statek, a siostrzeńcy we wrogów. Walczą kijami hokejowymi, piszczą ze śmiechu, gdy ugania się za nimi, podskakując na jednej nodze, zrywają z łóżka poduszkę i kołdrę i rzucają mu je na głowę, aż upada i wywraca komodę z ubraniami. W drzwiach staje Gaby z rękami skrzyżowanymi na piersi i mamową miną.

– O kurka... – mamrocze jedno z dzieci.

– To wujek! – oświeca ją natychmiast drugie.

– O nie! Małe kabelki! – krzyczy Benji, próbując wydostać się spod kołdry.

– Macie pięć minut, żeby to posprzątać. – Gaby wskazuje na nich palcem. – A potem marsz umyć ręce i na obiad. Babcia jest już prawie gotowa z jedzeniem.

Ciebie to też dotyczy, braciszku!

Benji mocuje się pod kołdrą. Dzieci mu pomagają. Gaby wychodzi do toalety, by nie widzieli, jak bardzo się śmieje. Jakże to potrzebne dziś wieczorem w tym mieście!

Sune bierze wdech z głębi swojej przysadzistej postury. Przygląda się Davidowi.

– Naprawdę tak bardzo nienawidzisz Petera, że nie możesz zostać w klubie razem z nim?

David wzdycha sfrustrowany.

– Nienawiść nie ma z tym nic wspólnego. Nie akceptuję po prostu jego wartości. Hokej to nasza praca, musimy umieć postawić dobro klubu nad własne.

– I uważasz, że Peter tego nie zrobił?

– Widziałem go. Widziałem go na parkingu, gdy policja przyjechała po Kevina. Peter był tam, bo chciał to zobaczyć. To była zemsta.

– Na jego miejscu nie zrobiłbyś tego samego?

David podnosi wzrok, kręci głową.

– Na jego miejscu miałbym pewnie ze sobą broń. Ale nie o tym mówię.

– A o czym? – zastanawia się Sune.

– Że hokej działa tylko wtedy, gdy jest zamknięty w swoim własnym świecie. I nie dopuszczamy do niego nikogo z zewnątrz. Gdyby Peter zczekał ze zgłoszeniem na policję do następnego dnia po finale, to konsekwencje prawne byłyby DOKŁADNIE takie same. Policja, prokurator, sąd i kto tam jeszcze zrobiliby dokładnie to samo, tylko że jeden dzień później.

– I Kevin zagrałby w finale. A juniorzy może by wygrali – kończy Sune z widoczną dezaprobatą.

– To jest właśnie sprawiedliwość – upiera się David. – Po to właśnie mamy prawo. Peter mógł zgłosić się na policję po finale, bo to, co zrobił Kevin, nie ma nic wspólnego z hokejem ani z klubem. Ale on zdecydował się sam wymierzyć karę. Ukarał więc całą drużynę, cały klub. Całe miasto.

Sune wydaje świszczące dźwięki, wciągając powietrze do płuc. Może jest stary, ale oczy nadal ma młode.

– Pamiętasz, że gdy dopiero co pojawiłeś się w pierwszym zespole, mieliśmy takiego chłopaka, który nabawił się trzech wstrząsów mózgu w ciągu dwóch sezonów? Wszyscy wiedzieliśmy, że jeżeli przydarzy mu się jeszcze jeden, to będzie musiał zakończyć karierę. Graliśmy przeciwko drużynie, której obrońca, prawdziwa bestia, doskonale zdawał sobie z tego sprawę i już w pierwszej zmianie uderzył go z rozmysłem prosto w głowę.

– Pamiętam – odpowiada David.

– A pamiętasz, co zrobiłeś temu obrońcy?

– Pobiłem go.

– Tak. Nasz chłopak dostał kolejnego wstrząsu mózgu, to był jego ostatni mecz. Ale sędzia nie ukarał obrońcy w jakikolwiek sposób. Więc zamiast tego mu wtłukłeś. Bo czasem sędziowie się mylą, czasem jest różnica między faulem a moralnym przestępstwem, a ty założyłeś, że masz prawo osądzać to właśnie w taki sposób.

– Ale to nie to samo – odpowiada David bardziej przekornie, niż zamierzał.

Sune zastanawia się dłuższą chwilę, poklepuje szczeniaka, drapie się po brwi.

– Sądzisz, że Kevin zgwałcił Mayę?

David długo rozważa odpowiedź. Myślał o tym przez cały czas, odkąd policja zabrała Kevina. Próbował spojrzeć na sytuację ze wszystkich stron i doszedł do tego, że powinien zachowywać się racjonalnie. Odpowiedzialnie.

– Nie mnie to rozstrzygać. To zadanie sądu. Ja jestem trenerem hokeja – stwierdza.

Odpowiedź wyraźnie przygnębia Sunego.

– Szanuję cię. Ale nie szanuję twoich poglądów w tej sprawie.

– A ja nie szanuję Petera, który bawi się w boga i władcę przeciwko drużynie, klubowi i całemu miastu tylko dlatego, że sprawa dotyczy jego córki. Pozwól, że cię o coś zapytam: gdyby Kevin został oskarżony o to, że zgwałcił jakąś inną dziewczynę, gdyby to nie była córka Petera, myślisz, że namawiałby rodzinę tamtej dziewczyny do zgłoszenia tego na policję w dniu finału?

Sune opiera głowę o framugę drzwi.

– To ja zapytam inaczej: gdyby to nie był Kevin, tylko jakiś inny chłopak, ktoś z Niecki, pomyślałbyś tak samo?

– Nie wiem – odpowiada szczerze David.

Sune zostawia go z tymi słowami. Koniec końców to jedyne, czego możemy żądać od drugiego człowieka. Przyznania się, że nie wie się wszystkiego. Stary trener odsuwa się na bok, pozostawiając miejsce w korytarzu.

– Chcesz kawy?

Przy drzwiach domu Anderssonów rozbrzmiewa dzwonek. Mija dłuższa chwila, zanim ktoś otwiera. Mira i Leo grają w karty w kuchni, z garażu słychać gitarę i perkusję. Ponowny dzwonek. Delikatny nacisk na klamkę. Peter pojawia się w końcu w drzwiach, z plamami potu na koszuli i pałeczkami w ręce. Przed nim stoi dyrektor klubu.

– Mam złe wieści. I dobre.

David i Sune siedzą naprzeciw siebie przy kuchennym stole. David nigdy wcześniej tu nie był. Codziennie od piętnastu lat spotykają się w hali, ale po raz pierwszy któryś z nich jest u tego drugiego w domu.

– W końcu dostałeś pierwszy zespół – podejmuje Sune uroczyście.

– Tylko nie ten, o którym myślałem – odpowiada ściszym głosem David.

Sune nalewa kawę. Po wieczornym zebraniu członków Sune spodziewał się telefonu od dyrektora sportowego z informacją, że David przejmuje pierwszy zespół. Spodziewał się tylko, że będzie to Björnstad.

– Mleka?

– Nie, dziękuję, czarna jest OK – odpowiada nowy trener pierwszego zespołu Hed Hockey.

Dyrektor odchrząkuje nerwowo. W korytarzu pojawia się Mira. Leo i Maya stoją trochę dalej, brat chwyta siostrę za rękę.

– Członkowie zdecydowali w głosowaniu, że nie chcą twojego zwolnienia – zaczyna dyrektor.

Jego słowa nie wzbudzają okrzyków radości. Nawet uśmiechu. Peter ociera pot z czoła.

– Co to oznacza?

Dyrektor unosi dłonie i wzrusza ramionami.

– David złożył rezygnację. Dostał propozycję przejęcia pierwszego zespołu w Hed. Wszyscy najlepsi juniorzy pójdą za nim. Lyt, Filip, Benji, Bobo... Oni nie grają dla klubu, nigdy tego nie robili. Grają dla Davida. Pójdą za nim wszędzie. Bez nich możemy zapomnieć o naszym planie budowania pierwszego zespołu. Prawie wszyscy sponsorzy zadzwonili dziś, żeby wypowiedzieć umowy.

– Możemy ich pozwać – wtrąca Mira, ale dyrektor kręci głową.

– Zainwestowali pieniądze pod warunkiem, że juniorzy przejdą do pierwszego zespołu. Możemy zapomnieć o spokoju, nie będziemy mieć nawet na pensje. Nie wiem nawet, czy w przyszłym roku w ogóle będziemy mieć jakąś drużynę. Gmina nie zamierza inwestować, nie chcą tu liceum hokejowego po tym... skandalu.

Peter kiwa głową.

– A rodzina Erdahlów?

– Ojciec Kevina wycofał wszystkie pieniądze. Przeniósł je do Hed. Oczywiście chce nas zniszczyć. A jeśli Kevin nie zostanie skazany w sądzie za... wszystko, co się wydarzyło... to będzie grał w Hed Hockey. Wszyscy nasi najlepsi gracze pójdą za nim.

Peter opiera się o ścianę. Uśmiecha smutno.

– A więc dobre i złe wiadomości.

– Dobre to te, że nadal jesteś dyrektorem sportowym. Złe, że nie jesteśmy pewni, czy w następnym sezonie nadal będziemy mieć jeszcze klub, który mógłbyś poprowadzić.

Odwraca się do wyjścia, ale zatrzymuje w pół kroku. Spogląda nieśmiało przez ramię.

– Jestem ci winny przeprosiny.

Peter wzdycha i kręci powoli głową.

– Nie musisz mnie prosić o przebaczenie, to...

– Nie ciebie o to proszę – przerywa mu dyrektor.

Następnie przechodzi obok niego, staje przed Mayą i patrzy jej prosto w oczy.

David trzyma kubek w obu rękach. Błądzi wzrokiem po blacie.

– Może zabrzmieć teraz jak sentymentalna stara baba, ale chciałbym, żebyś wiedział, że doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Czego mnie nauczyłeś.

Sune poklepuje szczeniaka. Wbija wzrok w jego futro.

– Mogłem dać ci wolną rękę. Często nie pozwalała mi na to duma. Nie potrafiłem się przyznać, że nie było już we mnie gry.

David popija kawę. Spogląda na okno.

– Będę ojcem. To... wydaje się zapewne głupie, biorąc pod uwagę okoliczności, ale chciałem, żebyś to ty dowiedział się jako pierwszy.

Początkowo Sune nic nie mówi. Potem podnosi się, otwiera szafkę i wraca z butelką alkoholu.

– Wydaje mi się, że potrzebujemy mocniejszej kawy.

Wznoszą toast. David śmieje się krótko, ale szybko milknie.

– Nie jestem pewien, czy bycie trenerem uczyni mnie lepszym czy gorszym ojcem.

– Ojcostwo sprawi na pewno, że będziesz lepszym trenerem.

David dopija kawę i odstawia kubek na stół.

– Nie mogę zostać w klubie, który miesza ze sobą hokej i politykę. To właśnie ty mnie tego nauczyłeś.

Sune dolewa mu kawy.

– Nie mam wprawdzie dzieci, ale chcesz usłyszeć moją najlepszą radę dla rodziców?

– Tak.

– „Nie miałem racji”. Dobrze znać te słowa.

David uśmiecha się delikatnie, przetyka kilka łyków kawy.

– Rozumiem, że jesteś po stronie Petera. To był zawsze twój najlepszy uczeń.

– Prawie najlepszy – poprawia go Sune.

Nie patrzą na siebie. Obydwu błyszczą oczy.

– To córka Petera. Córka. On chce po prostu sprawiedliwości – tłumaczy głucho Sune.

David kręci głową.

– Nie. Nie sprawiedliwości. On chce wygrać. Chce, by rodzina Kevina czuła większy ból niż jego własna. To nie jest sprawiedliwość, tylko zemsta.

Sune napełnia im kubki. Unoszą je powoli do ust. Piją zatopieni w myślach.

– Przyjdź do mnie, gdy twoje dziecko skończy piętnaście lat. Może wtedy będziesz myślał inaczej.

David się podnosi. Żegnają się mocnym, ale krótkim uściskiem. Jutro każdy z nich pojedzie w swoją stronę, jeden do Hed, a drugi do Björnstad. W następnym sezonie będą przeciwnikami.

Adri stoi w kuchni u mamy. Katia i Gaby dyskutują o zastawie, których misek trzeba użyć i jakie zapalić świece. Gdy w kuchni pojawia się Benji, mama całuje go w policzek, powtarzając, że go kocha i że jest światłem jej życia, po czym klnie na jego nogę, wyjaśniając, że równie dobrze mógłby złamać kark, bo najwyraźniej i tak nie używa głowy.

Słychać dzwonek do drzwi. Kobieta po drugiej stronie przeprosza, że przeszkadza tak późno. Jej skóra wydaje się na nią za duża, szkielet ledwie ma siłę utrzymać ją w pionie. Dziesięć minut zajmuje jej przekonanie mamy Benjiego, że nie ma potrzeby zapraszania jej na obiad, mama chłopca poszturchuje lekko Adri, sycząc: „Połóż na stole jeszcze jeden talerz”, po czym Adri popycha Gaby, rzucając: „Jeszcze jeden talerz”, a Gaby przekazuje informację dalej, kopiąc Katię w kostkę i krzycząc: „Talerz!”. Katia odwraca się w stronę Benjiego, ale widząc wyraz jego twarzy, zatrzymuje się w pół ruchu.

Mama Kevina stoi w drzwiach i patrzy na niego.

– Przepraszam. Chciałabym móc porozmawiać z Benjim – prosi błagalnym tonem, tak słabym i niepodobnym do jej własnego głosu, że brzmi, jakby był nagrany.

Kevin stoi w ogrodzie w pobliżu domu. Wystrzeliwuje krążek za krążkiem. Bang-bang-bang-bang-bang. W środku siedzi ojciec z nowo otwartą butelką whisky. Dziś wieczorem nie udało im się uzyskać wszystkiego, co chcieli, ale też nie przegrali. Jutro adwokat weźmie się do szukania argumentów, dlatego ten pijany młody człowiek, zakochany w dodatku w dziewczynie, nie jest wiarygodnym świadkiem. Kevin zacznie grać w Hed Hockey, zabierze ze sobą drużynę, prawie

wszystkich sponsorów, a rodzinne plany na życie pozostaną niezmienione. Wkrótce całe miasto będzie po prostu udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Bo ta rodzina nie przegrywa. Nawet jeśli tak się dzieje. Bang-bang-bang-bang-bang.

Benji siedzi na ławce przed domem. Obok niego mama Kevina odchyła głowę i spogląda na gwiazdy.

– Przypomina mi się wyspa, na którą pływaliście latem z Kevinem jako dzieci – mówi.

Benji nie odpowiada, ale też o tym rozmyślał. Znaleźli ją, gdy byli mali. Nie na dużym jeziorze poniżej hali lodowiska, gdzie wszyscy przychodzili się latem kąpać, tam nie mieliby spokoju. Maszerowali kilka godzin przez las, by dotrzeć do innego, mniejszego jeziora. Bez pomostu i ludzi. Na jego środku znajdowało się kilka skał i drzew, które z brzegu wyglądały jak zarośla z kupą bezsensownych kamieni. Chłopcy przenieśli przez cały las łódkę, przeprawili się nią na sam środek jeziora i wygospodarowali na wysepce powierzchnię wystarczająco dużą, by rozbić tam namiot. To było ich tajemne miejsce na ziemi. Pierwszego lata spędzili tam jeden dzień, kolejnego kilka. Jako nastolatki wiele tygodni. Każdą chwilę wolną od hokeja, zanim zaczynał się kolejny sezon. Znikali z miasta. Kąpali się nago w jeziorze, suszyli w słońcu na skałach, łowili ryby na obiad i spali pod gołym niebem.

Benji spogląda teraz w to samo niebo. Mama Kevina przygląda mu się uważnie.

– Wiesz, Benjamin, to przedziwne, że tyle osób w tym mieście uważa, że to nasza rodzina zajęła się tobą po śmierci twojego taty. A przecież było na odwrót. Kevin spędził więcej czasu u twojej mamy niż ty u nas. Wiem, że bałaganiliście u nas w domu, gdy nas nie było, tak żeby wyglądało, że Kevin tam nocował, ale...

– Pani wiedziała – przytakuje Benji.

Mama Kevina się uśmiecha.

– Wiem też, że specjalnie kopiesz we frędzle w dywanach, tak żeby wprowadzić u nas chociaż delikatny nieład.

– *Sorry.*

Matka Kevina spogląda na dłonie. Bierze głęboki wdech.

– To twoja mama prała wasze stroje, gdy byliście mali, to ona wam gotowała, a gdy starsi chłopcy w szkole wam dokuczali, to...

- ...przychodziły moje siostry i spuszczały im manto.
- Masz dobre siostry.
- Trzy wariatki.
- To akurat błogosławieństwo, Benjamin.

Benji przytakuje ciężko, wciska złamaną stopę w ziemię, tak aby sprawiała większy ból niż ten drugi. Kobieta zagryza wargę.

– Matce trudno czasem przyznać się do pewnych rzeczy. Zauważyłam, że nie czekałeś na nas przed posterunkiem policji. Nie przyszedłeś do nas do domu. I nie było cię wczoraj na zebraniu. Ja... – Kciukiem i palcem wskazującym przeciera szybko oczy, przetyka ciężko ślinę. – Odkąd byliście mali, za każdym razem, gdy były z wami jakieś problemy, zarówno nauczyciele, jak i rodzice obstawali, że to ty zacząłeś, i zrzucali to na karb tego, że „brakuje ci męskiego wzorca”. Nigdy nie wiedziałam, co mam na to odpowiedzieć. Bo nigdy w życiu nie słyszałam nic głupszego.

Benjamin patrzy na nią zdziwiony, ukradkiem, kobieta otwiera oczy, wyciąga dłoń i kładzie mu delikatnie na policzku.

– Wasza drużyna... Wiem, jak się uwielbiacie. Jacy jesteście względem siebie lojalni. Czasami sama już nie jestem pewna, czy to błogosławieństwo, czy też przekleństwo. Pamiętasz, jak mieliście dziesięć lat i zrobiliście sobie proce? Kevin rozbił szybę w oknie sąsiada i obwinili ciebie. Bo gdy wszyscy inni uciekli, ty zostałeś. Wiedzałeś, że ktoś musi za to odpowiedzieć i że będzie gorzej, jeśli wina spadnie na Kevina niż na ciebie.

Benji przeciera oczy. Mama przyjaciela nadal trzyma dłoń na jego policzku. Poklepuje go i się uśmiecha.

– Wiem, że nie jesteś najgrzeczniejszym chłopakiem na świecie. Ale na Boga, nigdy nie brakowało ci męskiego wzorca. Wszystkie najlepsze cechy masz dzięki domowi pełnemu kobiet.

Benjamin zaczyna dygotać na całym ciele, mama Kevina przysuwa się i obejmuje go czule.

– Mój syn nigdy nie umiał ci kłamać, prawda? – stwierdza. – Mógł kłamać całemu światu. Ojcu. Mnie. Ale nigdy... tobie.

Siedzą tak objęci przez chwilę. Minutę z ich życia. Po czym mama Kevina podnosi się i odchodzi.

Benji próbuje zapalić papierosa. Ręce trzęsą mu się za bardzo, by mógł utrzymać w nich zapalniczkę. Łzy gaszą płomień.

Ojciec wciąż siedzi w kuchni. Przed nim stoi otwarta, ale nieruszona butelka whisky. Bang-bang-bang-bang-bang. Matka przychodzi do domu, patrzy na męża, przystaje na chwilę w korytarzu i przygląda się obrazom na ścianie. Oprawionemu w ramę rodzinnemu zdjęciu. Wisi krzywo, rama jest zniszczona, kawałki szkła leżą na podłodze. Ręka ojca krwawi. Matka nic nie mówi, zamiata tylko szkło i wyrzuca do kosza. Następnie wychodzi do ogrodu. Bang-bang-bang-bang-bang. Gdy Kevin idzie, by pozbierać krążki, łapie go za ramię. Nie mocno, ze złością, ale wystarczająco, by się odwrócił w jej stronę. Patrzy mu w oczy, syn spuszcza wzrok, matka łapie go za podbródek i unosi mu głowę. Tak, by musiał na nią patrzeć. Aż wie.

Ta rodzina nigdy nie przegrywa. Ale pozna prawdę.

Anderssonowie siedzą w kuchni. Cała piątka, razem z Aną. Grają w dziecięcą grę karcianą. Nikt nie wygrywa, bo wszyscy dają fory pozostałym. Słychać dzwonek do drzwi. Peter otwiera. Stoi w milczeniu i tylko się gapi. Mira idzie za nim, ale przystaje, gdy widzi, kto to jest. Ostatnia przychodzi Maya.

Minęło zbyt wiele czasu, by policja mogła użyć czegokolwiek jako wiarygodnego dowodu. Powinna była zrobić zdjęcia, nie kąpiąć się, zgłosić się od razu na policję. Teraz jest już za późno, tak powiedzieli. Ale na szyi i przegubach dziewczynki nadal widać siniaki. Każdy może je zobaczyć. Ślady silnych palców, które ją zmuszały. Przytrzymały. Dusily jej krzyk.

Przed domem stoi mama Kevina. Rozbita na kawałki istota, ginąca we własnym ubraniu. Kolana jej drżą, próbując utrzymać ją na nogach, aż w końcu uginają się pod nią. Upada zaraz obok stóp dziewczynki, trzęsąc się, wyciąga dłoń, jakby chciała jej dotknąć, ale jej nie dosięga. Maya stoi bez słowa. Zamyka oczy, przestaje oddychać, jej skóra jest niema, kanaliki łzowe tak znieczulone, jakby jej własne ciało nie należało do niej. Po chwili ostrożnie wyciąga palce, niczym wytrychy

w zamku, i gładzi pocieszająco włosy histerycznie płaczącej kobiety, wtulonej w jej nogi.

– Przepraszam... – szepcze matka Kevina.

– To nie pani wina – odpowiada dziewczynka.

Jedna z nich upada. Druga zaczyna się podnosić.

Bang-bang-bang.

Mało jest w sporcie zespołowym słów, które trudniej wyjaśnić niż „lojalność”. Uważa się ją zawsze za coś pozytywnego, za coś, na czym opierają się najlepsze rzeczy, które człowiek robi dla innych. Problem w tym, że i najokropniejsze rzeczy, których dokonuje się przeciwko innym, bazują dokładnie na tym samym.

Bang-bang-bang.

Amat stoi przy oknie w pokoju Zachariasza i widzi pierwszego z nich skradającego się między domami. Kaptur na głowie, twarz schowana za szalikiem. Zachariasz jest w toalecie. Amat mógłby go poprosić, by wyszedł razem z nim. Mógłby też po prostu ukryć się tu na całą noc. Ale wie, że zamaskowana postać szuka właśnie jego i że kolejni są już w drodze. Pomagają sobie nawzajem, na tym zbudowana jest drużyna. Ich nienawiść nie opiera się teraz na tym, co zrobił lub czego nie zrobił Kevin. Ale na tym, że Amat wystąpił przeciw drużynie. Są armią i potrzebują wroga.

Amat wychodzi więc ukradkiem na korytarz i wkłada kurtkę. Nie chce, by z jego powodu Zachariasza spotkała krzywda, ale nie może ryzykować, że ktoś będzie się chciał dostać do mieszkania jego mamy w pogoni za nim samym.

Gdy Zachariasz wraca z toalety, jego przyjaciela już nie ma. Z czystej lojalności.

Bang-bang.

Ann-Katrin stoi przy oknie w domu obok warsztatu, gdy młodzi mężczyźni skradają się między drzewami. Lyt na przodzie, ośmiu–dziewięciu chłopców za nim. Niektórzy są z juniorów, rozpoznaje ich twarze, kilku to starsi bracia, jeszcze

więksi. Wszyscy noszą bluzy z kapturem i ciemne szaliki. To nie drużyna, nie banda, to lincz.

Bobo wychodzi do nich na śnieg. Ann-Katrin przygląda się synowi, podczas gdy Lyt kładzie mu dłoń na ramieniu, wyjaśnia plan działania i wydaje rozkaz. Całe życie Bobo marzył tylko o jednym: o byciu częścią czegoś. Mama widzi, jak syn próbuje coś wyjaśnić Lytowi, ale ten już dawno stracił panowanie nad sobą. Krzyczy i popycha Bobo, przykładając palec do jego czoła i Ann-Karin nawet z okna odczytać może słowo „zdrajca” na jego ustach. Młodzi mężczyźni poprawiają kaptury na głowach, maskują twarze szalikami i znikają między drzewami. Bobo tkwi samotnie w śniegu, aż w końcu zmienia zdanie.

Knur stoi pochylony nad silnikiem, gdy syn wchodzi do garażu. Ojciec prostuje się nieznacznie i obaj spoglądają ukradkiem na siebie, nie podnosząc wzroku. Ojciec wraca ponownie do przerwanej zajęcia. Bobo zabiera bluzę z kapturem i szalik.

Bang.

Filip je obiad z rodzicami. Nie rozmawiają za wiele. Jest najlepszym obrońcą w zespole, któregoś dnia osiągnie o wiele więcej. Gdy w dzieciństwie znacznie odbiegał pod względem rozwoju fizycznego od reszty rówieśników, wszyscy spodziewali się, że nie będzie chciał tego ciągnąć. Ale on nigdy nie przestał walczyć. Gdy był najsłabszy w drużynie, nadrabiał dobrym czytaniem gry, będąc zawsze w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Teraz jest jednym z najsilniejszych graczy. I najbardziej lojalnych. Byłby niesamowitym wsparciem wśród chłopaków ubranych w kaptury i szaliki.

Restauracja w Hed nie jest specjalnie dobra, ale jego matka uparła się, żeby jechać do niej właśnie dziś, po zebraniu. Zostają aż do zamknięcia. Więc gdy chłopcy, którym Filip nigdy by nie odmówił, dzwonią do jego drzwi, jest jak zwykle w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Nie w domu.

Bang.

Amat dygocze z zimna, ale z premedytacją nie rusza się spod latarni. Chce, żeby widzieli go z daleka, tak aby nikt inny nie został już w to wmieszany. Nigdy nie

będzie potrafił wytłumaczyć, skąd wziął do tego odwagę, może po jakimś czasie ma się po prostu dość strachu.

Nie jest pewien, ilu ich krąży pomiędzy domami, ale ich postawa jest tak pełna przemocy, że zdaje sobie sprawę, że nie zdąży nawet zadać jednego ciosu, zanim wszyscy naraz rzucą się na niego. Serce podchodzi mu do gardła. Nie jest pewny, czy chcą go wystraszyć, napiętnować i zrobić z niego przykład dla innych, czy też naprawdę myślą, że już nigdy nie będą mogli grać w hokeja. Jeden z nich trzyma coś w rękach, chyba kij bejsbolowy. Gdy mijają ostatnią latarnię przed nim, w ręce jednego z nich błyszczy metalowa rurka. Amat broni się rękami przed pierwszym uderzeniem, drugie trafia go natychmiast w głowę, przeszywający ból spływa wzdłuż kręgosłupa, gdy ktoś uderza go rurką w udo. Przedziera się i próbuje wyszarpać z hordy napastników, ale to nie zwykła bójka, tylko pobicie. Krwawi, upadając na śnieg.

Bang.

Bobo zawsze umiał się bić. W pewnych kręgach młodzieży łatwo dzięki temu zyskać uznanie. Jest nie tylko silny i niewiarygodnie wytrzymały podczas starć, ale ma również zaskakująco dobry refleks, biorąc pod uwagę, jak wolno i ciężko kapuje w innych sytuacjach. Bobo nigdy jednak nie miał dobrej kondycji, jest za ciężki, by biegać na dłuższych odcinkach, więc naprawdę musi walczyć, by dotrzymać kroku zamaskowanym postaciom i nie być kompletnie wycieńczonym, zanim dotrą na miejsce. Wie, że nie będzie miał zbyt wiele czasu, by pokazać im, kim naprawdę jest. Jaki potrafi być lojalny, odważny, nieegoistyczny.

Zwalniają, gdy zauważają Amata. Piętnastolatek stoi sam i na nich czeka.

– Trzeba mu przyznać, że ma jaja, nie uciekając i nie chowając się przed nami – mruczy Lyt.

Gdy pada pierwszy cios, Amat chroni się rękami, potem niewiele jest już w stanie zobaczyć. Bobo ma wtedy kilka sekund, by wystąpić z tylnego rzędu i uderzyć Lyta raz, ale z całej siły, tak że jego szalik opada z twarzy, a ciężkie ciało obija się o ścianę. Łokciem uderza innego chłopca, z którym gra w hokeja, odkąd ledwie potrafił stanąć na łyżwach, a z nosa kolegi eksploduje krew.

Ma tylko kilka sekund, zanim jego drużyna zrozumie, kim jest. Zdrajcą. Amat leży na ziemi, Bobo walczy niczym dzikie zwierzę, uderza głową, kolanami,

wymachuje pięściami jak młotem. Staje jednemu z napastników na kolano i słyszy, że coś pęka, czuje, jak kości w ich twarzach poddają się jego pięściom. Ale w końcu pada, zwyciężony nadmierną liczbą i ciężarem napastników. Lyt siedzi na nim i wymierza mu cios za ciosem, wrzeszcząc prosto w mrok: „Ty cipo! Ty cipo! Ty jebana, tchórzliwa, zdradziecka cipo!”.

Bang.

Dwadzieścia metrów dalej między domami zatrzymuje się jakiś samochód. Ktoś, kto najwyraźniej nie chce się mieszać, ale zapala światła na kilka krótkich chwil, rozświetlając całą scenę. Jeden z napastników krzyczy do Lyta: „Ktoś idzie! Wiejemy! Wiejemy!”. I uciekają. Niektórzy klną, inni utykają, w ciemności cichnie wspólny miarowy tupot butów.

Jeszcze długo po tym Amat leży skulony w pozycji embrionalnej, nie dowierza, że już skończyli go kopać. Powoli i delikatnie porusza każdą kończyną, upewniając się, że nie ma nic złamanego. Przekręca nieznacznie głowę na bok, paraliżuje go ból, pole widzenia jest zamazane, ale widzi kolegę z drużyny, który leży obok w śniegu.

– Bobo?

Twarz ogromnego kolegi jest tak samo okaleczona jak jego dłonie. Kilku przeciwników pewnie nie było w stanie uciec o własnych siłach i reszta musiała im pomóc. Gdy Bobo otwiera usta, z miejsca, gdzie powinien znajdować się przedni ząb, wypływa krew.

– Jesteś cały? – pyta Bobo.

– Tak... – jęczy Amat.

Bobo uśmiecha się nieznacznie.

– Jeszcze raz?

Amat prycha. Potrzeba niewyobrażalnej siły, by wydusił z siebie:

– JESZCZE RAZ!

– JESZCZE RAZ! – krzyczy Bobo.

Z uśmiechem na twarzy opadają znów na ziemię. Dyszą ciężko i dygoczą.

– Dlaczego? Dlaczego mi pomagasz? – pyta cicho Amat.

– Ech, i tak mnie nie wezmą do pierwszego zespołu Hed. Ale Björnstad rzeczywiście może być w przyszłym sezonie takie słabe, że nawet ja się załapię.

Amat wybucha śmiechem; nie powinien tego robić, bo dopiero wtedy zauważa, że prawdopodobnie ma złamane zebro. Wydaje z siebie krzyk, Bobo śmiałyby się może z tego głośniej, gdyby nie fakt, że tak bardzo boli go szczeka.

Bang. Bang. Bang.

W samochodzie kawałek dalej gasną reflektory. Dwaj mężczyźni w czarnych kurtkach wahają się kilka chwil. Nigdy nie wiadomo, komu można ufać w Björnstad. Ale oni wychowali się w Futrze, a tam ceni się lojalność w trochę inny sposób. Są niebezpieczni, wiedzą, jak przepelnić kogoś strachem, więc doceniają odwagę u kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że zostanie pobity, a jednak nie ucieka. Wysiadają w końcu z samochodu i podchodzą pod latarnię. Amat spogląda na nich przez zapuchnięte powieki, gdy pochylają się nad nim.

– To wy byliście w samochodzie? – jęczy.

Mężczyźni przytakują nieznacznie. Amat próbuje usiąść.

– Uratowaliście nam życie, dziękuj...

Jeden z mężczyzn pochyla się ku niemu.

– Nie dziękuj nam, tylko Ramonie – rzuca ponuro. – My nadal, kurwa, nie wiemy, czy możemy ci ufać. Ale mogłeś siedzieć cicho na tym zebraniu, miałeś wiele do stracenia, opowiadając o Kevinie. A Ramona spojrzęła ci w oczy. I ci wierzy. A my wierzymy jej.

Podaje Amatowi kopertę. Jego towarzysz wbija wzrok w Amata.

– Przydałoby się, żebyś rzeczywiście był tak dobry w hokeja, jak wszyscy uważają.

Gdy silnik saaba znów się zapala i mężczyźni znikają w mroku, Amat zagląda do koperty. Znajduje w niej pięć pomiętych banknotów po tysiąc koron.

Nigdy nie wiadomo, komu można ufać w Björnstad. Odjeżdżający saabem mężczyzna w czarnej kurtce wie to tak samo dobrze jak inni. Ocenia więc ludzi po tym, co widzi. Widział, jak ojciec Keviną przyjechał do Niecki, by dać Amatowi sumę większą niż miesięczny czynsz za mieszkanie jego mamy, i jak chłopiec

wyrzucił pieniądze w śnieg. Ten sam chłopiec, wiedząc, ile ma do stracenia, stanął na zebraniu przed całym miastem i nie spuścił wzroku. A wieczorem mężczyzna widział go czekającego, mimo że tamten zdawał sobie sprawę, że go pobiją. Nie uciekł, stał tam i czekał.

Mężczyzna w czarnej kurtce nie jest pewien, czy to wystarczy, by komuś ufać. Jedyna osoba na świecie, której naprawdę wierzy, to Ramona i tylko jeden jedyny raz próbował jej skłamać. Był jeszcze nastolatkiem, gdy zapytała go, czy przypadkiem nie znalazł koło stołu bilardowego zgubionego portfela. Zaprzeczył, a ona od razu to wyłapała. Gdy zapytał, skąd wiedziała, zdzieliła go miotłą przez głowę, krzyząc: „Jestem, gówniarzu, właścicielką BARU, do cholery! Nie wydaje ci się, że mam pewne doświadczenie, jeśli chodzi o to, kiedy faceci kłamią?”.

Pewnego dnia mężczyzna w czarnej kurtce pomyśli też może o tym, dlaczego brał pod uwagę tylko to, czy prawdę mówi Kevin czy Amat. Dlaczego nie wystarczyły mu słowa Mai.

Bang. Bang. Bang.

W sali prób w Hed młody chłopak odkłada instrument, by otworzyć drzwi, do których właśnie ktoś zapukał. Po drugiej stronie, wspierając się na kulach, stoi Benji, w ręce trzyma parę łyżew. Basista wybucha śmiechem. Idą na małe lodowisko za halą w Hed. Benji ma lepszą równowagę o kulach niż basista na łyżwach. Całują się po raz pierwszy na lodzie.

Bang.

Przez ciemny jak smoła las maszerują dwie dziewczynki. Zatrzymują się w małym zagajniku i zapalają latarki. Odgrywają swój tajemny uścisk dłoni. Przyrzekają sobie lojalność. Po czym biorą w dłoń każda swoją strzelbę i strzelają raz za razem w stronę jeziora.

Bang.

Na samym środku tafli lodowiska w Björnstad stoi ojciec. Spogląda na wymalowanego pod lodem niedźwiedzia. Pierwszego dnia w szkółce łyżwiarskiej, gdy był jeszcze bardzo mały, strasznie bał się tego niedźwiedzia.

Czasem nadal tak się czuje.

Niedźwiedź jest nieruchomy, Peter zbiera krążki. Podnosi na nowo kij.

Bang-bang-bang.

Nadchodzi nowy dzień. Jak zawsze. Czas płynie w tym samym tempie, tylko uczucia mają różną prędkość. Każdego dnia może nam się przytrafić zwykłe życie albo katastrofa, w zależności od tego, z kim go spędzamy.

Knur stoi w garażu w warsztacie, wyciera brudne od oleju ręce w koszulkę, drapie się po brodzie. Bobo siedzi na krześle z kluczem nastawnym w dłoni, gapiąc się tysiące kilometrów w nicość, z twarzą pełną strupów i siniaków. Jutro zabiorą go do dentysty, hokej już wcześniej sprezentował mu przerwy w uzębieniu, ale tym razem jest inaczej. Ojciec oddycha z trudem, przysuwając do niego taboret.

– Rozmawianie o uczuciach nie przychodzi mi łatwo – mówi ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Rozumiem – odpowiada syn.

– Próbuję wam na inne sposoby pokazać, że... że kocham ciebie i twoje rodzeństwo.

– Wiemy, tato.

Knur odchrząkuje, usta ledwie poruszają się pod wąsami.

– Powinniśmy więcej rozmawiać, ty i ja. Po tej historii z Kevinem... powinienem być z tobą porozmawiać. O... dziewczynach. Masz już siedemnaście lat, niedługo będziesz dorosły i bardzo silny. A za tym idzie odpowiedzialność. Musisz się... zachowywać.

Bobo kiwa głową.

– Tato, ja nigdy bym nie... jakąś dziewczynę... Ja nigdy bym nie...

Knur go powstrzymuje.

– Nie chodzi tylko o to, by nikogo nie krzywdzić. Ale też o to, by nie siedzieć cicho. Byłem tchórzem. Powinienem być im pomóc. A ty... O rany, synu...

Delikatnie poklepuje Bobo po opuchliznie. Nie chce mu powiedziec, ze jest dumny, bo Ann-Katrin zabronila mu to robic, gdy syn sie bije. Tak jakby sie dalo zabronic dumy!

– Tato, to, co zrobil Kevin... Ja nigdy bym... – szepcze Bobo.

– Wierze ci.

Z glosu syna przebija zaklopotanie.

– Ale nie, nie rozumiesz, ja nawet nie... no wiesz...

Ojciec przeciera czoło zażenowany.

– Bobo, nie jestem w tym za dobry. Ale... masz na myśli, że...

– Jestem prawiczkiem.

Ojciec masuje się po brodzie, z całych sił próbując ukryć to, że wolałby wbić sobie dłuto w czoło, niż odbywać tę dyskusję.

– Okej, ale jesteś obeznany z... no wiesz, pszczołami i kwiatami i całym tym głównem... Wiesz, jak to się robi?

– Widziałem na jakimś pornosie, jeśli o to ci chodzi – odpowiada Bobo, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

Ojciec pokasłuje z opanowaniem.

– Potrzebuję... Dobra, nawet nie wiem, gdzie zacząć. O wiele łatwiej było wyjaśniać ci silniki...

Bobo zaciska dłonie wokół klucza nastawnego. Jego barki będą niedługo tak szerokie jak ojca, ale głos jest zaskakująco młody, gdy pada pytanie:

– Ja, no... Czy jest się cipą, jeśli... jeśli najpierw chce się wziąć ślub? To znaczy, chciałbym, żeby to było coś wyjątkowego, pierwszy raz... Chciałbym kogoś kochać, a nie tylko... się pieprzyć. Jestem cipą?

Śmiech ojca odbija się echem po całym garażu, jest tak nagły, że Bobo aż wypada z rąk klucz. To nie jest dźwięk, do którego ten garaż jest przyzwyczajony.

– Nie, chłopcze, nie, nie. Na Boga! No co ty! To o to chciałeś zapytać? Nikim takim cię to nie czyni. To twoja prywatna sprawa i walić to, co myślą ludzie.

Bobo kiwa głową.

– Mogę zapytać jeszcze o coś innego?

– Pewnie...

– Skąd wiadomo, że ma się fajnego fiuta?

Klatka piersiowa ojca podnosi się w oddechu ciężkim niczym idący na dno statek.

– Muszę się napić whisky, jeśli mamy rozmawiać na ten temat.

Ann-Katrin stoi schowana za drzwiami garażu. Słyszy wszystko. Nigdy nie była bardziej dumna niż dziś z któregokolwiek z nich. Z głuptasów.

Fatima jedzie z synem autobusem przez las do Hed. Siedzi w pokoju obok, gdy ten zeznaje. Nigdy wcześniej się tak nie bała ani o siebie, ani o niego. Policja pyta, czy był pijany, czy w pokoju było ciemno, czy było czuć marihuanę i czy darzy kobietę jakimś szczególnym uczuciem. Amat nie waha się przy ani jednym detalu, nie jąka się w odpowiedziach, jego wzrok jest spokojny.

Kevin siedzi w tym samym pomieszczeniu kilka godzin później. Pytają, czy nadal obstaje przy swojej wersji wydarzeń i czy nadal uważa, że ta młoda kobieta odbyła z nim stosunek płciowy całkowicie dobrowolnie. Chłopak patrzy na swojego adwokata. Potem na ojca. Następnie spogląda policjantowi prosto w oczy i kiwa głową. Zapewnia. Przysięga. Obstaje przy swoim.

Całe dzieciństwo wmawia się dziewczynkom, że muszą się jedynie postarać. Że wystarczy, jeśli po prostu dadzą z siebie wszystko. Gdy same zostają matkami, obiecują swoim córkom, że to prawda, że jeśli tylko postarają się z całych sił, będą szczerze i pracowite, będą dbały o rodzinę i ją kochały, to wszystko się ułoży. Wszystko będzie dobrze, nie ma się czego bać. Dzieci potrzebują kłamstw, by nie bać się zasypiać w swoich łóżkach, rodzice, by mieć siłę wstać następnego dnia.

Mira siedzi w gabinecie i patrzy na koleżankę, która właśnie do niej przyszła. Kobieta trzyma w ręce telefon, ma przyjaciela na posterunku w Hed, jej twarz jest czerwona ze smutku i złości. Nie może przekazać wiadomości na głos. Pisze ją więc na kartce. Gdy Mira bierze ją do ręki, koleżanka nadal trzyma ją w dłoni. Gdy Mira upada na ziemię, przytrzymuje ją. Krzyczy razem z nią. Na kartce są dwa zdania. Cztery słowa. „Dochodzenie zamknięto. Niewystarczające dowody”.

Całe życie próbujemy chronić tych, których kochamy. To nie wystarcza. Nie mamy rady. Mira wlecze się do samochodu. Jedzie prosto do lasu, jak najdalej

w głąb, śnieg między drzewami tłumi huk, gdy zatrzaskuje za sobą drzwi tak, że aż wgina się karoseria.

Jej krzyk odbija się echem, które nigdy już nie zamilknie w jej sercu.

Koło południa mama Kevina wychodzi ze śmieciami. Wszystkie domy są ciche, wszystkie drzwi zamknięte. Nikt nie zaprasza jej na kawę. Dostała dziś mejla od adwokata, z dwoma zdaniem i czterema słowami, które zapewniają, że jej chłopiec jest niewinny.

Ale ulica wieje pustką. Bo wszyscy znają prawdę. Tak jak ona. Nigdy nie czuła się bardziej samotna.

Głos jest miękki, ręka na jej ramieniu wskazuje na pewną siebie empatię.

– Proszę wejść na kawę – mówi Maggan Lyt.

Kuchnia sąsiadów, w której siedzi teraz mama Kevina, jest przytulna i pełna rodzinnych zdjęć, zawieszonych trochę nierówno na ścianach. Nikt zdaje się nie zwracać na to uwagi.

– Kevin jest niewinny – mówi Maggan Lyt. – To obłudne miasto może sobie myśleć, że wolno im ustalać własne prawa i wymierzać sprawiedliwość, ale Kevin jest niewinny! Przecież policja to potwierdziła! Zarówno pani, jak i ja wiemy, że nigdy nie zrobiłby tego, o co jest oskarżany. Nigdy! Nie nasz Kevin! To cholerne miasto... Obrońcy moralności i hipokryci. Przejmiemy klub w Hed, pani mąż i mój, pozostali sponsorzy, chłopcy z drużyny, zniszczymy Björnstad Hockey. Bo gdy to miasto próbuje nas zniszczyć, to trzymamy się razem. Prawda?

Mama Kevina kiwa z wdzięcznością głową. Pije kawę. W głowie kotłuje jej się jedna myśl: „W tym świecie samemu jest się nikim”.

Po południu Benji znów jest w drodze do Hed, dostaje esemesa, gdy jest już niemal w sali prób. Trzyma telefon w ściśniętej dłoni, aż ekran pokrywa się potem. Prosi Katię, by zawróciła, siostra prawie pyta, co się stało, ale patrzy na niego i wie, że to nie ma sensu. Benji wysiada w środku lasu, zabiera kule i wchodzi między drzewa. Nikt nigdy nie zobaczy tego esemesa, nikt i tak by go nie zrozumiał. Na ekranie telefonu wyświetla się tylko: „Wyspa?”.

Basista siedzi na taborecie w sali prób. Nie gra. Trzyma tylko w rękach parę łyżew i godzinami czeka na kogoś, kto nigdy się nie pojawi.

Lato przyjdzie dopiero za kilka miesięcy, ale woda w jeziorze już zaczęła kręcić się niespokojnie w zimowym śnie, a lód na niej kapituluje powoli nowymi pęknięciami każdego dnia. Jeśli stoi się przy brzegu, to wszystko zdaje się statycznym obrazem w stu odcieniach bieli, ale gdzieś tam pojawia się już niewielka obietnica zieleni. Nadejdzie nowa pora roku, potem kolejny rok, życie będzie się toczyć dalej, a ludzie zapomną. Niektórzy, bo mają problemy z pamięcią, inni, bo nie chcą pamiętać.

Kevin siedzi na kamieniu i patrzy w stronę wyspy, która była ich tajemnicą. Właśnie dlatego nie mieli ich tam przed sobą. Kevin stracił swój klub, ale nie stracił drużyny. Pogra jeden sezon w Hed Hockey, potem przyjmie propozycję od jakiegoś większego klubu, a potem poleci do Ameryki. Weźmie udział w drafcie NHL, profesjonalny klub zakwalifikuje zgłoszenie na policję jako „problem poza lodowiskiem”. Zada jedno czy dwa pytania, ale przecież wiadomo, jak to jest. Zawsze znajdują się dziewczyny, które szukają zainteresowania, coś takiego załatwiają przecież sąd i policja, to nie ma nic wspólnego ze sportem. Kevin dostanie wszystko, czego chciał. Została jeszcze tylko jedna sprawa.

Maya czeka na schodach przed domem, gdy mama wraca z pracy. Mira nadal trzyma w ręce kartkę od koleżanki, zwiniętą w kulkę jak odbezpieczony granat. Pochylają ku sobie głowy. Nic nie mówią, i tak nic nie byłoby słychać, echo ich krzyczących serc jest aż nadto ogłuszające.

Benji idzie ze złamaną nogą w śniegu całą drogę przez las. Wie, że dokładnie tego chce Kevin. Dowodu, że Benji nadal należy do niego, że nadal jest lojalny i że wszystko może być dokładnie jak kiedyś. Gdy dociera na miejsce i patrzy na swojego przyjaciela, obaj wiedzą, że tak może być. Kevin uśmiecha się i go obejmuje.

Mama kładzie dłonie na twarzy dziewczynki. Ocierają sobie nawzajem oczy.

– Nadal są rzeczy, które możemy zrobić, na przykład zażądać nowego przesłuchania, jestem w kontakcie z adwokatem, który specjalizuje się

w przestępstwach seksualnych, możemy go tu sprowadzić, możemy... – wymienia jedno rozwiązanie za drugim Mira, ale Maya uspokaja ją delikatnie.

– Mamo, musimy to już zakończyć. Ty musisz to zakończyć. Nie damy rady tego wygrać.

– Nie zamierzam pozwolić wygrać tym sukinsynom... Nie zamierza... – odpowiada Mira drżącym głosem.

– Musimy żyć dalej, mamo. Proszę cię. Nie pozwól mu również zabrać mi rodziny, całego naszego życia. Nigdy już nie będzie dobrze, mamo, tak naprawdę dobrze, nigdy nie przestanę się bać ciemności... Ale musimy zacząć próbować. Nie chcę żyć wojną.

– Nie chcę, żebyś myślała, że ja... że my nie... że pozwolę, by uszło im to płazem... Jestem ADWOKATEM, Mayu, to moja PRACA! Moim zadaniem jest cię chronić! Pomścić, to moje zadanie... moje... to moja cholerna praca...

Oddech dziewczynki się rwie, ale dłonie na skroniach matki są spokojne.

– Nie ma lepszej mamy niż ty. Nie ma.

– Możemy się przeprowadzić, kochanie. Możemy...

– Nie.

– Dlaczego nie? – Mama szłocha.

– Bo to pieprzone miasto jest też moje – odpowiada dziewczynka.

Siedzą na schodach, obejmując się. Nie jest trudno się bić. Czasem to jednak najtrudniejsza rzecz na świecie. Zależy, po której stronie skóry się to robi.

Maya idzie do łazienki i przygląda się sobie w lustrze. Sama się dziwi, jak świetnie nauczyła się udawać, że jest silna. Ile tajemnic potrafi obecnie utrzymać. Przed Aną, mamą, wszystkimi. Niepokój i strach krzyczą ogłuszająco w jej głowie, ale pozostaje spokojna i zimna, myśląc o swojej tajemnicy. „Jednej. Potrzebuję tylko jednej kuli”.

Peter przychodzi do domu i siada przy stole kuchennym obok Miry. Nie wiedzą, czy kiedykolwiek uda im się odbudować samych siebie po tym wszystkim. Jak ich serca nadal będą miały siłę pompować krew w ciałach. Nigdy nie przestaną się wstydzić, że się poddali. Jak można przegrać, nie umierając? Jak można kłaść się wieczorem i wstawać rano?

Maya wchodzi do kuchni, staje za ojcem, obejmuje go za szyję.

– Zawiodłem cię. Jako ojciec... dyrektor sportowy w klubie... mężczyzna...
Zawiodłem cię we wszystkim.

Córka przytula go jeszcze mocniej. Gdy była mała, przed snem opowiadali sobie sekrety zamiast bajek. Tata przyznawał się jej na ucho: „Zjadłem ostatnie ciastko”, a córka odpowiadała: „To ja schowałam pilota”. I tak przez lata. Teraz pochyła się do jego ucha.

– Sekret? – pyta.

– Pewnie, Ogryzku.

– Też kocham hokej.

Łzy spływają Peterowi po policzkach.

– Ja też, Ogryzku, ja też – wyznaje.

– Zrobisz coś dla mnie, tato?

– Wszystko.

– Zbuduj jeszcze lepszy klub. Zostań i spraw, żeby sport był lepszy. Dla wszystkich.

Peter przyrzeka. Maya idzie do pokoju, wraca z dwoma zapakowanymi w papier paczkami. Stawia je przed rodzicami.

Następnie idzie do Any. Dziewczynki zabierają strzelby i wyruszają w śnieg, tam, gdzie nikt ich już nie usłyszy. Strzelają do wypełnionych wodą butelek, przyglądają się wybuchom, gdy pocisk trafia w cel. Strzelają z różnych powodów. Jedna pozbywa się agresji. Druga trenuje.

Benji zawsze czuł, że dla różnych ludzi ma w sobie różne wersje samego siebie. Wiedział też, że istnieją różne wersje Kevina. Ten na lodzie, w szkole, ten, gdy są sami. A przede wszystkim był Kevin na wyspie, który należał tylko do Benjiego.

Siedzą teraz każdy na swoim kamieniu, patrzą na wyspę. Swoją wyspę. Kevin chrząka cicho.

– W Hed będziemy mogli zrobić wszystko, co chcieliśmy w Björnstad. Pierwszy zespół, drużyna narodowa, NHL... Nadal możemy to wszystko! To miasto może

więc iść do diabła! – Kevin uśmiecha się z pewnością siebie, którą daje mu tylko obecność Benjiego.

Benji stawia złamaną stopę w śniegu, balansuje na niej lekko, przywołuje ból.

– Masz na myśli, że to ty dostaniesz wszystko – poprawia go.

– Co masz, kurwa, na myśli?! – wybucha Kevin.

– Że dostaniesz to, czego chciałeś. Zawsze dostajesz to, czego chcesz.

Oczy Kevina robią się duże, jego usta się zaciskają.

– O czym ty gadasz?

Benji odwraca się, tak że ich twarze są niecały metr od siebie.

– Nigdy nie umiałeś mi kłamać. Nie zapominaj o tym.

Źrenice Kevina giną, gdy ciemnieje mu wzrok. Podnosi pośpiesznie palec w kierunku Benjiego.

– Policja zamknęła dochodzenie. Przesłuchali wszystkich i ZAMKNEŁI dochodzenie. Nie było, kurwa, żadnego gwałtu! Więc nie gadaj, bo nawet cię tam nie było!

Benji przytakuje powoli.

– Nie. I tutaj też nie powinno mnie być.

Podnosi się i w tym momencie wyraz twarzy Kevina zmienia się z nienawiści w strach, z groźby w błaganie.

– No, proszę cię... Benji, nie idź! Ja... Przepraszam, okej? PRZEPRASZAM! KURWA, PRZEPRASZAM! Co jeszcze mam powiedzieć? Że cię potrzebuję? Potrzebuję cię, okej? POTRZEBUJĘ CIĘ!

Wstaje, wyrzucając ręce do góry. Benji coraz mocniej opiera się na złamanej stopie. Kevin robi krok do przodu, nie jest teraz tym chłopakiem, którego znają wszyscy w Björnstad, jest Kevinem z wyspy. Jego stopy delikatnie stąpają po śniegu, koniuszki palców ostrożnie głaszczą Benjiego po policzku.

– Przepraszam, okej? Przepraszam... Wszystko... wszystko będzie dobrze.

Ale Benji się odsuwa. Zamyka oczy. Czuje, że policzki robią mu się zimne.

– Mam nadzieję, że go odnajdziesz – mówi cicho.

Kevin marszczy czoło, nie rozumiejąc, co przyjaciel ma na myśli, wiatr wieje mu prosto w oczy.

– Kogo?

Benji postawił już kule w śniegu. Przeskakuje powoli między kamieniami, do lasu, jak najdalej od swojego najlepszego przyjaciela. Jak najdalej od wyspy.

– KOGO? KOGO MASZ NADZIEJĘ, ŻE ZNAJDE? – krzyczy za nim Kevin.

Odpowiedź Benjiego jest tak cicha, że sam wiatr zdaje się zmuszony do zmiany kierunku i przesłania słów dalej, żeby dotarły aż nad wodę.

– Kevina, którego szukasz.

W kuchni dwoje rodziców otwiera prezenty od córki. W opakowaniu Miry – kubek na kawę z rysunkiem wilka. U Petera – maszynka do espresso.

Niektórzy twierdzą, że dzieci nie zachowują się tak, jak uczą ich rodzice, tylko tak jak rodzice. Może to prawda. Ale dzieci często zachowują się też tak, jak uczą ich rodzice.

Basistę budzi pukanie do drzwi. Otwiera je, nie zakładając koszulki.

– Będziesz potrzebował więcej ubrań, jeśli mamy iść na łyżwy – prycha Benji.

– Czekałem na ciebie wczoraj cały wieczór, mogłeś zadzwonić – odpowiada cichym głosem zawiedziony basista.

– Wybacz.

I basista wybacz. Nawet jeśli nie chce. Bo jak nie wybaczyć chłopcu, który patrzy na niego w ten sposób?

W Futrze jest jak zwykle, śmierdzi czymś pomiędzy mokrym zwierzęciem a talerzem z jedzeniem zapomnianym za kaloryferem. Przy stołach siedzą mężczyźni, wyłącznie mężczyźni. Mira wie, że wszyscy zauważyli, gdy przyszła, ale nikt nie patrzy w jej kierunku. Zawsze była dumna z tego, że trudno ją wystraszyć, ale nieprzewidywalność tej grupy sprawia, że strużki potu płyną jej po plecach. Wystarczy, że musi ich oglądać na hali podczas meczów pierwszego zespołu, gdy wykrzykują obraźliwe komentarze pod adresem Petera pod koniec każdego nieudanego sezonu. Ich widok tutaj, ściśniętych w ciasnym pomieszczeniu, w większości pijanych, sprawia, że jest bardziej podenerwowana, niż chciałaby to przyznać.

Ramona łapie ją przez bar za rękę. Stara barmanka uśmiecha się, pokazując krzywe uzębienie.

– Miro, co cię tu sprowadza? Znudziły ci się abstynenckie pomysły Petera?

Mira uśmiecha się nieznacznie.

– Nie. Przyszłam podziękować. Słyszałam, co zrobiła pani na zebraniu. Co pani powiedziała.

– Nie ma takiej potrzeby – pomrukuje Ramona.

Mira staje przy barze.

– Ależ oczywiście, że jest – upiera się. – Stała pani po naszej stronie, gdy wszyscy inni byli przeciwko nam. Chciałam pani podziękować, patrząc pani prosto w oczy. Mimo że zdaję sobie sprawę, jak bardzo w tym mieście wstydzicie się mówić „dziękuję”.

Ramona śmieje się i pokasłuje.

– Ty to się, dziewczyno, nigdy za wiele nie wstydziłaś!

– Nie za bardzo. – Mira się uśmiecha.

Ramona poklepuje ją po ramieniu.

– Niestety, to miasto nie zawsze widzi różnicę między tym, co właściwe, a tym, co niewłaściwe, to trzeba przyznać. Ale znamy różnicę między dobrem a złem.

Paznokcie Miry wbijają się w bar. Przyszła tutaj nie tylko dlatego, żeby podziękować, ale również, żeby uzyskać odpowiedź. Teraz ociąga się z zapytaniem. A przecież tchórzostwo nigdy nie było jej mocną stroną.

– Dlaczego to zrobili? Dlaczego „Grupa” głosowała za tym, żeby Petera nie zwolniono?

Ramona gapi się na nią. W całym lokalu zalega cisza.

– Nie wiem, co... – zaczyna barmanka, ale Mira przerywa jej, unosząc obie dłonie.

– Proszę mi oszczędzić pieprzenia. I nie wmawiać, że nie ma czegoś takiego jak „Grupa”. Jest i nienawidzi Petera. – Nie odwraca się, ale czuje wzrok mężczyzn na sobie. Głos jej drży. – Jestem całkiem mądrą babką, więc umiem liczyć. Nie ma szans, żeby Peter mógł wygrać to głosowanie, jeśli „Grupa” i wszyscy, na których ma wpływ, nie stanęliby po jego stronie.

Ramona przygląda się jej długo, nie spuszczając z niej wzroku. Żaden z mężczyzn się nie podnosi. Nawet się nie rusza. W końcu Ramona powoli kiwa głową.

– Jak już mówiłam: ludzie tutaj nie zawsze widzą różnicę pomiędzy tym, co właściwe, a tym, co niewłaściwe. Ale znamy różnicę między dobrem a złem.

Klatka piersiowa Miry unosi się ciężko, tętnica na jej szyi pulsuje jak szalona, paznokcie zostawiają ślady na barze. Gdy nagle dzwoni jej telefon, podskakuje zdziwiona i zaczyna nerwowo szukać go w torebce. To ważny klient, więc zanim odrzuca rozmowę, waha się przez siedem długich sygnałów. Wypuszcza ciężko powietrze między zębami. Gdy ponownie podnosi wzrok, na barze przed nią stoi piwo.

– Dla kogo to? – pyta.

– Dla ciebie, cholerna wariatko. Rzeczywiście, dziewczyno, niczego się nie boisz. – Ramona wzdycha.

– Nie musi pani stawiać mi piwa – wydusza z siebie przeprasząco Mira.

– To nie ode mnie – odpowiada barmanka i poklepuje ją po ręce.

Mija chwila, zanim do Miry dociera, co to oznacza. Mieszka już jednak wystarczająco długo w lesie, żeby podnieść szklankę bez stawiania dodatkowych pytań. Pijąc, słyszy, jak mężczyźni za nią bezgłośnie wznoszą między sobą toast. W Björnstad nie za często się przeprasza. Wybaczają też nie. To ich sposób na powiedzenie, że w tym mieście nadal są ludzie, którzy mogą mieć w głowie więcej niż jedną myśl. Można chcieć walnąć dyrektora sportowego w mordę, a jednocześnie nie pozwolić komuś skrzywdzić jego dziecka.

Można darzyć szacunkiem kogoś, kto tu przychodzi i się nie boi. Bez względu na to, kim jest.

Na zewnątrz Robban Holts przechodzi właśnie koło Futra. Przystaje przy drzwiach, uśmiecha się sam do siebie. Po czym idzie dalej, nie wstępując do środka. Jutro idzie do pracy.

David leży na łóżku z dwójką, którą kocha. Zaśmiewa się, gdy jedno z nich próbuje wymyślić imię dla drugiego. Wszystkie brzmią dla niego jak imiona postaci z kreskówek albo czyichś prapradziadków.

Za każdym razem, gdy sam proponuje jakieś imię i jego dziewczyna pyta: „A dlaczego takie?“, wzrusza ramionami, mamrocząc: „Jest po prostu ładne”, po czym dziewczyna zaczyna guglować imię w zestawieniu z frazą „zawodnik hokejowy” i wychodzi na jaw, jak je wymyślił.

– Jestem przerażony – przyznaje.

– To niesamowite, że świat pozwala nam wziąć odpowiedzialność za kompletnie nowego człowieka i nie musimy nawet pytać o zgodę. – Dziewczyna się śmieje.

– A co, jeśli będziemy okropnymi rodzicami?

– A co, jeśli nie?

Trzyma jego dłoń na swoim brzuchu, stuka w szkiełko zegarka na przegubie jego dłoni.

– Wkrótce będziesz miał komu go przekazać.

Jeanette długo stoi przy płocie i przygląda się wszystkiemu.

– Boże. Własna hodowla, tak jak sobie wymarzyłaś. Nie za bardzo w to wierzyłam, gdy głądziłaś o tym w dzieciństwie.

Adri prostuje się, mimo że to, co mówi, umniejsza znaczenie tej sytuacji.

– Ech, ledwie wiążemy koniec z końcem. Jeśli jeszcze trochę podniosą składki ubezpieczeniowe, to będę zmuszona zamknąć to wszystko i porozdawać zwierzaki. Ale to moje własne.

Jeanette głądzi ją po ramieniu.

– Twoje. Ale jestem z ciebie dumna. Może to dziwne... Czasami żałuję, że tu kiedykolwiek wróciłam, a czasem, że w ogóle stąd wyjeżdżałam. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Niiiee – odpowiada Adri, która zawsze słynęła z wyjątkowo nieskomplikowanego sposobu komunikacji.

Jeanette się uśmiecha. Brakuje jej tego nieskomplikowania. Gdy skończyły z hokejem, Adri przerzuciła się na las, a Jeanette pojechała do Hed i znalazła mały klub bokserski. Gdy Adri kupiła tę starą zagrodę, Jeanette przeprowadziła się do większego miasta i zaczęła trenować sporty walki, wszystkie, jakie tylko mogła znaleźć. Wraz z pierwszymi szczeniakami Adri nadeszły pierwsze mecze Jeanette. Przez wyjątkowo krótki rok była nawet zawodowym bokserem. Potem przyszły kontuzje, więc zaczęła się kształcić na nauczyciela, by mieć co robić w trakcie rekonwalescencji. Gdy wyzdrowiała, była już dobrym nauczycielem, ale niezbyt dobrym bokserem. Straciła instynkt. Wróciła, gdy zmarł ojciec, a mama potrzebowała więcej pomocy, niż mógł zapewnić jej młodszy brat. Miało to trwać

tylko kilka miesięcy, ale tak już została, jest nauczycielką w szkole, na nowo częścią tego miasta. Ma ono trudną do wytłumaczenia moc sięgania w głąb ludzkiego wnętrza. Z jednej strony, jest tu tyle negatywnych rzeczy, że można by z nich utworzyć długą listę, a z drugiej – są też małe, drobne chwile, tak dobre, że udaje im się błyszczeć przez całe to gówno. I ludzie. Twardzi jak las, uparci jak lód.

– Czy mogłabym wynająć jeden z twoich budynków gospodarczych? – pyta Jeanette.

David dzwoni do drzwi domu Benjiego. Otwiera mama chłopca, zmęczona, bo dopiero co wróciła z pracy, i tłumaczy, że nie wie, gdzie jest jej syn. Może u siostry w Stodole w Hed, sugeruje. David jedzie do Hed. Katia stoi za barem, początkowo niepewnie, w końcu stwierdza, że nie wie, gdzie jest brat. David czuje, że to kłamstwo, ale nie naciska.

Gdy jest już przy wyjściu, woła go jeden z ochroniarzy.

– To ty jesteś tym trenerem hokeja, nie? Szukasz Benjiego?

David kiwa głową. Ochroniarz wskazuje palcem na halę lodowiska.

– Przechodził tędy ze swoim kumplem. Mieli ze sobą łyżwy. Wydaje mi się, że lód na jeziorze jest za słaby, by po nim jeździć, więc są pewnie na lodowisku za halą.

David dziękuje. Wokół panuje ciemność, gdy wychodzi z za rogu. Chłopcy nie mogą go zobaczyć, ale on ich widzi. Benjiego i tego drugiego. Całujących się.

Davidem wstrząsają dreszcze. Czuje wstyd i obrzydzenie.

– Budynek gospodarczy? A do czego? – zaciekawia się Adri.

– Chciałabym otworzyć klub sportów walki – odpowiada Jeanette.

– To miasto hokeja – prycha Adri.

Jeanette wzdycha.

– Wiem. I Bóg wie, że wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Ale po tym wszystkim, co się wydarzyło... Nie wydaje mi się, żeby to miasto potrzebowało teraz mniej sportu. Tylko właśnie więcej. Nie za bardzo się znam na innych sportach, ale na walce tak. I to mogłabym zaoferować dzieciakom.

– Sztuki walki? Kopanie i bicie, coś w tym stylu? – pyta zaczepnie Adri.

– Tu nie chodzi o kopanie i bicie, to PRAWDZIWIY SPORT, DOKŁADNIE JAK... – próbuje wyjaśnić rozzłoszczona Jeanette, chociaż zdaje sobie sprawę, że Adri doskonale wie, co to za sport i czego się w nim wymaga, bo to ona dzwoniła zawsze jako pierwsza po każdym pojedynku, chcąc dowiedzieć się ze szczegółami, jak poszło.

– Brakuje ci tego? – pyta Adri.

– Tylko każdego dnia. – Jeanette się uśmiecha.

Adri kręci głową. Pokasłuje.

– To miasto hokeja.

– Mogę w końcu wypożyczyć ten budynek czy nie?

– WYPOŻYCZYĆ? Dopiero co chciałaś go WYNAJAĆ!

Kobiety wybałuszają na siebie oczy. Śmieją się do rozpuku. Nigdy później nie ma się już takich przyjaciół jak w wieku piętnastu lat. Czasem można ich też później odzyskać.

Pewnego razu w dzieciństwie Benji i Kevin zakradli się do gabinetu trenera i przegrzebali mu torbę. Byli tylko dziećmi, nie wiedzieli nawet, czego szukali, chcieli po prostu wiedzieć więcej o trenerze, którego tak uwielbiali. Gdy David wszedł do gabinetu, siedzieli na podłodze i z zaciekawieniem bawili się jego zegarkiem, aż Kevin niechcący upuścił go na kamienną podłogę, tak że zbiła się w nim szybka. David podbiegł do nich, tracąc panowanie nad sobą, mimo że prawie nigdy mu się to nie zdarzało, i tak ich okrzyczał, że aż trzęsły się ściany hali.

– To zegarek mojego OJCA, cholerni gówniarze!

Słowa uwięzły mu w gardle, gdy zobaczył ich oczy. Wstyd, jaki wtedy poczuł, nigdy go tak naprawdę nie opuścił. Ani razu potem już o tym nie rozmawiali, ale David wprowadził pewien rytuał tylko między nim a chłopcami. Od czasu do czasu, może kilka razy podczas sezonu, gdy któryś z nich zagrał wyjątkowy mecz albo zrobił coś absolutnie nadzwyczajnego, wykazał się szczególną odwagą lub lojalnością, dostawał od Davida zegarek i mógł go nosić do następnego meczu. Nikt poza Benjim i Kevinem o tym nie wiedział, ale w ten jeden jedyny tydzień w roku, gdy któremuś z nich to się udało, w porównaniu z innymi był

nieśmiertelny. Wszystko zdawało się większe w ciągu tych siedmiu dni, nawet czas.

David nie pamięta, kiedy się to skończyło. Chłopcy podrośli, jemu wypadło to z głowy, nadal nosił zegarek każdego dnia, ale wydaje się, że chłopcy zapomnieli już o rytuale.

Tak szybko dorastali. Wszystko zmieniało się w zawrotnym tempie. Najlepsi zawodnicy z drużyny już do niego dzwonili, że chcą grać dla niego w Hed. Zbuduje tam dobry pierwszy zespół, taki, o jakim zawsze marzył. Będą mieć Kevina, Lyta, Filipa i resztę lojalnych zawodników z drużyny. Silnych sponsorów, wsparcie gminy, zbudują coś wielkiego. Brakuje tylko jednego ogniwa. Chłopca, który stoi właśnie na lodzie, z ustami przy ustach innego chłopca. David czuje, że mu niedobrze.

Zegarek ojca odbija światło samotnej latarni, gdy trener odwraca się i znika w ciemności, niezauważony przez nikogo. Nie może spojrzeć Benjiemu w oczy. Nie wie, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł.

Jakie znaczenie mają teraz wszystkie godziny w szatni, które zawodnik spędza wspólnie z trenerem, noce w autobusach w drodze na jakieś zawody i mecze wyjazdowe? Wszystkie śmiechy i żarty, coraz bardziej sprośne, im dłużej trwała podróż. David czuł zawsze, że drużyna się w ten sposób spaja. Czasem żartowali o blondynkach, czasem o mieszkańcach Hed, a czasem o gejach. Byli drużyną, ufali sobie, nie mieli przed sobą tajemnic. A mimo to jeden z nich je miał. Ostatni, o którym by tak pomyślał. Czuje ogromny zawód.

Gdy nadchodzi wieczór, Jeanette zawiesza przy suficie worek treningowy, a pod nim rozwija miękką matę. Adri pomaga jej niechętnie, postępując. Gdy są już gotowe, Jeanette zaczyna samotny trening, a Adri przedziera się przez las do osiedla domków szeregowych. Jest już późno, gdy Sune otwiera jej drzwi.

– Czy coś się stało Benjiemu? – pyta natychmiast.

Adri kręci niecierpliwie głową, odpowiada pytaniem:

– Co trzeba zrobić, żeby założyć drużynę hokeja?

Sune drapie się zdziwiony po brzuchu. Odchrząkuje.

– Taaa... To w sumie nie takie trudne, po prostu się ją zakłada. Wszędzie znajdują się mali chłopcy, którzy chcą grać w hokeja.

– A dziewczynki?

Sune marszczy przez chwilę czoło. Jego oddech aż świszczy pod naciskiem ciężkiego ciała.

– Drużyna dziewczęca jest w Hed.

– Ale my nie jesteśmy z Hed – odpowiada Adri.

Stary trener uśmiecha się z przekąsem.

– To chyba nie najlepszy moment na drużynę dziewczęcą w Björnstad. I tak już mamy wystarczająco problemów.

Adri składa ręce na piersiach.

– Mam przyjaciółkę, Jeanette, jest nauczycielką w szkole. Chce otworzyć klub sportów walki w jednym z moich budynków – dodaje.

Usta Sunego zdają się testować nieznane mu do tej pory słowo.

– Sztuki walki?

– Tak. Sztuki walki. Jest dobra. Kiedyś walczyła zawodowo. Dzieciaki ją pokochają.

Sune drapie się teraz obiema rękami po brzuchu. Ze wszystkich sił próbuje zrozumieć, o co chodzi.

– Ale... sztuki walki? To nie jest miasto sztuk walki. To jest...

Adri już sobie poszła. Szczeniak natychmiast podążył za nią. Przeklinając i mruczając, Sune też za nimi idzie.

Gdy David był mały, ojciec zdawał mu się niezwykłym bohaterem, jak to tata. David zastanawia się, czy sam będzie kiedyś kimś takim dla swojego dziecka. Tata uczył go jeździć na łyżwach, cierpliwie i z troską. Nigdy nie wdawał się w bójkę; David wiedział, że niektórzy ojcowie to robią, ale jego czytał synowi bajki i śpiewał kołysanki, nie krzyczał, gdy syn posikał się w sklepie ani gdy wybił piłką okno. Był świetny w życiu, niewyobrażalny na lodzie, bezwzględny i niezniszczalny. „Prawdziwy mężczyzna!” – zwykli mówić o nim trenerzy. David stawał przy bandzie i odbierał każdy komplement, tak jakby był przeznaczony dla niego samego. Tata wszystko robił w jakimś celu, nigdy się nie wahał, ani w sporcie, ani w opiniach. „Możesz być, kim chcesz, byle nie gejem” – zwykł mówić, podśmiechując się. Ale czasem, przy kuchennym stole, stawał się poważniejszy.

„Homoseksualizm to broń masowego rażenia, zapamiętaj to sobie, chłopcze. To nie jest normalne. Jeśli wszyscy zostaną homo, to ludzkość wyginie w przeciągu jednego pokolenia”. Gdy ojciec się zestarzał, oglądał wiadomości i pokrzykiwał: „To nie jest żadna orientacja seksualna, to jakaś moda! Że niby są prześladowaną mniejszością? Przecież mają nawet swoją PARADĘ! I to niby jest prześladowanie?”. Gdy się napił, robił kółko z palców jednej dłoni i wkładał do niego palec drugiej ręki: „Tak się da, Davidzie!”. Po czym dociskał do siebie koniuszki dwóch wyprostowanych palców i mówił: „Ale tak już nie!”.

Gdy coś, cokolwiek, okazywało się wyjątkowo kiepskie, to było „gejowskie”. Gdy coś nie działało, było „gejowe”. To był nie tylko zwrot, funkcjonował jako przysłówek i przymiotnik, broń gramatyczna.

David jedzie z powrotem do Björnstad. Siedzi w samochodzie i płacze ze złości. Odczuwa wstyd. I obrzydzenie. Do samego siebie. Całe swoje hokejowe życie trenował tego chłopca, kochał go jak syna, był przez niego kochany jak ojciec. Nie ma bardziej lojalnego zawodnika niż Benji. Nikt nie ma większego serca. Ile to razy obejmował go po meczu, szepcząc mu do ucha: „Nie ma na świecie odważniejszego skurczybyka od ciebie. Nie znam nikogo odważniejszego”.

Po wszystkich tych godzinach w szatni, nocach w autobusie, wszystkich rozmowach przepelnionych żartami, po krwi, pocie i łzach nie miał odwagi zdradzić trenerowi swojej największej tajemnicy.

To ogromny zawód. David wie, że to nieskończony zawód. Nie ma innego sposobu na wytłumaczenie tego, jak bardzo jemu, dorosłemu mężczyźnie, musiało się nie udać, skoro taki wojownik jak Benji pomyślał, że jego trener byłby z niego mniej dumny, wiedząc, że chłopak jest homoseksualistą.

David nienawidzi samego siebie, że nie był lepszy niż jego ojciec. To przecież zadanie synów.

Adri i Sune idą od domu do domu. Za każdym razem, gdy ktoś otwiera im drzwi i rzuca znaczące spojrzenie w stronę nieba, chcąc podkreślić, że jest jednak chyba trochę późno na walenie do drzwi porządnych obywateli, Sune pyta: „Czy mieszkają tu jakieś dziewczynki?”. Adri będzie opowiadać tę historię jak legendę. Że było jak wtedy, gdy faraon szukał Mojżesza. Nie jest zbyt dobra w Biblii, to trzeba przyznać, ale jest dobra w innych rzeczach.

W każdym domu mówią: „Przecież drużyna dziewczęca jest w Hed” i wszędzie słyszą od niej tę samą odpowiedź. Aż w końcu naciska dzwonek i po drugiej stronie drzwi otwiera ktoś, kto ledwie sięga do klamki.

Dziewczynka ma cztery lata i stoi w korytarzu bez lamp, w domu pełnym siniaków. Jej dłonie są wystraszone, stoi na palcach, w każdej chwili gotowa do ucieczki, uszy nieustannie nasłuchują kroków ze schodów. Ale oczy są szeroko otwarte, patrzą wprost na Adri, nie mrugają.

Pierś Adri pęka wiele razy, zanim zdąży przy niej przykucnąć. Siedzi tak skulona i patrzy na dziewczynkę. Adri widziała wojnę i cierpienie, ale nigdy się do tego nie przyzwyczała. Nie wiadomo, co powiedzieć obolałej czterolatce, która myśli, że to normalne, bo życie nigdy nie pokazało jej czegoś innego.

– Wiesz, co to hokej? – szepcze Adri.

Dziewczynka kiwa głową.

– Umiesz w to grać? – pyta Adri.

Dziewczynka kręci głową. Serce Adri zaciska się, głos traci moc.

– To najfajniejsza zabawa na świecie. Najlepsza. Chcesz spróbować?

Dziewczynka kiwa głową.

David z całego serca chciałby wrócić do Hed, uściskać chłopca i powiedzieć mu, że już wie. Ale nie może zdemaskować kogoś, kto najwyraźniej nie ma ochoty samemu o tym opowiedzieć. Wielkie tajemnice czynią nas małymi ludźmi, zwłaszcza gdy jest się człowiekiem, przed którym inni mają tajemnice.

David jedzie więc do domu, kładzie dłonie na brzuchu swojej dziewczyny i udaje, że płacze właśnie z powodu dziecka. Będzie wiódł życie pełne sukcesów, będzie miał wszystko, o czym marzył, karierę, powodzenie i tytuły, będzie trenował niezwykłe drużyny w legendarnych klubach na całym świecie, ale nigdy żadnemu zawodnikowi nie pozwoli mieć numeru szesnaście. Nadal będzie miał nadzieję, że Benji się kiedyś pojawi i zażąda swojej koszulki.

Na kamieniu nagrobnym w Björnstad leży krążek. Tekst na nim jest drobny, tak by mogły się na nim zmieścić wszystkie słowa. „Nadal najodważniejszy skurczybyk, jakiego znam”. Obok krążka leży zegarek.

Ana i Maya siedzą każda na swoim kamieniu. Wystarczająco daleko w głębi lasu, by znalezienie ich zajęło całe dnie.

– Byłaś u terapeuty? – pyta Ana.

– Mówi, że nie powinnam wszystkiego dusić w sobie – odpowiada Maya.

– Dobry jest?

– Całkiem okej. Ale więcej gada o rodzicach. Ktoś może powinien mu powiedzieć, żeby się z tym tak nie WYPUSZCZAŁ – mówi Maya.

– Pytał cię już o to, jaka będziesz za dziesięć lat? Psycholog, do którego chodziłam, gdy odeszła mama, to uwielbiał.

Maya kręci głową.

– Nie.

– Co byś odpowiedziała? Jaka będziesz za dziesięć lat? – pyta Ana.

Maya nie odpowiada. Przyjaciółka też nic nie mówi. Wracają do domu Any i godzinami leżą w jednym łóżku, miarowo oddychając, aż w końcu Ana usypia. Maya podnosi się wtedy cicho, schodzi do piwnicy, przynosi klucz i otwiera szafę. Bierze strzelbę i wychodzi prosto w mrok, z jeszcze większym mrokiem w sobie.

Hokej bywa czasem skomplikowany, a czasem wcale nie. Trudno zrozumieć rządzące nim reguły, żyć według jego zasad i tradycji, a wydaje się prawie niemożliwe przekonać wszystkich jego miłośników, żeby każdy z nich nie ciągnął w swoją stronę, tym samym go niszcząc. Ale w sumie istota hokeja jest prosta.

– Ja chcę po prostu grać, mamó – mówi Filip ze łzami w oczach.

Mama to wie. Muszą zdecydować, co syn ma teraz robić. Zostać w Björnstad Hockey czy pójść za Kevinem, Lytem i pozostałymi do Hed. Mama Filipa zna różnicę między tym, co właściwe, a tym, co niewłaściwe, między dobrem a złem, ale jest też mamą. A co jest zadaniem mamy?

Frak je lunch otoczony najlepszymi przyjaciółmi. Jeden z nich z uśmiechem na twarzy wskazuje na spinkę na krawacie Fraka.

– Chyba już czas ją ściągnąć, co nie?

Frak spogląda na spinkę. Widnieje na niej napis „Björnstad Hockey”. Jego wzrok omiata pozostałych mężczyzn, tak szybko pozbyli się swoich i zamienili je na te z napisem „Hed Hockey”. Dla nich to takie proste. Jakby to był tylko jakiś tam klub.

Mama pomaga Filipowi spakować torbę treningową, nie dlatego, że syn sobie z tym jeszcze nie radzi, ale dlatego, że to lubi. Kładzie rękę na klatce piersiowej syna i czuje, że jego serce bije w jej dłoni jak serce dziecka, mimo że szesnastolatek jest już tak duży, że musi się pochylić, by pocałować mamę w policzek.

Pamięta każdy centymetr. Każdą walkę. Przypomina sobie to lato, gdy z obozu letniego musieli zawieźć Filipa do szpitala, bo biegał zbyt intensywnie i w końcu wymiotował tak długo, aż się odwodnił. Następnego dnia przyszedł na trening.

– Nie musisz dziś trenować – wyjaśnił David.

– Proszę – błagał Filip.

David złapał go wtedy za ramiona i szczerze przyznał:

– Na jesieni muszę wyłonić najlepszą drużynę. Może nawet nie będziesz mógł zagrać ani jednego meczu.

– Proszę mi po prostu pozwolić trenować. Chcę po prostu grać. Proszę, chcę po prostu grać – szlochał Filip.

Dostawał baty w każdym starciu, przegrywał w czasie każdego ćwiczenia, ale zawsze wracał na trening. Pod koniec lata David przyjechał do mamy Filipa i siedząc u niej w kuchni, opowiadał, że istnieją badania wskazujące, ilu zawodników najwyższej klasy nigdy nie znalazło się w pierwszej piątce w swoich drużynach młodzieżowych. Jak to w rzeczywistości siódmy czy dwunasty w hierarchii wybija się jako senior. Bo zawsze ciężiej walczył. I nie poddawał się, gdy nadchodziły przeciwności losu.

– Jeśli Filip kiedykolwiek zacznie wątpić, nie musi mu pani obiecywać, że będzie kiedyś najlepszy w drużynie. Wystarczy, że przekona go pani, by przebił się do dwunastego miejsca – powiedział.

David nawet nie zdaje sobie sprawy, ile to znaczyło dla całej rodziny, nie wiedzieliby nawet, jak mu to wyjaśnić. To zmieniło wszystko. Po prostu wszystko.

Mama opiera głowę o klatkę piersiową syna. Kiedyś będzie jednym z najlepszych zawodników, jakich widziało to miasto. A teraz chce tylko grać. I ona też.

Frak stoi na parkingu. Mężczyźni zegnają się, podając sobie ręce, większość z nich jedzie do Hed. Dwóch stoi jeszcze obok i pali.

– A dziennikarze? – pyta.

Drugi wzrusza ramionami.

– Kilku dzwoniło, oczywiście nie udzielamy komentarzy. Co niby mieliby zrobić? Przecież nie ma żadnej historii. Kevina wypuszczono. Chyba nawet dziennikarze nie mogą działać ponad prawem, nie?

– Nie masz jakiegoś doświadczenia w tej lokalnej gazecie?

– Latem gram z redaktorem naczelnym w golfa. Chyba następnym razem będę mu musiał dać wygrać.

Wybuchają śmiechem. Gaszą papierosy.

– Jak myślicie, co się stanie z Björnstad Hockey? – pyta Frak.

Mężczyźni spoglądają na niego zdziwieni. Nie dlatego, że pytanie jest dziwne. Ale dlatego, że nikogo poza Frakiem to nie interesuje.

Maggan Lyt siedzi w samochodzie i czeka. Obok niej siedzi William, na sobie ma kurtkę z napisem „Hed Hockey”. Filip wychodzi przed dom z torbą treningową w ręce, waha się nieskończenie długo. RzUCA w końcu mamie spojrzenie, puszcza jej dłoń i otwiera bagażnik w samochodzie rodziny Lytów. Wsiada do tyłu, jego mama otwiera przednie drzwi i patrzy Williamowi w oczy.

– Siedzisz na moim miejscu.

William protestuje, ale Maggan uciska go w sekundę. Chłopcy siadają z tyłu, patrząc na siebie, kobiety z przodu robią to samo. Maggan ciężko przełyka ślinę.

– Wiem, że czasem potrafię być straszną jędzą, ale wszystko to robię... wszystko to robię dla naszych dzieci.

Mama Filipa przytakuje. Całą noc próbowała przekonać syna i siebie samą, że powinien zostać w Björnstad Hockey. Ale syn chce po prostu grać, mieć szansę stać się tak dobrym, jak tylko się da. A co jest zadaniem mamy? Zapewnić do tego dziecku jak najlepsze warunki. Powtarza to sobie, bo wie, ile kosztowało ją, by być naprawdę dobrą w biegach narciarskich. Czasem musiała trenować z prawdziwymi dupkami, pamiętać, że świat na zewnątrz nie ma nic wspólnego ze sportem. Filip i William trenują razem od przedszkola, ona zna się z Maggan całe życie. Jadą więc razem do Hed. Przyjaźń bywa czasem skomplikowana, a czasem wcale nie.

Frak wchodzi do domu i od progu słyszy głos syna. Chłopiec ma teraz dwanaście lat i uwielbia hokej, ale Frak pamięta, jak nienawidził treningów jako sześciolatek. Za każdym razem błagał, by nie musieć na nie jechać. Frak i tak go zawoził, tłumacząc wciąż na nowo, że to miasto hokeja. Nawet gdy Elisabeth przy obiedzie pytała cicho: „Naprawdę mamy go zmuszać, jeśli on NIE CHCE grać?”, Frak nie słuchał i nadal zabierał go na treningi, bo tak bardzo pragnął, by chłopiec zrozumiał tę miłość. Może hokej nie uratował Frakowi życia, ale na pewno mu je zapewnił. Dał mu poczucie własnej wartości i przynależność, bez niego byłby tylko grubym dzieciakiem z diagnozą o „hiperaktywnej osobowości”, to hokej nauczył go odpowiedniego wykorzystania tej energii. Ten sport mówi językiem, który Frak rozumie, w świecie, który pojmuje.

Niepokoił się, że syn nie będzie chciał grać w hokeja, bo to oznaczałoby wykluczenie go jako ojca. Przerażała go myśl, że mały zacznie trenować coś, o czym Frak nie będzie miał zielonego pojęcia, i skończy jak ten zagubiony na trybunach ojciec, któremu trzeba tłumaczyć reguły gry i który nie może brać udziału w dyskusjach. Nie chciał, by syn się go wstydził.

– Oddawaj ładowarkę! – krzyczy chłopiec do starszej siostry.

Niedługo będzie nastolatkiem. Jeszcze nie tak dawno Frak musiał go zaciągać na treningi, obecnie z trudem go z nich wyciąga, syn błaga teraz o zupełnie inne rzeczy. Przez ostatnie dni o to, by móc grać w Hed Hockey. Tak jak wszyscy najlepsi zawodnicy.

– To nie jest TWOJA ładowarka, ty mała, ohydna źmijo, tylko MOJA! – krzyczy chłopiec do siostry, która wbiega właśnie do pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Frak wyciąga dłoń, by go dotknąć i coś powiedzieć, ale chłopiec go nie widzi i zamiast tego kopie z całej siły i wrzeszczy:

– Oddawaj ładowarkę, pieprzona KURWO, i tak nie rozmawiasz z żadnymi chłopakami przez telefon! Wszyscy wiedzą, że CHĘTNIE dałabyś się zgwałcić, ale nikt cię nie CHCE!

Frak nie wie dokładnie, co się później dzieje. Pamięta, że Elisabeth desperacko szarpie go za ręce od tyłu, próbując zwolnić uścisk. Syn wisi w ogromnych rękach ojca, a Frak, krzycząc, uderza nim raz po raz o ścianę. Córka otwiera drzwi oniemiała z przerażenia. Elisabeth udaje się w końcu powalić ważącego ponad sto kilogramów męża na ziemię. Frak leży tam teraz, obejmując syna, obydwoj płaczą, jeden ze strachu, a drugi ze wstydu.

– Nie możesz być takim mężczyzną. Nie pozwolę na to, żebyś... Kocham cię, bardzo cię kocham... Musisz być lepszy ode mnie – powtarza mu przez cały czas do ucha, nie wypuszczając syna z objęć.

Fatima wyłącza silnik i niepewnie zostawia samochód na biegu. Rodzice Bobo długo musieli ją przekonywać, by go pożyczyła. Widziała poobijaną twarz Bobo, tak samo jak u Amata, ale nic o tym nie wspominała. Teraz też nic nie mówi. Przejeżdża po prostu wraz z synem przez Hed i las aż do miasta, wystarczająco dużego, by znajdował się w nim sklep, którego szuka chłopiec. Gdy mijają sklep sportowy, mama pyta, czy Amat „potrzebuje coś do hokeja”. Syn kręci głową, nie wspomina, że może na jesieni nie będzie miał już gdzie grać. A mama może nie będzie miała już wtedy pracy. Żadne z nich nie mówi, co mogłoby zrobić z pięcioma tysiącami koron. Mama czeka przed sklepem, gdy Amat wchodzi do środka. Sprzedawca długo pomaga mu wybrać najlepszą opcję w jego budżecie. W końcu chłopiec wychodzi, kołysząc się niezdarnie, tak jakby czuł, że przy każdym kroku zebro przebija mu płuco.

Wracają do domu, skręcają kawałek przed Niecką i wjeżdżają na osiedle domków jednorodzinnych w środku miasta. Fatima czeka w samochodzie. Amat zostawia prezent na schodach.

Mai nie ma w domu. Gitara leży tam aż do jej powrotu. „Za pięć tysięcy nie dostaniesz lepszego instrumentu niż ten, dziewczyna będzie ją uwielbiać jeszcze za dziesięć lat!” – obiecywał sprzedawca.

Frak wchodzi do Futra. Staje przy barze, rozczochrany i z czapką w ręku. Ramona kładzie obie dłonie na blacie.

– Słucham?

Frak odchrząkuje.

– Ilu sponsorów ma teraz Björnstad Hockey?

Ramona odkaśluje i udaje, że liczy na palcach.

– Hm, wydaje mi się, że razem do kupy jest nas jeden.

Skóra na policzkach Fraka rusza się, gdy mężczyzna zaciska szczękę.

– Ma pani ochotę na towarzystwo?

Ramona przygląda mu się z rezerwą. Odwraca się i podchodzi do kolejnego klienta. Gdy wraca, trzyma w ręku dwie szklanki, jedną stawia przed Frakiem, drugą wypija duszkiem.

– Jesteś biznesmenem, chłopcze. Lepiej wyjdzie ci sponsorowanie Hed, skorzysta też na tym twój sklep tam.

– Hed Hockey to nie jest mój klub.

Ramona marszczy czoło.

– Nie jestem pewna, czy stać cię na ratowanie klubu.

Frak zaciska usta, zamyka na moment oczy, po czym je otwiera, tak samo nieszczęśliwy jak przed chwilą.

– Sprzedam sklep w Hed. Elisabeth i tak narzeka, że za dużo pracuję.

– Zrobiłbyś to dla klubu?

– Zrobiłbym to dla lepszego klubu.

Ramona prychnęła wyzywająco.

– Więc czego ode mnie oczekujesz? Co ty sobie wyobrażasz? Przecież nie sprzedaję tu, do cholery, złota.

– Chcę, żeby znalazła się pani w zarządzie.

– Jesteś pijany czy co, chłopcze?

– Potrzeba nie lada gościa, żeby uratować ten klub. A nie ma teraz większego gościa niż pani w całym Björnstad.

Ramona śmieje się sucho.

– Zawsze byłeś walnięty. Można by pomyśleć, że grałeś kiedyś na bramce.

– Dziękuję – odpowiada wzruszony Frak.

Holger był bramkarzem. To największy komplement w Futrze. Ramona odchodzi obsłużyć kolejnego klienta. Wracając, przynosi Frakowi piwo, a sobie kawę.

Widząc zdziwienie mężczyzny, mamrocze:

– Muszę chyba trochę wytrzeźwieć, jeśli mam zasiadać w zarządzie. A biorąc pod uwagę, ile wypiałam przez ostatnie czterdzieści lat, to zajmie mi to pewnie kilka miesięcy.

Benji i basista leżą obok siebie na plecach w sali prób. Otoczeni instrumentami na ścianach wokół i spokojną muzyką. Nauka gry czasami nie przychodzi trudno. Po prostu najpierw się nie gra, a potem przestaje się nie grać.

– Niedługo muszę wracać do domu – mówi basista.

Nie ma na myśli mieszkania w Hed. Tylko dom. Benji nic na to nie odpowiada, basista tak bardzo by chciał, żeby jednak jakoś na to zareagował.

– Możesz... jechać ze mną... – Usta z trudem wypuszczają słowa, mimo że serce broni się, jak może.

Nie chce słyszeć odpowiedzi. Żadnej też nie otrzymuje. Benji podnosi się i zaczyna się ubierać. Basista siada, zapala papierosa i uśmiecha się lekko rozmarzony.

– Wiesz, że możesz się stąd wynieść? Gdzie indziej też jest życie.

Benji całuje go we włosy.

– Nie jestem taki jak ty.

Gdy Benji znika w ostatniej już w tym roku burzy śnieżnej i zamykają się za nim drzwi, basista zaczyna rozmyślać, ile w tym prawdy. Benji nie jest taki jak on sam, ale też nie taki jak ludzie tutaj. Jest jak nikt inny. Jak tu nie kochać kogoś takiego?

Gdy w Björnstad zapada noc, Kevin trenuje samotnie na ścieżce do biegania. Okrążenie za okrążeniem. Aż ból w mięśniach będzie większy niż wszystko inne, co sprawia cierpienie. W kółko, raz za razem. Aż adrenalina przerośnie niepewność, tak by złość mogła zwyciężyć upokorzenie. I znów. I znów. I znów.

Z początku pomyśli, że mu się tylko wydaje, że to cienie próbują oszukać oczy. Przez sekundę zdąży nawet pomyśleć, że pewnie jest tak wyczerpany, że ma halucynacje. Zwolni, ciężko oddychając. Rękawem bluzy wytrze pot z czoła. Dopiero wtedy zauważy dziewczynkę. Broń w jej dłoni. Śmierć w jej oczach.

Słyszał kiedyś, jak myśliwi opowiadali o zachowaniu zwierzyny, która boi się o własne życie. Dopiero teraz zrozumie, co mieli na myśli.

Ana budzi się i rozgląda po pokoju, przez kilka sekund mruczy zagubiona i rozespana, po czym wyskakuje z łóżka, uderzając o nocny stolik. Zrywa kołdrę, mając jeszcze nadzieję, że Maya po prostu się pod nią schowała, ale gdy dociera do niej, co się stało, przerażenie zaciska się wokół niej niczym szpony. Rzuca się w stronę schodów, zbiega do piwnicy, krzyczy z zamkniętymi ustami, tak jakby naczynia krwionośne eksplodowały w jej głowie jedno po drugim, gdy otwiera szafę na broń i widzi, czego w niej brakuje.

W szafie leży karteczka. Staranne pismo Mai.

„Będę szczęśliwa, Ano. Za dziesięć lat będę szczęśliwa. Ty też”.

Za dziesięć lat w mieście daleko stąd dwudziestopięcioletnia kobieta przechodzić będzie przez parking przy centrum handlowym. Obok znajdować się będzie hala lodowiska, ale ona nie zwróci nawet na nią uwagi, bo to nie będzie jej świat. Zanim wsiądzie do samochodu, uśmiechnie się jeszcze do męża po drugiej stronie pojazdu. Akurat będzie wkładał do bagażnika torby z zakupami i uśmiechnie się szeroko, napotykać jej wzrok. On też nie spojrzy w stronę hali, nie interesuje go to. Kobieta oprze na chwilę brodę o dach samochodu, jej mąż zrobi to samo. Zachichoczą, a ona pomyśli, że mąż jest wszystkim, czego chciała, wszystkim, czego sobie życzyła, ideałem. Sama jest w ciąży. Szczęśliwa. Za dziesięć lat.

Na ścieżce do biegania jest spokojnie, ale nie pusto. Kevin widzi tylko kontury z oddali, spowalnia, nie zatrzymując się. Gdy Maya pojawia się w świetle, nie ma już jak uciec. Jest za późno, gdy zauważa strzelbę. Dziewczynka przystaje trzy metry od niego, w dłoniach spokojnie trzyma broń, jej oddech jest miarowy i zrównoważony. Nie spuszcza go z oczu ani na sekundę, nie mruga, jej głos jest zimny i bezwzględny, gdy rozkazuje mu paść na kolana.

Za dziesięć lat, w mieście daleko stąd, nad wejściem do hali lodowiska błyszczyć będzie baner z nazwiskiem artysty. Tego wieczoru nie zaplanowano żadnego meczu, tylko koncert. Nie będzie to miało żadnego znaczenia dla kobiety na parkingu, wsiądzie do samochodu i złapie męża za rękę. Nie będzie się łudziła, że miłość jest łatwa, bo popełniła już wiele błędów i zaznała wiele bólu, tak jak jej mąż. Ale gdy spogląda na nią, to widzi tylko ją, dogłębnie, i nawet jeśli nie jest idealny, to dla niej właśnie taki jest.

Kevin klęczy w śniegu, jego skóra drętwieje z zimna, ręce mu dygoczą, gdy głowa pochyla się ku ziemi. Maya przyciska wylot strzelby do jego czoła i mówi cicho:

– Patrz na mnie. Chcę widzieć twoje oczy, gdy będę cię zabijać.

Kevin zalewa się łzami, próbuje coś powiedzieć, ale szloch i przerywany oddech zwyciężają nad ustami. Po brodzie spływają mu gile i ślina. Gdy zimny metal dwóch rurek strzelby odciska się na jego skórze, czuje w nosie zapach amoniaku. Plama na spodniach treningowych powiększa się, aż w końcu pokrywa całe udo. To ze strachu.

Maya spodziewała się, że będzie zdenerwowana. Może nawet będzie się bać. Ale nie czuje nic. To był prosty plan: wiedziała, że Kevin dziś nie uśnie, miała nadzieję, że postanowi pobiegać. Nie myliła się, musiała tylko poczekać przed jego domem wystarczająco długo, a ponieważ ostatnim razem, gdy biegał, mierzyła mu czas, wiedziała dokładnie, ile zajmie mu pokonanie całej trasy. Gdzie powinna się schować. Kiedy wyjść z mroku. Z broni można oddać dwa strzały. Cały czas wiedziała, że potrzebuje tylko jednego. Jego skroń przy wylocie lufy. Po dzisiejszej nocy wszystko się skończy.

Spodziewała się, że będzie się wahać. Zmieni zdanie. Oszczędzi go, mimo wszystko. Nie robi tego jednak.

Gdy palec wskazujący naciska spust, jest w środku całkiem pusta. Gdy strzela, jego oczy są zamknięte, jej otwarte.

Za dziesięć lat mężczyzna będzie cofał samochód na parking. Gdy spojrzy przez boczną szybę, zastygnie jak lód. Z innego auta wysiadzie wyprostowana dziewczyna z futerałem na gitarę w ręku. Dostała ją od przyjaciela, gdy miała piętnaście lat, i nadal odmawia grania na jakiegokolwiek innej niż ta. Zauważy mężczyznę w samochodzie, zatrzyma się i przez kilka krótkich sekund obydwójce znajdować się będą z powrotem w małym miasteczku w środku lasu daleko stąd. Dziesięć lat wcześniej. Gdy mężczyzna był chłopcem klęczącym na kolanach w śniegu i błagał ją o życie, a ona stała nad nim ze strzelbą i pociągnęła za spust.

Kevin upada na ziemię. Zdąży jeszcze pomyśleć, że umiera. Mózg ma jeszcze czas, by poczuć eksplozję krwi i śrutu. Serce przestaje bić. Gdy znów zaczyna, wali tak mocno, że aż rozrywa mu klatkę piersiową. Kevin krzyczy przez płacz, histerycznie i niepoohamowanie niczym niemowlak.

Maya wciąż nad nim stoi. Opuszcza broń. Z kieszeni wyciąga pojedynczy nabój i rzuca go przed nim na śnieg. Przykuca i zmusza go, by spojrzał jej w oczy.

– Teraz ty też będziesz się bał ciemności. Do końca życia – mówi.

Za dziesięć lat parking będzie pełen ludzi. Żona Kevina będzie w ciąży. Maya przystanie kilka metrów dalej, ze świadomością, że w tym momencie może odebrać mu całe życie. Podejść i opowiedzieć, kim jest, upokorzyć i zniszczyć go przed tą, którą najbardziej kocha.

Dzierżąc całą tę władzę, pozwoli mu odejść. Nie wybaczy, nie ułaskawi, po prostu oszczędzi. Mężczyzna już zawsze będzie sobie z tego zdawał sprawę.

I nawet po dziesięciu latach nadal będzie spał przy zapalonym świetle.

Gdy cały spocony i rozedrgany odjedzie z parkingu, żona zapyta go, kim była ta kobieta. A Kevin powie prawdę. Całą prawdę.

W tym czasie Maya pójdzie w stronę hali lodowiska. Ochroniarze spróbują powstrzymać krzyczących za nią ludzi, ich ochocze ręce i podniesione głosy, a ona cierpliwie przystanie i podpisze wszystko, co wyciągną w jej stronę, zrobi sobie zdjęcie ze wszystkimi, którzy proszą. Na banerze ponad nimi błyszczyć będzie napis „Wyprzedane”, tuż obok nazwiska występującego wieczorem artysty.

Jej nazwiska.

Ana wybiega prosto w noc, nie wiedząc dokąd. Wzrok błądzi w panice, aż w końcu zauważa lampy na ścieżce do biegania i słyszy krzyk. Gdy dobiega do skraju lasu, widzi wszystko. Kevina i swoją najlepszą przyjaciółkę. On klęczy i płacze histerycznie. Maya odwraca się i go zostawia, mija drzewa i przystaje dopiero, gdy zauważa Anę. Piętnastolatki patrzą sobie w oczy. Potem przytulają się bez słowa i wracają do domu.

Wczesnym rankiem następnego dnia Ana zabierze nabój pozostawiony na ścieżce do biegania. Odłoży go na miejsce, tam, gdzie reszta amunicji ojca. Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek zapyta ją, gdzie była tej nocy, odpowie: „W domu”. Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek zapyta ją, co robiła wtedy jej najlepsza przyjaciółka, doda: „Niestety, nie widziałam tej sytuacji”.

Drzwi do hali się otwierają. Do środka wchodzi chłopak o kulach. Przez korytarz przy szatni idzie właśnie w przeciwnym kierunku Peter. Zatrzymuje się zaskoczony.

– Benjamin... – Sam nie wie, co ma więcej powiedzieć. Nigdy nie wiedział takich rzeczy. Wydusza z siebie tylko: – Jak tam noga?

Benji spogląda trochę poza niego, na lodowisko. Jak wszyscy, którzy kochają ten centymetr podłogi zamieniający się w lód, potrafi usłyszeć uderzenia nawet stąd. Spojrzenie wraca ku Peterowi, gdy odpowiada:

– Wyleczona w sam raz na start sezonu w pierwszym zespole. Jeśli trener Sune uzna, że jestem gotowy.

Peter marszczy zdziwiony brwi. Odchrząkuje niepewnie.

– Benji... to... Nie będzie nas nawet stać na płacenie pensji w pierwszym zespole... Boże, może nawet w ogóle nie będziemy mieć klubu na jesieni.

Benji opiera się na stopie. Tym razem tej zdrowej, nie złamanej.

– Chcę po prostu grać.

Peter się śmieje.

– No tak, cholera, Benji, z twoim talentem i sercem możesz ZOSTAĆ kimś. Na serio. Za kilka lat możesz grać zawodowo. Hed Hockey będzie mieć wspaniałą drużynę, zaplecze finansowe... Masz tam o wiele lepsze możliwości rozwoju.

Benji wzrusza nonszalancko ramionami. Odpowiedź jest krótka i bezkompromisowa:

– Ale ja jestem z Björnstad.

W nowym sezonie szkółka hokejowa ma w swoim składzie czterech nastoletnich instruktorów. Stoją teraz na środku lodowiska w barwach drużyny: zielonym, białym i brązowym, jak las, lód i ziemia. To miejsce zbudowało klub taki jak ono samo: twardy i uparty, zarówno w miłości, jak i we wszystkim innym.

Chłopcy spoglądają na namalowanego pod nimi niedźwiedzia. Bali się go, gdy byli dziećmi, czasem nadal czują strach. Amat, Zachariasz, Bobo i Benjamin. Dwaj z nich właśnie skończyli szesnaście lat, dwaj – osiemnaście. Za dziesięć lat dwóch z nich będzie zawodowcami. Jeden – ojcem. Jeden nie będzie żył.

Dzwoni telefon Benjiego. Chłopak nie odbiera. Telefon znów dzwoni, Benji wyjmuje go z kieszeni i spogląda na numer. Ciężko wciąga powietrze przez nos i wyłącza aparat.

Na przystanku autobusowym stoi basista z walizką. Dzwoni na ten sam numer, po raz ostatni. Następnie wsiada do autobusu i odjeżdża. Nigdy już tutaj nie wróci, ale za dziesięć lat zobaczy nagle twarz Benjamina w telewizji i wszystko sobie przypomni. Koniuszki palców i spojrzenia. Szklanki na zniszczonym barze i dym w cichym lesie. Śnieg na skórze w marcu i chłopca o smutnych oczach i dzikim sercu, który uczył go jeździć na łyżwach.

Dzieci przewalają się przez brzeg lodowiska, mijają ten centymetr i tracą równowagę, chłopcy śmieją się na środku lodowiska i pomagają maluchom się podnieść. Próbuje nauczyć je, że są też inne sposoby na jazdę niż tylko twarzą prosto w bandę.

Nikt z nich nie widzi pierwszego kroku na lodzie dzieciaka, który wychodzi ostatni. Ma cztery lata, chudy, mały pędrak w za dużych rękawicach i z limami pod okiem, które każdy zauważa, ale o które nikt nie pyta. Kask opada jej na oczy, ale nadal widać jej spojrzenie.

Adri i Sune jadą zaraz za nią, gotowi przytrzymać dziewczynkę, aż w końcu zauważają, że to niepotrzebne. Chłopcy na środku lodowiska zbudują w przyszłym sezonie pierwszy zespół, ale to nie ma znaczenia, bo za dziesięć lat to nie ich nazwiska spowodują, że ludzie w tym mieście będą chodzić bardziej wyprostowani.

Wszyscy skłamią, mówiąc, że byli tu wtedy i widzieli, jak to się dzieje. Pierwszy ślizg na lodzie dziewczynki, która zostanie największym talentem, jaki ten klub kiedykolwiek widział. Wszyscy będą opowiadać, że wiedzieli już wtedy.

Bo w tej okolicy ludzie potrafią rozpoznać niedźwiedzia.

Drzewo wiśniowe pachnie zawsze wiśnią.

Zawsze tak jest w miastach hokeja.

Podziękowania

Po pierwsze, dziękuję osobom, które pomogły mi z absolutnie najtrudniejszymi częściami tej historii i które z różnych powodów poprosiły o niewymienianie ich z nazwiska. Jestem wam do zgonnie wdzięczny.

Ukłon wdzięczności kieruję również w stronę wszystkich hokeistów, trenerów, sędziów i rodziców, którzy pozwolili mi przychodzić na mecze i treningi i zadawać dziwne pytania.

Szczególne podziękowania dla mojego kolegi, z którym dzielę biuro, **Niklasa Natta och Daga**, mojego wydawcy **Sofii Brattselius Thunfors**, mojej redaktorki **Vanji Vinter** i mojego agenta **Tora Jonassona**. Poza moją rodziną jesteście czterema najważniejszymi osobami, dzięki którym udało się ukończyć tę książkę. Dziękuję, że byliście ze mną aż do ostatniej strony.

Chciałbym też ogromnie podziękować następującym osobom, bez których to wszystko byłoby tylko pomysłem i stosem makulatury: **Tobiasowi Starkowi**, historykowi i badaczowi hokeja w Instytucie Nauki o Sporcie na Uniwersytecie Linneusza; **Isabel Boltenstern** i **Jonathanowi Lindquistowi**, niestrudżonym źródłom wiedzy i wesołym wariatom, którzy jednocześnie okazali się ostrymi, ale sprawiedliwymi krytykami, nawet jeśli czasem ucierpiało na tym delikatne ego pisarza; **Eric Holst**, **Johnowi Lindowi**, **Johanowi Forsbergowi**, **Andreasowi Haarze**, **Ulfowi Engmanowi** i **Fredrikowi Gladerowi**, ekspertom hokejowym, którzy zawsze służyli pomocą, gdy przychodziły mi do głowy niedorzecznie poplątane myśli; **Andersowi Daleniusowi** za niezwykle pouczające rozmowy o psach i broni; **Sofii B. Karlsson** za ważne rozmowy i mądre odpowiedzi o sporcie i życiu; **Robertowi Petterssonowi** za dłuuuugą i cierpliwą konwersację mejlową. **Atilli Terekowi** za wiedzę z zakresu chemii; **Isaakowi** i **Rasmusowi** z **Monkeysports** w Södertälje za to, że pozwoliliście mi kręcić się cały dzień po sklepie i dowiedzieć się czegoś o sprzęcie hokejowym; **Linie „Lynx” Eklund** i **Pancrase Gym** za to, że mogłem przyjść i posłuchać o waszej miłości do sportu; **Johanowi Zillénowi** za to, że nigdy nie trzeba czekać na twoją opinię. Poza tym wszystkim ekspertom z szeroko pojętego zakresu prawa, którzy pomagali mi

podczas pracy i wytykali detale i formalności, oraz pozostałym osobom, które w różny sposób czytały, zastanawiały się i wyrażały opinie, gdy wysłałem im fragmenty książki. Jest was zbyt wielu, bym mógł was tu wszystkich wymienić, ale mam nadzieję, że wiecie, że ja wiem.

Dziękuję również **Annie Svensson** i **Linie Kåberg Stene** z **Kult PR** za ciężką pracę i głośny śmiech podczas chaotycznych spotkań autorskich oraz **Karin Wahlén** za wszystko inne: przygody, pomysły, palące dyskusje i nadkładanie drogi do najlepszych budek z kielbaskami. **Nilsowi Olssonowi** za cały czas i energię, którą włożyłeś w cztery przejrzyste okładki, czyli pierwsze wrażenie, jakie książka ma szansę wywrzeć. **Ericowi Thunforsowi**, który uchwycił tak wiele z tego, co opowiadałem o Björnstad Hockey, gdy przygotowywał dla mnie niedźwiedzia. **Agencji Salomonsson** za to, że pozwalacie mi oglądać świat. **Pellemu Silverby**, **Bengtowi Karlssonowi** i **Christinie Thulin**, która pilnuje wszystkich papierów. **Oskarowi Ollerupowi** za listę „głośniejgłośniej” (i wszystkie inne genialne rzeczy, które przypuszczalnie ukradłem od ciebie przez lata). **Riadowi Haddouche**, **Junesowi Jaddidowi** i **Erikowi Edlundowi** za wszystko, co od was otrzymałem, i za to, ile ze mną wytrwaliście przez prawie dwadzieścia lat przyjaźni.

Na końcu chciałbym oczywiście podziękować wszystkim ludziom w **Wydawnictwie Pirat Förlaget**, którzy uwierzyli w mój pomysł. Przede wszystkim **Ann-Marie Skarp**, która mnie wysłuchała i mi zaufała, **Annie Hirvi Sigrudsson**, która sprawdzała dokładnie każdą część tekstu, i **Mattiasowi Boströmowi**, który odpowiadał na mejle w środku nocy i w lipcu, gdy mi odbiło.

Ale najbardziej dziękuję moich dzieciom. Dziękuję, że czekaliście, gdy pisałem tę książkę. TERAZ możemy zagrać w Minecrafta.

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

Podziękowania